PRZEGLĄD POWSZECHNY

P. P. T. 155—156

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO". *Ps. 143.*

ROK TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY. — TOM 155—156.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ

1922

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

Z kongresu eucharystycznego w Rzymie wrażenia i myśli.

W dzień zamknięcia kongresu odbył się w kościele dwunastu Apostołów koncert religijny, w którego program weszło przedewszystkiem oratorjum Perosiego p. t. »Ostatnia Wieczerza«.

Treścią utworu jest sama chwila ustanowienia Najśw. Sakramentu, wiernie oddana własnemi słowami ewangelji.

Zrazu tylko muzyka o dziwnie bogatym kolorycie maluje tło wielkiego obrazu, tj. przedstawia nastrój wieczernika, zmieszany z uczuć trwogi i smutku, ekstazy miłosnej i radości z dokonanej ofiary; potem na tle tej muzyki zaczynają występować w solowych i chóralnych śpiewach najpierw skarga Zbawiciela, że »jeden z was mnie wyda« i groźba dla przeniewierczego ucznia, dalej zmącone przerażeniem głosy apostołów »azażem ja jest, Panie?« i słodkie odpowiedzi Chrystusowe.

Aż nareszcie uspokaja się żal i wzburzenie; w muzyce zaczynają górować tony uroczyste, pogodne i rzewne zarazem, a wśród nich odzywa się głos Zbawiciela, pełen niewymownej słodyczy: »Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje! Pijcie, to jest krew moja, która za was przelana będzie!« I głos ten potężnieje, powtarzając się kilkakrotnie, jakby zwracając się poza mury wieczernika do całej ludzkości, by jej obwieścić spełnienie tajemnicy miłości.

I głos ten nie zostaje bez odpowiedzi.

Zaledwie przebrzmiały słowa Chrystusowe, oznajmiające światu, że »do końca umiłował swoich«, zapomina niejako artysta, że po ostatniej wieczerzy następowała jeszcze gorycz męki i uderza natychmiast w ton niepojętego wesela. Jako echo słów Zbawiciela, ustanawiających Najśw. Sakrament, wybucha nagle ze setek instrumentów i setek ludzkich piersi potężne, rozgłośne *Lauda Sion.* Drga donośnie w tej burzy dźwięków

uwielbienie i podziw, dzwoni w nich *„in hymnis et canticis"* pieśń triumfu i uniesienie miłości. I chociaż gra już cała ogromna orkiestra i wysila się cały chór mnóstwa śpiewaków, muzyka coraz to olbrzymieje i rośnie, bo do głównej fali akordów przyłączają się coraz to nowe i nowe strumienie tonów, jakby nowe wybuchy radości, która nie może nasycić się podzięką i pochwałą. Aż wreszcie kończy się oratorjum jakiemś przejściem pień ziemskich w harmonje niebieskiej ojczyzny, bo mimo największych wysiłków uczucia, przedmiot uwielbienia góruje ponad wszystkiem, czego zdolne są ziemskie usta i serca: *„Quia maior omni laude, nec laudare sufficis"*.

Przerwane wojną światową, a obecnie podjęte na nowo kongresy eucharystyczne nie są niczem innem, tylko jednym ciągiem tego *Lauda Sion*, które brzmi coraz potężniej, jako odpowiedź świata na słowa Zbawiciela, wymówione niegdyś w ciszy wieczernika.

Brzmi coraz potężniej — bo nie da się zaprzeczyć, że w obecnej dobie jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska. Wbrew wszystkim przeczeniom i buntom, wbrew naturalistycznym tendencjom naszych czasów, żywa wiara w rzeczywistą obecność Chrystusa Pana pod postaciami chleba nie maleje, ale potęguje się i rozszerza w sposób doprawdy uderzający. Dogmat pozostał ten sam, ale z niezmiennej jego opoki płyną coraz to nowe strumienie wód żywych; nie zmieniła się objawiona prawda, ale pod tchnieniem Ducha miłości Kościół przyswaja sobie coraz pełniej jej treść wewnętrzną i coraz głębiej stosuje ją do swego życia. Gdy się porówna intensywność dzisiejszej wiary w Najśw. Sakrament z wiarą chociażby wieków średnich, widać postęp wprost ogromny. W żadnej epoce kościelnego życia nie było tak silnego, tak praktycznego odczucia, że tajemnica, która mieszka na naszych ołtarzach pod zasłoną powszedniego pokarmu, to nie jest obraz, ani symbol, ani nawet nieosobowe jakieś »ciało Pańskie«, ale żywy, rzeczywisty, osobowy Bóg-człowiek, ten sam, co niegdyś »na ziemi był widzian i z ludźmi obcował«; w żadnej też epoce kościelnego życia nie miały serca wierne tak bliskiego i osobistego stosunku z mieszkającym wśród nas Więźniem miłości.

A w ślad za tem ogromnem ożywieniem wiary budzi się w łonie Kościoła nieprzeparta potrzeba oddawania utajonemu Panu coraz to nowych hołdów i nowych dowodów serdecznego przywiązania. Nie wystarczają już prywatne i publiczne nabożeństwa, zamknięte w murach jednej świątyni, nie wystarczają obchody podejmowane w obrębie poszczególnych miast i krajów; w sercach katolickich powstało i trwa prag-

nienie, by od czasu do czasu przynajmniej wynieść Najśw. Sakrament na szeroką, międzynarodową widownię i oddać mu zbiorowy pokłon imieniem całej ziemi.

Ten pokłon zbiorowy, oddany przez przedstawicieli wszystkich ludów i to uroczyste obwołanie utajonego pod postacią chleba Zbawiciela najwyższym Panem całej ziemi to jest właściwy cel i treść istotna eucharystycznych kongresów, to jest to, co wspanialej niż gdziekolwiek i kiedykolwiek wypełniło ostatni kongres rzymski.

Na to ogromne i nieoczekiwane powodzenie świeżych eucharystycznych obchodów złożyło się kilka czynników.

Przedewszystkiem działała tu atmosfera tej jedynej na świecie, wiecznej Romy, tak niepojęcie wielkiej ogromem swych świętości i charakterem stolicy chrześcijaństwa, tak pełnej najdroższych sercu katolickiemu pamiątek, tak barwnej blaskiem swych świątyń i niezrównanem bogactwem swych zabytków. Powtóre mówiła wiele sama chwila dziejowa, boć przecież po raz pierwszy po krwawej wojnie spotkały się u stóp Boga miłości wszystkie narody, do niedawna rozdarte pożarem nienawiści i po raz pierwszy przemówiły do siebie wspólnym, a wymownym językiem jednej wiary. Podniosła dalej nastrój i ta okoliczność, że od lat 52, tj. od upadku kościelnego państwa, nie widziały jeszcze nigdy ulice Rzymu uroczystej eucharystycznej procesji. A wreszcie dołączył się do poprzednich jeden czynnik, najważniejszy ze wszystkich. Oto dotychczasowe, w liczbie dwudziestu pięciu, kongresy musiały obywać się z konieczności bez osobistego udziału Ojca chrześcijaństwa. Tutaj, w Rzymie mogło być inaczej. Tutaj mógł widzialny zastępca Chrystusa na ziemi osobiście poprowadzić swych wiernych do stóp niewidzialnie obecnego w Eucharystji Pana i wraz z nimi złożyć Mu hołd uwielbienia i prośby. Owo uczestnictwo papieża w niektórych przynajmniej eucharystycznych obchodach nadało kongresowi rzymskiemu zupełnie szczególny charakter, bo wysunęło na jego czoło dwie główne siły, z których widzialnie i niewidzialnie czerpie katolicki Kościół całą swą żywotność.

Uroczyste otwarcie kongresu miało miejsce w wigilję Wniebowstąpienia Pańskiego dn. 24 maja o godzinie 5 po południu.

Już na trzy godziny przed oznaczoną porą płynęła do Watykanu olbrzymia fala pobożnych, nie dbających na skwar i znużenie, byleby zająć najlepsze miejsca. Największy z watykańskich dziedzińców, t. zw. cortile del Belvedere przygotowany już był na przyjęcie gości. W głębi obszerna estrada z tronem papieża w środku, po obu bokach wspaniałe

gobeliny, przedstawiające ostatnią wieczerzę, na murach w około emblemy eucharystyczne, wszędzie pełno przepysznych strojów czy to gwardji szwajcarskiej i »karabinierów« watykańskich, czy szlacheckiej straży przybocznej lub urzędników papieskiego dworu.

Przed godziną piątą, wśród dźwięków orkiestry i pobożnych różnojęzycznych pieśni, estrada zaczęła się zaludniać. Zajęły na niej miejsce całe dziesiątki biskupów — podobno było ich około 200 — w rozmaitych odcieniach fioletu i w barwnych habitach różnych zakonów, po nich weszło ciało dyplomatyczne w przebogatych, kapiących złotem uniformach, środek wypełniła purpura bardzo licznie zebranych kardynałów.

Kiedy o godzinie $5^1/_2$ zajechał wewnętrzną galerją pałacu, oznajmiony dźwiękiem trąb srebrnych, Ojciec Święty, owładnął całem ogromnem zebraniem zapał nie dający się opisać. Ze zgromadzonych tłumów podniósł się taki grzmot oklasków i ze wszystkich piersi wydobyły się tak gromkie okrzyki, że zginęła wśród nich zupełnie potężna kantata, wykonana przez chór 600 śpiewaków. Czuć było wyraźnie, że w tem entuzjastycznem powitaniu nie było nic sztucznego, nic, co trąciłoby jakąkolwiek konwencją, ale że to dzieci, ze wszystkich stron świata zebrane nie mogą się nacieszyć widokiem wspólnego Ojca, zastępcy Boga na ziemi.

I Pius XI przemówił rzeczywiście jak ojciec. Kiedy po krótkiej i mało słyszanej przemowie protektora kongresu, kardynała Vanutellego, otwarł szeroko ramiona i donośnym głosem odezwał się do nieprzejrzanej rzeszy uczestników, pogrążonej w skupionem milczeniu, drgało w każdem jego słowie prawdziwie ojcowskie serce. Najpierw witał swych synów, do niedawna zwaśnionych bratobójczą nienawiścią, a dziś zgodnie zebranych z całej ziemi »w domu Ojca«, potem wskazywał na przyczyny straszliwej katastrofy dziejowej, tj. na odstępstwo od Boga i od zasad wiary, a wreszcie zwrócił oczy i serca wszystkich do prawdziwego dawcy Bożego pokoju, do Chrystusa utajonego na ołtarzach, życząc i wróżąc, że z tego kongresu i ze wszystkich eucharystycznych obchodów, odbywanych równocześnie po całym świecie, wytrysną źródła rzeczywistego uspokojenia skołatanej ludzkości.

Błogosławieństwo papieskie, a po niem nowa burza nie milknących okrzyków zamknęły ten pierwszy akt kongresowych uroczystości.

Nazajutrz po nabożeństwie w bazylice św. Piotra, które roztoczyło przed oczyma obecnych cały przepych papieskiej mszy pontyfikalnej, zaczął rozwijać się bogaty program kongresu, złożony z publicznych

posiedzeń i adoracyj po różnych kościołach, z uroczystych mszy świętych i wspólnych komunij, z procesyj wreszcie lub gremjalnych aktów poświęcenia Bożemu Sercu. Na czoło wszakże wszystkich tych obchodów, jakkolwiek pięknych i podniosłych, wybiły się trzy przedewszystkiem chwile, nieporównane urokiem i potęgą religijnego nastroju.

Pierwszą z nich była adoracja nocna mężczyzn z udziałem Ojca świętego, w bazylice św. Piotra.

Późnym wieczorem dnia 26 maja zaczęły gromadzić się w olbrzymim kościele zastępy pobożnych. Na ołtarzu papieskim, nad konfesją Księcia Apostołów, wystawiony był wśród rzęsistego światła Najśw. Sakrament w monstrancji, zewsząd widocznej; reszta bazyliki słabiej oświetlona i pusta pogrążona była w tajemniczym półcieniu.

O godzinie 11 ukazał się z głębi Ojciec święty, poprzedzony bardzo skromnym orszakiem duchownych, nie, jak zwykle, niesiony na lektyce, ale pieszo i, stłumiwszy wymownym gestem wybuchające już okrzyki powitalne zebranych, ukląkł wraz z nimi przed Panem, rzeczywiście przytomnym pod zasłoną białej Hostji.

I tu zaczęła się godzina nigdy nie zapomniana dla tych, co mieli szczęście w niej uczestniczyć.

Jak niegdyś Zbawiciel, nocujący na modlitwie Bożej, tak teraz Namiestnik Jego na ziemi zanosił wśród ciszy nocnej gorące prośby za wielkie dzieło zwierzone sobie przez Boga. I jak Pan Jezus modlitwą swoją ogarniał cały świat i wszystkie pielgrzymujące po nim dusze wybranych, tak teraz najwyższy pasterz całej Chrystusowej owczarni łączył się w duchu ze wszystkimi wiernymi, których dusze polecone mu zostały przez Zbawiciela i wznosił za nie ręce do wspólnego Pana, by nie ustała ich wiara i nie wygasła ich miłość, by ze źródła łask wszelkich spłynął wreszcie na ludzkość ten upragniony pokój, którego zadatkiem i rękojmią jest poddanie Bożemu prawu. A z tem cichem błaganiem Ojca chrześcijaństwa łączyły się prośby tych tysięcy, którym dane było w tej chwili otoczyć go kołem tutaj, na grobie Księcia Apostołów, w samem sercu jedności katolickiej. I płynęły w niebo te modlitwy bądź to w postaci cichych szeptów i westchnień, bądź to w formie pieśni pobożnych, a z białej Hostji na ołtarzu biło światło ciągnące ku sobie wszystkie oczy i podnoszące wszystkie dusze w tę krainę, gdzie miejsce wiary zastępuje już widzenie.

Po skończonej adoracji i po okolicznościowem kazaniu Monsignora Bartolomasi, biskupa Triestu, rozpoczął Ojciec święty o $12^1/_2$ cichą mszę, podczas której chór wykonywał eucharystyczne motety i hymny.

Gdy przyszło *Credo,* odmówili je wszyscy uczestnicy wraz z papieżem, każdy w swoim języku, ale w jednej wspólnej wymowie żywej wiary. Do Komunji świętej wreszcie ruszyły tłumy. Mimo że w rozdawaniu anielskiego Chleba dopomagało Ojcu świętemu kilkunastu biskupów i prałatów, napływ pobożnych do Stołu Pańskiego trwał przeszło godzinę. Po mszy świętej odmówiono jeszcze wspólne modlitwy, a nakoniec odśpiewano *Tantum ergo,* po którem Kard. Merry del Val udzielił zebranym błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

Gdy uczestnicy tej niezapomnianej nocy znaleźli się napowrót na placu przed bazyliką wśród ramion olbrzymiej kolumnady, na niebie był już świt. Jaśniej jednak niż zorza błyszczał potężny krzyż świetlny na szczycie kopuły św. Piotra, jakby symbol Tego, który z pod zasłony maleńkiej Hostji nie przestaje być aż dotąd »światłością świata«.

Widok zgoła odmienny, ale nie mniej podniosły, przyniósł ranek niedzielny 28 maja.

Już dnia poprzedniego zaczęły się były Komunje generalne różnych stanów w kilku kościołach wiecznego miasta; ten dzień wyznaczono na Komunję generalną dzieci i obrano dla niej nie kościół, ale malownicze mury olbrzymiego Koloseum.

Pogoda była cudowna; przeczysty błękit iście włoskiego nieba rozpościerał się jak namiot nad wspaniałą ruiną, gdy przez wszystkie wejścia do amfiteatru zaczęły płynąć barwne i wezbrane pobożnością strumienie nieprzeliczonych głów ludzkich. Szło mnóstwo duchownych bądź to w czarnych sutannach, bądź w rozmaitych habitach, bądź w różnokolorowych strojach, właściwych rzymskim kolegjom, szli starsi, opiekunowie i rodzice ze wszystkich stanów i ze wszystkich krajów świata, ale szły przedewszystkiem te, dla których przeznaczona była cała ta śliczna uroczystość, szły dzieci. Gdziekolwiek okiem rzuciłeś, widać było jak kwiaty pogodne twarzyczki dziecinne, przejęte ważnością chwili, o oczach szeroko otwartych nowością i przedziwną pięknością widoku, którego one same były największą ozdobą. Szły z księżmi i zakonnicami na czele gromadki maleńkich uczniów i uczennic przeróżnych zakładów wychowawczych, szły rodziny pobożne, prowadząc na ucztę niebiańską najmłodszych swych członków, szły dzieci nieco starsze, szły prowadzone za rękę i te maleństwa, o których świeżo powiedział był Pan Jezus przez usta Piusa X: »dopuśćcie dziateczkom przyjść do mnie«. A wszystko w białych lub barwnych sukienkach, często z wiankami kwiatów na głowie, lub zapalonemi świecami w ręku.

O godzinie ósmej rano przedstawiało Koloseum widok niezrównanej piękności.

W środku na części rzymskiej areny, tyle razy zbroczonej krwią męczenników, pod purpurowym namiotem odprawiał jeden z biskupów mszę świętą, a naokoło, gdzie okiem sięgnąć, rozsiadły się tłumy pobożne, wpatrzone w ołtarz Najświętszej Ofiary. Nie było takiego szczątka galerji, nie było złomu murów, na który choć z największą biedą wdrapać się było można, żeby nie było na nim pełno widzów spragnionych uczestnictwa w tym wspaniałym obchodzie.

Nareszcie zrobiła się cisza głęboka, bo dzwonki z pod namiotu dały znać, że przyszło podniesienie i że Zbawiciel zstąpił już między swój lud pod postacią chleba. Pochyliły się w pokłonie wszystkie głowy, a ze serc podniósł się w niebo akt żywej wiary, potężniejszej w tej chwili niż kiedykolwiek. Bo nie można się było oprzeć głębokiemu odczuciu siły chrześcijaństwa na myśl o innych scenach, jakich świadkami bywały te same mury. Ośmnaście wieków temu, na tej samej arenie, zapełnionej dziś pobożnym tłumem, stawała wobec ryczących zwierząt i ryczącego rzymskiego motłochu gromadka chrześcijan, wzgardzonych, wyjętych z pod wszelkiego prawa i otoczonych śmiertelną nienawiścią, ale śpiewających ufnie w obliczu śmierci: *Christus regnat, Christus vincit, Christus imperat.* I oto minęły wieki; po pogańskim Rzymie Cezarów nie zostało nic, tylko gruzy i strzaskane kolumny, a pieśń prorocza męczenników, która wówczas zdawała się szaleństwem, spełnia się dosłownie, bo wśród tych samych murów cisną się przedstawiciele wszystkich ludów, którzy Chrystusa tylko chcą mieć za pana i Jemu oddają na zupełną własność przyszłość świata i największe swe skarby, swe dzieci.

Gdy nadeszła chwila Komunji świętej, kilkudziesięciu kapłanów z puszkami w ręku rozeszło się po wszystkich zakątkach olbrzymiego amfiteatru, by rozdawać Chleb żywy, który z nieba zstąpił i dawa żywot światu. Gdziekolwiek doszedł kapłan, po galerjach, po załamaniach murów, po stopniach areny porosłej dziś trawą i wonną macierzanką, tam pochylały się głowy i uginały się kolana i całe szeregi dzieci i starszych przyjmowały w skupieniu pokarm niebieski. A potem, gdy zebrane rzesze zaczęły się już rozpraszać, widziało się w każdym zaułku ruin, zalanych złotym blaskiem słońca, klęczące przez czas dłuższy postacie, pogrążone w cichem dziękczynieniu.

Jednakże nie ów prześliczny ranek w Koloseum, ale popołudnie i wieczór tej samej niedzieli miały być punktem kulminacyjnym całego

kongresu. Na godzinę trzecią wyznaczona była uroczysta procesja, w której Pan Jezus po raz pierwszy od przeszło pół wieku miał wyjść triumfalnie na ulice Rzymu.

Ogromne, zazwyczaj dość puste place koło bazyliki św. Jana na Lateranie zaraz pó południu zaczęły się zaludniać. Wojsko włoskie po części dla bezpieczeństwa ze strony fascystów, po części dla porządku, zamknęło potężnym kordonem wyloty wszystkich ulic; za kordonami pozostały nieprzeliczone tłumy widzów, rosnące z każdą chwilą; na wolnem miejscu wśród wojsk zaczął ustawiać się pochód.

Postanowione było z góry, że w samej procesji wezmą udział tylko mężczyźni. Pojawiły się więc najpierw tysiące i tysiące skautów, którzy w szarych uniformach, w popielatych kapeluszach, z długiemi laskami w ręku tworzyli wewnętrzne szpalery i doskonale utrzymywali porządek pochodu; po nich ustawili się w malowniczych grupach wychowańcy przeróżnych a niezmiernie licznych zakładów wychowawczych rzymskich, od najmniejszych chłopczyków począwszy; dalej szły prawdziwe zastępy słuchaczy wszelkiego rodzaju szkół wyższych złączonych w potężny związek katolickiej młodzieży; nakoniec starsi mężczyźni, ugrupowani bądź to wedle rozmaitych stowarzyszeń, bądź wedle narodów i krajów, oznaczonych tablicami niesionemi w pochodzie: Francja, Belgja, Kanada, Niemcy, Hiszpanja, Ameryka, Afryka itd. Nad każdą grupą powiewały sztandary, których było przeszło tysiąc; pomiędzy różnemi grupami szły liczne związkowe orkiestry.

Za świeckimi uczestnikami procesji zaczęły barwną wstęgą rozwijać się bractwa w zupełnych, nieraz bardzo oryginalnych strojach, o wszystkich chyba kolorach tęczy. Za bractwami wreszcie poczęło iść duchowieństwo w nieprzeliczonych szeregach, które widziane z daleka, zlewały się w ruchomego węża, mieniącego się w słońcu barwami przeróżnych habitów, białych komży, bogatych fioletów kanonickich kolegjów.

A nakoniec głowa i serce pochodu, Przenajświętszy Sakrament. Poprzedzał go zastęp Książąt Kościoła i dzieci w bieli sypiących kwiaty; koło samego baldachimu ustawiły się w szpaler oddziały prześlicznie ubranych karabinierów królewskich w pióropuszach na głowie; przy samem Sanctisimum kilkunastu kardynałów, którzy nie dbając na znużenie i na upalne słońce, powagą dostojnych swych głów, pokrytych siwizną, tworzyli najbliższy orszak utajonego Zbawiciela.

Po krótkich stosunkowo przygotowaniach olbrzymi, wielokilometrowy pochód puścił się w drogę, a był to pochód iście triumfalny.

Na przedzie szwadron konnicy włoskiej na siwych koniach z lśniącemi szablami w ręku; za nim nieprzejrzane szeregi uczestników procesji, jedne rozśpiewane na nutę pobożnych pieśni, inne postępujące w takt dźwięków orkiestry, inne jeszcze odmawiające wspólnie różaniec, a na wszystkich twarzach malowało się uczucie radości i jakiejś świętej dumy katolickiej, że wolno im w obliczu całego świata oddać utajonemu Panu królewską chwałę.

I brało udział w tej chwale całe miasto.

Na ulicach, na placach, w oknach i na gankach domów, na dachach, na pomnikach, na drzewach przydrożnych jedno morze głów ludzkich idące w setki tysięcy. Jak gdyby z tej Hostji po raz pierwszy od tak dawna niesionej uroczyście wyszło jakieś potężne religijne wstrząśnienie, tak zbudził się nagle stary Rzym katolicki i zrzucił ze siebie pozory obojętności, jakie usiłowały mu nadać żydowsko-masońskie wpływy. Gdzie tylko rzuciło się okiem, widziało się w tłumie podniecone entuzjazmem twarze, powiewające chustki i kapelusze, otwarte okrzykiem lub pieśnią usta, ręce złożone do gromkich oklasków. Tekst, który stosuje liturgja rzymska do procesji Bożego Ciała, zdawał się iścić w całej pełni, że »Dawid i wszystek dom Izraelów prowadzili arkę testamentu Pańskiego z weselem«.

Wyszedłszy z bazyliki św. Jana na Lateranie, skierował się pochód szeroką via Merulana do Najśw. Panny Marji Większej, potem, po błogosławieństwie danem z przed portalu prastarej świątyni, zwrócił się do Koloseum i napowrót na miejsce skąd wyszedł.

W tej długiej, blisko sześć godzin trwającej drodze, momentów przepięknych było całe mnóstwo, ale żaden nie dorównał samemu zakończeniu procesji na wielkim placu bazyliki Laterańskiej.

Był już późny wieczór, bo dochodziła godzina dziewiąta, gdy plac i wszystkie wyloty przyległych ulic oblężone były tłumem tak gęstym, że silne oddziały wojska zaledwie mogły utrzymać kordon dla zabezpieczenia miejsca, na którem miała zebrać się procesja. Na frontonie bazyliki i na wszystkich okolicznych domach rozpalały się światła iluminacji tak rzęsistej, na jaką tylko Rzym zdobyć się potrafi. Po skwarze dziennym spadał z pogodnego nieba orzeźwiający chłód; w górze coraz gęściej zaczynały błyszczeć gwiazdy. Jeszcze chwila oczekiwania, aż wreszcie pokazało się czoło pochodu i cała jego barwna wstęga zaczęła zwijać się i składać w prześliczne grupy zapełniające powoli rozległą przestrzeń, odciętą wojskowym kordonem.

Oświetlony zewsząd łuną iluminacji wyrósł na placu cały las cho-

rągwi i sztandarów; na szerokich schodach do kościoła wiodących rozmieściły się bractwa i duchowieństwo jakby powódź kwiatów najbarwniejszej łąki; wszędzie widziałeś twarze i oczy iskrzące się zapałem, dochodzącym w tej chwili do najwyższego natężenia.

A w tem nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, uderzył wszystkie oczy widok nieporównanej piękności. Z poza głów tłumu, ze szczytu sąsiedniej bazyliki Santa Croce in Gerusalemme rzucono na fronton św. Jana olśniewające światło trzech potężnych reflektorów. Przepiękna zawsze fasada Lateranu nabrała w tym blasku niepojętego uroku. Na tle ciemnego nieba lśniły się jak srebrne czy to olbrzymie kolumny portyku, czy posągi wieńczące szczyt świątyni, czy wszystkie najdrobniejsze, ginące zazwyczaj przy świetle dziennem, ozdoby i napisy. Całe dzieło Aleksandra Galilei zaczęło nagle żyć i nie tylko żyć, ale z przedziwną lotnością unosić się w powietrze i owszem śpiewać jakąś niemą pieśń radości i uwielbienia.

Minęła jednak tylko mała chwila, a pieśń tę splecioną z barw i blasków podjęły donośnie ludzkie piersi i usta, bo właśnie w tym momencie w najjaśniej oświetloną loggię nad głównem wejściem wchodziło od wnętrza kościoła 14 kardynałów z Najśw. Sakramentem na czele.

Cały nieprzejrzany tłum upadł na kolana jakby łan zboża kosą podcięty, a po chwili milczącej adoracji buchnęło ze wszystkich piersi i wzniosło się aż pod gwiaździste niebo potężne, pełne zapału *Tantum ergo.*

Tutaj nastąpiła chwila wprost niepamiętna.

Czuło się, że przez te usta zwrócone zewsząd do białej Hostji w górze przemawia donośnie nie rutyna lub chłodna konwencja, ale niezwyciężona i nieśmiertelna wiara katolicka, która z Piotrem i za Piotrem woła ustawicznie do Pana utajonego na ołtarzach: »Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego«; czuło się, że w tych oczach wzniesionych do złocistej monstrancji, siejącej olśniewającym blaskiem, ginie niejako obraz zmysłom dostępny, a żyje widok odsłonięty przez wiarę, widok żywego Zbawiciela, wyciągającego ręce do swego ludu. I dlatego brzmiała szczególnem uniesieniem miłości i wesela owa pieśń chwały, śpiewana przez stutysięczne głosy i zdawać się mogło, że skupiła się w niej na chwilę cała ta nie milknąca *laus et iubilatio*, jaką Kościół po całej ziemi otacza Przenajśw. Sakrament.

Kiedy wezbrana rzeka głosów nareszcie ucichła, nakreślono monstrancją nad morzem pochylonych głów ludzkich wielki krzyż, prawdziwe błogosławieństwo *urbi et orbi.*

Triumf procesji był skończony, a z nią sam kongres dobiegał do końca. Bo chociaż nazajutrz przed południem przewidziane jeszcze było zakończenie obchodów w bazylice św. Piotra, lśniącej tego wieczora jak diament w ogniach wspaniałej iluminacji, wszyscy czuli, że najwyższy szczyt religijnego porywu, a z nim właściwy cel kongresu był już osiągnięty. Gdy przez rzęsiście oświetlone ulice wiecznego miasta skierowały się z powrotem do domów wielotysięczne rzesze uczestników, biło z tej potężnej fali ludzkiej jakieś dziwne a głębokie ożywienie wiary i cudowne wzmocnienie katolickich uczuć. Bez słów i bez specjalnych aktów wewnętrznych czuło się do samej głębi duszy, że to wszystko, co się dopiero co skończyło, to nie forma, nie czysty obrząd, lecz p r a w d a; czuło się, że zaczyna się wypełniać i że wypełnić się musi ten okrzyk, jaki na wstępie kongresu zwrócił był do Zbawiciela w Eucharystji Pius XI: *„Intende, prospere procede et regna!“*

Że przez tego rodzaju obchody, jakich świadkiem był Rzym w tych prześlicznych dniach majowych, Królestwo Chrystusowe na ziemi istotnie wzrasta, o tem nie może wątpić nikt, komu dane było w tych uroczystościach wziąć udział. Nie były to bowiem płonne manifestacje, lecz czyny z »ducha i żywota« zrodzone, »ducha i żywot« rodzące. Wszystkie akty kongresu, od przemów i referatów na posiedzeniach publicznych, aż do modlitw i wspólnych liturgicznych obrzędów, nie były niczem innem, tylko potężnym wyrazem niezwyciężonej wiary i odnosiły ten skutek, który żywej wierze zawsze jest własny, że, jak światło od światła, tak zapala się od niej nowa wiara.

I nie darmo mówimy »nowa wiara«. Jeżeli bowiem wolno tak powiedzieć, ta wiara, co roznieca się dziś w świecie u cudownego ogniska Eucharystji, ma w sobie jakiś ton czy barwę dawniej nieznaną i nie dość może docenianą w swem znaczeniu. Niegdyś i do niedawna, czy w twierdzeniu religijnem, czy w negacji wysuwały się na pierwszy plan rozumowe pierwiastki: rozum najpierw szukał i wierzył, rozum przedewszystkiem rozstrząsał i wątpił. Dziś do pewnego stopnia zmieniły się role i chociaż wiara nie przestała i nie przestanie być aktem rozumowym, coraz częściej widać, że Bóg, zwłaszcza przez Eucharystję, wstępnym bojem zaczyna od s e r c a i tę część człowieka najpierw podbija, w której mieści się główna treść życia i główne źródło twierdzeń lub negacji.

I jeśli wolno z zewnętrznego, lecz wymownego znaku wnosić o wewnętrznym dusz nastroju, dużo mówi ta pieśń, co podczas dni

kongresowych rozbrzmiewała bez końca po kościołach i ulicach, pieśń, która w krótkim stosunkowo czasie potrafiła obiegnąć świat cały i przełożyć się na wszystkie nieomal znane języki. Niczego bowiem nie śpiewały różnojęzyczne tłumy rzymskie tak często i tak gorąco, jak znanych słów, i po naszej Polsce już dźwięczących zdrową energją katolicką: My chcemy Boga!

Bo w rzeczy samej ono przedewszystkiem chce Boga to nowe pokolenie wiernych, dojrzewające dziś wspaniale w słońcu Eucharystji, wznoszącej się coraz wyżej na niebie Kościoła. Ono chce Boga ponad wszystkie sieci trudności i wątpień, jakie u nóg jego zastawia fałszywa wiedza; ono chce Boga, bo Chleb żywy, który z nieba zstąpił obudził w niem, razem z nasyceniem, ten wielki głód nadprzyrodzoności, który jest najlepszem dla wiary podłożem.

Ono chce i dlatego zwycięży, bo w chceniu jest jednolitość i siła, i szczerej woli obiecany jest wieniec wygranej »Kto chce« — mówi prorok z wyspy Patmos — »niech przyjdzie i niech bierze wodę żywota darmo«!

Nie można wątpić, że po kongresie rzymskim, jak wzrośnie w świecie ta dobra i mężna katolicka wola, tak rozleją się też po sercach nowe zdroje »wody żywota«.

Ks. Jan Rostworowski.

U źródła twórczości Moliera.

Powiedział ktoś, że »świat jest tragedją dla tego, kto czuje, a komedją dla tego, kto myśli«. Nie jest to zapewne przypadkowem, że największego genjusza w dziedzinie komedji, Moliera, wydała Francja, naród o silnej przewadze myśli nad uczuciem i wyobraźnią, która to przewaga, w tragedji raczej szkodliwa, a tem bardziej w epopei, za to dodatnio oddziaływa na komedję. Otóż Francuz lubi myśleć — są narody, które myśleć nie lubią... — Francuz to intelektualista w każdym calu.

Nadto ten intelekt francuski ma zacięcie krytyczne — niedarmo doszła krytyka literacka do swego rozkwitu we Francji — a ten krytycyzm okazywał się już w pełni średniowiecza szczególnie wrażliwym na śmieszności ludzi i rzeczy; musi to leżeć w naturze francuskiej. To pewne, że ośmieszanie było i jest we Francji środkiem walki bardziej powszechnym i skutecznym niż gdzieindziej.

Ludwik XII w swej walce politycznej z papieżem Juljuszem II posługuje się komikiem Gringoise'm, który podczas karnawału r. 1512 w pamflecie (sottie): le Jeu du Prince des Sots, na pośmiewisko tłumu wydaje papieża; a jeżeli o średniowieczu i epoce renesansu nawet da się powiedzieć, że i gdzieindziej ta broń śmieszności miała wielkie powodzenie, to w późniejszych czasach inne narody i literatury stanowczo stoją tu poza Francją i wystarczy wymienić tak poważne umysły jak Pascala (Lettres Provinciales) i Montesquieu'go (Lettres Persanes), by wskazać, jak na dnie duszy francuskiej, nawet bardzo poważnej ta skłonność do wyśmiewania jest silna; a cóż dopiero gdy wspomnimy takich mistrzów specjalistów niejako w sztuce ośmieszania, jakimi byli encyklopedyści z Wolterem na czele! Naród ten mógł więc wydać wielką komedję.

Ciekawem jest, że wydał ją właśnie w wieku XVII, w epoce

Ludwika XIV, kiedy w zbiorowej duszy narodu ten charakter lekki, gallicki był silnie przytłumiony duchem klasycznym, zwłaszcza pokroju rzymskiego [1]), który piętno szczególnej powagi wycisnął na całej epoce, na życiu i literaturze, a nawet na sztuce francuskiej. Ma się wrażenie, jakby ten z natury swej gallickiej do swawoli, anarchji skłonny naród powiedział sobie pewnego pięknego poranku (zapewne zapatrzony w powagę i majestat starożytnej Romy), — że przecie i on może stać się równie poważnym, przyoblec się w podobny majestat. Wystarczy tylko chcieć i sobie i drugim to nakazać. I tak powstał autorytet i uległość autorytetowi we wszelkich dziedzinach życia, a reguły, dyktowane przez ten autorytet — będą tem milej widziane, im będą surowsze: w polityce monarchja absolutna, w religji katolicyzm o zacięciu jansenistycznem, a więc skrajnie surowem, w literaturze kodyfikacja reguł prozą i wierszem od Du Bellay'a do Boileau'a, w sztuce zupełnie to samo [1]),

[1]) W zbiorowej duszy narodu francuskiego nietrudno rozróżnić trzy elementy niejako: 1-y gallicki, tj. najpierwotniejszy, dziś jeszcze najwyraźniejszy i, naogół biorąc, najtrwalszy, skoro charakterystyka Gallów, podana przez pisarzy starożytnych (Cezara, Strabona i Diodora Sycylijskiego) stosuje się zdumiewająco wiernie do dzisiejszych Francuzów; 2-gi element romański, pochodzący z romanizacji Gallji, który dał narodowi język; 3-ci element germański, który od podboju Gallji przez Francków, Burgundów i Wizygotów w V wieku zaważył swoim wpływem nie tyle na języku, bo ten jako wyżej kulturalny oparł się tym razem skuteczniej wpływowi najeźdźców, ile na charakterze narodu, ale tylko w tej jednej epoce, t. j. w średniowieczu. Tem sobie można wytłumaczyć, iż w tej epoce właśnie i w tej jedynie, wydał on tak bogatą epopeję — bez względu na to, czy przyjmiemy teorję o pochodzeniu germańskiem średniowiecznych *Chansons de geste* (Grimm — Gaston Paris) czy teorję najnowszą Bédier'a, który bardzo przekonywująco dowodzi, że są to dzieła rdzennie francuskiego pochodzenia, bo i w tym ostatnim wypadku można przypuścić, że w tworzeniu tych epopei brał udział poniekąd z pośród elementów, jakie się złożyły na ten naród, element germański. Gdy ten się niejako rozpłynął w silniejszym elemencie gallickim, który ostatecznie zapanował w duszy narodu (obok romańskiego, z nim nieraz się kłócąc), wtedy znikła i epopeja, a o nowożytnych Francuzach mówi jeden z nich (Malezieu), że „nie mają oni głowy epickiej" (les Français n'ont pas la tête épique). Możnaby (syntetyzując bardzo śmiało) powiedzieć, że wiek XVI przedstawia zmaganie się elementu romańskiego, na którem to niemal jednolitem tle tem silniej zarysowuje się postać Moliera, w którym żywioł gallicki jakby rozpaczliwy protest podnosi przeciw inwazji romańskiej w duszę narodu; tym protestem przygotowuje zwycięstwo ducha gallickiego w wieku Encyklopedystów.

[2]) Dufresnoy napisał poemat: De arte graphica, który przetłumaczył na język francuski Roger de Piles (1668); parafrazuje to dzieło Molier w swej Gloire du Valde-Grâce, gdzie zresztą najzupełniej niekonsekwentnie ze swą fi-

wreszcie zewnętrzna strona życia towarzyskiego ujęta w reguły dworskich manier, obowiązujące wszystkich, mających pretensję należenia do »towarzystwa«.

Była to wielka, powszechna tresura społeczeństwa, musiała ona odpowiadać naturze narodu, skoro miała takie powodzenie. Centralną kuźnią tej tresury był dwór królewski, który swym blaskiem tak olśnił cały naród, że ten najchętniej i z zapałem wpływowi tego dworu się poddawał, od niego się wszystkiego uczył.

Oczywiście ten wpływ, ta nauka udzielały się Francji stopniowo: najwidoczniejsze one były w Paryżu, zwłaszcza w salonach paryskich, z których bez trudności przedostawały się do mieszczaństwa, zato znacznie powolniej na prowincję. We Francji różnica między Paryżem a prowincją jeszcze dziś jest znaczna, tem bardziej była ona rażącą w wieku Ludwika XIV, kiedy ten proces ogłady był w pierwszej swojej fazie. Dodajmy i to, że ta pierwsza faza ma w sobie mniej lub więcej cech nienaturalności, a więc i śmieszności, coś z onego parwenjuszowstwa, które tak jednostka jak naród przejść musi, jeśli chce z niższych szczebli kultury wspiąć się na wyższe. Stąd to Paryż wieku Ludwika XIV przedstawiał wdzięczny teren do studjów dla obserwatora śmieszności ludzkich, zwłaszcza jeśli ten stanął na uboczu, albo zgoła wrogo wobec tego środowiska; bo gdyby sam w nim żył, gdyby stanowił jego cząstkę, podzielał jego obyczaje i myśli, czyżby to środowisko mogło mu tak śmiesznem się wydawać?

Otóż w takiem właśnie położeniu znajdował się Molier, kiedy po dwunastoletniej wędrówce cygańskiej po prowincji zawitał do Paryża i tu zabrał się do stworzenia wielkiej komedji francuskiej. Miał on osobiście wszelkie ku temu dane. Był podobnie jak Szekspir aktorem, rzecz wcale nieobojętna u obu; bo aktor, pomijając już lepszą znajomość techniki teatralnej musi lepiej studjować człowieka zewnętrznego, nie poprzestawać na wnętrzu duszy; aktor więc i autor w jednej osobie zna lepiej człowieka całego, co zwłaszcza ważne dla pisarza francuskiego, i to wieku XVII, kiedy to cała niemal literatura cierpi na brak

---

lozofją wynosi renesans francuski ponad gotyk, dla którego, jak wogóle ludzie tej epoki, nie ma najmniejszego zrozumienia i mówi on tu o „tych wstrętnych potworach wieków nieuctwa", i o „barbarzyństwie", które „śmiertelną wojnę wydało ogładzie towarzyskiej". Ależ ta ogłada towarzyska i jej fałsz szczególnie irytowały, jak zaraz zobaczymy, wielkiego komedjopisarza! Mniejsza już o to że Rafaela i Michała Anioła w tymże poemacie nazywa „Mignard'ami swego wieku" (ces Mignards de leur siècle).

»życia« w najpełniejszem tego słowa znaczeniu, na rodzaj anemji fizycznej, na bezcielesność, której źródłem zbyt wyłączne zwrócenie uwagi na ducha, myśl; grzeszą tem tragicy, moraliści, kaznodzieje. Zresztą Molier miał naturę wybitnie obserwacyjną, nawet kontemplacyjną w pewnem znaczeniu, skoro Boileau go później nazwał: le Contemplateur. W miasteczku Pézenas pokazują do dziś wielki fotel drewniany, w którym komedjopisarz i aktor siadywał w soboty u znajomego a bardzo wziętego golarza, by obserwować jego gości. W tej nazwie le Contemplateur nie trudno też wyczytać, że ta kontemplacja nie była wesoła. Ona u komika rzadko bywa wesoła, wszakże uderzają go przedewszystkiem śmieszności ludzkie, które, przedstawione przezeń w komedji czy na scenie, bawią publiczność, która dla ubawienia się przychodzi do teatru, i która zresztą tę śmieszność, tutaj przejaskrawioną, widzi bo widzieć pragnie, ale innego doznawać musi wrażenia ten aktor-komik czy komedjopisarz, którego ta śmieszność, chce czy nie chce, na każdym kroku uderza, jako nieodłączny przymiot człowieka, a więc świata i życia. Różnicę między wrażeniem publiczności a komedjopisarza świetnie illustruje anegdota z życia naszego Fredry, który raz, gdy publiczność zaśmiewała się na przedstawieniu jednej z jego komedji, porwał się z krzesła, trzasnął drzwiami i wyszedł z loży, mówiąc gniewnie: »Z czego się oni śmieją?!« I nie jest to bynajmniej przypadkowem, że komedjopisarze bywali smutni aż do melancholji; mówi o tem życie Fredry, koniec Bałuckiego, a współcześni Moliera opowiadają, że »miał on z natury skłonność do smutku«.

Otóż jeżeli ta »kontemplacja« komedji ludzkiej już na prowincji była upragnionym pokarmem umysłu Moliera, to cóż dopiero gdy przybył do Paryża! On, dziecko natury, wiodący ze swą trupą życie koczownicze, nędzne nieraz, alę swobodne, nie krępujące się żadnemi »regułami« towarzyskiego, a choćby moralnego kodeksu — Lanson słusznie podnosi, że pogarda społeczeństwa w. XVII dla stanu aktorskiego nie była z gruntu nieuzasadniona — jakiem okiem musiał taki Molier spojrzeć na ten świat paryski, który na każdym kroku był inny, niż onby go chciał widzieć, tak niepodobny do niego samego, do Moliera!

Ten świat musiał mu się wydać wstrętnym i komedjopisarz musiał stanąć nieprzejednanie wrogo wobec tego środowiska, w jakiem się teraz znalazł. I oto jedna z racyj, dla których nasz Fredro nie jest tak smutnym w swoim komiźmie, bo nie odnosi się z taką pogardą do swych bohaterów, do środowiska, z którego czerpie przedmiot dla swych komedyj. Fredrze mimo wrodzonych skłonności do mizantropji ani w części

nie był świat, w jakim się obracał, tak wstrętnym, jak się nim wydawał Molierowi. Wystarczy porównać akcję komedji obu komedjopisarzy: u Fredry niema ani w części tylu szelmowskich oszustw, budzących oczywiście wrażenie komiczne, ale w gruncie rzeczy niemoralnych, od jakich roi się w dziełach Moliera.

W świecie Fredry jest sporo rzeczy, które on ukochał; dlatego jest on znacznie łagodniejszy; prawda, że żył w innej, bardzo innej epoce, w epoce romantycznej, panowania uczucia, które nie mogło się nie udzielić choćby komedjopisarzowi, zwłaszcza gdy był on Polakiem, to jest człowiekiem z natury bardziej uczuciowym. Ale rzecz jasna, ten sam przymiot, który pozwolił Polsce wyprzedzić Francję w epopei, był przeszkodą w rozwoju komedji, nie dopuścił, aby komedja polska choćby pod piórem genjalnego Fredry stanęła na wysokości komedji Moliera, do której pogłębienia w wysokim stopniu przyczyniło się to właśnie, że autor jej stanął z tak skrajnym krytycyzmem wobec swego środowiska.

Ciekawym fenomenem psychologicznym jest niechęć, z jaką odnosił się do Moliera Jan Jakób Rousseau, ciekawym dlatego, że przecie jeżeli kto, to ci dwaj ludzie są duchowo ze sobą spokrewnieni. Obaj z głębi prowincji dostawszy się do świata salonów, wobec tego świata stanęli odrazu wrogo, widząc w nim jako dominującą cechę fałsz, sztuczność, krępowanie swobody jednostki, obaj ten świat zaatakowali hasłem »powrotu do natury«. Prawda, że była i różnica, będąca różnicą dwóch bardzo odmiennych natur: Molier był człowiekiem mysli, i jako takiemu życie wydawało się komedją; Rousseau był człowiekiem uczucia, stąd w życiu widział tragedję. A nadto była tu różnica dwóch epok.

Oto wiek XVII, patrząc na świat przez pryzmat nieskończoności, wierzył w niezmienność tego co jest, i jakiem jest, stąd jego charakter tak wybitnie konserwatywny, antyrewolucyjny; wiek XVIII przeciwnie od tej koncepcji stanowczo się odwrócił, wywiesił hasło naprawy tego, co złe. Zgodni tu byli ludzie tak do siebie niepodobni jak Voltaire i Rousseau, choć każdy z nich całkiem inaczej do tej »naprawy« się zabierał. Otóż Molier, tak bardzo niepodobny, tak biegunowo przeciwny ludziom swojej epoki, w tem jednem się z nimi godzi; że tak, jak jest, będzie zawsze; że wszelkie moralizowania, poważne czy ośmieszające, nie na wiele się przydadzą.

Najszczerzej nam to wypowiedział w swojem arcydziele, pod tytułem: Mizantrop, z pośród jego komedyj najbardziej osobista, którą też J. J. Rousseau najostrzej zaatakował. Ma się wrażenie, jakby wielki

komedjopisarz, nairytowawszy się w szeregu komedyj na środowisko, które go tak serdecznie raziło i śmieszyło, postawił pewnego pięknego poranku sam siebie i tę swoją irytację przed sąd spokojnej, objektywnej refleksji. Sąd ten wypadł potępiająco: bohater Alcest, irytujący się na wszystkich i wszystko, jest w oczach zdrowego rozsądku śmieszny; Filint mówi do niego:

Złość się jak chcesz, sam jeden świata nie odmienisz.
A skoro wszelką szczerość tak wysoko cenisz,
Powiem ci przeto szczerze, jeśli nie wiesz o tem,
Że twój obłęd szyderstwa stał się już przedmiotem.
I że twój gniew tak srogi na świata zwyczaje,
Na śmiech ludzki jedynie wszędy cię podaje.

Znamiennem dla myśli autora jest, że mizantropowi przeciwstawia tu nie jakiegoś optymistę życiowego, ale przeciwnie człowieka, który jak słusznie zauważono, jest właściwie większym pesymistą od Alcesta, bo zło, które widzi, uważa za nieuleczalne; mówi on o niem bez oburzenia, z zupełnym spokojem:

I ja, jak ty, spostrzegam co dzień rzeczy tysiąc:
Że mogłyby iść lepiej, gotów jestem przyjąć;
A przecie choć spotykam złe na każdym kroku,
Gniewu z tego powodu nie dojrzysz w mem oku.
Biorę człowieka za to czem on jest w istocie,
Nie potępiam słabości, nie dziwię niecnocie... [1])

Nie inaczej rozumowali moraliści wieku XVII, którzy twierdzili, że dziwić się złu, »znaczy dziwić się, że kamień spada«.

Dodajmy wszakże, iż Mizantrop jako bohater komedji różni się od bohaterów innych komedyj molierowskich tem, że nie jest tak jak oni niesympatyczny i dla nas i dla otoczenia, ma natomiast cechę z nimi wspólną, że nie zmienia on się ani na jotę w swej mizantropji mimo wszelkich doświadczeń i nauk, jakich mu nie szczędzi otoczenie i życie.

I tu znowu różni się Molier zasadniczo od naszego Fredry, którego bohaterowie tak często »poprawiają się« pod wpływem doświadczeń życiowych, która to poprawa w Zemście przybiera formę silnej manifestacji, apoteozy poniekąd, niby onego »kochajmy się« w Panu Tadeuszu:

Cześnik... (podając rękę rejentowi)
Mocium Panie, z nami zgoda!
(Rejent przyjmuje rękę z niskim ukłonem)
Wszyscy. Zgoda! Zgoda!
Wacław. Tak jest, zgoda,
A Bóg wtedy rękę poda.

[1]) W znakomitem tłomaczeniu Boya.

Jest to może w psychice Fredry coś z onej »łaskawości polskiej«, która w wieku XVI kazała nam uprawiać w polityce zasadę tolerancji religijnej — tak obcą reszcie Europy — i dyktowała sercu złotoustego Skargi te piękne słowa: »prawda, iż złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy; złe błędy, ale natury chwalebne; złe odszczepieństwo, ale krew miła.« Ma się wrażenie, czytając Fredrę, widząc te pogodne zakończenia jego komedyj (pogodne ze względu na poprawę bohatera z ośmieszanej tu jego namiętności czy słabości), a bardziej jeszcze cały charakter komizmu jego postaci — jak ten komizm bywa nieraz łagodny; nawet gdy Fredro *posługuje się karykaturą, potrafi ona być* »bardzo łagodna«, jak trafnie podnosi autor najlepszej naszej monografji o Fredrze [1]). Otóż patrząc na tę różnicę między Molierem a naszym Fredrą, ma się wrażenie, jakby ten ostatni w głębi serca mówił ze Skargą: »złe błędy, ale natury chwalebne... ale krew miła«, czego francuskiemu komedjopisarzowi nigdybyśmy podsunąć nie śmieli i nie mieli prawa. Różnica, powtarzam nie tylko ducha epok ale i psychiki narodów [2]).

Charakterystycznym jest fakt, że typ mizantropa, który Molierowi dał przedmiot do arcydzieła, tak zupełnie się nie udał Fredrze [3]) (O d l u d k i i p o e t a). Jedna z racyj, to różnica tła obyczajowego. Głównem zarzewiem mizantropji w duszy do tego zboczenia skłonnej, to widok fałszu dokoła w ludziach i w życiu. Otóż tego fałszu u nas było i jest mniej niż we Francji wieku Moliera, kiedy ten Francuz — mieszczanin czy szlachcic ze wsi przybyły, nagwałt przyswajając sobie formy życia salonowego, oczywiście nie odrazu łagodność uczuć dostroić potrafił

[1]) Ign. Chrzanowski: O komedjach Aleksandra Fredry, Kraków 1917, str. 242. W tej monografji należy też podnieść bardzo spokojne i bezstronne porównanie Fredry z Molierem bez cienia ochoty wywyższenia jednego nad drugim, którą to niesprawiedliwość przy porównaniu pisarzy swojego narodu z obcymi niestety tak często się spotyka, tak u nas jak za granicą.

[2]) Ta różnica okazała się też w pierwszych tłomaczeniach polskich Moliera (XVIII w.) gdzie tłomacze nasi przerabiali poprostu zakończenia komedyj molierowskich w ten sposób, iż bohaterowie „poprawiają się" ze swej namiętności czy śmieszności, jak nas o tem informuje Wacław Borowy w zajmującym artykule pt. Boy jako tłomacz (Przegląd Warszawski, kwiecień 1922). I to także objaw onej „łaskawości polskiej" względem... natury ludzkiej, którą może dlatego (między *innemi przyczynami*) poznaliśmy mniej głęboko, niż to uczynili pisarze francuscy z Molierem, Pascalem, Bossuetem na czele.

[3]) Dodajmy mimochodem, że ten typ nie udał się także mistrzowi w psychologji takiemu, jakim jest Szekspir; jego T y m o n A t e ń c z y k nie dorówna M i z a n t r o p o w i Moliera, na co się godzą angielscy krytycy (podobnie Dyboski w swych objaśnieniach do dzieł Szekspira w polskiem tłumaczeniu).

do łagodności tych form; pomijam już, ile tego fałszu musiało mieć życie dworskie.

Starożytni pisarze już zauważyli, że przodkowie dzisiejszych Francuzów, Gallowie lubili gwałtowne przewroty. Wiek Ludwika XIV był także widownią takiego gwałtownego przewrotu w ukształtowaniu się życia francuskiego. Życie to przenosi się do salonu. Dla obserwatora śmieszności kopalnia tu była nieprzebranych bogactw komizmu: toż tam roić się musiało od postaci takich jak Orast, pan Jourdain, jak ci markizowie i te »wykwintnisie« (Précieuses)... bo i one z tej atmosfery wyszły, bo wyjść musiały. A właściwie one nawet wyprzedziły dwór; oto bowiem gdy na dworze raczej jowjalnego króla Henryka IV zapanowały obyczaje, zbaczające znacznie od tradycyj ogłady renesansowej Franciszka I i jego wysoce kulturalnej siostry Małgorzaty z Nawary, wtedy elita subtelniejszych, delikatniejszych natur, zwłaszcza kobiecych, uciekając przed trywjalnością dworu, gromadzi się w sławnym odtąd salonie markizy de Rambouillet, który niebawem staje się — jak opowiada Saint-Simon — »rodzajem Akademji umysłów kulturalnych, grzeczności, cnoty i wiedzy«; za tym przykładem i wzorem poszły i inne salony w Paryżu i na prowincji; celem ich było szerzyć ogładę towarzyską, od języka poczynając, który starano się oczyścić z trywjalności, a natomiast nadać mu piętno przyzwoitości, grzeczności i delikatności, w którem to usiłowaniu, rzecz jasna, niezmiernie łatwo było popaść w przesadę; inicjatorki tego ruchu »nie byłyby kobietami, gdyby było inaczej«, jak słusznie zauważa Brunetiére, który jednak podnosi bardzo zasługi onych »wykwintniś«, które tak strasznie wyśmiał Molier w swych Précieuses ridicules: »W rzeczywistości — mówi ten znakomity krytyk — gdyby te wykwintnisie nauczyły nas jednej przyzwoitości języka i tego, by każdej rzeczy przy lada sposobności przed wszystkimi nie nazywać po imieniu, to jużby było wiele, i sam Molier, tak jest, Molier bez niebezpieczeństwa dla swej sławy mógł był nieraz pójść do ich szkoły... Im to przecie, trzeba to stanowczo przyznać, zawdzięcza umysł francuski niektóre z najlepszych nauk, jakie kiedykolwiek otrzymał, a nawet literatura nasza zawdzięcza im część swojej chwały«.

A to samo lub coś bardzo podobnego dałoby się powiedzieć o niemal każdej ze śmieszności, które piętnuje wielki komedjopisarz w swych niezrównanych arcydziełach. Molier robi wrażenie człowieka z wieku poprzedniego, który w wieku Ludwika XIV czuje się absolutnie obcym, a już co najmniej dla niego jest zrozumiałem, to ten

gwałtowny, instynktowny pęd narodu francuskiego do przekształcenia się w naród nawskróś salonowy.

Oddawna już mówiono we Francji i poza nią, i dziś w roku jubileuszowym się to powtarza z domieszką patrjotycznego zacięcia powojennego, że Molier jest najbardziej francuskim z pisarzy swego narodu. Otóż to twierdzenie wydaje mi się — może mylnie — nie całkiem uzasadnionem. Prawda jest, że dowcipem swym, całą tą potęgą zmysłu komicznego tkwi on głęboko w gruncie psychiki francuskiej, powiedziałbym pra-gallickiej; pod tym względem niema dwóch zdań chyba, że tylko Francja mogła była wydać Moliera [1]); ale z drugiej strony trudno u niego nie zauważyć rysów, które nie mogą być nazwane francuskiemi. Wskazał je pośrednio wspomniany Brunetière, gdy wypominał Molierowi niedocenienie onych »Précieuses«, ich kulturalnego wpływu na życie francuskie. Jeżeli typowym wyrazem ducha francuskiego jest literatura klasyczna wieku Ludwika XIV z tą dążnością tak wyraźną i świadomą do podporządkowania się »regułom«, to Molier jest chyba antytezą tego kierunku [2]). Mówi się wiele o »postępowości« Moliera, że zapowiada on i przygotowuje wiek następny, Encyklopedystów; nie jest to całkiem bezpodstawne, ale w pewnej, i to znacznej mierze, jest on raczej obrońcą przeszłości, obrońcą tego stanu, z jakiego Francja się świadomie i z ogromnym zapałem wyzwoliła czy wydobyła.

---

[1]) Nadto Molier urodził się w Paryżu i to z rodziny mieszczańskiej: także dwa szczegóły nieobojętne w genezie jego twórczości. W mieszczaństwie francuskiem bowiem szczególnie da się zauważyć owa żywsza skłonność do szyderstwa, krytycyzmu, cech tak wybitnie gallickich, które znowu w Paryżu jakby w skondensowanej, a więc silniejszej formie się znachodziły. Nie myślę, by to obojętnem było i przypadkowem, iż w Paryżu urodzeni są tacy pisarze jak Molier, Marivaux, Beaumarchais (t. j trzej najwięksi komedjopisarze wieku XVII i XVIII), a także Boileau (autor Satyr, heroi-komicznego poematu: Le Lutint) i mistrz szyderstwa, Voltaire.

[2]) Tymczasem znajduję właśnie przeciwne zdanie, wypowiedziane w bardzo ciekawym artykule o Wilhelmie Schleglu jako krytyku Moliera (Revue de littér. comparée. Avril-juin 1922, str. 236), którego autor J. J. A. Bertrand twierdzi: „Wreszcie Molier jest w wysokim stopniu k l a s y k i e m f r a n c u s k i m. Jako Francuz jest on nim w c a ł e m (!) swojem dziele, c a ł ą (!) swoją istotą", poczem cytuje zdanie Lansona, że „genjusz Moliera to nic innego jak przymioty francuskie, podniesione do wyższego stopnia potęgi i wyrazistości". Otóż jednym z bardzo zasadniczych „przymiotów francuskich", zwłaszcza „klasyków francuskich" wydaje mi się wspomniana salonowość, dążenie do absolutnej perfekcji formy, wstręt do daleko posuniętego realizmu, a cóż dopiero trywjalności: czyż Molier nie bywa antytezą tych „przymiotów".

Pod względem artystycznym pociągnęło to za sobą skutki raczej dodatnie dla wartości komedji molierowskiej. Bo jakkolwiek będzie tam przymieszka realizmu, niekiedy za daleko posuniętego, który przypomina Rabelais'go (i tem razi właśnie wielbiciela klasycyzmu francuskiego, Brunetière'a), to jednak nie da się zaprzeczyć, że dzięki temu Molier nie popadnie w ową bezkrwistość, abstrakcyjność innych pisarzy wieku, że jego postaci będą miały więcej życia i prawdy; dlatego to porównanie Moliera z Szekspirem nie będzie uważane za tak niewłaściwe, jak porównanie innych pisarzy z wielkim tragikiem angielskim. Czy jednak tem świadomem oddaleniem się od ideału bezwzględnej doskonałości formy, tem znowu świadomem odrzuceniem »reguł« nie jest Molier nie tylko odmienny od współczesnych sobie Francuzów, ale od typu nowoczesnego Francuza w ogólności?

Bo wielkie, świetne epoki narodu wyciskają pewne, trwałe piętno na jego psychice i wiek Ludwika XIV odegrał tę właśnie rolę we Francji; nie zmieniły tego hasła estetyczne i polityczne wieku XVIII, ani romantyzm wieku XIX; co do tego ostatniego, czy to nie charakterystyczne, że gdy w innych krajach Europy jedną z cech zasadniczych tej szkoły była ludowość, to w jednej Francji ona powodzenia nie miała i do dziś nie ma. Jeden z dzisiejszych uczonych, Ludwik Reynaud w swej *Histoire générale de l'influence française en Allemagne* nie waha się twierdzić, że »cywilizacja francuska zawsze była obojętna na maluczkich« i że »w swych momentach wolnego i pełnego rozkwitu miała zawsze charakter wybitnie arystokratyczny... Jeszcze teraz mimo formy demokratycznej naszych urządzeń, któż nie widzi, do jakiego stopnia nasza literatura, nasza sztuka, nasze życie towarzyskie są przesiąknięte arystokratyzmem? Ton nadają zawsze te same środowiska arystokratyczne paryskie. Teatr i powieść zajmują się jedynie tą elitą społeczną. Lud i warstwy średnie pozostają tak samo nie zrozumianymi przez naszych literatów jak w wieku XVII i XVIII.... Można opłakiwać te tendencje, i my je opłakujemy, ale niemniej należy je skonstatować« [1]).

Jeżeli sąd ten, zapewne nieco krańcowy, jest jednak w ogólności prawdziwy, to czyż Molier nie odbiega, i to znacznie, od linji, po jakiej idzie od epoki Renesansu, a w szczególności od Ludwika XIV rozwój życia i psychiki francuskiej? Czy ten »arystokratyzm« nie jest przyczyną, że do dziś we Francji taki Szekspir nie ma tego, nie po-

[1]) Cytuje Henri Bachelin w art. p. t. Vauban et le Peuple (La Grande Revue. Juin 1920).

wiem uznania, ale faktycznego powodzenia, jakie zdobył w całym świecie? Śmielsi Francuzi zresztą otwarcie mówią, że autor Hamleta ich razi. Oto w czasie najczulszej przyjaźni z Anglją, w r. 1916, znakomity muzyk francuski Saint-Saëns w czasopiśmie »La Renaissance« wypowiada zdanie, że dzieła Szekspira »są bardzo często ordynarne« i że »lubi on silne wyrażenia, które umysł kulturalny odpychają i obrażają. Na scenie francuskiej więc niema dla niego miejsca«. Mimowoli nasuwa się uwaga, że »ordynarnym« bywa także Molier, i on także lubi »silne wyrażenia«, które samych Francuzów »odpychają«, i że inni wielcy pisarze francuscy takiemi »silnemi wyrażeniami« tak hojnie nie szafują, że zatem Molier nie jest w tym wypadku »najbardziej francuskim« z pisarzy swego kraju, a już najmniej z pisarzy swego wieku.

Nie znaczy to oczywiście aby był od nich niższym; raczej przeciwnie; przewyższa on ich bliższą, lepszą obserwacją życia i to całego życia, pełniejszem tego życia przedstawieniem. Widać to między innemi na ubocznych postaciach, onych powiernikach i powierniczkach, którzy w tragedji klasycznej tak często tracą swą indywidualność, bo autor jej z właściwym epoce i narodowi »arystokratyzmem« uwagę swą zwraca przedewszystkiem, o ile nie wyłącznie, na bohaterów, podczas gdy Molier tego »arystokratyzmu« nie uprawia wcale; drugorzędna postać, jak i drugorzędna scena otrzymuje u niego snop światła, życia, który nie pozwoli jej wyjść niespostrzeżenie (czem znowu Molier przypomina Szekspira). A jednym ze środków do tego celu wiodących to właśnie język, nie równy, nie bezwzględnie doskonały, ale indywidualizowany niejako, dostosowany do charakteru, a nawet kondycji mówiącego, przyczem rzecz jasna, wielki obserwator życia nie wzdryga się przed onemi »silnemi wyrażeniami«, których u innych wielkich pisarzy wieku Ludwika XIV nie łatwo znaleźć, i które też, jak się zdaje, raziły delikatne ucho niejednego salonowca swego czasu.

Charakterystyczne szczegóły pod tym względem opowiada nam Brossette, jak to prawodawca estetyczny XVII wieku i przyjaciel Moliera, sam Boileau-Despréaux nieprzyjemnie uderzony był swobodą językową wielkiego komedjopisarza i jak »często chciał nakłonić Moliera do poprawienia tego rodzaju niedbałości (négligences), ale Molier nie mógł nigdy się zdecydować, by zmienić co napisał«. Pewnego razu nim przystąpił do odczytania w salonie hrabiego du Broussin pierwszego aktu swego Mizantropa«, powiedział »z wielką skromnością«, że »nie należy oczekiwać wierszy tak doskonałych i tak wykończonych jak wiersze pana Despréaux, bo trzebaby mu nieskończenie wiele

czasu, gdyby chciał opracowywać swoje dzieła tak jak on« [1]). Czy to była lekka ironja pod adresem »doskonałej«, ale chłodnej poezji Boil'a, czy szczere wyznanie swojej niższości, trudno dziś wiedzieć. Że Molier tworzył z szaloną szybkością i »nie miał czasu« na takie piłowanie wierszy, na jakie sobie mógł pozwolić autor sławnej Art poétique, to pewne; wszakże w ciągu 15 lat napisał przeszło dwadzieścia komedyj; a przecie obok tego był dyrektorem teatru i aktorem.

A więc ta »niedbałość« była i koniecznością życiową, choć powyższe wyznanie, »że nie mógł się nigdy zdecydować, by zmienić, co napisał«, wskazywałoby może na świadomość poety, że ten sposób pisania najlepiej odpowiadał rodzajowi, który uprawiał, a którego pełniejsze rozumienie miał jako aktor.

Pomocną była Molierowi jeszcze jedna okoliczność; oto podczas gdy nowoczesna tragedja francuska zerwała stanowczo wszelki związek z teatrem średniowiecznym, jak z tradycją średniowiecza zerwała właściwie cała literatura francuska, od epoki Odrodzenia poczynając, to komedja tu poszła niejako luzem. Między »misterjum« średniowiecznem a tragedją Corneille'a niema faktycznie nic wspólnego; bo przecie trudno powiedzieć, porównując »farsę« czy »Sottie« średniowiecza z pierwszemi «farsami« Moliera, a nawet jego arcydziełami, bo, jak słusznie powiedziano (Boy), z wyjątkiem może jednego Mizantropa, coś z farsy znajdzie się w każdym z jego utworów. To nawet było racją, dla której komedja i w guście publiczności szła luzem; cieszyła się powodzeniem, ale nie respektem na równi z tragedją i t. p., nie przykładano do niej tej miary, jaką mierzono inne, rzekomo szlachetniejsze rodzaje literackie. — Rodzaje literackie bowiem też mają swoją historję: powieść także przez całe wieki (ściśle biorąc, tysiąclecia, bo znała ten rodzaj już starożytność) czekać musiała na swoje prawo obywatelstwa w literaturze, które uzyskała dopiero w wieku XVIII. — Tem się też tłomaczy ono zdziwienie Ludwika XIV, gdy na pytanie, kto z pisarzy jego wieku jest największy, Boileau mu wymienił Moliera. »Nie myślałem«, odpowiedział szczerze monarcha; zapewne nie on jeden tak sądził, uważając komedję za rodzaj niższy, dobry dla rozrywki, pośmiania się, ale nie równorzędny z poważną tragedją naprzykład, która nawiązywała bezpośrednio tradycje z wzorami starożytnemi. Jeszcze dziś jeden z historyków literatury twierdzi: »Dla nas literatura francuska zaczyna się dopiero w epoce Odrodzenia we Francji, to zna-

[1]) Cyt. Oeuvres de Moliere, w wydaniu les Grands Ecrivains de la France 1880 t. V, str. 447 i 392 w uwagach.

czy kiedy nawiązuje się łańcuch cywilizacyj literackich, kiedy odnajduje się tragedja starożytna i rodzi się poczucie sztuki [1])«. Wprawdzie nie wszyscy krytycy dzisiejsi na to zdanie się godzą, znajdując i w literaturze średniowiecza rzetelne piękno; ale to pewne, że wiek XVII tak właśnie rozumował i dlatego dla komedji jako rodzaju literackiego miał pewien despekt [2]), iż ona śmiała mieć jakiś kontakt z onem »barbarzyństwem«, które »śmiertelną wojnę wydało ogładzie towarzyskiej«, jak dość nieoględnie wyraził się sam Molier.

Otóż to było zarazem pomyślnym zbiegiem okoliczności, dzięki któremu ta komedja mogła była we Francji (jak cały teatr w Anglji) rozwijać się ze swobodą, jakiej nie zaznała tragedja; na tej swobodzie zyskał ogromnie Molier, który właśnie mocą swego genjuszu podniósł jednym zamachem komedję na piedestał szlachetnych rodzajów literackich, owszem swemi nieśmiertelnemi arcydziełami wykazał dowodnie, że ten rodzaj właśnie najlepiej odpowiada naturze francuskiej, że tu Francja może nietylko dorównać ale przodować literaturom świata, nie wyłączając klasycznych, ani samego Szekspira, którego komedje stoją poniżej molierowskich.

Ma się wrażenie, że Molier był świadom swego dzieła i zasługi w literaturze, i swój rodzaj tj. komedję cenił należycie, skoro w krytyce szkoły żon wypowiada te słowa, które słusznie podnosi Boy, może mniej słusznie twierdząc, że »brzmi to bardzo sztywnie i nieśmiało«:

... Co do mnie uważam, że łatwiej jest o wiele nadąć się podniosłemi uczuciami, rzucać w pięknych wierszach rękawicę przeznaczeniu, oskarżać losy i wykrzykiwać zniewagi bogom, niż wniknąć należycie w śmieszności ludzi i przedstawić na scenie w miły sposób ułomności świata...

Chyba to dosyć »śmiało« powiedziane! Nasuwa się mimowoli pytanie, czy słowa powyższe byłby Molier napisał, gdyby był znał

[1]) Précis de l'histoire de la littér. franç.

[2]) Jeszcze w XIX wieku Niemiec, Fryderyk Schlegel, który zresztą w przeciwstawieniu do brata swego Wilhelma, przeciwnika Moliera, wynosi wielkiego komedjopisarza ponad wszystkich, („Żaden poeta komiczny nie dosięgnął Moliera", mówi wyraźnie), niemniej twierdzi, że „komedja jest bez wątpienia rodzajem niższym, małym rodzajem. Ale i te małe rodzaje mogą nosić na sobie piętno genjuszu, tylko ich piękno nie jest powszechnem i cudzoziemcy je wyczuwają mniej łatwo. Tak właśnie jest z La Fontaine'm i Molierem". (Geschichte der alten und neuen Litteratur. Vorlesungen etc. Wien 18 5, t. I, str 201 Cyt. Revue de Littérature comparée. Avril-Juin 1921, str. 233).

Szekspira, nie zaś Corneille'a, na którego to ostatniego musiał się wielki znawca życia patrzeć po trochu jak Cervantes na Amadisów swego czasu. W Corneille'u widział on wysiłek woli ku złamaniu natury, który to wysiłek musiał mu się wydać pozą, sztucznością i nieodorzecznością, bo przecie dla Moliera natura jest mistrzynią życia i piękna, on wierzy w »dobroć natury«, jak w nią wierzył Rabelais przed nim, a J. J. Rousseau po nim.

Tu przystępujemy do tego, co się zwie »moralnością Moliera«, a czem on znowu tak jaskrawo różni się od swego wieku, z powodu czego zresztą spotykały go jeszcze w wieku XVII, jak i w następnych ostre zarzuty, a nawet napaści. Powiedzmy odrazu, że część sporą tych zarzutów trzeba przypisać nierozumieniu istoty komedji; tu należy i Bossuet niestety, który się gorszy tem, że wielki komedjopisarz »atakuje jedynie śmieszność świata, pozostawiając mu jednak całe jego zepsucie« (Maximes sur la comédie) i podobnie Fenelon i J. J. Rousseau niemal w tych samych słowach oskarżają Moliera, że »nadał pozór miły występkowi, a śmieszną surowość cnocie«. Wiek Ludwika XIV w szczególności był bardzo surowy i chciał być poważnym; kto wie, czy część wspomnianego despektu dla komedji nie tem także trzeba tłomaczyć, (podobnie jak u nas niedocenienie Fredry przez niektórych przynajmniej romantyków nie skądinąd poszło). Wiemy przecie, że ta surowość i powaga kazały potępić cały teatr Bossuetowi i jansenistom (Nicole); potępienie tych ostatnich miało nie byle jaki skutek dla literatury: Racine w pełni powodzenia i rozwoju swego talentu przestaje pisać tragedje jedynie dla moralnego skrupułu! Nie dziwmy się, że Molier miał nieprzyjaciół w takiej atmosferze, zwłaszcza, iż była u niego jeszcze w oczach tych moralistów obciążająca okoliczność, że mianowicie śmiał on nie tylko pisać dla teatru, ale i sam grać na scenie jako aktor. Bossuet i po śmierci biednego aktora nie mógł mu tego darować, skoro takie straszne mu poświęca wspomnienie w onych Maximes sur la Comédie: »Potomność będzie może wiedziała o końcu poety-aktora, ktory, grając swego Chorego z urojenia, miał ostatni napad choroby, z której umarł w parę godzin potem, i od żartów teatru, wśród których oddał niemal ostatnie swoje tchnienie, przeszedł do trybunału Tego, który powiedział: »Biada wam, którzy się śmiejecie, albowiem płakać będziecie [1]).« Tacy hiperkrytycy oczy-

[1]) Warto jednak przytoczyć szczegóły tej śmierci w nieco łagodniejszem oświetleniu: Przed onem pamiętnem przedstawieniem Molier czuł się słabym; proszono go, by nie grał. „Jakże chcecie, bym to uczynił, odpowiedział, przecie

wiście równie mało byli powołani do ocenienia Moliera, jak nasi romantycy do ocenienia Fredry. My dzisiaj spokojniej się na rzecz patrząc, nie będziemy, rzecz jasna, do komedji Moliera przykładali miary, jaką mierzymy kazania Bossueta albo powiastki Wertera, tj. dzieła mające za zadanie propagandę pewnych idei i dla tej propagandy pisane, a choćby komedje Beaumarchais'go, które także mają ten charakter.

Molier w swych komedjach chce bawić, chce jako komedjopisarz bawić pokazywaniem śmieszności ludzkich, na które jest tak wrażliwy jak malarz na barwy, a muzyk na tony. I do Moliera możnaby stosować *słowa, które może z myślą o sobie* — jak słusznie przypuszcza Ign. Chrzanowski — powiedział Fredro w Panu Jowialskim: »Tybyś groby otwierał, gdybyś wiedział, że tam ziarnko śmieszności znajdziesz«. Oczywiście tę śmieszność widzi Molier, jak każdy z nas, przez pryzmat swoich własnych pojęć i tak ją oświetla.

Najprzykrzej się to odbiło i największe oburzenie wywołało, gdy wielki komedjopisarz, dotknął śmieszności w dziedzinie religji; cała ta historja dokoła »świętoszka« jest zarazem ciekawym rysem obyczajowym; bo jeżeli co, to ten przedmiot nie był wcale nowym, toż w literaturze średniowiecza roi się od tej materji; wystarczy wymienić sławny *Roman de la Rose,* zwłaszcza w drugiej części, której autor, Jean de Meung (wiek XIII!), »umysł cierpki, gwałtowny, gniewny, wojowniczy, niespokojny, ciekawy i niezadowolony łączy z dawną złośliwością gallicką usposobienie kłótliwe a wyniosłe nowoczesnego wolnomyśliciela [1];« mamy tam prototyp Tartuffe'a w osobie Faux-Semblant, a zarazem ataki na religję samą, całkiem otwarte, na jakie sobie Molier w wieku XVII pozwolić nie śmiał i nie mógł. Ale bo podczas gdy w wieku XIII religja była niezaprzeczoną świętością, której jako takiej żadne szyderstwa obalić nie mogły w duszy jednostki, jak i w całej organizacji społecznej, to od Odrodzenia poczynając, we Francji zwłaszcza od Descartes'a, a bardziej jeszcze od jego kontynuatorów, powaga tej religji zaczęła się chwiać i Bossuet wyraźnie się zwraca w jednym

jest tam pięćdziesięciu biednych pracowników, którzy mają tylko swoją pracę, z której żyją. Wyrzucałbym to sobie, gdybym jednego dnia tylko nie dał im chleba, mogąc to uczynić". I tak z resztką sił grał „chorego z urojenia"; pod sam koniec przedstawienia chwyciły go konwulsje, które pokrył wymuszonym śmiechem. Odniesiony do domu dostał krwiotoku i zmarł w godzinę po opuszczeniu teatru. Pomoc lekarską odrzucił; pielęgnowały go dwie Siostry szpitalne.

[1]) Lenient: la Satire au moyen-âge.

z listów do ucznia Malebranche'a, że przewiduje »wielką walkę, przygotowującą się przeciw Kościołowi pod imieniem filozofji kartezjańskiej... pod pozorem, że trzeba przyjąć tylko to, co się jasno rozumie... każdy sobie pozwala powiedzieć: ja rozumiem to, a nie rozumiem tamtego; i na tej jedynej podstawie przyjmuje się i odrzuca wszystko, co się zechce... słowem, albo się bardzo mylę, albo też widzę wielkie stronnictwo, powstające przeciw Kościołowi i ono wybuchnie w swoim czasie, jeśli zawczasu nie postaramy się porozumieć«. Do tego »stronnictwa« należał Molier, na co się złożyło więcej niż wiele okoliczności w jego życiu. Musiało w samej naturze poety być coś skłonności w tym kierunku, skoro mimo studjów w kolegjum jezuickiem tuż po ich ukończeniu uczęszczał na lekcje epikurejskiego filozofa Gassendi'ego, który właśnie był przybył do Paryża i budził entuzjazm w pewnych grupach młodzieży; był on wielbicielem Lukrecjusza, którego dzieło też młody Molier postanowił tłomaczyć. Więcej jeszcze od doktryny z zewnątrz usposobiło go niechętnie do religji życie; było to życie aktora wieku XVII, to znaczy człowieka karmionego wzgardą społeczeństwa i to w imię ideałów religijnych, społeczeństwa, które, gardząc tym zawodem, równocześnie tłumnie uczęszczało do teatru i bawiło się grą tych »wyrzutków«. Czy to samo już nie wystarczyło do nagromadzenia materjału na »ś w i ę t o s z k a« w duszy człowieka, który ten zawód aktorski tak ukochał, że dla niego poświęcił nie tylko całą sumę wygód życiowych ale i poważanie u ludzi? Bo zważmy, że ten Poguelin, późniejszy Molier, to nie jakiś wykolejony młodzik i nieuk, który przypadkiem zabłąkał się do wędrownej trupy teatralnej, ale to syn uczciwych rodziców, który odbywa bardzo porządne studja gimnazjalne, następnie filozoficzne, wreszcie rozpoczął studjum prawa, którego licencjat otrzymał w Orleanie. Gdy taki człowiek rzuca dom rodzicielski i obiera zawód tak pogardzany, narażając się na niechybne tego następstwa, aż do nędzy niekiedy, to chyba czyni to pod wpływem wielkiego umiłowania sztuki. Pamiętajmy, że Molier to zrazu przedewszystkiem aktor z powołania; autorskie zdolności obudziły się widocznie później i dość powoli, skoro ze swej dwunastoletniej wędrówki po prowincji przywiózł do Paryża tylko dwie rzetelne komedje. Sztuka aktorska była tedy jego pierwszem i głównem powołaniem i zamiłowaniem. Nie dziw, że do tych, co tej sztuki nie uznawali, jej adeptami gardzili, miał niechęć, niechęć do idei także, w imię której tę sztukę potępiano.

Ta niechęć u człowieka niewierzącego, jakim był Molier, mogła się tylko spotęgować obserwacją życia w swoim wieku. Był to czas

najwyższego rozkwitu uczuć i przekonań religijnych we Francji. Ludzie nie tylko duchowni, ale i świeccy brali religię ogromnie poważnie; wystarczy wymienić Pascala, La Bruyère'a, wszystkich »panów z Port-Royalu«; wystarczy przypomnieć z jakiem przejęciem opowiada Racine w swych listach z obozu wojennego, jak to na ciele jednego z poległych panów z wielkiego świata znaleziono włosiennicę i jak to budowało wszystkich aż do króla samego, jak w tymże obozie codziennie żołnierze przystępowali do sakramentów św. itp. Religijność była, jednym z najniezbędniejszych warunków do zdobycia szacunku ludzkiego. A że na tym szacunku każdemu zależy, a nie każdy prawdziwą pobożnością się odznacza, przeto nic dziwnego, że w takiej atmosferze musi się szerzyć nagminnie niejako pobożność fałszywa, którą będą uprawiały jednostki marne, bez czci i wiary, na to tylko, by zyskać zaufanie i szacunek u drugich. Jest to zastępowanie prawdziwych brylantów fałszywemi [1]). We Francji dzisiejszej (i nie Francji tylko) taki tartufizm jest trudny do pomyślenia; raczej znajdzie się fałsz odwrotny: ktoś wierzący i praktykujący będzie ukrywał się ze swemi przekonaniami i gdzieś ukradkiem w celi zakonnika przystąpi do spowiedzi, bo tem dziś się już na szacunku u »świata« nie zyskuje. Kto tedy zna głęboko religijną atmosferę wieku Ludwika XIV we Francji, temu nie tylko nie wyda się dziwnem ale owszem całkiem naturalnem, że tartufizm tam był zjawiskiem powszedniem, bo dodajmy jeszcze i to, że reguły savoir-vivre'u surowiej tam były przestrzegane niż gdzieindziej, a pobożność w ten kodeks życiowy wchodziła jak »msza królewska« w kodeks etykiety dworskiej. O fałszywej pobożności słusznie powiedziano, że jest ona »hołdem składanym pobożności prawdziwej«. I można śmiało powiedzieć, że nigdy i nigdzie w dziejach Kościoła nie było tak podatnego gruntu do szerzenia się tartufizmu jak we Francji Ludwika XIV, a i naodwrót ten tartufizm jest dziś dla nas dowodem, jak wiele tam być musiało prawdziwej pobożności. A jak ta ostatnia wystrzeliła w tej przebogatej literaturze religijnej wieku, w której obok duchownych mamy pisarzy świeckich, i to pierwszej miary, tak i pobożność

[1]) Myślę, że do tej genezy sprowadzićby też trzeba — przynajmniej obok innych źródeł — fenomen rozluźnionej kazuistyki, która wtedy właśnie się tak bardzo szerzyła. Chciano za wszelką cenę być religijnym, a że spełnianie przykazań z tą religijnością związanych było dla wielu nader trudnem, przeto surowość tych przykazań sztucznie łagodzono, czasem poprostu treść zastąpiono samą formą — jak w tartufiźmie.

fałszywa musiała znaleźć swego poetę; a jak widzieliśmy, był nim, a nawet poniekąd być musiał Molier.

Oczywiście równie zrozumiałem jest oburzenie, z jakiem dzieło to się spotkało w społeczeństwie, z którego wyszło, w szczególności w obozie prawdziwych pobożnych. Rację tego oburzenia w sposób bardzo prosty uzasadnił Bourdaloue w swem kazaniu »o prawdziwej i fałszywej pobożności«. »Ponieważ prawdziwa i fałszywa pobożność mają mnóstwo aktów, które im są wspólne, i ponieważ cechy zewnętrzne jednej i drugiej są prawie wszystkie podobne, przeto rysy, któremi się maluje fałszywą pobożność, zohydzają tem samem i pobożność prawdziwą«.

Najważniejsza jednak racja tego oburzenia na arcydzieło komedjopisarza leżała głębiej, we wspomnianem, wówczas już dobrze rozpoczętem, podminowaniu religji w społeczeństwie porenesansowem, która to religja, już chorobą »libertynizmu« lekko dotknięta, stała się wrażliwszą znacznie na atak Moliera w Tartufie, aniżeli była kiedyś na ataki znacznie bardziej otwarte, ostre i nieprzyzwoite średniowiecznych fars i fabliaux. Wreszcie — least not least — trudno tu nie widzieć objawu wysubtelnienia wrażliwości ludzkiej wogóle przez kulturę w najszerszem tego słowa znaczeniu. Jest to fakt, który niezmiernie łatwo drogą porównawczą w każdym kraju skonstatować; wystarczy przypomnieć sobie, jak przykro dotknęła nasze uczucia religijne Klątwa Wyspiańskiego, kiedy przecie dawniej ani w części tego wrażenia nie wywoływały po prostu obscena prozą i poezją opowiadane o duchowieństwie.

Zdaje się, że autor Świętoszka sobie z tego sprawy nie zdawał; on, którego niektóre komedje bardzo niewybrednemi się posługują efektami komicznemi, on nie bardzo może rozumiał, dla czego tyle hałasu się wszczyna z powodu komedji, która owszem jest »klasyczniejsza« od wielu innych, tonem znacznie bardziej zgodna ze smakiem choćby salonowym nawet, a religji jako takiej naprawdę ani drasnął w całem dziele. I kto wie, czy nie to właśnie nierozumienie się z epoką, z jej wysubtelnioną wrażliwością (w dziedzinie ogółowi świętej a Molierowi obojętnej) było przyczyną, że jak dotąd w żadnej z komedji religji nie tykał, a w Tartufie mniemał tylko korzystać z prawa komedjopisarza brania śmieszności tam, gdzie ją znajduje (je prend mon bien où je le trouve), tak teraz na złość tym, co go obrażeni w swych uczuciach zaatakowali, napisał komedję Don Juan, gdzie rozprawia się ze swymi przeciwnikami, kładąc w usta bohatera między innemi te słowa: »hipokryzja jest występkiem modnym ...wszystkie inne występki

ludzkie są wystawione na krytykę i każdy ma swobodę atakować je głośno: hipokryzja jednakże jest występkiem uprzywilejowanym, który ręką swoją zamyka usta wszystkim...« (akt V, sc. 2). A jest tam i wyraźniejszy przejaw »libertynizmu«; bohater mianowicie na zapytanie, w co wierzy, odpowiada: »wierzę, że dwa a dwa są cztery i że cztery a cztery są ośm«, a dając jałmużnę ubogiemu mówi: »daję ci ją przez miłość ludzkości« (pour l'amour de l'humanité), co oczywiście jest rozmyślnem przeciwstawieniem tej świeckiej formuły formule chrześcijańskiej: »dla miłości Boga«.

Ma się rozumieć, Don Juan wywołał także oburzenie; ale, co charakterystyczne, Molier tym razem okazał znacznie mniej zaciętości; usunął bowiem sam sztukę ze swego repertuaru. Zważywszy wytrwałość, z jaką wywalczał sobie prawo przedstawienia Tartufe'a, który tylko niewprost był aktem libertynizmu, a z drugiej strony niemal obojętność, jaką zachował wobec losu Don Juan'a, trzeba poprostu dojść do wniosku, że wielkim komedjopisarzem kierowały tu względy estetyczne jedynie: w Świętoszka włożył całą potęgę swego genjuszu, jest to przecie jedno z tych jego arcydzieł, które jako takie ukochał; więc, rzecz jasna, bolało i gniewało go, gdy chciano mu nie pozwolić sztuki tej wystawić. Don Juan przeciwnie był raczej improwizacją, pewnie że zdradzającą pióro Moliera, ale daleką od bezwzględnej doskonałości Tartufe'a. A z tego wniosek drugi, że ów libertynizm Moliera był cechą, że tak powiem, przypadkową jego umysłowości, nie jego namiętnością bynajmniej, bo inaczej o Don Juana byłby więcej zabiegał. Molier nie był Pascalem [1])...

Molier był aktorem i komedjopisarzem i niczem więcej poza tem być nie chciał. Jeżeli Brunetière gdzieś powiada o Francuzach: »nous sommes la nation des apôtres — »jesteśmy narodem apostołów«, a na potwierdzenie swej tezy może przytoczyć więcej niż liczną rzeszę największych pisarzy francuskich, to dla Moliera w tej kategorji miejsca absolutnie niema, i tutaj nie jest on tedy »najbardziej francuskim«...

Molier nie jest »moralistą«. Gdybyśmy go za takiego uważali,

[1]) Nie mogę niestety podzielać zdania Boya, który w jednem ze swych wybornych studjów nad Molierem, twierdzi że, „okazuje on się nieustraszonym i niezmordowanym szermierzem o swój ideał życia, gotowym narazić nawet swoją głowę". (O „Don Juanie" Moliera. Przegląd Warszawski. Kwiecień 1922). Trudno przecie nazwać „niezmordowanym" autora, który z pośród tak licznych komedyj tylko dwie onej „walce" poświęcił, w innych kwestji religji choćby ubocznie nie poruszył, a po dwukrotnem niepowodzeniu broń złożył.

musiałby sąd o nim wypaść raczej ujemnie. Nie można przecie na serjo powiedzieć, że Molier chce naprawiać moralność rodzinną, gdy ojcom nadużywającym swej władzy ojcowskiej, przeciwstawia synów, którzy z tej władzy ojcowskiej sobie cynicznie drwią: Don Juan woła za odchodzącym ojcem, który go strofował: »Ależ umrzyj jaknajprędzej, oto co najlepszego mógłbyś zrobić. Na każdego musi raz przyjść kolej i wściekły jestem, gdy widzę ojców, którzy żyją tak długo, jak ich synowie«. (IV, 5). Podobnie ośmieszając pewne niedołęstwa czy niedorzeczności ówczesnej medycyny, przeciwstawia tej fałszywej medycynie — podobnie jak w religji — nie prawdziwą medycynę, ale jej negację; w oczach Moliera poprostu bezdennie naiwnymi są ci, co wogóle po medycynie się czego spodziewają; cała medycyna dla niego to oszustwo, humbug. Przez taki pryzmat krańcowych poglądów na rzecz patrząc, tem silniej, skuteczniej ją się ośmiesza; to też czyni Molier, i nie sądzę, by mu to można tak bardzo brać za złe; jest to środek wywołania komicznego efektu, jak każdy inny. Jedno tylko dziwi, oto że w pisarzu, który tak hojnie szafuje kontrastami i to tak jaskrawemi, podziwiają jego badacze jako cechę umysłu wybitną i dominującą »zdrowy rozsądek«, ów »bon sens«, którego jakby uosobieniem czyni się Moliera. Że tego przymiotu ma Molier dużo, że on w takiem *Bourgeois gentilhomme* i tylu innych komedjach znajduje swój wyraz doskonały, to prawda; ale są i wypadki, i to wcale liczne, gdzie tego »bon sens« trudno się dopatrzeć.

Zresztą po prawdzie przyznawać ów »bon sens« Molierowi, jako rys dominujący jego komedji, znaczyłoby to przyznawać mu rację w jego sądzie o wieku; bo ostatecznie nie da się chyba zaprzeczyć, wyczuwa się to przecie przy lekturze, że ta wspaniała epopeja komiczna, jaką jest całokształt komedyj molierowskich, to obraz wieku Ludwika XIV w oświetleniu mniemanego »bon sens« autora. Ten obraz wypadł bardzo niepochlebnie — od tego komedjopisarz, by cienie, zwłaszcza śmieszności podkreślał — ale (co charakterystyczne) autor najwyraźniej staje wrogo nie tylko przeciw krańcowościom, karykaturom prądów panujących, ale często przeciw prądom samym, wręcz całemu nawet duchowi czasu. On się z tym duchem nie rozumie. Ale czy takie kompletne niemal niezrozumienie ducha czasu jest zgodne z owym »zdrowym rozsądkiem«, bon sens, tak zachwalanym u Moliera? Czy nie więcej »bon sens« okazała Francja wieku Ludwika XIV, gdy szła drogami odpowiadającemi w swojej chwili jej psychice i potrzebie kulturalnej, drogami, które były najzupełniej nie po myśli wielkiego komedjopisarza,

który i w tym wypadku nie był chyba »najbardziej francuskim« z pisarzy swego kraju?

Rzecz jasna, nie zarzut to, jedno skonstatowanie faktu; owszem kończę, od czego zacząłem, że ten fakt jest dla komedjopisarza raczej szczęśliwem zdarzeniem. Molier w zgodzie ze swem społeczeństwem, czasem, duchem tego czasu, nigdy nie miałby tej siły żywiołowej, jaka z jego komedyj czyni arcydzieła literatury świata.

Siła oburzenia potęguje siłę jego komizmu, a rozszerza się — jak zawsze u wielkich genjuszów — od jednego środowiska do całej ludzkości. Molierowi na myśl nie przyjdzie, aby te śmieszności, przez niego spostrzegane, miały być przywilejem jednego narodu czy epoki.

Jak Bossuet nad grobem księżnej Orleańskiej »chce w jednem nieszczęściu opłakiwać wszystkie niedole rodzaju ludzkiego i na jednej śmierci pokazać śmierć i nicość wszystkich wielkości ludzkich«, tak samo Molier w śmiesznościach markizów czy mieszczan francuskich wieku XVII piętnuje śmieszności, jakie po wszystkie czasy były i będą udziałem ludzi. To wglądnięcie w naturę ludzką sub specie aeternitatis sprawia, że dziś komedje Moliera budzą podziw zarówno nad Wisłą jak i nad Sekwaną, a dodajmy i to, że tym charakterem ogólnoludzkim Molier nie tylko nie odstępuje od ducha wieku, od tradycji, od psychiki francuskiej, ale ją świetnie reprezentuje i jest naprawdę par excellence »francuskim pisarzem«, a w szczególności pisarzem wieku Ludwika XIV, kiedy to studjum Człowieka pod piórem całej plejady niepospolitych talentów i umysłów doprowadzone zostało do mistrzowstwa. Molier tym wszystkim, choćby największym z nich, nie ustępuje na krok w tej znajomości Człowieka, a przerasta ich świeżością, żywiołowością swego talentu pisarskiego, swoim zdrowym realizmem, którego tamtym zazwyczaj brakło — swoim genjuszem poprostu, i jeżeli — jak wspomniałem i próbowałem uzasadnić — można i trzeba poczynić pewne zastrzeżenia, nazywając Moliera »najbardziej francuskim« z pisarzy swego narodu, to już bez żadnych zastrzeżeń możemy i musimy w nim uczcić największego genjusza francuskiej literatury.

M. Paciorkiewicz.

Letuwa a Litwa.[1])

Rozumowaniom i wywodom w sprawach litewskich brak ścisłości, gdyż brak ścisłego słownictwa. Mówimy inaczej, niż myślimy; myślimy rozmaicie, mówiąc jednakowo — nie stać nas na wyrażenie odcieni. Słuchacz lub czytelnik domaga się częstokroć (cudzoziemiec niemal zawsze) czegoś innego, niż ma na myśli autor lub mówca.

Zawikłania te i niedokładności, a często grube nieporozumienia pochodzą stąd, że używamy (a raczej n a d u ż y w a m y) wyrazów: Litwa, Litwin, litewski — w przeróżnych znaczeniach; nieraz we wręcz sprzecznych.

Ażeby z tem skończyć, należy Litwę etnograficzną, jej sprawy i rzeczy nazywać tak, jak ona sama się zwie: Letuwa, Letuwin — od czego przymiotnik i letuwski. Nikomu się przez to krzywda nie stanie, gdy go się będzie nazywało wyrazem z jego własnej mowy przyswojonym. Język polski nie posiadał dotychczas wyrazu osobnego na wyrażenie odrębności etnograficznej Letuwinów (jak np. »Rusini« — wyraz istniejący od zarania dziejów języka polskiego); dziś pilna potrzeba nakazuje o b m y ś l e ć taki wyraz. Pocóż go jednak w y m y ś l a ć? Mówimy i piszemy wyrazem przyswojonym z i c h języka!

A zatem: Letuwa jest drobną stosunkowo cząstką Litwy; pośród Litwinów są Letuwini, jako najmniej liczna narodowość litewska.[2]) Litwa stanowi bowiem pojęcie geograficzne i to z zakresu geografji politycznej, a wcale nie etnograficzne. Niema narodu litewskiego, tylko są n a r o d y l i t e w s k i e, tj. zamieszkujące państwo litewskie. Dorob-

---

[1]) Umieszczając niniejszy pełen oryginalnych myśli głos, oświadczamy, że przez to nie chcemy stawać na gruncie takiego czy innego politycznego rozwiązania polsko-litewskich sporów, nie zajmując się wogóle polityką.

Redakcja.

[2]) Tatarzy bowiem narodowości oddzielnej na Litwie nie tworzą, a tylko oni są mniej liczni od Letuwinów.

kiem cywilizacyjnym pierwsze miejsce pośród narodów litewskich trzyma naród polski.

Etnograficznie rzeczy biorąc, składa Litwę sześć żywiołów etnograficznych: Letuwini, Polacy, Białorusini, Czarnorusini,[1]) Żydzi i Tatarzy. Aż do roku 1569 (a od 1362) obejmowało jednak W. Ks. Litewskie kraje aż poza Kijów, a zatem był czas, iż Kijów był na Litwie; możnaby tedy mówić o siódmym żywiole etnograficznym Litwy: o »Ukraińcach« czyli po polsku: Rusinach. Geografja historyczna może się zdobyć i na ósmy: Wszak-ci był czas, że do Litwy należały ziemie daleko poza Wiazmę i Brjańsk, a nawet poza Mceńsk i nie byłoby żadnej niekonsekwencji w zaliczaniu Rosjan do narodowości litewskich, t. j. państwa litewskiego.

Utarło się jednak nazywać »Litwą« te kraje, które stanowiły W. Ks. Litewskie w latach 1569—1791.

Żaden Letuwin nie zechce twierdzić, jakoby cały ten obszar był etnograficznie pierwotnie letuwski; zbyt wiele zachowało się świadectw źródłowych historycznych, wykazujących, jako dynastja letuwska zagarniała ziemie czarnoruskie i białoruskie (Krzyżaccy kronikarze świadczą, że Grodno leżało «czu Reussen«). Czy samo Wilno nawet powstało na letuwskiem terytorjum — kwestja jeszcze nie zbadana. Geneza miasta n a p e w n o nie letuwska. Targowisko tatarsko-niemieckie, punkt wymienny handlu Wschodu a Zachodu, opatrzone następnie przez Gedymina grodem, stało się późno stosunkowo stolicą państwa. Miastem letuwskiem nie było nigdy, ani na początku ani później — i to nie dlatego, jakoby się miały składać na to jakieś specjalne przyczyny — lecz poprostu dlatego, że miast letuwskich nie było wogóle, bo Letuwini nie zakładali i nie zamieszkiwali miast wcale. Nie założyli ani jednego miasta.

Letuwini należą do szczepu bałtyckiego, który mieścił w sobie 6 ludów: Prusacy, Żmujdzini, Letuwini, Łotwa, Jadźwingi i Golędzini. Trzy z tych ludów zniknęły z horyzontu dziejowego — czy pozostałe trzy stanowią trzy narody, czy też tylko dwa (łotewski i litewski), to

---

[1]) Przez arcydziwną pomyłkę nazywa się okolice od Lidy do Grodna białoruskiemi i lud tamtejszy białoruskim! Od końca XIV w. była to zawsze Ruś Czarna, n i g d y Biała (aż dopiero za czasów obecnej ignorancji geografji historycznej). Jeżeli Białorusini chcą to mieć Rusią Białą, stanowi to dowód... imperjalizmu białoruskiego. A czyż lud czarnoruski jest czemś gorszem, żeby go nie uznać osobnym narodem? Jeżeli przystaniemy na zasadę, j a k o b y k a ż d y l u d b y ł n a r o d e m — natenczas jakimżeż sposobem pominąć Czarnorusinów?!

pozostawmy im samym. Zajmijmy się stosunkiem Letuwy i Żmujdzi razem, jakoby jednej całości (dla ułatwienia dyskusji) do całości Litwy i do Polski.

Skąd Polacy na Litwie? Mniemanie, jakoby to byli spolszczeni Letuwini, jest wobec nowszych badań naukowych, przestarzałą naiwnością. Od XIII wieku zamieszkiwały na Litwie dziesiątki tysięcy Polaków: jeńcy wojenni łupieżczych najazdów letuwskich. Wszak Aldona, wychodząc za Kazimierza W., wniosła mu w posagu 20.000 par polskich rąk roboczych z Litwy (jeńców i potomstwa jeńców polskich). Liczna ta polska ludność szerzyła rolnictwo i chrześcijaństwo. Poza tem były zakładane przez pierwszych Jagiellonów polskie osady wojskowe. Później (głównie w XVII w.) nastąpiła znaczniejsza immigracja dzierżawców z Polski, przyjmowanych chętnie do królewszczyzn i przez magnatów litewskich, jako rolników postępowych. Najwięcej jednak Polaków dostało się na Litwę przez ożenki i spadki; tu jednak immigracja a emigracja równoważy się na obie strony, litewską i koronną.

Ani żołnierz polski, ani dzierżawca, nie wypierał Letuwina — lecz zajmował posterunek niezajęty, a raczej wytwarzał swą pracą nowe posterunki. Niema zaś ani jednego wypadku polskiej immigracji gromadnej, zorganizowanej, skierowanej na pewną okolicę ziemi letuwskiej. Kiedy od wieku XVI. poczynając, chłop polski ruszył się do świata, nie emigrował pomiędzy Letuwinów, lecz na Ruś południową. Rząd litewski sam sprowadzał kilka razy mazurskich osadników, lecz nie na Letuwę, tylko na białoruskie wschodnie kresy (w Witebskie i Smoleńszczyznę).

W języku polskim (ani nawet na Litwie) niema ani śladu wpływów języka letuwskiego. Wskazówka — to, że pomiędzy Letuwinami a Polakami nie było etnograficznego zmięszania się na większą skalę, że Polacy litewscy nie wiele miewali styczności z językiem letuwskim i wreszcie, że Letuwini nie polszczyli się. Prócz niewielu rodów (głównie wśród wymienionych w akcie unji horodelskiej 1413 r.) nie polszczył się Letuwin (jak i dziś nie polszczy się). Natomiast Letuwini przez cały czas swych dziejów aż do dnia dzisiejszego nieustannie się rusczą — poczem dopiero jako Białorusini polonizują się istotnie wiele. Ubywało i ciągle ubywa (w naszych oczach, obecnie!) Letuwy, bo się zamienia w Białoruś.

Litwa była aż do r. 1791. państwem niepodległem, z własnym rządem, skarbem, wojskiem, z własnem prawodawstwem. Od tywuna aż do kanclerza, cała hierarchja urzędowa spoczywała w ręku wyłącznie litewskim. Najstarszą

warstwą szlachty litewskiej były niewątpliwie rody letuwskie, one też były najbogatsze. Nie trzeba się nad tem rozwodzić, że Letuwin miał na Litwie dostęp swobodny do wszystkiego. Sama dynastja letuwską była.

A jednak w dziejach Litwy o Letuwie głucho!! Jakby jej zgoła nie było! Już Władysław Jagiełło był niemało zrusczony. Poselstwa jego do Krakowa (o rękę Jadwigi) nie potrzebowały tłumacza, gdyż używały języka białoruskiego. Ten język uważany był przez wieki całe za »litewski« i tak nawet często nazywany. W Polsce nawet nie wiedziano o istnieniu języka letuwskiego, aż dopiero odkryło go duchowieństwo parafjalne, z Polski pochodzące. Dynaści Litewscy, choć pierwotnie Letuwini, nie przywieźli ze sobą do Polski mowy litewskiej, lecz białoruską. Od wyższych warstw letuwskich nie słyszało się języka letuwskiego! Już w chwili pierwotnej unji, pod koniec XIV w., język ten wyparty był we własnym kraju na stanowisko kopciuszka; był mową tylko prostego ludu, a warstwy wyższe używały białoruskiego.

Język letuwski zamierał w wieku XIV; ale od XVI był wskrzeszany przez Polaków i wskrzeszony ostatecznie w XIX w. Księża polscy uczyli go się dla katechizacji i kaznodziejstwa. Z początku nie mogło przecież być księży letuwskich! Z jakiegoż narodu pochodzili ci księża pierwszych pokoleń po nawróceniu Litwy, jeżeli nie z polskiego?

Kiedy potem Albrecht Pruski urządzał na Litwie na olbrzymią skalę propagandę protestancką, ster obrony katolicyzmu objęli polscy Jezuici. Jakie ci położyli zasługi około języka letuwskiego, wiadomo każdemu inteligentnemu Letuwinowi! Pośród polemiki wyznaniowej nastał w Letuwie ruch piśmienniczy i drukarski. Ale w przedmowie do letuwskiego przekładu Postylli Wuyka (1599) czytamy wyrzekania, że Letuwini lekceważą swój język i nie dbają oń. Bo też poza polemiką wyznaniową i wydawnictwami ściśle kościelnemi nie pisali przez cały niemal czas swej niepodległości nic. Niema zaś aż do samego końca niepodległości ani jednego autora świeckiego. Nie powstał też wspólny język literacki. Kiedy kanonik Dauksza wydał w r. 1595 t. zw. Katechizm Ledesmy po żmujdzku, wydaje go w roku 1605 ktoś inny w narzeczu górnoletuwskiem, żeby — jak powiada w przedmowie — ustały narzekania, że »nie mamy katechizmu letuwskiego«. I tak pozostało aż do końca niepodległości; językiem »litewskim« był ciągle białoruski. Byli już poeci letuwscy (ksiądz Donalitius 1714—1780), a językiem urzędowym pozostała białorusczyzna. Tak chcieli sami Letuwini. Statut litewski nie po letuwsku jest ułożony, ale po białorusku.

Polski język nigdy a nigdy urzędowym na Litwie nie był. Polacy nie myśleli go Litwie narzucać. Ale Letuwini sami nigdy nie roztrząsali nawet kwestji zrobienia języka swego urzędowym; nie podejmowano zgoła tej sprawy, choć można to było zrobić na każdym sejmiku. Nie było ludzi pośród inteligencji świeckiej, interesujących się tym językiem. Używali języka białoruskiego, później polskiego.

Kiedy szlachta litewska i białoruska przyjęła język polski za swój ojczysty, kiedy i w jakich okolicznościach spolszczyła się — nie wiadomo. Nikt tej sprawy jeszcze nie studjował. Nie jest to jednak związane z żadnem ważniejszem wydarzeniem historycznem; stało się to — sami nie wiemy, jak — »jakoś samo przez się«, skutkiem przyswajania sobie kultury polskiej. Bez unji z Polską i jej wpływów cywilizacyjnych napór ruski na Letuwę byłby silniejszy i bardziej wszechstronny, ogarnąłby lud i szlachtę, życie świeckie i kościelne. Letuwa byłaby przyjęła prawosławie, cyrylicę i należałaby do świata orjentalnego. Czy w takim razie literatura kościelna byłaby spisywana w języku letuwskim? czy istniałyby owe słowniki, gramatyki, zbiory. kazań letuwskich, układane przez duchowieństwo katolickie, w znacznej części pochodzenia polskiego?

Jeżeli Letuwa istnieje dotychczas na Litwie, zasługa w tem Polski, która nie dała jej zruszczyć do reszty.

Letuwska szlachta różniła się jednak jeszcze za Stanisława Augusta nie mało od polskiej, obyczajem i pojęciami. Dopiero w XIX w. zaczęła się naprawdę polonizacja szlachty letuwskiej. Czy może zarzucić kto Polakom XIX w. pod rosyjskiem jarzmem, że ciemiężyli kogo, narzucali się przemocą?... sami praw wszelkich pozbawieni! Wpólna niedola zbliżała obydwa narody jeszcze bardziej. I doprawdy, jednego tylko znam polonizatora szlachty letuwskiej i białoruskiej, który używał gwałtu; imię jego: Murawiew. Ten zrobił z Litwy męczennicę polskości i podniósł przez to w oczach szlachty letuwskiej (i białoruskiej) polskość do znaczenia świętości.

Spolonizowała wielce Letuwę przemoc, ale nie polska, lecz rosyjska!

A miała polszczyzna w okresie porozbiorowym dla przyszłości Letuwy ponowną wartość, i jeszcze zwiększoną: jedynego sposobu przechowania letuwszczyzny do następnych lepszych czasów. Nastało proklamowanie Wilna miastem »odwiecznie rosyjskiem«, zwrócone przeciw Polakom — i zakaz drukowania książek letuwskich abecadłem łacińskiem: Lud palił książki z graždanką, bo Letuwa była już należycie przepojona... polskością, i dzięki temu utrzymała się przy swojem.

O ile zdarzało się Polakom na Litwie posiąść jakąkolwiek siłę w ciągu XIX wieku, zawsze wychodziła ona na dobro letuwszczyzny i nigdy nie była jej wrogą. Uniwersytet wileński był ogniskiem zamiłowania letuwszczyzny. »Dainy« u Osińskiego i Brodzińskiego, a cały szereg utworów poetyckich i belletrystycznych, od Kraszewskiego »Anafielasa« i »Witolorandy« aż do »Margiera« Kondratowicza (Syrokomli). Rozkoszą poetów polskich stało się zaznaczać istnienie Letuwy.

Miłośnictwo Letuwy stało się warunkiem patrjotyzmu polskiego. Wybitnymi patrjotami p o l s k i m i byli najwięksi pisarze letuwscy, historyk Dowkont (1793—1864), poeci biskupi, Wołonczewski (1801—1875) i Baranowski (1835—1902), trzy wielkie postacie o kulturze nawskróś polskiej. Do dziś dnia można się spierać oto, czy Polakami byli, czy Letuwinami; to pewna, że polskiej kulturze zawdzięczali zainteresowanie się językiem letuwskim. Polacy pragnęli powołać do życia Letuwę; pragnęli z ludu letuwskiego wykrzesać naród. Nie brakło też Polaków pisujących umyślnie po letuwsku — z których potem tendencyjnie zrobić chciano Letuwinów, odgradzających się rzekomo od Polski.

Demokratyzacja XIX wieku powoływała warstwy ludowe do życia publicznego. Demokratyzacja Litwy, przytroczonej do państwa rosyjskiego, utrzymującego przymus stanowy — nastąpiła bardzo późno. W północnej Litwie, Letuwie, przypadają początki tego prądu na czasy aż po roku 1863, kiedy szlachta litewska — a więc także w Letuwie — miała ręce całkowicie skrępowane. Ruch ludowy letuwski rozegrał się nie na tle ogólno-narodowem letuwskiem, lecz tylko pomiędzy ludem osamotnionym, izolowanym od warstw światlejszych, a... czynownictwem rosyjskiem! Droga dla ludu do oświaty była tylko jedna: przez rosyjską szkołę. Sapienti sat! Pierwsze pokolenie narodowców Letuwinów pochodzenia ludowego pozbawione było wszelkich pojęć kulturalnych — i przejęło się rosyjskiemi pojęciami antykulturalnemi. Wszyscy ci patrjoci letuwscy byli moralnie nawskróś zrusyfikowani — i niemal wszyscy pozostali takimi do dnia dzisiejszego. Możnaby o tem powiedzieć, że jest to letuwska odmiana kultury rosyjskiej. Umysły zrusyfikowane, pędzą po równi pochyłej za przykładem Rosji, próbując sztucznego tworzenia społeczeństwa, bez względu na tradycję historyczną. Jest to żywioł etnograficznie tylko letuwski, lecz kulturalnie moskiewski.

Letuwini ci pracują nad upadkiem swego narodu na resztce letuwskiego obszaru etnograficznego. Ale to ich rzecz, jakie będą następstwa ch prac, a raczej ich konwulsyjnego szamotania się, pozbawionego

metody i systemu, właściwego normalnemu tokowi wszelkiej pracy społecznej i narodowej. Nam nie wtrącać się, w przyszłe losy Letuwy!

Skoro Letuwa wyodrębnia się z Litwy, musi za tym przykładem pójść i żywioł polski; a polskie wyodrębnienie się to wcielenie do Polski.

Letuwini zgodziliby się pozostać w Litwie pod tym tylko warunkiem, gdyby ją opanowali, pod warunkiem hegemonji letuwskiej na Litwie, żeby byli na Litwie żywiołem panującym. Jak zaś wyobrażają sobie w praktyce swą hegemonję, pokazali gdy mieli Litwę Środkową z Wilnem w swojem ręku. Okazało się, że sztukę rządzenia pojmują najzupełniej po moskiewsku. Okazało się, że są żywiołem politycznie wstecznicznym, nie zdatnym do zrozumienia nowoczesnych europejskich metod państwowych. My, Polacy, zwolennicy równouprawnienia, nie możemy przystać na żadną hegemonję — a zwłaszcza hegemonję letuwską w kraju, gdzie Letuwinów niema. W Wilnie jest mniejszy procent Letuwinów, niż Niemców w Paryżu!! niż Niemców w Londynie!! Polaków w Berlinie było znacznie więcej przed wojną! Czechów w Wiedniu było procentowo dziesięć razy więcej, niż Letuwinów w Wilnie!! Wilno jest miastem litewskiem, ale nie letuwskiem, lecz polskiem!

Dość już gry wyrazów z używania wyrażenia »litewski« w rozmaitym sensie. Puszczę Białowieską przedstawia się, jako typ puszczy letuwskiej, dlatego, że na Litwie! W krainie tamtej nigdy jeszcze Letuwinów nie było! W szlachtę litewską wmawia się, że cała pochodzi z letuwskiej — i tak zagarnia się na rzecz Letuwy wszystko, cokolwiek jest litewskiego. Oryginalne zastosowanie metody: pars pro toto. Ale metoda ta dopuszczalną jest tylko przy jednogatunkowości części z innemi częściami tejże całości. Tu nie zachodzi ten wypadek. Litwa składa się z części różnonarodowych, z których jedna tylko jest letuwska.

Nie naszą rzeczą dawać Letuwie odszkodowanie za to, co straciła na rzecz Białorusi, przed którą cofa się wciąż i kurczy. Tylko ignorancja historyczna może występować z mniemaniem, że polskość na Litwie pochodzi z polonizacji letuwszczyzny. Gdyby polskość na Litwie ograniczoną była do owoców polonizacji żywiołu letuwskiego — stanowilibyśmy tu, doprawdy, żywioł nie liczniejszy chyba od tatarskiego, a może i mniej liczny.

Całe rozumowanie letuwskie polega na omyłce z geografji historycznej, jakoby pierwotne granice Letuwy identyczne były z granicami Litwy po roku 1569. (Czemu nie z 1362?!) Nie! tak straszliwie żywioł letuwski nie cofał się! Ubywa mu obszaru etnograficznego, ale nie w taki znowu przeraźliwy sposób! Letuwa nigdy nie była krajem rozległym.

Przy dzisiejszym stanie geografji historycznej żaden Letuwin nie zdoła wskazać pierwotnych granic etnograficznvch Letuwy.

Zmniejszenie się tego obszaru jest objawem znanego powszechnie faktu zmienności granic etnograficznych. Niema na świecie miejsca takiego, na którem granice te byłyby niezmiennemi. Etnografja nie jest... nieruchomością.

My, Polacy, doświadczyliśmy aż nadto tej ruchomości granicy etnograficznej. Traciliśmy aż nazbyt wiele. Czy może mamy zacząć nową erę niepodległości od... tracenia dalej? Czyż mamy się tutaj zletuwszczyć?

Głoszą Letuwini, że skoro objęliby rządy, znajdą sposoby, żeby Polacy litewscy przypomnieli sobie rzekomy język przodków, mianowicie letuwski. Śmieszność! Nie zrusyfikowano nas, nie udałoby się tem mniej nikogo zletuwszczyć! Ale ochota do takiego eksperymentu jest ogromnie charakterystyczną dla pojęć letuwskich.

Wilno było stolicą Litwy, nie Letuwy; było stolicą tej Litwy, której Letuwa stanowiła jedną tylko cząstkę. Ile tu przeszłości letuwskiej? Odpowiedź prosta: niechaj kto wskaże w całem mieście choćby jedną inskrypcję letuwską z dawniejszych czasów!

Dr. F. Koneczny.

Idea współdzielczości.

(Odczyt inauguracyjny w cyklu wykładów o współdzielczości.)

Żyjemy w epoce największego rozwoju demokracji, w epoce powszechnego głosowania, od której mimo wszystkie głosy urągających jej pesymistów mamy prawo spodziewać się, że umożliwi ona w szybszym niż dotąd tempie postęp cywilizacyjny ludzkości, skoro człowiek w miarę wzrastających swych obowiązków zyskuje szerszy widnokrąg i skoro uczyć się można pewnych rzeczy tylko w praktyce. Jednym z przykładów tej prawdy jest wysoka dojrzałość polityczna Anglika, który w samorządzie lokalnym ma nieustającą szkołę współpracy w sprawach publicznych. Tylko przez branie w niej udziału ludzie stają się w demokratycznej naszej epoce w wyższym niż kiedykolwiek stopniu odpowiedzialnymi za swoje losy i uświadamiają sobie tę odpowiedzialność coraz dokładniej.

Do tego czynnika przystępuje drugi. Jest nim trudność naszego dzisiejszego położenia finansowego. Ci, którzy stanowią mózg i muskuły narodu: inteligencja, rzemieślnicy, oraz robotnicy przemysłowi i rolni, pozbawieni własnego gruntu, znajdują się dziś w bardzo ciężkiem położeniu. Położenie to nasuwa niejednemu myśli antyspołeczne. Stąd pochodzi, że sfery te zasilają w całej Europie ruch komunistyczny, a tajnemi sieciami złączone ze sowietami, bądź stamtąd otrzymują wprost dyrektywy i wskazówki, bądź dla myśli, tam głoszonych ze straszną bezwzględnością i fanatycznem zaślepieniem, poczynają żywić sympatje. W Niemczech, Francji i Włoszech, nawet w Anglji, a także u nas wzmógł się ruch kollektywistyczny, wzorujący się na bolszewiźmie. Nawet niepowodzenia rządu sowietów, cofanie się tegoż na całej linji, nie wstrzymuje tego pochodu krótkowzrocznej, antypaństwowej, dyszącej pragnieniem użycia, myśli komunistycznej. Dowodem tego powstanie w Krakowie partji niezawisłych socjalistów, niezadowolenie z kie-

rowników PPS. na ostatnim kongresie tego stronnictwa w Łodzi, występy posła Łańcuckiego w Sejmie i inne tym podobne objawy. My, którzy bez różnicy partyj, od prawicy do PPS włącznie, pragniemy silnego państwa polskiego, oczywiście potępiamy te szkodliwe knowania i pragniemy zdać sobie sprawę z ich przyczyn i sposobu usunięcia fatalnego stanu rzeczy. I najgłębszą przyczynę niezadowolenia widzimy w ogólnej, królującej powszechnie niesumienności. Stugłowa hydra wyzysku i lichwy nietylko odżyła w naszych oczach, ale ramionami ośmiornicy objęła wszystek lud pracujący i ogryza rdzeń jego życia.

Podczas gdy ekonomja b u r ż u a z y j n a wyłącznie lub bodaj przeważnie zajmuje się sprawą mnożenia produkcji, ekonomja warstw majątkowo upośledzonych, rozwijana przez teoretyków socjalizmu, ogranicza się do sprawy rozdziału wytworzonych przedmiotów.

I jedno i drugie stanowisko jest jednostronne. Pierwsza marzy tylko o towarach, szczęście powszechne widzi w jaknajwiększej ich ilości, spodziewając się tą drogą samorzutnej zniżki ceny. Miałaby rację, gdyby towarów tych był wszędzie nadmiar, gdyby każde państwo produkujące ponad zapotrzebowanie własne, mogło oddzielić się od innych murem chińskim, gdyby w żadnej gałęzi produkcji nie było zależnem od drugiego, nadto zaś gdyby i wewnątrz państwa nie było przewidujących spekulantów, którzy umieją towary ukrywać a nadwyżkę w celu utrzymania dawnych cen lub uzyskania ich podwyżki rozmyślnie niszczyć lub przemycać za granicę. Na co się przydał olbrzymi wzrost techniki, podziwu godne wysiłki umysłu ludzkiego w dziedzinie wynalazków, skoro pauperyzm pozostał, skoro rezerwowa armja przemysłowa, tj. cała masa bezrobotnych i czekających na powołanie istnieje dalej, skoro na repatrjantów polskich z Westfalji, Nadrenji i Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki niema w Polce miejsca, skoro wewnątrz kraju trwa dalej ciągłe niepewność bytu klas robotniczych i rzemieślniczych nawet mających zajęcie, a co zatem idzie, zwiększony radykalizm i ostrzejszy ton w polemice stronnictw. Ekonomja teoretyków s o c j a l i z m u ma słuszność, wskazując, że produkcja może być tylko środkiem, a nie celem, celem zaś gospodarstwa społecznego winien być sprawiedliwy a przynajmniej sprawiedliwszy niż dotąd rozdział owoców pracy między wszystkich według pracy i zasługi. Ale jest w błędzie, ograniczając się wyłącznie do obserwowania wyłącznego stadjum przemian gospodarczych lub co najwyżej poprzestając na zapoznaniu się z ogniwem pierwszem i ostatniem. Między produkcją a konsumcją, wytwarzaniem a rozdziałem względnie spożyciem jest

obrót. To dziś kręta droga, którą towar z fabryki przez wielkich kupców, grosistów, przechodzi do rąk detailistów i sklepikarzy, od nich zaś dopiero do rąk właściwych konsumentów. Chodzi więc o to, aby tę drogę skrócić, zyski pośredników, agentów, uchylić, producenta zbliżyć do konsumenta jaknajbardziej, a z czasem i funkcje producenta złożyć na barki związku spożywców.

Ta myśl przyświecała już Robertowi Owenowi i Karolowi Fourierowi, którzy próbowali rozplątać węzeł zawiłych kwestyj związanych z obrotem. Po nieudałych próbach teoretyków, doświadczenie praktyczne, oparte na dokładnej znajomości wymogów życia, przyniosło szczęśliwe wskazówki, wprowadziło badania teoretyczne na właściwe tory, wyszedłszy z małych i nieznacznych początków, ograniczyło władzę wyzysku przynajmniej odnośnie do przedmiotów codziennej potrzeby i uwolniło od niej warstwy robotników przemysłowych, związanych w organizacjach zawodowych. Dokonali tego nie uczeni jak Owen i Fourier, nie politycy jak Buchez i Louis Blanc, ale biedni tkacze angielscy, znani pod zaszczytną nazwą »sprawiedliwych pionierów z Rochdalu«. Teoretycy myśleli o środkach zaradczych przeciw nieograniczonemu współzawodnictwu, przeciw niemoralnemu prawu popytu i podaży, przeciw ciągłej niepewności wywołanej wytwarzaniem dla targu i perjodycznemi przesileniami będącemi następstwem hiperprodukcji. Ale zakreśliwszy odrazu cel zbyt daleki, porwani szczytnem marzeniem, nie myśleli o etapach, przez które przejść im wypadało. I bank wymienny Owena i spółki produkcyjne Louis Blanca nie powiodły się. Tkacze z Rochdalu natomiast nie znali teorji ekonomicznych Adama Smitha lub znali je tylko bardzo powierzchownie. Ale za to rozumieli, że podstawą stosunków między ludźmi winna być uczciwość, solidarność i wolność. Uczciwość jako reakcja przeciw handlarskiej żądzy zysku i szerzonej przez nią korupcji; solidarność jako odstępstwo od bezpłodnej i niszczącej dotychczasowej walki wszystkich przeciw wszystkim i jako protest przeciw samolubstwu bogatych, obojętnemu na los bliźnich, a powołującemu się wyniośle na plejadę obrońców i głosicieli rzekomych niewzruszonych praw ekonomicznych; wolność jako uświadomienie sobie, że przymus utopijnego komunistycznego państwa dla człowieka nowoczesnego i korzystającego z dzisiejszej kultury nie jest do zniesienia.

Na tych trzech filarach stanął na zachodzie Europy wspaniały gmach współdzielczości. Nie może wobec niego zasłaniać się kapitalizm obłudnym argumentem, że on a kultura to jedno, na co nie bez po-

wodzenia powoływał się w zapasach z niszczycielskiemi postulatami kollektywizmu. Współdzielczość bowiem nie wywłaszcza nikogo, ona tylko obejmuje pewne funkcje ogólnego pożytku i spełnia je lepiej, taniej i korzystniej dla ogółu spożywców. Nie usuwa i nie niszczy, ale nowe stwarza źródło dobrobytu i nowe warunki sprawiedliwszego rozdziału. Jeśli zaś czyni zbytecznymi pasożytów, daje im jednocześnie możność skierowania swych zdolności i wiedzy ku zajęciom ogólnie pożytecznym. Spełnia tę samą funkcję, jaką w ostatnich stu latach spełniały w produkcji maszyny: czyniły zbędnemi pozornie całe zastępy robotników, faktycznie jednak zatrudniły ich jeszcze więcej, a tylko zmieniły rodzaj ich funkcji.

Powiedział zapalony wielbiciel morza: *navigare necesse est, vivere non necesse*. Ekonomista, który nie chce płynąć po morzu paradoksów a pragnie w trzeźwych ująć słowach podstawę wszelkiego działania, odpowie: *Ante omnia vivere necesse est*. Pierwszy więc głos w urządzaniu spraw społecznych wypadnie spożywcom. Tu solidarność interesów jest najogólniejsza i najprawdziwsza. Spożywcami zaś jesteśmy wszyscy. Tu wspólność interesów stowarzyszonych jest najlepiej widoczna. Spółka bowiem spożywcza nie tylko dostarcza tańszych towarów, ale wychowuje swych członków, zniewalając do płacenia gotówką, uwalnia od upakarzającej zależności od sklepikarza, przez zapewnienie zwrotu kupującym w miarę osiągniętego zysku staje się skarbonką oszczędności dla niezamożnych, przez zaprowadzane na zachodzie przy związkach współdzielczych laboratorja chemiczne daje gwarancję najlepszej jakości towarów, umożliwia kontrolę stosunku między kosztami zakupu a cenami towarów, odsłaniając w ten sposób wysokość często nieprawdopodobną, zawsze przesadną, zysku pośrednika.

Ale póki słowo »konsum« bywa — jak niejednokrotnie u nas — dogodną wywieszką dla indywidualnej chęci zysku, nieprzypadającego na rzecz wszystkich członków, ale szczupłego grona założycieli czy kierowników lub choćby źródłem zasilania tą drogą celów publicznych, choćby nie wiem jak pożytecznych, ale nie zostających w żadnym związku z intencjami i bezpośrednim interesem zrzeszonych — idea współdzielcza musi pozostać w powijakach. I temu przypisać należy, że u nas, poza zaborem pruskim, praca współdzielcza tak słabe wykazuje rezultaty, że spotyka się z taką obojętnością i niewiarą społeczeństwa i że ogół na wszelkie uwagi o wspaniałym rozwoju współdzielczości na zachodzie Europy ma gotową odpowiedź o odmiennych

u nas stosunkach, o niemożności przeszczepiania żywcem myśli z Zachodu na naszą glebę, o naszym indywidualiźmie i rzekomym braku skłonności do kojarzenia się w związki. Kto żąda od Polaka organizacji i posłuszeństwa, nieodzownych w kooperatywie, ten nie zna rzekomo rodzimych stosunków i odrębności, nie rozumie charakteru narodowego, przy zielonym stoliku małpuje zagranicę.

Obawiam się, że nie tyle rzekomo wrodzone wady narodowe, o których jednak mówi się nie bez pewnego odcienia dumy, które zawsze są przy dobrej woli do usunięcia lub naprawienia, ile korupcja powojenna i nieprawdopodobne wprost luki w naszej wiedzy stoją na przeszkodzie wspaniałemu rozwojowi współdzielczości na ziemiach polskich. O rozplenieniu się raka nieuczciwości i paskarstwa nie tu miejsce mówić. Co się natomiast tyczy naszej ignorancji, albo co gorsza naszej powierzchownej półwiedzy w rzeczach gospodarczych wogóle, a w sprawach współdzielczych w szczególności, postanowiliśmy w tym cyklu odczytów, który mam zaszczyt zagaić, przeciwdziałać jej wedle sił naszych, dążąc tą drogą do usunięcia głównej naszem zdaniem przeszkody w naprawie położenia gospodarczego warstw urzędniczych, rzemieślniczych i robotniczych. Przecież w Anglji w r. 1919 związki spożywcze miały 4.182,019 członków, kapitału 98,801.000 funtów szterl., obrót w wysokości 324,781.000 funtów, zatrudniały 187,535 robotników we własnych warsztatach i fabrykach, wypłacały blisko 21 miljonów funtów tytułem płac i pensyj, przyniosły zysku stowarzyszonym w owym roku w kwocie 21;809.500 funtów szterlingów. Przecież w Niemczech 1 stycznia 1921 istniało 42,000 stowarzyszeń współdzielczych, z czego 32,419 rolniczych, samych kooperatystów spożywczych było 3,200,000. Obrót w centralnej kasie Raiffeisenowskiej wynosił w r. 1917 $6^1/_2$ miliardów marek. Równie imponujące są cyfry rozwoju współdzielczości w Belgji i Danji, Włoszech, Francji, Szwajcarji i Stanach Zjedn. Ameryki Północnej.

W tych wszystkich stowarzyszeniach i związkach, o ile przestrzegają istotnie zasad współdzielczości, uderzają nas trzy zjawiska: Jedno, że bez względu na wysokość wkładki, każdemu członkowi przysługuje tylko jeden głos, co zapewnia kierownictwo stowarzyszenia nie kapitalistom, ale ogółowi konsumentów, oddaje rządy w spółdzielni nie interesom oligarchji plutokratycznej ale całego ogółu. Drugie, że zysk, osiągnięty ze sprzedaży towaru członkom po cenie targowej, rozdziela się w stosunku prostym do zakupów dokonanych przez stowarzyszonych, nie zaś w stosunku do udziałów i wkładek, co najskuteczniej

popularyzuje myśl współdzielczą w najszerszych kołach, podczas gdy ofiary na cele publiczne pozostawia się przynajmniej aż do chwili znacznego wzrostu ruchu współdzielczego i znacznej poprawy bytu członków swobodnej decyzji jednostek. Trzecia, może najdonioślejsza obserwacja jest ta, że skoro stowarzyszenia spożywcze z natury rzeczy pragną mieć jak najwięcej członków, bo z każdym przybyłym zwiększa się się siła i kredyt stowarzyszenia, stowarzyszenia zaś wytwórcze winny mieć członków tylko tylu, ilu potrzeba do czynnego współdziałania i nie dopuszczać do udziału w zyskach robotników najemnych, przeto pragnąc zyski stowarzyszeń wytwórczych rozdzielić między jaknajwiększą ilość członków stwarza się stały między obydwiema kategorjami stowarzyszeń związek, a w szczególności zakładanie stowarzyszeń wytwórczych powierza się stowarzyszeniom spożywczym. Tam, gdzie związek stowarzyszeń spożywczych zdołał stworzyć dla zaspokojenia potrzeb własnych członków wielkie wytwórnie, zna dobrze rodzaj i granicę potrzeb swych członków. Wszelkie ryzyko, wszelka pomyłka w rachubie jest więc wykluczoną. Zarząd wie doskonale, ile sadła, konserw, owoców, czekolady, mebli, szczotek, mydła, świec, tytoniu, papieru, łoju, butów, każdy z konsumów do związku należących zakupi, ma może już w ręku zamówienia i do nich się stosuje. Kalkulacja jest pewna, a to uwalnia od kalkulacyj handlowych i czyni produkcję tańszą. Odpadają rabaty dla grossistów i detailistów, odpadają wydatki na podróżujących, anonse i reklamy, odpada wreszcie przeciwieństwo między rolnikiem — odbiorcą towarów przemysłowych, a mieszkańcem miasta — spożywcą produktów rolnych, których interes okazuje się wspólnym.

Zbędnym staje się tylko w miarę rozwoju kooperacji kupiec-pośrednik, który dotąd spełniał dodatnią funkcję ekonomiczną, więc też kupiec w obronie swej egzystencji, poniekąd swych »praw nabytych« rozpoczyna walkę, jak np. bazylejski związek drobnych kupców, Konsumgesellschaft przeciw współdzielni bazylejskiej, Konsumverein'owi. W tej walce kupiec szuka sprzymierzeńców. Korzysta z popełnionych przez przeciwnika błędów, pozyskuje prasę, urządza zebrania protestujące, rozszerza fałszywe wiadomości o kooperatyźmie lub o jego propagatorach. Tam gdzie zakładania spółdzielni podjęły się koła radykalne, przedstawia całą robotę jako socjalistyczną; gdzie sfery katolickie wzięły w niej inicjatywę, w imię »wolnej myśli« ubiega się o poparcie sfer postępowych. Jeżeli akcja współdzielcza narusza przypadkiem »stan posiadania« pewnego narodu, oddającego się dotąd przeważnie kupiectwu, z pewnością wystąpi się z zarzutem prześladowania tego

narodu. Tymczasem idea współdzielcza nie jest ani klerykalną, ani socjalistyczną, jest poprostu ideą społeczną, która porzucając utarte szlaki do nowych prowadzi celów, nowe otwiera perspektywy i możliwości.

Takie ujęcie współdzielczości to koniec wszelkiego bezrobocia i wszelkich przesileń. Robotnik przemysłowy, który jest równocześnie członkiem spółki konsumcyjnej i uczestnikiem wszelkich zysków, jakie przynosi wytwórnia przy jego współudziale, nie ma żadnego powodu do czasowego zaprzestania pracy, któremby również samego siebie krzywdził. Lepszych warunków płacy tem nie wywalczy, bo sama współdzielczość zapewnia mu najwyższą możliwą sumę korzyści. Przesileń niema, bo niema ryzyka i mylnych, co nie odłączne od wszelkiej spekulacji, obliczeń. Współdzielczość w ten sposób zorganizowana wzmacnia budowę społeczeństwa a zadaje tylko cios śmiertelny i tak już nadwątlonej mocno teorji Marxowskiej o koncentracji kapitału, nie uszczuplając w niczem roli żądającego reform społecznych rewizjonistycznego i stojącego na gruncie narodowym socjalizmu. Tłumi natomiast rozkładcze instynkty międzynarodówki, ogranicza znacznie nieprodukcyjne zyski kapitalizmu i sprzęga mocniej wszystkie warstwy społeczeństwa na fundamencie naturalnej solidarności interesów i wolności. W miejsce bezwzględnej i szalonej walki konkurencyjnej, w miejsce prawa popytu i podaży, podwyższającego dziś cenę towaru dlatego właśnie, że jest poszukiwany a więc potrzebny, czyli na przekór tym właśnie, którzy go nabyć pragną, w miejsce współzawodnictwa, które już Hugona Grotiusa natchnęło określeniem, że człowiek jest człowiekowi wilkiem, w miejsce dotychczasowego swego rozjemcy — pięści silniejszego, następuje pokojowe i zgodne współdziałanie wszystkich czynników interesowanych. Duże pozostaną jeszcze dziedziny wytwórcze w ręku prywatnego przedsiębiorstwa i uprawnionej spekulacji. Ruch współdzielczy zdąża tylko do ujęcia w swe ręce zaspokojenia potrzeb koniecznych ogółu i to przedewszystkiem w interesie tych członków społeczeństwa, którym wydatek większy czyniłby uszczerbek, choć oczywiście nikogo i z zasobniejszych nie wyklucza od współudziału.

Wspaniały rozwój kooperatyw w kraju największego rozkwitu kapitalizmu, to jest w Anglji, dowodzi, że ruch kooperatystyczny nie ma nic wspólnego z kolektywizmem. Isto nie pierwszy nie przeczy niczyjej własności, nie konfiskuje jej, nie wciela do skarbu państwowego, nie rozciąga wszystkich obywateli na Prokrustowem łożu równości i nie wytwarza bezdusznie działek dla każdego równych, nie wy-

wiera przymusu, nie popełnia żadnej krzywdy i nie wyklucza żadnej dotychczasowej formy wzbogacania się; stwarza tylko nową na zasadzie prostej skupienia sił i kapitałów w jedno ognisko. Być może, że socjalizm zrzeszeniowy żywi marzenia o takim przyszłym ustroju społecznym, w którym wszystkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne zostaną tą drogą pokonane i ujęte w koryto spółdzielczości. Ale jeśli tak sądzi, traci z oczu różnolity i właśnie w tej różnolitości tak bardzo odpowiadający naturze ludzkiej obraz teraźniejszości. Stowarzyszenia wytwórcze, tam gdzie brak im inicjatywy i nadzoru ze strony związków stowarzyszeń konsumcyjnych (jak w Anglji ze strony Wholesale Societies), nie rozwijają się szczególnie i mała jest nadzieja, by zdołały pokonać wielką produkcję prywatną.

Poza tem idea współdzielcza zaledwie rozpoczyna swój pochód w świecie; nawet w Anglji, gdzie zadziwiających dokonała postępów, dźwiga dotąd na sobie ciężar opłacania procentów wierzycielom i udziałowcom. Gdyby akcja ta chciała być konsekwentną i ograniczyć sprzedaż tylko do własnych członków, nie mogłaby podejmować wielkich przedsiębiorstw, a bez tego nie mogłaby zmienić fizjonomji gospodarczej i socjalnej świata. Ale istnieje niewątpliwie możność osłabienia przewagi ustroju kapitalistycznego w drodze przyjęcia i stosowania idei spółdzielczej w tej formie, jaka z takiem powodzeniem znalazła urzeczywistnienie w Anglji; możliwość ta zarazem miałaby wpływ wychowawczy, pociągnęłaby bowiem za sobą nieraz przemianę dusz i wzniesienie nas na wyższy poziom moralności i kultury, uzdalniając dopiero do przyjęcia w przyszłości doskonalszych form gospodarczych, które bez zmian wewnętrznych w typie przeciętnego człowieka nie mogą mieć warunków trwałości.

Ale nie sięgajmy tak daleko. Poprzestańmy raczej na faktach.

W Anglji brakowi i drożyźnie mieszkań zapobiegają stowarzyszenia budowlane, tzw. building soc., obejmujące w 1908 r. 600.000 członków; wydały one do tego czasu 50 miljonów funtów szterlingów na budowę. Na wypadek choroby, nieszczęśliwych wydarzeń i zapewnienie emerytur istnieje tam około 30.000 stowarzyszeń zwanych friendly societies, obejmujących przeszło 13 miljonów członków o kapitale około 55 mil. funtów szterl. Pod względem rozwoju kooperatyw spożywczych wyprzedza Anglja wszystkie inne państwa, panuje tam zasada tworzenia konsumów jak największych i łączenia ich w związki krajowe. Powstają w ten sposób zrzeszenia silne, zdolne do życia, o coraz wzmagającej się liczbie obrotów i członków; uchyla się tylko

współzawodnictwo, które tam tylko bywa czynnikiem postępu, gdzie wspólny typ jest niewątpliwy i zwycięski, ale nie tam, gdzie, jak w naszym wypadku, współdzielczość przeciw panującemu dotąd kapitalizmowi dopiero wywalczyć musi sobie prawo bytu, gdzie przeto zużywałoby siły na walkę nieprodukcyjną i odwracało uwagę od właściwego celu, jakim jest obniżenie ceny zakupna i zmniejszenie kosztów administracji. W ten sposób w kooperatywach angielskich gromadzą się wielkie kapitały, uzdalniające związek krajowy do dokonania zakupów na olbrzymią skalę, tudzież do przedsiębrania produkcji na rachunek własny. Zakupy uskuteczniają, tak w kraju, jak zagranicą, dla Anglji i Szkocji dwa związki, jeden w Manchester, drugi w Glasgow, częściowo przy pomocy wysyłanych ajentów, ponadto zaś utrzymują składy w Anglji i w zagranicznych miejscach importu, dostarczają kapitału zakładowego niezależnym kooperatywom wytwórczym i budowlanym i zakładają same przedsiębiorstwa budowlane i wytwórcze. Robotnik przemysłowy angielski i szkocki w ten sposób zaopatruje się we wszystkie przedmioty swego zapotrzebowania z fabryk współdzielczych.

Oto parę szczegółów dla dania obrazu o rozmiarach tych przedsiębiorstw. Wielkobrytańskie centrale zakupna posiadały 86 ferm o obszarze łącznym 10.120 akrów ziemi. Herbata z trzech własnych plantacyj na Cejlonie przychodzi do Londynu w 400 rozmaitych gatunkach, tu dokonywa się przy pomocy olbrzymich maszyn mieszanie i pakowanie, tu mieści się też skład i palarnia kawy. W Luton, na północ od Londynu znajduje się fabryka kakao i czekolady o produkcji dochodzącej rocznie do miljona kilogramów. Fabryki obuwia znajdują się w Leicester, Enderby, Rushden i Hedmonwike, z których pierwsza jest największą wogóle fabryką obuwia w Anglji. Z pomiędzy czterech fabryk mydła, fabryka w Silvertown sprowadza surowce, olej i tłuszcze prosto z Australji, do fabryki mydła w Irlam, zajmującej się także fabrykacją świec, perfum i krochmalu, gotowe wyroby ładuje się wprost do wagonu, związek współdzielni bowiem posiada tu własną odnogę kolejową, która łączy fabrykę z najbliższą stacją linji głównej. W Crumpsall znajduje się fabryka biszkoptów w Pendleton fabryka wyrobów tytoniowych, w Oldham, Manchester, Silvertown i w kilku innych miejscowościach, nadewszystko zaś w Dunston znajduje się szereg młynów współdzielczych. Młyn w Dunston wystawiono blisko przystani kolejowej i toru kolejowego. Z jednej strony okręty wyładowują zboże, z drugiej koleje odbierają mąkę w workach z magazynów. W tych wszystkich wielkich fabrykach nie wszędzie panuje, a przynajmniej do

niedawna panował 8-godzinny dzień pracy, mimo iż z Anglji rozpoczął swój pochód triumfalny po całym świecie cywilizowanym. I tak w fabryce obuwia w Leicester długość pracy wynosiła 52½ godzin tygodniowo, w fabryce mydła w Irlam 53 godziny tygodniowo, w młynie w Dunston dzienna szychta trwa 11 godzin, nocna 13, łącznie, z przerwami na posiłek i spoczynek, rozumie się jednak samo przez się, że praca w godzinach dodatkowych wynagradzaną jest wyżej a praca w niedziele i święta jeszcze wyżej. Natomiast główny nacisk kładzie się na co innego. W fabrykach panuje wzorowa czystość. Wentylatory i najlepsze urządzenia zdrowotne oraz sale restauracyjne, sale dla zabaw i koncertów, bibljoteki i czytelnie, place dla gier ruchomych uprzyjemniają pobyt. Stosunki między personalem fabrycznym a dyrekcją są przyjacielskie, co jednak nie uwłacza rygorowi koniecznemu w godzinach pracy i zachęca do intensywności pracy. W Pilaw znajduje się szereg fabryk ubrań dla górników, bielizny i obuwia, ekstraktów mięsnych i konserw owocowych. Szereg podobnych fabryk bielizny, ubrań i mebli mieści się także w Broughton. W Longsight jest olbrzymia drukarnia. W samym Manchester znajdują się składy hurtowne o olbrzymich rozmiarach, gmach głównego zarządu, wystawa produkcji wszystkich fabryk centrali oraz bank centrali zakupu, posiadający olbrzymie obroty. Centrala szkocka skoncentrowała przedsiębiorstwa fabryczne przez nią założone w Shieldhall pod Glasgow. Są tam fabryki obuwia, naczyń kuchennych, szczotek, tytoniu, konserw, drukarnia etc. W 1907 r. posiadały związki nadto 5 statków morskich, setki własnych wagonów kolejowych, własne lokomotywy i 8350 domów. Dla wychowania nowego zastępu działaczy współdzielczych utworzyły instytucję oświatową pod nazwą unji współdzielczej, która dostarcza spółkom spożywczym i fabrykom współdzielczym zastępu urzędników i uświadomionych robotników. Na podstawie uchwały Alliance coopérative internationale z r. 1900, angielskie Cooperative Wholesale Society nawiązały stosunki stałe z duńskiemi spółkami produkcyjnemi, od których sprowadzają wprost masło, szynkę i jaja. Chłop duński i robotnik angielski dokonali wspólnie tego wielkiego dzieła, z którego mogą być dumni.

Zwrócimy się teraz do ojczyzny spółek produkcyjnych wiejskich, do Danji. Pierwsza spółka mleczarska powstała z początkiem lat 80-tych, założona przez Stillinga Andersena w Hjedding, Oelgod w zachodniej Jutlandji. Poczęto tam wyrabiać masło na eksport. Powiodło się to w tak wysokim stopniu, że na wystawie rolniczej w Odense

w r. 1909 spółki mleczarskie stworzone przez włościan otrzymały wszystkie medale srebrne w liczbie 46, poczem dopiero przyłączyli się do nich i wielcy właściciele. Jak bardzo rozwinęła się myśl współdzielcza wśród małych rolników w Danji, łatwo wnieść stąd, że na ogólną ilość 1,282.300 krów mlecznych, mleko 900.000 krów w r. 1910 oddawano do mleczarni spółkowych. Mleczarnie te wyrabiały 1,580.000 ctn. masła, które sprzedawały za 210 miljonów franków. Ponadto cieszą się ogromnym rozwojem duńskie stowarzyszenia hodowli bydła, których w roku 1909 było 519 i stowarzyszenia badania mleka. W związku z spółkami mleczarskiemi powstały w Danji w Horsens rzeźnie spółkowe, w których głównie chodzi o mięso nierogacizny, karmione zwracaną przez mleczarnie serwatką. W r. 1910 było takich spółek w Danji 37, mających 109.525 członków, które razem biły 1.397.000 sztuk nierogacizny, 14.320 bydła rogatego i 20.887 cieląt i owiec. Rzeźnie te posiadają urządzenia techniczne amerykańskie, dzięki czemu np. rzeźnia w Odense co tydzień bije 2000 świń. Dochód z tych rzeźni wynosił przed wojną 60 miljonów franków. Związki tych spółek sprowadzały dla wszystkich rzeźni ryczałtowo sól i ulepszyły metody bicia i solenia. Celem zapobieżenia stracie czasu przy sprzedaży produktów rolnych oraz wyzyskowi tak producentów jak konsumentów przez handlarzy założono w Danji w 1895 r. spółki zbytu jaj, do których już w r. 1903 należało 50.789 członków, dzięki czemu ilość kur wzrosła do 1909 r. na 11.8 miljonów. Spółki te przechowują jaja przy pomocy specjalnych urządzeń przez czas dłuższy w stanie zdolnym do exportu i świeżym. Spółdzielcza fabryka masła w Esbjerg tudzież stow. spółdzielcze dla wywozu jaj miały dochodu z exportu 15 mil. franków przed wojną. W ten sposób Danja, dzięki organizacji i solidarności spółek mleczarskich, rzeźni spółkowych i spółek dla eksportu jaj, uzyskuje korzystny bilans handlowy, bogactwo państwa i poszczególnych swych obywateli. I w dziedzinie spółek spożywczych Danja zajmuje wybitne stanowisko. Pierwszą spółkę założył tam w Thisted pastor Sonne w r. 1866, a w r. 1910 było ich już 1364, z czego tylko 44 po miastach, reszta po wsiach. Centrala zakupów w Kopenhadze zaopatruje stowarzyszenia lokalne w towary kolonjalne, manufaktury, żelaziwa, oraz pośredniczy przy zakupie maszyn. Ponieważ prowadzi własne wzorowe gospodarstwo nasienne w Lingby koło Kopenhagi, więc i najmniejszy rolnik może mieć nasiona po najtańszej cenie i najlepszej jakości.

W Finlandji naśladowało w r. 1899 towarzystwo Pellerwo spółki mleczarskie duńskie i udało się to mimo rozrzucenia wsi i rzad-

kości zaludnienia, przy pomocy systemu mrożenia mleka dowożonego do mleczarń tylko raz w tygodniu. W r. 1910 było już tam 360 mleczarni spółkowych dostarczających ogółem 80·6% produkcji masła.

W Niemczech z końcem 1920 r. istniało 3315 spółek mleczarskich. Dzięki oddawaniu mleka do spółki, włościanin niemiecki zyskuje więcej czasu dla hodowli bydła i podniesienia gospodarstwa rolnego, wskutek czego ruch ten wszędzie łączy się z intensyfikacją gospodarstwa. Kooperatywy rolne zbudowały w Niemczech magazyny zbożowe (Kornhäuser), do których członkowie oddają wyprodukowane przez siebie zboże w komisową sprzedaż, biorąc jednocześnie zaliczkę, albo też sprzedają je im za gotówkę. Tam to zboże się czyści, suszy, sortuje i miesza w celu uzyskania jednolitego typu, umożliwiającego sprzedaż i w ten sposób wyzwala się producenta od przewagi kupca zbożowego i uzyskuje dla niego ceny odpowiadające cenom giełdy zbożowej. Ponadto Niemcy wykazują ogromny rozwój kooperatyw spożywczych. W r. 1920 grupowało się koło centralnego związku w Hamburgu 979 stowarzyszeń, a obrót jego wynosił 351·7 miljonów marek. Posiadał on własne fabryki zapałek, cygar i mydła, własną drukarnię, introligatornię i towarzystwo nakładowe. Założenie fabryki mydła w Aken nad Elbą nie mogło przyjść do skutku z powodu protestu magistratu, motywowanego obawą zagrożenia interesów kupiectwa. Założono więc fabrykę podobną w Gröba Riesa w r. 1910. W naftę zaopatruje się ten związek na zasadzie umowy z trustem naftowym amerykańskim, w cukier i alkohol na podstawie umów z niemieckiemi syndykatami, inne zaś towary, jak sery, zakupuje od współdzielni szwajcarskich, herbatę od angielskich, tytoń, wędliny i mąkę od związków wytwórczych niemieckich. Stowarzyszenie »Produkcja« z końcem roku 1919 miało 115.846 członków, obrót wynosił 123 miljonów marek, posiadało własne piekarnie, cukiernie, rzeźnie, palarnie kawy, warsztaty stolarskie, ślusarskie, blacharskie, pralnie parowe, zakłady elektryczne, zakład fotograficzny, przedsiębiorstwo przewozowe.

Związek centralnych spółek spożywczych założył towarzystwo asekuracyj ludowych »Volksfürsorge«. Umożliwia ona ubezpieczenie na życie bez uprzedniego badania lekarskiego, ale rozumie się tylko na niewielkie kwoty 1000—1500 mk. Premje wpłaca się w dogodnych ratach miesięcznych lub tygodniowych. Ponieważ kapitał opiera się na 1000 akcjach po 1000 mk., które znajdują się rękach bądź spółek spożywczych, bądź związku zawodowego robotniczego, a procent dla akcjonaryuszy ograniczony jest do 4%, towarzystwo posiada dziś

majątek 16 miljonów marek, a suma ubezpieczona wynosi 60 miljonów.

Wydobycie chłopa niemieckiego z rąk lichwy to zasługa towarzystw zarobkowych systemu Raiffeisena, z których pierwsze powstało w r. 1849 w Westerwaldzie. Zasadą ich solidarna odpowiedzialność członków, kredyt oparty na osobistem zaufaniu do dłużnika i kontrola nad użyciem pożyczonej kwoty. To jest droga wychowania społeczeństwa wiejskiego, podobnie jak oparty na wekslach i krótkim terminie kredyt towarzystw zarobkowych systemu Schulzego dla rzemieślników z miasta. Kasy Raiffeisenowskie mogą obracać czysty zysk na cele publiczne i kulturalne; spółki konsumcyjne, których korzyść jest mniej widoczna a raczej dopiero widoczna po niejakim czasie, czynić tego nie powinny. Spółki Raiffeisenowskie w Niemczech trudnią się oprócz udzielania pożyczek i przyjmowania wkładek oszczędności zakupywaniem nawozów sztucznych, paszy i nasion dla wszystkich, oraz rozsprzedażą między członków, niemniej odsprzedażą płodów rolniczych, wyrobów przemysłu domowego, sprowadzaniem maszyn i narzędzi rolniczych, rozszerzaniem wiadomości gospodarczych i godzeniem sporów między członkami powstałych w drodze polubownej. Ogólna liczba członków kas Raiffeisena wynosiła do dwóch miljonów przed wojną, liczba udzielonych przez nie pożyczek około 2 miljardów marek niem. Ogromne zasługi kas tych podczas wojny dla Niemiec są powszechnie znane. Dla zakupna soli potasowych i żużli Tomasa stworzyły Niemcy dwa ogromne centralne związki zakupu; podobne centrale powołały do życia dla wspólnego zakupu roślin pastewnych, a inną dla wspólnego zakupu maszyn i narzędzi.

Szwajcarja w dziedzinie rolnych kooperatyw wytwórczych poszła za wzorem Danji. W Oberwil (kanton Bazylea wieś) członek Rady narodowej Stefan Gschwind w r. 1891 założył stowarzyszenie, obejmujące tak rolników jak i robotników, celem zaopatrywania ostatnich w środki żywności. Stowarzyszenie to podejmowało się także przeróbki produktów wiejskich, kupiło ono dla wspólnego użytku członków rolników naprzód młocarnię, potem inne maszyny rolnicze, wystawiło hotel w Oberwil, urządziło kasę oszczędności, zakład kąpielowy, pralnię, towarzystwo elektryczne, cegielnię, ubezpieczenie dla członków, fabrykę mydła i własną piekarnię. W roku 1919 wartość wszystkich realności stowarzyszenia wynosiła już $1^1/_2$ miljona franków a obrót $5^1/_2$ mil. franków. W r. 1920 przekształcono je na ogólne stowarzyszenie spożywcze obu kantonów bazylejskich, któremu chłop

okoliczny sprzedaje dziś wszystkie swoje produkty, dzięki czemu pośrednik kupiec staje się zbyteczny.

Włochy są przedewszystkiem krajem spółdzielni wytwórczych. Liczba ich dosięgła w 1911 r. 564. Dla dostarczenia kredytu zarówno spółdzielniom jak i poszczególnym robotnikom, zakładającym samoistne warsztaty pracy, pomyślany jest Bank pracy, założony z inicjatywy byłego ministra Luzzatiego w r. 1911. Stowarzyszenia robotników budowlanych wzniosły domy robotnicze w Reggio Emilia, wykonały restaurację pałacu Sforzów w Medjolanie z wielkim gustem i poczuciem piękna. Stowarzyszenia robotników ziemnych wykonały roboty regulacyjne na rzece Reno. Budowę kolei między Reggio a Ciano wykonało konsorcjum złożone z 38 stowarzyszeń robotniczych, a kaucje na zabezpieczenie przyjętego obowiązku eksploatacji kolei złożył za konsorcjum słynny bank stowarzyszeń spółdzielczych w Medjolanie »Umanitarja«. Między Tolmezzo i Cavazzo-Carnico stowarzyszenie robotników ziemnych zbudowało most długości 400 m. z końcem 1913 r. Włochy rozbrzmiewają dziś hasłem: »precz z pośrednikiem!«. Pod tem hasłem zawiązał się w Genui w 1911 r. komitet, a medjolańska izba pracy w tym samym roku oświadczyła publicznie, że hasło to uznaje za swoje.

Dalszą specjalność Włoch stanowią dzierżawy kollektywne. Polegają one na wydzierżawianiu gruntu przez stowarzyszenie, poczem uprawę wykonuje bądź samo stowarzyszenie, bądź poszczególni poddzierżawcy. Inicjator tego ruchu, Dr. Mori, pobierał tytułem czynszu dzierżawnego od poddzierżawców połowę czystego zysku po potrąceniu zwyczajnej płacy zarobkowej, nadto odnajmował im swój inwentarz żywy i martwy za opłatą 4%. Rezultatem tych stowarzyszeń jest wszędzie tam, gdzie się one pojawiły, zwiększona znacznie wydatność ziemi, każdy bowiem ma zwiększony zapał do pracy, gdyż pracuje dla siebie. Stowarzyszenia w Fabrico, Reggiolo, Brunieto, S. Vittoria dokonały tego, że na gruntach przez nie dzierżawionych zapotrzebowanie sił roboczych zwiększyło się czterokrotnie. Gdy Pad w S. Vittoria groził wylewem, członkowie stowarzyszenia usypali w ciągu jednego dnia wał ochronny $1^1/_2$ m. wysoki na długości 900 metrów, co ogólny wywołało podziw. Robotnik najemny oczywiście nie okazałby ani części tej gorliwości.

Francja odznacza się rozwojem swych syndykatów rolnych, których liczba dochodzi do 3200, obejmujących około 700.000 członków. Dokonują one zakupu nawozu, nasion, paszy dla bydła głównie

za pośrednictwem związków okręgowych, z których najbardziej znane są i najlepiej się rozwijają związek północno-wschodni tudzież związek w Bourgogne i Franche-Comté. Po departamentach znajdują sie magazyny przeznaczone dla syndykatów, w których znajdują się towary najlepszej jakości zakupione po cenach hurtownych. Zakupy te reprezentowały rocznie przed wojną kwotę 200 mil. franków. Nadto istnieją tam stowarzyszenia dla dostarczania członkom młocarni parowych, wielkich pługów, siewników, inne stowarzyszenia dla wspólnej obrony przeciwko szkodliwym owadom, dla polepszenia rasy bydła, dalsze dla kredytu rolnego, ubezpieczeń od pomoru bydła i pomocy wzajemnej na wypadek choroby. Stowarzyszenia sprzedaży zorganizowały sprzedaż świeżych jarzyn, jagód, kwiatów, jabłecznika, masła, serów oraz wywóz jarzyn i owoców do Anglji. Główne siedziby stowarzyszeń wytwórczych rolnych znajdują się w departamentach obu Charentes i Poitu, Centralna spółdzielnia zakupu w Poitu liczyła przed wojną około 50.000 członków, posiadających przeciętnie po dwie krowy i dokonywała sprzedaży za 24 mil. franków rocznie. W dziedzinie stowarzyszeń wytwórczo-przemysłowych spółka dla rozwoju mechanicznego tkactwa w Lyonie dostarczyła robotnikom samoistnym nie najemnym taniej siły motorowej w formie elektryczności i to także i na wieś, dzięki czemu tkacze mogą tam pracować w zdrowem powietrzu w o wiele higjeniczniejszych warunkach pracy. W ten sposób robotnik utkać mógł dziennie 8 m. materji zamiast 4-rech, zarabiał więc dwa razy tyle jak dawniej. Za dostarczenie prądu i instalację opłaca się pewną kwotę, amortyzowaną w dogodnych ratach. Taki sam przewrót dokonał się w St. Etienne. I tam istnieje towarzystwo wydzierżawiające motory elektryczne drobnym producentom. Czas jakiś nie rozwijały się we Francji stowarzyszenia budowlane. Dopiero dzięki prawu Ribota rząd uchwalił subwencjonowanie ich kwotą 100 mil. franków na 2% pod warunkiem, że towarzystwa te sprzedawać będą zbudowane przez siebie domki robotnicze przy kredytowaniu większej części ceny kupna najwyżej na 3·5%. Nadwyżka procentu pokrywa koszta administracji stowarzyszeń i premję asekuracyjną dłużników obowiązkowo ubezpieczanych na nieprzewidziany wypadek śmierci przed terminem zapłaty długu aż do wysokości udzielonego kredytu.

W Belgji kooperatywy tak są rozpowszechnione, że kiedy nawet w Anglji członkowie ich stanowią 4·8% ogółu ludności, w Belgji stosunek ten dochodzi do 7·5%. Pracują w nich zarówno socjaliści jak i obóz katolicki. Kooperatywy te posiadają własne młyny, mleczar-

nie, maślarnie, mają własne biura zakupu. Stowarzyszenie Vooruit w Gandawie prowadzi własne zakłady szewskie i krawieckie. Wielkiem poparciem rządu cieszą się stowarzyszenia budowlane, które wzniosły do roku 1905 30.000 domów robotniczych. Stowarzyszeń ubezp. od pomoru bydła było przed wojną 850, a wysokość ubezpieczenia wynosiła 75 miljonów fr.

W Stanach Zjednoczonych około 2 miljonów rolników grupuje się w stowarzyszeniach wzajemnych ubezpieczeń od pomoru bydła. Towarzystwa budowlane miały 1,750.000 członków, a wydały na budowy zwyż 600 miljonów dolarów. Liczba zbudowanych przez nie domów wynosiła 350.000. Dzięki działalności tych stowarzyszeń w Filadelfji powstała wielka liczba zabudowań nie czynszowych, przeznaczonych jedynie do zamieszkiwania przez samych właścicieli.

Kooperatywy sięgają wyjątkowo nawet w dziedzinę wielkiego przemysłu. Znanym jest rozwój huty szklanej w Albi i stowarzyszenia górników w Monthieux, von Markena w Delft, Godina w Guise oraz wzorowych zakładów optycznych tzw. Zeissowskich w Jenie, które pierwotnie stworzone jako przedsiębiorstwo prywatne, po przekształceniu ustroju wewnętrznego i dopuszczeniu robotników do współzarządu i udziału w zyskach w roku 1918, zaliczyć można również do współdzielni.

Ponadto uderza nas jeszcze jedno zjawisko, mianowicie widzimy, że wszędzie gdzie kooperatywy osiągnęły pewien stopień rozwoju, żadna z nich nie zadawalnia się sukcesem we własnej dziedzinie, ale wszystkie łączą się w związki, że sięgają intencjami, wpływami i czynem w dziedzinę innych współdzielni.

Jest zadaniem spółdzielni zbliżyć wieś do miasta, wykazać jednej i drugiemu, że niema między niemi sprzeczności interesów, lecz że jest głęboka solidarność. Ponad głowami tych, którzy sieją tu i tam nieufność, ponad interesami tych, którzy sztucznie rozdzielają, rolnik i wytwórca przemysłowy w kooperatywach mogą i winni podać sobie ręce. Polska otoczona nieprzyjaciółmi ma prawo żądać od jednego i drugiego, aby się zbliżyli. U wrót kooperatyw znikają partje i uprzedzenia polityczne. Równie pożądani tu ludzie wszystkich obozów, jak śp. ks. Wawrzyniak i b. minister Wojciechowski, Franciszek Stefczyk i ks. Adamski. Zbliżenie wzajemne, nawiązanie i wzmocnienie stosunków, wygładzenie różnic i wykazywanie wspólnych interesów między stowarzyszeniami dla zakupna i sprzedaży, spożywczemi a wytwórczemi, otworzyć nam może wspaniałe horyzonty.

Największem nieszczęściem naszego narodu nie jest ani brak naturalnych granic ani zachłanność sąsiadów, których wspomnienia historyczne każą im nas zwalczać, ani nawet ciężkie przesilenie finansowe, przez które obecnie przechodzimy. Za największą klęskę naszą uważam zaciekłą walkę partyjną, nie przebierającą w środkach. Ona utrudnia zapewne i rozwinięcie ruchu spółdzielczego, ale ten ze swojej strony posłuży do jej osłabienia. Francja, która w tylu dziedzinach szła na czele ruchu społecznego, w dziedzinie spółdzielczości pozostaje w tyle za innemi narodami. Powodem tego, jak stwierdza prof. Gide w przedmowie do przekładu dzieła Müllera o teorji walki klasowej i zasadzie ruchu spółdzielczego, jest również fakt, że partyjność tam wyrasta ponad pracę społeczną. Wyraz neutralność, powiada Gide, u nas się nie podoba, wydaje się poniżający, dlatego proponuje nazwę kooperacji otwartej, tj. otwartej dla wszystkich, z odróżnieniem zamkniętej, tj. przeznaczonej tylko dla pewnych stronnictw.

Krapotkin w pięknem dziele o pomocy wzajemnej cytuje Darwina słowa: „spólnoty zawierające w sobie największą liczbę jednostek zdolnych do współżycia, rozwijają się najpomyślniej". Z chwilą, gdy będziemy zdolniejsi do spółżycia, niż dotąd, będzie nam bez wątpienia lepiej. Cnotę solidarności wyrobić w nas może przedewszystkiem uczestnictwo w ruchu spółdzielczym.

Prof. Dr. Leopold Caro

Krzyże i trudy hetmańskie.

I. Krzyż cecorski.

Nieszczęsna Cecora! Klęska poniesiona przed okopami obozu nie byłaby tak dotkliwą, gdyby nie nastąpił bunt żołnierzy, »bałuch«— jak zwał Stanisław Żółkiewski trwogę i zamieszanie w obozie, wybuchłe nazajutrz po bitwie, tj. 20 września 1620. Wobec zbiegostwa wielkiej części wojska, wódz wyprawy postanowił cofnąć się do Polski taborem, wozami w czworobok ustawionemi opasującemi wojsko, i wśród walk ustawicznych z wieszającemi się nad topniejącą armją Tatarami, dotarło wojsko prawie aż do Dniestru, za którym już poczynały się ziemie Rzptej. Im bliżej ojczyzny, tem bardziej niesforność, swawola, rabowanie wozów, ucieczki oficerów i żołnierzy osłabiały siły kilkutysięcznego już tylko wojska. Za ucieczką oficerów rozluźniła się dyscyplina i upadła powaga obu hetmanów. Oni trzymali rząd, oni taborem doprowadzili wojsko niemal już do polskiej granicy, a tu przed samą granicą wojsko radzi, aby komunikiem, tj. porzuciwszy wozy i armaty, uciekać do Polski. Inni jeszcze gorszą dają radę, aby zbatożywszy konie, postępować za nimi pieszo. Hetmani widzą nieroztropność rady; ich jednak przedstawienia są bezskuteczne i zamęt dochodzi do tego stopnia, że któryś z żołnierzy woła: »hetmani uchodzą«! lecz tejże chwili pada przebity szablą hetmana polnego, Stanisława Koniecpolskiego.

Hetmani zsiadają z koni i okazując jawnie, że chociaż rada wojska niedołężna, jednak miło im będzie zginąć wśród niego, postępują pieszo. Ci jednakże, którzy pobatożyli konie i przodem poszli, zamiast sformować linję, za którą wojsko pieszo miało postępować, dosiedli koni i poczęli uciekać w rozmaite strony, wpadając oczywiście w ręce Tatarów i Wołoszy. Koniecpolski podaje luźnego konia Żółkiewskiemu prosząc, aby z innymi ratował drogie ojczyźnie życie. »Ty wsiadaj nań — odpowie hetman — i życie zachowaj na lepszą kiedyś usługę

Rzptej, ja niechaj ciałem swem zawalę drogę wrogowi do ojczyzny«. Wsadzono starca na konia i wnet z boku przypadło kilkuset konnych, wraz z którymi hetman zginął w walce z przeważającemi siłami Tatarów.

A hetman polny? Ten miał ocalić życie, według słów Żółkiewskiego — dla dobra ojczyzny, ale wśród trudów i krzyżów, których zadatkiem niejako na dalszą cierniową drogę życia a zarazem bolesną przestrogą i nauką była Cecora. Pieszo w kilkunastu, później już tylko samoszóst, odstrzeliwując się zdąża ku lasom: tu pada, zasypia snem twardym a zdrajcy Wołosi, zamiast go odnieść na polską stronę, przystawiają go perkułabowi sorockiemu, który go oddał w ręce Turków. Iskinder basza kazał więźnia okować i wsadzić do wieży w Białogrodzie, dając mu do poznania, że za 50 tysięcy dukatów wypuści go z niewoli. Wśród starań rodziny o wydostanie pieniędzy na okup nadszedł rozkaz z Carogrodu stawienia więźnia przed wezyrem, Dżurdżi Mohamet baszą, Ten na zwołanym dywanie czyni więźniowi ofertę, aby przyjął mahometańską wiarę, a otrzyma dowództwo w wojnie perskiej i co zdobędzie, będzie jego własnością; w razie odmowy marnie zginie w niewoli.

»Gdybym Bogu i królowi wiarę złamał — odpowie hetman — i waszej pewnie nie miałbym«.

Po tej odpowiedzi odwieziono więźnia do czarnej wieży, znanej dobrze w Polsce Jedykuły, milę od Carogrodu, gdzie półtrzecia roku przecierpiał hetman polski w okowach. Na noc jeńców kładziono rzędem na wznak, a nogi w kłodę wciągano — na dzień tylko godzin dwie byli jeńcy wolni, jednakże pozostawali w okowach. Był wśród nich także i książe Samuel Korecki, również jeniec z pod Cecory, przeniesiony później do innej sali. Wśród nocy bezsennych, słyszał hetman, jak tego bohatera dusili ręcznikami spahowie. I na drodze do ojczyzny z powrotem z niewoli, po przybyciu posła polskiego ks. Zbaraskiego do Carogrodu z propozycjami pokoju, które Porta przyjęła, groziły hetmanowi niebezpieczeństwa w drodze przez Węgry od Betlen Gabora. Ominął je szczęśliwie, dzięki Węgrzynowi, który sługiwał w Polsce na dworze Koniecpolskich i przestrzegł hetmana o zasadzce.

Przed wielkanocą 1623 r. był już hetman w Krakowie. Ojczyzna była wprawdzie po sławnej bitwie chocimskiej niejako w pokoju trwałym z Turcją, atoli hetmana, powitanego z radością, czekały trudy wojenne...gdyż obrona granic wschodnich, wojna szwedzka i mnogo innych krzyżów, które z kolei poznamy.

Przedewszystkiem z cecorskiej klęski powziął najgłębsze przeko-

nanie, że swawola żołnierska sparaliżuje wszelkie zamiary wodza i do zguby chociażby najdzielniejsze wojsko doprowadzi. Zastał tę swawolę w ojczyźnie występującą z brzegów, niszczącą obywateli, dobra ich, z krzywdą i uciskiem włościan. Przypomnieć należy, że był to początek wojny trzydziestoletniej, kiedy to ajenci cesarscy i posłowie, jak Althan, werbowali w Polsce wojska, kiedy konfederacje wojskowe moskiewskiego, chocimskiego zaciągu Lisowczyków rozuzdały żołnierza do tego stopnia, że złym przykładem jakby wallensteinowskiego wojska był bitnym, ale skończonym rabusiem. Lisowczycy wracali zdemoralizowani z Niemiec, szerzyli postrach w ojczyźnie, kwarciany żołnierz, z leż rozpuszczony, grasował na Wołyniu, cudzoziemski na Podolu i Podgórzu, król na skutek skarg szlachty wzywał hetmana do użycia swej władzy celem zaradzenia złemu. Władza ta była niemałą od czasów Zamojskiego i Żółkiewskiego, konstytucjami sejmowemi rozszerzono ją tak dalece, że hetman był panem życia i śmierci i mógł korzystając z ustaw poskromić swawolę żołnierza. W ciągu niedługiego czasu uspokoił też hetman ojczyznę od nierządu żołnierzy, ujął silną dłonią dyscyplinę, ukrócił swawolę, co było o tyle bardziej koniecznem, że mimo zawartego pokoju z Osmanem, ze wschodu groziły dalej niebezpieczeństwa; co gorsza — Tatarzy tak z Budziaku, jak i z Krymu, napadali na kresowe ziemie, a w listopadzie 1623 r. niepomierne poczynili szkody. Podczas tych gróźb hetman w kresowych ziemiach, z Baru, gdzie przykładem Żółkiewskiego pilnował szlaków tatarskich, karcić mysiał wyuzdaną swawolę, chronić obywateli, włościan od żołnierskiego ucisku, zapraszać ziemian do niszczenia swawolników, bronienia im przepraw, przechodów, i niebawem już zapanował spokój także i na kresach. Natomiast coraz bardziej groził Tatarzyn i już w styczniu 1624 r. z Baru upominał hetman kresowe województwa do ostrożności, gdyż już nie lada dzień, ale lada godzina trzeba było obawiać się, a »kto ochotny, niechaj spieszy do mnie do obozu«! Co prawda Tatarzyn rzadko w mrozy styczniowe napadał na polskie kresy, ale hetman w interesie jak najostrzejszej dyscypliny, przez szpiegów wiedząc o najskrytszych zamysłach wrogów, donosił o nich ziomkom i wojsku, aby tem lepiej jednych i drugich utrzymywać w karności i pogotowiu wojennem. Rygor podobał się ziemianom, więc polecili posłom starać się na sejmie o podwyższenie żołdu dla żołnierza, »skoro już dyscyplina tak sroga za szczęśliwym rządem hetmana nastąpiła«. W połowie maja otrzymują już rotmistrze kresów rozkazy pod surowem karaniem: skupić pod komendą pozostające oddziały i ruszyć ku Trem-

bowli, gdyż Tatar z niemałem wojskiem opuścił Budziak i idzie ziemią wołoską. »A kupić się — dodawał hetman — nie pojedynkiem i w ostrożności a porządnie! Ja Boga na pomoc biorąc, na koń wsiadam«!

Z wielkim graczem wojennym Kantymirem, budziackich Tatarów władcą, miał do czynienia hetman. Zwłoka w najeździe nastąpiła, jak objaśnia hetman z obozu pod Gorczyczną (6 czerwca) z tego powodu, że Kantymir z wielkiem wojskiem następuje, zamyślając głęboko w ziemię wtargnąć i koniom folguje, chcąc z uprzykrzeniem trwóg napaść. W parę dni później posunął się hetman na zachód pod Petlikowce w kierunku wołoskim, szlakiem idących Tatarów i 11 czerwca na ruszaniu się wojska z pod Petlikowiec uniwersałami daje znać: »Już wróg w ziemi. Ja za nim! A tu żadnej roty nowego zaciągu nie widać? Napominam, abyście w ostrożności do Halicza się przebierali, kędy ja, jeżeli nie dziś, tedy o jutrze będę. Każdy zna artykuły wojenne! Jeden drugiemu uniwersałem podawajcie«!

Oto szkoła dyscypliny. A rezultatem zwycięstwo pod Martynowem, gdzie popadli Tatarzy w zgubną dla nich pułapkę 12 czerwca 1624 r.; w parę dni później rozgromiono ich kosz, odbito tysiące jeńców, a ostatek hordy padł pod Chocimierzem.... Kantymir stracił wojsko, dwóch synów, sam był ranny; tysiące dzieci przyprowadzono z obozu tatarskiego do hetmana, ktory je oddziałami na wozach odesłać kazał rodzicom. W Haliczu w kościele Św. Stanisława wysłuchało zwycięskie wojsko *Te Deum!*

Jeżeli jednak wprowadzona przez hetmana dyscyplina miała trwałe na kresach odnieść skutki, należało objąć nią całe i najdalsze kresy. Tam atoli panowała jeszcze większa swawola aniżeli ta, którą hetman zniósł w Polsce. Na Ukrainie Kozacy bawili się swawolenstwem jeszcze bardziej, aniżeli to czynił chociażby najwyuzdańszy zaciężny żołnierz; dawali się we znaki ludności wiejskiej i miejskiej, spowodowywali skargi na się do władz, do króla, do sejmów. Rzpta, chcąc być matką wszystkim ludom swoim, usiłowała sposobem pogróżki zaradzić złemu, wysyłając komisje zbrojne pod dowództwem hetmana, by swawolników ujęły w karby posłuszeństwa. Komisję taką w 1625 prowadził hetman, a z jakim skutkiem, dowiemy się z późniejszego ustępu. To pewno, że była ona koniecznością, jeżeli pokoj z Portą zawarty miał być trwałym. Kozacy bowiem na swą rękę, podobnie jak Tatarzy, urządzali wyprawy napastnicze, uderzali na prowincje tureckie, pobudzając tem Portę do odwetu, skierowanego oczywiście przeciw Polsce.

Hetman sądził, że komisją zaradził niebezpieczeństwu wojny

z Portą. Uzasadniając na sejmie 1626 potrzebę większej płacy Kozakom, odwoływał się na owe ustawiczne najazdy tatarskie, a tem samem i na potrzebę większych wojsk i sojuszników. »Dał Bóg wielkie zwycięstwo nad Tatary«, wspominał o pogromie martynowskim i zachęcał do dalszych, a to sposobem, który hetman zawsze zastosować może, tj. »by od kwietnia do grudnia w myśl konstytucji 1593 r. na Ukrainie w obozie leżał żołnierz, a stacje aby nie wożone były z krajów ruskich. Gdy zaś Tatarzy przez Wołochy napadną, należy rwać ich z tyłu razem już z Kozakami, którym należy uchwalić jeden pobór i dawać dla ochrony«. Nadzieje hetmana w części przynajmniej spełniły się, albowiem rok 1626 minął bez większych szkód od Tatarów, owszem nawet klęskę ponieśli oni w jesieni pod Białą Cerkwią. Grasowali w lutym na Wołyniu, około Zbaraża, później ruszyli na Tarnopol; hetman stanął na milę od kosza na Monasterzyskach, lecz Tatarzy uciekli.... natomiast w jesieni, jak wspomniano, poniósł Nuradyn klęskę od najznakomitszego z oficerów hetmańskich Chmieleckiego, zwanego pogromcą, biczem Tatarów, a to przy pomocy Kozaków. Pod takim oficerem, jakim był Chmielecki, można było pozostawić kresy, byle Turcja nie podjudzałą Tatarów. Hetman widząc, że będzie musiał niebawem opuścić kresy i udać się na teatr wojny ze Szwedami, do Prus królewskich i na Pomorze, starał się na drodze dyplomatycznej upewnić przyjaźń Porty dla ojczyzny. Pograniczni baszowie na jego skargi co do napadów tatarskich radzili haraczem uspokoić tatarską drapieżność i rabusiostwo. Oto, co pisał hetman w odpowiedzi kajmakanowi z Baru 6 lipca 1626 r. — »Pokaraliśmy Kozaków w zeszłym roku, nagrodziliśmy szkody. A czemuż wy, widząc, że szczerze i prawdziwie przestrzegamy pokoju, nie pohamujecie Tatary? Jesteś od Boga obdarzony dojrzałym rozsądkiem, mądrością, masz doświadczenie, biegłość, wiesz, co się dawnych czasów działo na świecie, zaczem i to wiesz, dlaczego i jakim sposobem te upominki (ulafa) są pozwolone od naszych królów Tatarom. Dołożono, żeby na każdą wyprawę stawali pod rozkazy króla, że gdy szkodę uczynią państwom króla, tego roku nie będzie im daną ulafa, bo upominki są dla przyjaciół — a że jedynie rok przeszły był wolny od ich najazdu, więc daliśmy tylko od roku przeszłego. Zginęło cokolwiek Tatarów u nas, piszesz nam; ależ oni z trawą rosną... a król nasz znajdzie sposób podcięcia korzenia i tej trawie, że nie będzie tak bujnie rodzić. Bo i kozacka matka bardzo była płodna, a przecie król dla waszej przyjaźni złe umniejszył... I teraz pokarał

tych, co na morze chodzili. Jasyr do Oczakowa odesłano i popalono czółna tym, co na morze chodzili... Tak i wy pokarzcie Tatary«.

Ale już w miesiąc później, gdy hetman szybkiemi marszami zdążał ku Prusom, wobec niebezpieczeństwa od Tatarów musiał Jan Daniłowicz, wojewoda lwowski, za radą króla i senatorów zwoływać szlachtę pod Wiśnię, a więc zbrojno nad rzekę Rak, aby zarządzić obronę ziem kresowych. Ostatecznie kresy zdane były na przyjaciół hetmana, Daniłowiczów, Odrzywolskiego i na bohatera kresowego, strażnika koronnego Chmieleckiego.

Istotnie przez cały czas bojów hetmana w Prusiech i to z takim wodzem, jakim był Gustaw Adolf, kresy wprawne w dyscyplinę, o dobrze zorganizowanej obronie cieszyły się względnie bezpieczeństwem i spokojem. Jeszcze tylko Kozacy wyłamywali się z karbów danej im organizacji i nałożonych obowiązków.

Pod koniec wojny z Gustawem Adolfem nadchodziły do hetmana coraz groźniejsze wieści tak o swawoli kozackiej, jak i o niepokojach kresowych. Swawola kozacka wylewa z brzegu, nie dbając na komisje i zakazy hetmańskie, mówiono na sejmie 1630 r., i znowu wysadzono do boku hetmańskiego komisję, z zadaniem ujęcia w karby Kozaków w myśl poprzedniej kurukowskiej komisji. W pierwszych dniach lutego 1630 r. był już hetman na stanowisku w Barze. Zatrzymały go tu sprawy tak organizacji owej ekspedycji kozackiej, jak i uporządkowania spraw kresowych. Tutaj bowiem po śmierci Chmieleckiego, czyniono zaciągi do Wołoszczyzny, nie zważając na ostre prawa, zabraniające takowych, ani na pokój Polski z Turcją. Imieniem króla zabronił hetman takowych zaciągów, ściągających niebezpieczeństwo na ojczyznę. »Inaczej bowiem — groził on — każdy z owych nieposłusznych jako przestępca prawa będzie karany«. Szło tu o niemięszanie się w niepokoje mołdawskie, wybuchłe przeciwko Mironowi Bernawskiemu, mołdawskiemu wojewodzie, zwolennikowi przyjaźni z Polską i mającemu nawet dobra w Polsce (Ujście nad Dniestrem), aby się tu móc schronić na wypadek złożenia go z tronu na skutek agitacji tureckiej. Porta zaś, pobudzana przez najazdy kozackie, przez knowania ich z Szahin-Girejem, groziła wprost wojną Polsce i wezyr zagroził, że skoro najmniejsza stanie się szkoda od Kozaków, on ich w Polsce szukać nakaże. Na wrzesień, mimo że wiedziała o zbrojnej komisji przeciwko Kozakom przez hetmana dokonanej, skierowała Porta ogromny najazd tatarski pod Dewlet-Girejem, Dżanibeg-Girejem i Kantymirem na Polskę. Z obozu nad Wołczkiem, w październiku 1630, przestrzegał hetman

ziemian kresowych o przeprawieniu się ord pod Oczakowem, że obóz rozłożył przy Kuczmani między czarnym a pokuckim szlakiem i zapraszał ziemian a oficerów... pod karą. Pod Obelnicą (koło Rohatyna) poniosła Orda dużą klęskę, ale wielka ich część uszła przez Dniestr.

W styczniu 1631 r. był już hetman w Brodach, nie zadowolony ani z rezultatów wyprawy kozackiej ani też ze zwycięstwa nad Tatarami. Bo oto przestrzega szlachtę uniwersałami, że wprawdzie tak Murteza, basza Sylistrji, jakoteż i beglerbeg oczakowski upewniają go, iż niema żadnej obawy od Porty, ale ma wiadomość, że kilka tysięcy Tatarów połączyło się na Budziakach z Kantymirem i częścią z niedostatku, częścią pobrataniem się z Kozakami wzmocnieni, chcą wtargnąć. Czuwano tedy na kresach, a jeszcze w grudniu obsyła hetman kresy okólnem pismem z Baru, że byle rzeki stanęły i zima się ustaliła, Tatarzy będąc w pogotowiu na Budziakach, zamierzają wtargnąć. Jeszcze latem 1632 przed elekcją Władysława IV z obozu pod Glinianami grozi hetman kresowym ziemianom, że Kantymir z Budziaku wtargnie w tym tygodniu przed pełnią niewiadomo którym szlakiem, i że luboby zamyślał jechać na elekcję, nie może odbieżeć tych krajów, żeby wróg nie odniósł pociechy. Surowo napomina oficerów z zaciągu, którzy się nie stawili, jak najspieszniej przybywać do obozu. Po elekcji pilnuje hetman kresów od koczowników w obozie na charzowskim moście, lecz dopiero następnego roku w lipcu odnosi zwycięstwo nad poganami.

Ci bowiem, korzystając z tego, że Rzpta zaprzątnięta była wojną moskiewską, pobudzani do akcji złotem moskiewskiem, gotowali się do najazdu na Polskę. W Barze stał hetman na straży kresów wschodnich i południowych, skąd bacznem okiem pilnował ruchów tak Ordy, jak i baszów tureckich.

Tatarzy budziaccy wtargnęli na Podole, przeprawiwszy się przez Dniestr pod Chocimem, a spustoszywszy kraj około Kamieńca, wnet z łupem uszli drogą świeżo do Polski przebytą do Mołdawji. Tutaj atoli w pogoń za nimi idący hetman pobił ich w 2500 jazdy pod Sasowym Rogiem 24 lipca 1633 r. i łupy i jeńców odebrał. Napad miał miejsce za zezwoleniem Porty, albowiem w ślad za napadem armja turecka, posiłkowana przez 25.000 Mołdawian i Tatarów, skierowała pochód na Polskę i to na główną twierdzę polską od wschodu, Kamieniec. Czuwający w Barze hetman upominał w początkach sierpnia ziemian przed jawnem niebezpieczeństwem, pobudzał do gotowości, do spiesznego łączenia się z wojskiem i jawnie pisał, że pogaństwo, korzystając z okazji, że Rzpta teraz zaprzątnięta jest wojną moskiewską

za ekskursjami Kozaków na morze i praktykami Moskwy, nie tylko tatarskiemi wojskami, ale i tureckiemi zmierza do państw króla, aby potężnie nastąpić na nas. Nawet król z dalekiej Orszy wysyłał do kresowych ziemian przestrogi, a w końcu września stał już hetman obozem pod Kotuzanami, drugiego października pod Łuczyńcem, dając stąd znać, że nieprzyjaciel doszedł do Cecory, skąd spiesznie zmierza ku Kamieńcowi i że hetman z niemniejszym pośpiechem biegnąc ku niemu, raz ostatni wzywa komu sława miła do kompanji.

Zebrało się ziemian dosyć, tak, że pod Paniowcami, gdzie na zasłonę Kamieńcowi okopał się hetman nad Smotryczem, było 11 tysięcy wojska, bronionego trzema szańcami, za któremi stały dwa tabory. Prawe skrzydło poruczył hetman Wiśniowieckiemu, lewe staroście kamienieckiemu. Turcy uderzali na obóz fortyfikowany, ale 22 października tak srodze pobił ich hetman, że musieli odstąpić od szturmów, a wnet »żalem, klęską, hańbą nakarmiony wróg opuścił granice polskie«..

Ale hetman czuwał dalej z Baru nad bezpieczeństwem kresów, a zarazem i całej ojczyzny. Jeszcze w styczniu 1634 r. z Łabunia otrzymywała szlachta przestrogi hetmańskie, że wróg ma zamiar wpaść, żeby spieszono do wojska, dla dania wstrętu! Pospieszył hetman do Lwowa pod koniec stycznia dla przygotowania silniejszego odporu. Istotnie 14 marca sejmik wiszeński uchwala, aby w razie najazdu Abazy baszy teraz, pod niebytność króla w ojczyźnie, gdyby wojsko przy hetmanie nie wystarczało, pospolitem ruszeniem, ale tylko na wypadek wielkiego najazdu Turków, odeprzeć wroga. Obóz założył hetman w Uściu i pod koniec marca kilkakrotnie wzywał szlachtę »przez sławę narodu, przez imię słodkie wolności do ratunku ojczyzny«. Nie oddajcie Imię Boże, Kościoły Jego na sromotę — wołał do ziemian kresowych, których chwalił, że ochotnie stawiwszy się pod Sasowy Róg i pod Paniowce, piersiami swemi Rzptę wspierali i do koczowisk wroga odpędzili,

A było to w czasie, kiedy Rzpta wysłała słynnego ziemianina lwowskiego Trzebieńskiego do Murada IV, aby zażegnać wojnę, albo też przyjąć ją, ale otwarcie, nie w sposób podstępny, jak ją Turcy bez wypowiedzenia rozpoczęli. Wiedział hetman, że Turcy, przez posłów i agentów moskiewskich złotem ujęci, pobudzeni zwycięstwami króla na północy, już jawnie nieprzyjaźń wypowiadają, że gońca króla do Stambułu nie przypuszczono, a Trzebieński w drodze przez Abazę baszę był zatrzymany, co bardziej, że Murad dani od nas żąda i bajram za kilkanaście dni przypadający odprawiwszy, wyrusza przeciwko

Polsce. W lipcu i sierpniu, gdy sprawa wojny lub pokoju groźną chmurą zawisła nad Rzptą, stał hetman na kresach i odpędzał hordy tatarskie. Z pod Zielenca 24 sierpnia donosi ziemianom, że Bóg nie pobłogosławił wrogom, że tatarskie ordy nic nie obłowiwszy i godzin kilka zabawiwszy się z niemałą szkodą wrócić się musiały. Natomiast zawiadamiał o ruszeniu się wojsk tureckich w kierunku granic Rzptej, czem spowodował, że król, powróciwszy do Warszawy z wyprawy moskiewskiej, w połowie sierpnia wiciami zwoływał szlachtę na pospolite ruszenie. Ale do obozu na Oryninie nie śpiesznie przybywała szlachta kresowa i hetman 21 sierpnia napominał, by oziębłość i niepośpiech na stronę odłożywszy, śpieszyli i łączyli się, inaczej dadzą dowód, że »do zarabiania na sławę i łaskę królewską nie życzycie... Kto ochotny do mnie — woła w dni parę później — a wojskowi z obowiązku, którzy się pozad dostali, niech śpieszą!«

W taki sposób hetman przygotowany był zupełnie na odparcie nieprzyjaciela w czasie, kiedy i król pośpieszył do Lwowa, do grodu w pobliżu przyszłego terenu wojny położonego. Można przypuścić z papieskim dyplomatą Viscontim, że hetman pałał żądzą boju, że po zawarciu pokoju polanowskiego, wojny z Turkiem życzył ojczyźnie, by nie zaniedbała dogodnej pory, mając pod ręką wszystko gotowe do przepędzenia Turków za Dunaj. Ale — jak mówi Visconti — przeważyły obawy wielkiej wojny z potężną Portą, zwłaszcza, gdy rozejm z Szwecją wychodził i że zamiłowanie Polaków do pokoju paraliżowało wszelkie zamiary wojenne.... z czego korzystając Turcy, przyjęli wszystkie warunki polskie. Dyktował je hetman, domagając się, by Porta zniosła Tatarów z Budziaku, nie domagała się zburzenia twierdz polskich nad Dniestrem, uwolniła brańców, handlowi zupełną dała wolność. Hospodarem mołdawskim został Bazyli Łupul, który został niebawem wielbicielem genjuszu polskiego hetmana. Ten zaś, rozpuściwszy wojsko, pospieszył do Lwowa na komisję zapłaty wojska i wraz z kolegami upewniał żołnierzy, że nie będą pociągani do odpowiedzialności za szkody zdziałane przed rozpoczęciem komisji. Równocześnie odbywający się w Wiśni sejmik dziękował mu, że jak zeszłego roku tak i teraz, za sprawą jego poganin wstręt odniósł w swych zamysłach, lubo z wielką potęgą następował... »Wspaniały animusz wielkiego i dzielnego hetmana samą odwagą i usługą Rzptej kontentując się, nie potrzebuje pochwały — mówią ziemianie w grudniu 1634 r. — ale niech przykład pobudza innych do podobnych czynów».

I w 1635 r., w którym hetman brał udział w pokoju sztumdorfskim

ze Szwecją, Bełżanie dziękują hetmanowi za prace i odwagi, które jako zawsze, tak i pod te ekspedycje podejmował. Z czujnością hetman i w następnym roku stoi obozem około połowy lipca na kuczmańskim trakcie wobec pogotowia, z jakiem Tatar krążył nad kresami. Za tę czujność i przestrogi dziękują mu też ziemianie na sejmiku wiszeńskim. Mieli oni nadzieję stałego pokoju, lecz z pism hetmańskich dowiadują się, że Tatarzy, którzy mieli być zniesieni z Budziaków, z przyzwoleniem hospodara multańskiego fundują się tamże i do Wołoch się przenoszą, tak, że znowu kresy polskie na ustawiczne najazdy były narażone. Proponował tedy hetman spędzić z Budziaków koczownika, Wołoszynę, Siedmiogród i Mołdawję wziąść pod protektorat, mieć w pogotowiu pospolite ruszenie i Kudak wystawić na zatrzymanie Kozaków, słowem rozpocząć akcję celem ubezpieczenia ojczyzny od ciągłej niepewności od koczowników, jak i od Porty. W początkach 1637 r. tak król, jak i hetman, po klęsce Turcji zadanej przez szacha perskiego, parli wprost do skorzystania z okazji i do wypowiedzenia wojny; przybyło i poselstwo od chana, że gotów łącznie z Polską stawić czoło sułtanowi... Poseł francuski upatrywał w tem wszystkiem manewr celem otrzymania od stanów środków przeciwko Szwecji, a jednakże król i hetman myślą o wojnie wschodniej. Zamiary ich paraliżowały bunty kozackie. W początkach lipca miał już hetman w Brodach wiadomości o zamiarach Porty nieprzyjaznych Polsce, o pogotowiu, które z woli jej wojewodowie mołdawski i wołoski nakazali w swych krajach. Dając o tem przestrogę kresowym ziemianom, dodawał, że nie wątpi, iż ci zważając na służbę przeciwko poganom na przeszłym sejmie obwarowaną, nie odbieżą onej dla sławy narodu, dla całości i bezpieczeństwa Rzptej, dla wolności i swobód swoich, dla wiary świętej, dla kościołów Bożych, a na ostatku dla samych siebie. Gotowością tą znowu zażegnał hetman chmury groźne od wschodu. Bełżanie na swym styczniowym 1638 r. sejmiku każą podziękować hetmanowi, że na miejscu króla na tej strażnicy Rzptej zostawając, jako »czuły i na wszystkie strony opatrzny wódz, lubo ciężką chorobą od Boga złożony, *vegetus* jednak *animo,* radą i opatrznością swą *obiciendo sese fluctibus* i od pogańskich najazdów i od domowej swawoli całą nam ojczyznę zachował«. Było to po stłumieniu buntu Pawluka, toż dodają ziemianie, że skoro dzielnością hetmanów swawola kozacka w ryzę wprawiona, należy postarać się na sejmie, by już więcej od ich swawoli Rzpta nie była narażoną. W następnym roku 1639 latem uśmierzył hetman knowania buntownicze wojska, knują-

cego z powodu niezapłaty szkodliwe dla ojczyzny zamiary i znowu w Wiszni na sejmiku dziękują mu ziemianie i imieniem ojczyzny na sejmie każą podziękować.

Podczas gdy w Wiszni obradowali ziemianie, na wschodnich granicach panowała niepewność. Pod koniec stycznia 1640 r. bawiący w Busku hetman miał przestrogi, że Orda z pozwoleniem sułtana wyrusza w tych dniach, »naprzeciwko której ja idę z wojskiem. Nie wątpię, pisze hetman w uniwersale do ziemian, że piersiami naszemi wspólnie z wami, odwrócimy niebezpieczeństwo. Pilnie zapraszam, kto ochotny do kompanji«! Lecz Tatarzy tak szybko załatwili się z najazdem w marcu na Ukrainę, że hetman nie zdążył zasłonić Białej Cerkwi od spustoszenia na mil 20 w okręgu.

Wprawdzie wysłany do Murada poseł Miaskowski wrócił z potwierdzeniem pokoju, nie od Murada, który umarł w lutym, lecz od następcy tegoż Ibrahima, lecz kresy nie cieszyły się pokojem. Z Brodów około połowy grudnia 1640 r. wysyłał przestrogę hetman, że na nowiu przyszłego miesiąca wpaść zamierzają Tatarzy, i że z małemi siłami rusza ku Ukrainie. »A nie lekceważcie sobie, bo nie wiadomo którym szlakiem wróg wpadnie«. Ziemianie sami przeciwdziałali i zabezpieczali się przeciwko inkursji i jak w lipcu w Wiśni uchwalili pobory, które za hetmańskim oznajmieniem o niebezpieczeństwach od sułtana do senatorów miejscowych oddać, ci zaś obywatelów obwieścić mają i pobory na zaciągi żołnierza obracać... Tatarzy się wszakże nie zjawili; natomiast jak w 1639 r. tak i w 1640 przewodniczy hetman komisjom do zapłaty wojska, mając wiele do czynienia i dużo kłopotów do zniesienia. Pamiętają mu te zasługi dla ojczyzny z narażeniem zdrowia *in sago et in toga* świadczone. W lipcu 1641 w Wiśni podziękować polecono hetmanowi na sejmie za uspokojenie dwóch przeszłych komisji, na których z wielkim niewczasem swym, powagą i miłością u wojska *supplendo* defekty, zabieżał szkodliwym związkom i uspokoił burzące się wojsko, tak wielkie zła, jakie przedtem Rzpta od takich związków doświadczała, oddalając. Oczywiście, tak w Wiśni, jak i na sąsiednich sejmikach, polecono obmyśleć gruntowną obronę od pogan, wiszących jak groźne chmury nad wschodniemi ścianami Rzptej, a trudności odparcia wroga były tem większe, że — jak się wyrażał hetman — »w tak szerokich wrotach państw Rzptej trudno wiedzieć, którędy uderzy«. Ostatecznie, aby nie zdradzać przygotowań i zarządzeń, wydał 1643 sejm skrypt, *ad archivum*, do którego tak podskarbi jak i hetmani zastosować się mieli.

Z zarządzeń tych skorzystał hetman, zadając Tatarom straszliwą pod Ochmatowem klęskę. Dowiedziawszy się, że Tatarzy w styczniu, z powodu srogiej zimy, która im dokuczyła, wpadli na Ukrainę, ściąga wszystko wojsko, około 19 tysięcy pod Winnicę, podstępuje pod Ochmatów, gdzie taborem się obwarował, dając znać pułkom na Zadnieprzu, pod Jeremim Wiśniowieckim i Piotrem Firlejem, by przybywali. Bitwę szalonym napadem na wroga rozpoczął tak szczęśliwie Stefan Czarniecki, że ani dał się obrócić Tatarom. Kilka mil goniono Tatarów, ścieląc wiele trupa; odbito wielu brańców, a nad Siną wodą i w stepach oczakowskich dużo ich poległo od czyhających tutaj na nich Kozaków.

Na wieść o klęsce senat polecił wstrzymać podarunki Tatarom, do Porty wysłał ze skargą gońca Bieganowskiego. Mimo to z Portą, która przesłała przez czausza potwierdzenie paktów, trwają stosunki dobre. Kresowi ziemianie polecili podziękować na sejmie hetmanowi za odważenie zdrowia dla miłej ojczyzny, a wojsku ćwierć darować za prace i odwagi, zapłacić żołd Kozakom i traktamenta oficerom....

Ale spokoju nie było i zaraz w następnym roku wraca projekt wielkiej wojny z Turcją. Aby złożyć z siebie i ojczyzny straszny, nielitościwy, a ustawiczny krzyż tatarski, przemyśliwał hetman, czy nie należałoby już w myśl dążeń króla wypowiedzieć Porcie wojny. Przypatrzmy się wszakże zaraz drugiemu krzyżowi, jaki ciężył na hetmanie z powodu wojny szwedzkiej. Do tego cofnąć się nam trzeba nieco wstecz, do czasów, kiedyto hetman pośpiesznemi marszami z Ukrainy, zdawszy jej obronę na bohatera kresowego Chmieleckiego, zdążał ku drugiemu końcowi Rzptej nad morze Bałtyckie.

(C. d. n.)

Dr. A. Prochaska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. Joseph Keulers: Die Eschatologische Lehre des Vierten Esrabuches (Biblische Studien, XX. Band. 2 u. 3 Heft.) Freiburg Herder, 1922, str. X + 204.

Sumienne studjum nad nauką pseudo-Ezdrasza o rzeczach ostatecznych posiada znaczenie niemałe pod wielu względami. Najpierw poznanie jednego z najznakomitszych zabytków literackich późnego żydowstwa (z czasów Chrystusa Pana i pierwotnego chrześcijaństwa) ułatwia bardzo rozumienie tej psychiki religijnej i narodowej, która wielorakie odbicie znajduje również w pismach Nowego Testamentu. Studjum dr. Keulers'a, prostujące w wielu szczegółach zapatrywania poprzednich monografistów Ezdrasza, jak np. R. Kabischa, G. H. Boxa i innych, rzuca właśnie dużo światła na różne wyrażenia z Ewangelji, Listów Apostolskich i Apokalipsy św. Jana. Szkoda tylko, że sam autor nie dostatecznie pozaznaczał odnośne paralele.

Drugie znaczenie tego rodzaju studjum i wogóle studjum żydowskiej literatury z początków naszej ery polega na tem, że pozwala nam lepiej zrozumieć psychikę nawet i dzisiejszego żydowstwa. Kiedy w ostatnich czasach słychać u nas o zamiarach naukowego studjum historji, religji i psychiki żydowskiej, kiedy w tym celu urządza się kursa żydoznawcze i zakłada osobne czasopismo, należałoby zwrócić uwagę właśnie na literaturę t. zw. apokaliptyczną, do jakiej należy i czwarta księga Ezdrasza. Ta literatura, niemniej jak późniejszy Talmud, wpłynęła na urobienie psychiki żydowskiej i na pojęcia o stosunku »narodu wybranego« do wszystkich innych narodów. Żydzi, w większym stopniu aniżeli inne narody, są »narodem księgi«. Apokaliptyczne marzenia o odbudowie politycznego bytu Żydów, o podbiciu przez Mesjasza pod ich panowanie wszystkich szczepów ziemi, a nawet o ich zniszczeniu zupełnem jako o karze za ucisk Izraela, te marzenia, choć w zmienionej nieco postaci, przetrwały dziesiątki wieków i dziś jeszcze mogą być kluczem do zrozumienia polityki żydowskiej względem wszelkich »goimów«.

Zaznaczamy jeszcze, że dzięki przekonaniu o autentyczności czwartej księgi Ezdraszowej, księga ta, choć nie przyjęta oficjalnie do

kanonu kościelnego, znajdowała się jednak w Wulgacie i wywarła na niektórych Ojców i Pisarzy Kościoła niemały wpływ doktrynalny. Posiadamy tej księgi polski przekład, który można znaleźć w starych wydaniach Biblji Wujka, jako dodatek.

Ks. Jan Urban.

Einführung in das Studium der katholischen Theologie. Wydanie Wydziału teologicznego Uniw. Monachijskiego. Monachjum. 1921. str. 181 + 4 tablice.

Zewsząd, a przedewszystkiem z uniwersytetów niemieckich, dochodzą wieści o reformach studjów teologicznych, wywołanych potrzebą czasu albo raczej przepisami nowego prawodawstwa kościelnego. I u nas wobec zmienionych warunków okazała się potrzeba reformy. W tym celu odbyły się już kilkakrotnie zjazdy Rektorów Seminarjów, gdzie rozpatrywano programy studjów teologicznych i mówiono o odpowiedniem przygotowaniu kandydatów do stanu duchownego.

Profesorowie Wydziału teologicznego uniwersytetu w Monachjum dla tych samych pobudek wydali wspólną pracę p. t.: »Wstęp do studjów teologji katolickiej«, w której z punktu widzenia poszczególnych gałęzi wiedzy teologicznej przedstawili warunki, wymagane od kandydatów do stanu duchownego i podali metodyczne wskazówki dla teologów zarówno w czasie studjów, jak po ich skończeniu. Rzecz to ze wszech miar ciekawa i bardzo na czasie. W pierwszych rozdziałach są podane ogólne uwagi o teologu i teologji, o powołaniu, o studjach przygotowawczych w gimnazjum. Wielki przytem kładą nacisk na to, aby studja gimnazjalne tak były urządzone, by rzeczywiście przygotowywały i umysł i serce przyszłych teologów do owocnego słuchania teologji. W dalszych rozdziałach — uwagi metodyczne co do poszczególnych przedmiotów, a więc filozofji, biblistyki, historji Kościoła, teologji dogmatycznej, moralnej, pastoralnej, prawa kanonicznego etc. Po określeniu zadania każdego przedmiotu i znaczenia jego w rzędzie nauk teologicznych, podane są krótkie wiadomości o naukach pomocniczych, których poznanie jest niezbędne, przyczem uwzględniono przy każdym najnowszą bibljografję, następnie podane są krótkie praktyczne uwagi, jaki cel powinien sobie student wytknąć, na co większy kłaść nacisk w początkach studjów, jak konsekwentnie i systematycznie poznawać całość danego przedmiotu. Uwagi, jako podane przez fachowców, są bardzo cenne i dla młodych teologów mogą być pewnemi drogowskazami, aby z korzyścią odpowiednie przedmioty studjować. Szkoda, że zapomniano zupełnie o znaczeniu i roli czasopism teologicznych, które przecież pobudzają do ciągłego interesowania się danym przedmiotem i pozwalają trzymać rękę na pulsie spraw aktualnych.

Bardzo przydałaby się podobna praca w języku polskim i dla polskich studentów teologji. Może kto o tem pomyśli?

Ks. J. Archutowski.

Zdzisław Morawski: Św. Karol Boromeusz na tle odrodzenia religijnego XVI wieku. Księg. św. Wojciecha, Poznań 1922, str. 136, 16°.

Studja włoskie z epoki smutnego Sacco di Roma poprowadziły autora o kilkadziesiąt lat naprzód, w dobę tego potężnego katolickiego odrodzenia, którego ogniskiem był Sobór Trydencki. Niniejsze dziełko przedstawia owo odrodzenie ześrodkowane około prześlicznej postaci jednego z tych mężów, co w Kościół XVI wieku nowe tchnęli życie i nowym opromienili go blaskiem. Życie św. Karola Boromeusza maluje Z. M. rzeczywiście na tle epoki. Nie chodzi mu tyle o ściśle wzięte hagjograficzne studjum, t. j. o badanie dziejów duszy Świętego i nadprzyrodzonego jej rozwoju, ile raczej o przedstawienie jego osoby i działalności z zewnątrz, z tej strony, z której się stykała z ludźmi, wypadkami, prądami swego czasu. A z zadania tak pojętego wywiązuje się autor doskonale. Mimo krótkości pracy, nie pomija żadnego ważniejszego szczegółu, potrzebnego do zrozumienia epoki tak obfitej w światła i cienie, tak barwnej, bujnej i różnorodnej; rzecz cała pełna jest charakterystyk osób, nastrojów, zawikłań dziejowych tak żywych i głębokich, że nieraz w kilku zdaniach lub na kilku tylko stronach znajduje się wyborne historyczne poglądy, pozwalające wejrzeć w ducha czasu i usposobienie ówczesnych ludzi. A od tego tła epoki odcina się ustawicznie i nad niem góruje z wielkim pietyzmem narysowany obraz życia wielkiego człowieka i wielkiego świętego, życia tak przedziwnie pełnego nie lat, ale dzieł i cnoty. Obraz ten oczywiście dałby się pod wielu względami bardziej wykończyć, ale i z tej króciutkiej pracy wynosi się pełne pojęcie, czem św. Karol Boromeusz był i jak w życiu kościelnem zaważył. Autor dodałby lepszemu poznaniu Kościoła wielką przysługę, gdyby wielką, jaką sobie zdobył, znajomość XVI wieku wyzyskał dla opracowania innych wybitnych postaci katolickich tego czasu. *J. R.*

Rosja sowiecka pod względem gospodarczym. T. I, część pierwsza. Dzieło zbiorowe pod redakcją prof. L. Krzywickiego. Wyd. „Ignis" Warszawa 1922, 8°, VII + 230

Praca niniejsza jest pierwszem ogniwem szczegółowych badań przedewszystkiem z zakresu zjawisk społecznych i ekonomicznych w Rosji sowieckiej. Cykl dzieł ma gruntownie i wszechstronnie przedstawić obraz tego fenomenu w dziejach ludzkości, jakiem bez wątpienia jest bolszewicka republika. Dzieło tak pojęte powinno powstać nie gdzieindziej, ale w Polsce, boć nas najbardziej bezpośrednio Rosja musi interesować, a prócz tego mamy specjalne dane po temu, by tego rodzaju dzieło opracować. Przez konieczność dłuższego współżycia z Rosjanami poznaliśmy lepiej od kogokolwiek psychologję narodu rosyjskiego, a przytem całkiem pokaźna ilość Polaków przeżywała bolszewicką rewolucję, zatem z autopsji może dostarczyć doskonałych spostrzeżeń i przedmiotowego sądu. To też wdzięczność należy się Wydawnictwu, że rozumiejąc to nasze uzdolnienie, wzięło się do jego wyzyskania. Wdzięczność nie tylko od nas, Polaków, ale od wszyst-

kich, zajmujących się badaniem zjawisk społecznych i gospodarczych, gdyż bolszewizm ma tyle ciekawych stron, jeśli nie po wielekroć więcej, jak nadzwyczajne objawy chorób, zaćmienia słońca, na których obserwację zjeżdżają się niekiedy uczeni tłumami.

Całość pracy ma obejmować sowiecką politykę przemysłową, finansową i agrarną (temat omawianej przez nas części), następnie politykę w zakresie wymiany i pracy, dalej faktyczny obraz dzisiejszej Rosji i wreszcie analizę traktatów handlowych z uwzględnieniem przyczyn powyższych zjawisk.

Za substrat do analizy służą autorom urzędowe dekrety komisarjatów, które mamy pomieszczone w aneksach i opinje bolszewickiej publicystyki. Na tej podstawie znajdujemy usystematyzowane owe najdziwaczniejsze i pełne oryginalności ustawy. Zjawiska ujęte chronologicznie w pewne okresy. Pod koniec każdego rozdziału znajdujemy krytyczne uwagi, które nasunęło w Rosji samo życie, lub te, które stawia zdrowy zmysł gospodarczy. Wszystko ujęte zupełnie jasno, a przytem bardzo trafnie.

Najlepiej zdaje się ujęta jest polityka agrarna, a prawdopodobnie najwięcej uzupełnień doczeka się polityka przemysłowa. Lecz już to, co jest, powinno być wyzyskane przez polskich polityków, ekonomistów i socjologów. *R. M.*

Wł. Studnicki: Zarys statystyczno-ekonomiczny ziem północno-wschodnich. (Z tablicami statystycznemi). Wilno, 1923 8º str. 164.

Nasze ziemie wschodnie, tem bardziej jeszcze północno-wschodnie były i są traktowane po macoszemu. Samochcąc zamykamy oczy na ten najbardziej naturalny spichrz Polski i ze spokojem patrzymy na to, jak te ziemie próżnują. Autor ujął doskonale ekonomiczne znaczenie tej połaci kraju. Dane statystyczne objaśniają nas we wszelki możliwy sposób o tem. Oczywista nie jest winą autora, że właśnie te daty mają charakter często bardzo wątpliwy. Prócz statystyki dotyczącej zjawisk gospodarczych, mamy w pracy p. Studnickiego obfity materjał ruchu ludności, narodowości i wyznań. Ten temat jest może jeszcze ciekawszy a dla naszego bytu narodowościowego i politycznego bardziej doniosły. Sądzimy, że dzieło będzie się cieszyło odpowiednią poczytnością, choć, o ile nosi na sobie pewne piętno polityczne, może być przez kompetentniejszych różnie komentowane, a nawet zwalczane. *R. M.*

Ludwik Czarkowski: Pseudonimy i kryptonimy polskie. Wilno Nakł. „Stowarzyszenia Nauczyc. Polskiego" 1922, str. VII + 170.

Autor, pracujący od kilkunastu lat na polu bibljotekarstwa w Wilnie, dokonał świeżo skrzętnej pracy — zestawienia pseudonimów i kryptonimów polskich. Przedewszystkiem słów parę o tytule książki. Termin polski użyty tu w znaczeniu: piszący po polsku, bo jakże

inaczej wytłumaczyć w spisie obecność pseudonimów i kryptonimów Litwinów: M. Birżyszki, A. Rondomańskiego, O. Zawiszy, ks. Propolanisa, białorusina Fr. Bohuszewicza?... Książka przynosi rozwiązanie 2594 pseudonimów i kryptonimów, należących do 1773 pisarzy, przeto o 900 pseudonimów i 548 pisarzy więcej, niż było w ostatniej chronologicznie pracy na tenże temat, wydanej w r. 1910 we Lwowie, pt. „Pseudonimy pisarzy polskich zebrała H. D.« Już te liczby świadczą, że autor posiada dużo cierpliwości, która mu pozwoliła na taką chińszczyznę historyczną.

Niektórych książka omawiana przykro uraziła faktem odsłonienia aktualnych pseudonimów pisarzy żyjących. Kwestjonowano nawet moralne prawo do tego kroku i próbowano niedyskrecję Cz. postawić w jednym rzędzie z... podsłuchiwaniem lub czytaniem cudzych listów, co nie wydaje się słusznem i jest przesadą. Naszem zdaniem, trudność tkwi nie tyle w tej lub innej metodzie pracy, ile w samym przedmiocie. Nie tak łatwo bowiem ściśle określić, jaka dawność pozwala odsłonić istotne oblicze pisarza z pod przyłbicy pseudonimu lub kryptonimu. Zresztą nieraz sam właściciel signi nie dba o tajemnicę swego autorstwa i np. w artykułach, podpisanych pełnem nazwiskiem, powołuje się na swe utwory, znaczone gdzieindziej pseudonimem lub kryptonimem. Natomiast bezwarunkowo nagannem jest rozwiązywanie ich jedynie w zamiarze zaszkodzenia tem swemu przeciwnikowi, z wykluczeniem celów historyczno-bibljograficznych.

Sprawozdawca doskonale odczuwa całą trudność — nie do pokonania — wypowiedzenia sądu kompetentnego o trafności aż tylu rozwiązań. Właściwie należałoby dzieło to piórem bibljofilów omawiać osobno, według odrębnych horyzontów literackich Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania... Uczynić to tylko w jednem ze środowisk, np. w Wilnie nie sposób. Również, prostując błędne rozwiązania, łatwo byłoby piszącemu narazić się na zarzuty, jakie spotkały samego autora. Poprzestaniemy tedy na kilku uwagach natury więcej negatywnej. Chociaż Cz. miał pretensję swym zbiorem pseudonimów i kryptonimów sięgnąć hen aż po kronikarzy polskich, jednak z wieków dawnych mało ich znalazł. Okres walk religijnych (ww. XVI i XVII) zapewne obfitował w maskarady literackie. Błędnie rozwiązano pseudonimy: Kalina Stanisław, Paproć Jerzy, Mir, Widz, Al... Nie znajdujemy innych np. Smora...

Do zasadniczych działów książki, noszących kolejno nazwy »Pseudonimy i Kryptonimy« w końcu dodane są, jako uzupełnienia: »Pseudonimy do rozwiązania lub wątpliwe« (wieki XVII, XVIII, XIX, XX) »Pseudonimy rozwiązane podczas druku«, wreszcie »Błędy drukarskie«.

Mimo dużych oczywiście luk i pewnego niedbalstwa w podziale materjału, praca Cz. jest cenną próbą dania badaczom piśmiennictwa polskiego i bibljografji możności ustalenia ojcostwa literackiego wielu pisarzy, publicystów i dziennikarzy. Najlepiej tej pracy dokonać można siłami zbiorowemi, bo większość podpisów pisarskich nosi charakter lokalny.

Zewnętrzna strona książki przestawia się dobrze: okładka stylowa, druk czysty a wyraźny, papier dobry. Jest to zasługą najruchliwszej dziś w Wilnie polskiej tłoczni »Lux«.

Ks. Wł. Tołłoczko.

Ks. Władysław Chotkowski: Kazania eucharystyczne o Najśw. Sercu Jezusowem. Wydanie drugie — Nakładem księgarni św. Wojciecha Poznań-Warszawa 1922.

Jest to wydanie drugie (wyd. I. Lwów 1906) dziewięciu kazań uczonego ks. profesora uniwersytetu jagiellońskiego, znanego w historji naszej homiletyki w pierwszym rzędzie z mów żałobnych nad zwłokami wybitnych osobistości polskich, jak J. Matejki, ks. Goljana i in. Kazania owiane są duchem prawdziwej pobożności i umiłowania Serca Jezusowego, ku czemu czcigodny autor pragnie zachęcić i swoich słuchaczy, kierując ich oczy na wzór *ukazany na górze,* na Syna Bożego, odsłaniającego światu Swe Najśw. Serce. Zwykle na tle Pisma św., którem bogato szafuje, rozwija życiowe zastosowania, prostuje błędne zapatrywania, podnosi na duchu. Kazania chwytają za serce, choć naogół natężenie uczucia nie przechodzi w potężny wybuch i uniesienie. Styl godny, bogaty w wysłowieniu, przypomina czasem złotoustego Skargę i ks. Goljana. Obfita treść (wstępy może nieco przydługie) i jasny rozkład mogą dostarczyć kaznodziejom bogatego materjału na czas czterdziestogodzinnego nabożeństwa lub na miesiąc czerwiec.

Ż.

Józef Ciembroniewicz: O zawodowe przygotowanie polskich nauczycieli. Poznań, księg. św. Wojciecha, 1922 (Głosy na czasie, nr. 49). Str. 120.

Uznanie należy się księgarni św. Wojciecha, że zajęła się popularyzacją tak doniosłego dla naszej ojczyzny zagadnienia, a wykonanie jej powierzyła mężowi, którego stanowisko, jako kierownika seminarjum nauczycielskiego, i teoretyczne przygotowanie czyniły szczególnie odpowiednim do tego celu. Zaznaczywszy słusznie, że »jedną z najpoważniejszych trosk i zabiegań jest troska o należytą szkołę ludową«, a tem samem o jej nauczycieli, podaje autor szczegółowy program przygotowania kadr nauczycielskich i środki ku temu wskazane. Porusza więc naprzód kwestję zewnętrznego urządzenia seminarjum, pomieszczenia i rozkładu jego, mieszkań uczniów i ich wspólnego pożycia, przechodzi następnie do ich kształcenia, przypominając jednak równocześnie konieczność »wychowania« kandydatów odpowiednio do potrzeb ich przyszłego zawodu; rozciągnąć się ono musi na wszystkie pola, by objąć zarówno wychowanie fizyczne jak moralne i religijne, społeczne i obywatelskie. Przeprowadzenie jego ma ułatwić internat, wzorowo prowadzony i mieszczący się tuż przy seminarjum, w którem wychowankom pozostawionoby szeroki samorząd Rozwijając plan kształcenia przyszłych nauczycieli, każe autor korzystać ze wszystkich najnow-

szych zdobyczy naukowych i metod, uczyć obserwować, myśleć i pracować samodzielnie, a praktyki nabywać w szkole powszechnej, znajdującej się przy seminarjum i zaopatrzonej w najlepsze siły i środki. Owszem, ponieważ nauczyciel powinien, zwłaszcza na wsi, działać także poza szkołą, należy mu udzielić szerszego wykształcenia przez odpowiednie kursa społeczne i obywatelskie a nawet przez danie mu możności nabycia pewnych praktycznych wiadomości, np. z zakresu ogrodnictwa. Przy wychowaniu religijno-moralnem żąda autor w imię zasad Komisji Eduk., żeby w przyszłych nauczycieli wpoić nie tylko znajomość prawd wiary i moralności, ale także ich wykonanie, by wyrobić w nich gruntowną i czynną pobożność; do tego celu żąda jednak słusznie, by w gronie uczących w seminarjum panowała pod tym względem jedność zapatrywań i postępowania.

Oczywiście zrealizowanie pięknych tych myśli nieprędko jeszcze będzie możliwem, głównie może z powodu trudności materjalnych; dobrze jednak, że autor wskazał nam cel, do którego zdążać mamy, jeżeli pragniemy podnieść duchowo i fizycznie ogół naszego narodu.

Ks. St. Podoleński.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Z księgarni św. Wojciecha w Poznaniu

Włodzimierz Korsak: *Na tropie przyrody*, 8⁰, str. 268.
Maksym D'Azeglio: *Nicolo de' Lapi*, powieść historyczna, 2 tomy, przełożył z włoskiego J. Korzeniowski. 12⁰, str 300 i 306.
Dr. Tad Grabowski: *Adam Mickiewicz*, jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki (1798—1855), 12⁰. str. 143
S. Margert: „Duch Czasu" — „Król Florencji" — „Fra Girolamo" — „Burza" — 4 części powieści „Savonarola".
Maciej Wierzbiński: „Pięść Marcina Wilczka" — „Księżyna" — opowieści.
E. Bogdanowicz: *Błękitna pantera*. 12⁰, str. 76.
Bonifacy Wrzos: *Pilnuj swego*, obrazek sceniczny w 3 odsłonach, 12⁰, str. 58.
Ks. Alfred Hoppe: *Limpias*, widzenia przy wizerunku konającego Chrystusa w Limpias, w Hiszpanji. 16⁰ str. 4.
Józef Relidzyński: *Gałąź cyprysu*, liryki 16⁰, str. 167.
Adam Stodor: *Ścieżyną prostoty*, 16⁰, str. 72.
M. Gabrjel Karski: *Tęcza*, liryka francuska w przekładach, serja I, 16⁰, str. 95.
Z. Ułaszynówna: *Z tamtego brzegu*, poezje. 16⁰, str. 64.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Grisar S. J. und Heege S. J.: Luthers Kampfbilder. II *Der Bilderkampf in der deutschen Bibel.* 8⁰, str XII i 56
Hartm. Grisar S. J.: *Luthers Trutzlied: „Ein feste Burg"* in Vergangenheit und Gegenwart. 8⁰, str. VI i 58
Dr Franz Eberle: *Katholische Wirtschaftsmoral.* 8⁰, str. VII i 118.
Henriette Brey: *Wenn es in der Seele dunkelt.* Ein Buch für die Mühseligen u. Beladenen 12⁰, str, VIII i 22⁰.
Ang. Deneffe S J: *Kant und die katolische Wahrheit.* 12⁰, st 200.
Erich Przywara S J.: *Einführung in Newmans Wesen und Werk.* 12⁰, str. 112.
J. H Kard. Newman: *Glauben,* bearbeitet von Przywara, 12⁰, str 106.
Erich Przywara: *Barmherzigkeit,* 12⁰, str. 110.

Nakład „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra", Cieszyn:

Walenty Krząszcz: *Janek*, powieść z czasów przełomowych na Śląsku Cieszyńskim 16⁰, str. 144.
Ks. dr. L. Wrzoł: *Prawda o „wiedzy tajemnej"* 12⁰, str. 48.
Ks. R. Tomanek: *Nabożeństwo liturgiczne przy pogrzebach* dorosłych i dzieci, po łacinie i po polsku, 8⁰, str. 64.
Ks. R. Tomanek: *Kościół cierpiący*, nauka o duszach czyścowych, modlitwy i pieśni. 8⁰, str. 320.

Z innych firm:

Ks. Józef Kruszyński: *Pożyteczne wiadomości o Piśmie świętem.* Wyd. 3 znacznie rozszerzone. Księgarnia Powszechna we Włocławku, 12⁰, str. 64.
Ks. A. Wyrzykowski: *Geneza „Bogarodzicy"*. Szkic z dziejów kuttury polskiej. Sandomierz, Księgarnia Chodakowskich, 8⁰, str. 20.
Ks. Al. Warol T. J.: Apostoł Pensylwanji *ks. Dymitr Aug. Gallitzin*, Nowy York, 8⁰, str. 24.
John Joseph Rolbiecki: *The political philosophy of Dante Alighieri*, Washington 1921, Salve Regina Press, 8⁰, str. 156.
Wińc. Witos: *Prawda o kontraktach leśnych*, mowa sejmowa. Cieszyn 1922, 8⁰, str. 36.
Al. Birkenmajer: *Vitello e lo studio di Padova.*
— Szczera prawda *o sytuacji wyborczej w Polsce.* 8⁰, str. 62.
— *Pamiętnik pierwszego zjazdu odbytego we Włocławku* 30/X –1/XI 1921. Księgarnia Powszechna. 8⁰, str. 120.
Ks. Wilh. Michalski: *Amos*, wstęp, nowy przekład, komentarz, Lwów, Nakład „Bibljoteki Religijnej", 8⁰, str. 96.
Ks. bp. J. A. Nowowiejski: *Msza w okresie przednicejskim.* Lwów. Nakład „Biblj. Relig ", 8⁰, str. 121.
Jan Puchałka: *Leon XIII a kwestja robotnicza.* Kraków, Nakład „Związku chrześcij.-społecznego", 12⁰, str. 78.
Ks. dr. Fr. Madeja: *Zmartwychwstanie Chrystusa*, studjum apologetyczno-biblijne, Kraków 1922, Księgarnia J. Czerneckiego, 8⁰, str. 324.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Skromny zjazd, niewielka książka, ważne problemy.

Wracam ze Zjazdu bardzo skromnego, tak skromnego, że może ktoś zdziwi się, iż piszę o nim w »Sprawach Kościoła«, pomijając milczeniem zebrania bez porównania poważniejsze, choćby odbytą w tych dniach w Częstochowie konferencję biskupów polskich. Zanim jednak będziemy coś wiedzieli o postanowieniach konferencji biskupiej, niech będzie wolno kilka słów powiedzieć na tem miejscu o Zjeździe delegatek od Sodalicyj akademickich żeńskich, odbytem we Lwowie 22 do 24 czerwca.

O czem — zapyta czytelnik — mogła być mowa na tego rodzaju zjeździe? Chyba o tem, jaki wymyśleć nowy kształt medalów sodalicyjnych, na jakich nosić je wstążkach i na jakiej w nich pokazać się procesji? Otóż, może dla wielu niespodzianie, młodzież poruszała tematy daleko poważniejsze. Przedtem wszakże, zanim je streścimy, zwrócę uwagę na książkę, niewielką rozmiarami, ale ważną swoim celem i przewodnią myślą, książkę, która wyszła z pod piór kilkunastu autorów, przy nazwiskach których nigdzie nie brakuje liter Dr. i Prof. Uniw. Książką tą jest świeża zbiorowa praca p. t. »O naprawę Rzeczypospolitej«, wydana nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

W niektórych artykułach tej książki, której zebrane we Lwowie sodaliski znać jeszcze nie mogły, znajdujemy myśli podobne do tych, jakie wypowiadano na skromnem lwowskiem zebraniu. Przedstawiciele naszej uniwersyteckiej nauki, radząc nad stosowaniem naprawy Rzeczypospolitej, uznali za rzecz konieczną położyć na pierwszem miejscu, niby

fundament pod budowę przyszłości, wzmocnienie życia moralnego naszego narodu, a dodajmy, że pod tym tytułem kryją się przedewszystkiem zagadnienia religijne. Znajdujemy tu dwa artykuły: prof. K. Kumanieckiego »W przełomowej chwili« i prof. M. Zdziechowskiego »Kościół a inteligencja«. Nie na wszystko, co w nich powiedziano, można się pisać bez zastrzeżeń; zwłaszcza w artykule prof. Zdziechowskiego, zbudowanym nieco chaotycznie, znajdzie się niejedno twierdzenie nie uzasadnione, niejeden ogólnik wyciągnięty z modernistycznego lamusa, ale obok tego znajdują się i trafne myśli o życiu religijnem, o zadaniu jego dla narodu i o roli, jaką Kościół katolicki względem społeczeństwa, a zwłaszcza inteligentnej jego warstwy ma spełnić. I właśnie są to te same myśli, które młodzież uniwersytecka żeńska, zebrana we Lwowie, poruszała samorzutnie, dochodząc do tych samych wniosków i wypowiadając te same pragnienia, do jakich doszli i jakie wypowiedzieli profesorowie uniwersytetu.

Zebrane sodaliski-studentki wypowiadały, oczywista, więcej w imieniu koleżanek i kolegów niż we własnem, te trudności wierzenia i życia religijnego, jakie odczuwa i wypowiada duży odłam inteligencji. Potrącić się musiało przytem choć z lekka o przymioty i niedostatki naszej apologetyki. Ale nie to było najważniejsze: temat, którym się najbardziej interesowano, obracał się około zagadnienia, w jaki sposób ożywić życie religijne naszej inteligencji, idąc do tego celu przez ożywienie religijności wśród akademickiej młodzieży. Wyszczególnić należy dwa wnioski, akurat te same, jakie znajdujemy w pierwszej księdze zbiorowej pracy »O naprawie Rzeczypospolitej«. Profesor Kumaniecki pragnie, aby Kościół, który, według niego, zbyt zakrzepł i zbiurokratyzował się, odzyskał swój pierwotny charakter misyjny, aby stworzył nawet jakąś nową kongregację, dostosowaną bardziej niż dotychczasowe do potrzeb, dążności i pragnień dzisiejszych czasów, aby zbliżył się do dusz inteligentnych i wezwał je do »wejścia na drogę wiodącą na wyżyny« i zapewnia, że nasze społeczeństwo, wychowane na religijnej z gruntu literaturze ojczystej, łatwo pójdzie za wezwaniem Kościoła. Prof. Zdziechowski również twierdzi, że »polem do działania dla duchowieństwa jest inteligencja myśląca religijnie, a z rozmaitych powodów zniechęcona do Kościoła i młodzież, bo młodzież jest szczególnie wrażliwą na żywe słowo, o ile odczuje za nim serce, płonące ogniem wiary«. Otóż i przedstawicielki jednej z organizacyj akademiskich, Sodalicji Marjańskiej, uznały samorzutnie potrzebę szczególnego duszpasterstwa wśród młodzieży uniwersyteckiej, uchwalając nawet

wniosek podjęcia starań u odnośnych władz duchownych i akademickich o zorganizowanie tego rodzaju duszpasterstwa. To wniosek pierwszy. A teraz drugi. Druga myśl, jaka zajmowała uczestniczki Zjazdu już nie po raz pierwszy i jaką znajdujemy wypowiedzianą w książce »O naprawę«, jest zbliżenie wierzących katolików do liturgicznego życia Kościoła. Prof. Zdziechowski, z niemałą dozą przesady, liturgję katolicką, jako czynnik kształcący uczucie religijne, przeciwstawia dogmatyce, w której upatruje tu i ówdzie rodzaj »perwersji teologicznej« i aż »satanizmu wkraczającego do Kościoła pod przykryciem kultu Boga prawdziwego«. Strąciwszy przesadę w charakterystyce katolickiej dogmatyki, wyznać trzeba, że liturgja, a właściwie branie w niej żywego udziału ze zrozumieniem jej ducha, stałby się mogła bardzo dzielnym czynnikiem odrodzenia religijnego, a przez religję i odrodzenia moralnego naszego społeczeństwa. Oczywiście pod warunkiem, że sama ta liturgja będzie odprawiana poprawnie, bez zeszpeceń i naleciałości, które niestety często przytłumiają jej właściwy charakter. Wśród młodzieży uniwersyteckiej rodzi się podobne poczucie, i stąd słyszymy postulat, aby msze były odprawiane ściśle według przepisów liturgicznych, aby podczas nich można było usłyszeć prawdziwy kościelny śpiew, aby tekst nabożeństwa był udostępniony przez rozpowszechnienie mszalików wśród świeckich katolików, zwłaszcza wśród inteligentnych. Prof. Zdziechowski, zapalony zwolennik liturgji, zapatruje się wszakże dosyć sceptycznie na możność pouczenia naszych »inteligentów« pod tym względem. »Oczywiście — są jego słowa — daremną jest rzeczą uczyć ogół naszej tak rozpaczliwie płytkiej inteligencji słuchać liturgji i ją rozumieć; nic nie poruszy tych ludzi pojawiających się w kościele tylko na obowiązkowych, żałobnych czy dziękczynnych nabożeństwach, bezmyślnie rozwalonych w swoich fotelach.« Młodzież patrzy bardziej optymistycznie na tę sprawę i spodziewa się znacznego podniesienia poziomu religijnego, jeżeli się kwestję liturgji wysunie na poczesne miejsce wśród środków oddziaływania na nasze warstwy inteligentne.

Zrozumieją nasi czytelnicy, dlaczego w »Sprawach Kościoła« mówimy o skromnym sodalicyjnym zjeździe i o niewielkiej rozmiarami książce, jakby o jakichś zdarzeniach godnych uwagi dziejopisa Kościoła. Chodziło nam o to, aby korzystając z tych skromnych głosów, idących z szeregów starszej i młodszej inteligencji, zwrócić uwagę na doniosłe zadanie naszego polskiego Kościoła, zadanie, o którem mieliśmy sposobność już parę razy mówić na łamach *Przeglądu*, — roz-

ciągnięcia szczególnej pieczy duchownej nad inteligencją naszą, a przedewszystkiem nad starszą uczącą się młodzieżą. Bez wychowania zastępów uświadomionej, kochającej swój Kościół i żyjącej jego życiem inteligencji świeckiej, nie uczynimy naszego kraju prawdziwie katolickim; jeżeli katolickiej inteligencji prawdziwie religijnej mieć nie będziemy, wymkną się również z rąk Kościoła te masy naszego ludu, którego tradycyjną wiernością wierze ojców tak bardzo się chełpimy, bo niechaj co chce kto mówi — masy ludowe, tak samo jak masy robotnicze, idą tam, dokąd je prowadzi inteligencja. Kościół powinien skorzystać z tych, może jeszcze niezbyt częstych głosów, jakie inteligencja sama ku niemu zwraca. Dużo w tych głosach jest jeszcze nieporozumienia, dużo cierpkości w wypowiadaniu sądów o »urzędowym« Kościele; często nie są to nawet rezultaty jakichś osobiście poczynionych z Kościołem doświadczeń, raczej są to literackie reminiscencje z innych czasów i echa prądów niechętnych Kościołowi, nurtujących gdzieindziej, a które u nas czasem dość bezmyślnie każe powtarzać moda. Ci z pośród naszych kapłanów, którzy zechcą pracować szczególnie wśród inteligencji, a zwłaszcza zbliżyć się do młodzieży, muszą okazać wiele wyrozumiałości i na wiele cierpliwości się zdobyć, a doświadczenie stwierdzi prawdę słów Apostoła, że »cierpliwość ma doskonały uczynek«. W szczególności uważalibyśmy za rzecz jedną z najpilniejszych zorganizowanie po naszych miastach uniwersyteckich specjalnych nabożeństw z odpowiedniemi krótkiemi naukami dla akademickiej młodzieży, dalej zaznajomienie tejże młodzieży z pięknem katolickiej liturgji, urządzanie cyklów wykładów, wygłaszanych nie tylko przez kapłanów ale i przez uświadomionych katolików świeckich, na tematy z dziedziny religijnej, szczególniej interesujące duszę współczesnego człowieka. Wreszcie za piekącą sprawę uważamy również zakładanie internatów dla młodzieży tak męskiej, jak żeńskiej, pozostających w ścisłej łączności z Kościołem, w którychby ogladająca się za duchowym pokarmem młodzież znalazła wszystko, od czego dzisiaj odgradza ją wzgląd ludzki i wpływy środowiska wrogiego religji.

Uważając sprawę zbliżenia się Kościoła do inteligencji świeckiej i do młodzieży za tak ważną, chcielibyśmy na tem miejscu zwrócić się również z apelem do tych kół inteligencji, która nas ku sobie nawołuje, która wszakże poza krytyką obecnego stosunku między Kościołem a inteligencją prawie nic realnego nie czyni. Jeżeli będziemy oczekiwali aż Kościół się udoskonali do tej miary, jaką mu zakreślamy, albo aż zreformuje się w duchu nam pożądanym, a jeszcze wątpliwa czy zawsze z istotną prawdą

chrześcijańską zgodnym, to takiego momentu nie doczekamy się może nigdy. Ci przedstawiciele naszej inteligencji, którzy we wzmożeniu życia religijnego widzą punkt wyjścia do naprawy Rzeczypospolitej, niech zbliżą się do Kościoła takiego, jakim on jest obecnie i niech mu ułatwią i usunięcie braków i spełnienie jego względem narodu zadań. Narzeka się, naprzykład, na zmaterjalizowanie Kościoła, rozumiejąc przez zmaterjalizowanie, obok innych często fikcyjnych cech, także troskę duchowieństwa o chleb codzienny; jednocześnie zapomina się, że nasz kler, nawet wyższy, jest gorzej uposażony niż przeciętnie służba domowa, że więc własną troską, dla niego samego niesympatyczną, musi bronić się przed niedostatkiem; zapomina się, że nasze uczelnie teologiczne, seminarja, wprost głodują, skazując często najidealniejsze jednostki z pośród młodzieży na suchoty i śmierć przedwczesną. Jednocześnie zwraca się do Kościoła żądanie i pretensję, czemu on nie czyni tyle materjalnego dobra dla biedniejszych klas, ile go czynią np. przybyłe z za morza z dolarami protestanckie sekty i organizacje. Do Kościoła i do katolicyzmu słyszy się zwrócone często tonem szyderczym słowa kusiciela z pustyni: »Jeżeliś jest Syn Boży, to rzeknij, aby te kamienie stały się chlebem« i wskazuje się przytem na kamienie rzucone pod nogi Kościołowi własną ręką. Zapewne, że z tego wszystkiego, czem żyje człowiek, chleb nie jest artykułem najważniejszym, wszakże nikt nie zaprzeczy, że żadna organizacja, choćby tak duchowna jak Kościół, w naszych skomplikowanych i ekonomicznie trudnych czasach nie może podołać swoim zadaniom, jeśli zmuszona będzie walczyć z materjalnemi trudnościami. Autorowie książki »O naprawie Rzeczypospolitej« bynajmniejby nie skompromitowali się, gdyby byli umieścili w swoim zbiorku również artykuł o potrzebie naprawienia przez Rzeczpospolitą tej krzywdy materjalnej, jaka się obecnie dzieje w państwie przeważnie katolickiem Kościołowi katolickiemu. Pozatem wierzące jeszcze a zamożniejsze koła katolików winny poczytywać za swój obowiązek pospieszenia Kościołowi z wielokrotną pomocą: materjalną dla uposażenia należytego seminarjów duchownych, pomocą ofiary dla ołtarza ze swoich najlepszych synów, pomocą swojej życzliwości dla zbożnych choćby dla najskromniejszych i nie zawsze doskonałych poczynań Kościoła w dziedzinie religijnego i moralnego odrodzenia naszego narodu. Wolno od Kościoła spodziewać się wielkich rzeczy, ale należy poczuwać się do wielkich obowiązków. Chwila zrozumienia tej prawdy będzie chwilą, kiedy się walnie posunie naprzód sprawa »naprawy« w życiu publicznem naszego narodu. *Ks. J. Urban.*

Jubileuszowa Wystawa „Sztuki".

Jedno z niewielu naszych zrzeszeń artystycznych, mogących pochlubić się dłuższą egzystencją, a mianowicie »Sztuka«, doczekało się ćwierci wieku istnienia i z tej okazji urządziło przez maj-czerwiec br. swą XXV-tą, jubileuszową wystawę, w gmachu krakowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych.

»Sztuka«, której założyciele mieli przed dwudziestu pięciu laty pretensję do tego, że jedynie oni reprezentują kwintesencję dorobku artystycznego Polski, ma niezawodnie zasługi, ale obecnie daleką jest od jednoczenia w swych szeregach wszystkich najwybitniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów polskich. Dowodnie świadczy o tem wystawa jubileuszowa, na której nie spotykamy się z nazwiskami bardzo wielu naszych luminarzy w dziedzinie sztuk plastycznych. Nie uderza też na niej żadne dzieło o cechach genjalności. Natomiast jej niezaprzeczoną zaletę stanowi wysoki poziom przeciętnej poprawności, skutkiem czego niema na niej rzeczy zupełnie słabych, przemycanych ostatniemi czasy w przestraszającej ilości na inne wystawy. Ta dbałość o utrzymanie niniejszej wystawy na pewnej wysokości, odpowiadającej tradycjom »Sztuki« — to zasługa jej aranżerów, którym należy się za to pełne uznanie. W epoce bowiem coraz silniej nurtującego »bolszewizmu artystycznego« nie zapomnieli o tem, co są winni sztuce polskiej wogóle, następnie dobremu smakowi, a wreszcie i publiczności, spragnionej oglądać dzieła artystycznej naprawdę koncepcji i artystycznego wykonania.

* * *

Zadość czyniąc swej nazwie, składa się ta wystawa jubileuszowa z dwóch części: z »wystawy retrospektywnej« i »wystawy współczesnej«.

Niestety część pierwsza, która mogła i powinna była posiadać rozmiary, dające dokładne wyobrażenie o tem, co i jak produkowali członkowie »Sztuki« w ciągu ćwierci wieku, wypadła ze względu na swe rozmiary słabo, tak, że jest to właściwie »wystawka«, a nie »wystawa«. Wystarczy stwierdzić, że np. o tem, co stworzył taki Malczewski, ma dać pojęcie malutki szkic, a raczej fragment z jakiegoś obrazu. Odnośnie do Chełmońskiego rzecz się ma tak samo: kilka drobnych szkiców i jeden mały — zresztą prześliczny widoczek leśny — nie dają najmniejszego pojęcia o twórczości tego wielkiego artysty.

Cokolwiek lepiej prezentuje się Wyspiański. Pastelowy »Autoportret«, rysunkowy »Portret red. Starzewskiego«, rysunek węglowy »Dzieci« oraz dwa »Widoki«, odtwarzają w przybliżeniu, jego dorobek artystyczny. Ubolewać należy, że ci, co urządzali wystawę jubileuszową, nie postarali się o jeden choćby projekt jego witrażów, lub malowań dekoracyjnych, w których artysta był tak pomysłowym twórcą.

Stosunkowo najwięcej pietyzmu okazano wobec pamięci Stanisławskiego. Wystawiono wprawdzie cztery tylko jego obrazki: »Pustowarnię«, »Tęczę«, »Wschód-księżyca« i »Widok z Chantilly«, ale każdy z nich jest typowym okazem jego sposobu malowania, który liczył swego czasu tylu zwolenników wśród młodszej generacji naszych malarzy a gorących wielbicieli wśród publiczność

Jeden krajobraz Fałata — »Śnieg« — to także zamało. Przecież, jako członek »Sztuki«, malował Fałat owe słynne sceny myśliwskie, które zdobyły mu sławę europejską, a z których niema ani jednej na wystawie jubileuszowej.

Axentowicza olejny »Portret żony« i »Portrecik syna«, zestawione z tem, co artysta teraz produkuje, nie tylko nie tracą, ale owszem nasuwają wątpliwość, czy autor ich zdołałby dziś, po latach dwudziestu kilku, namalować podobiznę kobiecą lub dziecięcą z taką prawdą i elegancją, ale bez śladu cukierkowatej maniery, jak ongi. Zresztą u malarza tak płodnego do ostatnich czasów, jak Axentowicz, o wystawie »retrospektywnej«, we właściwem tego słowa znaczeniu, mowy być nie może.

Zbiór kilku dawniejszych prac Mehoffera budzi zainteresowanie tem, że możemy obserwować na nich linję rozwoju jego talentu, poczynając np. od takiego studjum portretowego »O wieczornej godzinie«, lub »Autoportretu« z r. 1898, a kończąc na pracach spółczesnych, znajdujących się w drugiej części wystawy.

Także o Wyczółkowskim nie wielebyśmy się dowiedzieli, gdybyśmy się opierali tylko na tem, co z jego prac zawiera ten dział »retrospektywny«. Dwa bowiem szkice z Połągi są najzwyklejszemi notatkami, które pierwotnie nie były przeznaczone, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, na widok publiczny, a »Orka« — to także tylko podkończony szkic z tej serji widoków ukraińskich i podolskich, które uznane zostały powszechnie za arcydzieła impresji kolorystycznej. Na szczęście dał Wyczółkowski na tę wystawę serję autoligrafij z motywami z puszczy Białowieskiej (wystawioną w pierwszej salce na prawo z przedsionka), w której pokazał w całej pełni swój poetycki sposób patrzenia na przyrodę i genjalne opanowanie techniki.

* * *

Wprost wejścia z przedsionka do sali głównej, a więc na miejscu, które mocą zwyczaju stało się »honorowem«, wisi Mehoffera »Naczelnik Państwa« (szkic portretu — jak objaśnia katalog). Znalazł się ten szkic na pryncypalnem miejscu prawdopodobnie ze względu na osobę portretowaną, a nie ze względu na swe walory artystyczne, które ujawnią się może dopiero w skończonym portrecie, wedle niego wykonanym. Dwa olbrzymie kartony, jeden pt. »Bóg Ojciec« (pierwowzór do witrażu w katedrze fryburskiej) i drugi pt. »Wiara« (pierwowzór dekoracji mozaikowej do katedry ormiańskiej we Lwowie) dają pełny obraz twórczości artysty w zakresie pojmowanego monumentalnie malarstwa dekoracyjnego, gdzie zdobył sobie stanowisko poważne.

Umiejętne kojarzenie efektów wielobarwności ze zręcznie archaizowanym rysunkiem daje w rezultacie całość, imponującą pod względem koncepcji i wykonania. Jednym z lepszych nastrojowych widoków, jakie kiedykolwiek Mehoffer namalował, jest obecnie wystawiony »Wieczór majowy«, a doskonałym w swej realistycznej charakterystyce »Portret męski«. Szkoda, że tym razem, poza wspomnianym wyżej rysunkowym portretem śp. Stanisławskiego, nie wystawił Mehoffer nic ze swych nowszych studjów i portretów, wykonanych węglem, w których znajduje najwłaściwsze pole popisu dla swych zdolności rysunkowych.

W tej sali głównej, wśród dzieł artystów żyjących, znalazła się, niewiadomo z jakiej racji, duża kompozycja portretowa śp. Lentza pt. »Przed obrazem«, skoro jej miejsce było w dziale retrospektywnym. Wyborne to płótno, na którem znajduje się obok portretu drugiej osoby, także autoportret artysty, budzi szczery żal, że Lentzowi nie było danem pracować dłużej na niwie polskiego malarstwa, którego był prawdziwą ozdobą, jako malarz obdarzony niezmiernie wyrobionym zmysłem spostrzegawczym i swoistem odczuciem koloru.

Z pomiędzy wystawionych portretów zasługuje na osobną wzmiankę wyborny w uchwyceniu i fizycznego i psychicznego podobieństwa »Portret Dra L. Schneidra«, malowany olejno przez Axentowicza, którego w ogóle »mocną stroną« nie są podobizny męskie. Ale, ponieważ niema reguły bez wyjątków, przeto »Portrer Dra L. Sch.« udał mu się kapitalnie.

»Portret p. Wyrwicza«, wykonany przez Hofmanna we właściwej mu manierze, stanowi również wyjątek, lecz w znaczeniu ujemnem, gdy go się zestawi z dawniejszemi portretami tego malarza. Na tym portrecie pokazuje się wyraźnie, jak niebezpiecznym bywa eksperyment malowania podobizny nie jako takiej, lecz jako czegoś, co środkuje między właściwym portretem a kompozycją fantastyczno-alegoryczną. Ten »genre« portretów uprawia Malczewski, wstępowanie jednak w jego ślady nie każdemu malarzowi wychodzi na dobre.

Nader rzadko w Krakowie wystawiający, starszy malarz warszawski, Kędzierski, zaprezentował się kilku akwarelami, malowanemi z dużą siłą barw i doskonałem ujęciem tematu. Takie np. »Mury klasztorne Karmelitów w Warszawie«, albo »Zmierzch« lub też »Olchy w słońcu« zdobyły sobie publiczność tutejszą, chętnie oglądającą od czasu do czasu rzeczy odmienne od tych, jakie zazwyczaj widzi na wystawach krakowskich, bo jeżeli gdzie, to w malarstwie »variatio delectat animam«.

Czajkowskiego Stanisława, tego prawdziwego poety-pejzażysty, wspaniała »Jesień na Podlasiu« pociąga swym smętnym nastrojem i wirtuozowską techniką. Młodsza generacja naszych pejzażystów powinnaby studjować dzieła St. Czajkowskiego, by uczyć się z nich, jak należy wczuwać się w poetyckie piękno polskiego krajobrazu.

Miłą niespodzianką na omawianej wystawie są rzeczy Weissa, a to dlatego, że świadczą o wielkich postępach, dosięgających doskonałości, które ich autor poczynił, a których zwykle w jego wieku już

się nie czyni. Pod »doskonałością« mam na myśli, oczywiście, tylko technikę, bo kompozycją Weiss nie zajmuje się wcale. Otóż ta technika w ostatnich jego pracach, jak, dajmy na to, w »Modystkach« i »Modelce«, lub w »Drodze« (krajobraz wiosenny) w porównaniu z dawniejszą — wyróżnia się subtelnoscią rysunku i kolorytu, a szczególniej karnacji, przypominającej swemi srebrzystemi tonami to Correggia, to Rubensa. Dysonansem niemiłym w tym harmonijnym zespole jest zamiłowanie artysty do naturalistycznego, a wysoce niesmacznego traktowania pewnych szczegółów anatomicznych, co spostrzegamy z niesmakiem w doskonale zresztą namalowanej postaci »Erosa«.

Oprócz wymienionych, wzięli jeszcze udział w wystawie jubileuszowej: Filipkiewicz (Stefan), który dał kilka krajobrazów — wśród nich najlepszy »Dunajec w jesieni« — i parę studjów kwiatów, nie tak efektownych, jak zwykle, Jarocki, który wystawił między innemi bardzo dobre studjum pt. »Stary góral« i dziwnie niesympatyczny, zaledwie podmalowany »Portret Przybyszewskiego«, Sichulski, który, oprócz kwiatów malowanych jako dekoracja ścienna, nadesłał kompozycję pt. »Trzej Królowie«, malowaną prawdopodobnie dla Ukraińców, bo N. Marja Panna ubrana jest na niej w strój ukraiński (z jakiego powodu znalazł się taki obraz na polskiej wystawie — to zagadka), Dębicki (dwie fantastyczne kompozycje — »Polska« i »Ogień«), Boznańska (nie była wydrukowana w katalogu) i kilku innych, o których pracach tylko dla braku miejsca nie piszę, a nie dlatego, jakoby na omówienie nie zasługiwały.

* * *

Rzeźba na wystawie jubileuszowej przedstawia się wcale dobrze, choć zaledwie czterech rzeźbiarzy nadesłało na nią swe prace. Prym trzyma między nimi Laszczka tak co do liczby, jak i wartości dzieł wystawionych. »Głowa żyda«(wykonana w drzewie lipowem przez artystę) i »Autoportret« (gips) — w dziale portretowym, a »Błędny ognik« (marmur) i »Ewa« (gips) — w dziale rzeczy figuralnej przedstawiają wyższą wartość artystyczną. Rzeczy te modelowane są miękko, ale bez przesady i z zachowaniem bardzo poprawnego rysunku. Na specjalną uwagę zasługują też posążek: »N. Marji P. Królowej Korony Polskiej« (gips), stylizowany w duchu rzeźb romańskich a posiadający dużo sentymentu religijnego, oraz »Orfeusz« (bronz), szkic traktowany na sposób rzeźb wczesnego Odrodzenia. Najmniej udatnym jest »Symbol ukrzyżowania Chrystusa«, bo twarz Ukrzyżowanego nic nie mówi, a sama postać wydaje się być modelowana z dwóch modeli: kończyny dolne z człowieka żywego a korpus i ręce z trupa.

Pelczarskiego rzeźby, naogół poprawne w rysunku szczegółów i proporcjach, a mające pewien wyraz dostojnej powagi, szwankują jednak na punkcie modelunku, który jest zawsze suchy i twardy, bez względu na to, że ciało np. kobiece, lub dziecka, takiem nie jest.

Ogólnie podoba się postać zatopionego w ekstazie modlitewnej młodego człowieka, której artysta dał tytuł: »Ojcze nasz«. Subtelnie wykonane i mniej twardo, niż zwykle, modelowane są »Dzieci«.

Trzy główki dziewczęce Puget'a nie dają żadnego wyobrażenia o tem, co produkuje ten zdolny rzeźbiarz. Są one przeciętnie poprawne — ale nic pozatem.

Dunikowski, uparcie szukający nowych dróg dla rzeźby, nadesłał trzy półfigury kobiece, naturalnej wielkości, które w katalogu nazwane są »portretami«. Dla scharakteryzowania tych »portretów« wystarczy stwierdzić, że jeden z nich polichromowany jest w ten sposób: ciało zielone, włosy niebieskie, suknia czarna ze złoceniami.... Tej polichromji odpowiada kubistyczny sposób modelowania.

Józef Trepka.

Opieka nad żołnierzem.

Tysiące młodych ludzi mobilizowano już w niepodległej naszej ojczyźnie do obrony przed Wschodem, odrywano jednych od pracy naukowej, która decydować miała o całem ich życiu, drugich od warsztatu, rozdzielano męża od żony, ojca od dzieci, syna od rodziców. Wyekwipowano ich następnie, wyćwiczono i posłano w bój; niepewność wisiała nad nimi, śmierć. niewola, kalectwo groziły każdemu i spotkały rzeczywiście wielu. Jednych wiodła gorąca, czysta miłość ojczyzny, innych prowadził przymus — w każdym razie wszyscy szli walczyć za wolność naszą, a więc należała im się wdzięczność od nas, tem bardziej że był to przecież kwiat narodu, przyszłość jego; należało uczynić dla nich wszystko, co tylko leżało w naszej mocy, zarówno podczas samej kampanji, jak i po powrocie.

Niestety stało się inaczej. Drobna część społeczeństwa pracowała wprawdzie z wysiłkiem, Biały Krzyż, Związek kat. Polek, Koło Polek, Koło Opieki, Związek Sióstr Żołnierza itp. nie szczędziły ofiar i trudów, było to jednak kroplą w morzu wobec ogromu potrzeb, które pozostały niezaspokojone. Nie wchodzimy tu w szczegóły, wystarczy przypomnieć tylko znany wszystkim smutny los akademików, którzy porzuciwszy chętnie wszystko, by nieść pomoc zagrożonej ojczyźnie, spotkali się po mozołach i ofiarach wojny niemal z zapomnieniem ze strony społeczeństwa, walczyć musieli niejednokrotnie z nędzą, upominać się daremnie o pomoc i wreszcie szukać jej u obcych. Cokolwiek powiemy na własne usprawiedliwienie, wypadek ten jest plamą, którą dopiero od niedawna usiłuje się zatrzeć.

I pod tym względem Ameryka wyprzedziła nas znacznie, jak się to pokazało podczas wojny światowej. Lepiej zrozumiano tam wartość

żołnierza i obywatela, związek pomiędzy opieką nad wojskiem a dobrem kraju. Nie zapomniano, że żołnierz jest przecież członkiem społeczeństwa, w którem ma po skończonej kampanji pracować w dalszym ciągu i dlatego w interesie dobra ogólnego powinien wrócić zdrowy moralnie i fizycznie. Uznano, że wzamian za trudy i poświęcenie należy mu się tem żywsza wdzięczność i troskliwość ze strony pozostałych. Toteż kiedy w r. 1917 Stany Zjednoczone wystąpiły czynnie na terenie europejskim przeciw mocarstwom centralnym, niemal równocześnie z mobilizacją rozpoczęła się akcja opieki nad wojskiem.

Cel jej był jasny: podtrzymanie w żołnierzu ducha patrjotyzmu i poświęcenia, zachowanie go w zdrowiu fizycznem i moralnem, ułatwienie dźwigania trudów wojennych i uprzyjemnienie pobytu zdala od domu rodzinnego.

Zadanie to było niemałe, a wobec rozległości terenu, który obejmował Amerykę i Europę, wobec liczby wojska, dochodzącej do paru miljonów i wreszcie wobec trudności samej sprawy, wymagało pracy znakomicie zorganizowanej, równocześnie intensywnej i skoncentrowanej. W rozwiązaniu tego problemu dopomógł sobie rząd amerykański rzeczywiście po mistrzowsku. Objąwszy najwyższe kierownictwo i nadzór nad całą akcją, którą dzielił z Departamentem Wojny i Naczelnem dowództwem wojsk ekspedycyjnych, A. E. F., powierzył wykonanie jej bądź organom wojskowym, bądź też — co najważniejsze — prywatnym stowarzyszeniom, które ofiarowały się z pomocą. Siedm wielkich organizacyj zgłosiło w tym celu swą gotowość: Rycerze Kolumba, Y. M. C. A., Armja Zbawienia, Y. W. C. A., Żydowski Komitet Dobroczynności, W. C. C. S. (wojenna służba obozowa) i A. S. A. (ameryk. towarzystwo bibljoteczne). Rząd i władze wojskowe zastrzegły sobie kontrolę i unormowały jednolitość działania, wzamian zaś otoczyły swą opieką członków stowarzyszeń, które uznano oficjalnie za »pomocnicze« i udzielono im wszelkich ułatwień w korzystaniu z środków komunikacyjnych i możności taniego zakupna potrzebnych artykułów. Dla zdobycia koniecznych funduszów, których dostarczyć miało całe społeczeństwo, urządzono ogólną zbiórkę w państwie, która przyniosła około dwustu miljonów dolarów i została rozdzielona następnie pomiędzy poszczególne organizacje, urządzające oprócz tego mniejsze zbiórki na własną rękę. W celu zgodnego ułożenia ich działalności, o ile nie określał jej sam charakter stowarzyszenia, porozumiano się uprzednio, dzięki czemu w ciągu pracy jedne nie wchodziły w drogę innym i obeszło się bez nieporozumień.

Jak wyglądała sama akcja? Obejmowała ona dwa różne okresy: wojenny i powojenny, a każdy z nich pociągał za sobą inny rodzaj pracy.

Jak długo żołnierz przebywał w obozach ćwiczeń lub na polu walki, głównem zadaniem opieki nad nim było podtrzymywanie go na duchu i danie sposobności do uczciwej rozrywki, któraby go zajęła i powstrzymała tem samem od szukania niewłaściwej. Głównym środkiem do tego okazały się sporty, tak znane i uprawiane w Ameryce. To też nie szczędzono na nie wysiłków ani pieniędzy, zakupywano

masy przyborów do gier, atletyki i boksowania, sprowadzano najtęższych instruktorów, ćwiczono żołnierzy, urządzano popisy, konkursy, przedstawienia. »Nigdy w dziejach nowożytnej wojny nie było armji tak oddanej wszelkim rodzajom zdrowego sportu, jak amerykańska« pisał naoczny świadek, dodając, że rząd amerykański, dbając o tę sprawę, okazał tem samem, że chce mieć najlepszą armję, jaką można posiadać.

Punktem środkowym, dokoła którego skupiało się to życie, były w miejscowościach więcej oddalonych od frontu domy klubowe, wynajęte lub zbudowane umyślnie w tym celu, które mieściły w sobie obszerną salę do zabaw i zebrań towarzyskich, czytelnię, bibljotekę, przybory do gier, muzyki, kina, przyczem starano się stworzyć atmosferę możliwie zbliżoną do domowej, aby sterany twardem rzemiosłem żołnierz mógł odetchnąć tu pełną piersią i zaczerpnąć sił do dalszych trudów. Na froncie, w grodze i obozach przenośnych starano się rozerwać go papierosami, czekoladą, ciastkami i innemi łakociami, które rozdawano za darmo, w pewnych okresach, jak np. na »gwiazdkę«, nawet w dość znacznej ilości. Jak zbawiennie i ożywczo działało to na żołnierza, który odczuwał głęboko w sercu, że przecież o nim pamiętają, możemy sobie łatwo wystawić na podstawie doświadczeń poczynionych podczas niedawnej działalności Y. M. C. A. w naszej armji.

Z chwilą podpisania zawieszenia broni i powrotu do ojczyzny rozpoczął się drugi odmienny okres pracy. Chodziło o zajęcie się losem zdemobilizowanego żołnierza, o znalezienie dla niego posady i wypełnienie luk, jakie w przygotowaniu go do zawodu spowodowała dłuższa przerwa wojenna. Pewnym wstępem do tej pracy były liczne kursa uzupełniające, które przy pomocy fachowych sił otwierano po niektórych obozach; w Beaune, we Francji założono nawet głośny uniwersytet A. E. F., który stał na wcale wysokim poziomie i był uczęszczany przez 10—12.000 oficerów i żołnierzy. Po zakończeniu wojny stworzono osobny urząd państwowy, U. S. E. S., podległy departamentowi pracy, którego zadaniem było wyszukiwanie posad i rozdzielanie ich zdemobilizowanym, przyczem do współpracy powołano wszystkie organizacje pomocnicze z okresu wojennego. Założono również szereg szkół uzupełniających, nie mówiąc już o specjalnych zakładach dla inwalidów niezdolnych do pracy. Wspomnieć także wypada osobne wojenne biuro ubezpieczeń dla żołnierzy, prowadzone przy pomocy towarzystw prywatnych.

Rzetelna ta troska o żołnierza, a przytem umiejętność posługiwania się organizacjami prywatnemi, które powodowane patrjotyzmem pracowały z całem poświęceniem i bardzo wydatnie, stanowi wybitny rys działalności rządu amerykańskiego, zasługującej na najwyższe uznanie i godnej naśladowania. Akcja tego rodzaju musi odbić się bardzo korzystnie na wojsku i spotka się z aprobatą całego społeczeństwa, które z pewnością nie omieszka poprzeć jej skutecznie ze swej strony, o ile oczywiście przykład Ameryki będzie ściśle zastosowany, innemi słowy — o ile organizacje pomocnicze nie będą »partyjnemi«, któreby pod płą-

szczykiem patrjotyzmu przemycały własne interesa, wnosząc ferment i zarzewie niezgody.

Z zakończeniem wojny nie ustała w Ameryce opieka nad żołnierzem, tylko że przejęły ją teraz władze wojskowe, zlikwidowawszy pomocniczą akcję organizacyj cywilnych. Jak pożądaną rzeczą byłoby podobne zajęcie się żołnierzem polskim w czasie pokoju, zrozumie każdy, komu leży na sercu dobro narodu i który wglądnął bliżej w płytkość duchową, znamionującą wielką liczbę tych młodych ludzi, nie widzących poza obrębem ćwiczeń lub zabawy z kolegami czy dziewczętami żadnej realnej korzyści, jaką mogliby wyciągnąć z dłuższego okresu swej służby. Z uznaniem podnieść też należy, że dowództwo naszej armji, pomimo ciężaru olbrzymich zadań, spoczywających na jego barkach, nie zapomina o tem i już zwróciło się do grona oficerskiego z apelem do pracy oświatowej między sobą i wychowawczej nad żołnierzem. Są to wprawdzie początki, ale jeżeli społeczeństwo pojmie ich ważność i poprze je skutecznie, nie omieszkają zapewnie rozwinąć się bujnie.

A w związku z tem ciąży na społeczeństwie naszem inny jeszcze obowiązek.

Właśnie niedawno otrzymaliśmy odezwę »Obywatelskiego Komitetu pomocy dla zdemobilizowanych oficerów«, z d. 1 maja b. r., w której tenże zwraca się do społeczeństwa z wezwaniem o pomoc dla tych, których oderwano od ław szkolnych lub pracy biurowej do obrony ojczyzny, a którzy z powodu zajęcia ich miejsc lub z powodu innych trudności znaleźli się teraz bez środków do życia. O ludziach tych zapomniano niemal zupełnie. Lecz słusznie powiada odezwa, że »troska o oficerów zdemobilizowanych to obowiązek sumienia. To nie jałmużna ani danina. Prosta zapłata długu i to długu z przywilejami pierwszeństwa, który przedewszystkiem spłacić należy«. Zawiązany w tym celu Komitet (Warszawa, plac Napoleona (Warecki) 10), z prezesem Stanisławem Janickim na czele, stara się też spełnić to zadanie przez znalezienie posad dla kwalifikowanych i przez dokształcenie pozostałych, dla których utworzył teraz całodzienne kursa 4-miesięczne, specjalnie dla każdej serji zdemobilizowanych, którym zapewnił równocześnie mieszkanie i całkowite utrzymanie w schronisku. Olbrzymie wydatki, bo zwolnionych oficerów jest przeszło 20.000, zniewalają Komitet do zwrócenia się do społeczeństwa z prośbą o pomoc materjalną. Trzeba się spodziewać że nikt się nie wymówi od przyczynienia się według sił do spłacenia wspólnego długu wdzięczności. (Wszelkie wpłaty w gotówce należy wnosić do Banku handlowego w Warszawie (centrala, ul. Traugutta) na rachunek czekowy Komitetu nr. 77—47 lub do Pocztowej Kasy Oszczędności (plac Napoleona) na takiż rachunek nr. 37—27). *S.*

Paryski kongres w sprawie wychowania rodzinnego.

Podczas kiedy stroskana o swą przyszłość liberalna Francja szuka ratunku przed wyludnieniem w premjach pieniężnych i innych podobnych projektach, katolicy — czując, że jedynie moralny i religijny czynnik zdoła zmienić dzisiejszy stan rzeczy — zwracają więcej w tym kierunku swe usiłowania. Świeżo właśnie odbył się w Paryżu, pod protektoratem kardynała-arcybiskupa miejscowego, »kongres wychowania rodzinnego«. Trwał on prawie pięć dni, od 23 do 28 kwietnia, a otworzył go prezes zjazdu, generał Castelnau, w obecności kardynała Dubois, który wziął również udział w końcowem posiedzeniu, na którem przemówił do obecnych i udzielił im swego błogosławieństwa.

Sam przebieg kongresu był urozmaicony, ale przedewszystkiem pracowity. Oprócz jednego popołudnia, poświęconego częściowo tylko wysłuchaniu produkcyj artystycznych, trwały zresztą posiedzenia bez przerwy od rana do wieczora aż do piątku, w którym nastąpiło uroczyste zamknięcie obrad. Tematy, poruszone przez prelegentów z różnych stron Francji i Belgji, obracały się przedewszystkiem koło samego wychowania, uwzględniały jednak silnie moment społeczny, narodowy i religijny. Mówiono o potrzebie autorytetu rodzicielskiego wyrabianiu charakterów i poczucia odpowiedzialności, o sankcji i karze, o radości koniecznej dla dziecka, o wychowaniu religijnem, o dzieciach anormalnych, znaczeniu muzyki i piękna w wychowaniu, o grzechu (G. Goyau). Zaznaczono słusznie, że pierwszym warunkiem dobrego wychowania dzieci jest wychowanie ich rodziców, na co położył silny nacisk de Vuyst, prezes belgijskiej Ligi wychowania rodzinnego. Dwie nuty szczególnie silnie uderzały w toku obrad: starano się podkreślić ważność rodziny, szczęście i dobra, jakie ona przynosi, oraz ważność jej dla narodu i konieczność uwzględniania i wyrabiania dodatnich cech narodowych przy wychowywaniu młodzieży. Poruszono również związek, jaki zachodzi między kryzysami społecznemi a stanem rodziny, i pomiędzy rodziną a szkołą. Zestawieniem całości i uchwaleniem rezolucyj zakończono kongres. Trzydzieści przeszło referatów, połączonych z dyskusją, to zaiste piękne świadectwo zrozumienia ważności sprawy i usilnej pracy dla dobra ojczyzny u katolików francuskich.

St. P.

REDAKTOR ODP. I WYDAWCA: ks. *J. Urban T. J.*

Druk ukończono 30 czerwca 1922.

Rewolucja, Żydzi i księgi święte.

Czy Żyd jest rewolucjonistą? Czy jest nim w wyższym stopniu niż inni? czy większe w swej naturze niż inni posiada predyspozycje do działalności wywrotowej wśród państw i narodów?

Gdyby na postawione pytanie chcieć odpowiedzieć na podstawie uproszczonego wnioskowania z pewnych cech zbiorowego charakteru Żyda, możnaby odpowiedź sformułować przecząco. Rewolucja a konserwatyzm: te dwa pojęcia wykluczają się wzajemnie, a czyż jest w świecie istota bardziej konserwatywna od Żyda, czy jest naród, — przynajmniej po Chińczykach — któryby zbiorowo wzięty był takim niewolnikiem tradycji, tak niedostępnym na przypływ jakichkolwiek nowych prądów i myśli, jak naród żydowski? Kiedy jest mowa o rewolucyjności jakiegoś narodu, to oczywiście można mieć na myśli tylko mniejszą lub większą ilość jednostek do niego należących — lecz naród, tak do szpiku kości konserwatywny, tak zagrzęzły w przeszłości i w literze, jakim jest naród żydowski, czy jest wogóle zdolny wydać z pomiędzy siebie jednostki o tendencjach postępowych aż do radykalizmu, rewolucjonistów, dla których nie istnieje kult form przeszłości? Dalej, rewolucja to taran, który godzi przedewszystkiem — przynajmniej w swych zamierzeniach — w kapitalistyczny ustrój społeczny; a czyż jest pod słońcem naród, któryby wykazywał w wyższym, niż Żydzi, stopniu kapitalistyczne instynkty? Wszak, przynajmniej od czasu prac W. Sombarta[1]), jest aksjomatem naukowym, że w rozwoju nowożytnego kapitalistycznego ustroju, zwłaszcza merkantylizmu, główną rolę odegrali Żydzi, a zdolności ich w tym kierunku — według Sombarta — zrodziły się nie tylko z ich atawistycznych instynktów koczowniczych, z ich rozproszenia po świecie i niechęci do ciężkiej produktywnej pracy, ale poniekąd i z ich religji; jakżeby ten naród nawskróś kapitalistyczny

1) Werner Sombart, die Juden und das Wirtschaftsleben. Leipzig 1911.

i bogacący się na handlu miał być rozsadnikiem rewolucji, godzącej w kapitalizm i handel podcinającej?

Takie są wątpliwości przeciwko pomawianiu Żydów o rewolucyjność. Atoli mamy tu do czynienia z argumentem deduktywnym, któremu w wysokim stopniu przeczy doświadczenie wieków, indukcja. Ci sami zresztą badacze historji i psychiki żydowskiej, którzy podkreślają wymienione powyżej cechy żydowskiego charakteru — konserwatyzm i instynkty kapitalistyczne — zgadzają się również, i to zarówno sami Żydzi jak i obcy, że żydostwo jest szczególnie pochopnem do rewolucji, że ono zarówno wydawało z pośród siebie najwybitniejszych teoretyków radykalizmu, jak i odgrywało wybitną rolę we wszystkich ruchach rewolucyjnych i przewrotach, jakie napotykało na swojej dziejowej drodze.

Żeby nie sięgać głębiej, Żydzi już pod koniec republiki rzymskiej, w większych osiedlach swego rozproszenia, w Rzymie naprzykład i w Aleksandrji, znani byli jako żywioł niespokojny, zagrażający porządkowi publicznemu; wprawdzie nie bez ich czynnego poparcia skupił Juljusz Cezar władzę w swych rękach i dlatego jeszcze cesarz August poczuwał się do wdzięczności względem nich, ale już najbliżsi jego następcy musieli uciekać się do represyj i do wydalania ze stolicy tych tłumów, assidue tumultuantes, jak się wyrażał o nich Swetonjusz, owej »cuchnącej i wiecznie kłócącej się zgrai«, jak Żydów potem określał Marek Aureljusz. W średniowieczu, jeżeli wypędzano Żydów z Hiszpanji, Francji i innych krajów, to mniej przyczyny tego należy doszukiwać się w nietolerancji religijnej; wypędzano ich bo widziano w nich pierwiastek rozkładowy, zagrażający bezpieczeństwu utrwalonego porządku rzeczy. Sami pisarze pochodzenia żydowskiego, jak Bernard Lazare [1]), nie ukrywają, owszem podnoszą, co żydowskim wpływom i współpracy zawdzięczał Renesans, co Reformacja Lutra, co terror Cromwella, jaki wreszcie brali oni udział w wielkiej rewolucji francuskiej i idących za nią przewrotach z lat 1830 i 1848 [2]). Wybitny udział Żydów w nowożytnym socjaliźmie jest notoryczny: najwięksi jego teoretycy — Marx, Lassale — byli Żydami. Żydzi byli organizatorami »międzynarodówek« i filarami partji w poszczególnych krajach, przeważnie Żydzi byli i są redaktorami socjalistycznych pism. Ten udział Żydów w dążeniach »pracującego proletarjatu« tem bardziej jest dziwnym, że liczba prowodyrów Żydów w partji rażąco przewyższa stosunek liczebny »robotni-

[1]) L' Antisemitisme, son histoire et ses causes. Paris, 1894.

[2]) Op. cit. chap. XIII. Cfr. G. Batault, Le Problème juif, Paris, 1921, str. 148 i nast.

ków« żydowskich do ogólnej masy ludności robotniczej w każdym kraju; ten lud, który zawsze umiał się jakoś wymigać od wyroku Bożego: »w pocie czoła pożywać będziesz chleb twój« i wynaleźć dla siebie zajęcia lżejsze, ten lud — powiadamy — dostarcza nieproporcjonalnie wielkiej ilości »uświadamiaczy« praw pracującej klasy i orędowników uciśnionego proletarjatu. I ci uświadamiacze i opiekunowie nie ograniczają się do agitacji wśród proletarjatu żydowskiego (do którego nie mają żadnego dostępu agitatorzy z pośród nie-Żydów), ale narzucają się na prowodyrów i opiekunów proletarjatowi chrześcijańskiemu. Wreszcie najlepszego dowodu rewolucjonizmu Żydów dostarczył nam najnowszy komunizm, bolszewizm. Jeżeli w Rosji na sto miejsc w sowieckiej biurokracji dziewięćdziesiąt miejsc znajdujemy obsadzonych Żydami (u szczytu pono nawet w wyższym stosunku), jeśli w Europie, gdziekolwiek wybuchał bolszewizm, to pod przewodnictwem Żydów (Eisner w Bawarji, Bela Kun na Węgrzech) i Żydów masami wprowadzał do rewolucyjnych rządów, to chyba nie można tego poczytywać za przypadkowy zbieg okoliczności, ale trzeba wyprowadzić wniosek, że rewolucyjny duch naogół nigdzie stosunkowo tylu i nigdzie tak łatwo nie znajduje zwolenników i wykonawców, co wśród »konserwatywnych« synów Izraela. Przesadą byłoby twierdzić, że wszelkie rewolucje w świecie inscenizują wyłącznie Żydzi, — zbyt skomplikowane bowiem są czynniki, które się składają na wytworzenie niezależnie od nich rewolucyjnej atmosfery, — bądź co bądź faktem jest niezaprzeczonym, że i na rachunek Żydów dużo trzeba zapisać, że oni bywali jednymi z pierwszych, co umieli eskontować nastroje rewolucyjne, i stawać w pierwszych szeregach aktorów przewrotu.

Wobec tego dziwnego skojarzenia w Żydzie radykalizmu z konserwatyzmem, rewolucji z kapitalizmem, interesującem nad wyraz musi być studjum tych historycznych czynników, które potrafiły wytworzyć tak skombinowaną psychikę. Zbyt powierzchownie patrzą na rzeczy ci, co rewolucyjność Żydów tłumaczą tylko zemstą z ich strony za doznawane od »gojów« upośledzenie w prawach, za prześladowania. Pewno, że antysemityzm może wywołać chęć zemsty i w rosyjskiej naprzykład rewolucji moment ten niemałą odegrał rolę. Zapewne odczuwają Żydzi złośliwą radość na widok upadku tego państwa, które ograniczało Żydów w prawach, wysiedlało ze swoich rdzennych miast, a nawet niejednokrotnie sprawiało im krwawą łaźnię. Musieli poczuć satysfakcję, gdy za Kiszyniew mogli się odpłacić pogromem inteligentów rosyjskich w samem sercu carskiego imperjum. Ale antysemityzm nie jest osta-

tniem tłumaczeniem rewolucyjnej psychiki Żyda; sam ten antysemityzm bowiem wymaga naukowego wytłumaczenia. Trzeba dojść, dlaczego nigdzie i nigdy nie lubiano Żydów, dlaczego wszędzie i zawsze widziano w nich żywioł rozkładowy i wrogi dla otoczenia, w jakiem żyli?

I oto wielu autorów tak ze strony chrześcijan, jak i z pośród samych Żydów usiłuje wytłumaczyć tę zagadkę. Badając wszakże te historyczne czynniki, które złożyły się na rewolucyjny nastrój Żyda, jedni, jak Lazare, czynią poniekąd z nich chwałę Izraela, podczas gdy drudzy, jak np. w ostatnich czasach G. Batault, w poszukiwaniu źródeł rewolucyjności Żydów docierają do ksiąg świętych Starego Testamentu, potępiając samą religję żydowską, jaką ona jest w Biblji. Batault napada ostro w swojej książce na religijny ekskluzywizm Starego Testamentu, za nieustępliwy monoteizm, który nie pozwolił Żydom być tolerancyjnymi względem sąsiadów politeistów, zwłaszcza na najgorliwszych głosicieli idei jednobóstwa — proroków, którzy, według Batault'a, zaszczepili w psychikę żydowską zachłanną ideę opanowania świata, by go doprowadzić do uznania Jehowy, dając przytem w swych zatargach z własnymi bardziej tolerancyjnymi królami zły przykład spiskowania i buntu przeciw ustalonemu porządkowi politycznemu [1]). Ten ekskluzywizm Żydów, pochodzący w prostej linji od religji proroków i wiary w jedynego Boga, w połączeniu z ideą mesjanistyczną, pewnego rodzaju imperjalizmem duchowym, zachował ich od rozpłynięcia się w morzu pogańskiem, stał się najsilniejszym kitem, który skupił i utrwalił narodowość żydowską, nadając jej odrębne swoiste piętno; on też utożsamił narodowość z religją i dziś czyni z Żydów żywioł nierozpuszczalny w żadnym obcym roztworze. Tu mamy wytłumaczenie owego dziwnego aljażu konserwatyzmu Żyda z rewolucyjnym jego duchem: zachowując nieruchomie swoją odrębność, musi on czuć się wszędzie obcym i musi odnosić się wrogo do tego obcego sobie duchowo otoczenia, wśród którego żyje, a stąd płynie jego sympatja do wszystkiego, co podkopuje trwałość i rozkłada spoistość tych obcych społeczeństw, stąd jego skłonność do popierania wszelkich wywrotowych machinacyj — słowem rewolucyjność Żyda.

Jakkolwiek wiele trzeba przyznać trafności tym wywodom, nie można się atoli pisać na nie bez zastrzeżeń.

W książce Batault'a, jakkolwiek usiłuje on być tylko objektywnym badaczem źródeł rewolucyjności Żydów, mamy właśnie do czynienia

---

[1]) Dz. Cyt. rozdz. II.

z antysemityzmem przesadnym, antysemityzmem, który i u nas znajduje niekiedy zwolenników (A. Niemojewski!). Usiłuje on poprzez żydowstwo ugodzić w chrześcijaństwo, obchodząc się bezceremonjalnie z księgami, uznanemi za święte i boskie przez chrześcijan, i widząc w chrześcijaństwie tylko prostego spadkobiercę żydowskiego ducha.

Godząc się z tem, że religję żydowską, taką jaką urobiła bezpośrednia epoka przed-Chrystusowa a jeszcze bardziej Talmud, przenika ów duch, który Batault nazywa »duchowym imperjalizmem«, i który czyni z Żyda malkontenta z istniejących stosunków i podatny materjał na rewolucjonistę, trudniej odpowiedzialną za to czynić aż religję Biblji, w szczególności proroków. W szczególności źródła rewolucyjności Żyda nie należy szukać bynajmniej w wyznawanym przezeń monoteiźmie. Przeciwnie, jeśli Żydzi, jako naród, mają jaki tytuł do wdzięczności całej ludzkości, to właśnie ten, że wśród pogańskiego świata zachowali czystą wiarę w jedynego Boga, Stwórcę i moralnego prawodawcę świata, a największą zasługę położyli tu właśnie prorocy, którzy nieustępliwie walczyli z wpływami okólnych politeistycznych ludów i z częstą apostazją własnego narodu. Ten właśnie monoteizm, przejęty, pogłębiony i rozniesiony po świecie przez chrześcijaństwo, wydał to, co stanowi kwiat i owoc cywilizacji i kultury europejskiej, a czego wydać nie mogły ani kulty bałwochwalcze, ani klasyczna filozofja i kultura Grecji i Rzymu, — wydał wiarę w wyższe rządy nad światem, w istnienie rozumnych celów egzystencji ludzkiej, w powolny, ale stały triumf prawdy i sprawiedliwości nad fałszem i niegodziwością. Tego nie byłyby dały ludzkości, bo dać nie mogły, ani naturalistyczne religje pogaństwa, ani bezduszny panteizm czy materjalizm, w jakim ostatecznie streszczała się cała filozofja starożytności. Tylko żywy a wszechmocny Bóg, którego głosili prorocy, a którego ojcowską miłość ku ludziom dała w pełni poznać ewangelja, mógł tchnąć w ludzkość tęsknotę za moralnym ładem i doskonałością i zobowiązać ją do ciągłego dźwigania się ku szczytom ideału. Zapewne i w tej tęsknocie za stosunkami idealnemi jest coś rewolucyjnego, ale jest to ta rewolucyjność, która przynosi zaszczyt religji, rewolucyjność polegająca na tem, że ludzkość nigdy w pogoni swej za formami doskonalszemi nie powie sobie: »stań!«, ale która zmusza człowieka przedewszystkiem do walczenia z brakami i niedoskonałościami własnemi, jako zawadami w pochodzie ludzkości ku lepszemu jutru. I gdyby Żydzi pozostali w całej swej masie takimi »rewolucjonistami«, nie mielibyśmy powodu narzekać na nich.

Rewolucyjność Żydów pochodzi nie stąd, że byli i pozostali mo-

noteistami, ale że ideę posłannictwa swego w świecie wypaczyli; wina Żydów nie w tem leży, że proroków słuchali, ale w tem, że ich źle zrozumieli, czy też prawdziwe zrozumienie zatracili. Chrześcijaństwo jest przecież również religją monoteizmu, religja ta wychowała duchowo wszystkie nowożytne społeczeństwa i narody, a czyż naprawdę ośmieli się kto upatrywać w chrześcijaństwie źródło rewolucyj, rewolucyj w tem znaczeniu, w jakiem je potępiamy i w jakiem rewolucyjność przypisujemy w wyższym stopniu żydostwu? W szczególności, czy ktoś ośmieli się upatrywać poplecznika rewolucji w katolickim Kościele, który wszak jest »filarem i utwierdzeniem« istotnych wierzeń chrystjanizmu i najwierniejszym kustoszem jego ducha? Nie mylą się ci, co chrześcijaństwo uważają za dalsze stadjum rozwoju religji żydowskiej, — jest ono niem w prostej linji, jest ono w rzeczywistości spadkobiercą naturalnym i legalnym religji proroków, ale właśnie stąd wniosek, że dzisiejsze żydostwo, tak chrystjanizmowi obce i wrogie musiało się odchylić od tego naturalnego rozwoju, że zamiast postępować w pogłębianiu swej religijności, stanęło na martwym punkcie.

I tu właśnie dochodzimy do właściwego źródła rewolucyjności Żyda, źródła, około którego krążyli już niejednokrotnie badacze, w tem i Batault, bliżej jeszcze Lazare, nie umiejąc całkowicie ocenić jego doniosłości w wytwarzaniu się zbiorowej psychiki żydowskiej. Źródłem tem, to dziwna przy wierze w jedynego Boga i jego moralne rządy nad światem materjalistyczna koncepcja życia. Zaiste, najpotężniejszym czynnikiem, jaki zrobił z Żyda rewolucjonistę, jest jego religja, religja, pomimo monoteizmu, nie nieba ale ziemi, nie ducha ale materji. Rewolucjonistę tworzy ten sam kult Złotego Cielca, który tworzy Żyda-kapitalistę. Religja żydowska, taka jaką ją dzisiaj widzimy, jest w całem znaczeniu tego słowa religją przyziemną. Ta cecha wyrabiała się powoli, albo lepiej powiedzieć — tę cechę zatrzymał i utrwalił judaizm, podczas gdy powinien był swą religję uduchownić, pogłębić. Nie można się pisać na twierdzenia tych historyków według których w dawniejszych epokach Żydzi jakoby nie mieli wcale posiadać wiary w życie pozagrobowe. Przeciwko tak skrajnemu materjalizmowi Żydów świadczą już jedne z najstarszych ksiąg Biblji, jak I Księga Królów [1]), opowiadająca o wywoływaniu przez wieszczkę ducha Samuela. Jeżeli jeszcze przed królem Dawidem mógł istnieć u Żydów spirytyzm, to musiała również istnieć i szeroko być rozpowszech-

[1]) I Krol, r. 28; por. Deuter. 18. 11.

nioną wiara w nieśmiertelność duszy, tak, nie tylko w zmartwychwstanie kiedyś człowieka po długotrwałem unicestwieniu przez śmierć, ale wiara w trwanie duszy po śmierci w innym świecie. Atoli trzeba się zgodzić, że ta wiara nie miała tego znaczenia dla życia praktycznego, jakie ma wiara w życie zagrobowe u chrześcijan. Żydzi wierzyli w nieśmiertelność duszy, ale losy człowieka po śmierci w ich etyce nie grały roli sankcji dobrych czy złych czynów.

Im była obca zarówno tęsknota za drugiem życiem chrześcijańskich mistyków, jak radość na myśl oglądania Boga; świat pozagrobowy, *Szeol,* w wyobraźni Żyda był to stan jakiejś bliżej nieokreślonej egzystencji, w każdym razie egzystencji niewesołej, było to miejsce, jak wyraża się Hiob, gdzie »niema żadnego porządku i gdzie panuje wieczne przerażenie« (10, 22). Od życia zagrobowego nie tylko w epoce Sędziów czy Królów, ale nawet w epoce Proroków i Skrybów Żyd nie wiele sobie obiecywał; dla niego sens życia kończył się z chwilą śmierci; »skoro Jahwe zawarł komuś powieki, nie spodziewał się on niczego jak tylko okropności szeolu« [1]). Nie spodziewając się zaś po śmierci niczego jako zapłaty za swoje czyny, łatwo zrozumieć, że Żyd chciał być wynagrodzonym za nie już w tem życiu; uważał to poniekąd za ścisłe swoje prawo, płynące z przymierza, zawartego przez Izraela z sprawiedliwym Jehową i jeśli spotykał go zawód w oczekiwaniach, a sumienie nie wyrzucało mu osobistej winy wobec Boga, to ten zawód odczuwał, jako wyrządzoną mu krzywdę i niesprawiedliwość, przeciwko którym reagował, jak umiał i mógł, doszukując się winy w ludziach, w istniejącym ustroju, buntując się wewnątrz przeciw niemu, używając pomsty na winowajców i wrogów.

Czy księgi biblijne ponoszą odpowiedzialność za to zacieśnienie horyzontu religijnego do granic czasu i ziemskiej przestrzeni? Rzeczywiście łatwo byłoby uczynić ten zarzut, gdyby się zapoznało charakter zawartego przez Boga z Izraelem przymierza. Można przewertować prawie całą biblję Starego Testamentu, można rozebrać wszystkie prorockie kazania, a nie spotkać się ani z obietnicą nieba za czyny dobre, ani z groźbą kar wiecznych w piekle za czyny złe; cała sankcja Starego Zakonu obraca się w obietnicach doczesnej pomyślności i w groźbach przeróżnych klęsk na tej ziemi. Ta pewna jednostronność Starego Testamentu, rażąca nas zwłaszcza gdy zestawimy ją z sankcją w ewangeljach, w owej cudnej przypowieści o bogaczu i łazarzu lub w opisie

[1]) Lazare, dz. cyt. str. 309.

sądu ostatecznego, da się wszakże wyrozumieć i wytłumaczyć bez zaprzeczania boskiego charakteru Biblji. Tłumaczy ją mianowicie to prawo zdrowej pedagogiki, które nawet Bóg chciał zachować w wychowywaniu ludzkości upadłej, że człowieka podnosi się i uszlachetnia stopniowo bez nagłych przeskoków. Powiedzieliśmy, że w porównaniu z naturalistycznemi religjami starożytności, religja patrjarchów i proroków była pod względem etycznym już wielkim krokiem naprzód: zamiast nieubłaganego fatum lub kapryśnych i występnych bóstw mitologji, objawiała ludzkości Boga osobowego, świętego w swojej istocie i w swoich prawach i sprawiedliwego w swoich sądach. Zacieśniała tym sposobem związek między religją a etyką, dając tej ostatniej za stróża nie tylko interesowany egoizm człowieka, ale samego wszystko wiedzącego i wszechmocnego Boga. Jeżeli zaś w swoich sankcjach moralnego prawa ograniczała się do doczesnych gróźb i obietnic, to powód tego był podwójny: po pierwsze, perspektywa nieba, czekającego człowieka cnotliwego zaraz po śmierci, nie odpowiadałaby rzeczywistości, skoro to niebo miał ludziom otworzyć dopiero obiecany Zbawiciel; po drugie, religja Starego Testamentu, jako przymierze Boga z ludem wybranym, miała charakter nie tyle indywidualny, co polityczno-społeczny. Kontrahentami w tym pakcie byli z jednej strony Jehowa, z drugiej — naród żydowski, jako całość. Do tego więc narodu, jako całości, zwracały się napominania proroków i dlatego nie było miejsca na grożenie mu piekłem, lub obietnice nieba. Stąd, gromiąc niewierność ludu przymierzu ze swoim Bogiem, grozić musieli prorocy nieszczęściami ziemskiemi: posuchą, głodem, zaraźliwem powietrzem, niewolą u obcych, wzywając zaś go do powrotu do Boga lub pocieszając go, gdy był w ucisku, stawiali przed jego oczy perspektywy powszechnej pomyślności ziemskiej i obfitości chleba, dostatku złota, długiego życia jego synów, pokoju z sąsiadami.

Nie trzeba też zapominać, że wiele z tych ponętnych obrazów w ustach proroków to były tylko symbole innego bardziej duchowego porządku rzeczy, jaki miał zstąpić na ziemię wraz z zapowiedzianym Mesjaszem, owego królestwa Bożego, które »nie jest jedzenie i picie, ale sprawiedliwość i pokój i radość w Duchu świętym«.[1]) Symbolizm i przenośnię chyba łatwo było upatrzeć w takich poetycznych obrazach, jak kiedy Izajasz prorok zapowiadał, że nastaną czasy iż »będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard z koźlęciem legać będzie, cielę i lew i owca po-

[1]) Św. Paweł do Rzym. 14, 17.

społu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie... a lew jako wół plewy będzie jadał« itd. (Izajasz 11. 6—8), albo, że »przekują ludzie miecze na lemiesze, a włócznie na sierpy«, (Iz. 2, 4), albo, że »światłość księżyca będzie jako światłość słońca, a światłość słońca będzie jako światłość słońc siedmiu« (Iz. 30, 26), albo, że narody i ich królowie chodzić będą w jasności Sionu, podczas gdy resztę ziemi pokryje ciemność (Iz. 60, 1—3), że ku Izraelowi obróci się zgraja morska, a moc poganów przyjdzie doń z darami (tamże w. 5 i nast.).

Te i nieprzeliczone inne wizje, odnoszące się, jak z kontekstu widać, do duchowego królestwa mesjańskiego, autentyczny wykład miały otrzymać od Tego, który nie przyszedł Zakonu rozwiązywać, ale go wypełnić i dopełnić; wypełnić przez urzeczywistnienie wszystkich danych Izraelowi obietnic w wyższem duchowem znaczeniu, przynosząc mu wybawienie od grzechów, i dopełnić przez udzielenie nowego światła, przez przesunięcie punktu ciężkości z ziemi do nieba, przez rozszerzenie pojęcia »narodu Bożego« na wszystkie narody ziemi. Atoli naród żydowski odrzucił to rozumienie swych ksiąg świętych; owszem właśnie w epoce bezpośredniej przed Chrystusem, choć wyjaśniał sobie lepiej pojęcia o życiu pozagrobowem, pozostał wszakże przy materjalistycznem i ziemskiem pojęciu sankcyj moralnych. Jeżeli księgi święte, powstałe w epoce hellenizmu (Ks. Mądrości) uduchowniały coraz bardziej stosunek ludzi do Boga, to już apokaliptyczna literatura żydowska z przełomu dwóch er i rabinistyczne spekulacje, kładąc podwaliny pod budowę Talmudu, utrwalały wraz z ekskluzywizmem i imperjalizmem religijnym Żydów także materjalizm w pojmowaniu obietnic prorockich, biorąc je à la lettre, owszem wysilając wyobraźnię, by przejaskrawić dawne obrazy i symbole. Jeżeli Ezechiel prorok (47, 12), opisywał źródło, które popłynie ze świątyni i oblewając wszelkie drzewo, uczyni, że będzie przynosiło co miesiąc nowy owoc, to rabini wnosili stąd, że zboże na polach w owych szczęśliwych czasach będzie dojrzewało co dwa tygodnie; jeżeli Psalmista obiecywał obfitość ziarna na równinie i na szczytach gór (ps. 72, 16), to rabini wyobrażali sobie wysokość zboża równą palmom sięgającym wierzchołków gór. Zwłaszcza winnicom obiecywano bajeczną płodność: na każdym krzewie miało być tysiąc latorośli, na każdej latorośli tysiąc gron, po 10 tysięcy jagód, a każda jagoda po wyciśnięciu miała dawać miarę wina [1]).

---

[1]) Apok. Barucha 29, 5, cyt. u Lagrange'a, Messianisme chez les juifs, str. 196.

To właśnie jednostronne materjalistyczne pojmowanie obietnic Bożych, a co za tem idzie zacieśnienie pojęć o zadaniach człowieka na tym świecie, wytworzyło tę psychikę, która ostatecznie tak znakomicie przyczynia się do zrewolucjonizowania Żyda.

Materjalistyczny pogląd na życie rodzi dwa przeciwieństwa: z jednej strony ubóstwo poczytuje się nie tylko za niesprawiedliwość, ale za prawdziwe nieszczęście, które koniecznie usunąć należy, z drugiej strony ten sam materjalizm powoduje chciwość, gromadzenie kapitału i właśnie wytwarza te nierówności społeczne, które Żyd tak żywo potrafi odczuć. Stąd na drabinie społecznej spotykamy Żydów na obydwu jej końcach: u samej góry finanserję żydowską, w której ręku zgromadzona jest przynajmniej połowa bogactw świata, u samego dołu — proletarjat marnie żyjący i skłonny do wszelkich eksperymentów społecznych. A temu faktycznemu rozmieszczeniu Żydów na drabinie społecznej, odpowiada ich stanowisko w teorjach ekonomicznych. I tu na jednem skrzydle widzimy żydowskich teoretyków kapitalizmu i liberalizmu, jak Ricardo, na drugiem — apostołów komunizmu, w rodzaju Marxa i całej jego szkoły, a oba te kierunki są tem pokrewne, że przenika je duch materjalistycznego pojmowania dziejów. Ten duch materjalizmu, jaki przenika psychikę Żyda, czyni także ustawiczne psoty owemu poczuciu sprawiedliwości i krzywdy społecznej, jakiego Żyd głosi się tak wytrwałym rzecznikiem. Pozostaje on komunistą, dopóki nie przekroczy tej linji, poza którą sam już staje w rzędzie owych »bogaczy«, tak surowo piętnowanych przez siebie. Wtedy przychodzi kolej na innych, którzy, jak on dotychczas, będą zwalczali niesprawiedliwość społeczną, dopóki sami z jej ofiar nie staną się sprawcami.

Oto istotne źródło rewolucyjnych predyspozycyj Żyda. Jeżeli zaś do materjalizmu życiowego dodamy ów duchowy imperjalizm, który Żydom maluje perspektywę ziszczenia utopji w całym świecie przez nich, przez osiągnięcie panowania nad wszystkiemi narodami, to będziemy mieli całokształt tych czynników, które z Żyda czynią urodzonego rewolucjonistę, a z narodu żydowskiego czynnik rozkładu wszystkich społeczeństw, które mu wśród siebie pozwoliły zagościć. Czynniki te w istocie zawdzięcza Żyd przedewszystkiem swojej religji, ale nie religji Biblji, nie religji proroków i psalmów, które są ustawicznie czytane także przez chrześcijan, nie zatruwając ich zbiorowej duszy, on je zawdzięcza religji faryzaizmu, religji późniejszych »doktorów«, religji Talmudu, religji, która spaczyła, która zmaterjalizowała Słowo Boże i która odrzuciła Tego, co otwierał prawdziwe jego znaczenie.

Może tu być podniesioną trudność, że przecież Żydzi, zarówno ci co biorą czynny udział w przewrotach społecznych i politycznych, jak i teoretycy komunizmu i rewolucji są przeważnie, jeśli nie zawsze, ludźmi, którzy utracili żywy kontakt z wszelką religją, a często wprost nie znają nawet świętych ksiąg swoich ojców; jakże więc na nich mogła oddziałać religja Talmudu? Można jeszcze zarzucić, że Żyd, który się wyzbywa religji swoich przodków i wogóle wszelkiej wiary, właściwie przestaje być Żydem, skoro w żydostwie, jak nigdzie indziej, narodowość i religja stanowią ścisłą jedność. Z tą trudnością liczy się także Lazare, który wszakże nie waha się twierdzić, że naogół mówiąc, nawet rewolucjoniści Żydzi zachowują ducha żydowskiego i charakter żydowski, że chociaż porzucili wszelką religję i wszelką wiarę, to wszakże ulegli przez dziedziczność i przez wychowanie narodowym wpływom żydowskim, a do charakteru tej narodowej psychiki żydowskiej należą właśnie te składniki, jakie powyżej były opisane [1]). Właśnie tem autor żydowski wykazuje, że tacy typowi ateusze lub panteiści, jakimi byli Marx, Heine lub Spinoza, byli wszakże zarazem typowymi Żydami. Chociaż spadały na nich klątwy ze strony ortodoksji żydowskiej za ich nieprawowierność, nie przestawali oni wszakże pełnić wśród społeczeństw chrześcijańskich tej roli, jaką wogóle za cel stawiało sobie żydowstwo wobec chrześcijańskiego świata, jak widzieliśmy — roli czynnika rozkładowego i rewolucyjnego. Owszem tacy ateusze żydowscy, to są właśnie ci, co na drodze zmaterjalizowania sensu życia, na jaką wprowadziła żydowstwo ich wypaczona religja, doszli do mety; otrząsnąwszy się z rytualistycznego balastu judaizmu i wyzbywszy się do reszty skrupułów sumienia, są oni zdolniejsi, niż wierzący jeszcze ogół, do bezwzględnego stosowania w praktyce tych dwóch nakazów spaczonego judaizmu: szukania raju całkowicie na ziemi i ekonomicznego podboju całego świata pod panowanie Izraela.

Znajomość choroby daje wskazówki jej leczenia. Poznaliśmy zboczenie, jakie dotknęło zbiorową psychikę żydowstwa i jakie czyni zeń pierwiastek rozkładowy i rewolucyjny w organizmach innych narodów. Zboczeniu temu rzeczywiście winna religja żydowska, nie ta, jaką Bóg objawił ich praojcom i jaka rozwijając się pod dalszem działaniem Bożem zrodziła chrześcijaństwo, ale ta, która wyrodziła się później i skrystalizowała w Talmudzie, jako chrześcijaństwa wroga antyteza. Czy chcąc uleczyć to zboczenie — co oczywiście jest pożądane, choćby

[1]) Dz. cyt. str. 345.

było beznadziejne, ze względu na bezpieczeństwo państw i narodów — czy należy pracować w kierunku osłabienia wśród Żydów religijności w mniemaniu, że Żyd sceptyk, Żyd indyferent, łatwiej się zasymiluje z narodem, wśród którego żyje, i przestanie być trucizną w jego organiźmie? Słyszeliśmy odpowiedź Lazare'a, że Żyd, nawet ateusz, nie przestaje być Żydem, i dodaliśmy — zdaje się zgodnie z doświadczeniem, poczynionem w Zachodniej Europie, w Rosji, a pono i u nas, że Żyd taki, wyzwolony z religijnych pęt judaizmu, rozebrany z chałata i jarmułki, wygolony po angielsku, jest stokroć niebezpieczniejszym wywrotowcem, niż jego brat pejsaty.

Nie przez ateizm prowadzi droga do uzdrowienia psychiki żydowskiej. Jedyne radykalne lekarstwo — to asymilacja z chrześcijańskiem otoczeniem, asymilacja przez chrzest, ale asymilacja prawdziwa, nie z wyrachowania, słowem to wychowanie duszy żydowskiej w atmosferze ewangelji. Że to wszakże rzecz rozpaczliwie trudna — zdajemy sobie sprawę. Nie kusiliśmy się zresztą w obecnym krótkim artykule, by pisać skuteczne recepty, tylko, by po raz tysiączny i pierwszy zwrócić uwagę naszego, tak w kwestji żydowskiej zainteresowanego społeczeństwa, na istnienie problemu, który nie da się ani ominąć, ani rozwiązać zadawalniająco poza terenem religji.

Ks. Jan Urban.

Błędne drogi polityki skarbowej i ekonomicznej.

I. Marka polska jako pieniądz i waluta — powody jej niskiego kursu i wahań.

Kataklizm wojny europejskiej zmienił stosunki wzajemne między ludźmi, zmienił linje granic, stworzył nowe organizmy państwowe i ostatecznie podzielił świat na dwie grupy narodów, z których jedna posiada jeszcze walutę opartą na pewnym podkładzie złota, tak jak to ongiś wszędzie niemal bywało, zaś druga zmuszona jest operować znaczkami papierowemi o niewiadomej wartości.

Do tej drugiej grupy należy Polska, która pieniądza w znaczeniu przedwojennem nie posiada i która od pierwszej chwili swego zmartwychwstania czyni wysiłki, by własną walutę w tem właśnie znaczeniu przedwojennem u siebie stworzyć. Ogół niemal społeczeństwa naszego przyzwyczaił się uważać to za jedną z pierwszych konieczności życiowych; do urzeczywistnienia tego ideału wzdycha urzędnik państwowy, finansista, kupiec i rolnik, a wszystkim się zdaje, że z chwilą, gdy złoty polski, choćby o mikromiligram złota oparty, ujrzy światło dzienne, zniknie w tym momencie niepewność jutra i powrócą dawne czasy.

Wątpić należy, ażeby nadzieje te były uzasadnione i miały się w niedalekiej przyszłości sprawdzić, sądzimy bowiem, że ta niepewność jutra, jaka u nas na polu walutowem panuje, ma głębsze przyczyny, które są chwilowo bardzo mało zależne od stopnia złotego zabezpieczenia, jakie moglibyśmy dać dla naszego pieniądza.

Ażeby tę sprawę wyjaśnić, zmuszeni jesteśmy dla przejrzystości rozumowania powrócić do czasów wojennych, a mianowicie do tej pierwszej, znanej nam aż nadto dobrze chwili, kiedy pieniądz papierowy tracić począł ówczesną swoją najistotniejszą cechę charakterystyczną, to jest oparcie o kruszce szlachetne.

Gmach budowy »waluty złotej« rozpadać się zaczął wówczas w gruzy.

Konstrukcja waluty złotej opiera się na zasadach następujących:

1) Ustawa określa ściśle ilość jednostek pieniężnych, jaką wolno mennicy państwowej wybić z jednego kilograma złota.

2) Państwo płaci za 1 kg. złota zawsze stałą cenę, a mianowicie tę ilość jednostek pieniężnych, jaką mennica państwowa z jednego kilograma wybija.

2) Ustawa zezwala mennicy państwowej wybijać monety z kruszcu lub drukować papiery na rachunek prywatny w miarę złożenia w skarbcu państwowym odpowiedniej ilości kruszcu.

4) Bank Państwa obowiązany jest na żądanie wymienić banknoty własne lub prywatne, przez siebie akceptowane, na monety złote, lub na odpowiednią ilość kruszcu surowego bez żadnych potrąceń.

5) Ilość banknotów wypuszczanych przez bank państwa nie może przekraczać ustawą ściśle określonego stosunku do zapasów kruszcu, jaki w danej chwili w skarbcu państwowym się znajduje.

Bank Rzeszy niemieckiej obowiązany był mieć pokrycie złotem dla 1/3 emisji banknotów, dla reszty zaś pokrycie wekslowe; to samo mniej więcej powiedzieć można o Banku austro-węgierskim. Bank rosyjski obowiązany był zabezpieczać emisję pokryciem złota w stosunku bardziej obostrzonym.

Najbardziej skrępowany był w tym względzie Bank angielski, zaś najmniej ograniczeń przewidywała dla swego banku państwowego ustawa francuska. Toteż Francja mogła zaraz z początkiem wojny wstrzymać wypłaty złotem, a raczej wymianę banknotów na złoto i podwyższyć emisję banknotów, nie narażając przez to zbytnio efektywnej wartości franka papierowego na wahanie.

Nie wolno jednak było uczynić tego bezkarnie Rosji, a tem mniej państwom trójprzymierza, których zapasy złota były ograniczone i naogół wziąwszy skąpe, a których prawodawstwo już zgóry możliwości takie wykluczało. Z chwilą, kiedy Austrja i Niemcy postanowiły, z pominięciem ustaw zasadniczych, wybić nową serję papierków, bez przepisanego podkładu złota i dostarczyć ich na potrzeby armji, z tą chwilą rozpoczęło się w i e l k i e o s z u s t w o, które przyprawiło o olbrzymie straty materjalne setki miljonów ludzi w całym świecie, a dla moralnych sprawców skończyło się katastrofą.

Jest rzeczą jasną, że ogólna ilość koron, względnie marek papierowych przypadających na 1 kg. złota, znajdującego się w banku

austro-węgierskim lub w banku Rzeszy, dzięki tej emisji odpowiednio się powiększyła i że stosunek ten w miarę dalszych emisyj ciągle się zmieniał i to stale na niekorzyść wartości efektywnej korony i marki papierowej. Równocześnie zaobserwować było można dwa bardzo ciekawe zjawiska, a mianowicie, że siła kupna pieniądza papierowego malała w Austrji i w Niemczech w tempie nieporównanie wolniejszym, aniżeli jego wartość rzeczywista i że giełda światowa nie zareagowała na fakt ten tak, jak na to zasługiwał [1]).

Zjawisko pierwsze łatwo wytłomaczyć zupełną dezorjentacją szerokich warstw ludności, którą rząd austrjacki i niemiecki silnie podtrzymywał, rozpisując coraz to nowe pożyczki wewnętrzne, wpajając w ten sposób w maluczkich przekonanie, że skarb trójprzymierza to taki dziwny czarodziejski młyn, który ten sam korzec ziarna potrafi tyle razy przemleć na mąkę, ile razy połączone sztaby generalne tego zażądają. Nie wielu stosunkowo ludzi wie, że w przyrodzie istnieją tylko zjawiska nieodwracalne, a ci, którzy o tem wiedzieli, mieli usta zamknięte cenzurą, więc propaganda pożyczek szła łatwo i chwilowo opłacała się wcale nieźle.

Pamiętać przytem należy, że rządy w Austrji i w Niemczech zastosowały równocześnie tak zwane ceny maksymalne i urzędy walki z lichwą i że w ten sposób przeciwdziałały naturalnej zwyżce cen, które, gdyby wzrastały proporcjonalnie do zniżki wartości koron i marek papierowych, ubezwładniłyby w pierwszym rzędzie całą administrację państwową i obróciłyby na poczekaniu w niwecz wszelkie wojenne kalkulacje.

Co się tyczy giełdy światowej, to dla zachowania się jej wydają się miarodajne inne powody.

Za granicę, o ile to było bezwarunkowo konieczne, pchano złoto i w pierwszym rzędzie banknoty przedwojenne, które dla ograniczonego ruchu handlowego prawie że wystarczały, a przytem drogą odpowiednich komunikatów prasowych urabiano opinję, dowodząc, że początkowe sukcesy militarne przyniosły duże zasoby kruszców szlachetnych. Jeżeli się jeszcze uwzględni, że wynik wojny był niepewny, to stanowisko giełdy światowej znajduje w ten sposób pewne logiczne uzasadnienie.

---

[1]) Szczegółowe daty statystyczne, ilustrujące deprecjację pieniądza papierowego w miarę nowych emisyj, podaje Dr. Wacław Fajans „Wahania walutowe w świetle doświadczeń wojny", Warszawa 1917.

Mimo to faktem jest, że zagranica traciła coraz bardziej zaufanie do papierowej waluty rosyjskiej, niemieckiej i austrjackiej. Po zakończeniu wojny i po rozpadnięciu się Austrji, traciła je powoli do wszelkich not, jakie kursowały na obszarze Rzeczypospolitej i straciła je niemal zupełnie wówczas, gdy noty te wycofano z obiegu i zastąpiono w jakimś tajemniczym stosunku obecnie kursującą marką polską, znaczkiem papierowym, nic właściwie realnie nie mówiącym.

Rzecz dziwna, zauważyć można, że od 1919 roku siła kupna waluty naszej wewnątrz kraju była równocześnie zawsze prawie większą, niżby na to pozwalał jej kurs zagraniczny i to zarówno w czasie, gdy Rząd sam stosował system cen maksymalnych, jak i wówczas, gdy ogłosił wolny handel z małemi stosunkowo ograniczeniami.

Gdyby powiedzieć komuś przed wojną, że przyjdzie czas, kiedy kupować będzie można zboże i chleb za »dobre słowo«, za obiecankę, czas, kiedy giełda światowa dopuści do notowania kursu pieniądza papierowego, którego wartość zależną będzie od jakichś przyszłych uchwał sejmowych, to byłby nikt z pewnością nie uwierzył, a teoretyk finansista gotówby był napisać na ten temat kilka tomów, udowadniających »niezbicie« zupełną niemożliwość takiego faktu.

A jednak fakt ten nie da się zaprzeczyć; na banknotach naszych czytamy wyraźnie: »Państwo Polskie bierze na siebie odpowiedzialność za wymianę niniejszego biletu na przyszłą walutę polską według stosunku, który dla marek polskich uchwali sejm ustawodawczy«. Każde słowo można w tem oświadczeniu dowolnie interpretować, istoty rzeczy jednak to nie zmieni; waluta nasza jest jednym wielkim znakiem zapytania i ten znak zapytania ma kurs na giełdzie światowej; w Zurychu notują w pewnym dniu markę polską, przypuśćmy, jako równą 0·013 franka szwajcarskiego, czyli że złotą dziesięciofrankówkę otrzymać tam można za 7.692 Mkp. i 31 fenigów. Jeżeli teraz postawimy sobie pytanie, czy w danej chwili skarb nasz posiada rzeczywiście taką ilość złota, któraby uprawniała giełdę w Zurychu do przyjęcia powyżej wymienionej proporcji, to trzeba w pierwszym rzędzie odpowiedzieć, że nie posiada, a zaraz potem trzeba dodać, że gdyby nawet tak było, to żaden umysł nie jest w stanie przewidzieć, że sejm przy zmianie waluty uchwali dla obecnej marki polskiej taki właśnie, a nie inny ekwiwalent.

Porównując zaś kurs marki polskiej w Zurychu w rozmaitych czasach ze stanem emisji banknotów naszych w odpowiednich czasokresach, spostrzeżemy z łatwością dalsze ciekawe zjawisko, że kurs

ten był i jest w ogóle od wielkości emisji zupełnie niezależny. Ten sam bowiem kurs marki, notowany w dniu, kiedy piszemy ten artykuł, notowano także w 1920 r., kiedy emisja banknotów naszych była bezsprzecznie mniejsza od obecnej.

Rozważania dotychczasowe umożliwiają nam wyprowadzenie wniosku następującego: Kurs waluty naszej jest chwilowo niezależny ani od podkładu złota, jaki mogłaby ona ewentualnie posiadać, ani stanu emisji naszych banknotów. Wojna stworzyła widocznie inne kryterja dla oceny wartości pieniądza papierowego, które z emisją banknotów i ich podkładem złota i srebra albo nic zgoła, albo przynajmniej niewiele mają wspólnego.

Otóż obecnie chodzić nam będzie o rozwiązanie kwestji zasadniczej, a mianowicie o wskazanie tych wszystkich innych czynników, które chwilowo przy ocenianiu wartości naszego pieniądza papierowego mogą uchodzić za miarodajne.

Nie wypaczając ogólnych zasad naukowych ekonomji politycznej powiedzieć możemy:

1) Pieniądz jest najporęczniejszym ekwiwalentem dla wszelkiej formy kapitału wymiennego.

2) Kapitałem wymiennym jednostki jest ta jej własność, która dla innych jakąkolwiek wartość posiada, wszelka zaś inna własność jest jedynie jej dobrem naturalnem.

3) Cena kapitału wymiennego jest zwykle zależną w pewnym stopniu od kosztów produkcji, nie ma jednak nic wspólnego z wartością, a wymianę wzajemną rozmaitych form kapitału reguluje między ludźmi prawo podaży i popytu.

4) Kapitał wymienny jest zawsze tylko przedmiotem sprzedaży a nie kupna, a wartość jego mierzy nabywca jedynie ilością własnego trudu i wysiłku, jaki przy kupnie zaoszczędza.

5) Zysk i własność prywatna, odziedziczona lub nabyta, nie jest kradzieżą, albowiem przy legalnem przelewaniu praw własności zyskują zwykle obie strony, zarówno nabywca jak i oddawca; niemożność zaś dysponowania własnością wędle uznania właściciela byłaby sprzeczna z istotą tego pojęcia [1]).

[1]) Twierdzenie to da się najzupełniej pogodzić z „względnością prawa własności", które wyjaśnił i doskonale uzasadnił Ks. Moskała, *Przegląd Powszechny*, Maj 1922.

W świetle tych kilku twierdzeń zarysowują się wyraźnie wszystkie czynniki, które umożliwiły notowanie marki polskiej na giełdzie w Zurychu pomimo braków i usterek, czyniących z niej właściwie jedynie surogat pieniądza. Był krótki moment, w którym marka polska nie była zupełnie notowaną w Zurychu. Było to w tym czasie, kiedy handel z Polską, a właściwie eksport naszych towarów jeszcze się nie rozpoczął. Z chwilą jednak, gdy zagranica zorjentowała się, że nawiązanie trwalszych i korzystnych stosunków handlowych z Polską jest możliwe, z chwilą, gdy przyszła do przekonania, że marka nasza ma w kraju siłę kupna [1]) i można za nią nabyć towary, albo powiedzmy ściślej, inne formy kapitału wymiennego dla zagranicy potrzebne, przestała się wypytywać o podkład złota, o ilość emisyj i zaczęła notować kurs marki polskiej. Zagranica nie uczyniła tego z altruizmu przeciwnie zrobiła to dla własnej wygody i dla własnej korzyści, postępując w myśl zasad, zawartych w pierwszem i drugiem z powyższych twierdzeń.

Zobaczmy najpierw, co było miarą dla oznaczania kursu początkowego.

Z chwilą ujednostajnienia waluty było u nas w kraju jeszcze bardzo wielkie zapotrzebowanie towarów, których zapasy przez długą wojnę się wyczerpały, a których w czasie wojny do kraju sprowadzić nie było można. Nie posiadaliśmy np. słynnej gazy szwajcarskiej, używanej do wyrobu mąki pierwszej jakości. Przypuśćmy, że cena jednostkowa gazy wynosiła w tym czasie w Szwajcarji a frs., koszta cła, transportu i asekuracji b frs. tak, że cena jednostkowa loco Polska sięgała kwoty »A« frs. Kupcy nasi, znając ceny zboża i mąki w kraju, przyszli do przekonania, że sprowadzenie gazy z Szwajcarji będzie się kalkulować dla właścicieli młynów zupełnie dobrze i zadawalniająco, jeśli cena jednostkowa nie przekroczy kwoty »B« Mkp. Oznaczając zysk importera na jednostce towaru przez »C« Mkp., zaś koszta giełdowe i zmiany waluty przez »D« Mkp., będziemy w stanie powiedzieć: Interes mógłby przyjść do skutku, gdyby »A« frs. = »B« Mkp. = »C« Mkp. + »D« Mkp. + X »A« Mkp. Nie popełnimy dużego błędu, gdy przyjmiemy, że (C + D) Mkp. = $^1/_{10}$ »B« Mkp., jest to bowiem, wówczas normalny zysk kupiecki, a najlepszą gwarancją, że zysk ten

[1]) „Pieniądz papierowy, niewymienialny na złoto utrzymuje w obiegu tylko przymiot waluty, czyli przez prawo przyznana mu zdolność zwalniania z obowiązań kredytowych i opłat na rzecz skarbu". Dr. F. Młynarski, Reforma ustroju pieniężnego, Warszawa 1921.

nie będzie większy i zdążać zawsze będzie do minimum jest wolny handel i swobodna konkurencja. Mając znane »A« i »B«, możemy z równania powyższego wyliczyć »X«, to jest relację marki polskiej do franka, przy której sprowadzenie gazy do polskiej stacji granicznej wogóleby się kalkulowało. Importerzy nasi mogli zatem sprowadzić gazę, jeżeli 1⁰) 1 frs. — S. 1 Mkp. (gdzie S oznacza obrachowany i znany już w tym wypadku współczynnik przemiany) i jeżeli 2⁰) szwajcarscy kupcy współczynnik powyżej wyrachowany uznaliby dla siebie za korzystny i możliwy do przyjęcia.

Otóż uznanie współczynnika powyżej wyrachowanego przez kupców szwajcarskich zależne mogło być jedynie i wyłącznie od tego, czy Szwajcarzy mogli byli za marki, przy transakcji powyższej uzyskane, zakupić w tym czasie w Polsce towar, któryby dla nich kalkulował się korzystnie. Weźmy naprzykład pod uwagę drzewo. Jeden metr kubiczny tarcic dębowych kosztował w Polsce w tym czasie e Mkp., zaś loco Szwajcarja z wszelkimi kosztami »E« Mkp. Jeżeli przy użyciu spółczynnika S do przemiany marek polskich na franki szwajcarskie cena za drzewo polskie była w Szwajcarji we frankach szwajcarskich niższa, niż tamtejsza cena normalna »F« frs., to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że współczynnik »S« utrzymał się, został przez Szwajcarów chwilowo zaakceptowany i zarówno transakcja z gazą jak i z drzewem przyszła do skutku. Jeśli jednak przy użyciu współczynnika »S« transakcja drzewna była dla Szwajcarów niemożebną, to rzecz jasna, że albo w sposob analogiczny obliczyli dla przemiany franka na markę inny współczynnik »P« i znaleźli w Polsce odbiorców na taki towar własny, który dla Polaków przy użyciu tego współczynnika przemiany był możliwy do importu, albo też zrezygnowali z kupna drzewa w Polsce, a sprowadzili od nas powiedzmy ropę, której kupno było dla nich dogodne nawet przy stosowaniu poprzedniego współczynnika »S«.

Z powyższego widzimy, że punktem wyjścia dla ustalenia kursu marki naszej w stosunku do pieniędzy zagranicznych musiała być jej siła kupna wewnątrz kraju i że dla początkowego wyrachowania kursu na giełdzie światowej miarodajnym był jedynie międzynarodowy rynek towarowy, to znaczy możliwość wzajemnego pokrycia przez rozmaite narody swego zapotrzebowania towarowego przy uwzględnieniu różnych cen lokalnych i różnych kalkulacyj fabrycznych. Miały tu więc praktyczne w całem tego słowa znaczeniu zastosowanie twierdzenia trzecie, czwarte i piąte z powyżej przytoczonych.

Śmiało można powiedzieć, że suma działań handlowych, wykonanych w sposób powyżej ilustrowany z zagranicą składa się na t. zw. bilans handlowy i że naturalny kurs marki naszej w pierwszym rzędzie od niego jest zależny. Ponieważ bilans ten był i jest dla nas ujemny, więc jasnem jest, że kurs marki naszej za granicą nie mógł i nie może chwilowo być wysoki.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze później, na razie zaś zajmiemy się wyjaśnieniem stałej niemal tendencji zniżkowej naszej waluty, oraz podaniem tych przyczyn, kióre powodują tak wielkie jej wahania.

Wojny, jakie od pierwszej chwili naszego zmartwychwstania prowadziliśmy, brak granic, brak jednolitej organizacji i administracji w kraju złączonym nagle z trzech zaborów, brak ustawodawstwa jednolitego, niektóre pospiesznie wydane złe i krótkowzroczne rozporządzenia i nowe ustawy, były to powody, które wszelkie transakcje handlowe odnośnie do towarów, jakieby można z Polski eksportować, uczyniły dla zagranicy bardzo trudnemi i niepewnemi, redukując w ten sposób stale wartość naszego wywozu. Równocześnie olbrzymie zapotrzebowanie przez nas towarów zagranicznych dla celów wojskowych, rolniczych i przemysłowych, towarów nawet pierwszej potrzeby, których w kraju nie produkujemy, albo też produkujemy w stopniu niewystarczającym, było i jest zasadniczym powodem, że marka polska spadła w stosunku do walut zagranicznych i że wartość jej w stosunku do walut tych ustawicznie malała.

Były jednak i trwają nadal także dwie inne bardzo ważne przyczyny uboczne.

Jedna z nich to błędny system operowania pieniądzmi wewnątrz kraju, jaki u siebie stosujemy, który powoduje inflację, względnie deflację na wewnętrznym rynku towarowym; druga zaś przyczyna to machinacje giełdowe zagraniczne, ściśle związane z bezwzględną walką finansową i ekonomiczną, jaką prowadzą z nami inne narody. Przez inflację rozumieć należy nadmiar pieniądza na rynku towarowym, przez deflację — brak znaków pieniężnych potrzebnych do normalnego rozwoju życia gospodarczego. Dla zobrazowania ścisłego związku, jaki zachodzi między siłą nabywczą pieniądza a inflacją i deflacją, posłużymy się tablicą następującą, w której cyfry są oczywiście dowolne, ale będą uzmysłowiały stosunki zachodzące między niemi.

Liczba porz.	Wysokość emisji	Procentowy rozdział i obieg pieniądza			Na rynku towarowym		Siła kupna pieniądza
		Potrzeby państw.		Potrzeby gospodar.			
		administracja	inne	przemysł, rolnictwo i handel	podaż	popyt	
I	1000	300	500	200	10	200	1/100
II	3600	1000	2300	300	15	200	1/240
III	10000	4200	3800	2000	100	200	1/100
IV	9500	4150	3750	1600	85	200	1/111 z ułamkiem
V	9200	4200	3000	2000	100	200	1/92
VI	11400	4300	3100	4000	200	200	1/57
VII	11400	4300	3100	4000	200	150	1/76

Weźmy teraz pod rozwagę dla lepszego wyjaśnienia sprawy pozycję pierwszą naszej tabeli. Przypuśćmy, że wielkość emisji w danej chwili i w danem państwie wyraża się liczbą 1000; przypuśćmy, że emisja ta rozdziela się w takim stosunku, że na potrzeby administracji przypada 30%, na inne potrzeby państwowe, jak utrzymanie armji, cele oświatowe 50%, zaś na potrzeby gospodarcze, t. j. potrzeby rolnictwa, handlu i przemysłu 20%. Przypuśćmy dalej, że podaż towarów, jakie życie gospodarcze przy środkach stojących mu do dyspozycji jest w stanie rzucić na rynek, wyraża się liczbą niemianowaną 10, tak jak w nauce fizyki wyrażamy gęstość, stopień twardości liczbami 1, 3·8 i t. d. Niech ogólny popyt za towarem na rynku zbytu przedstawia się liczbą znacznie większą od podaży, n. p. liczbą 200. Jeżeli zechcemy w tym wypadku liczbowo wyrazić siłę kupna pieniądza, to musimy liczbę przedstawiającą emisję, podzielić przez liczbę przedstawiającą podaż. W przykładzie rozważanym otrzymamy jako rezultat liczbę 100, która nam mówi, że w danej chwili i w danem państwie, przy danym rozdziale emisji przypada na jednostkę, wyrażającą podaż, sto jednostek wyrażających emisję, a siła kupna przedstawia się stosunkiem jeden na sto.

Zrozumienie dalszych pozycyj powinno już być bardzo łatwe. W pozycji drugiej widzimy wzmożoną emisję pieniądza, powiedzmy »inflację«, która skutkiem swego złego procentowego rozdziału powoduje wzrost drożyzny na rynku towarowym. Potrzeby administracji powiększyły się przeszło trzykrotnie, inne potrzeby państwowe blisko pięciokrotnie, a na potrzeby gospodarcze przeznaczono kwotę zaledwie o 50% wyższą niż poprzednio. Wobec tego podaż wzrosła również

o 50%, popyt utrzymuje się nadal na swym poziomie, a rezultat ogólnej inflacji jest ten, że siła kupna pieniądza zmalała i wyraża się stosunkiem 1 : 240.

Pozycja trzecia przekreśla dotychczasowe błędne zapatrywania, z jakiemi tylokrotnie spotykaliśmy się w prasie codziennej, a nawet czasami w poważnej literaturze fachowej, a mianowicie, że wszelka emisja powoduje inflację a wszelka inflacja drożyznę. Emisja wyraża się tu wprawdzie liczbą dziesięciokrotnie wyższą niż w pozycji pierwszej, skoro jednak życie gospodarcze otrzymało pomoc również dziesięciokrotną, więc też wzrosła proporcjonalnie podaż towaru, a gdy popyt pozostał niezmieniony, widzimy, że drożyzna utrzymuje się na tym samym poziomie, co w pozycji początkowej, a siła kupna bez względu na dalszy procentowy rozdział emisji na administrację i inne potrzeby państwowe wyraża się znowu stosunkiem 1 : 100.

Pozycja czwarta, to typowy obraz błędnej gospodarki deflacyjnej. Dzięki przesadnej oszczędności zmniejszyło się w stopniu zresztą bardzo małym potrzeby administracji i inne potrzeby państwowe, a zredukowało dość poważnie dopływ gotówki dla potrzeb gospodarczych. Emisja wyraża się wprawdzie cyfrą 9.500 t. zn. cyfrą mniejszą, niż w pozycji poprzedniej, ale cóż z tego? Podaż towaru na rynku się zmniejszyła, siła kupna pieniądza zmalała i wyraża się stosunkiem 1 : 111 z ułamkiem, skutkiem czego ogólne położenie się pogorszyło i wymaga nowych, jeszcze silniejszych emisyj.

Pozycja piąta wskazuje, że deflacja jest możliwa i skuteczna tylko przy założeniu, że nie dotyka bezpośrednio życia gospodarczego, gdyż tylko wówczas może drożyzna maleć, a siła kupna pieniądza wzrastać.

Pozycja szósta przedstawia punkt kulminacyjny rozwoju gospodarczego, gdzie podaż w całości pokrywa popyt. Życie jest wtedy idealnie tanie, siła kupna pieniądza nie może już jednak dalej wzrastać.

Pozycja siódmą jest obrazem ciężkiego kryzysu gospodarczego, przy którym podaż przewyższa popyt. W tej sytuacji znalazła się po wojnie Ameryka, Szwajcarja i te wszystkie państwa, które przystosowując się do wymagań wojny, gorączkowo zwiększały u siebie tempo produkcji i całego życia gospodarczego. Z chwilą zawarcia pokoju popyt na rynkach towarowych się zmiejszył momentalnie i pozostają obecnie tylko dwie drogi, a mianowicie albo pozyskanie nowych rynków zbytu, o które wobec zniszczenia Europy nie tak łatwo, albo też wycofanie nadmiaru uwięzionych w życiu gospodarczem kapitałów

i redukcja podaży, która powoduje drożyznę, zwiększa falę bezrobotnych, pociąga za sobą bankructwa rozmaitych przedsiębiorstw i nieuchronnie z tem związane zaburzenia socjalne.

Wystarczy wskazać, że dotychczasowa nasza polityka ekonomiczna i skarbowa szła po drogach, jakie przedstawia pozycja druga albo też po tych, jakie ilustruje pozycja czwarta, by zrozumieć, że posługiwaliśmy się systemami błędnemi, które nie tylko dźwignąć naszego ogólnego rozwoju na wyższe poziomy nie mogły, ale wręcz przeciwnie rozwojowi temu wprost na przeszkodzie stały [1]).

Co się tyczy wrogich nam machinacyj giełdowych, to wystarczy wskazać na zakupywanie waluty naszej po kursie dowolnym w wielkich ilościach i rzucanie jej masowo na pieniężne giełdy zagraniczne, bez równoczesnego oferowania z Polski odpowiedniego kwantum towaru eksportowego. Ten proceder walki musi prowadzić do sztucznego obniżania kursu i w rezultacie do naszego zniszczenia.

II. Groźne skutki dotychczasowej złej gospodarki finansowej.

Ażeby z rozważań dotychczasowych jaśniej jeszcze zdać sobie sprawę, trzeba zrozumieć, jakie skutki wynikły dla nas zarówno z deprecjacji naszej waluty, jak i z nieobliczalnych wprost wahań, jakim ulega, mimo stałej zresztą tendencji zniżkowej.

Otóż skutkiem tego obłędnego tańca, jaki przy akompanjamencie surm bojowych i plebiscytowych, a także i bez nich wykonywał od trzech lat nasz surogat pieniądza, są dla nas fatalne i odbijają się w sposób okropny na wszystkich dziedzinach naszego życia, spychając nas coraz dalej w przepaść ruiny majątkowej i niewoli ekonomicznej.

Weźmy naprzykład sfery urzędnicze, sprawujące administrację, których mandatem jest stać na straży ustaw i wpływać dodatnio na rozwój całego życia wewnątrz kraju. Płace urzędnicze nie stały

---

[1]) Ktoby w tym względzie miał jeszcze jakie wątpliwości, tego odsyłamy do czasopism fachowych, które na przykładach z życia wziętych bardziej szczegółowo potrafią objaśnić, n. p. *Drzewo*, tygodnik dla Handlu i Przemysłu Drzewnego Rzeczypospolitej polskiej, Nr. IX z czerwca 1922. *Der Holzmarkt* Organ für Forstwirtschaft, Holzhandel und Industrie, Nr. 50 z r. 1922. *Rynek Drzewny*, organ dla handlu i przemysłu drzewnego, Nr. 43, z r. 1922. *Przegląd leśny*, Nr. 1 i 10 z 1922. *Przegląd Techniczno-Przemysłowy* Nr. 22 1922. *Przegląd Techniczny* Nr. 48 b. r., *Handel wschodni* Nr. 4 z 1921 i inne.

i stać nie mogły nigdy w żadnym stosunku do wzrastającej z każdym dniem drożyzny, a podwyżki płac; dodatki drożyźniane i rozmaite deputaty miały zawsze tę dziwną własność, że przychodziły o kwartał a nieraz i o pół roku zapóźno, wtedy, kiedy już urzędnik był w trakcie wysprzedaży ruchomości celem zdobycia stale brakującej odrobiny gotówki, koniecznej do utrzymania przy życiu siebie i rodziny.

Nie można się więc dziwić, że wobec tego rozpoczęła się istna dezercja z szeregów urzędniczych. Ludzie zdolni, jednostki wybitne energiczne, obdarzone pewnym zmysłem samodzielności, nie umiejące pogodzić się z niedostatkiem i nędzą, zaczęły przerzucać się do zajęć prywatnych, do handlu, do przemysłu, słowem tam, gdzie orjentacja czynników miarodajnych łatwiejsza i gdzie wysokość wynagrodzenia akomoduje się bardziej elastycznie do zmieniających się z zawrotną szybkością wymagań chwili.

W rezultacie pozostały w administracji naszej tylko cztery kategorje ludzi.

Pierwsza kategorja, to ludzie o wysoko rozwiniętem uczuciu miłości ojczyzny, ludzie majętni, których stać na to, by do pensji dokładać, lub też biedni, którzy źle płatni, a w konsekwencji źle odzian i żywieni, trwają mimo wszystko na stanowiskach i spełniają sumien nie swoje obowiązki w słusznem mniemaniu, że na nich zwrócone są z uznaniem i trwogą oczy całego społeczeństwa, które milczy wprawdzie, lecz zdaje sobie sprawę z tego, że gdy i ci odejdą, runie wraz z nimi fundament pod słabo na prędce skleconym gmachem nasze władzy państwowej i zaleje wszystkich fala bezrządu i anarchji.

Druga kategorja, to ludzie mający już za sobą kilkanaście lat służby w rządach zaborczych, którzy są dzisiaj do zmiany trybu życiaj niezdolni, a służą nie tylko bez żadnego zapału, lecz wprost z goryczą w sercu, spełniając obowiązki swoje byle zbyć, pocieszając się wzajemnie już już mającą być wprowadzoną w życie regulacją płac, pragmatyką służbową i ustawą emerytalną. Od spensjonowania powstrzymuje ich chwilowo jedynie straszna dola emerytów, którą widzą aż nazbyt dobrze i na których śmierci głodowe patrzą z uzasadnioną grozą i słusznem oburzeniem.

Trzecia kategorja, to rządni władzy i znaczenia sprytni karjerowicze, wyzuci ze wszelkich uczuć etycznych, którzy stanowiska swoje wyzyskują dla osobistego nieuczciwego wzbogacenia się, dla przeprowadzenia swoich własnych interesów, to banda łapowników, indywiduów przekupnych, deprawujących całe swe otoczenie, obniżających wśród

społeczeństwa powagę władzy i poszanowanie dla wszelkich ustaw i rozporządzeń.

Czwartą wreszcie odmianę stanowią jednostki uczciwe lub mniej uczciwe, dla których nawet marna pensja urzędnicza jest zbyt wielkiem wynagrodzeniem. Jednostki te trzymają się żłóbka rządowego jedynie i wyłącznie dlatego, że czują swą zupełną bezwartościowość i że nie mają ani zdolności, ani woli po temu, by się z niej podźwignąć.

Jest rzeczą aż nazbyt jasną i zrozumiałą, że w tych warunkach — powiedzmy już nie dobra, lecz przynajmniej możliwa — administracja kraju jest niesłychanie utrudnioną i że odbija się to niesłychanie ujemnie na toku rozwoju całego naszego życia gospodarczego.

Rząd, widząc, że siła kupna marki polskiej z dnia na dzień maleje, nie mając na tyle uczciwości i odwagi, by podnieść stosownie płace urzędnicze, nie umiejąc stworzyć dla płac tych automatycznego klucza, chwytał się dotychczas celem zaradzenia złemu jedynie ćwierćśrodków. Jak jednodniówki ukazują się i nikną centrale odbudowy, centrale zakupów, urzędy walki z lichwą, urzędy przywozu i wywozu, rozmaite »Puzappy« i »Guzy«, pozostawiając jedynie guzy na żywem ciele naszego społeczeństwa, które znękane wojną i obałamucone walkami partyjnemi straciło wszelką orjentację i umie już tylko złorzeczyć paskarzom, a nie widzi, gdzie leży istotne zło, które, jeśli chcemy życie ratować i uczynić je u nas przynajmniej możliwem, w pierwszym rzędzie bezwzględnie usunąć trzeba.

A czas już, aby się ocknąć i zacząć życie ratować i czynić je lżejszem i łatwiejszem. Dzikie wahania naszej waluty, które w przeciągu niespełna czterech lat kurs marki więcej niż stokrotnie obniżyły, wahania, które w tym czasokresie miały zaledwie dwa punkty zwrotne o silnej, lecz krótkotrwałej tendencji zwyżkowej, w połączeniu z dotychczasowemi środkami zaradczemi, stosowanemi przez rząd, stworzyły konjunktury dla życia tak ciężkie, że dziwić się wprost wypada, że państwo nasze wogóle jeszcze istnieje, że w tych warunkach wegetuje rolnictwo i handel i że aczkolwiek więcej jak suchotniczo oddycha nasz przemysł.

Dnia 19 maja b. r. zgłosili posłowie Narodowego-Chrześcijańskiego Klubu Robotniczego następującą interpelację [1]):

„Nadzwyczajna drożyzna pieniężna obecnej chwili ma źródło przedewszystkiem w braku pieniężnych znaków obiegowych. Polska rozpo-

[1]) Rzeczpospolita, 1922, Nr. 138.

rządza obecnie dwunastą tylko częścią znaków obiegowych, które istniały na ziemiach polskich przed wojną. Skutki braku znaków obiegowych są zastraszające i grożą katastrofą ekonomiczną, mianowicie:

a) lichwa pieniężna doszła do niebywałych rozmiarów. Opłaty pożyczek, wynoszące 10% miesięcznie, a zatem 120% rocznie, nie należą do rzadkości. Lichwie tej zaradzić można jedynie przez wprowadzenie w obieg dostatecznej liczby pieniędzy;

b) banki niezdolne do udzielania kredytów dla braku gotówki;

c) przemysł i handel dla braku gotówki i kredytów ścieśniają swą działalność z konieczności w chwili, w której stan waluty polskiej wymaga koniecznie eksportu i silnej pracy przemysłu i handlu, oraz w dobie, w której zwiększenie produkcji i eksportu jest możliwem;

d) kupiectwo zbożowe, współdzielcze i prywatne bez dostatecznych kredytów nie zdoła zakupić przyszłego żniwa, przez co zarówno drożyzna się wmoże, jak i trudności aprowizacji kraju;

e) brak kapitałów obrotowych przy zupełnej pewności i wielkich wartościach wewnętrznych przemysłu i handlu polskiego powoduje upadłość i wyzbywanie się cennych przedsiębiorstw po nadmiernie niskich cenach w ręce nabywców zagranicznych. Polsce grozi przejście w ręce obce bardzo cennych i wartościowych dla Polski przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, jeśli w najkrótszym czasie nie zapobiegnie niebezpieczeństwu ułatwiony znacznie kredyt i znaczne powiększenie ilości obiegowych znaków;

f) zastój w przemyśle i handlu grozi wywołaniem nowej fali bezrobocia osłabiającego kraj.

Wobec tego zapytujemy Pana Ministra Skarbu i t. d."

Oto obraz naszego życia gospodarczego w chwili obecnej, obraz nie mający pretensji być kompletnym i który wymaga jeszcze pewnego tła i pewnych uzupełnień koniecznych do jasnego zrozumienia powodów, dlaczego sytuacja nasza jest ta a nie inna.

Dołożymy wszelkich starań, ażeby te powody w krótkości zebrać i jak najplastyczniej przedstawić.

Waluta nasza spadała wprawdzie stale na giełdach zagranicznych, lecz mimo to siła kupna marki polskiej w kraju spadała w stosunku do jej kursow giełdowych z pewnem opóźnieniem. Fakt ten, który stwierdzają niezbicie daty statystyczne, nie kładł tamy dla kalkulacji kupieckiej i przemysłowej wewnątrz kraju i umożliwiał zyski, jeżeli nie rzeczywiste, to przynajmniej książkowe.

Zrozumiemy to lepiej na przykładzie. Krajowa firma samochodowa posiadała z wiosną 1920 roku 4.000.000 Mkp. gotówki, co równało się mniej więcej 16.000 dolarów. Firma zakupiła dolary, a za dolary w Ameryce 16 samochodów, licząc za sztukę wraz z cłem po 1.000 dolarów. Samochody szły z Ameryki, powiedzmy, rok i przyszły

do kraju w czasie, gdy marka polska spadła dwukrotnie i gdy cztery miljony Mkp. równały się tylko 8.000 dolarów. Cena kupna samochodu w kraju nie wzrosła jeszcze podwójnie, ale podniosła się zaledwie o 50%, wobec czego sprzedała firma samochody za cenę wprawdzie możliwie największą, uzyskała jednak w ten sposób zaledwie 6 miljonów marek, względnie 12.000 dolarów. Po zbilansowaniu inteesu otrzymamy w markach polskich zysk, zaś w dolarach stratę.

Weźmy teraz przykład z dziedziny premysłowej. Fabryka guzików, wyrabiająca w kraju guziki z surowca sprowadzonego z Ameryki, zakupiła wagon orzecha amerykańskiego za cenę 4.000.000 Mkp. w tym samym czasie, w którym firma samochowa samochody. Wagon przyszedł również po roku i przedstawiał loco fabryka wartość 8 miljonów marek polskich. Ponieważ jednak, jak już wspomnieliśmy, ceny wewnątrz kraju rosły w wolniejszem tempie, niż następował spadek naszej waluty na giełdach zagranicznych, więc surowiec przerobiony dał po potrąceniu własnych osobistych kosztów zaledwie dwa miljony dochodu. Bilans zatem znowu taki sam jak wyżej: w markach polskich zysk, w dolarach strata.

Kupiec samochodowy, pragnąc mieć zysk, nie tylko pozorny lecz także rzeczywisty, mógł ratować się tylko na drodze spekulatywnej n. p. kupować za część gotówki nieruchomości, które w markach polskich były śmiesznie tanie, a w dolarach przedstawiały takie wartości, że kryły one jego straty albo w całości, albo przynajmniej częściowo. Fabrykant guzików sprzedawał w kraju tylko połowę, lub czwartą część produkcji, zaś resztę eksportował i w ten sposób mógł wrócić mniej więcej do pierwotnego swego kapitału. Ostatecznie, gdyby te kombinacje się nie powiodły, to pozostawał przynajmniej zysk książkowy, który umożliwiał dalsze prowadzenie przedsiębiorstwa i pocieszanie się nadzieją na lepszą przyszłość.

Trwała zatem zniżka marki polskiej godziła w pierwszym rzędzie w sfery urzędnicze, rozluźniała więźby administracji kraju, ale nie robiła zbyt wielkich i nagłych wyłomów w życiu gospodarczem i prowadziła je do ruiny i zastoju w tempie stosunkowo powolnem. Kupcy i przemysłowcy nasi przyszli do przekonania, że prowadzenie przedsiębiorstw w Polsce porównać można ze sztuką chodzenia po linie, ale naogół wziąwszy wielu z nich nauczyło się chodzić po linie, a chociaż tam który i zleciał i dotkliwie się potłukł lub nawet kark skręcił, to reszta tem ostrożniej stawiała kroki i dawała sobie jako tako z trudnościami radę.

Gorzej natomiast przedstawia się sprawa nagłych i nieuzasadnionych wahań naszej marki, które spowodowały ostatecznie zupełny niemal paraliż naszego życia gospodarczego. Raptowna zwyżka kursu z końcem 1920 i z początkiem 1921 r. trwała stosunkowo bardzo krótko i dlatego nie pozostawiła zbyt wyraźnych śladów. Zauważyć je w każdym razie było można, a dla czynników miarodajnych powinny były one stać się przestrogą.

Niestety nie uczyniono nic w tym kierunku, ażeby się zabezpieczyć na przyszłość.

Rzucając marki polskie w wielkich ilościach na giełdy pieniężne, doprowadziła zagranica w lecie 1921 r. sztucznie kurs dolara do siedmiu, ba nawet do ośmiu tysięcy marek polskich za dolar, a w Zurychu notowano markę polską równą 0.007 franka szwajcarskiego. Realnego powodu do relacji tej nie było, tak jak też nie było realnego powodu, by w parę zaledwie tygodni później notować w Szwajcarji markę polską równą 0.017 franka.

Rozważmyż teraz znowu praktyczne skutki tej dziwnej manipulacji giełdowej w świetle znanych nam już przykładów.

Firma samochodowa, której byt jest oparty bezpośrednio na handlu samochodami, zamówiła ponownie z wiosną r. 1921 pięć samochodów w Belgji w fabryce »Minerwa« po cenie 56.000 fr. belgijskich, już po potrąceniu normalnego rabatu kupieckiego przeznaczonego dla odsprzedawców. Firma złożyła po 6.000 franków przy zamówieniu, resztę należytości obowiązała się zapłacić po przybyciu samochodów do Gdańska, co miało nastąpić do trzech miesięcy od daty zamówienia. Frank belgijski kupić było można w kwietniu 1921 r. po 60 Mkp., a firma licząc się z tendencją zniżkową waluty, przypuszczała, że w lipcu frank dojdzie najwyżej do 90 Mk. polskich. Tymczasem w lipcu frank belgijski kosztował 300 Mk. polskich i w chwili przybycia samochodów do Gdańska, trzeba było zapłacić po 15 miljonów marek polskich za każdy wóz.

Nie byłoby to jeszcze zbyt wielkiem nieszczęściem, sprzedając bowiem wozy w kraju we frankach belgijskich po kursie dnia sprzedaży, firma mogła liczyć klientom własną cenę fabryczną, t. j. 56.000 franków, po 300 marek polskich i zarabiała przy tej kombinacji jeszcze około miljona marek polskich. Kto potrzebował samochodu i chciał mieć samochód »Minerwa«, ten musiał zwrócić się do tej firmy krajowej, mimo bowiem tak wysokiej ceny nabywał samochód taniej, niż gdyby sprowadzał go bezpośrednio z fabryki. Ze względu na powyż-

szą, uzasadnioną kalkulację kupiecką, firma przekazała do Gdańska 75 miljonów marek polskich i samochody przejechały granicę.

W parę dni jednak potem, zanim firma zdołała sprzedać pierwszy samochód, nastąpił tak zwany krach obcych walut i fenomenalna haussa marki polskiej. Co się stało? Woda w Wiśle naszej nie zmieniła się w złoto, naród nasz nie wygrał na loterjach zagranicznych sum nieprawdopodobych, ale mimo to niemal z dnia na dzień marka polska urosła dla zagranicy podwójnie w cenie i za siedem tysięcy marek polskich można było otrzymać nie jednego, lecz dwa dolary, a kurs w Zurychu podniósł się do 0.017. Samochody spoczęły w międzyczasie w garażach i przyszedł klient, chcąc jeden wóz zakupić.

Zawiązuje się dziwna rozmowa, a właściwie monolog kupującego;

»Jakto, Panowie macie tę czelność, by żądać za wóz szesnaście miljonów marek polskich? Prowadzę bezpośrednią korespondencję z firmą belgijską, mam ich katalogi i cenniki i wiem doskonale, że mogę kupić wóz wprost z fabryki za 60.000 franków. Przecież 60.000 franków po kursie 180 marek polskich wynosi zaledwie 10 miljonów 800.000 marek polskich. Jakiem prawem, mając rabat kupiecki, możecie mi, panowie, stawiać cenę o sześć miljonów wyższą? Szczęście wasze, że samochód zalicza ustawa do przedmiotów luksusowych, bo inaczej zrobiłbym przeciwko wam doniesienie do Urzędu walki z lichwą. Wolę sprowadzić wprost z Belgji. Żegnam«.

Naturalnie, pragnąc zapłacić personal, załatwić choć w części terminowe zobowiązania bankowe, trzeba sprzedać samochody ze stratą około trzydziestu miljonów marek i to w tym wypadku ze stratą i książkową i rzeczywistą. Czy stratę tę firma przetrzymała, czy też zmuszona została ogłosić niewypłacalność, w to już tu nie wchodźmy, wystarczy bowiem dla nas na tem miejscu stwierdzenie faktu, że nagła zwyżka marki polskiej miała zgubny wpływ na tok interesów firmy.

Spojrzmy teraz na fabrykę guzików. Wagony surowca, za które zapłacono w lipcu po 8 miljonów marek, przychodzą do fabryki i właśnie mają iść na warsztat. Kalkulację przeprowadzono, guziki, które niedawno sprzedawano po 100 marek, trzeba będzie sprzedawać w kraju po 300 marek za sztukę, z zastrzeżeniem, że stratę rzeczywistą pokryje eksport. Nagle przychodzi niespodziewana i nieuzasadniona zwyżka marki polskiej i trzeba, albo ruch wstrzymać i robotników oddalić albo pracować tylko ze stratą. Guziki, dostarczane z Włoch, przedostają się szybko mimo ceł przez granicę i guzik włoski wskutek zwyżki marki polskiej wypada na miejscu zaledwie po 140 marek pol-

skich za sztukę. O eksporcie części lub całości produkcji za granicę mowy być nie może, przy sprzedaży w kraju konkurencji wytrzymać nie podobna, trzeba więc z robotą stanąć, gdyż wówczas strata będzie mniejsza. Powróci się do pracy później, gdy konjunktury się poprawią, a narazie trzeba piec zgasić i ludziom pracę wypowiedzieć, by ich niepotrzebnie nie opłacać.

Oto skutki zwyżki marki polskiej dla przemysłu naszego. — I nie są to fakta odosobnione. Do tych samych wniosków przyszedł producent, względnie kupiec drzewny, który zrobił kontrakt na dostawę 10.000 sztuk progów dębowych loco Gdańsk w cenie po 92 marek niemieckich za sztukę. W czasie podpisywania umowy stała marka niemiecka w cenie 60 marek polskich za sztukę i miała tendencję zwyżkową, kontrakt był więc dobry, gdyż za próg uzyskiwał sprzedający 5.520 marek polskich, podczas gdy produkcja w kraju kosztowała 1.600 tychże marek, a w handlu otrzymać było można próg eksportowy w cenie do 2.500 marek. Z chwilą, gdy marka polska gwałtownie się podniosła i doszło do tego, że markę niemiecką płacono tylko 17 marek polskich, producent musiał wstrzymać wyrób i sprzedający znalazł się w sytuacji arcyciekawej i arcyniemiłej, w myśl bowiem kontraktu musiał dostarczać zagranicy próg po 92 Mkn. i nie licząc już kosztów transportu dopłacać po 36 marek polskich do każdego proga, jeżeli nie chciał zerwać umowy i uwikłać się w długotrwały i kosztowny proces drzewny.

Analogiczne daty przytoczyćby można ze wszystkich dziedzin naszego przemysłu, tak naftowego, jak tekstylnego, rolniczego i innych, ale uważamy to już za zbyteczne, nie wymaga bowiem zbytniego natężenia umysłu, by w świetle przykładów powyżej podanych zrozumieć, że na całem naszem życiu gospodarczem nagły nieuzasadniony skok w górę waluty naszej pozostawił długotrwałe, poważne rany, które dla niektórych słabszych finansowo przedsiębiorstw okazały się wprost śmiertelne.

(Dokończenie nastąpi).

Feliks Sobolewski.

Organizacje młodzieży katolickiej.

Nowe życie wstąpiło we wszystkie niemal związki młodzieży katolickiej w krajach, przez które przeszła groza wojny światowej. Jak podzwrotnikowe huragany łamią z trzaskiem wiekowe olbrzymy, a szalejąca powódź dopełnia miary zniszczenia, lecz po to tylko, by na gruzach nowe, bujniejsze rozwinęło się życie — tak stało się między ludźmi po wojnie ostatniej. Wśród potoku krwi i łez zbudził się zaród nowego świata i dziś oglądamy pierwsze jego pędy.

Niepodobna prawie było przedtem pisać o ruchu w organizacjach młodzieży. Wojna przerwała wszystko. Co dzielniejsze, nawet małoletni chłopcy, poszło w szeregi bojowe, a troska o kraj i trudności materjalne nie pozwoliły pozostałym podtrzymywać skutecznie pracy związkowej. To też rwała się ona ciągle, niektóre związki z najwyższym tylko wysiłkiem wlokły suchotniczy żywot, inne zapadły w letarg długoletni. Nawet podpisanie pokoju niewiele tu pomogło. Potrzeba było dłuższego przeciągu czasu, by strudzony i odwykły od normalnych stosunków młody człowiek mógł przyjść do siebie, rozglądnąć się w nowych warunkach, jakie zastał w kraju, upewnić o swej przyszłości i dopiero, mając względnie swobodną głowę, pomyśleć znowu o życiu organizacyjnem. Do dziś dnia jeszcze trwa to stadjum rekonstrukcji i nieprędko może się skończy.

Co jednak najważniejsze — ta odbudowa związków młodzieży katolickiej, bo o nich tylko mówimy, w niemałej części nie powraca już na dawne tory, lecz szuka nowych dróg. Złożyło się na to parę czynników.

Bacznego obserwatora uderza przedewszystkiem potężny pęd do czynu i samodzielności, ujawniający się u dzisiejszej młodzieży; poprostu poczuła swą siłę i nie myśli jej już z rąk wypuścić. Dotychczas wmawiano w nią tylko, że jest »przyszłością« narodu, obecnie poznała, że tak jest rzeczywiście, owszem, że mogą zajść

chwile, w których nawet teraźniejszość wiele jej będzie miała do zawdzięczenia. Pokazała to zarówno na polu walki, jak wewnątrz kraju, nie tylko bohaterskiemi czynami i krwią przelaną, ale także entuzjazmem, jaki umiała wlewać w omdlewające serca weteranów wojny. Nawet żeńska młodzież, choć nikt od niej tego nie żądał, nie dała się w tym względzie wyprzedzić, a wiemy dobrze, w jak wielu wypadkach kierował nią najczystszy idealizm i poświęcenie się dla ojczyzny.

Skończyły się krwawe zapasy, młodzi bohaterowie powrócili do domu, wraz z nimi wróciła tężyzna, poczucie siły i rycerskość, nabyte w okopach. Było psychologiczną niemożliwością, żeby ci ludzie zmienili się w potulne owieczki, świadomość własnej mocy musiała znaleźć upust w tej czy innej formie. I chociaż był to moment groźny, który niejednego skierował na lewo, ogół wszakże młodzieży, dzięki właściwemu jej idealizmowi, zwracał się wszędzie ku lepszej stronie. A skoro do wrodzonego pędu dołączył się jeszcze wyższy czynnik, który zdołał ująć w karby rozwagi wszystkie porywy serca młodzieńczego i skierować je ku górnym celom — wtedy młodzież ta musiała się stać dźwignią społeczeństwa i jego odrodzeniem.

Czynnikiem tym była dla niej wiara katolicka. Katolicyzm, który z jednej strony stawia przed oczy sam ideał, nie myślowy tylko, ale rzeczywisty, a z drugiej udziela mocy, niezbędnej do dążenia w jego kierunku, który każe ufać potędze niezgłębionej dobroci i opatrzności Bożej, a równocześnie żąda najwyższej samodzielności i napięcia sił własnych, który odrzuca nie tylko zło, ale wszystko, co trąci czemś niższem, poziomem, a roztacza najwyższe dobro i piękno, ogarniające cały świat materji i ducha, ten katolicyzm tak odpowiada z natury swej wszystkim aspiracjom duszy młodzieńczej, że musi ją porwać, a raz wciągnąwszy w swój zakres, dać jej pole do pełnego rozkwitu.

Młodzież katolicka odczuła tę prawdę. Świadkom zjazdów młodzieży z ostatnich lat paru brak nieraz słów podziwu dla głębokiego zrozumienia znaczenia religji i przejęcia się ważnością czynu religijnego. W występach swych młodzi mowcy wysuwali wiarę na pierwszy plan w życiu prywatnem i publicznem, żądali ścisłego wypełniania praktyk religijnych, wprowadzenia dla członków obowiązkowej miesięcznej komunji św., urządzania rekolekcyj.

Zbliżenie warstw inteligencji i robotniczych, to dalszy owoc wojny. Rozdzieleni dotychczas młodzi ci ludzie znaleźli się nagle na polu walki obok siebie, a wspólność celu i losu

zbliżyła ich rychło. Jedną dzielili strawę i jedno zajęcie, wspólne czekały ich trudy i niebezpieczeństwa — uczuli się braćmi. I już nie chcieli, by po ukończonej kampanji powstała znowu przepaść, jaka dzieliła ich dawniej; zapragnęli, by węzeł koleżeństwa trwał nadal, tem silniejszy, że zadzierzgnięty w czasach niedoli, która spaja najsilniej. Utwierdziły ich w tem dążeniu stosunki, jakie zastali po powrocie do domu, w tych zwłaszcza krajach, które nawiedziła rewolucja lub wewnętrzne zamieszki. Tu przekonali się naocznie, jak zgubnym jest rozdział między inteligencją a robotnikiem, i odczuli wzajemnie konieczność porozumienia. Na platformie wiary mogli to najłatwiej uczynić. Oczywiście nie chcieli tworzyć jednego stowarzyszenia, bo każdy stan ma swe potrzeby, ale zato organizacje ich wejdą odtąd w stosunki przyjacielskie, by złączone braterską życzliwością i czynnem wzajemnem poparciem razem zdążać do wspólnych celów.

Nie poprzestając na tem ogólnem scharakteryzowaniu dzisiejszego ruchu młodzieży katolickiej, pragniemy zapoznać czytelników z jego stanem w chwili obecnej. Jest to dla naszego społeczeństwa prawdziwie ignotum x, a jednak mało rzeczy powinno nas tak obchodzić, jak dobro młodej generacji.

Zanim jednak przystąpimy do przeglądu poszczególnych organizacyj, zestawimy krótko wspólne ich rysy, by uniknąć potem ciągłego powtarzania. Główny ich cel wszędzie ten sam: indywidualne i społeczne wyrobienie jednostek w duchu katolickim i narodowym, by przez nie odnowić całe społeczeństwo. Do osiągnięcia go dążą przez użycie wszelkich środków, przyrodzonych i nadprzyrodzonych. Duch wiary, czynnej i płynącej z przekonania, ożywia wszystko i wogóle strona religijna zajmuje wszędzie naczelne stanowisko; tego żąda sama młodzież, tem tłumaczą się przeliczne sodalicje marjańskie, rozsiane w jej stowarzyszeniach, stąd pochodzi ścisły związek z Kościołem, a ksiądz, bądź w charakterze prezesa bądź kapelana, znajduje się przy każdym ich kole. O ile koła te są liczne, przyjęto naogół ten system, że grupy miejscowe łączą się w związki diecezjalne, te w prowincjonalne, ostatnie zaś w jedną ogólną unję krajową, której zarząd spoczywa w ręku wydziału wykonawczego, a najwyższą władzą jest coroczny zjazd delegatów; autonomja kół miejscowych i większych ugrupowań pozostaje wszędzie nienaruszona. O ile tylko można, dba się również o dobro materjalne członków. Prawie wszędzie uprawia się akcję społeczną, politykę wyklucza się, a zwłaszcza partyjną; nie żąda się od

członków wyznania ich przekonań politycznych, wymaga tylko, by te nie sprzeciwiały się zasadom katolickim.

Najwyraźniej może wystąpiły wszystkie powyższe cechy u młodzieży niemieckiej, a złożyły się na to zarówno właściwa jej zdolność zrzeszania się i zdecydowany katolicyzm, jak rewolucja i smutne stosunki w kraju.

Już przed wojną zaczęły u młodzieży niemieckiej budzić się prądy lewicowe, a podsycane przez niektórych polityków lub pedagogów, przybrały w niektórych organizacjach formę istnej anarchji, powstającej w swych odezwach przeciw rodzicom, szkole i całemu dotychczasowemu porządkowi. Podczas wojny i po niej kierunki te spotęgowały się jeszcze i znalazły konkretny wyraz w powstałym w r. 1914 lewicowym związku »Freideutsche Jugend« i bardziej jeszcze skrajnym »Entschiedene Jugend«, (organ *Neuer Anhang*), założonym już za czasów republiki przez znanego radykała Wyneken'a.

Smutny ten stan rzeczy miał jednak i dobre skutki. Młodzież katolicka, przygnębiona już dość przegraną w wojnie, przekonała się teraz lepiej o szkodliwości prądów lewicowych, a zrozumiawszy na polach walki głębiej znaczenie religji, postanowiła stanąć w jej obronie, by wnieść nowe życie do znękanej ojczyzny. Wielu z nich nie pociągały już jednak dawne organizacje, w których zastali towarzyszy zupełnie młodych, podczas gdy oni wracali starsi, dojrzalsi; mając za sobą doświadczenie życiowe, zapragnęli też związki swe uformować bardziej samodzielnie, odrzucić niepotrzebne formalności i drobiazgowe przepisy, dać większe pole osobistej inicjatywie i czynowi, rozwinąć pracę szerszą w łączności z innymi. Na tle tych dążeń powstały wśród młodzieży uczącej się dwa nowe związki: »Neudeutschland« i »Quickborn«.

Wyrobienie ludzi dzielnych i czynnych, katolików »całkowitych«, ukochanie ojczyzny i jej piękna, walka przeciw wszelkiemu brudowi moralnemu, usuwanie powierzchowności i połowiczności, pomoc kolegom — oto w streszczeniu zadanie związku »Neudeutschland«, z główną siedzibą w Kolonji. Założony w r. 1919, skupił on już w połowie 1921 r., pod hasłem: »Młodzież, Ojczyzna, Kościół«, w 325 kołach 26.000 uczniów szkół średnich i wyższych, i posiadał trzy własne pisma: *Der Leuchtturm*, *Die Burg*, *Der Aufstieg*. Głównego przewodniczącego i sekretarza mianuje arcybiskup koloński, ale miejscowego przewodnika wybiera sobie każda grupa sama. O religijnej stronie związku świadczy między innemi fakt, że w r. 1920/21

wzięło z jego inicjatywy 4.000 członków udział w rekolekcjach Pięknie rozwija się też pomoc koleżeńska; obok zaopatrywania w książki i środki materjalne, umożliwiono podczas wakacyj tegoż roku blisko 2.000 uboższych uczniów wyjazd na świeże powietrze. Niedawno otwarto przy głównym zarządzie biuro porady w sprawach wyboru stanu i wydano praktyczny »Hochschulführer«.

Podczas gdy na użytek tej organizacji odnawia się obecnie jeden z najstarszych zamków niemieckich, Normannstein (koło Treffurt nad Werrą), to w innym zamku, Rothenfels nad Menem, rezyduje przewodniczący drugiego związku »Quickborn«, a mury jego rozbrzmiewają radośnie głosami młodych gości, przybywających z wycieczkami lub na zjazdy. Organizacja ta, oparta na zasadzie wstrzemięźliwości od alkoholu, skupia w sobie głównie młodzież uczącą się, jakkolwiek pozwala jej zostać i po skończonych studjach, tworząc osobne grupy starszych. Prawdomówność, prostota, świeżość i naturalna wesołość, wolna od obłudy, szukająca rozrywki na łonie przyrody, stanowią zasadniczą i pociągającą cechę tego ruchu. Życie nie rozwija się tu gromadnie, małe kółka, liczące najwyżej piętnaście osób, osobno męskie i żeńskie, wybierają z pośród siebie przewodnika i odbywają zebrania, *zabawy i wycieczki; w połowie* 1921 r. było takich kółek 527; od czasu do czasu odbywają się zebrania ogólne, lecz zawsze w obecności starszych. Katolicyzm czynny jest znamiennym rysem związku, a codzienna komunja św. podczas dłuższych nawet wycieczek jest nierzadkiem zjawiskiem.

Jeżeli z kolei przejdziemy do związków młodzieży pracującej fizycznie, to obok kolońskiego »Gesellenverein« (założony w r. 1846 przez ks. Kolping'a), na którego generalnym zjeździe tegorocznym powiewało w manifestacyjnym pochodzie 600 sztandarów, wypada wymienić najwspanialszą organizację na świecie, jaką jest »Verband der katholischen Jugend- und Jungmännervereine«, obejmujący w r. 1921 około 3.600 różnych stowarzyszeń z 350.000 członków z całych Niemiec. Wydaje on kilka pism, a centrala jego w Düsseldorf zatrudnia stale 45 osób. Głównym jego celem jest religijno-moralne wychowanie młodzieży, połączone z przygotowaniem do życia społecznego i obywatelskiego. Stanowcze zaznaczenie stanowiska katolickiego wysunęła sama młodzież na pierwszy plan i podkreśliła to w swych przemówieniach na uroczystym zjeździe przeszłorocznym, z okazji jubileuszu 25-lecia związku. Poza tem stara się on o zaspokojenie potrzeb mate-

rjalnych, intelektualnych, zawodowych i rozrywkowych w możliwie najszerszej mierze.

Do tych paru organizacyj trzeba dodać cały legjon innych, akademickich, studenckich, abstynenckich, kupieckich, robotniczych, wiejskich, liczących dalsze tysiące członków. Wspólność najwyższych celów i wzmożone pragnienie zbliżenia wzajemnego znalazły wreszcie swój wyraz w jednej centralnej unji, która pragnie objąć wszystkie związki młodzieży na terytorjum państwa niemieckiego. Pomysł, rzucony w r. 1921, dojrzał obecnie i na zjeździe w Düsseldorf, 17 kwietnia b. r., jednomyślnie przyszło do założenia »Katholische Jugend Deutschlands«. Unja ta nie narusza w niczem samodzielności poszczególnych związków, uchwały ważniejsze zapadają tylko za zgodą ogólną, a jako środek porozumienia mają służyć, obok czasopisma »*Jugendführung*«, zjazdy delegatów i ogólne, oraz zapraszanie się wzajemne na uroczyste obchody; kierownictwo biura powierzono centrali w Düsseldorf. Stowarzyszenia młodzieży wszelkiej kategorji zgłosiły już swe przystąpienie, a pomiędzy niemi wypada nadmienić dwie niedawno powstałe ligi: »Deutsche Jugendkraft«, liga wszelkich gimnastycznych i sportowych związków katolickich młodzieży niemieckiej, i »Verband der katholischen Studentinnenvereine Deutschlands«, skupiający związki żeńskiej młodzieży uczącej się.

Jeżeli w Niemczech wojna i przewrót wewnętrzny wpłynęły w wielkiej mierze na linję rozwoju organizacyj młodocianych, to podobne czynniki działały także w państwach nowopowstałych, a budzący się w nich ruch katolicki musiał wystąpić tem silniej, kiedy do momentów wspomnianych dołączyło się jeszcze prześladowanie religijne. Widzimy to najlepiej na Czechosłowacji i Jugosławji.

Schizma kościoła narodowego i odstępstwa bezwyznaniowców oczyściły znacznie zatęchłą atmosferę Czechosłowacji, a wraz z odradzającym się coraz silniej katolicyzmem wzrosła też praca organizacyjna wśród uczniów szkoł niższych i młodzieży robotniczej. Rozpoczął ją jeden z księży w r. 1918 i wsparty hojnym zasiłkiem arcybiskupa Huyn'a rozesłał wielotysięczną odezwę do księży w kraju, w której wyłuszczył im swe plany i prosił o poparcie. Niestety otrzymał tylko pięć przychylnych odpowiedzi. Zrozumiał więc, że tą drogą nie dokona niczego i zwrócił się bezpośrednio do młodzieży męskiej i żeńskiej. Ta ostatnia okazała się gorliwszą i dzielniejszą, bo kiedy np. na pewne zebranie wdarł się nieproszony liberał, jedna z dziewcząt wyrzuciła go z mownicy. Praca szła teraz raźno, już pod koniec roku

»Związek katolicki młodzieży czeskiej« liczył 919 członków w 102 centrach, a w r. 1921 obejmował już koło 23.000 młodych w 430 grupach, organ zaś jego *Dorost* wychodził w 12.000 egzemplarzy.— Analogiczny związek dla młodzieży morawskiej, »Nase Omladina«, istniał już przed wojną.

Młodzież ucząca się tworzy osobne związki, (»Czeska liga akademicka« miała z początkiem 1921 r. 150 członków, związek uczniów gimnazjalnych 1.300) czeskie, morawskie i słowackie, jest jednak nadzieja, że powoli dojdzie do założenia ogólnej ich unji na terytorjum czesko-słowackiem. Duch w nich jest dobry, moment religijny wysunięty na czoło, a objawem jego są, obok przystępowania do sakramentów św. i rekolekcyj, liczne pielgrzymki zbiorowe, stanowiące specjalność tego kraju i urządzane zarówno przez młodzież robotniczą jak akademicką. Na kursach apologetycznych i wymowy kształci się dzielniejsze jednostki, by umiały zabierać głos w obronie wiary; pod tym względem zaznaczyły się już związki młodzieży niejednokrotnie, żądając w rezolucjach swych zjazdów usunięcia podręczników wrogich Kościołowi, zakładania szkół wyznaniowych i oddania katolikom skonfiskowanych budynków.

Na podobnem tle różności narodowej i prześladowania religijnego rozwijają się również pokrewne związki w Jugosławji.

Historja ich sięga jeszcze czasów austrjackich. Do końca prawie w. XIX nie odczuwano w Kroacji potrzeby ruchu katolickiego, ponieważ całe życie narodowe rozwijało się w tym kierunku. Kiedy jednak znaczna część akademików wywędrowała z motywów politycznych do Pragi, przejęła się liberalnym duchem tamtejszego uniwersytetu i wniosła go po powrocie do kraju, okazała się potrzeba przeciwdziałania. Za sprawą wielkiego biskupa, Ant. Mahnić († 1920), podówczas jeszcze profesora teologji, powstał wśród chorwackiej młodzieży akademickiej w Wiedniu związek katolicki »Croazia«, który, wraz z istniejącą tu od r. 1893 katolicką organizacją Słoweńców »Danica«, rozpoczął potem żywą propagandę wśród uczniów szkół średnich, wciągając ich do pracy między ludem przez odczyty, zakładanie bibljotek, szerzenie prasy kat. itp. Trudności były niemałe ze strony opinji, profesorów, podejrzliwych czynników rządowych, lecz praca nie ustawała. W r. 1906 odbył się pierwszy kongres tej młodzieży w Tersatto nad Adrjatykiem, przy udziale 60 delegatów, na którym postanowiono dążyć do »odrodzenia w Chrystusie« całego narodu. Owocem zjazdu było również założenie nowego związku akademickiego »Domagoj« w Zagrzebiu.

Ruch organizacyjny rozpoczął się teraz na dobre, zwłaszcza wśród młodzieży szkół średnich, a od r. 1908 robotniczej i wiejskiej. Coraz nowe koła poczęły się wiązać w federacje prowincjonalne, obok czasopisma *Luc*, założonego w Wiedniu w r. 1905 i poświęconego odtąd wyłącznie religji, filozofji i literaturze, powstało w r. 1909 osobne pismo dla młodzieży szkół średnich *Krijes*, a w r. 1913 *Dachi Vijesnik* dla spraw związkowych. Kongresy poszczególnych stowarzyszeń rosły w liczbę z roku na rok, a przy dzielnym i przedsiębiorczym charakterze tamtejszej młodzieży przynosiły ich uchwały niemałe owoce na różnych polach.

Odzyskanie niepodległości pociągnęło za sobą pewne zmiany. Zwinięto koła zagraniczne, założono nowe u siebie, a organizacje uczącej się młodzieży, chorwackiej, słoweńskiej i serbskiej, złączyły się w jedną »Jugoslavenska Katolicka Djacka Liga«, z siedzibą w Zagrzebiu; obejmuje ona 6 grup uniwersyteckich, 15 po seminarjach duchownych, oraz około 100 kół młodzieży szkół średnich, męskich i żeńskich, skoncentrowanych w Lublanie dla Słoweńców (czasopismo *Zora*) a w Zagrzebiu dla Chorwatów i Serbów (czasop. *Luc*).

W ruchu odrodzeniowym usiłującej dziś podźwignąć się z upadku moralnego F r a n c j i, kroczy i młodzież w pierwszych szeregach. Jej wspaniała organizacja: »Association Catholique de la Jeunesse Française«, założona w r. 1886 przez kilku młodych ludzi za inicjatywą Alberta hr. de Mun, liczyła w 1913 r. 2.285 grup, a w nich do 120.000 członków. Wojna przerzedziła jej szeregi, około 15.000 padło na polu chwały, ale pozostali zabrali się po kilkoletniej przerwie raźno do dalszej pracy. Już na pierwszym kongresie powojennym w r. 1920 zjawili się przedstawiciele 1.100 grup, a na ostatnim, który się odbył w kwietniu b. r. w Chartres, było już reprezentowanych blisko 2.000 kół.

Organizacja ta, zasługująca na szczególniejszą uwagę nie tylko ilością członków, ale przedewszystkiem duchem i powagą, jaka znamionuje wszystkie jej występy, może służyć za wzór do naśladowania. Skupia ona w sobie młodzież uczącą się, robotniczą i wiejską, a cieszy się czynnem poparciem ze strony związków uczniów szkół wyższych. Pojedyncze koła miejscowe, z których każde posiada swego kapelana, wybierają sobie zarząd z pośród siebie, a zachowując pełną autonomję łączą się następnie w związki diecezjalne i prowincjonalne, których biura czuwają nad ich stanem, urządzają zjazdy i pośredniczą pomiędzy niemi a »Wydziałem Naczelnym«, który jest stałym organem

najwyższej władzy, spoczywającej w rękach »Rady Federacyjnej«, zjeżdżającej się corocznie.

Główne zadanie związku: »skupić młodych katolików Francji, w celu współdziałania nad odbudową chrześcijańskiego porządku społecznego«, osiąga on przez wprowadzenie w czyn swej dewizy: »Pieté, étude, action«. Środki nadprzyrodzone stoją na pierwszem miejscu; o umysłową stronę dba się przez rozliczne odczyty, kursa naukowe i środki pomocnicze w postaci bibljotek, pracowni, czytelni. Akcja wreszcie obejmuje propagandę dobrego przez prasę, odczyty, urządzanie bibljotek ludowych, oraz przez czynny udział w pracach na polu religijnem i społecznem, zapoczątkowanych bądź przez związek, bądź przez innych. Obok pism lokalnych rozporządza organizacja dwoma głównemi organami: *Annales de la Jeunesse catholique*, miesięcznik dla spraw związkowych i *Vie nouvelle*, tygodnik przeznaczony dla młodzieży.

Stojąc na gruncie czysto katolickim, w ścisłej łączności z hierarchją kościelną, której pragnie »pomagać« w pracy nad moralnem i religijnem podniesieniem kraju, pragnie A. C. J. F. przyczynić się wszechstronnie do duchowego i fizycznego dobra młodzieży, a jak poważnie pojmuje swe zadanie i jak wysoko stoi jej poziom, świadczą najlepiej główne tematy obrad na zjazdach powojennych. Pierwszy z nich zajął się głównie nakreśleniem programu działania, w r. 1921 rozbierano szeroko dzisiejszy kryzys sumienia zawodowego na wszelkich polach życia publicznego i ekonomicznego, w roku zaś bieżącym rozważano problem kwestji agrarnej. Na czele organizacji, która, zdaniem *Nouvelles Relig.*, »zasługuje w zupełności na sympatję i zaufanie wszystkich katolików kraju«, stanął obecnie Karol Flory, wybitnie odznaczony oficer z niedawnej kampanji, doktor praw, znakomity mowca i działacz, prawdziwy »typ prezesa dla młodzieży z czasów powojennych«.

Współpracując ściśle z A. C. J. F., grupuje się jednak katolicka młodzież wyższych uczelni w osobne związki, bardzo ruchliwe na polu pracy naukowej i społecznej, oraz akcentujące silnie swój charakter wyznaniowy. Wspominamy tylko parę z nich. »Cercle Lainnec« w Paryżu skupia koło 400 słuchaczów medycyny, w politechnice zorganizowanych jest podobnie 500; »Réunion des Etudiants«, założone w r. 1895, liczy około 300 członków, posiada doskonale zaopatrzony lokal do zebrań, pracy naukowej i zabaw i urządza parę razy do roku adorację nocną w różnych kościołach miasta. Obecnie jest w toku

założenie ligi, któraby złączyła w sobie wszystkie związki uczącej się młodzieży.

Podobna rekonstrukcja po niedawnych zawieruchach wojennych odbywa się w sąsiedniej Belgji. Parę kongresów, jakie odbyły się w r. 1920, miało za zadanie skonstatowanie obecnego stanu organizacyj młodzieży i owocne prowadzenie dalszej pracy. A jest to rzecz niełatwa z podwójnej przyczyny.

Pierwszą, specyficznie miejscową trudnością, która przeszkadza wszelkiej jednolitej akcji, zarówno obywatelskiej, jak nawet katolickiej, jest podział społeczeństwa belgijskiego na dwie językowo różne części. »Fransquillons« i »flamingants«, jak popularnie nazywają francuską i flamandzką grupę, do dziś dnia stoją między sobą na stopie wojennej i nawet w katolickich związkach młodzieży nie zdołali dotąd doprowadzić do zjednoczenia. To też organizacje te tworzą się i pracują odrębnie, a flamandzkie, które równolegle z ideałami religijnemi pielęgnują gorąco i narodowe, stoją, zdaje się, wyżej. Około $^5/_6$ młodych Flamandczyków skupionych jest w związkach, osobnych dla akademików, uczącej się i robotniczej młodzieży, mających własne czasopisma; działalność ich rozciąga się na pole religijne, ruch flamandzki, literaturę, sztukę, antyalkoholizm, kwestję społeczną, sport, materjalne potrzeby młodzieży itd.

Młodzież belgijska, mówiąca po francusku, posiada również liczne organizacje, obejmujące te same rodzaje akcji. Na uwagę zasługuje »L'Association Catholique de la Jeunesse Belge«, z organem *Effort*, skupiająca młodzież różnej kategorji i odznaczająca się wielką ruchliwością w działaniu; »La Jeunesse Sociale Catholique« łączy tylko akademików, oddających się badaniom zagadnień społecznych i pracy w tym kierunku; wreszcie założona w r. 1920 »Fédération Belge des Etudiants Catholiques«, licząca dziś ponad 3.000 członków, stara się pilnie o pracę ideową wśród młodzieży, a zarazem o jej byt materjalny; między innemi założyła kooperatywę, która nabyła hotel nad morzem, umożliwiający sporej liczbie młodych tanie a zdrowe spędzenie wakacyj.

Druga okoliczność utrudniająca to fakt, że Belgja, kraj naogół katolicki, mieści w sobie tyle braków na tem polu, że ostatni kongres katolickiej młodzieży akademickiej, odbyty w Lowanium, w lutym b. r., uznał za najbardziej aktualną sprawę zwalczanie indyferentyzmu religijnego i to we wszystkich dziedzinach życia codziennego, społecznego i politycznego. Obojętność ta odbiła się też głęboko na młodszej ge-

neracji. Nawet entuzjaści, patrzący bardzo różowo na jej ruch obecny, przyznają, że nie można jeszcze dobrych jej stron sprecyzować, że dodatnie cechy nie wcieliły się jeszcze w czyn, budzą się dopiero, nie są widoczne u ogółu, ale dopiero u elity. Elita ta pragnie odnowić młodzież i społeczeństwo w duchu wiary, ale zrealizowanie tych planów nieprędko jeszcze nastąpi.

Krajem, podobnym pod względem kontrastu pomiędzy niedawną marką katolicką a nurtującym w głębi liberalizmem, jest dzisiejsza Austrja, z tą różnicą, że walka kulturna, prowadzona tu przez żywioły wolnomyślne i socjalistyczne, pomaga skuteczniej do rozbudzenia uśpionego katolicyzmu.

Kiedy socjalista Glöckel, znany propagator »wolnej szkoły«, rozpoczął swą działalność w ministerstwie oświaty, ruch katolicki rozpoczął się na dobre u młodzieży uczącej się, a organizacje jej szybko zaczęły róść w liczbę. Obok istniejącego już związku »Neuland« powstaje teraz »Christlich-deutscher Studentenbund«, który ubiegłego roku odbył swój drugi zjazd ogólny we Wiedniu i liczył już wtedy 6.000 uczniów i uczennic z całego państwa. Stara się on popierać wszystko, co może przyczynić się do dobra młodzieży, organizuje dla nich osobne kursa, a przytem daje także sposobność do pracy charytatywnej, np. po szpitalach. Organem jego jest *Neue Jugend.* Dla młodzieży czesko-niemieckiej istnieje analogiczny związek »Staffelsteiner«.

Obok ogólnej »Vereinigung kathol. Akademiker Deutschlands«, założono dla akademików wiedeńskich osobne stowarzyszenie »Logos«. Dba ono o stronę religijną członków, urządza np. dla nich z początkiem szkolnego roku osobne rekolekcje, a także o intelektualną i towarzyską. Obok wspólnych zebrań, na których rozbiera się zasadnicze kwestje ogólnej natury, posiada ono szereg kół, prowadzonych przez fachowe siły i poświęconych poszczególnym gałęziom wiedzy; własna bibljoteka i czytelnia ułatwia tę pracę, a osobny kapelan związku udziela objaśnień ze swego zakresu.

Dla młodzieży pracującej fizycznie powstała w r. 1918 nowa organizacja: »Reichsbund der kathol. Jugend Österreichs«; w dwa lata później liczyła ona już w 600 kołach 30.000 członków, z miast i wsi, podzielonych na dwie grupy: Jugendbund do lat 18-tu i Jungmannschaft dla starszych. Posiada ono dwa pisma *Jugendwacht* (12.000) i *Der Führer* (3.500), a w swych sekcjach stara się popierać wszystko, co może podnieść i rozerwać młodzież: gimnastyka i sport, muzyka (109 kół ma swe kapele), teatr, bibljoteki, które w r. 1921 posiadały

53.810 tomów. W sierpniu ubiegłego roku odbył się drugi ogólny zjazd związku w Linz, przy udziale około 2.000 delegatów. — Obok ogólnej tej organizacji istnieją inne pomniejsze lub prowincjonalne. Wspaniale rozwija się zwłaszcza tyrolska, o której zjeździe wyraża się sprawozdawca, że »czegoś podobnego Innsbruck jeszcze nie widział«.

Sąsiednie Węgry posiadają wcale liczne stowarzyszenia młodzieży katolickiej, ale dopiero od roku zeszłego, dzięki inicjatywie przedstawiciela holenderskiej młodzieży, dra H. Dorbeck, rozpoczęła się praca nad zjednoczeniem ich, która już doprowadziła do pewnych wyników.

Imponujący liczbą około 300.000 członków i dzielny związek młodzieży włoskiej, »Società della Gioventù Cattolica Italiana«, założony przez Giov. Acquaderni i M. Fani di Viterbo, obchodził w lutym 1918 r. 50-lecie swego istnienia, jakkolwiek uroczysty jego obchód przeniesiono z powodu wojny na wrzesień 1921 r.; o świetnym jego przebiegu, który nie tylko liczbą 30.000 uczestników, ale przedewszystkiem zachowaniem się swem zmusił nawet wrogie czynniki rządowe do złożenia wyrazów uznania związkowi, pisaliśmy już przedtem (Przegl. Powsz., paźdz. 1921, str. 286). Hasło organizacji: »Preghiera, azione, sacrifizio«, jest tylko zwięzłem wyrażeniem jej celu, jakim jest skupienie młodych, którzy »nieustraszeni i śmiali w czynie i słowie, chlubiliby się z tego, że niosą wysoko i nieskazitelnie wzniosły sztandar wiary katolickiej«. Jednem z zadań specjalnych, nad którem pracuje, jest wolność i niezawisłość Stolicy Apostolskiej. — Poza tem istnieją różne związki młodzieży uczącej się, między niemi osobny dla akademiczek katolickich: »Organizzazione Universitaria Femminile«.

Ruch uczącej się młodzieży w Hiszpanji należy do najbardziej pocieszających objawów tutejszej akcji społecznej, wymierzonej obecnie głównie przeciw usiłowaniom socjalistów, rozwijających swą działalność wśród warstw niższych. We wszystkich wyższych uczelniach istnieją koła katolickie, złączone w jedną unję krajową; w rzędzie członków jej rady zasiada sławny Antonio Maura, a na czele organizacji akademiczek stoi markiza de Santillana, jedna z głównych figur obecnego ruchu kobiet katolickich w Hiszpanji. — Także Portugalja ma swe związki uczniów szkół wyższych i średnich, a »Związek katolickiej młodzieży portugalskiej«, założony jeszcze przed wojną, ożywił się obecnie znacznie; część jego członków przyłączyła się przedtem do ruchu antyrepublikańskiego, lecz szkodliwe następstwą tego kroku i wola reszty zapobiegły skutecznie dalszej akcji politycznej.

Obecnie zwrócono się więcej na pole pracy społecznej, w której szczególnie odznacza się »Liga higjeny moralnej«, zwalczająca pornografję.

»Unja rzymsko-katolickich związków uczącej się młodzieży« w Holandji rozwija się pomyślnie i odbyła z wiosną b. r. swój szósty zjazd.

W Anglji kwitnie ruch wśród młodzieży akademickiej. Założona w r. 1920 na kongresie katolickim w Liverpool «The federation of University Catholic Societies of Great Britain«, obok starań o utrzymanie łączności rozrzuconych po kraju akademików, postawiła sobie za zadanie pracę nad wyrabianiem opinji katolickiej wśród społeczeństwa; w tym celu zachęca do wydawania i szerzenia książek apologetycznych, oraz domaga się zaprowadzenia na uniwersytetach katedr historji Kościoła, filozofji scholastycznej i teologji katolickiej. Organem jej jest *The Inter-University Magazine.*

W Stanach Zjednoczonych Am. Pn. prowadzi się obecnie żywą akcję nad organizowaniem młodzieży katolickiej, by ją wyrwać z szeregów Y. M. C. A. Również w poszczególnych krajach pozostałej Ameryki powstają i jednoczą się coraz liczniejsze związki, a niektóre z nich, jak np. w Meksyku, rozwijają już szerszą działalność.

Powszechny dziś w świecie prąd do tworzenia zrzeszeń międzynarodowych nie mógł oczywiście pominąć młodzieży katolickiej, tem bardziej, że już istnieją światowe organizacje młodzieży protestanckiej (Wszechświatowa Federacja Akademików chrześcijan), socjalistycznej, a od wiosny r. 1921 także komunistycznej, ze stałym sekretarjatem w Amsterdamie. Pomijając plan stworzenia takiej unji, podjęty przez młodzież włoską we wrześniu 1921 r., mamy do zanotowania dwie główne próby ze strony katolickiej.

Pierwsza z nich, to posługująca się międzynarodowym językiem Esperanto, liga młodzieży katolickiej świata: »Moka« (Mondjunularo Katolika), z siedzibą w Graz. Założona przez przedstawicieli 10-iu państw w sierpniu 1920 r., pragnie złączyć młodzież wszystkich krajów w celu porozumienia się i wspólnej pracy. Prezesem jej został prof. W. Arnold (Szwajcarja), sekretarzem generalnym H. Sappl (Graz). Organem unji jest *Katolika Mondo.*

Najlepiej przedstawia się jednak sprawa międzynarodowego zjednoczenia organizacyj młodzieży uczącej się. Z inicjatywy przedstawicieli państw neutralnych, Szwajcarji, Holandji i Hiszpanji, odbył się we Fryburgu w Szwajcarji, w dniach 19-21 lipca 1921 r., zjazd de-

legatów katolickich związków młodzieży uczącej się z 22 krajów Europy i Ameryki, w celu utworzenia unji wszechświatowej. Kongres rozpoczął się wspólną komunją św. i zakończył błogosławieństwem u grobu błog. Kanizego, a z Rzymu i od biskupów świata płynęły telegramy i listy, niosąc błogosławieństwo i życzenia pomyślnego wyniku. Obrady odbywały się poważnie, obeszło się bez sporów narodowościowych, a o nastroju obecnych świadczą najlepiej ich własne sprawozdania. Zjazd pokazał — pisze jeden z nich, słuchacz filozofji — że młodzież katolicka »chce w świetle prawdy i pod kątem wieczności spoglądać na wszystko, czem jest i co ma ma, że chce katolicyzm pojmować na serjo«.

Po dojrzałem roztrząśnięciu całej sprawy uznano, że założenie samej unji światowej jest jeszcze przedwczesne, że należy ją naprzód przygotować przez stworzenie międzynarodowego Sekretarjatu. To też jednogłośnie przyjęto rezolucję francuskiej delegacji: »Delegaci katolickich związków uczącej się młodzieży, zebrani 21 lipca 1921 r. we Fryburgu, uchwalają jednomyślnie założenie międzynarodowego katolickiego Sekretarjatu w celu utrzymania wspólnego porozumienia i łączności; jako dewizę otrzymuje on słowa: Pax Romana«. Na siedzibę jego obrano Fryburg szwajcarski; pracę podjął Komitet wykonawczy, a właściwą instancją najwyższą będzie doroczny Zjazd delegatów wszystkich krajów, z których każdy ma przynajmniej dwa głosy (ze względu na związki żeńskie i różne narodowości).

Serce katolika rośnie, gdy widzi tę sieć organizacyj młodzieży pełnych zapału i czynnych, jakie oplatają poza Rosją całą prawie Europę i znaczną część Ameryki. Prawda, że nie wszystko tam przedstawia się różowo, że niektóre ze wspomnianych powyżej związków mają nawet przeciwników, a wewnątrz ich sporo napotyka się braków, lecz mogą one dziwić tego jedynie, kto zapomina, że każde dzieło ludzkie jest niedoskonałem. Jako całość, są jednak te związki czemś naprawdę wielkiem, bo zapowiadają odnowienie społeczeństw chrześcijańskich od samych podstaw.

A u nas w Polsce?

Znaczna część społeczeństwa nie wie nawet, że w kraju naszym posiadamy rokującą najlepsze nadzieje organizację: »Zjednoczenie Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej«, skupiającą w swych szeregach około 100.000 młodzieży robotniczej i wiejskiej, męskiej i żeńskiej. Centralne jego biuro mieści się w Poznaniu (ul. Pocztowa 14—15), gdzie

posiada własny dom, drukarnię i fabrykę przyborów sportowych »Sport«. Nakładem jego wyszła już spora bibljoteczka broszur, służących celom związkowym, oświatowym, wychowania fizycznego, a poczytne miejsce zajmuje też szereg utworów scenicznych, osobnych dla chłopców i dziewcząt. Tu wychodzą także miesięczniki: *Przyjaciel młodzieży* (rocznik 13), organ męskich i *Młoda Polka* (rocznik 3) organ żeńskich członków Zjednoczenia; nadto od stycznia b. r. ukazuje się osobny miesięcznik *Kierownik Stowarzyszeń Młodzieży*, który poza *Przewodnikiem Społecznym*, poświęconym organizacjom wogóle, służyć ma do użytku kierowników stowarzyszeń młodocianych. Związek krakowski wydaje oprócz tego dwa osobne pisma: *Młodzież Polska* (8.000) dla męskich i *Kobieta Polska* (5.000) dla żeńskich kół.

Statystyka »Zjednoczenia« przedstawia się już teraz pokaźnie, podamy ją, opierając się głównie na sprawozdaniu, złożonem na ostatnim »Zjeździe sekretarzy jeneralnych« w Warszawie, 28. II — 2. III b. r. Cyfry te nie są kompletne, pozwalają jednak ogarnąć rozmiary dokonanej pracy, tem więcej zasługującej na uznanie, że spełnionej w krótkim stosunkowo czasie. Poczczególne diecezje obejmują:

diecezja	stow. męskich	stow. żeńskich	czł. razem
gnieźn.-poznańska	320	300	
kielecka	112	100	
krakowska	128	81	10000
lwowska	14	7	
łomżyńska (sejnejska)	16	41	3000
płocka	32	40	
podlaska	35	40	5000
przemyska	40	35	3000
sandomierska	69	75	8000
tarnowska	112	40	6000
warszawska	42	54	5000
kujawsko-kaliska	40	30, mieszanych 20. razem członków 4000	
Pomorze	stowarzyszeń 40		
Śląsk Cieszyński	„ 28, członków		3000

Mniej różowo przedstawia się kwestja organizacyj młodzieży uczącej się. Wśród młodzieży akademickiej działa związek »Odrodzenie«, z dobrze redagowanym miesięcznikiem *Prąd*, które ma koła w Warszawie (z początkiem 1922 r. 260 członków), Krakowie (130 czł.), Poznaniu (30 czł.), Lublinie (70 czł.), Lwowie (27 czł.) i Wilnie (30 czł.). Oprócz tego istnieje Związek sodalicyj marjańskich akademiczek, liczący około 250 członkiń. W szkołach średnich istnieją jedynie sodalicje marjańskie; męskie tworzą już od r. 1919 Związek

ogólno-polski, obejmujący z końcem ubiegłego roku szkolnego w 61 sodalicjach 3.183 członków i posiadający własny organ miesięczny *Pod znakiem Marji*; żeńskie założyły analogiczną unję na zjeździe w Częstochowie, w lipcu b. r.

Poza tem znaczniejszych właściwych związków katolickich młodzieży uczącej się nie mamy, filareckie bowiem i harcerskie dopuszczają także młodzież innych wyznań i nie mają programu zasadniczo i tak oficjalnie katolickiego, jak np. »Skaut katolicki« zagranicą. Wogóle chorujemy dziś na jakiś religijny daltonizm, zdaje nam się, że wystawiwszy szyld, iż »Polska jest katolicka«, zrobiliśmy wszystko; zapominamy o rozczarowaniu Francji i dzisiejszej Austrji. Do tego złudzenia dołącza się, w wielkiej mierze jako jego następstwo, straszliwa obojętność społeczeństwa, które nie interesuje się niemal kwestją katolickich organizacyj młodzieży, nie wie o nich i nie popiera. A kiedy wreszcie pewne grono osób zajęło się nią bliżej, stało się coś zdumiewającego: dla młodzieży katolickiej poszukano organizacji — protestanckiej. Dokoła otaczają nas kraje, w których związki katolickie kwitną, mogliśmy porozumieć się z którymkolwiek z nich, zwłaszcza z Francją, lecz nikt nie wpadł na to. Wysłaliśmy reprezentację Polski na igrzyska olimpijskie do Antwerpji, ale niestać nas było, by dla dobra tysięcy wysłać drugą w celach niezrównanie wyższych.

Nie pora jednak dziś na wzajemne zrzucanie ze siebie winy, dość tego mamy na innych polach. Trzeba tylko uznać, że popełniono błąd, ale błąd, który się da naprawić. Szukać nowych dróg wyjścia nie potrzebujemy, bo praca już jest rozpoczęta. Programem jej najbliższym, obok wzmacniania kadrów »Zjednoczenia Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej«, powinno być stworzenie organizacyj młodzieży szkół średnich i powszechnych, którą to sprawę poruszano już na wspomnianym zjeździe sekretarzy jeneralnych »Zjednoczenia Stow. Młodz. P.«. O ile chodzi o szkoły średnie, męskie i żeńskie, wielką pomocą w przeprowadzeniu tego planu mogłyby być ich »Związki sodalicyj marjańskich«, które zdają się już dziś objawiać pewną dążność ku temu. Organizacje owe przejęłyby ten sam program, co zagraniczne, mianowicie wyrobienie religijne, społeczne i indywidualne członków, starałyby się zaspokoić ich potrzeby duchowe i materjalne, zajęły wychowaniem fizycznem i sportem; w łonie zaś ich elita skupiałaby się w sodalicje marjańskie. Wyrobione w tym duchu falangi zasiliłyby tak dziś szczupłe katolickie organizacje akademickie, a następnie szeregi

inteligencji, wnosząc świeże życie w zwietrzałe częściowo sfery dzisiejsze.

Praca zaiste wielka i święta, dla Boga i Ojczyzny! Nie wielu do niej potrzeba, ale dobrych i dzielnych. Stutysięczna L' Association Catholique de la Jeunesse Française rozpoczęła od sześciu młodych i swego założyciela. My ich mamy więcej. Potrzeba tylko, by ci katolicy, którzy czują się na siłach, pospieszyli z pomocą czynną, materjalną i moralną, a dzieło pójdzie naprzód. W pracy zaś tej pomoże skutecznie sama młodzież polska, która szukając prawdy i ideału, odczuje najlepiej, gdzie znajdzie ich urzeczywistnienie, a tem samem pole do najwyższego wzlotu!

Ks. Stanisław Podoleński.

Gazy trujące, a trucie sumień własnych.

Ośmielam się wystąpić przeciwko pisarzowi i obywatelowi, z którym polemizować nie łatwo i przykro. On ma siłę i wdzięk stylu, wiedzę i temperament, po jego stronie odwaga cywilna, posłuch i zasłużony szacunek u czytelników. Ja żadnego z tych przywilejów i darów nie posiadam, a jednak ..... staję wpoprzek Jego propagandzie i chciałbym zwyciężyć.

On mi przebaczy. Natchnieni jesteśmy tem samem uczuciem, cel mamy wspólny, dzieli nas nieporozumienie. Kochamy Ojczyznę, On i ja, chcemy obadwaj jej dobra. A kiedy wspólna i szczera miłość łączy, nic trwale rozłączyć nie może.

Pan Rabski — bo przeciw jego artykułowi mam odwagę wystąpić — wzywa [1]), ze zwyczajną sobie siłą przekonania, by wszyscy Polacy, drogą ofiarności prywatnej, obdarzyli państwo polskie fundacją Instytutu Chemji Wojennej dla wyrobu gazów trujących. W parę dni później, w drugim artykule, pan Rabski gorszy się, że znalazł oponentów. Artykułu, krytykującego projekt składek, nie czytałem, ale, z odpowiedzi p. Rabskiego na tę krytykę wnioskuję, że argumenta opozycji były drugorzędnej siły, bo nie poruszyły myśli zasadniczej, którąby może projektodawcę przekonała. Opozycja skuteczna opartą być winna na tej samej trosce o dobro Ojczyzny, która przyświecała autorowi artykułu o potrzebie chemicznego instytutu.

Przecież p. Rabski niemal codziennie daje dowody miłości Ojczyzny: odważnej, gorącej, rozumnej. Czujnym się okazał na niebezpieczeństwo trujących gazów, które, płynąc do Polski ze Wschodu, szeroką falą demagogicznego szału uderzały nieraz do głowy niektórym

[1]) Artykuł „Dla armji" w Kurjerze Warszawskim z 15 maja 1922 r. Niniejsze wystąpienie było również przygotowane dla tegoż Kurjera, który wszakże go nie przyjął na swoje łamy.

przedstawicielom Rządu i Sejmu naszego. Za tę odwagę zyskał sobie wdzięczność i szacunek wszystkich, którzy go czytali. Dziś troska jego zwraca się ku Zachodowi i jakże słusznie! Tam drugi wróg czyha na nas, a gazy, które wytwarza (»Gift für Polen«), widać są stokroć niebezpieczniejsze, bo już nas zatruły, choć nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z tego.

Gazy te nie grożą płucom naszym, ani wzrokowi, ani porządkowi społecznemu, jak gazy rosyjskie; ale... one niszczą sumienie narodowe, naszą dobrą sławę, nasze tradycje historyczne.

Gdyby, z rozkazu generalnego sztabu armji polskiej i na koszt rządu, powstał Instytut chemiczny, ja, nie będąc ani strategikiem, ani prawodawcą, milczałbym, jako niepowołany do wydawania sądu. Nie śmiałbym, nie mając na to prawa, utrudniać rządowi jego prac, kiedy nie dzielę jego przed narodem odpowiedzialności. Ale, kiedy podniósł się głos znakomitego publicysty, w Kurjerze Warszawskim, w czasopiśmie tak poczytnem, zatem, nie w imię rządu, ale w imię myśli polskiej, głos nawołujący naród cały do składek na Instytut Chemji Wojennej, wtedy już czuję się w prawie podnieść głos i nic mnie od wypełnienia tego obowiązku powstrzymać nie może.

Z całej siły miłości Ojczyzny mojej i troski o czystość sumienia narodowego — protestuję!

Protestuję dla tych wszystkich powodów, dla których protestowali inni, bo argumenty ich, choć drugorzędne, są słuszne. Protestuję dlatego, że walka trującemi gazami jest wykroczeniem przeciw konwencji hagskiej, co już jest bardzo poważnym argumentem, ale przedewszystkiem dlatego, że jest ona wykroczeniem przeciw przykazaniom Bożym.

Broń tę tolerować może tylko takie zdziczenie obyczajów, jakie powoduje wojna. Jestto biała gorączka krwią upitego żołdactwa. Niech Pan Bóg broni świat od tego, żeby zbrodnia ta stała się chroniczną; niech broni dusze nasze od tej strasznej pokusy, by słowo »truć« zamieniło się u Polaków w hasło patrjotyczne. Byłby to koniec cywilizacji .....powrót do barbarzyństwa. Projektodawca, broniąc zasady, że społeczeństwo powinno z własnej inicjatywy i ofiarności dopełniać dla obrony kraju tego, na co rządowi brak środków, przytacza przykład Niemiec, gdzie flota wojenna stworzoną była, w znacznej części, z ofiarności prywatnej. Potakiwałbym radośnie, gdyby społeczeństwo, widząc ciężki stan skarbu naszego i pragnąc ulżyć budżetowi ministerjum wojny, wzięło na siebie koszta: szpitalnictwa, aprowizacji, umundurowania, byle na gazy trujące społeczeństwo dobrowolnie nie dało ani gro-

sza. Inni współpracownicy Kurjera (może to dla mnie opatrznościowy wypadek), kilka dni przed pojawieniem się odezwy p. Rabskiego, obszernie opisali, czem jest już dzisiaj siła niszcząca gazów wyrabianych dla celów wojennych. Kilka bomb, rzuconych na największe miasto może je zamienić w wielkie cmentarzysko, w którem po kwadransie będzie tyle trupów, ile w niem było żyjących mieszkańców. Gazy te nie mają ani koloru, ani zapachu. Nic więc przed niebezpieczeństwem nie ostrzega.

Natura dała najniebezpieczniejszemu wężowi, prócz jadowitych zębów, jeszcze dzwonki, które ostrzegają człowieka przed jego zbliżeniem. Ale Kain współczesny, od grzechotnika gorszy, chce truć bez narażania się na niebezpieczeństwo. Szlachetniejszym jest Kain I, ten, który był dotąd patronem bratobójstwa.

Krótkowzroczny i niczem nie dający się opamiętać oportunizm ludzki odpowie mi na to: ależ tu chodzi o obronę Ojczyzny. »Salus rei publicae suprema lex«.

Nie, to nie prawda! Jest prawo wyższe, od którego zależy zbawienie narodów, prawo Boże, a każdy czyn ludzki, nie liczący się z prawem Bożem, jest bezprawiem, anarchją i nie wzmacnia narodu, ale osłabia.

Wyrabiać gazy przeciw Niemcom, czy przeciw Rosji, co za złudzenie! One nas zatrują!

> Nie innych śmiercią, lecz własną, bezpłodnie,
> Kończą na ziemi wszystkie świata zbrodnie.
> Żadna z nich, żadnych niema przywileji,
> Król, czy gmin jaki dopuści się zdrady
> Słowu Twojemu, przepada z kolei.

Jaką krótką pamięć mamy! W czasie ostatniej wojny, zatem wczoraj jeszcze, oburzała nas walka podwodnemi łodziami, trującemi gazami, oburzała brutalna bezwzględność pruskiego najeźdźcy, ale co sprawiło, że cały naród niemiecki stoi dziś pod pręgierzem opinji publicznej, to popieranie barbarzyństwa onego przez uczonych, profesorów, myślicieli, przez ten kwiat społeczeństwa, który powinien być światłem i sumieniem narodu. Oburzenie było słusznem, bo »w narodzie duch zatruty — to dopiero sromów srom«.

Czyżby Polska nauczyła się już, w czasie wojny, tej moralności murzyńskiej, która twierdzi, że to, co mój sąsiad popełni przeciwko mnie, jest zbrodnią, ale to, co ja mu nabroję, jest bohaterstwem?

»Salus rei publicae suprema lex«? Nie daj Boże, by ten aforyzm

łaciński poczuł się w sercach naszych dogmatem silniejszym od dekalogu. »Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną« — mówi Ten, który nas wywiódł z domu niewoli. Więc nie zasłaniajmy się tym bałamutnym i bezmyślnym frazesem, nie dajmy się upajać szowinistycznym haszyszem.

Losami świata rządzą nie ludzie, ale Bóg i tylko ulegając Jego prawom, możemy liczyć na Jego opiekę.

Przyjmuję z wdzięcznością od p. Rabskiego przykład ofiarności Niemiec na cele wojenne; ilustruje on najlepiej to, co francuskie przysłowie tak trafnie określa, *„l'homme s'agite et Dieu le mène"*. Niemcy wyrażali aforyzm przezemnie zwalczany tekstem, który w ich języku brzmiał: *„Deutschland, Deutschland über alles"*, ale ponieważ to: »über alles« znaczyło w ich duszach: »ponad prawo Boże, ponad prawo sąsiada, ponad prawo słabszego«, więc ofiarności tej, na ołtarzu Ojczyzny składanej, Bóg nie pobłogosławił i dym tej ofiary, zamiast wznieść się ku niebu i przynieść im zwycięstwo, rozesłał się oparami trujących gazów po całej niemieckiej ojczyźnie.

Oni wprowadzili walkę łodziami podwodnemi, a za tych kilka tysięcy bezbronnych ludzi, zatopionych w morzu, miljony zbrojnych, rzecz niebywała dotąd w dziejach świata, przepłynęło ocean, by pomnożyć liczbę ich wrogów.

Oni zatruli gazami dziesiątki tysięcy ludzi. Zwycięstwa to im nie przyniosło, ale powiększyło ciężar odpowiedzialności ich przed zwyciężcami.

Oni to posłali w zapieczętowanych wagonach ten »Gift für Russland«. I teraz, widzieliśmy w Genui, jak tą trucizną sami karmić się musieli, bo trup rosyjski stał się ich jedynym sojusznikiem, tak z nimi złączonym nierozerwalnie, jak skutek z przyczyną. Są to związki krwi w strasznem, a ścisłem tego słowa znaczeniu.

Ludożercza Rosja, pohańbione Niemcy, to poglądowa nauka, to odpowiedź na pytanie, kto i co zwycięża w świecie: siła czy prawo? oportunizm czy cnota? Oby ta nauka nie poszła nam w las, bo wyraźniejszej sam Pan Bóg dać nam nie mógł. Zginęliśmy już, jeśli z niej nie skorzystamy.

Niemcy byli patrjotyczni, z dobrowolnych składek stworzyli flotę wojenną, wymyślili gazy trujące i palące, używali z wielkim skutkiem podwodnych łodzi, ale śpiewali: *„Deutschland über alles"* i Bóg ich upokorzył. Gdzie są dla nich korzyści ataków gazowych?! Nie zapominajmy ani o tej strasznej nauce, ani o ufności, którą winniśmy Bogu

za cudowną Jego opiekę nad Ojczyzną naszą, ani o tej wierności prawu Bożemu, którą serce i rozum nam nakazują. *Vincit vim virtus*, mówili już w pogańskiej Romie. A my chrześcijanami jesteśmy, powinniśmy więc wierzyć, że zwycięża nie karabin i armata, nie siła fizyczna, nie pieniądz, nie spryt, albo zdrada ..... zwycięża Galilejczyk. Kto się o tem nie przekonał po przebytych latach wojny, ten ślepym i głuchym jest nieuleczalnie. Galilejczyk zwyciężył świat. Nie przechodźmy, w chwili Jego zwycięstwa, do innego obozu. Byłoby to szaleństwem!

Nie prawdą jest, że kto nie będzie truł innych, ten zatrutym zostanie. Prawda jest wręcz przeciwna. Kto truć zapragnie, ten od trucizny zginie.

Posiadamy przyznane nam przez świat cały tytuły szlachectwa, ze wspaniałym przydomkiem »przedmurza chrześcijańskiej kultury«. Szanujmy tradycję cnoty rycerskiej naszego narodu. W godzinie »Cudu nad Wisłą« ochotnicza młodzież polska nie miała dla obrony stolicy trujących gazów, ale szła w ogień pod sztandarami Serca Jezusowego i Królowej Korony polskiej. Tej ofiarnej krwi młodzieńczej, tej wierze i tej ufności w Bogu zawdzięczamy zwycięstwo.

Nie była to obrona chemiczna, a okazała się skuteczną. Po co wzorować się mamy na narodzie zwyciężonym? Zgubę nam to tylko przynieść może.

Niechaj historja nasza nie zapisze na czystych swych kartach, że za pieniądze, dobrowolnie ofiarowane przez całą ludność polską, zatrute zostały gdziekolwiek miasta i wsie, pola i wody, męże, kobiety i dzieci sąsiadów naszych. Wolimy zginąć wszyscy, niż nosić na sobie ten wyrzut, to piętno, tę plamę.

Nie boję się o bezbronność Ojczyzny mojej, bo jeśli Bóg będzie z nami — *quis contra nos?* a będzie On z nami, jeśli my będziemy zawsze z Nim.

Rosjanie zaufali rewolwerowi, Niemcy gazom trującym. Cóż się stało z potęgą i dobrobytem Rosji, z potęgą i dumą Niemiec?

»In te, Domine, speravi, non confundar in aeternum«.

Michał Sobański.

Krzyże i trudy hetmańskie.

(Ciąg dalszy).

II. Krzyż szwedzki.

Jadąc na północny teren walki, zdawał sobie hetman Koniecpolski sprawę z trudności, jakie tam będzie miał do pokonania. Szwedzi i to pod Gustawem Adolfem i jego dzielnymi generałami, to wróg daleko niebezpieczniejszy od Tatarów, Ci bowiem unosili łupy i brańców uprowadzali do Krymu, Szwedzi także uwozili łupy do swej ojczyzny, ale nadto zajmowali twierdze, bogate miasta obsadzali załogami i tak odcinali prowincje od Rzeczypospolitej. Zająwszy w taki sposób całe Inflanty, posunęli się do Prus, obsadzili Warmję, zajęli Elbląg, Malborg, w sierpniu 1626 Grebin, Głowę, potem zniszczywszy Oliwę, zajęli Puck, Helę. Tylko Gdańsk nie kapitulował.

Pod Grudziądzem zebrało się 11.000 wojska, w tem tylko trzy tysiące piechoty, a król, objąwszy dowództwo, usiłował zdobyć Gniewo, co mu się jednak nie udało; co gorsza, w dwóch potyczkach poniósł porażki od swego bratanka. Pod Czarlińcami, dokąd przybywa Koniecpolski dostarczając około cztery tysiące dzielnego kresowego wojska, zdaje król hetmanowi komendę, a sam jedzie na sejm do Torunia. Było to już w drugiej połowie listopada.

Wnet sytuacja w Prusiech i na Pomorzu się polepszyła. Przez Kazanowskiego wyrzucił hetman Szwedów z Ornety i Gutsztadu, pobił pod Tczewem a w styczniu 1627 pod Neuteich oddziały Szwedów, ale by móc ich wyrzucić z Prus, trzeba było armji większej i to zaraz na wiosnę, a tu i ta drobna którą miał pod ręką, a która stanowiła zaledwie połowę szwedzkiej, nie była płatną. Koło wojskowe sformułowało wnioski, z któremi wyjechał hetman na sejm toruński celem ich poparcia.

Tam król miał do czynienia z opozycją, do której usiłowano wciągnąć także i hetmana. Było to przy sposobności, kiedy biskup kujawski Andrzej Lipski, gwoli królowej Konstancji poruszył myśl zapewnienia tronu synowi jej Janowi Kazimierzowi, z pominięciem starszego Władysława dla jego choroby. Król widocznie sprzyjał projektowi. Atoli petman stanął po stronie królewicza Władysława. Opozycja z wojewodą krakowskim Zbaraskim, który choć nie był na sejmie, czuwał wszakże nad jego sprawami, była zadowoloną z wystąpienia Koniecpolskiego; chciała tylko, by — używając tu słów listu Zbaraskiego do hetmana 10 stycznia wystosowanego — hetman był *constans,* naśladując Scaevolę. »Albo żadnego, albo Władysława *vacante regno,* a inaczej żadnym sposobem«. Ale naczelnik opozycji nie przestaje na tem; on pragnie wciągnąć w szeregi opozycji hetmana i podsuwa nowę ku temu celowi myśli. Oto rzuca hasło przeciwko królowi i dynastji. *Mulier et serpens* — mówi o królowej i ciągnie dalej: póki ta bestja in cavernis siedziała.... a potem.. wiadomo ile to nam (możnowładcom) zaszkodziło, że króla Zygmunta Augusta za życia ojca koronowano! I kończy: jeżeli nie przychylacie się ani na tego ani na owego (Jana Kazimierza lub Władysława), tedy się przychylacie na zagranicznego. Nie szukajmy go po świecie, ponieważ w ziemi jest... Tak się stało w Macedonji, kiedy nikczemny Demetrjusz królował.. waleczny Pirhus wjechał do Macedonji, miasta brał.. on to Pirhus.. co ono nas nauczył obozy stawiać. Macedończycy widząc, że król ich nie umiał ich bronić, wszyscy przystali do Pirhusa.. bo lepiej, że król aniżeli królestwo zginąćby musiało. Albo na żadnego (królewicza) albo na Władysława, a jeśli nie, tedy na tego, któregom mianował.. Królewicowie, jak JWMć wiesz, *haereditarium infortunium* mają; brzmi ostateczny wniosek głowy opozycji [1]).

Cokolwiek by nam przyszło sądzić o tem wciąganiu hetmana do obozu przeciwników króla, to jednakowoż pewna, że takie tentowanie

---

[1]) W innym liście, do tejże materji się odnoszącym, a niewątpliwie poprzedzającym datą list powyżej w wyjątkach przytoczony, pisze do hetmana Zbaraski: Przejął jakiś senator pismo Gustawa Adolfa do Betlen Gabora, a więc już na sejm *de eligendo succesore* chce wniosek stawić. Niepotrzebna obawa. Dlatego, że król przyszedł in fastidium, dlatego mamy sacra violare, których *et tangere nefas.* Któżby go obierał. My, czy ten, co w ręku trzyma *beneficia,* które nakładają kajdany na wolność i prawa nasze. Nie śmiemy o mniejsze rzeczy gęby otwierać pogrążeni w pochlebstwo i łakomstwo, a mielibyśmy *hoc praesente* o czem większem mówić.....

nie było zachętą do wojny z Gustawem Adolfem.. Nie można było wobec takich intryg liczyć na poparcie projektów wojennych, postawionych przez koło wojskowe, a popartych na sejmie przez hetmana. Istotnie sejm nie przyjął wniosku zwiększenia armji.. Hetman składał z siebie urząd — jak sam mówi — życząc ojczyźnie nie życzliwszego, bo takiego nie znajdzie, ale szczęśliwszego wodza w takowym niedostatku do uspokojenia jej.. Ale przy konkluzji sejmowej poruszył go jakiś afekt gorętszy, gdy słyszał jednych większe pozwalających podatki, drugich nieomylne czyniących nadzieje...

Wojska polskie. pozostawił hetman w obozie pod Malborgiem, a skoro przybył w drugiej połowie lutego, rozpoczął działanie, oczywiście w granicach możliwości. W rezultacie zajął po kilkodniowem oblężeniu Puck, który się poddał 2 kwietnia. Tutaj dowiedziawszy się, że nieprzyjaciel silniejszą załogą obsadził Hammersztyn na granicy od Pomorza, zwrócił raptownie z Chojnic siły swe pod twierdzę i omal że jej nie zajął — samą konnicą, gdyż piechotę zostawił w Pucku — tak tam bezpiecznie Szwedzi siedzieli, poczem cernował zewsząd i zmusił 17 kwietnia załogę z 27 chorągwi złożoną do kapitulacji. Powodzenia te zajęciem Gniewa, którego załoga nie czekając szturmu poddała się 12 lipca, sparaliżowane były poddaniem się Tczewa Szwedom i porażką Koniecpolskiego pod Lubieczowem 17 sierpnia doznaną od Gustawa Adolfa, który też zdobył Ornetę i Guttstadt w październiku, kiedyto natomiast flota polska pod Gdańskiem pobiła szwedzką.

Wszelkie atoli rozleglejsze plany wodza polskiego rozbijały się o brak piechoty, armat, podczas gdy Gustaw Adolf siłami dobrze zaopatrzonego i sprawnego wojska kilkakrotnie przewyższał liczbę armji polskiej. A i ta szczupła armja pozostawała bez żołdu. Rozsyła hetman uniwersały, nie tylko prosząc, ale prawie żebrząc wojskowych, rozsypujących się z obozu, wzywając ich do gwałtownej usługi dla ojczyzny. Wojsko już zamyśla o konfederacji, rotmistrze zwołują się, radzą, inni wprost wypowiadają służbę. »Królu, woła hetman, obmyślaj bodaj na jedną ćwierć roku pieniądze.. nie czekaj na sejm, bo wojsko dla niedostatku swego nie dotrwa. Chcę umrzeć w wojnie dla ojczyzny, byle sławnie.. nie dbam, choćby prędko, bo mi dokuczyła wojna. Chciałbym z pod Głowy, gdzie Nogat od Wisły się dzieli, gdzie się fortyfikuje nieprzyjaciel, przeszkodzić w robocie.. (Gustawowi Adolfowi).. nie mam czem! »Oto ustawiczne skargi hetmana z pod Brzozna pod koniec maja 1627 r. aż po koniec kampanji z rozmaitych miejsc w Prusiech i na Pomorzu wysyłane. Nieszczęsnym też wodzem zwie go znakomity badacz

dziejów wojen polskich i słusznie. Posłuchajmy bowiem skargi jego w Warszawie na sejmie styczniowym w marcu 1628 przedstawionej:

»Od dziecinnych lat moich — mówi hetman — to staranie, to pieczołowanie zawsze moje było, abym wszystkie intencje moje ku sławie i dostojeństwu W. Kr. Mci i rzptej obracał, gwoli czemu nie straszne mi były nigdy rozmaitych nieprzyjaciół wojska ogromne, smakowite były wszelakie pracy trudy i insze razy ciężkie od nieprzyjaciół podjęte, o których wszystkiemu światu wiadomo.. Ta ochota od granic państw koronnych do Prus mię przeniosła, gdziem niezwyczajną stanął prędkością, nie dla czego innego, tylko żeby jako w innych obozach moja zasługa mogła wyrównać oczekiwaniom króla rzptej. Gotowość nasza i wojenna nie odpowiadała potrzebie ani możnemu nieprzyjacielowi, jednakże ochotny żołnierz i z elementami ciężkiej zimy i z nieprzyjacielem walczył, będąc słabszym na siłach od nieprzyjaciela... niektóre miejsca zdradą zajęte odbiliśmy i nieprzyjaciel nie tylko, że nic nie zyskiwał, ale odstępować ze stratą musiał....

»By była wcześniejsza z wiosną nastąpiła gotowość, o którą ja na sejmie toruńskim stanów koronnych żebrał, mogłaby była ojczyzna z sławnego pożądanego dawno cieszyć się pokoju. Ale za nierychłym wydaniem kontrybucji, suplementa późne żadnej nie przyniosły pomocy, podatki szczupłe na zapłatę wojska nie wystarczyły, zaczem coraz większy niedostatek, coraz ujma wojska, ale i wielkie oszukanie nie tylko mnie, ale całej rzptej, gdyż zamiast kilkunastu tysięcy tylko kilka wychodziło na pole, z których i załogi blizkich zamków należało opatrzeć.. i w niesłuszne opinje i tradukcje popadliśmy ludzkie...

»Wstąpiłem tu (do Warszawy), aby się dowiedzieć o dalszym progresie wojny.. a czas płacy wojsku.. a tu podatki stępiały, a i pozwolone leniwo idą.. Żołnierz znędzniony taki niedostatek wytrzymawszy, nie może ino *fremere* i ciężkim być obywatelom, jeno *fastidire imperiis* starszych swych.. Nietylko reputacja ma, ale i sława narodu *periclitatur*.. od oziębłości naszej., Tylko miłość każe mi zamknąć oczy i jechać do wojska.. *In vim manifestationis* podaję to ogółowi rzptej, że na mnie nie-schodzi, lecz jeżeli dla niedostatku padnie co takowego na rzptą, coby szkodę przynieść mogło, niech to nie wadzi mej reputacji..

A już i sławie i dobremu imieniowi hetmana zagrażał dalszy ciąg szwedzkiéj wojny i krzyż, pod ciężarem którego uginał się, przytłaczał go do ziemi. Nie dziwna, Gustaw Adolf w odwecie za przeszłoroczną klęskę morską pobił 3 lipca 1628 flotę polską, zatopił dwa okręty rabował i niszczył pomiędzy Malborgiem, Tczewem a Głową, a hetman

z boleścią musiał przyjmować nowiny o tych klęskach ojczyzny, przeciwnik bowiem jego doprowadził armję swą do 25 tysięcy żołnierza, podczas gdy on kilkoma operował tysiącami. Co gorsza, gdy na 15 maja zwołał hetman koło wojskowe pod Nowem, musiał użyć wszelkich sposobów, aby wziąwszy za trzy ćwierci służby nie opuszczali. »Ciężka to rzecz — narzekał — gdy Szwed, korzystając z mięszanin (w wojsku) i z wielkiej wody na Wiśle, napady czyni, a żołnierz, zamiast walczyć, dopomina się żołdu. Nieszczęsna rzpta, że tak niewcześnie i nieporządnie obmyśława o sobie, a najnieszczęśliwszy hetman, który nie tylko zdrowie, majątek ale i reputację dla tej przeklętej oziębłości tracić musi«.

Mimo przeważających sił Gustaw Adolf obawiał się uderzyć na obóz hetmana pod Grudziądzem, z którego go wywabić usiłował. Gdy zaś Szwed, zmieniwszy plany, przeszedł Ossę i ruszył ku Brodnicy, hetman, idąc za nim, szarpał go podjazdami.. »Odpierać go z małem wojskiem mogę, ale zwojować go bez osobliwej łaski Bożej rzecz niepodobna. A czyśmy u Boga zarobili na takie cuda?« Zamiast cudu niestety nastąpiło poddanie się Brodnicy Szwedowi. Hetman dowódcę Lamontaniego, który wbrew protestom oficerów oddał twierdzę nieprzyjacielowi, kazał postawić przed sąd polowy i ściąć.. a pozostawiwszy część wojska, dla odzyskania Brodnicy, dogonił pod Osterodem pułkownika Braudisa, ciągnącego do Neu Holland i rozgromiwszy pułk, jego samego wziął do niewoli. Natomiast chorągwie Kazanowskiego, Kalinowskiego, Fryderyka Dönhofa poniosły pod Guzźnem klęskę od jenerała Wrangla, (Gustaw Adolf odjechał był do Szwecji), który puścił się ku Toruniowi i ścisnął oblężeniem miasto, odstąpił atoli za okupem od murów i odszedł pod Malborg, poczem Szwedzi zawarli z hetmanem rozejm do 1 czerwca 1629 r.

Zawarto go ze strony polskiej z konieczności niemal. Król bowiem nie przysyłał zapłaty, a do wojska pisał z prośbą o cierpliwość, że zwołany na 9 stycznia sejm dostarczy środków, za które tak nasze wojska jak i za granicą werbowane uzbroić się muszą.. a gdyby postąpiło inaczej i odeszło ze służby, ojczyznę na łup podadzą wrogowi. Hetmanowi zaś polecał król, na wypadek uporu ze strony wojska porozumieć się z komisarzami (od sejmu wysłanymi) i zapłacić ile jest pieniędzy tak polskiemu jak i cudzoziemskiemu żołnierzowi. Wrazie trudności w rokowaniach z nieprzyjacielem polecał rozejm zawrzeć do końca czerwca. Na skutek próśb hetmana w kole generalnem i jego pilnych starań prywatnie czynionych, aby żołnierz dalej w służbie zostawał, nie mógł odnieść on innej odpowiedzi, jak tę tylko, że jeżeli

zupełnej nie odniosą zapłaty, porzucą służbę. Doprowadza wreszcie do tego, że pułkownicy swemu towarzystwu część zasług własnemi płacą pieniądzmi; wojsko już porzuca upór.. ale hetman się rozchorował. Król wysyła swoich lekarzy do obozu, a hetman dziękuje, że z pobożności swej i dobroci ma staranie i o zdrowie jego, którem usiłować będzie okazać wdzięczność za tę miłościwą łaskę. Ale też i jemu dziękują ziemianie, nawet z najdalszych kresów, że wojska na służbie powagą swoją uspokoił i do poczekania zapłaty w posłuszeństwie powinnem przywiódł.

Na sejmie uchwalono wreszcie zapłacić wojsko, opatrować je żywnością, w potrzebie zwiększyć obronę zwołaniem pospolitego ruszenia i zaciągnąć do służby osobnym skryptem tajemnym korpus cesarski pod dowództwem Arnheima, który też w liczbie 7000 przybył na czerwiec do Hammerstynu. W Grudziądzu zeszli się obaj wodzowie, cesarski z hetmanem i po odbytej naradzie postanowiono opanować Żuławy, gdzie Gustaw Adolf od kilku tygodni obsadzał nowemi siłami Tczewo, Hampt i Malborg, sam zaś w kilkanaście tysięcy rozłożył się pod Kwidzyniem. Gdy się stąd cofał do Malborga, zastąpił mu drogę hetman 27 czerwca pod Tczcianą i w trzykrotnem krwawem zderzeniu poraził. Gustaw Adolf dwukrotnie pozostawał w niebezpieczeństwie życia; hetmanowi oddano dziesięć zdobytych sztandarów. Wyruszył też na Malborg, który ścisnął oblężeniem, niestety mając prawie samą konnicę, a dopiero pod koniec sierpnia liczono jedenaście tysięcy piechoty. Wybuchła zaraza w obozie, wobec czego odprawiono wojsko cesarskie, a polskie ustąpiło z pod Malborga do Kossborka i do Prabut. Na skutek zabiegów posłów angielskiego i francuskiego pod Sztumem w Altmarku 26 września zawarto sześcioletni rozejm pod warunkami dla ojczyzny twardemi i mniej honorowemi, jak rezultat określa Zbaraski, podając i to, że w Krakowie na wieść o zwycięstwie hetmana pod Trzcianą w wielu kościołach odprawiono dziękczynne nabożeństwa, że atoli niedługo trwała pociecha, gdy przyszła wieść o pomorze w wojsku..... a potem o rozejmie. Wszakże Szwedzi zatrzymali wszystkie zajęte miasta i twierdze z wyjątkiem Mitawy w Kurlandji. Nie obeszło się bez nagany rezultatu tego na sejmie, ale słusznie odpowiedział na nieuzasadnione zarzuty podkanclerzy Żadzik: »Kto dowiedzie, że rzpta dłużej wojnę z pożytkiem prowadzić mogła i że korzystniejszy pokój wymóc było można, niech na nas sądu i kary żąda, kto dokazać tego nie zdoła, niech niewczesną naganę powściągnie«.

W rezultacie, dynastyczna polityka króla, opierającego się o Austrję,

którą opuścić musiał, dając wolne ręce Gustawowi Adolfowi do najazdu Niemiec, poniosła klęskę. Nie mógł jej uratować swym talentem wojennym hetman oddany królowi, zwłaszcza pozostawiony bez sił dostatecznych, a mający takiego wielkiego przeciwnika w Gustawie Adolfie. Pod koniec kampanji zniecierpiał nawet posiłki przysłane przez cesarza pod Arnheimem, zwłaszcza gdy tenże począł knować zdradę, a żołnierz niemiecki, ociężały do bitwy a rozpasany w rabunkach począł mu ciężyć.

Kiedy rozejm wychodził, król Władysław IV. wyjechał do Prus gotować wojnę i opatrywać zamki, powołał tu i hetmana, który zajął się przygotowaniem armji. Na skutek starań posła francuskiego d'Avaux, — dodajmy wielbiciela talentu hetmana — zaczęto w myśl dawniejszego rozejmu układy w Sztumdorfie, przy których jako komisarza polskiego na naczelnem miejscu widzimy i hetmana. Dnia 12 września 1635 r. zawarto rozejm na lat dwadzieścia i sześć, którym powrócono Polsce Prusy, Inflanty zaś pozostawiono *in statu quo*. Ziemianie posłowie na sejmie, potwierdzając pacta, przypomnieli sobie zasługę hetmana z przeszłej ekspedycji pruskiej *constanter et gloriose* świadczoną i dziękowali mu... za jego krzyże długoletnie a ciężkie.

III.

Krzyż kozacki

Odjeżdżając 6 sierpnia 1626 r. z Baru na teatr wojny północny na walkę o panowanie nad Bałtykiem jako — pożegnanie z wojskiem i z ziemiaństwem pozostawił Koniecpolski zapewnienie, że zostawia w swem zastępstwie Stefana Chmieleckiego, znanego kresowca »a niedaleko i Kozacy zaporoscy z powinności swej i ochoty ku usłudze Króla i rzptej stawają«. Mógł także zapewnienie dać co do Kozaków, albowiem przed rokiem uporządkował on stosunki kozackie tak dalece, że sądził, iż na dłuższy przeciąg czasu z tej strony rzpta będzie miała spokój.

W szkole Żółkiewskiego zaprawiony do rządów na kresach, nie znosił hetman nierządu, jaki panował w Kozaczyźnie. Usiłowaniem hetmanów obu było przeszkadzać rabunkowym napadom Kozaków na Turcję, zmniejszyć ich regestr, ścieśnić samowolne na kresach rządy, słowem zatrzymać Kozaczyznę jako odrębną instytucję, ale ujętą w karby organizacji wojennej, a rząd nad nią trzymać w swym ręku. Był Koniecpolski i pod Pawołoczą w 1616 r. gdzie Kozacy przyobiecali Żółkiewskiemu nie czynić napadów na Portę, był i przy komisji

olszanickiej 1617 r., gdy ograniczono liczbę Zaporożców, zabroniono wysyłać im żywność bez wiadomości wojewody kijowskiego lub starosty czerkaskiego i wykluczono z ich wojska rzemieślników, mieszczan, luźnych ludzi, a starszy ich, wybrany przez Kozaków, miał być z ramienia króla i hetmana. We dwa lata później już znowu trzeba było zbrojną komisją porządkować nieład, jaki się zakradł do Kozaczyzny. I przy komisji rastawickiej w październiku 1619 r. był obecny hetman polny Koniecpolski jako komisarz rzptej. Oznaczono tam płacę rejestrowym gotówką, suknem, zapłacono za wojnę moskiewską, otrzymano przysięgę, że nie będą chodzić Kozacy na Czarne morze, że luźnych ludzi wydalą ze swego wojska. Przysięgi te wszystkie złamali oni, Konarzewicza Sahajdacznego zrzucili ze starszeństwa i pod wodzą Borodawki chodzili na morze. Za to pod Chocimem oddali dzielne wojsku polskiemu usługi w walce z Osmanem i podczas rokowań o pokój, dano im zapłatę, byle tylko nie śli na morze. Grozili jednak, że skoro na wiosnę nie otrzymają jakiej służby, pójdą na morze. W następnym roku (1623) miała się odbyć z nimi komisja, odpadła jednak z powodu napadów tatarskich.

Tymczasem te napady Tatarów zbliżyły Kozaków do Ordy, tak dalece, że zawarli sojusz z jednym z wodzów tatarskich, zdolnym ale niespokojnym Szahin-girejem, znosili się z Sołtanem gałgą, z Moskwą, słowem zaczęli rządzić kresami i jak król w instrukcjach swych na sejmiki donosił, rzeczpospolitą sobie udzielną stanowili. Majątki, życie ziemian, mieszczan były niepewne, od swawolników zagrożone; w miastach, miasteczkach objęli rządy, jurysdykcję, stanowili prawa; w Kijowie napadem na miasto pomordowali wójta i niewinnych jego urzędników, a na innych okup nałożyli. Wobec takich stosunków wszelkie przymierza rzptej z wschodnimi mocarstwami zawisły jakby w powietrzu, publiczne bezpieczeństwo na kresach było zagrożone i król polecił hetmanowi, by w porozumieniu z komisarzami, z kresowemi rodami swawolę poskromił. Zanim sejmiki się zebrały, Koniecpolski już upór Kozaków złamał i w »ściślejszą aniżeli dawniej wprawił ich ryzę«. Spotkano ich w obozie nad Mosznami, potem porażono nad Cybulnikiem, gdzie ich poległo ośm tysięcy. Nie przyjmowali bowiem podanych im przez hetmana warunków, mianowicie, by się nie wdawali w sprawy duchowne ani w politykę zagraniczną, jurysdykcji żadnej sobie nie przywłaszczali, wierność przysięgli i w wyznaczonej liczbie gotowi byli do służby. Uporni cofnęli się ku Dnieprowi pod Kurakowe jezioro, w pogoni gromieni przez Chmieleckiego. Otoczeni

tam zewsząd 29 października 1625 r. poczęli wołać o miłosierdzie, a wtedy hetman zaprzestał bitwy, Kozacy przyjęli warunki także i zmniejszenia regestru do 6000, tudzież by wybrany przez nich hetman potwierdzony był przez króla. Jeżeli dodamy, że w tym roku surowością roztropną poskromił hetman także u swojego żołnierza z konfederacji moskiewskiej, szwedzkiej, lisowczyków z chocimskiej wojny i z rozuzdanego swawolnika uczynił karnego i bitnego, musimy chyba przyznać, że i nad Kurakowskiem jeziorem usiłował tego samego celu dopiąć u rozkiełzanych, pijanych swawolą Kozaków. »Komisja nic nie pomoże pisał do hetmana ks. Zbaraski — tylko oręż, zemsta, za dawniejsze i teraźniejsze nieposłuszeństwa!« Tymczasem Ukraina poczęła zażywać nieco spokoju, wzrastać w kolonje, niespokojnych usuwali starostowie i ziemianie z dóbr, nie pozwalali im zabudowywać się, zabraniali zarobków, na co się uskarżali Kozacy w swych poselstwach do hetmana grożąc, że chcą posłać do cara moskiewskiego po Kaznę (upominki) i pytając, jak mają sobie postąpić, bo nie mają, Bóg widzi, skąd czego wziąść! Otóż brali oni zewsząd jak dawniej, bo jak Miron Bernawski, wojewoda wołoski, królowi donosił, kilkadziesiąt czajek, po zawarciu świeżo pokoju wpadło na morze, a do Budziaków wpadają, nie po języki, jako udawają, ale po stada, bydło od Turków i Tatarów. Potrzeba surowego zakazania i karania, przedstawiał królowi wojewoda. Wnet już i Murad IV dopominał się kilkakrotnie o ukaranie swawolnych Kozaków, grożąc wojną królowi... Kozacy nie słuchali swojej starszyzny, narzekali na dolę, a swawolili; Hrehorego Sawicza, który do hetmana pisał z Czerkas, że na nic dobrego się nie zanosi, nie przyjęli za starszego, wkońcu w domu jegoż własnym zamordowali. W zaślepieniu swem trwają dalej, Murteza basza grozi, że jeżeli hetman nie ukarze swawolników, »sam z armią swą poszuka Kozaków, a tak i ubodzy poddani (polscy) musieliby być popsowani i podeptani«. Rozpuszczano na kresach mylne a potworne wieści o zamiarze Polaków wymordowania Rusinów tych, którzy nie przyjmą łacińskiej wiary, wreszcie pod atamanem Tarasem pociągnęli swawolnicy do Perejasławia i tu się okopali w liczbie 37000 rudzi. Wyruszył przeciwko nim hetman w ośm tysięcy żołnierza; przez trzy tygodnie czerwcowych (1630) oblęgał i zmusił do poddania się. Wydano w ręce jego Tarasa, którego zatrzymał pod strażą aż do decyzji królewskiej, a dał Kozakom za starszego Arendarenkę. Zresztą postąpił wspaniałomyślnie; mieli złożyć przysięgę, że żadnych buntów przeciwko zwierzchności czynić nie

będą, że hetmana, bez udziału czerni, nie będą wybierali; regestr ma wynosić ośm tysięcy, z których dwa tysiące zostaną na Zaporożu.

Zaledwie sprawa ugody przyszła na sejm a już wezyr Murteza basza, Kapudan Hassan basza i inni dygnitarze Porty obsyłać poczęli hetmana i sekretarza koronnego Jakóba Zadzika skargami »na łotrostwa kozackie«. Wprost domagają się fortyfikacji ostrowów na Dnieprze celem nieprzepuszczania czajek kozackich na morze, że natomiast Porta zgadza się na usunięcie Kantymira z jego hordą Nogajców z Budziaków. Inaczej nie będzie spokoju na kresach i Porta będzie musiała szukać »łotrów« w ziemiach rzptej.

Zbudowano tedy na Dnieprze Kudak, na którym osadził hetman komendanta Mariona, ale gdy opuścił kresy (1635), udając się do Prus, Kozacy pod wodzą Sulimy i Pawluka zburzyli Kudak, a dowódcę i załogę wycięli.

Po zawarciu rozejmu sztumdorfskiego z Szwedami pędzi hetman na Ukrainę. Przestraszeni Kozacy wydają mu Sulimę i kilku innych dowódców. Sejm polecił hetmanowi wystawić drugi Kudak; nie rychło go wybudował Beauplan holenderskim sposobem z bastjonami. Spokoju jednak nie było. W listopadzie 1636 skarzą się Kozacy na sejmie z powodu wypędzania ich z dóbr szlacheckich, nie pozwalania im kurzenia gorzałki, robienia piwa. Wybuchnął nowy bunt, wśród którego zabili starszego swego Sawę Kononowicza i inną starszyznę, a atamanem obrali Pawluka i garnęli ku sobie swawolników. Hetman wysłał kolegę swego, polnego hetmana Mikołaja Potockiego, na poskromienie buntu, a z Baru 3 września 1637 r. rozesłał uniwersały do starostów ukrainnych, by tych swawolników, którzy się z łotrami połączyli a za dwa tygodnie nie powrócili, za kozaków regestrowanych nie uważali i do hetmana odsyłali: »A gdybyście ich nie pojmali — brzmiał surowy rozkaz — abyście ich na żonach i dzieciach karali, gdyż lepsza rzecz, żeby pokrzywa na tem miejscu rosła, aniżeli żeby się zdrajcy rzptej tam mnożyli«. Hetman z powodu niepewności od Tatarów i Turków nie opuszczał szlaków, a tymczasem Mikołaj Potocki pod Kumejkami pobił zbuntowanych a w Borowicy obległ i 16 grudnia 1637 zmusił do poddania się i do wydania Pawluka. Z Uścia 31 grudnia dziękował Koniecpolski hetmanowi polnemu, »że drobną siłą wyuzdaną swawolę potłumił« i dodawał, jakby usprawiedliwiając surowe swoje do starostw rozkazy: »Takowe zbrodnie i samo niebo nie zwykło cierpieć. Czyń starania, abyś temu chłopstwu taki przybrał musztuk,

żeby już więcej nie wierzgało i w powinnej posłuszeństwa klubie zostawało«.

Usiłowano surowością zatamować wyuzdaną swawolę, wobec której nie można było utrzymać na kresach porządku, a tem mniej popierać tutaj politykę króla Władysława IV, dążącego do wojny z Turcją. Ziemianie kresowi, którzy zrazu popierali zamiary królewskie, ochłonęli z zapału i nie dziwna: musieli przy wielu innych odpychających od wojny przyczynach, zadać sobie pytanie, czy nie lepszy pokój z sąsiadem Turkiem, aniżeli wojna z nim, zwłaszcza gdy w domu niepewni byli życia od ludności kresowej, podlegającej ustawicznym buntom z powodu »łotrostwa«, jak Turek sam nazywał owe bunty i napady kozackie na morze.

Buntom tym nie było końca i po wydaniu Pawluka i po krwawych egzekucjach, które potem nastąpiły. Na wiosnę 1638 już notują kresowcy nowy bunt pod Jackiem Ostranicą i Andruszkiem Hunią w Siczy. Wprawdzie nad Starcem, u ujścia rzeki do Dniepru, poddali się zbuntowani Potockiemu, atoli wodzowie ich uciekli. Wtedy to sejm pozbawił Kozaków jurysdykcji, starszeństw, przywilejów, chcąc tych, którzy ocaleli, mieć za obrócone w chłopy pospólstwo. Liczbę zmniejszono do 6000. Starszym miał być odtąd komisarz, wyznaczony od sejmu do sejmu z siedzibą w Trechtymirowie; pułkownikami i asawułami miała być szlachta. Starszym został Mikołaj Zaćwilichowski, z tytułem komisarza. Bez jego paszportu nikt nie mógł udać się na Zaporoże.

Nienawiść po Lachów wzmogła się w Kozaczyźnie, zmuszonej do poddaństwa. Zwiększają się objawy ducha buntowniczego, jako też porozumiewania się z Tatarami. Hetman przypilnował budowy Kudaku i już żadna łódź kozacka nie mogła wypłynąć na morze. Dziękowano mu na kresowych sejmikach, jak w Bełzie, za powściągnięcie swawoli kozackiej, za prace, które z odwagą zdrowia podjął około Kudaku, około ordynacji kozackiej i za powściągnięcie wojska od konfederacji...

I zdawało się, że największy krzyż, jaki w życiu dźwigał hetman Koniecpolski, krzyż kozacki, usunięty był bezpowrotnie z jego ramion. Owszem po sześciu latach spokoju od Kozaków, w początkach 1645 r. wraca projekt wojny tureckiej, tak gorąco przez króla popierany. Już rozbrzmiewa hasło położenia kresu anomalji kupowania sobie Tatarów haraczem, sam nawet Koniecpolski w połowie sierpnia tegoż roku wysłał przestrogę do wezyra przez hospodara Bazyłego

Lupula, że jeśli hordy pod Islam girejem w pogotowiu do najazdu stojącej nie powstrzyma, dostaną Kozacy nakaz wycieczek na Morze Czarne. Król dziękuje hetmanowi i wyraża przekonanie, że wobec tej gwarancji nie będą Turcy tak łatwo wysyłać emirów na Polskę. Porta domaga się jednak od rzptej podarków dla Tatarów i od spełnienia tego warunku czyni zawisłym zakaz najazdu Polski, dany Tatarom. Wojna z Turkami wisi jak gdyby w powietrzu, gdyż poseł wenecki Tiepoli podżega do niej imieniem signorii, obiecując wypłatę dużej sumy stu tysięcy talarów na dywerzję kozacką i na pierwsze potrzeby wojny.

Hetman widząc, że Tatarzy głodem parci wyruszyli najazdem olbrzymim na Moskwę, z Mikuliniec w początkach grudnia nakazał wojsku na 20 grudnia ściągnąć się pod Fastowem, dokąd i sam przybyć obiecał. Jednakże nie przybył, oddał komendę nad wojskiem hetmanowi polnemu, oczywiście z instrukcjami pilnowania Tatarów i poparcia Moskwy; atoli sroga zima zniweczyła zamiar dania pomocy carowi.

Hetman tymczasem czyni przygotowania do ożenku po raz trzeci już w życiu, poczem pojechał do Warszawy ze swym »Dyskursem« o wojnie wschodniej, nie o zniesieniu Tatarów krymskich. Plan ten omówił z królem, a dopiero 5 stycznia przedłożył na naradzie senatu, a więc pożytki przymierza z Moskwą i wspólną z nią wyprawę na Tatarów, przyczem Moskwa zajmie Krym, Polska posiadłości do ujścia Dniestru. Oczywiście projekt musi uzyskać aprobatę sejmu. Innemi słowy hetman legalnie chciał poczynać wojnę z Tatarami, a więc z przyzwoleniem narodu na sejmie.

Dlatego to hetman i wobec Tiepola, forsującego wojnę turecką dla swej rodzinnej Wenecji i na jej korzyść zajął oporne stanowisko. W połowie września jeszcze odpowiedział on posłowi signorii, że życzy jej, aby w swem smutnem położeniu znalazła wsparcie u monarchów. Ale nas łączą traktaty z Portą, trzebaby przyzwolenia stanów na to, aby przez dywerzję kozacką mogła przyjść dywerzja wojny rzptej przeciwko Porcie. Trzebaby szukać innych środków, które się nasunąć mogą, gdy tyran nastręczy okazje do zerwania pokoju. Znaczyło to, że legalnie postępujący hetman niczego nie pocznie bez zezwolenia rzptej.

Jeden z naszych historyków, badacz planów wojny tureckiej, wnioskuje, że hetmanowi szło o zgniecenie Tatarów, wobec czego wojna z Turcją miała się usunąć na dalszy plan, a którą król stawił

na pierwszym planie i ta różnica panowała pomiędzy królem a hetmanem, że pierwszy w wojnie z Ordą upatrywał pretekst do wojny z Turcją. Król chciał — mówi Czermak — jak najprędzej zatargu z Ordą, bez względu na przymierze z Moskwą, do którego dążył w projekcie swym hetman i bez odwoływania się do sejmu; chciał — ulegając Tiepolemu — aby jeśli zatarg z Ordą nie podrażni Porty, wytworzyć *casus belli* przez wysłanie Kozaków na Morze Czarne. Koniecpolski i w tem różnił się zapatrywaniami swemi od króla. Hetman, jak zauważono już wyżej, groził Porcie także Kozakami, ale groził celem odstraszenia jej i oddalenia wojennych zamiarów a zwłaszcza od ujmowania się za Tatarami, nawet w tym wypadku, gdyby Polsce przyszło wieść w spółce z Moskwą wojnę przeciwko Krymowi. Oczywiście, gdyby podówczas na skutek wojny nastąpiła przewidywana przez hetmana *jaktura* Ordy, natenczas jak pisał hetman, Turcja nie lada jako przyjęłaby ją (klęskę Ordy), ale podówczas już miałaby Polska wolne ręce, miałaby sprzymierzeńców, nie obawiałaby się o kresy, jednem słowem, mogłaby śmiało podjąć wojnę z Turcją.

Wspomniano wyżej, że ostrożny, legalnie postępujący wódz brał w rachubę swoich pomysłów także i zachowanie się Kozaków, mających ułatwić w ciągu akcji wschodniej, wypowiedzenie wojny ze strony Porty. W swym pamiętniku mówi Oświęcim, świadek owych dziejów, że pod koniec 1645 doszły hetmana niemylne posłuchy, że wśród Kozaków wzmaga się niezadowolenie z polskiej gospodarki, wzburzenie z powodu utraty swobód i ucisku jakiego doznawali, że się zanosi na jakiś ruch buntu, dlaczego też Kozacy szukają sprzymierzeńca, poparcia u Tatarów i że nawiązali z nimi jakieś układy. Także i Jerzy Ossoliński notuje, że Koniecpolski przewidywał ligę Tatarów z Kozakami... Ale i tu co do owej ligi kozacko-tatarskiej, dodajmy, panowała różnica pomiędzy planami króla a hetmana. Bo kiedy ta przestroga o lidze kozacko-tatarskiej posłużyła królowi za największe *motivum*, jak mówi Oświęcim, do zamyślanej wojny z Turcją, aby się pod pretekstem ligi (Polski) z Wenetami i wojny tureckiej ta kozacko-tatarska liga, jeszcze nie zawarta, rozerwać mogła, to hetmanowi szło głównie o niedopuszczenie, względnie o zerwanie związku Kozaków z Ordami, oczywiście z wykluczeniem projektu wysłania Kozaków na Morze Czarne.

Zaszła tedy chwilowa stagnacja w planach króla i hetmana z powodu tych różnic i tej zależności od nowin ze wschodu, gdzie tatarskie hordy odnosiły niebywałe triumfy nad Moskwą, którą zalały po-

żogami i krwią, podczas gdy na granicach mała armja hetmana polnego z powodu mrozu topniała tak bardzo, że nie mógł nawet wracających ze zdobyczą Tatarów zaskoczyć, by odebrać bogate łupy, a natomiast Kozacy z triumfatorami wchodzili w rozhowory i porozumienia. To też król czekał na przybycie hetmana, ten zaś zwlekał, a kiedy przyjechał i przedłożył swój Dyskurs w senacie o zniesieniu Ordy, wiedziano, że król jest za wojną z Turcją, a hetman tylko za wojną obronną od Turcji w razie, gdyby ją Porta wypowiedziała... Toż i posłowi weneckiemu, po owem posiedzeniu senatu, odpowiada hetman, że zdaniem jego nie możnaby podjąć teraz wojny z Portą, gdyż na Polskę spadłaby cała potęga Porty... i jeżeliby o wojnę szło, niech sprzymierzeńcy zobowiążą się do rocznych subsydjów w ilości pół miljona talarów na lat trzy je zapewniając. I co do dywersji Kozaków na morze nie uzyskał Tiepolo zapewnienia od hetmana. Tylko na wypadek, gdyby Tatarzy napadli na kresy, da Kozakom rozkaz popalić statki i galary tureckie i pozwoli w stosownym czasie wyruszyć im na morze, jeśli to będzie możliwe. Trafnie nazwano tę odpowiedź hetmana prawie odmowną i niezawodnie ostrożność wodza stała w związku ze znoszeniami się Kozaków z Tatarami. Wobec tych różnic senat pozwolił na zarządzenie środków ubezpieczenia kresów wschodnich...

Tymczasem król zgodził się z Tiepolim na dywersję kozacką, na którą poseł signorji miał wypłacić 60 tysięcy talarów i to za trzy miesiące, a prawdopodobnie i dywersja dopiero po upływie tego terminu nastąpić miała. Zapewne hetman miał zapewnić się o stanie rzeczy na kresach i stosownie do rezultatu nakazać albo odroczyć zarządzenia żądane przez posła signorji.

Już 16 stycznia 1646 r. był hetman w Rytwianach, gdzie wziął ślub z wojewodzianką poznańską Zofją Opalińską, poczem odjechał do Brodów, aby tam poczynić dochodzenia a wreszcie i zarządzenia w sprawie wschodniej. Nic o nich nie wiadomo, albowiem zaskoczyła hetmana choroba ciężka, którą lekarze uznali za wodną puchlinę w połączeniu ze stranguzją, choroba ciężka zakończona 11 kwietnia śmiercią hetmana.

Zamiast wiadomości oczekiwanej przez króla o dywersji Kozaków, poszła do Warszawy wiadomość o śmierci Koniecpolskiego. Król zalał się łzami, stracił bowiem doradcę, z którym się różnił, ale którego cenił, od którego rady był zależny, ale którego umysł podziwiał... Różnice między ich poglądami słusznie określił historyk Czermak,

jako zachodzące nie co do celów, jak raczej co do środków wiodących do celu. Zdanie współczesnych Grądzkiego, Jakóba Sobieskiego, jakoby Koniecpolski sprzeciwiał się wojnie tureckiej, zbił Czermak gruntownie i dowiódł też, że hetman wydanie wojny uzależniał od dwóch warunków: od zniszczenia Ordy i posłuszeństwa Kozaków, w związku z przecięciem ich ligi z Tatarami. Jednem słowem, król ufał Kozakom, Koniecpolski nie ufał w obawie zdrady. Czy słusznie?

Odpowiedź na to pytanie dał rychło już, gdyż na pogrzebie hetmana, który się odbył 30 kwietnia w Brodach, syn wojewody wołoskiego, Bazylego Lupula, wysłany przez ojca na pogrzeb, Aleksander Lupul przemówił, że ojciec jego z całem państwem opłakuje śmierć hetmana: »Wy Polacy, teraz jeszcze nie czujecie, coście stracili, nie miną jednak dwa, najdalej trzy lata, kiedy nie tylko wy, ale i wszystko chrześcijaństwo będzie żałowało śmierci tak godnego senatora i hetmana«.

Nadeszła wnet już przepowiedziana chwila żalu: Ruina, której tak zaradzał, tak ją w dal usuwał hetman, a tak się jej obawiał. Najcięższy krzyż hetmański, to nie tatarski lub turecki, ani nie szwedzki — ale ten, pod którego ciężarem aż do samej śmierci się uginał: kozacki. Pierwszy znosił hetman z pokorą, cierpliwością chrześcijańską; drugi z równowagą ducha, cechującą prawego katolika, wiernego królowi i ojczyźnie syna — a chociaż przymioty te duszy nie opuszczały hetmana i w stosunkach do Kozaków, jednakże jako wódz, jako wierny ojczyzny syn, nie mógł ścierpieć buntującej się wciąż i łotrującej kupy swawolników, narażających ojczyznę na niebezpieczeństwa zewnętrzne, a na nieład wewnętrzny i to na kresach — i po wyczerpaniu cierpliwości stawał się srogim i nie znającym litości w wojnie. Nie chcąc znieść krzyża w pokorze, uginał się pod jego ciężarem z dumą na czole i tem bardziej bolał na ciele i duszy, im więcej się łudził, że już złożył ciężkie jarzmo ze swych ramion, a ono za chwilę podwójnym ciężarem go ugniatało i do ostatniej chwili życia ciężyło mu na sercu, na duszy...

Dr A. Prochaska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Tadeusz Mitana: Religijność Skargi. Studjum psychologiczne. (Prace hist. liter. nr. 17.) Kraków 1922, str. XI+232, 8°.

Przy wartościowaniu osobowości Skargi najróżnorodniejszych już używano sprawdzianów: literackich (estetycznych), społecznych, politycznych. Osądy wypadały rozbieżnie, wiele z czynów autora kazań sejmowych stanowiło zagadkę psychologiczną; w jego strukturze psychicznej widziano brąk jednolitości. Rozbieżność ta była ostrzeżeniem, że widocznie jeszcze nauka nie stanęła na właściwym gruncie obserwacyjnym, że nie znalazła wspólnego mianownika. Po pracacach Chrzanowskiego, Windakiewicza, Sobieskiego, Bergi, Grabowskiego — wspominamy tylko najwybitniejszych — podjął na nowo poszukiwania za naczelnym motywem działań Skargi uczeń prof. Chrzanowskiego — p. Mitana. — Skarga, powiada sobie autor — to przecież przedewszystkiem kapłan, zakonnik, a więc należy się zapoznać z jego religijnością, to znaczy z jego swoistem oddziaływaniem na powszechnie obowiązujące w kościele dogmaty i zasady moralności; jeżeli pojęcia religijne u każdego człowieka są najgłębszem źródłem jego czynów, to tem bardziej u Skargi. Jego więc religijność będzie ową główną osią krystalizacyjną, decydującą o nachyleniu wszystkich płaszczyzn w psychice Skargi. Zmiana stanowiska obserwacyjnego wywołała także zmianę metody; zamiast powszechnie używanej literacko-historycznej należało się zwrócić do religijno-psychologicznej, z dużem powodzeniem stosowanej na Zachodzie przez Bremonda, Höffdinga, Jamesa, Sabatiera, Dilthey'a i innych. Tych też, jak widać z przypisków, obrał sobie autor za przewodników i mistrzów. Nie zapominajmy również o tem, że sam p. Mitana bierze żywy udział w ruchu etycznym wśród młodzieży, jako gorący zwolennik Chrześcijańskiej Federacji Akademickiej. Niejedno więc z własnych przeżyć może mu ułatwić — albo i utrudnić — zrozumienie analogicznych zjawisk w duchowości Skargi. Z trudności jakie niesie ze sobą czy metoda, czy odmienna psychika nowoczesnego człowieka, autor zdaje sobie sprawę i dlatego wnioski wysnuwa bardzo ostrożnie, choć z drugiej strony nie ukrywa swoich sympatyj, wyrosłych na podłożu współczesnej kultury.

Za najsilniejszy motyw działalności Skargi — jak już wspomnieliśmy — przyjmuje autor jego religijność. Jest ona zawsze wypadkową naturalnych uzdolnień człowieka i przejętych zasad i wyobrażeń religijnych. Jakie były naturalne uzdolnienia Skargi, stwierdzili to już Windakiewicz i Berga, wykazując w nim przewagę czynników irracjonalnych (wyobraźni, uczucia) nad pierwiastkiem refleksyjnym.

Jasną jest więc rzeczą, że abstrakcyjne, scholastyczne pojęcie Boga nie mogło się zaczepić o intelekt Skargi. Zato plastyczne, starohebrajskie wizje Jahwy rozpaliły jego wyobraźnię i na widok jego majestatu rozkołysały uczucie trwogi, lęku. Wobec wielkości Boga malał, niknął człowiek i świat zewnętrzny z całym dorobkiem kultury, owszem wszystko, co nie jest Bogiem, wydało się Skardze czemś złem, a przynajmniej niebezpiecznem dla zdrowia i zbawienia duszy. Przeto pragnie otrząsnąć się z tej niemocy przez ascezę, krzesząca hart ducha do walki ze sobą i ze złem. Do wzlotów mistycznych czuje się onieśmielony, a może jest i niezdolny dla zbytniej ruchliwości. Kocha się natomiast w obrzędach kościelnych i całym jego ustroju, bo to przemawia do jego wyobraźni, bo jest wyrazem jego pragmatycznej natury. Takito ustrój psychiczny Skargi, sądzi autor, aż nadto tłumaczy, dlaczego reformację uważał za potworną zbrodnię i dlaczego do walki z nią wytężył wszystkie siły. Przecież ona ośmieliła się dociekać prawd wiary własnym rozumem, któremu on nie ufał; odrzucała ceremonje, które tak ukochał; zrywała z ustrojem kościelnym, z instytucją Boga,przed którym on drżał. Cóż dziwnego, że na jej widok wstrząsło się w nim wszystko i spłonęło łuną »świętego gniewu« przeciwko heretykom, że doradzał ich »penować«, tem bardziej, że podkopywali jego zdaniem jedność państwową i ściągali na »miłą matkę« Ojczyznę straszliwą pomstę Bożą.

Oprócz tych czysto psychologicznych interpretacyj takiego czy innego postępowania podaje autor jeszcze inne, drugorzędne, napływowe, które atoli nie zmieniają głównego łożyska uczuć i czynów Skargi, lecz co najwyżej, potęgują lub osłabiają i »uniewinniają« ze stanowiska etycznego takie czy inne postępowanie autora »kazań sejmowych«.

Czy obraz ten jest psychologicznie i historycznie wierny? Zdaje nam się, że historyk zarzuciłby mu zbyt nastrojowe podmalowanie tła, budzącego grozę. W takiem oświetleniu rysy »proroka przeszłości« nabierają podobieństwa do Savonaroli. Ale mniejsza o to; nam chodzi o psychologiczne tłumaczenie życia religijnego Skargi. Przyjęto prawie jako pewnik, że mają w nim przewagę czynniki irracjonalne. Oparto się na jego pismach w których dowodzenia filozoficzne nie wytrzymują ostrza nowoczesnej krytyki, natomiast obrazowość olśniewa plastyką, a uczucie płynie potężnym nurtem. Zgoda. Ale czyż jego dowodzenia nie są czerpane, jak sam autor wyznaje, z drugiej ręki? Czyż nie były powszechnie używane w szkołach? Za ich wytrzymałość odpowiada więc kto inny a nie Skarga. Czy wstrzemięźliwość w roztrząsaniach filozoficznych, a bogactwo w obrazowaniu nie było wskazane, a w każdym

razie spotęgowane, jego charakterem kaznodziei, i to kaznodziei, pragnącego być słyszanym jak najdalej? I Bossuet prawdopodobnie zniżyłby swój lot, gdyby pisał, przemawiał do podobnego jak Skarga auditorjum. Przyznajemy, że autorowi »O siedmiu filarach« zbywa na obrotności spekulatywnej, ale czy temu nie winna przypadkiem ta okoliczność, że nie przeszedł regularnych szkolnych studjów nad filozofją i teologją? (»Patres non vidi, theologos numquam audivi« — w liście do Kremera). I na genjalnym Pascalu ale samouku, znać pod tym względem rysy. Tak więc wyżej postawiony pewnik, okazuje się dosyć problematyczny. — Ale wobec tego musi ulec także pewnej poprawce, przesunięciu, genetyczna linja pojęcia Boga. Takie, jakie spotykamy u Skargi, jest identyczne prawie u wszystkich szczerze religijnych umysłów, bez względu na ich ustrój psychiczny. A jeśli mamy szukać analogij, to otwórzmy, dobrze znaną autorowi »Próby Zakonu« — książeczkę »Ćwiczeń duchownych« Ignacego z Lojoli. — Oto ich pojęcia, nastroje całkowicie się nakrywają, chociaż twardego organizatora Tow. Jez. nikt chyba nie posądzi o nadmiar wyobraźni.

Skądże ta rozbieżność? Z podobnych rozważań religijno-filozoficznych nad stosunkiem człowieka, jako stworzenia, do Boga Stwórcy. Skarga te ćwiczenia odbywał przez miesiąc na samym wstępie do zakonu a potem co roku przynajmniej przez tydzień. Stąd także ów swoisty system ascezy, który tak wybitne piętno wycisnął na duchowej fizjognomji Skargi. Czy ten system, czy specjalnie ignacjańska dyscyplina »w brutalny sposób gwałcąca poczucie godności osobistej« (Dz. om. 102.) tamowała rozwój pierwiastków mistycznych? Chyba nie, kiedy zakon jezuitów może się pochlubić szeregiem postaci wybitnie mistycznych jak św. Alfons Rodriguez, św. Alojzy, a wreszcie sam założyciel i jego pierwsi towarzysze jak bł. Fąber, św. Ksawery itd. — Nie, szczerze radzimy autorowi na ten teren na razie nie wchodzić i o nim jak najmniej rozprawiać. — Bo najpierw życie mistyczne nie jest jakiemś, »samozatraceniem się w Bogu« (dz. om. 35.); każdy mistyk czuje doskonale swoją osobowość. Dalej do przeżyć mistycznych nie idzie się drogą ruchu jakichś kryptomnezyjnych warstw wyobrażeniowych do progu świadomości, ale w zjawiskach mistycznych sam Bóg bezpośrednio działa na duszę, jak zeznają najwięksi mistycy chrześcijańscy. Mistyka to nie racjonalny psychologizm. »Są rzeczy itd.« słusznie ktoś powiedział.

Zbyt dalekoby zaprowadziło nas dalsze szczegółowe przerysowywanie obrazu, podającego przekrój religijności królewskiego kaznodziei. Zwrócimy jeszcze tylko na jedno uwagę, mianowicie na to, że Skarga jak zwykle cała scholastyka, rozgraniczał dziedziny poznania filozoficznego i teologicznego, że słusznie oburzał się, gdy rozum nieoświecony wiarą, a więc nieuzdolniony po temu, wybierał się na tę karkołomną podróż w dziedzinę Objawienia. Czyż te wyprawy nie prowadziły ostatecznie do dusznych i ciasnych dolin agnostycyzmu, z którego napróżno szuka nowoczesny człowiek wyjścia przez immanentyzm czy pseudomistycyzm?

Z tego, cośmy powiedzieli, łatwo już każdy domyśli się, jak na-

leżałoby dalej przedstawiać duchowe sprężyny działań Skargi. A więc nie samo uczucie i wyobraźnia kazała mu taką a nie inną przybrać postawę wobec herezji, a z uczuć znowu nie sam lęk jeżył mu włosy na głowie, ale i miłość serdeczna Boga i braci nagliła go do obrony zagrożonych stanowisk. Brzydził się herezją, kochał heretyków. Przyznaje to i Berga parokrotnie.

Ale dla p. Mitany są to z pewnością subtelności scholastyczne, lub perwersje etyczne, jak np. teorja »świętego gniewu«. Pocieszmy się; kiedyś sz. autor i to zrozumie, a wtedy tę przewrotność etyce katolickiej wybaczy. Na razie jednak z żalem stwierdzamy, że jeszcze wielu rzeczy nie rozumie, ale za to dużo ma sympatyj i antypatyj. — Jedna z nich — to w cudzysłowie »Towarzystwo Jezusowe«. Wiadomo, że zbyt żywe antypatje wywołują konflikty; u badacza, krytyka — konflikty z prawdą. Nie należy do wyjątków pod tym względem i badacz »Religijności Skargi«. Wstręt do organizacji zakonnej, do której należał Skarga, jakiś lęk, przed jej ustawami, nie pozwoliły autorowi sięgnąć do najgłębszych złożysk wpływów duchowych na religijność Skargi — jakiemi są bezsprzecznie »Ćwiczenia św. Ignacego« — jego klasyczny »List o posłuszeństwie« i »Konstytucje« — prawdziwe arcydzieło ustawodawcze. Pisać o religijności Skargi, typowego jezuity, nie zapoznawszy się doskonale z tem, co było jego »chlebem macierzystym«, chyba nie uchodzi. To jeden konflikt. — A drugi, to może mniej patetycznie afirmowana, ale nie mniej widoczna sympatja dla wszystkiego, co tchnie duchem niezawisłości, samowystarczalności. słowem, co prowadzi, lub wyszło z kantowskiego autonomizmu. Jak na katolickiego badacza to także niebezpieczna sympatja.

Mimo tych licznych, ważnych i poważnych zastrzeżeń, jakie ośmieliliśmy się uczynić co do wyników pracy p. Mitany, nie chcemy jej bagatelizować. Młody autor przystąpił do niej z dużą erudycją, ze szczerą sympatją dla Skargi (o ile wszakże nie jest jezuitą), i pierwszy postawił należycie kwestję, z jakiego stanowiska należy oceniać i badać działalność Skargi. On też pierwszy samodzielnie na większą skalę zastosował w badaniach metodę religijno-psychologiczną. A chociaż w niej przeoczył jedno, mianowicie, że wysiłki wolnej woli, działającej pod wpływem czynników zewnętrznych, mogą w ustroju psychicznym spowodować znaczne modyfikacje, — chociaż może sama podstawowa teza o takiem a nie innem ustosunkowaniu władz duchowych Skargi jest problematyczna, — mimo to jeszcze raz powtarzamy, że omówione studjum, powinno zająć w nowszej krytyce bardzo poczesne stanowisko, a w cyklu »Prac historyczno-literackich« godne stanąć obok rozpraw prof. Pigonia i red. W. Borowego. *J. K.*

Ks. Dr. Wincenty Kwiatkowski: De scientia beata in anima Christi. Lwów. Książnica polska. 1921. (VI+134).

Fakultet teologiczny w Warszawie wzbogacił już naszą literaturę teologiczną kilku poważnemi rozprawami. Dysertacja niniejsza znajdzie

niezawodnie chętnych czytelników i poza granicami naszej ojczyzny, daje bowiem wszechstronny pogląd na zagadnienie z dziedziny Chrystologji, w ostatnich czasach żywo w szkołach roztrząsane, a załatwione ostatecznie przez dekret św. Kongregacji Officii w r. 1918. Niektórzy teologowie w w. XIX usiłowali obalić długowieczne przekonanie, że dusza Chrystusowa zażywała już w stanie życia doczesnego błogiego widzenia Boga, które, wedle nauki objawionej, stanowi kres naszego duchownego rozwoju nadprzyrodzonego i będzie osiągnięte po skończeniu ziemskiej wędrówki i ewent. pośmiertnem oczyszczeniu. Autor rozprawy uzasadnia to przekonanie z Pisma św., powołując się głównie na Ewangelję św. Jana i list do Żydów; z tychże źródeł i niektórych tekstów św. Pawła wnosi, że »pole widzenia« błogiej intuicji Chrystusowej rozciąga się na wszystkie rzeczy istniejące, objęte zakresem Wszechwiedzy Bożej, bo Chrystus jako człowiek jest »panem wszystkiego, a w szczególności sędzią ludzi i aniołów«. Tradycyja odnośna jest bardzo wyraźna i zgodna od V w.; Ojcowie zwalczający agnoetów, odłam monofizytyzmu, przypisujący Chrystusowi nieznajomość pewnych rzeczy, np. dnia sądu ostatecznego (Mar. 13, 32), odrzucają to mniemanie, jako z wiarą niezgodne, a sami upatrują ścisły związek między zjednoczeniem osobowem dwóch natur w Chrystusie, a jego błogiem widzeniem. Autor w drugiej spekulatywnej części swej rozprawy ten związek wykazuje i odpowiada wyczerpująco na zarzuty przeciwników. Zwłaszcza zasadę powszechnie w Chrystologji przyjętą, że Bogu Człowiekowi należy przypisać wszystkie doskonałości stworzone, nie sprzeciwiające się jego posłannictwu, wszechstronnie wyjaśnił. Wyniki sumiennej, poważnej rozprawy prowadzą do tego samego rezultatu, co i wyrok rzymski, że nie można lekkiem sercem odstępować zgodnej od siedmiu wieków nauki teologicznej w rzeczach z wiarą związanych. Już dziś nie wolno po uczelniach katolickich zaprzeczać błogiego widzenia duszy Chrystusowej w życiu doczesnem ani ścieśniać jej drugorzędnego przedmiotu poniżej wszechwiedzy odnośnie do stworzeń.

Na szczególną pochwałę zasługuje przejrzysty podział. Ze względu na metodę wolelibyśmy dowód, zaczerpnięty z rozmowy z Nikodemem, uczynić niezależnym od rzekomej tezy w prologu, bo to rzecz zbyt obciąża i niepotrzebnie komplikuje. Przydałaby się też bodaj krótka notatka historyczna o herezji (bez cudzysłowu!) agnoetyzmu.

Ks. M. Morawski.

Michał Brensztejn: Bibljoteka Uniwersytecka w Wilnie do roku 1832-go. Wilno 1922. Nakł. księg. J. Zawadzkiego, str. 146.

Działalność historyczną M. Brensztejna znamionują dwie rzeczy: szerokie koło jego zainteresowań i prawdziwie naukowa metoda, czem wyróżnia się on korzystnie pośród innych pracowników na niwie przeszłości Wilna i Litwy.

To też uniwersytet Batorego, od chwili swego wskrzeszenia w Wil-

nie w r. 1919, zaraz pozyskał tego miłośnika przeszłości ojczystej do współpracy i Brensztejn, jeden z filarów Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, prowadzący kronikę tej instytucji, został bibljotekarzem uniwersytetu wileńskiego. Długoletnią pracą nad historją kraju znakomicie przygotowany, z całym pietyzmem i zapałem zabrał się do rozejrzenia się w skarbach bibljotecznych, a syntezą tych badań jest omawiane dzieło. Miło nam we wstępie doń czytać, że praca niniejsza jest pierwszą próbą osobnego zestawienia dziejów jednego z zakładów Uniwersytetu Wileńskiego do r. 1832.

Bezwarunkowo dzieło to wyszłoby bardziej pełnem, gdyby nie swoista gospodarka rosyjska w murach pouniwersyteckich od r. 1832 i niedawne kataklizmy wojny wszechświatowej. To zmusiło Br. szukać też źródeł do pracy poza murami uniwersyteckimi w Wilnie, Krakowie i gdzieindziej. Na materjałach archiwum Okręgu Naukowego Wileńskiego, niby na zrębie, wniósł Br. piętrowy budynek swej źródłowej pracy, której parter stanowi — Część pierwsza: *Academia et Universitas Societatis Jesu. Szkoła Główna.* 1570—1803, a górne piętro — Część druga *Uniwersytet* (1803—1832).

Na blisko stupięćdziesięciu stronicach bardzo jędrnym stylem, zdradzającym myślenie autora ściśle kategorjami historycznemi, poznajemy wszystkich spółtwórców i dobrodziejów bibljoteki uniwersytetu w Wilnie, skupiającej w sobie księgi, rękopisy i inne zabytki z pięciu wieków jej istnienia.

Zapisy czynione były przez biskupów i królów, dygnitarzy duchownych i świeckich. Po kasacie uniwersytetu bibljoteka postradała moc dzieł. Żaden szczegół z życia bibljoteki nie został pominięty, żaden czyn chwalebny lub naganny bibljotekarza nie uszedł uwagi. Suchy z natury rzeczy tok naracji, ożywiają bardzo udatnie dokonane podobizny mężów, którzy w życiu bibljoteki wileńskiej więcej się zaznaczyli, reprodukcje wspaniałej księgi z daru kr. Zygmunta Augusta i stylizowanej pieczęci Biblioth. Caes. Acad. Vilnensis. — W końcu książki są D o d a t k i (ruch wypożyczalni i czytelni z czasów filareckich), Źródła i przypisy, Spisy osób i rzeczy. Jedynym bodaj błędem jest nazwanie prof. Pawła Kukolnika »przechrztą« (str. 84), co nie odpowiada rzeczywistości, bo ten był unitą, a więc zmieniając swe wyznanie na prawosławie, nie potrzebował chrzcić się ponownie.

Zamykając z taką metodycznością opracowaną historję bibljoteki uniwersyteckiej w Wilnie, wypada wyrazić niemały żal, że autor tak rzadko ogłasza swe studja drukiem, chociaż jako niepospolity erudyta do pracy na polu piśmiennictwa historycznego wyjątkowo jest powołany.

X. Wł. Tołłoczko.

Hanna Zahorska (Savitri): D n i o m Z m a r t w y c h w s t a n i a. Wilno, 1921. Nakładem i drukiem L. Chomińskiego, duża ósemka str. 124.

Do pomieszczonych w tym zbiorku utworów trudno przykładać jednakową miarę. Obok prawdziwych pereł liryki nastrojowej czy filo-

zoficznej, rozsianych w pierwszym i piątym cyklu (Dniom zmartwych. i Chwila łaski), napotykamy także pospolite kamienie potępienia, rzucone na współczesne stosunki w Polsce (Noc zmartwychwstania, Piekło polskie); obok kunsztownych strof, czarujących swą melodyjnością nie brak i nudnych, scenizowanych dialogów. Najbardziej chwytają za serce liryki, w których dzwoni ukochanie ziemi kresowej, które drgają tęsknotą za macierzą Polską. Na uznanie zasługuje również cykl: Mater-matri, serdeczna spowiedź z radości, nadziei i ofiar matczynego serca.

J. K.

Dr. Antoni Ski: Stanowisko religji w szkole. Wyd. 2, na nowo opracowane. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1921. 12°, str. 110.

Sprawa szkoły, a zwłaszcza religji w szkole, jest u nas bardzo aktualna i bardzo doniosła. Aktualna, bo szkolnictwo nasze obecnie się rodzi i kształtuje, doniosła, bo chodzi nie o coś mniejszego, tylko o wychowanie przyszłego typu Polaka: czy to ma być człowiek usposobiony dla religji obojętnie, wrogo, czy też ma być katolikiem w słowie i czynie?

Dlatego dobrze się stało, że autor omówił wszystkie niemal kwestje tyczące stanowiska, jakie się należy religji w szkole. Są to kwestje często i gorąco dyskutowane, tylko że nieraz tak przeciwnikom szkoły religijnej, jak i jej zwolennikom brak jasnych i ścisłych pojęć, stąd trudność wzajemnego porozumienia się nawet między ludźmi nie złej woli. Autor wyświetla (r. II.) zasadnicze znaczenie religji w wychowaniu szkolnem; w r. III. mówi o szkole świeckiej i neutralnej, na czem polega? jakie były jej losy we Francji? w co się przerodziła? R. IV. traktuje o szkole wyznaniowej i mieszanej; jakie stanowisko zajęły względem niej nasze stronnictwa sejmowe i dlaczego takie? co sądzić o szkole mieszanej? R. V. »Prawa Kościoła względem szkoły« objaśnia, na czem te prawa polegają i jak daleko sięgają, odpiera insynuacje czynione Kościołowi niesłusznie. Następne 3 rozdziały mówią, jakie stanowisko naznaczała religji Komisja Edukacyjna, jakie nowy kodeks Prawa kanonicznego i obecna Konstytucja polska.

Broszurę Dra Ski powinien przestudjować każdy interesujący się sprawą szkolnictwa. Jest napisana na ogół jasno i zasadniczo, zajmuje stanowisko rzetelnie katolickie i polskie, usuwa cały szereg nieporozumień, wykrywa krętą taktykę wrogów religji i poniekąd orjentuje, jakie w Polsce zajęto stanowisko w sprawie religji w szkole.

J. Andrasz.

Nikolaus Fassbinder: Das Glück des Kindes. V u. VI Aufl., Herder, Freiburg in Br. str. XII+241.

Jest to treściwy zbiór wskazówek wychowawczych, przeznaczony dla matek, którym stara się wpoić wysokie pojęcie ważności ich zadania, a zarazem podać sposób jego spełnienia. Książka dzieli się na trzy główne części; pierwsza obejmuje wychowanie fizyczne, druga »życie

duchowe« dziecka, trzecia wyrabianie cnót potrzebnych w życiu: każda z nich dzieli się na szereg ustępów, poświęconych specjalnym kwestjom. O samowychowaniu, do którego powinno się dziecko zaprawiać zawczasu, niema tu mowy, autor ma na oku raczej okres pierwszych kilkunastu lat życia i ogranicza się głównie do wskazówek praktycznych dla samej matki. Bogactwo materjału świadczy o wiedzy i staranności autora, jakkolwiek zdaje mi się, że książka przeciążona została balastem naukowym. Podział poszczególnych działów życia duchowego przypomina miejscami raczej podręcznik psychologji doświadczalnej i zanadto wchodzi w drobiazgi (władze i funkcje poznawcze i emocjonalne), lub używa terminologji (np. próg świadomości, wyobrażenia zbiorowe, prawa psychiczne), która dla matek, nieobeznanych z tą gałęzią wiedzy, nie będzie zrozumiałą, a w każdym razie przyczyni się do zbytniego rozkawałkowania ich pola pracy. Dla wykształceńszych książka ta będzie jednak bardzo pożyteczną i spotkała się dotychczas z życzliwem przyjęciem. *St. Podoleński.*

A. Laskowski: Biskup Krasiński na wygnaniu. Wilno 1922. Nakł. L. Chomińskiego str. 60.

Monografje poświęcone książętom Kościoła, którzy odegrali w życiu kraju doniosłą rolę, stanowiłyby niezawodnie lekturę równie krzepiącą jak ciekawą. W Niemczech dziś coraz częściej spotkać się można z drukowaniem Lebensbild'ów ludzi nieraz na dość pospolitych stanowiskach będących. My nie mamy życiorysów nawet naszych świeczników. Czy nie byłyby pożądane dziś źródłowe (lub pamiętnikarskie) życiorysy kardynałów: Dunajewskiego, Ledochowskiego..., arcybiskupów: Hołowińskiego, Kozłowskiego, Popiela, Symona...; biskupów: Nowodworskiego, Niedziałkowskiego, Jaczewskiego, Kulińskiego, Zwierowiela...

A co my mamy już opracowanego? Bardzo mało. Właściwie poza doskonałą pracą anonima o bpie Łubieńskim, pamiętnikami Felińskiego, monografją Aszkenazego o Sołtyku, wspomnieniami ks. Dr. Komara dzisiejszego biskupa-sufragana w Tarnowie) o kard. Puzynie, krótkim życiorysem arbpa Stablewskiego i paru artykułami o Siestrzeńcewiczu pióra ks. prof. Godlewskiego (obecnie biskupa-sufragana łucko-żytom.), nic więcej nie mamy.

Przydługi ten wstęp wydawał nam się jednak potrzebnym, byśmy mogli pod należytym kątem ocenić wartość dziełka A. Laskowskiego o tytule wyżej podanym. Autor nic nie mówi o źródłach swej pracy, chociaż niewątpliwe powstała ona na podstawie bogatego materjału o wartości pierwszorzędnej, jaki musiał był dostać się w jego ręce z archiwum gubernatorskiego w Wiatce — miejscu wygnania bpa Krasińskiego. Szkoda, że L., nie zaznaczył pod tytułem: »Rzecz oparta na źródłach...«, zamiast kazać czytelnikowi ex re samemu się o tem domyślać. Podniosłoby to znacznie autorytet autora i wartość jego pracy. Tymczasem cytatów dużo, ale skąd — nie widać.

Mimo pobieżności opracowania, dzieje wygnania bpa Krasińskiego,

trwającego przeszło dwadzieścia lat, budzą wielkie zainteresowanie. Pasterz wileński usunięty został ze swej stolicy właściwie bez winy, ot tak prosto, jako osoba niedogodna dla rządu. Rzecz znamienna, że bp Krasiński, jak tylu innych naszych pasterzy w Krakowie, Warszawie, Wilnie i Sejnach, musiał swego czasu też znosić, za swą oględność w sprawach politycznych, szykany od rodaków w postaci bicia szyb, rzucania kamieniami, szkalowania w anonimach itd.

Niewłaściwie używa L. słowa »modlitewnik« w znaczeniu: oratorjum=kaplica (str. 29). Św. Kazimierz jest patronem Litwy simpliciter (ani kowieńskiej, ani środkowej, ani jakiej innej wyłącznie), dlatego niepotrzebnie autor wprowadza nowotwór »Polska Litwa« (str. 30).

Jeśli w posiadaniu L. dotąd są dokumenty, które umożliwiły mu wydanie tego dziełka, życzyć należy, by one zostały w całości wyzyskane w obszerniejszej monografji, bardziej odpowiadającej ważności poruszonego przedmiotu. *X. Wł. Tołłoczko.*

M. Gabrjel Karski: T ę c z a. Liryka francuska w przekładach. Serja I. Wyd. Księg. św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 91, 16⁰.
Zofja Ułaszynówna: Z t a m t e g o b r z e g u. Wyd. jak wyżej. Str. 66. 16⁰.
Józef Relidzyński: G a ł ą ź c y p r y s u. Wyd. jak wyżej. Str. 164, 16⁰.
Adam Stodor: Ś c i e ż y n ą p r o s t o t y. Wyd. jak wyżej. Str. 71, 16⁰.

Istną »tęczę« różnych kolorów francuskiej liryki poczynając od romantyków (W. Hugo, Musset) aż do neoklasyków (Moréas, Régnier) tworzą p r z e k ł a d y K a r s k i e g o. Do najlepszych zaliczyłbym przekład stanc Moréasa. Ponieważ jest to dopiero Serja I, więc nie dziwimy się, że w »tęczy« tej nie widać jeszcze paru zasadniczych kolorów (de Lisle, Verlaine itd.), ale już teraz trudno dociec, jakie nowe zasadnicze walory wnoszą Valade, Haag, czy Lacaussade?

P. U ł a s z y n ó w n ę możnaby nazwać »poetką ciszy i wieczorów«, podczas których na skrzydłach zadumy płyną ku nam echa »z tamtego brzegu«, echa tej przedziwnej pieśni, co mknie cicha nad znikomość lat i wiedzie nas tam, gdzie żaden uśmiech nie kona. Słowem królestwo autorki, podobnie, jak jej zdaniem i Polski (55) — nie jest z tego świata. Wszakże nie przeszkadza jej to, zawołać do żyjących:

> Czas już słabości zrzucić pęta
> I mocne wiary śpiewać psalmy (62).

Szkoda, że tego wezwania nie posłyszał J. R e l i d z y ń s k i.

Po autorze »Pędzącej sławy« spodziewano się czegoś więcej niż to, co daje nam nieco przywiędła »Gałąź cyprysu«, złożona na marmurowym grobowcu młodości, w którym pogrzebano wszystkie sny i wiary z wiosny życia. Jedyną pociechą dla poety to sztuka i nadzieja, że prochy jego kiedyś ożyją w rozszumie drzew, w kielichu polnego kwiatu itd. Być może, że to komuś do szczęścia wystarczy; my wolimy raczej iść ową »ścieżyną prostoty«, jaką nam bezpretensjonalnie ukazuje Ad. S t o d o r. Wsłuchany w echa horacjuszowskiej pieśni, sławiącej poprzestawanie na małem, nie trwoni sił ni czasu na marzenia, ale się ima

pracy i wierzy, że przezwycięży trud i ból życia. Najwierniejszem może odzwierciedleniem tych ideałów, to prześliczny wiersz wiary, w stylu Syrokomli: Ciasna nasza izbina... *J. K.*

„Przyjaciel Szkoły". Dwutygodnik Nauczycielstwa Polskiego. Poznań ul. Różana nr. 4a.

Obok czasopism pedagogicznych, zajmujących się sprawami wychowania w szkole i poza nią, obok organów poszczególnych związków nauczycielskich, służących więcej ich potrzebom, założono z początkiem b. r. w Poznaniu nowe pismo »Przyjaciel Szkoły«, które ma uwzględniać tylko szkołę i jej potrzeby. Podaje więc artykuły zawodowe, ogólne, bibljografję, wskazówki metodyczne i polemiki, o ile są korzystne, wszystko zaś o tyle tylko, o ile służyć może do powyższego celu. Będąc przeznaczonym dla najszerszych warstw nauczycielstwa polskiego, jest »Przyjaciel Szkoły« czasopismem »niezależnem, a więc nie stojącem na usługach żadnego kierunku politycznego, żadnej dzielnicy w pojęciu separatystycznem, żadnej wreszcie nawet organizacji zawodowej«. A jakkolwiek w programie jego zaznaczono (nr. 1—2, str. 4), że z konieczności uwzględniać ono będzie na razie przedewszystkiem sprawy szkolnictwa zachodniej części Rzptej, to jednak poruszane tematy obchodzą ogół nauczycielstwa, dzięki czemu pismo zjednało sobie czytelników w całej Polsce i zdobyło współpracowników wybitnych w różnych dziedzinach umiejętności. *P.*

Czasopisma prawnicze i ekonomiczne:

Wyszedł 3-ci zeszyt »Ruchu Prawniczego i Ekonomicznego«, organu Wydziału prawno-ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego. Na treść jego składają się: 1) Referaty i Tezy na VII Zjazd Prawników i Ekonomistów Polskich: Prof. Gołąb — Uwagi krytyczne nad projektem ustawy o ustroju sądownictwa; Prof. Głąbiński — Etatyzm a gospodarstwo narodowe; Prof. Caro — Reglamentacja prawna i administracyjna stosunków gospodarczych; Prof. Zawadzki — Przedsiębiorstwa państwowe etc. 2) Przegląd piśmiennictwa: 17 recenzyj oraz bibljografja z b. literatury polskiej i zagranicznej; 3) Przegląd Prawodawstwa: Prawo i proces karny, zobowiązania międzynarodowe Polski; 4) Przegląd orzecznictwa: Orzecznictwo karne i cywilne Sądu Najwyższego dla wszystkich dzielnic Polski; 5) Kronika Ekonomiczna: — Życie gospodarcze Polski, Przegląd gospodarczy W. Brytanji za rok 1921; 6) Miscellanea: 7) Przegląd czasopism.

Tom II »Ekonomisty«, za kwartał II b. r., zawiera: 1) Artykuły: p. W. Fabierkiewicz — o zagadnieniach związanych z odbudową Rosji; p. E. Lipiński — zadanie zmian cen; p. G. Traube — hiperinflacja i równowaga budżetowa; ks. prof. Woycicki — robotnik polski w życiu rodzinnem; p. Gąsiorowska — z dziejów przemysłu w Królestwie Polskiem. 2) Rozbiory i sprawozdania. 3) Część informacyjna. 4) Dział bibljograficzny, przegląd czasopism.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakład Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków 1922.

Zygm. Tempka Nowakowski: *Józef Nadrzymski i komedja społeczna.* 8⁰, str. 128.
Józef Tretiak: *Adam Asnyk* jako wyraz swojej epoki. 8⁰, str. 66.
Seweryn Goszczyński: *Król zamczyska,* opracował J. Tretiak, 12⁰, str. 136.
Winc. Pol: *Mohort,* opracował Al. Łucki, 12⁰, str. 144.
Demostenes: *Wybór mów,* przełożył i opracował Jerzy Kowalski, 12⁰, str. 196.
— *O naprawę Rzeczypospolitej,* (Zbiorowa praca profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego). 8⁰, str. 200.
Marja Morstinówna: *Błyski Latarni,* wiersze. 12⁰, str. 108.

Tadeusz Ciświcki: *O Naczelniku Państwa i Prezydencie Rzplitej Polskiej,* studjum prawno-polityczne. Poznań, Fischer i Majewski 1922, 8⁰, str. 77.
F. Szturm de Sztrem: *Walka o płace zarobkowe.* Warszawa, E. Wende i Ska. 1922, 8⁰, str. 51.
— *Prace Komisji historji sztuki,* t. II. zesz. II. z 4 tablicami i 75 rycinami. Kraków, Nakład Polskiej Akademji Umiejętności, in folio str. 110.
Transsilvanus Viator: *Le Concordat des Roumains,* Budapest 1921, Imprimerie Bocskay, 8⁰, str. 184.
Prof. Emil Wyrobek: *Choroby weneryczne,* wyd. trzecie zupełnie przerobione Kraków 1921, Nakład Księgarni „Wiedza i Sztuka", 8⁰, str. 200.
Transsilv. Viator: *W Siedmiogrodzie,* Budapest 1922. 8⁰, str. 28.
Alf. Parczewski: *Wilno a nauka historji ustroju państwowego* i dawnego prawa w Polsce, Wilno 1922, 8⁰, str. 12.
Prof. Emil Wyrobek: *W pętach rozpusty i pijaństwa,* obrazki skreślone na podstawie wykładów Dr. Jana Piltza, Kraków 1920, Księgarnia Tafeta, 12⁰, str. 48.
Ignacy Chrzanowski: *Nasz hymn narodowy* (pieśń Legjonów), szkic literacki. Lwów 1922. Wydawnictwo Ossolińskich 12⁰, str. 40.
— *Listy Krasińskiego do A. Potockiego,* z przedmową prof. Ignacego Chrzanowskiego i Ad. Krasińskiego. „Vita Nuova", Warszawa 1922, 16⁰, str. 142.
F. E. Solf: *Odwet Niemiec czyli wojna* 1934 r., opowieść, przełożył Maciej Wierzbiński. Drukarnia św. Wojciecha, Poznań 1922, 12⁰, str. 96.
Ks. Józef Londzin: Uzupełnienia do *„Bibljografji druków polskich w Księstwie Cieszyńskiem* od r. 1716 do 1904", jakoteż bibljografja nowszych druków aż do r. 1922. Cz. I. (A—O). Cieszyn 1922, 8⁰, str. 35.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Watykańska misja pomocy w Rosji i niepotrzebne podejrzenia. — Cierpienia i nadzieje Kościoła katolickiego w Jugosławji.

Jak donoszą dzienniki, wyruszyła wreszcie z Rzymu 25 lipca, po kilkumiesięcznych rokowaniach Stolicy świętej z rządem Sowietów, misja z posiłkami Ojca świętego dla głodnych w Rosji. W skład misji weszło około 10 kapłanów, należących do różnych zakonów i różnych narodowości, przyczem niema wśród nich żadnego Polaka. Ta ostatnia okoliczność, jak również okoliczność druga, że misja udała się drogą morską z Bari na Konstantynopol do Odessy, dała asumpt rzymskiemu korespondentowi *Gazety Warszawskiej* (Nr. 213 z dnia 6 sierpnia 1922) do podejrzeń, że w fakcie pominięcia Polaków i drogi przez Polskę objawia się nieprzychylna względem Polski polityka Watykanu, przyczem, jako uprzednie ogniwa tej samej rzekomo niechętnej Polsce polityki, wymieniono stanowisko Stolicy św. w sprawie plebiscytu na Górnym Śląsku, „politykę Watykanu wobec Unitów“ i wielomówiące *etc.*

Nie wiemy, co miał na myśli rzymski korespondent *Gazety Warszawskiej*, wymieniając „politykę Watykanu wobec Unitów“ jako nieprzychylną dla Polski; nie wiemy, jakie fakty ukrył tenże korespondent wstydliwie pod owemi tajemniczemi: *etc.;* o stanowisku Stolicy św. w sprawie górnośląskiej pisaliśmy w *Przeglądzie* w swoim czasie i dziwimy się, że dziennik tak poważny, jak *Gazeta Warszawska*, może jeszcze dzisiaj do pewnego stopnia solidaryzować się z zarzutami posła Regera i jego towarzyszów, zarzutami, które w swoim czasie dostatecznie zostały oświetlone i przez samych nawet socjalistów

porzucone. Dziwi nas to, że na łamach *Gazety Warszawskiej,* organu partji, oświadczającej się z chęcią wzięcia w swoją opiekę (oby nie w niewolniczą kuratelę!) katolicyzmu w kraju, daje się miejsce dla krzywdzących Stolicę Apostolską, a więc poniekąd wprost i osobę obecnego Najwyższego Pasterza, podejrzeń i insynuacyj. Przytem musimy zauważyć, że poparcie owych podejrzeń jest nader kruche, by na niem godziło się coś budować. W ciągu długich i mozolnych pertraktacyj, jakie Stolica Apostolska prowadziła z rządem Sowietów o paszporty dla misji ratowniczej, notowały dzienniki zagraniczne, że Sowiety wykluczają od tej misji zgóry przedstawicieli narodowości francuskiej i polskiej. Więc cóż? Czyż miała Stolica Apostolska zrzec się swojej humanitarnej misji, byleby tylko nie dać żadnemu z korespondentów polskich dzienników okazji do podejrzeń o brak życzliwości względem Polski? Czyż nie należałoby się raczej spodziewać po korespondentach polskich, że będą lepiej poinformowani o sprawie, o której chcą pisać? Co się zaś tyczy drogi do Rosji, to już przed kilku tygodniami J. E. Ks. Arcybiskup Ropp — wobec zjawiających się już wówczas fałszywych komentarzy na ten temat — zwrócił uwagę w jednym z dzienników warszawskich, że chyba dosyć popatrzeć na mapę, żeby zobaczyć jaka droga jest najbliższa i najwygodniejsza z Włoch do okolic Rosji, najbardziej klęską głodu dotkniętych. Więc znowu dla przyjemności dziennikarstwa miał Ojciec św. zamiast drogi krótszej i wygodniejszej, morskiej, obrać drogę daleką, lądową, przez kilka pośrednich państw prowadzącą?

Wobec tak niefortunnych fundamentów, na jakich oparł swe insynuacje rzymski korespondent *Gazety Warszawskiej,* nie pozostaje nic innego, jak podejrzenie, że mamy tu do czynienia z jakąś źle tajoną a nie umotywowaną niechęcią do Stolicy św. i że *Gazeta Warszawska,* umieszczając bezkrytycznie list swego korespondenta, nie przysłużyła się wcale sprawie polskiej, a uczucia katolickie tak tanio obraziła.

Narzuca się tu jeszcze jedna uwaga ogólniejszej natury. Czytając rozmaite zarzuty, czynione polityce watykańskiej tak na łamach prawicowych jak i lewicowych naszych dzienników, można dojść do smutnego przeświadczenia, że Stolica św. wystawiona jest na smutną niemożliwość dogodzenia naszej prasie. Pozwalamy sobie wyrazić przypuszczenie, że gdyby Stolica Apostolska powołała do misji rosyjskiej właśnie księży Polaków, to podniosłyby się u nas głosy oburzenia, że Watykan zaprzęga nas do wozu swojej polityki, wołanoby, że

w kraju mamy dosyć biedy i dosyć roboty, by jeszcze pracować dla jakichś tam Moskali, odwiecznych naszych wrogów! Czy zaryzykowałaby *Gazeta Warszawska* zaprzeczyć tym naszym przypuszczeniom? Wobec tego pozwalamy sobie zwrócić się — co już parę razy czyniliśmy — do naszego dziennikarstwa, zwłaszcza tego jego odłamu, który oświadcza się z wiernością do Kościoła katolickiego, z gorącą prośbą, aby w sądach swoich o Kościele, a zwłaszcza o jego Najwyższym Zwierzchniku czuło i postępowało bardziej po katolicku. Sianie nieufności do Papieża z łamów prasy katolickiej jest bardziej szkodliwe, niż najbrutalniejsze napaści z przeciwnej strony.

Cztery lata temu patrjotyczne koła chorwackie, a z niemi i przedstawiciele Kościoła przechodzili prawdziwą idyllę. Po rozpadnięciu się monarchji Habsburgów iściły się nadzieje, które wielu tylko w snach pielęgnować mogło: łączyły się w jeden naród i w jedno państwo trzy szczepy, które ledwie że różniły się między sobą językiem i pochodzeniem. Pomimo różnicy religji katoliccy Chorwaci i Słoweńcy obiecywali sobie jak najświetniejszą przyszłość w pożyciu z bratnim narodem serbskim. Ba, nawet marzono o tem, że przez bliższe zetknięcie się z katolicyzmem, przy pewnej dozie wyrozumiałości i ustępstw w rzeczach drugorzędnych, n. p. obrządkowych, schizma wschodnia ulegnie wpływom prawdziwego Kościoła i wejdzie na drogę prowadzącą do zjednoczenia się z nim może w niedalekiej przyszłości.

Cztery lata wspólnej z Serbami państwowości rozbiły niejedno z tych marzeń. Okazało się, że Serbowie, którzy w zjednoczonem królestwie okazali się w większości, aczkolwiek niewielkiej w porównaniu z katolickimi Chorwatami i Słoweńcami, pojęli „bratnie zjednoczenie" jako realizację swoich marzeń o wielkiej prawosławnej Serbji. Urzędowa nazwa zjednoczonego królestwa S. H. S. w ich myśli miała wyrażać stan rzeczy, w którym pierwszy człon zjawiał się nie jako równy dwom następnym — *primus inter pares* — ale jako dzierżyciel hegomonji, prawdziwy władca nad drugimi, nadający swój ton i swoją barwę całemu publicznemu życiu. W dziedzinie polityki to stanowisko Serbów wywołało opór i odśrodkowe dążności wielkiego odłamu społeczeństwa chorwackiego, zorganizowanego w bloku narodowo-chłopskim, któremu przewodniczy poseł Radić. Wytworzyła się sytuacja wielce podobna do irlandzkiej, że wielka część narodu chorwackiego stoi w jawnej opozycji do rządu belgradzkiego i dąży do

utworzenia niezależnej republiki. Radić to poniekąd chorwacki de Valera. Ma Chorwacja wraz ze Słoweńcami swoich również Collinsów i Griffithów. Są to przeważnie katolicy pod dowództwem posła Korošeca. Popierani nawet przez episkopat katolicki, trwają przedstawiciele tego odłamu narodu przy państwowej unji z Serbją, jakkolwiek nie aprobują niwelacyjnych dążności Belgradu.

Tem dziwniejsza, że w tych warunkach rząd belgradzki nie potrafi się zdobyć na ścisłą sprawiedliwość wobec Kościoła katolickiego. Marzenia o unji wyznaniowej, pielęgnowane przez patrjotów chorwackich typu wielkiego biskupa Strossmayera, usunęły się w jakąś nieuchwytną dal: zamiast zbliżenia prawosławia do katolicyzmu muszą patrzeć ci gorliwi zwolennicy jedności kościelnej, jak właśnie z serbskiego prawosławia wychodzi pomoc nowej schizmie czeskiej, jak organa władzy rządowej popierają tu i ówdzie warcholstwo jednostek z pośród kleru, które pozazdrościły laurów czeskim husytom i usiłują wywołać religijne odszczepieństwo we własnym kraju. Jest jeszcze gorzej. Rząd belgradzki, pomimo uroczyście proklamowanej równości wobec prawa obydwóch wyznań, mimo że przez pewien czas trzyma katolika na stanowisku ministra kultu, traktuje wszakże katolicyzm jako wyznanie raczej cierpiane tylko w państwie, niż równouprawnione. Biskupi katoliccy w Jugosławji, zebrani z końcem kwietnia tego roku na konferencję w Zagrzebiu, wytoczyli w *memorandum* przeznaczonem dla króla i rządu cały szereg zażaleń, popartych dowodami nierównego traktowania katolików z prawosławnymi. Ze smutkiem podkreślają biskupi, że katolicka część narodu została zawiedziona w swoich nadziejach, wyrzucają, że na wszystkie ich protesty i przedstawienia w sprawie nierównego traktowania katolików rząd odpowiada uporczywem milczeniem, że wbrew konstytucji, zabezpieczającej religijną równość, rząd przez proste dekrety ministrów rozciąga na kraje świeżo z Serbją złączone nieprzychylne dla katolicyzmu zarządzenia belgradzkie z epoki przedwojennej.

Największy zarzut dotyczy szkolnictwa. Biskupi wymieniają miejscowości, zwłaszcza w krajach Baczki, Banatu i Baranyi, gdzie szkoły katolickie, utrzymywane dotąd przez zakony, uległy laicyzacji z jednoczesnem skonfiskowaniem całego ich mienia i usunięciem nauczającego zakonnego personalu. Rząd widocznie dąży do stopniowego zamknięcia wszystkich szkół katolickich, przygotowując ustawę szkolną, wprowadzającą monopol państwowy w nauczaniu niższem i średniem i przyjmując zasadę, według której nie mają być cierpiane szkoły pry-

watne tam, gdzie znajdują się państwowe. Wykonawcze organa władzy państwowej wdzierają się nawet w życie religijne młodzieży katolickiej; i tak wielkorządca Bośni i Hercegowiny zabronił młodzieży szkolnej należeć do sodalicyj marjańskich; gubernator Kroacji i Slawonji usiłuje podciągnąć te czysto religijne związki pod swoją kontrolę; wyrabia się zasada, że podręczniki do nauczania religji podlegają jedynie aprobacie władz państwowych; młodzieży katolickiej, którą się odciąga od związków religijnych, zaleca się usilnie należenie do organizacyj zostających pod wpływem i kierunkiem wolnomyślicieli, masonów, jak n. p. do organizacji »Sokołów«, posiadającej w Chorwacji wyraźny antykatolicki i wogóle antyreligijny charakter; młodzież szkolną zmusza się do zachowywania świąt prawosławnych, a nie uwzględnia się niektórych świąt Kościoła katolickiego, i t. d. Upośledzonym jest również Kościół katolicki pod względem materjalnym, gdy przy rozdziale budżetu kultu na katolicki Kościół i jego instytucje przypadła zaledwie czwarta część wydatków, chociaż katolicka ludność prawie dorównywa liczebnie ludności prawosławnej. Kończą swój memorjał biskupi katoliccy zapewnieniem, że jak dotąd duchowieństwo trzymało wysoko sztandar świadomości narodowej, tak i nadal w tymże kierunku pragnie współdziałać z rządem centralnym, ale wyraża przekonanie, że będzie to możliwe jedynie wtedy, gdy rząd uzna w katolickich Chorwatach i Słoweńcach — zgodnie z zasadą proklamowaną przez usta obecnego ministra wyznań, Pribicevića, w zaraniu zjednoczenia narodowego — równorzędne czynniki budowy jedności narodowej.

Czy rząd króla Aleksandra przychyli się do tych wskazań biskupów katolickich, okaże zapewne niedaleka przysłość. Można przytoczyć pewne znaki lepszego zrozumienia równości wyznaniowej w sferach rządowych zjednoczonego królestwa. Sam król odznacza się podobno szerokością poglądów i pewną czcią dla Kościoła katolickiego. Dowód tego upatrywano w fakcie, że po śmierci papieża Benedykta XV skłonił on kler prawosławny do odprawienia w świątyni katedralnej żałobnego nabożeństwa. Pomimo fanatyków prawosławia pozwolono na wzniesienie w stolicy państwa, Belgradzie, nowej okazałej katolickiej świątyni, na którą hojne datki zadeklarowali już angielscy i amerykańscy katolicy. Wypracowuje się konkordat z Watykanem mający uregulować sprawy wyznaniowe katolickie w całem państwie. Tym może jeszcze niedość wyraźnym dowodom dobrych chęci rządu belgradzkiego wychodzi na spotkanie życzliwość i subtelny takt obecnego Papieża. Na stanowisko nuncjusza apostolskiego w Belgradzie, na miejsce Mgr.

Cherubini, wysyła Pius XI kogoś, komu może zupełnie zaufać. Tym prałatem jest Mgr. Pellegrinetti, który przez cały czas pobytu Ojca św. w Warszawie, jako sekretarz i audytor, był najbliższym jego powiernikiem. Można więc mieć ufność, że dyplomatyczna zręczność nowego nuncjusza w połączeniu z apostolskiem stanowiskiem chorwackiego episkopatu może usunie dotychczasowe tarcia między dwoma wyznaniami w Jugosławji i skuteczniej, niż imperjalistyczne zapędy Belgradu, przyczyni się do utrwalenia jedności tak bliskich szczepów, do której przez wieki wzdychano.

Ks. Jan Urban.

Najnowsza technika a braterstwo ludów.

Historja nauk z dumą prawdziwą wskazać może fakt ciekawy, że w miarę postępu i rozwoju nauk doświadczalnych i wynalazków praktycznych, coraz bardziej zmniejsza się niejako odległość, dzieląca zrzeszenia ludzkie rozsiane po ziemi, a cała ludzkość pod wpływem wywodów nauk przyrodniczych czuje się coraz więcej jedną rodziną, związaną wspólnym interesem bytowania, wspólną walką o byt z przyrodą. Zarówno geografja, jak astronomja wykazały tedy przedewszystkiem, że ziemia nie ma, jak to utrzymywali starzy, kształtu tarczy, na której rozbiegają się na wsze strony gromady ludzi, lecz jest bryłą, zamkniętą w sobie, bardzo podobną do kuli, chociaż ściśle jej kształtu, ciągle zresztą zmieniającego się, określić nie można, a na niej tajemnicza siła grawitacyjna poprzylepiała dookoła narody świata. Za czasów niewolnictwa w starym świecie, a potem znowu po odkryciu Ameryki i jej niezwykłych mieszkańców, wreszcie w czasach najnowszych po powstaniu teorji o pochodzeniu człowieka od zwierząt, wyłaniały się i opanowywały umysły teorje, że ludzkość składa się z różnych nie tylko ras, ale i gatunków; dziś już zgodzono się powszechnie na to, że jeden jest tylko gatunek ludzki na ziemi, *homo sapiens*.

Równocześnie zaś z załatwieniem sporów o jednogatunkowość człeka, rozwój nauk technicznych zaczął coraz bardziej zmniejszać, przestrzeń czasową, jaka dzieli mieszkańców od siebie. Najpierw tedy nauka pokazała, że rzeki, morza i oceany nawet nie tylko nie stanowią przepaścistych przedziałów między częściami ziemi, ale owszem są raczej najdogodniejszemi, najtańszemi i najszybszemi drogami komunikacyjnemi, tak że dzisiejszy olbrzymi parowiec, wiozący na sobie tysiące ludzi i setki wagonów ładunku, odbywa drogę z Europy do Ameryki, więc przeszło cztery tysiące kilometrów, w ciągu niespełna stu godzin. Dokonała zaś tego maszyna parowa, która do poruszania statków używa nie szeregu niewolników lub zbrodniarzy, jak bywało dawniej, lecz czerpie swą energję z wnętrza ziemi, gdzie pod postacią węgla lub nafty nazbierała je przyroda w ciągu eonów, a na-

zbierała z promieni słońca, jedynego prawdopodobnie użytecznego źródła energji, jaką żyje cały świat organiczny ziemi, a głównego, jaka porusza i przetwarza ustawicznie cały świat jej nieorganiczny. Nie mniej doniosłego skrótu odległości między ludami dokonała maszyna parowa, gdy ją na wóz wsadzono i po ziemi biegać kazano. Po szlakach, wytyczonych jej przez dwa wąskie pręty stalowe czy żelazne, tak zwane szyny, pędzi ona nie tylko sama z szaloną szybkością, dochodzącą w niektórych krajach do stukilkudziesięciu kilometrów na godzinę, ale nadto ciągnie za sobą jak żuraw cały szereg wozów, bądź zapełnionych ludźmi, bądź zwierzętami lub towarami, przenosząc w różne strony świata w miarę zapotrzebowania rozmaite artykuły przemysłu, chroniąc od śmierci głodowej kraje, podległe chwilowemu nieurodzajowi lub stale żywności pozbawione, przerzucając całe zastępy robotników, bądź mózgowych, bądź ręcznych w okolice, gdzie ich więcej potrzeba, roznosząc wreszcie nowe idee, odkrycia, pomysły, po wszech stronach ziemi. Zbliża więc w ten sposób ludy nie tylko fizycznie, umożliwiając im wzajemne odwiedzanie się i zmianę miejsc zamieszkania, ale co jeszcze ważniejsze, niwelując różnice poglądów, dając sposobność ludom czy ludziom umysłowo i etycznie wyżej stojącym, do szerzenia swych poglądów i teoryj, do podnoszenia i pouczania innych.

Nie mniej ważnym czynnikiem zbliżenia ludów okazała się taż sama maszyna parowa, gdy ją wsadzono na wóz zwykły, i kazano jeździć po zwykłych drogach, w postaci automobilów. Pomysł ten obszerne zyskał zastosowanie zwłaszcza od chwili wynalezienia innego tworu bliźniaczego maszyny parowej, mianowicie silnika naftowego, których dziś miljony pędzi po drogach ziemi, a pędzi z taką szybkością, że na dobrych gościńcach może zupełnie swobodnie rywalizować z koleją żelazną. Sześćdziesiąt kilometrów na godzinę jako szybkość średnia, która może dojść przy warunkach korzystnych do przeszło stu, nawet i do dwustu kilometrów, a przytem wielka taniość wozu i materjału popędowego, oto rezultat najnowszej techniki automobilowej, a zarazem nowe zbliżenie ludzi do siebie, obejmujące już nie tylko kraje nadwodne lub nad torami koleji leżące, lecz dochodzące do najdalszych zaułków i pustyń świata, a przez wozy motorowe, na wzór tanków zbudowane, i na bezdroża przepaściste, na które żaden wóz konny puszczaćby się nie mógł.

W ciągu więc kilkudziesięciu godzin przebiec można obecnie Europę, lub dostać się z Europy do Ameryki, a w ciągu dni 19 z Londynu do Bombaju, więc w kilku tygodniach okrążyć ziemię. Ale i tu nie koniec. Gdy motor wsadzono na balon powietrzny, gazem lżejszym od powietrza napełniony, a zwłaszcza gdy przyprawiono mu szerokie płaszczyzny i śmigę i puszczono w przestworza, odległość ludów od ludów i krajów od krajów jeszcze więcej się zmniejszyła. Setki i tysiące aeroplanów zawarczało w powietrzu, przeszywając je z zawrotną szybkością stu do dwustu i więcej kilometrów na godzinę, przerzucając drogą ponad ziemią tysiące ludzi, i wiele ton towarów

i zadrukowanej bibuły. Do jakiego stopnia rozwoju doszło dziś lotnictwo, tak zwane cywilne, czyli handlowe w samej tylko Europie, wykazują dobitnie dopiero co ogłoszone dane statystyczne, tyczące się nadpowietrznego ruchu handlowego w głównych państwach Europy. Oto w samym roku 1921 przebiegły maszyny powietrzne handlowe we Francji 2,200.000 kilometrów, w Anglji 900.000 km., a w Belgji 270.000 km., podczas gdy w Niemczech tylko od kwietnia do października 1,600.000 km. Co zaś do liczby pasażerów, to w Anglji podróżowało w 1921 r. 41.740, we Francji 10.305, w Niemczech 6.820, a w Belgji 2.344.

Nowy ten środek komunikacji, tak wygodny i stosunkowo bezpieczny, ma szczególne znaczenie dla państwa tak olbrzymiego jak Wielka Brytanja. Dzięki niemu najdalsze dominja zbliżone są stosunkowo bardziej do stolicy, niż dawniej, za czasów poczty konnej i wozów, miasta nadbrzeżne samej Anglji. Obecnie projektują też tam drogę powietrzną między Londynem a Bombajem, której przebycie aeroplanem zajmie wszystkiego trzy dni, w miejsce dziewiętnastu jakich potrzebują najszybsze nawet okręty.

Jest rzeczą ciekawą, że obecnie, po traktacie wersalskim, który miał zdusić niemiecką powietrzną flotę wojenną, właśnie w tym kraju najżywszy na polu lotnictwa ruch panuje i największych na tem polu dokonywują odkryć. Tak naprzykład traktat pokojowy przepisuje, by Niemcy nie budowali aeroplanów o wysokiej sile motorowej, a płaszczyznowiec, przeznaczony dla jednego lotnika, niema mieć maszyny wydatniejszej nad sześćdziesiąt koni. Niemcy punkt ten traktatu wykonują sumiennie, tylko że zbudowali taki aeroplan o sile sześćdziesięciu koni, że wyższym on jest w działaniu od maszyny angielskiej, mającej motor trzystukonny. Jest to ciekawa maszyna, ten aeroplan niemiecki, odznaczająca się między innemi właściwościami tą jeszcze, że jest cała zbudowana z metalu i nawet skrzydła ma metalowe. Obecnie niemiecki inżynier, Dr Junker, czyni próby nad aeroplanem handlowym także całkiem metalowym, który przy sile tylko 180 koni unosić i przewozić będzie dziewięciu pasażerów. Wogóle flota powietrzna „handlowa" w Niemczech rośnie i rozwija się niezmiernie szybko, a przyczynia się do tego ta okoliczność, że będzie ją można w razie potrzeby przemienić każdej chwili na flotę wojenną, przeznaczoną do miotania bomb i innych pocisków. Szybkość najnowszych aeroplanów przewyższyła w rekordach wyścigowych i popisowych 2.000 km. na godzinę, czyli około 60 metrów na sekundę, a więc dzięki im z szybkością prawie myśli ludy łączyć się i zbliżać do siebie mogą.

Obraz ten zbliżenia się między sobą ludzi i skrótu ziemi, byłby całkiem niezupełny, gdybyśmy doń nie dodali tych wynalazków i urządzeń, jakie technika najnowsza wydała na polu przenoszenia i rozpowszechnienia myśli ludzkiej, której, jak wiadomo, zewnętrznym znakiem jest słowo. Niema co już dzisiaj opowiadać o telegrafach i telefonach drutowych, które doszły do niezmiernego rozwoju i stały się

zwykłym codziennym środkiem komunikacji myśli ludzkiej, ale do pomocy tym urządzeniom przychodzą dzisiaj telegrafy i telefony bez drutu. Łączą już one ze sobą części ziemi, na cztery i więcej tysięcy kilometrów odległe, utrzymują w ciągłej komunikacji z lądem na dalekich oceanach żeglujące okręty, pozwalają siedzącemu przy swym stoliku na odludnej farmie zagranicznej koloniście rozmawiać ze znajomymi na starym lądzie, załatwiać z nimi interesa i sprawunki, odbierać z obserwatorjów przepowiednie pogody, a nawet słuchać pięknych koncertów muzycznych i wokalnych z dalekiego miasta. Obecnie już w samej Anglji kilka tysięcy jest w użyciu takich prywatnych przyrządów telefonów bez drutu, a fabryki budują te instrumenty w postaci tak taniej i prostej, że jak dawniej telefon drutowy, tak dzisiaj telefon bez drutu staje się zwykłą, niezbędną prawie częścią urządzenia domowego. Czyż można sobie wyobrazić większe zbliżenie ludów między sobą! I dokonała tego wszystkiego nie jakaś metafizyczna filozofja i prawdy oderwane, ale trzeźwy postęp oparty na technice, na mozolnym, gorączkowym, z zapartym oddechem dokonywanym wydzieraniu przyrodzie jej najgłębszych tajemnic, wydzieranych przez doświadczenie i przez nauki ścisłe.

I dziwnego, niepojętego, a strasznego przy tem wszystkiem świadkami tu jesteśmy zjawiska. Oto w miarę, jak środki i ulepszenia techniczne zbliżają fizycznie i umysłowo ludzi i narody, w miarę tego i mimo tego serca ludzkie i myśli ludzkie coraz więcej się od siebie odstrychają, coraz przepaścistszemi oddzielają się różnicami i dążeniami, a to, co miało ludzi zbliżać, służy obecnie do tego tylko, by prędzej i łatwiej dostać się do wroga, celem jak najskuteczniejszego, jak najszybszego wzajemnego wyniszczenia.

Dwa okropne przykłady przynoszą świeżo angielskie pisma. Jeden z angielskich członków komisji międzynarodowej, która miała za zadanie dokonania zupełnego rozbrojenia Niemiec, i która przeto posiadała najlepszą sposobność wniknięcia w tajniki arsenałów i sztabów niemieckich, opowiada w „Daily Mail" o dwóch wynalazkach, które w formie zupełnie wypróbowanej i gotowej do użycia są już obecnie własnością armji niemieckiej.

Jednym z tych wynalazków, to lekka, bo pół kilograma zaledwie ważąca bomba, mająca powłokę z metalu niedawno w Niemczech wynalezionego, nazwanego elektronem, który tem się odznacza, że jest lżejszy nawet od glinu, czyli aluminjum. Bombę tę wypełnia masa o tajemniczym składzie, mająca tę własność, że gdy się raz zapali, to już niema sposobu jej ugaszenia i żarzyć się będzie aż do zupełnego wypalenia się, przyczem temperatura tego żaru jest tak wysoka, że gdy się np. nieco tej masy umieści na końcu noża i zapali, ostrze stalowe gnie się i topi. Otóż bomba taka elektronowa — a może ich jeden zwykły „handlowy" aeroplan zabrać ze sobą tysiące — puszczona z powietrza, zapala się przez uderzenie i wraz z powłoką tworzy masę ognistą, która przetapia nawet stalowe pancerze, a cóż dopiero dachy lub sklepienia. Uderzywszy więc o dom przepali go na

wskróś, od dachu do piwnicy i wznieci odrazu w całym domu pożar, którego nikt ugasić nie zdoła. A gdy nad miasto nieszczęśliwe przybędą niespodzianie lotem błyskawicy takich aeroplanów całe zastępy i obrzucą je temi pociskami, to oczywiście całe spalić się musi na popiół bez ratunku.

Lecz oto wynalazek drugi, jeszcze gdzieś z dalszych zakamarków szatańskiej pomysłowości wyjęty. Jest nim kula szklana, wypełniona ciężką cieczą, ważąca cała około funta. Gdy spadnie z aeroplanu na ulice miasta, rozbije się i wyleje z siebie ów płyn, a on w jednej chwili zamieni się na tysiące metrów sześciennych trującego gazu, który jak doświadczenia pokazały, w braku wiatru całemi dniami włóczyć się będzie po ziemi, zapełniać domy i piwnice i truć i z potworną dokładnością niszczyć wszelkie życie.

A gdy takie przyrządy roznosić mają w razie wojny najnowsze i najdoskonalsze środki komunikacji wzajemnej, to równocześnie druty telegrafów i telefony i ładunki pocztowe całego świata roznoszą szybko i po wszystkich zakątkach ziemi słowa jadu, wzajemnej nienawiści, obelg, zazdrości — pęka „Liga narodów", a w miejsce obiecywanego braterstwa ludów powstaje groźba nowych wojen, tylko jeszcze straszniejszych.

Tak wyglądają najnowsze, techniczne środki zbliżenia się narodów, tak wygląda obecne braterstwo, z takim triumfem przez ducha ziemi i podziemia głoszone. I nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeżeli tak dalej pójdzie, obecna cywilizacja techniczno-materjalistyczna sama na sobie wykona straszne a zupełnie ją niszczące charakiri. Gdzie nadzieja? Skąd ratunek?

Jak dawniej, tak i obecnie, tylko od Tego, który powiedział: „Jam jest miłość". W zbliżeniu się więc duchowem ludów na podłożu światopoglądu chrześcijańskiego i chrześcijańskiej miłości. Wielkie są dzisiaj zdobycze umysłu ludzkiego, wspaniałe wynalazki i odkrycia, ale by te dla prawdziwego dobra i postępu ludzkości służyły, trzeba je przejąć duchem miłości, duchem Chrystusa. Póki czas trzeba głośno to wołać i wszędzie głos ten dojść musi, gdyż inaczej nad naszą dzisiejszą spoganizowaną i pychą i nienawiścią przejętą cywilizacją wypowie wkrótce ostatnie słowo — jej technika.

Ks. Feliks Hortyński.

Unja katolicka Związków kobiecych i jej ostatni zjazd w Rzymie.

Pragnąc podzielić się z czytelnikami wynikami i wrażeniami ostatniego Zjazdu kat. Stowarzyszeń kobiecych w Rzymie, musimy choć w kilku słowach przedstawić powstanie i dotychczasowe działanie tej Unji, bo nawet jej istnienie i stanowisko jakie w niej Polki zajmowały, mało było znane w naszym kraju.

Nie od dziś kobiety katolickie na całym świecie organizować się zaczęły; zrozumiały one, że poza pracą charytatywną mają wielkie pola działania, a wpływ ich zasad musi sięgać głębiej, do rodzin, do warstw pracujących, by nieść im pomoc moralną, podnosić, łączyć miłością wszystkie warstwy społeczne. Ruch ten rozpoczął się pod wpływem Encykliki Leona XIII-go, zrazu ogarniał on męskie środowiska, ale kobiety zrozumiały, że i one w tej pracy mają swoje obowiązki, i niebawem wzięły się do dzieła.

Jak często w historji widzimy, Polska pierwsza przeczuła tę potrzebę i mimo trudności politycznych wyprzedziła inne kraje. Już w 1900 r. zawiązuje się w Krakowie: Polski Związek Niewiast katolickich[1]) i wykluczając pracę charytatywną bierze sobie za zadanie podniesienie moralne i ekonomiczne warstw pracujących. Wkrótce — by tylko najważniejsze Związki nadmienić — powstaje w Paryżu w 1904 r. wielki katolicki Związek, mający te same cele: Ligue patriotique des Françaises, a w 1906 w Niemczech: Kath. Frauenbund. Inne kraje i części świata nie zostały w tyle, wszędzie pod kierownictwem rozumiejących potrzeby chwili obecnej jednostek, tworzyły się nowe koła pracy społecznej katolickiej. Ale jak często bywa, o ile umiemy przeczuwać potrzeby chwili obecnej, o tyle zapał nasz ustaje, nie dotrzymujemy pola i dajemy się wyprzedzić innym. Związki zagraniczne i liczbą członków i pracą zostawiły nas wkrótce w tyle, poczuły się też siłą i zrozumiały konieczność bliższych między sobą stosunków i międzynarodowych zjazdów. Pierwszy raz w 1910 r. zbierają się w Brukseli, układają Statuty przyszłego porozumienia i tak powstaje: Unja międzynarodowa Związków katolickich kobiecych. Warunkiem należenia do niej jest charakter stowarzyszenia ściśle katolicki, apolityczny, wyłącznie kobiecy, przedstawiający poważną liczbę członków; zgłoszenia przyjmuje zebranie ogólne, a o przyjęciu rozstrzyga głosowanie. Zarząd spoczywa w rękach komitetu (bureau), wybranego na dwa lata i składającego się z ośmiu (obecnie 15) członków, wybieranych tajnem głosowaniem. Przewodnicząca, mianowana przez Ojca św., zachowuje również władzę przez dwa lata, każdy zaś Związek wybiera z pośród duchowieństwa zakonnego lub świeckiego doradcę duchownego (aumonier conseil), którego zadaniem jest czuwać nad kierunkiem katolickim Związku. Na ogólnych zebraniach przewodniczy zawsze Delegat Ojca św. Polski Związek Niewiast katolickich krakowski został do Unji przyjęty na zjeździe w Madrycie w 1911 r., a w następnym większa ilość Polek brała udział w międzynarodowym zjeździe w Wiedniu. Po zjeździe w Londynie w 1913 r., Polska doznała wielkiego zaszczytu, gdy przewodniczącą całej Unji Pius X mianował hr. Marję Wodzicką, która już na ostatnich zjazdach wybitne stanowisko zajmowała.

Ale wojna wszechświatowa na dłuższe lata zatrzymała zebrania,

[1]) Założony pod przewodnictwem O. Ledóchowskiego, obecnego Jenerała T. J.; pierwsza prezesowa p. Adela Dziewicka.

a pracę na inne pola skierowała. Kadencję Hr. Wodzickiej Stolica św. przedłużała, póki uspokojenie nie pozwoli na ogólne zebrania.

Komitet, tak zwany b u r e a u, zebrał się dopiero w kwietniu 1921 r. w Krakowie. Uczestniczyły w nim ks. Giustiniani Bandini z Rzymu, Miss Fletscher z Londynu, hr. de Vélard z Paryża, hr. Walterskirchen z Wiednia, Prezesowa i jej sekretarka z współudziałem ks. prałata Podwina. Na kilkodniowych naradach ustalono termin i program przyszłego zebrania, które zastosowując się do wskazówek Ojca św. Benedykta XV miało się odbyć w Rzymie w maju 1922 r. Narady w Krakowie, które były poważne i wyczerpujące, odnosiły się do zbadania najważniejszych zagadnień społeczeństwa pod względem moralnym i religijnym i stanowiska, jakie kobiety katolickie w nich zająć powinny. W Krakowie przygotowano cały plan pracy, wybrano poszczególne referentki, na których siły liczyć było można w taki sposób, by każdy Związek lub przynajmniej kraj, mógł przez swoją korespondencję i odpowiedzi na kwestjonarjusze przez komisje studjów rozesłane, dać dokładny obraz położenia w danym kraju. Ponieważ prezesowa hr. Wodzicka od kilku była lat w stosunku piśmiennym z członkami Związków a wielu z nich znała osobiście, wybór był ułatwiony; na nią też spadł główny ciężar dalszych piśmiennych stosunków i przygotowanie całego kongresu. Ciekawem było widzieć, jak do Krakowa schodziły się jak druty telegraficzne, korespondencje z całego świata. Nie jest to przesadą, gdy się wie, że do Unji międzynarodowej należy 21 krajów Europy i Ameryki, przedstawiające 47 Związków i kilka miljonów zorganizowanych kobiet. A sprawy które omawiano, były ważne.

Im więcej zbliżał się termin zjazdu, tem bardziej natężoną była praca, a nas Polki dumą napełniała myśl, że jedna z nas stoi na czele tego międzynarodowego sejmu kobiecego.

Ojciec św. Pius XI zezwolił na zatrzymanie dawniej naznaczonego terminu, to jest 18 maja b. roku, na kilka dni przed rozpoczęciem Kongresu Eucharystycznego, by uczestniczki mogły równocześnie wziąść w nim udział. Hr. Wodzicka, sekretarka jej i kilka Polek przybyło kilka dni wcześniej do Rzymu, dla ostatecznego przygotowania zebrania. Mieszkałyśmy w starożytnym i bardzo ciekawym klasztorze Tor Di Specchi gdzie przygotowano nam kwaterę. Tam też hr. Wodzicka miała swoje biuro i do niej do ostatniej chwili zgłaszały się panie po informacje lub rady i przesuwały się przed nami wszystkie narodowości i typy: Meksykanki, mieszkanki Kanady, Argentyny, Chili, spokojne Holenderki i Angielki, zapalone Francuski, Belgijki, Szwajcarki, Włoszki, Hiszpanki, oraz delegatki Węgier i Czechosłowacji. Nie brakło naturalnie Niemek i Austrjaczek, które stoją na czele świetnie prowadzonych stowarzyszeń. Wogóle powiedzieć można, że znajduje się tu elita kobiet całego świata, kobiet poświęconych, mądrych, wypróbowanych już w pracy. Na czele związków stoją osoby przodujące wykształceniem, rozumem, stanowiskiem społecznem. Mamy trzy przedstawicielki parlamentu niemieckiego, jedną parlamentu austrjackiego, a żałujemy bardzo, że gdy w Polsce mamy też prawo głosowania, nie

mamy na zjeździe przedstawicielki sejmowej naszego kraju i naszych zasad. Z Polek poza hr. Wodzicką jest sekretarka zjazdu, księżna Teresa Sapieżyna i przewodnicząca lub delegatki związków z Krakowa, Warszawy, Lwowa i Poznania. Spotykamy się na gruncie zasad a więc i znajomości zawiązują się prędko, a w potocznych rozmowach informujemy się o ruchu w poszczególnych krajach. Więcej jak liczba członków, którą jednak jest imponująca, uderza systematyczna podstawowa praca, na pierwszem miejscu wyrobienie religijne i moralne członków, bo wtenczas bezpiecznie stawiać można dalszy gmach i ekonomicznie i oświatowo podnosić stowarzyszenie. W niektórych krajach łączą się stowarzyszenia zawodowo, w przeważnej jednak części uważają za właściwsze łączenie się wszystkich warstw społeczeństwa razem. Takim typowym związkiem jest olbrzymi włoski, założony podczas wojny dla młodzieży żeńskiej: Gioventú femminile cattolica italiana, istniejący przy Unji kobiet katolickich włoskich, któremu warto osobno wzmiankę poświęcić.

Zdarza się prawie wszędzie, że różnica wieku, obowiązków, więcej dzieli, niż różnica stanu, że młodzież czuje się skrępowana wobec starszych i niechętnie współpracuje z niemi. Tymczasem wyrobienie młodzieży jest konieczne, bo przecież ona przedstawia przyszłość, a w walce duchownej potrzeba młodych sił, młodego zapału, a zwłaszcza przygotowania przyszłych pracownic. Ruch ten na większą skalę rozpoczął się w Medjolanie pod protektoratem ówczesnego kard. Ferrari, a duszą jego była słuchaczka uniwersytetu d. Armida Borelli, która tak energicznie wzięła się do dzieła, że zwróciła na siebie oczy Benedykta XV, który zawezwał ją do siebie i polecił jej zorganizować podobne związki młodociane we wszystkich diecezjach Włoch. W ciągu niespełna roku 78 diecezyj było zorganizowanych, założono 700 kół z 50.000 członków. Był to dopiero początek ruchu, trzeba było go ująć w pewne formy i w tym celu na życzenie Ojca św., który całą sprawą w szczególny sposób się zaopiekował, zwołano w 1919 r. do Rzymu kongres, dla ujednostajnienia całej pracy. 600 delegatek, przedstawiających 120.000 członków, przedstawicielki wszystkich stanów i wszystkich prowincyj Włoch, z zapałem postanowiło całą siłą pracować nad odnowieniem duchowem ojczyzny. Postanowiły one do dwóch lat podwoić liczbę zapisanych członków i dotrzymały słowa, bo obecnie G. F. C. I. liczy 500.000 członków.

Po kongresie 1919 r. z polecenia Benedykta XV, odbyły się w Rzymie kursa społeczne, tak zwane Semaines Sociales, jedne dla przyszłych organizatorek ruchu, drugie dla kapłanów, zwłaszcza proboszczów. Z woli Ojca św. mają być oni opiekunami ruchu katolickiego młodzieży żeńskiej, całe jednak kierownictwo spoczywa w rękach kobiet.

Te organizacje nie są stanowe ani zawodowe, obejmują one całą młodzież żeńską wszelkich stanów. Zdaje nam się, że ta łączność jest bardzo szczęśliwą myślą, jest to prawdziwa chrześcijańska demokracja, a węzłem najsilniejszem są zasady katolickie bo na tym gruncie,

tak łatwo do wzajemnego porozumienia dochodzimy. Temu też przypisać możemy rozrośnięcie się tego Stowarzyszenia, które zresztą nie ma współzawodnictwa, bo z woli Ojca św. poza religijnemi bractwami nie zakłada się we Włoszech innych Związków katolickich. Gioventu femminile cat. italiana pozostaje w ścisłem zjednoczeniu z głównym Związkiem kobiet, jakim u nas jest: Katolicki Związek Polek.

Zjazd rozpoczął się bardzo uroczyście: Ojciec św. delegował kard. Merry del Val, by przewodniczył obradom, sam zaś pragnąc ściągnąć na obrady błogosławieństwo Boże, odprawił na intencję Zjazdu mszę św. w swej kaplicy prywatnej, na którą wszystkie panie były zaproszone i z ręki jego Komunję św. przyjęły. W dużej sali związku włoskiego odbywały się posiedzenia, do których tylko uprawnione osoby były dopuszczone. Za stołem prezydjalnym siedzi kardynał, obok niego prezesowa hr. Wodzicka, wraz ze swą sekretarką Leonową Sapieżyną i paniami należącemi do komitetu. Hr. Wodzicka otwiera zebranie, przedstawiając jego cel, sekretarka odczytuje sprawozdanie z działania Unji a raczej zatrzymania jej rozwoju przez czas wojny i nawiązania nowego dopiero z nastaniem pokoju. Dowiadujemy się o wielkiej liczbie Związków, które w ostatnich czasach przystąpiły do Unji i tworzą z niej prawdziwie wszechświatową Ligę. Później prezesowa Ligi włoskiej, M. Patrizi, wita gości, którzy do Rzymu przybyli z całego świata, mówi bardzo gorąco, z uczuciem tak szczerze, tak bezwzględnie katolickiem, że odrazu zaznacza ducha, który nas wszystkie ożywia. Przemawia też kardynał, życząc w imieniu Ojca śgo pracy owocnej dla dobra Kościoła i wiary.

Rozpoczynają się obrady według ułożonego programu. Na pierwszem posiedzeniu odczytują referentki sprawozdania o potrzebach i niebezpieczeństwach, jakie wierze w poszczególnych krajach zagrażają. Dowiadujemy się, że te bolączki powojenne, na które tak cierpimy, nie mniejsze uczyniły spustoszenia w innych krajach. Przesuwają się sprawozdania o teozofji i spirytyźmie, o szerzeniu się sekt amerykańskich i ukrytem działaniu Y. M. C. A. i Y. W. C. A. Delegowana niemieckiego Związku z Czech ze łzami przedstawia prawie zanik wiary katolickiej (Morawy) i błaga o modlitwy, wogóle jednak brzmi nuta zaufania, odwagi nieustraszonej wobec trudności i różnorodnych nieprzyjaciół. Ale ta odwaga poparta działaniem, i widzimy, że cała praca zdążająca do podniesienia ogółu społeczeństwa, rozpoczyna się od fundamentów, a więc ugruntowania wiary. W tym celu tak wielką wagę przywiązują do nauki katechizmu, nie tylko dla małych dzieci, ale dla młodzieży w Stowarzyszeniach męskich i żeńskich. Gdy naukę katechizmu ze szkół usunięto, powstało we Francji ochotnicze nauczanie dzieci i młodzieży, wkrótce ogarnęło siecią cały kraj i przez Stolicę św. do rzędu arcybractwa katechizacji podniesione zostało. Liczy obecnie w samej Francji 70.000 członków, związanych, karnych, przygotowanych do uczenia, bo każda z tych dobrowolnych nauczycielek przechodzi kurs katecheteczny, a dopiero po otrzymaniu dyplomu jest upowa-

żniona do nauczania. Mają osobne czasopismo, jeszcze przed wojną założone, a corocznie osobne rekolekcje dla nich odprawiane oświecają i zagrzewają do dalszej pracy. Nie tylko jednak we Francji są liczne dobrowolne katechetki; w Belgji widzimy dzielną przedstawicielkę tego ruchu, a miło nam zaznaczyć, że Warszawa i Lwów pod tym względem nie zostały w tyle, choć nie możemy takiemi imponującemi cyframi członków się pochlubić. Ton wykładów katechetycznych, rzecz prosta, stosuje się do wieku i wykształcenia słuchaczy, ale nauka wiary, apologetyka jest programową, podstawową nauką we wszystkich Stowarzyszeniach i prowadzona w nich systematycznie. Celem bowiem jest przygotowanie stowarzyszonych do gruntownego poznania wiary i możności odparcia zarzutów, z któremi się spotykają w warsztacie i pismach.

Poza nauką i wykładami, uważają za jeden z najlepszych najdzielniejszych środków przesiąknięcia mas ludowych, wyrabianie między niemi elity, która skuteczniej, bo ciągle działa na swe otoczenie i w tym celu urządzają dla wszystkich sfer, a więc i robotnic rekolekcje zamknięte, w domach do tego przygotowanych. Rezultaty mają być znakomite i panie, które się niemi zajmują namawiają nas, by koniecznie i u nas tego środka próbować.

Na jaką skalę są one we Francji zastosowane, dowiemy się do p. Dumanget, będącej na czele jednej z tych organizacyj w Szampanji. Kilka lat jeszcze przed wojną w majątku swym w Ardenach rozpoczęła to dzieło. Przyszła wojna, dom jej zmiotła, ale ledwo się uspokoiło, postawiła baraki, a w nich dalej to samo apostolstwo prowadzi. Pytana jak często je urządza, odpowiedziała, że w jednym roku miała ich 26 seryj; uczestniczek bywa od 40—50, a te które raz zakosztowały tego duchownego pokarmu, bardzo chętnie wracają. Wszystkie robotnice mają we Francji ustawowo dwa tygodnie płatnego urlopu, i korzystają z tych wolnych chwil, by nie tylko ciało ale i dusze wzmacniać. Wogóle Francja pokryta siecią katolickich Stowarzyszeń, których członkowie na tysiące się liczą, ale nie ustępują im Niemcy, gdzie pod opieką Katolickiego Frauenbundu świetnie rozwija się istniejące już od wielu lat Stowarzyszenie kobiet pracujących z 50 tys. członków pod kierunkiem O. Schalscha i ogromnie liczne Stowarzyszenie katolickich nauczycielek z 20 tys. członków. Wymieniamy tu tylko dwa najważniejsze i lepiej nam znane. Imponujące jest zwłaszcza ostatnie, w którem grupują się i pracują czysto katolickie, bez zastrzeżeń siły nauczycielskie wyższych szkół i ludowych. Miesięcznik wybornie redagowany daje miarę poziomu naukowego członków, a taka armja karna, pracująca z zapałem nad podniesieniem religijnem i moralnem ludu jakąż jest pomocą dla obrony wiary i walki z jej wrogami.

W drugi dzień kongresu, poświęcony sprawozdaniom o moralności a raczej objawach antymoralnych i walce, którą kobiety przeciw nim prowadzić powinny. Zło prawie równem korytem rozlało się po całym świecie, ale nie przestaje dlatego być złem. Objawy wszędzie te same, bezwstydne sztuki teatralne, kina bezmyślne, a przecież tak działające na wyobraźnię, zwłaszcza młodzieży i ścierające z niej wszelkie wyż-

sze poczucia i przyzwyczajające ją do widoku złego. Rozwódzić się już nie potrzeba o szkodliwości tych widowisk, trudniej przeciw nim działać. Zorganizowano już jednak zagranicą samoobronę nie tylko przez surowszą policyjną cenzurę, surowe przestrzeganie wieku młodzieży, która do nich uczęszcza, ale założono w Ameryce i we Francji spółki, wydające filmy uczciwe i pouczające. Postanowiono popierać te wydawnictwa raczej, jak nowe zakładać i wpływać na władze, by czujniejszą opieką otaczały te widowiska.

Dalsze obrady tego samego dnia dotyczą mody i tańców nieprzyzwoitych. Ponieważ na kongresie mamy wiele osób młodych i żyjących w świecie, więc zdanie ich pod tym względem może być miarodajne. Zapewne nie zmienimy pod tym względem świata całego, ale trzeba wiedzieć, co chrześcijańskiej, a choćby tylko uczciwej kobiecie przystoi. Wiadomém jest, że prawie wszystkie wielkie magazyny nadające ton i wskazówki mody są w rękach Żydów, którzy może celowo dążą do zdarcia poczucia wstydu i przyzwoitości u kobiety. Ks. Giustiniani Bandini w swoim referacie podnosi, że każda kobieta powinna dbać o stronę swą zewnętrzną i przypomina zdanie św. Franciszka Salezego, który pisze, że pragnie, by osoby pobożne były jak najstaranniej ubrane. Zwraca uwagę, jakim jest obowiązkiem matki i pani domu pilnować przyzwoitości u osób, które od niej zależą. Rzeczywiście młode matki nie zdają sobie często sprawy, jak u najmłodszych dzieci trzeba przestrzegać w ubraniu przyzwoitości, by się ona stała drugą naturą dziecka.

Sprawa tańców jest równie aktualna zagranicą jak i u nas, i równie z niemi walczy duchowieństwo, jak wszystkie chrześcijańskie rodziny, które ich absolutnie w swych domach nie dopuszczają. Amerykanki upominają się, by tańców tych nie nazywać amerykańskiemi, gdyż żaden przyzwoity amerykanin ich nie tańczy. Taniec argentyńskich marynarzy, przeniesiony przez jednego z nich do café-chantant w Paryżu, dał początek tej bezwstydnej zabawie i boleśnie widzieć, że młodzież chrześcijańska i uczciwa za takim przykładem idzie. Postanowienie, by bronić domów swoich od tej zarazy, jest rezolucją przez całe zebranie uchwaloną.

Handel żywym towarem jest sprawą która koła kobiece wszystkich krajów jak najżywiej obchodzi. Wiemy, że niestety u nas, zwłaszcza im dalej na wschód tem gorsze stosunki panują. Utrudnienia paszportowe, zamknięcie granic, utrudniały go podczas wojny, ale ona z innej strony zostawiła pod względem moralności okropne ślady. Gdzie były skutki okupacji wojsk centralnych na Litwie, w Belgji, Francji, Poznańskiem wiemy, ale tej sprawy poruszać imiennie nie było można, by nie wywołać protestów lub zarzutów stronniczości.

Mówi się o sprawach moralnych ogólnie, bo prawdopodobnie i inne narody pod tym względem, czystego sumienia nie mają, a przerażający wszędzie wzrost nieślubnych dzieci o tem świadczy.

Sprawą domów publicznych od kilkunastu lat opinja kobieca gorąco się zajmuje, żądając skasowania uprawnionego nierządu. Federacja

abolicjonistyczna w tym celu zawiązana i inne stowarzyszenia, z tem złem prowadzą zawziętą kampanję. Prawdopodobnie prędko do zwycięstwa nie przyjdzie, ale kobiety broni nie złożą, póki nie uwolnią od tej hańby biedniejszych, często zupełnie bezbronnych sióstr swoich. Całe zgromadzenie oświadcza się też zasadniczo przeciwko reglementacji prostytucji i uchwala walczyć z tym zastarzałym przesądem, że zło w tej formie jest konieczne, gdy kobieta w obecnych warunkach ponosi sama wstyd, upodlenie i wszystkie skutki upadku. Nie napróżno kobiety doszły do prawa głosu, by ich sumienie nie miało zaważyć w sprawach i moralności i uczciwości.

Dzień czwarty zjazdu, poświęcony sprawom związanym z prawami politycznemi kobiet. Chociaż nie wszystkie kraje przyznały dotąd kobietom prawa wyborcze, wiemy, że jest to rzecz mniej więcej przesądzona i ruchu tego się nie zatrzyma. Idzie więc w dyskusji głównie o to, by prawa nabyte jak najlepiej wyzyskać i do spełniania ich się przygotować. Trzeba przyznać, że całe zgromadzenie obecne, dobrze świadczy o wyrobieniu parlamentarnem kobiet, rozprawy są prowadzone spokojnie, rzeczowo, kilka dobrych mowczyń mamy na sali. Ale tego nie dosyć. Aby bronić swoich praw, trzeba znać dobrze ustawodawstwo i kobiety muszą się poważną pracą przygotować i w tym kierunku kształcić nie tylko siebie, ale te wszystkie zastępy kobiet, pracownic igły lub pióra, urzędniczek i nauczycielek, gospodyń wiejskich lub mieszczanek, bo wszystkie mamy te same prawa i głos każdej z nas zaważyć może i musi na szali sprawiedliwości. Stosunek stowarzyszeń katolickich do stowarzyszeń bezwyznaniowych i akatolickich jest przedmiotem dyskusji piątego dnia. Doświadczenie pokazało, że zawsze w takiej wspólnej pracy biorą górę te żywioły, które w środkach nie przebierają i że współdziałanie z innemi obozami wzmacnia je tylko, a osłabia nasze stanowisko. Ogólnie więc, idąc za wyraźnemi wskazówkami Stolicy św., katolicy łączyć się z innemi kierunkami nie powinni, a w akcji, w której kobiety powinny w obronie, czy praw swoich czy warstw pracujących, występować, n. p. w handlu żywym towarem, obronie moralności kobiet lub ich praw politycznych, mają tworzyć swoje własne organa i związki, bo przedstawiając tak znaczną siłę, możemy występować samodzielnie nie łącząc się statutowo z kobietami innych obozów. W wyjątkowych wypadkach odstąpić od tego można tylko za pozwoleniem miejscowej władzy kościelnej. W niektórych krajach o przeważnej liczbie innowierców, sprawa ta jest wielkiej aktualności.

Szóstego i ostatniego dnia oczekujemy z pewną emocją: zaczyna się od wyboru członków wzmocnionego komitetu (bureau), ale mianowanie nowej przewodniczącej przez Ojca św. szczególniej zaciekawia. Po chwili hr. Wodzicka ogłasza nominację przez Ojca św., pani Sturzberghe Engeringh, przewodniczącej związku holenderskiego, na naczelne stanowisko w Unji. Wybór przyjmujemy oklaskami. Sposób w jaki prowadzi katolicki związek w Hadze, daje rękojmię, że na nowem stanowisku wywiąże się również dobrze z zadania. Trzeba wiedzieć, że

katolicyzm, choć w mniejszości w Holandji, ma tam najpoważniejsze stanowisko; zwarty jak jeden mąż, bez kompromisów i bez zastrzeżeń, może być przykładem, czem byśmy wszyscy być mogli, gdyby życie nasze odpowiadało zasadom, które wyznajemy. Ustępująca Przewodnicząca jest przedmiotem gorących owacyj. Przez usta miss Fletcher wyraża jej zgromadzenie uznanie za kilkuletnią pracę, za kierowanie obradami tak taktowne i parlamentarne. Przedstawiały one nie małe trudności, gdy się zważy, że po raz pierwszy spotkały się przedstawicielki narodów walczących i trzeba było baczyć, by z żadnej strony nie padło słowo, które tak prędko mogło wszcząć burzę i wywołać konflikty. Spotykałyśmy się co prawda na gruncie katolickim, ale jesteśmy ludźmi, a rany jeszcze tak niezagojone. Polki też musiały nie tylko panować nad sobą, ale pośredniczyć i dzięki Bogu, obrady kończyły się spokojnie, poważnie, a Królowi pokoju, którego mieliśmy uczcić uroczystym hołdem w Kongresie eucharystycznym, ten hołd był z pewnością najmilszy. Przemawia jeszcze Marg. Patrizi i w imieniu delegatek całej unji dziękuje hr. Wodzickiej za jej trudy i poświęcenie i ofiaruje piękną aqua forte kościoła św. Piotra z podpisem wszystkich obecnych. Miło nam patrzeć na uznanie, jakie sobie zdobyła, przez ostatnie dni pobytu w Rzymie jest przedmiotem ogólnego hołdu. Piękna przemowa kard. Merry del Val zamyka zgromadzenie, a Pan Jezus w Najśw. Sakramencie w kościele S. Maria sopra Minerva błogosławi dzieci swoje, które u Stóp Jego składają swoje prace, znoje, postanowienia.

Tego dnia przed zebraniem popołudniowem Pius XI chce jeszcze pożegnać i pobłogosławić wszystkie Związki i przyjmuje nas na audiencji w sali tronowej. Zdaje się, że za każdym razem kiedy Go spotykamy, serca nasze z większem zaufaniem i miłością do Niego się zbliżają. W twarzy Jego łączy się mądrość, powaga wraz z niezrównaną dobrocią i prostotą. Mimo tak licznych i ważnych spraw, śledził bieg obrad Zjazdu i wiadome mu już były powzięte rezolucje. W dłuższem przemówieniu dziękuje za gorliwość i prace, której związki dały dowody, za rezolucje powzięte, a osobliwie odnoszące się do spraw moralności. Ale mówi: »dobre były narady i postanowienia, ale to dopiero połowa dzieła, teraz wykonać je trzeba«.

Wykonanie rzymskich rezolucyj musi też stać się zadaniem chwili dla Katolickiego Związku Polek. Tem przyczynią się one do umocnienia na ziemi tego królestwa Bożego, o które codzień w pacierzu prosimy.

Zofja Popielówna

SPROSTOWANIE. W artykule prof. Dra L. Caro, zamieszczonym w poprzednim zeszycie, p. t. „Idea współdzielczości", wkradły się następujące błędy:

str. 53 wiersz 8 z dołu, zam. „zapewnienienie" ma być: „dla zapewnienia"
„ 54 „ 3 „ „ „kolejowej" ma być: „okrętowej"
„ 54 „ 2 „ „ „odbierają" ma być: „zabierają"
„ 56 „ 11 z góry zam. „karmione" ma być: „karmionej"
„ 62 „ 14 „ po słowie: „odróżnieniem" ma przyjść słowo: „od".

REDAKTOR ODP. I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 11 sierpnia 1922.

Bolszewizm a religja.

Wschodnia zawierucha polityczna, piąty rok szalejąca, w ostatnich miesiącach ze szczególną zawziętością uderzyła w nawę Kościoła katolickiego, rzuconego na fale bolszewizmu. Nowe, coraz straszniejsze zarządzenia zmuszają dopatrywać się w kierownikach tego ruchu dyrektyw, rzuconych z jakiejś centrali, gdzieś poza Kremlem pozostającej, a używającej bolszewizmu, jak każdego innego środka, by podbić świat potędze wrogiej religji. Wprawdzie pierwsze wysiłki są zwykle skierowywane przez komisarzy, wśród których tak przeważającą jest liczba żydów, przeciw cerkwi prawosławnej, ale kolejno, zaraz po niej, idzie Kościół katolicki.

Prawosławie naogół nie wykazało dużo odporności. 19 stycznia 1918 r. patrjarcha moskiewski Tichon wydał wprawdzie list pasterski, piętnujący bolszewizm wogóle i w szczególe dekret, oddzielający Cerkiew od państwa, ale już niedługo po tym liście w szeregach duchowieństwa prawosławnego rozpoczęła się dezercja i część jego wyraźnie przeszła do bolszewizmu, sekularyzowała się, wzięła posady w bolszewickich urzędach, często może w celu ratowania życia swych żon i dzieci.

Nie brakło ze strony duchowieństwa pewnych demonstracyjnych wystąpień. Jedno z takich większych wystąpień miało miejsce na wiosnę 1918 r. w Smoleńsku. Popi widząc, że źle się dzieje, zresztą sprowokowani przez komisarza, który w cerkwi wtrącił się do kazania szanowanego popa, postanowili poruszyć tłumy. Zebrana narada z pobożnych, na którą zaproszono przedstawicieli innych wyznań, a więc księdza, pastora i rabina, postanowiła urządzić dużą protestacyjną procesję, od której naturalnie wspomniani goście się uchylili. Odbyła się procesja, a w niej wzięła udział również... czerwona gwardja, miejscowa rada komisarzy, słowem stworzyła się istna wieża Babel. A w kilka

miesięcy archirej Makary, który na procesji gorąco przemawiał, został rozstrzelany. Co prawda czerwonogwardziści odmówili strzelania do niego, więc zastrzelił go z rewolweru żyd-komisarz.

Los Makarego podzieliło kilkunastu innych prawosławnych biskupów, a były także fakta, że biskupa w Woroneżu uwarzono żywcem w dużym kotle i przyprowadzonym popom kazano jeść tę zupę, w Ufie biskupowi odcięto nos, uszy, zdarto skórę z twarzy, wykłuto oczy i tak zmasakrowanego wodzono po mieście w pontyfikalnym stroju.

Stan popi starano się za wszelką cenę zohydzić. Propagowano plakaty, przedstawiające popów jako zdzierców ludu, opojów i rozpustników. Głosząc »wolność sumienia«, propagowano antyreligijną literaturę, urządzano odczyty przeciw wierze.

Już dosyć dawno wzięto się do zohydzenia relikwij. Nie będziemy na tem miejscu poruszali kwestji, czy Cerkiew prawosławna nie nadużywała ślepej wiary ludu; faktem jest, że relikwij — całych ciał świętych było sporo po monasterskich cerkwiach, szczególniej w Kijowie i pod Moskwą i że kursowały pogłoski, że są to wypchane lalki. W 1920 r. ukazała się w Rosji w dużej ilości broszura niejakiego Mieszczeriakowa pod tyt. »Popie sztuczki« (Popowskija prodiełki), dowodząca całego szeregu nadużyć w tym kierunku w monasterze Zadońskim (relikwje św. Tichona Zadońskiego), Muromskim (św. Konstantyn książę i jego synowie św. Michał i Teodor), Suzdalskim (św. Jan i Teodor), Włodzimierskim, Nowgorodzkich w Sofijskim soborze, Troickiej Ławrze pod Moskwą i wielu innych. Protokóły komisyj stwierdzają, że zamiast relikwij znajdywano lalki, wypchane watą lub pakułami. Stwierdzić sumienności tych protokółów naturalnie narazie trudno, tem więcej, że duchowieństwo, mnisi — figurują na nich przez swe podpisy; może jednak podpisywali pod przymusem.

O stosunku komunizmu do religji traktuje ciekawa broszura, wydana przez rząd bolszewicki w r. 1919, a więc półoficjalna, zatytułowana »Religja i Komunizm«; autorem jest niejaki Minin. W broszurze swej autor zohydza zasadę wiary wogóle; w końcu stwierdza, że komunizm jest czystą nauką, a twierdzenia religij — bezczelnem oszukaństwem pracujących mas. Wierzący komunista — to mieszanina wody z ogniem, niemożliwa w życiu. Religja potrzebna tylko jako środek gnębienia dla pracujących klas. Dla całości uprzytomnienia tendencyj broszury dodać należy, że według autora Jezus wcale nie istniał na świecie, biblja jest zbiorem rozpraw rozmaitych ludzi, popi — to zdziercy i bogacze, a dla poparcia cytuje dochody biskupów prawo-

sławnych (petersburski 710 rubli dziennie, nowogrodzki — 842, kijowski 230 itd); w końcu odsyła czytelnika do przeczytania Bebla »Chrześcijaństwo i socjalizm«, Kautskiego, Lafarga i innych podobnych autorów.

Na zakończenie obrazka, jak oficjalne wydawnictwo sowieckie traktuje religję, zwrócimy się jeszcze do urzędowego dużego (410 str.) kalendarza z r. 1919, »Pierwszy ludowy kalendarz« (wydawnictwo Północnej Komuny w Petersburgu). W wykazie »świąt« czytamy: W styczniu: 1 — Nowy Rok, 22 — Rozstrzelanie piotrogrodzkich robotników, w marcu — Zwalenie Samodzierżawia. W maju: 1 — Internacjonał; listopad: 1-go Dzień proletarskiej Rewolucji, itd.

W artykułach widzimy między innemi działy: »Biografje« — tu czytamy życiorysy Marksa, Bebla, Engelsa, Jauresa, Liebknechta i Lassala. W dziale »Co czytać« — wyłącznie literatura komunistyczna swojska (czytaj żydowska) i zagraniczna. W dziale: »Cerkiew i państwo« — znajdujemy dekret oddzielenia Cerkwi od państwa i artykuł zohydzający Cerkiew i wmawiający naiwnemu czytelnikowi, że dekret ten jest wynikiem potrzeby nadania pełnej swobody wyznawcom wiary i czynienia podług swego sumienia w dziedzinie wierzeń, co później w praktyce zostało zaprzeczone faktami takiemi, jak zabranianie nauczania religji, wymaganie cenzury kazań itp.

Urzędowe swe stanowisko względem Kościoła Rada komisarzy ludowych wyjawiła po raz pierwszy, wydając 23 stycznia 1918 r. dekret o oddzieleniu Cerkwi od państwa i szkoły od Cerkwi. Dekret zawiera 13 punktów i utrzymany jest w tonie zupełnie przyzwoitym; owszem np. punkt 2, mówiący, że nie wolno lokalnym władzom ogłaszać zarządzeń, krępujących lub ograniczających swobodę wiary, gdyby był spełniany, nicby przeciw niemu mieć nie można. Niestety, jeśli w carskiej Rosji każdy administracyjny urzędnik, do strażnika włącznie, na prowincji gnębił księdza, dziś jest znacznie gorzej, bo najniższy komisarz jest zupełnym panem życia i śmierci duchownego.

Dekret mówi, że każdemu wolno wierzyć lub nie wierzyć (p. 3), zaznacza się areligijność uroczystości publicznopaństwowych (p. 4), zabrania się aktami kultu zakłócać porządek zewnętrzny (p. 5), kasuje się religijną przysięgę (p. 7), akta stanu cywilnego obejmuje rząd (p. 8), ze szkół usuwa się wykład religji (p. 9), ale pozwala się na nauczanie prywatne, gminy kościelne traktuje się narówni ze stowarzyszeniami świeckiemi (p. 10), zabrania się wymuszania podatków na cerkwie (p. 11), cerkwie pozbawia się praw osoby prawnej, własność

ich ogłasza się jako dobro państwa (p. 12 i 13), oddaje się wszakże świątynie do bezpłatnego użytku gminom religijnym.

Narazie dekret ten był tylko teoretycznym aktem, już jednak 24 sierpnia 1918 r. Komisarjat Sprawiedliwości wydał akt nowy, instrukcję »O sposobie wprowadzenia w życie dekretu o oddzieleniu Cerkwi od państwa i szkoły od Cerkwi«.

W instrukcji tej na początku Komisarjat wyjaśnia, że pod mianem cerkwi rozumie kościoły wszelkich wyznań i między innemi wymienia Kościół katolicki. Dalej autor instrukcji (Jak ikdeureta) wpada w sprzeczności, bo mówiąc o gminie i pozbawieniu jej praw osoby jurydycznej, ściśle biorąc sprowadza ją do zera, i mówi, że gmina nie ma praw jurydycznej jednostki, pojedynczo zaś członkowie mogą zbierać składki na zaspokojenie potrzeb religijnych. Dalej mówi, że własność urzędów religijnych przechodzi do zarządu miejscowych Rad delegatów robotniczych i włościańskich, które powinny przejąć ją i część tej własności niezbędną do kultu (jak kościół, naczynia, szaty) przekazać do użytku miejscowym mieszkańcom danego wyznania. Mieszkańców odpowiedzialnych za przejęte rzeczy nie może być mniej niż 20. Resztę własności kościelnej, domy, ziemię, fabryki, kapitały itp. sekwestruje komunistyczny rząd. Księgi metrykalne z parafij i konsystorzy winny być oddane miejscowym Radom delegatów, a jednocześnie zabrania się duchowieństwu notować w dokumentach wyznanie, fakt chrztu, rozwodu, ślubu itd. Zabrania się w miejscach państwowych i publicznych (poza kościołami) odprawiania funkcyj religijnych, jak np. ekzekwij, oraz umieszczania obrazów religijnych. Procesje wolno urządzać na zasadzie piśmiennego zezwolenia miejscowej radzieckiej władzy. Na zakończenie instrukcja potwierdza zabronienie wykładu religji w szkołach, a gmachy szkół duchownych poddaje konfiskacie.

Jak widzimy, instrukcja była krokiem naprzód w dziedzinie prześladowania religijnego w Sowdepji i dotknęła zarówno panujące dotąd w Rosji prawosławie, jak i Kościół katolicki. Wkrótce też zaczęło się brutalne prześladowanie Kościoła. Gmach katolickiej Akademji duchownej w Petersburgu niedługo zabrano na uniwersytet ludowy, a w gmachu Seminarjum duchownego umieszczono żydowską ochronę! Od księży zażądano oddania ksiąg metrykalnych, a udzielać sakramentów zezwolono tylko osobom, które przedtem dopełnią cywilnej powinności zapisania aktu u władz sowieckich. Zaczęto też dawać rozwody i żądać od księży, by błogosławili śluby osób, które uzyskały rozwody bolszewickie.

Na tem tle zaczęły się zatargi i wkrótce całe szeregi księży znalazły się w więzieniach, po uprzedniem wyrzuceniu ich z plebanij, które sekwestrowano wraz z licznemi ochronami katolickiemi. Z kościołami postępowano bez skrupułów, np. na wieży kościoła w Smoleńsku umieszczono radjostację. Od księży zażądano zawierania kontraktów na korzystanie z kościołów, przeprowadzając swe żądania z większą lub mniejszą natarczywością. Przy tej okazji przeprowadzano po kościołach rewizje, nie oszczędzając tabernaculum, robiąc to nieraz z bezczelną arogancją, a więc z papierosami w zębach, w czapkach. Niestety nieraz w tem czynny udział brali komuniści polacy.

Pierwsze represje spadły na księży w Mohylowszczyźnie, gdzie wydano na wiosnę 1918 r. zarządzenie aresztowania wszystkich obywateli ziemskich, oraz księży. Który z nich się nie ukrył, został wtrącony do więzienia; wśród nich byli księża: dziekan mohylowski Eugenjusz Światopełk-Mirski, dziekan mścisławski Walentynowicz i wikarjusz jego ks. Grzebała. Wkrótce Walentynowicza zwolniono, Światopełk-Mirskiego wywieziono za miasto i zamordowano, Grzebałę mieli rozstrzelać z powodu braku miejsca w więzieniu (!), ale dozorca znalazł dlań lokatę, więc ocalał. Prawie jednocześnie zabito przy ołtarzu ks. Marcyniana i ks. Bikszyca — obu w Witebszczyźnie.

Najcięższym dla Kościoła zdaje się był rok 1919. W Petersburgu wtrącono do więzienia arcybiskupa Roppa, którego dopiero po kilku miesiącach na zamianę za jakiegoś bolszewika uwolniono pod warunkiem wyjazdu do Polski. Po nim przez więzienie przeszedł sufragan ks. biskup Cieplak; biskup miński w przebraniu włościańskiem, z brodą ukrywał się gdzieś na wsi, biskup saratowski Kessler po dłuższem ukrywaniu się przeniósł się do części swej diecezji w Rumunji, biskup żytomierski ukrywał się w grobach cmentarnych i był zmuszany do upakarzających publicznych robót. Nie jesteśmy w stanie wymienić wszystkich nazwisk księży więzionych, skazanych na roboty przymusowe, ale niektóre przytoczymy. Więc dziekan mohylewski Białohołowy skazany na śmierć, w drodze łaski na więzienie i przymusowe roboty; dziekan smoleński na więzienie; dwaj wikarjusze, Dmochowski i Szczawiński, umierają w więzieniu na tyfus, dziekan orszański Graszys — więzienie, dziekan witebski — więzienie, dziekan zabialski Ożał — więzienie, dziekan samarski Łapszys — więzienie, w którem go sparaliżowało, administrator saratowskiej diecezji, prałat Klimaszewski — długie ciężkie więzienie; w Petersburgu idą do więzienia księża Iwiecki, Janukowicz, Kołpiński, Wasilewski w Mińszczyźnie: Świrszczewski, Lisowski, Ku-

charski, Oskierko, Tomaszewski, w Syberji — Audał, w Wilnie infułat Michalkiewicz, ks. Dyakowski zamordowany ; w Charkowie ks. Kwiatkowski, i wielu innych, na Ukrainie, Wołyniu i Podolu.

Podczas najazdu na Polskę w 1920 r. bolszewicy wyraźnie występują przeciw księżom i obywatelstwu. Koło Łomży rozstrzeliwują ks. Kołomyjskiego, w Łomży więżą w lochu biskupa Jałbrzykowskiego, z Ostrołęki rozstrzeliwują księdza, drugi unika śmierci jedynie przez symulację śmierci, bo cudem nie dosięga go kula w szeregu rozstrzeliwanych. Sufragan podlaski, biskup Sokołowski, cudem unika śmierci, już go więżą w stodole w tym celu. Po zajęciu Mińska wtrącają do więzienia biskupa Łozińskiego i kilka miesięcy trzymają go w Moskwie, aż zostaje przez rząd polski wyreklamowany za kilku komunistów.

Skutki całej tej wrogiej kampanji niebawem dają się uczuć, życie kościelne bowiem coraz bardziej się kurczy, wyjazdy z obrębu Sowdepji księży, którzy »zawinili«, przed czerwonym satrapą, śmierć i brak przypływu nowych pracowników wskutek zamknięcia od kilku lat seminarjów — zmniejsza i to znacznie szeregi duchowieństwa, które i tak pod ciągłą groźbą aresztów, rewizyj, cierpiąc niedostatek w raju bolszewickim, staje się coraz bardziej wycieńczonem i mniej zdolnem do pracy.

Z początkiem 1922 r. bolszewicy przypuszczają nowe ataki. Ponieważ w r. 1918—19 mała tylko liczba parafij spełniła żądanie podpisania owych kontraktów, więc w lutym b. r. zaczęto gwałtownie się domagać, aby wszędzie takie kontrakty zostały zawarte i nakazano rewizję dla sprawdzenia, które z parafij się od tego uchyliły, grożąc odebraniem i zamknięciem kościołów. Atak ten był przygotowaniem do następnej akcji — zrabowania świątyń z kruszców. 16 lutego t. zw. WCIK (Wsierosijskij Centralnyj Ispołnitielnyj Komitiet) nakazuje miejscowym Radom »wyłączyć z kościelnego dobra, które zostało na podstawie kontraktów powierzone gminom do użytku, rzeczy złote, srebrne i drogie kamienie, których zabranie nie może zbyt dotkliwie dotknąć sprawy kultu i oddać je instytucji walczącej z głodem (C. K. Pomgoł)«.

Cała perfidja jest jasną przy zestawieniu tych rozporządzeń. Bolszewikom chodziło o stworzenie okoliczności możliwie prawnych dla upozorowania gwałtu. Korzystając z głodu, jednocześnie ogałacano świątynie i zohydzano duchowieństwo, wystawiając duchownych jako wrogów ludu umierającego z głodu, boć przecież nie tłumaczono ludowi, że duchowieństwo nie chce dać kosztowności ze świątyń dlatego, że

nic one nie wpłyną na zmniejszenie głodu, że one trafią do Żydów i zbogacą kieszenie komisarzy, jak w rzeczywistości się stało.

I na tem tle rozegrały się istne orgje; prawosławny metropolita petersburski Benjamin (5 lipca b. r.), cały szereg biskupów, duchownych i świeckich zostało skazanych na śmierć za sprzeciwianie się wykonaniu powyższego zarządzenia. Grając na uczuciach tłumu, wystawia ich prasa bolszewicka (»Prawda« Nr. 148. 6. VII. 1922) jako dążących do ogłodzenia proletarjatu i sprzeciwiających się zarządzeniom rewolucyjnej władzy, dążącej ku dostarczeniu mu dobrobytu.

Arcybiskup Cieplak również został pociągnięty do odpowiedzialności za to, że proboszczowi z Jarosławia telegraficznie odpowiedział, iż wobec uczynionej rządowi przez Stolicę Apostolską propozycji, że będzie mu wypłacony ekwiwalent pieniężny za pozostawienie kościelnych rzeczy, sekwestr kosztowności jest bezprawiem. Niebawem też będzie musiał stanąć przed rewolucyjnym sądem.

Na dowód, że bolszewikom chodzi nie tylko o kosztowności, ale wogóle o osłabienie wpływu Kościoła, posłużyć mogą inne bolszewickie zarządzenia. Wbrew dekretowi 23 stycznia 1918 r., który w p. 9 mówi: »Szkoła się oddziela od cerkwi; Wykładu religji w szkołach państwowych i prywatnych zabrania się; Obywatele mogą nauczać i uczyć się religji prywatnie« — 3 stycznia b. r. bolszewicki dekret zabrania nauczania religji młodzieży do lat 18 nawet w domach prywatnych, motywując, że »dopiero« w wieku starszym młodzież może »świadomie« orjentować się w sprawach religijnych«. A jednocześnie dodaje: »w celu zasadniczego zapobieżenia wykładom religji, religijnych tradycyj i obrzędów młodszym poniżej 18 lat, duchowni, wykraczający przeciw temu, będą prześladowani z całą surowością rewolucyjnych praw«. Pogróżka, ta jest w istocie stosowana; nauczycielki i wychowawczynie w zakładach są pilnie strzeżone, dzieciom zabrania się odmawiania pacierza i były wypadki wtrącania do więzienia za niestosowanie się do tego dekretu.

Mamy przed sobą dekret bolszewicki, który nakazuje »zawiadomić wszystkie wychowawcze i naukowe zakłady (szkoły, ochrony, itd.), że pedagogiczny i techniczny personal, który będzie prowadził z dziećmi pogadanki religijne, mówił o świętach, prowadził dzieci do kościoła, będzie nie tylko pozbawiany posad, ale i aresztowany«. Biorąc pod uwagę, że bolszewicy stworzyli kolosalne własne zakłady wychowawcze, jasną jest tendencja wychowania całego przyszłego pokolenia już w duchu bezwyznaniowym.

Również wbrew dekretowi z 23. I. 1918, gwarantującemu swobodę wiary i zewnętrznych jej przejawów, bolszewicy probowali krępować wygłaszanie kazań. Mamy przed sobą dokument następującej treści: »Do kościelno parafjalnej Rady. Wydział Rajispołkoma nakazuje duchownym pasterzom zawiadamiać kościelny Wydział Rejonu o projektowanych kazaniach jużto przed nabożeństwem, jużto po nabożeństwie wygłaszanych, pod postacią konspektu«.

Za czasów cesarskich miało coś podobnego miejsce, księżom w krajach zabranych wolno było tylko czytać kazania z aprobowanego przez rząd autora i za spełnianiem tego śledził sterczący w kościele żandarm, ale bolszewicy poszli dalej — żandarm był przynajmniej chrześcijaninem, kiedy cenzorem bolszewickim katolickich kazań, np. o Chrystusie, najczęściej będzie Żyd.

Wbrew również dekretowi z 23. I. 1918 r., który w p. 13 wygłasza, że świątynie oddawane są darmo do użytku gmin, bolszewicy próbowali i tę zasadę złamać, nakładając i to pod karą zamknięcia, duże podatki na kościoły (np. na farę w Mohylowie). Świeżo też zaszedł wypadek zamknięcia kościoła w Gatczynie, za niepodpisanie kontraktu, a przedtem kościół ten był sprofanowany przez żydka-komisarza, który chcąc zabrać srebrną puszkę z tabernaculum, sam je otworzył i wysypał Najświętszy Sakrament. Jest to też jeden z dowodów, że rabowanie kościołów odbywa się par force i bywają stosowane przytem przez bolszewickich urzędników najdziksze sposoby.

Jak reaguje na te gwałty duchowieństwo zarówno katolickie, jak prawosławne? Bardzo rozmaicie. Wśród duchowieństwa katolickiego — oczywista rzecz — panuje przygnębienie, ale naturalnie nie wywołało prześladowanie wśród niego żadnego rozłamu lub upadku. Inaczej jest z prawosławiem. Prawosławni poprostu potracili głowy. I wtenczas gdy bardzo nieliczna część protestuje, patrjarcha Tichon, pod naciskiem grupy bolszewizującego duchowieństwa z biskupem Antoninem na czele, abdykuje ze swego stanowiska. Dosyć twardo się stawia metropolita petersburski Benjamin, suspendując bolszewizujących popów, lecz ta jego postawa wywołuje gorszące publiczne repliki w pismach bolszewickich upadłych popów. Popi ci z Antoninem na czele stwarzają nową herezję — a tyle ich już zna kościół wschodni — pod mianem »Żywa cerkiew«. Jednocześnie, gdy nawracania się pojedyncze prawosławnych do katolicyzmu bardzo się mnożą w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, w tym ostatnim powstaje nowa schizma na tle narodowościowym, ukraińskim: zwykły pop wyświęca na biskupa niejakiegoś Szarajewskiego, Szarajewski

następnie konsekruje Lipkowskiego, a następnie kilkunastu innych i w ten sposób stwarza się cały szereg »duchownych« o nieważnych święceniach.

Koroną wrogiego stosunku bolszewików do Kościoła katolickiego była świeża profanacja relikwij błog. Andrzeja Boboli w Połocku. Już dawniej, rewidując relikwje swoich świętych, bolszewicy chcieli zabrać do muzeum również ciało bł. Andrzeja, ale na interwencję arcybiskupa Cieplaka wyższa władza bolszewicka zabroniła poruszać te relikwje (Moskwa, Rada Komisarzy 2 września 1919 r. N. 5646). 23 VI b. r. znowu bolszewicy połoccy targnęli się na relikwje, ale byli zdumieni, znajdując ciało całe, dobrze zachowane, spisali więc protokół i porzucając w kościele rozebrane z szat relikwje, usunęli się. Lud tymczasem tłumnie odwiedzał sprofanowaną świętość i naocznie się przekonywał, że relikwje są prawdziwe. Zresztą i sami bolszewicy stwierdziii, że relikwje są prawdziwem ciałem człowieka dobrze zachowanem, bo oto co piszą w swym protokóle:

»Prezes gub. Jazurek Witgubpolit upr. Ajczic Nejman, t. Tkaczew, od ukoma Lewickij unprofcoz Indulin, Wr. Dejnis, Pestmal, od żenotd. Baranow.

23—6—22 o 13 i pół wyżej wymieniona komisja przystąpiła do otwarcia trumny Boboli. Po przybyciu do kościoła znaleziono trumnę drewnianą, a w niej leży coś nakształt człowieka. Trumna była zapieczętowana i zamknięta na zamek. Według twierdzeń parafjan trumna została zapieczętowana i zamknięta przez biskupa Roppa i klucz znajduje się u niego w Petersburgu. Komisja postanowiła otworzyć i o tem sporządzić akt. Po zerwaniu pieczęci i zerwaniu zamku było zdjęte ubranie: z czaszki czapeczka, z ciała ornat, pod którym okazał się dokument, napisany po łacinie, który tu dołączamy. Pod ornatem było prześcieradło, które przykrywało tylko przednią część, po zdjęciu całego ubrania okazał się mumifikowany trup bez lewej ręki, sama kiść ze śladami gładkiego odpiłowania, czaszka pusta, ale w zwięzi z tułowiem, lewa kość biodrowa przywiązana wstążeczką do skóry, przednia część tułowia pokryta skórą, na grzbiecie skóry niema, odkryta jedna trzecia goleni z tyłu. Na prawem ramieniu wyrznięty kawał skóry. Kości słupa pacierzowego zupełnie niema, żebra w nieporządku. Brzuszna jama pusta, włosów niema, jamy oczne i nos otwarte. W szczękach jest kilka zębów. Według twierdzenia ekspertyzy medycznej trup ten nie podlegał gniciu, lecz podlegał mumifikacji. Według twierdzenia uczonego archeologa, trup zachował się dobrze z powodu sprzyjających warunków gleby. Historycznych danych brak z tego powodu, że katolickie władze

duchowne, a także rada kościelna odmówiły udziału i wyjaśnień. Rewizja skończyła się o godzinie 15-ej«.

Jednakże, jakby wiedzeni jakąś szatańską siłą, 20 lipca zjawiają się znowu i wywożą relikwje do muzeum. Oto, co mówi o tym fakcie prasa, a wiemy z pewnością, że w tym razie oparła się na źródłowych informacjach:

»20 lipca o 6 rano kilkunastu »czekistów«-żydów wpadło do kościoła w Połocku, a po wyłamaniu drzwi drewnianych, wiodących z prezbiterjum do kaplicy błog. Andrzeja Boboli, wyniosło z niej trumnę z relikwjami. Na zapytanie księdza, na jakiej zasadzie to czynią, odpowiedzieli »czekiści« stekiem wymyślań, a w końcu jeden z nich strzelił do księdza z rewolweru, ale chybił. Kula ugrzęzła w ścianie. Trumnę z relikwjami wynieśli bolszewicy do samochodu, przyczem jedną z kobiet, protestujących przeciw temu bezprawiu świętokradzkiemu, zabito kolbami. Samochód odjechał na dworzec kolejowy, zkąd relikwje wywieziono w stronę Witebska, prawdopodobnie do jednego z muzeów moskiewskich«.

Przyglądając się tym wszystkim faktom z ubiegłego czterolecia bolszewizmu, można zauważyć w stosunku do religji brak systemu i jakiś chaos w stosowaniu represyj. Tak to prawda, ale to nie ma znaczyć, że kierownictwo idzie nie z góry, nie z jednego centrum. Owszem temu centrum chodzi o jedno: zgnieść wiarę i do tego celu ono idzie, a mając wykonawców, aczkolwiek często nieudolnych, nie systematycznych i nieumiejętnych, jednak tą czy inną drogą zmierza do zamierzonego celu. Oczywista rzecz, triumf ten nie będzie trwały.

Ks. Dr. A. Około-Kułak.

LIRYKI M. K. SARBIEWSKIEGO

w nowym przekładzie.

KS. I. ODA XV.

DO RYCERSTWA POLSKIEGO.

Gdy Władysław, król Polski, pobiwszy Osmana, cesarza tureckiego, zwycięskie wojsko na leże zimowe ściągnął.

Wierzycie? Chwała! O wierzcie, potomki,
Że złaman Turczyn szpetnie z naszej ziemi
Zbiegł i w rozsypce, rzucając bój gromki,
Okupił pokój zgony nieszczęsnemi.

Jakiż strach skrzydła poprzypinał wtedy
Pohańcom sprosnym, gdy z hufcami społem
Władysław ślepe od trwogi czeredy
Gnał, piorunowy miecz wznosząc nad czołem?!

Jakiż Tatarów i Janczarów roty
Ogarnął przestrach, gdy niemal już zdala
Zbladł modry Dunaj, rumieńcem sromoty
Bosforu mętna pokryła się fala?!

Gdy się drżącemi zjeżyły dziryty
Tureckie tarcze, gdy drgnęła Artace
I brzękły bronią haniebną wież szczyty
W Bizancjum, oraz Konkanu pałace?!

Czy darmo wiekom późniejszym laur chwały
Krwią swą kupilim? Czyż ojców swych śladem
Po latach będą prawnuki biegały
I równy przodkom zdobędą dyjadem

Rycerskie syny? Gdyż teraz, o wstydzie!
Od przodków gorsze się dzieci zrodziły
I gnuśny okres, co na świat dziś idzie,
Praojców pięknej wyzbywa się siły.

Więc świadki sławy, uzyskanej ongi
Przez przodków: wozy, miecze i wśród znoju
Ze świątyń wroga wyrwane posągi,
Pamiątki świeże Bałkańskiego boju

Płomieńmi spalmy. Nie leniąc się, w żarze
Kamiennych figur rząd skruszmy wspaniały,
Spiż, ojców dymem okopcone twarze,
Woskowe maski, pamiątki ich chwały

We fale Wisły pogrążmy aż do dna,
Lub, gdy poziomej wstydzim się martwoty,
Niech nas odznaczy palma, przodków godna.
Wzniosłemi czyny odnowić ich cnoty

Ślubujmy. Władco, którego nad krocie
Miast, ponad ziemie i ludy skrzydlata
Wyniosła sława — o wdzięczny klejnocie,
Podporo w gruzy lecącego świata:

Dawno już Turka krwi sprosnej niechciwy
Z podwojów polskich miecz zerwij na nowo,
Królu, i oręż Edońskim straszliwy
Zastępom, w słońcu znów podnieś nad głową!

KS. I. ODA XIX.

TĘSKNOTA DO NIEBIESKIEJ OJCZYZNY.

Pierś mą rozpala ojczystej wdzięk niwy,
Szafirów głębia, co wieczny żar miota,
W eterze drżący gwiazd bezmiar szczęśliwy,
Księżyca srebrny promień i ze złota

Lampy, u niebios bram lśniące łagodnie...
O korowodzie nocy, co się sprzysiąc
Zdołał, by w przestwór nieść drżące pochodnie!
Piękne ojczyzny lice, gdzie ócz tysiąc
Czarowną strażą wciąż czuwa w błękicie!
Czemu mnie, krain gwieździstych dziedzica,
Tak zbytnio długo wygnańcem widzicie,
Dalekim nieba, co serce zachwyca?
Tutaj srebrzyste uścielcie mi darnie,
Tu grób liljami ubierzcie białemi,
Chłopięcy pałac, co runął w pył marnie.
Tu śmierci zerwę kajdany i w ziemi,
Sam prochem będąc, porzucę me pyły.
Tu złóżcie gnuśne szczątki mego ciała,
By, uwolniona, nad cienie mogiły
W bezmierny przestwór dusza uleciała.

KS. IV. ODA XXIII.

DO PASIKONIKA.

Siedzący w górze na liściach topoli,
Pijany rosy łzą, coć napój daje —
Pasikoniku, co pieśnią dowoli
Ożywiać zwykłeś ciche nasze gaje.

Po długiej zimie — krótka pora wiosny
Łagodnie pędzi ulotne swe koła:
Nuże, pospiesznie spór zacznij radosny
Ze słońcem, które do życia świat woła!

Bo szczęścia uśmiech nie zjawia się co dnia
I prędko pierzcha, niedługo wzrok pieści
Rozkoszy serca promienna pochodnia,
Dłuższą jest zwykle tęsknota boleści.

EPODON, ODA IV.

O DZIECIĄTKU JEZUS.

na rękach Matki Boskiej.

Kochajmy! Czyliż pierś nasza zrobiona
Z granitu pustyń, lub Alp twardej skały?
Kochajmy! Patrzcie, jak z Mateńki łona
Do pocałunków naszych Jezus mały
Sam się wychyla. O nawet Tatarzy
Swe harde czoła skłoniliby przed Nim.
Jak błogi uśmiech i czar w Jego twarzy!
Jak oczy wdziękiem błyszczą niepowszednim,
Jak śnieżne barki lśnią! Jak cudnie włoski
Promieniem słońce Mu krasi — dziecięce!
Na szyi naszej chce zwisnąć bez troski,
Sam się oddaje cały w nasze ręce...
O, jakże wdzięcznię Jego uśmiech niemy
Zachęca, byśmy Go wzięli w objęcia:
Kochajmy, lub gdy kochać nie możemy,
Lepiej nam umrzeć u stópek Dziecięcia!

ZE »ZABAW LEŚNYCH«. — Zabawa II.

DO ROSY.

Taniec pasterzy, gdy Władysław rankiem do Soleczników na polowanie przybył.

Łagodna roso poranna,
Niesiona przez wiatr skrzydlaty,
Co jak manna
Barwne kwiaty
Kryształem cudnym szkarłacisz
I na zwojach ich purpury,
W cieniu zacisz,
Rozsypujesz pereł sznury.

Czujna wschodu ogrodniczko,
Która w ranka błogą chwilę
Łąki liczko
Zwilżasz mile

Koneweczką srebrną co dnia,
Deszczu, który w dzionek błogi
Zorza wschodnia
Śle kroplami w pól rozłogi.

Mleczko zorzy, która w sadzie
Macierzyńską pierś swą, pusta,
Ścicha kładzie
W kwiatów usta.
Wznosząc pęki wonne, duże
Barwnemi warg swoich płatki
Krasne róże
Biorą pokarm z piersi matki.

Gwiazd nocy trzódko wesoła
Perły, które ślą niebiosy,
Gwiazdy sioła,
Gwiazdy rosy,
Łezki kwiatów promieniące,
Które żałość budzi szczera,
Gdy na łące
Pierzchająca noc zamiera.

Groty zwierząt, nóg ich ślady
Rzeszom strzelców, pełnych troski
Zdala zdrady
Wskażcie roski,
Śladami, pewnemi wielce
Do łupu, który się chowa
Zawiedź strzelce,
Poranna roso perłowa!

Przełożył *Ks. T. Karyłowski.*

Błędne drogi polityki skarbowej i ekonomicznej.

(Dokończenie).

Jak się zachował wobec tej katastrofy naszego życia gospodarczego Rząd, prasa i czynniki miarodajne?

Rząd z trybuny sejmowej rzucił w zbolałe społeczeństwo dla skrzepienia ducha w ciężkiej walce o byt dziwnie twarde hasło: »Żelazna miotła«, »Żelazne nożyce« i »Żelazna śruba«. Rząd zapowiedział uroczyście, że to, co się dzieje, dzieje się z jego wiedzą i zgodą. Kurs marki polskiej musi się dźwignąć i ustalić, maszyna drukująca marki, musi być zatrzymana.

Pragnąc zmniejszyć wydatki na administrację, usunął rząd w ciągu jesieni, zimy i wiosny 1922 r. kilkadziesiąt tysięcy urzędników i oficerów ze służby, nie pytając o to, czy wobec katastrofy gospodarczej znajdą ci ludzie w kraju odpowiednie zajęcie i zarobek. Tak zaznaczyła swą działalność »miotła żelazna«. »Żelazne nożyce« obcięły kredyty bankom i kooperatywom, a nawet kredyty na roboty rządowe regulacyjne i meljoracyjne, zaś »Żelazna śruba« znalazła swój wyraz w daninie majątkowej.

A prasa? Ta obrzuciła stekiem obelg naszych kupców i przemysłowców, żądając natychmiastowej zniżki cen towarów, zniżki proporcjonalnej do zwyżki marki polskiej. Dopiero wówczas, gdy miljardy trzeba było w formie pożyczek lub subwencji oddać dla ratowania przemysłu od zupełnego zastoju, dopiero wówczas ukazały się tu i ówdzie w prasie naszej wstydliwe artykuły, wyrażające nieśmiało obawę, czy przypadkiem szczęście, jakie naród polski w postaci tak znacznej poprawy waluty i jej chwilowej stabilizacji spotkało, nie przyszło zbyt nagle i czy skutkiem nadmiaru radosnych wrażeń nie pęknie serce naszego życia gospodarczego. Tyle prasa.

Sejm uchwalił daninę, dał Rządowi wszelkie możliwe pełnomocnictwa i zapatrzony w tendencję zwyżkową naszej waluty, w jej pozornie stały kurs na giełdzie światowej, przymknął oczy na rzeczywistość, na wszystko co mogło ten piękny obraz przesłonić. Urzędnicy państwowi otrzymali »wysoką« podwyżkę, prawdziwy realny rzeczywisty budżet, podstawa gospodarki państwowej tak jakby już był, a reszta to drobnostka.

A więc drobnostka, że emeryci, wdowy i sieroty po urzędnikach giną z głodu, że byli żołnierze wojsk polskich, byli obrońcy kraju, bohaterowie, kwiat narodu, najlepsi synowie ojczyzny, którym w chwilach krytycznych sejm wyrażał tylokrotnie cześć i uznanie, żyją dziś w ostatniej nędzy i nie mogą znaleść pracy w kraju, drobnostka, że fala bezrobotnych się powiększa, że domy się walą ludziom na łeb i w gruzach grzebią żywcem obywateli, drobnostka, że zapanował zastój zupełny w ruchu budowlanym, w przemyśle i handlu.

A gdy się o tych drobnostkach mówi, to w kuluarach sejmowych spotkać się można z takiemi utartemi już objaśnieniami: »Stosunki są wprawdzie niemiłe, ale cóż robić, Polska jest biedna, prowadzimy walkę ekonomiczną, nie stać nas na to, by płacić wysokie pensje emerytom, wdowom i sierotom, nie możemy nakładać na pusty skarb zbyt wielkich ciężarów, co czynimy, czynimy i tak nad siły, społeczeństwo musi samo wykrzesać z siebie energję życiową. Jest wolny handel, przemysł nasz to jeszcze biała niezapisana karta, pracę może każdy znaleść, jeżeli tylko zechce pracować. Nie można przyzwyczajać ludzi, by oglądali się ciągle na pomoc państwa. Proszę patrzeć, sytuacja nasza i tak się poprawia, wartość waluty naszej się podnosi, uzyskaliśmy nawet pożyczki zagraniczne, widocznie nabiera świat do nas zaufania, administrację płacimy dobrze, wchodzimy powoli w okres pokojowego rozwoju, mamy dobrą armję i policję, emeryci, wdowy, sieroty i zdemobilizowani nie zrobią z pewnością rewolucji, nie mamy więc najmniejszego powodu czegokolwiek się obawiać".

A jednak wyjaśnienia te są z gruntu błędne i w pierwszym rzędzie sama rzeczywistość kłam im zadaje.

Przedewszystkiem kurs marki polskiej podniósł się sztucznie i tylko sztucznie był utrzymywany. Marka polska nie podniosła się dlatego, jakoby wzrosła jej wartość i trzymała się czas dłuższy na tym samym mniej więcej poziomie nie dlatego, jakoby jej wartość się ustaliła, lecz wyłącznie dzięki temu, że traktowaną była nawet przez nasz własny rząd na giełdzie zagranicznej jako towar, a nie jako

pieniądz i że ceną jej rządzi jedynie prawo podaży i popytu. Rząd nasz, pragnąc utrzymać kurs marki, musiał wszelki nadmiar podaży wykupywać po cenie stałej i dlatego kurs marki polskiej w Zurychu trzymał się przez pewien czas na jednakim prawie poziomie.

Jakiemi sposobami zdobywał rząd walutę obcą, potrzebną do tej walki, w to nie wchodźmy, gdyż w gruncie rzeczy jest to właściwie obojętne, w każdym jednak razie śmiało możemy powiedzieć, że sposoby te były zawsze bardzo niepewne i że nietrudno było przewidzieć, że prędzej lub później musi nadejść chwila, w której zawiodą. Zagranica była, jest i będzie finansowo od nas silniejsza, nie można się zatem dziwić, że szczupłe zapasy nasze szybko się wyczerpały i że środków do tej zabawy zabrakło.

Pożyczki zagraniczne nie mają z wartością waluty naszej nic wspólnego, zwrócone bowiem być muszą w tych pieniądzach, w jakich się je podejmuje, a nie w markach naszych. Polska jest krajem nie biednym, lecz przeciwnie bogatym, a dotychczasowe jej zobowiązania w walutach obcych są znikome i nie stoją w żadnym stosunku do naturalnych skarbów, które posiada, a które dla zagranicy realniejsze niż nasza waluta przedstawiają wartości. Jeżeli więc są dostateczne gwarancje, to i pożyczka jest łatwa i możliwa i nie można jej uważać za coś nadzwyczajnego, tembardziej, że wskutek nadmiaru pieniądza za granicą i zastoju w przemyśle i handlu, spowodowanego brakiem rynków zbytu, kapitał zagraniczny szuka wprost dobrej lokaty i gotów nawet coś niecoś zaryzykować, byle uzyskać korzystne oprocentowanie. Gdyby pożyczki zagraniczne miały bezpośredni związek z wartością naszej waluty, to kurs jej, o ileby nie był sztuczny, powinienby po uchwaleniu nam tych pożyczek raczej się obniżyć niż się podnosić, bo weksle właściciela nieruchomości, kupca i przemysłowca są tem pewniejsze, im mniej długów on posiada, a tem mniej warte, im bardziej w długi się pakuje. Nie można też twierdzić, że zaufanie zagranicy do nas wzrosło, bo przecież na słowo honoru nam nie pożyczali, a zagranica gotowa była nawet sowietom udzielić pożyczki, byle tylko otrzymała realne gwarancje.

Co się tyczy słów, że wchodzimy w okres pokojowego rozwoju, mamy armję, policję, dobrze płatną administrację, a wobec tego spać możemy spokojnie, to zaznaczyć trzeba z całym naciskiem, że ani jedno z tych zapewnień nie jest prawdziwe. Siła kupna marki polskiej w kraju spadła w czasie jej zwyżki giełdowej blizko trzykrotnie, jeśli bowiem

weźmiemy ceny artykułów codziennego zapotrzebowania w czasokresie zeszłorocznym, kiedy dolar wynosił 7.000 marek polskich i porównamy je z cenami tych samych artykułów w chwili, gdy kurs dolara wahał się około 4.000 marek, to zobaczymy, że ceny te są przeciętnie trzy razy wyższe. Znaczy to, że stabilizacja marki w stosunku do walut szlachetnych nie przyniosła w Polsce zniżki cen i zmniejszenia drożyzny, mimo »zatrzymania maszyny drukującej banknoty« i że, przeciwnie drożyzna wzrastała i wzrasta, powodując coraz większą nędzę, coraz gorszy stan majątkowy ludności i paraliż całego życia gospodarczego.

Rząd widział to, zdawał sobie sprawę z tego, że ta *haussa* towarów na rynku wewnętrznym podcina wiarę w realność projektowanego przezeń budżetu, widział, że budżet ten staje się codzień mniej rzeczywistym, że czas przekreślił w krótkiej drodze szereg pozycyj i że jeżeli dalej tak pójdzie, przekreślać będzie stale wszystkie misternie zestawione cyfry. I jakież wnioski wyciągnął Rząd z tych obserwacyj. Oto stworzyło się naprędce nowy urząd, na którego czele staje nadzwyczajny komisarz dla zwalczania drożyzny, piastujący równocześnie godność ministra skarbu. Zamiast cen maksymalnych, które niedawno zmarły, pozostawiając złą pamięć u współczesnych, ustanawia się ceny wytyczne, zamyka się na miesiące całe eksport, któremu parę tygodni wstecz otwierało się na oścież wrota granic dla ratowania waluty, zezwala się na kupno środków żywności za granicą, dobierając do tej akcji specjalnie utalentowanych fachowców i rozpoczęło się w ten sposób ponownie nie prowadzący do celu taniec »w koło Macieju«, który przyrównać można do gonitwy psa za własnym ogonem.

Tego przecież nie można żadną miarą nazwać powrotem do normalnego rozwoju pokojowego.

I rzecz dziwna: środki te stosować zaczął rząd, który w programie swoim zaznaczył z całym naciskiem, że uważa »za warunek *sine qua non* ekonomicznego rozwoju i poprawy finansów wolną gospodarkę«, której miał być bezwzględnym zwolennikiem i która jedynie może dać impuls do przedsiębiorczości i inicjatywy prywatnej. Widocznie zmienił rząd poprzednio głoszone zapatrywania i postanowił rozwiązać problem skarbowy niezależnie od problemów gospodarczych.

Życie jednak, które biegło i biegnie utartemi swemi torami, nie da się ująć w fikcyjne ramy pospiesznych i prowizorycznych zarządzeń i z błędnemi teorjami zawsze pozostanie w sprzeczności. Dzieci maleńkie, idące za odpływem na brzeg morza, nie powstrzymają przypływu wód, choćby najszerzej rozpościerały rączęta i jeśli się w porę nie

cofną, zginą w powrotnej fali. Już dzisiaj widać, aż nazbyt wyraźnie, że pensje urzędnicze z »wysokiemi« podwyżkami znowu za małe do wyżycia, że rozpocznie się ponownie gospodarka bezbudżetowa i że mimo daniny i ofiar wróciliśmy tam, gdzie byliśmy rok wstecz. Nędza zdeprawuje znowu część personalu administracyjnego, powiększy się liczba śmierci głodowych emerytów, wdów, sierot i zdemobilizowanych, a nim ponownie słońce zejdzie, rosa oczy wyje.

Nowy rząd, mimo pożyczek zagranicznych, nie znajdzie w porę funduszów obcych do giełdowej walki finansowej, jaką poprzedni rząd prowadził, cały nasz gmach państwowy stanie u granicy sił swej wytrzymałości i wystarczy wówczas dmuchnięcie naszych wrogów, by runął, grzebiąc w swych zwaliskach krzywdzonych i krzywdzicieli. Tak, to prawda, że emeryci, wdowy, sieroty i zdemobilizowani nie zrobią rewolucji, ale z ich śmierci głodowych, z ich nędzy, łez i krwi zrodzi się nastrój duchowy w społeczeństwie naszem, który wszelką walkę o byt państwowy uniemożliwi. Nie wolno poniewierać godności człowieczej i urządzać zabaw tańcujących na rzecz zdemobilizowanych i bezrobotnych oficerów, nie godzi się i nie można deptać bezkarnie po uczuciach ludzkich, po honorze ludzkim, po najświętszych obowiązkach, jakie państwo ma w stosunku do swych byłych urzędników i pozostałych po nich rodzin. Takie rzeczy się mszczą strasznie po latach, a nawet po lat dziesiątkach. Nie wróci w krytycznym momencie do służby zasłużony oficer, spensjonowany wskutek przekroczonego wieku który zamiast »*panem bene merentium*« otrzymał śmieszną pensję, nie wystarczającą na najnędzniejsze wprost utrzymanie. Wielu z tych ludzi, do których w kilka tygodni po spensjonowaniu zwrócił się rząd z zapytaniem, czy na wypadek wojny reflektują na czynny udział, odpowiedziało w słusznym gniewie i oburzeniu mimo sił i doskonałego zdrowia, że w tym wypadku są »z powodu przekroczonego wieku, tembardziej do żadnej służby nie zdolni«. Nie zaciągnie się w szeregi cudem pozostały przy życiu syn wdowy po poległym na polu chwały majorze W. P., którego matka zapracowała się na śmierć, by go kształcić, a umierając przeklinała społeczeństwo, które mimo ofiarnej śmierci męża nie zabezpieczyło jej koniecznych środków, by syna bohatera na godnego wychować obywatela. Nie pozwoli dzieciom bronić kraju i »rządu« rozgoryczona chłopka, która za sprzedaż jaj 2 marki drożej ponad ceny wytyczne, o których — nawiasem mówiąc — nie wiedziała, ukarana została niesłusznie dwumiesięcznem więzieniem.

Na nic policja, na nic armja, wychowana w takiej atmosferze [1]), odartej z wszelkich uczuć etycznych i wszelkich ideałów. Nie potrafi ona obronić kraju przed inwazją i nie będzie chciała zwalczać szerzącej się na wewnątrz kraju anarchji, gdyż duchem stać będzie w całości po jej stronie. To prawda, rewolucji w dosłownem tego słowa znaczeniu nie będzie, ale też nie będzie jej nawet potrzeba; rozpadniemy się bowiem sami jak próchno, zaoszczędzając sobie mąk wewnętrznej walki bratobójczej.

---

[1]) Cytujemy tu w dosłownem brzmieniu list wystosowany 15 listopada 1921 roku do jednego z naszych ministrów skarbu przez żonę jenerała W. P., który jest synem powstańca z 1863 r.: „Wielce łaskawy Panie Ministrze! Przedewszystkiem proszę o wybaczenie, że nieznana Panu osobiście pozwalam sobie przesłać pismo niniejsze. Niech mnie wytłómaczy z jednej strony bezgraniczne zaufanie, z jakiem się do Pana zwracam, zaś z drugiej strony ważne sprawy niecierpiące zwłoki. Jako żona emerytowanego generała W. P., podzielam smutny los jego, jak również współczuję głęboko z opłakanym i beznadziejnym losem wszystkich emerytów. Nie mogąc dłużej ani osobiście tak cierpieć, ani patrzeć jak inni fizycznie i moralnie cierpią, udają się do łaskawego Pana Ministra z zażaleniem i pragnę wyświetlić stosunki o pomstę do nieba wołające w tej nadziei, że Pan Minister, na którego są zwrócone obecnie oczy całej naszej ojczyzny, zbadawszy dokładnie sprawę, otoczy swą sprawiedliwą opieką dolę starych i zasłużonych oficerów. W kwietniu b. r. wysłano na pensję, bez względu na zdolności i zasługi osobiste, a tylko „z powodu przekroczonego wieku" najzdolniejszych naszych jenerałów i sztabowych oficerów. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ta fatalna okoliczność, że ci wszyscy dzielni ludzie są jeszcze w pełni sił, pragną i muszą żyć, a de facto nie mają wprost za co utrzymać się przy życiu. Tytułem zaliczki przesyłane gaże emerytalne są tak rozbrajająco naiwnie małe, że my, żony i córki, pragnąc mężów naszych zachować przy życiu, przyjmować musimy najmarniejsze zajęcia, obniżając tem samem w wysokim stopniu autorytet armji polskiej i inteligencji w oczach całego społeczeństwa. Czy na taką podziękę zasłużyli nasi mężowie, poświęcający z taką ochotą swe życie i mienie dla ojczyzny? Jako rażący przykład, podaję najdokładniejsze daty ostatnio otrzymanej pensji listopadowej, która wraz z dodatkami wynosiła nominalnie 22.368 marek. Po potrąceniu na podatek 2.428 Marek i na porto 105 Mkp., pozostało 19.835 Marek do opędzenia wszelkich wydatków dla całej rodziny, Nie jest to wprost oburzającem, aby mąż mój, wysłużywszy 30 lat, w tem trzy lata jako jenerał W. P., był w ten sposób wynagradzany? Śp. ojciec męża mojego był powstańcem z r. 1863, uznany był od ówczesnego rządu dekretem pochwalnym, gdyż całe swe mienie poświęcił ojczyźnie w nadziei, że kiedyś dzieciom jego lepsza przyszłość zaświta. Mamy w armji polskiej dwóch synów jako oficerów zawodowych, którzy walczyli na frontach w najcięższych chwilach, a z których jeden został ciężko ranny. Krzywda wyrządzona pamięci dziada i krzywda wyrządzona świeżo ojcu zniechęca tych ludzi do dalszej służby wojskowej i jest im odstraszającym przykładem, niejako złą przestrogą na przyszłość. Przytoczone

Niemcy, jako najbliższy sąsiad praworządny, otrzymają za cenę przejęcia na siebie wszelkich zobowiązań, zaciągniętych przez nas w walutach obcych, mandat zrobienia w kraju naszym ładu i porządku i rozpocznie się dla narodu naszego drugi okres niewoli, cięższy i dłuższy niż był pierwszy, a pokolenia przyszłe zamiast wołać: »Tobie wielka ofiarna przeszłości cześć i chwała«, kląć będą ojców swoich za dolę, jaką im głupota, bezradność i apatja nasza zgotowały.

Tak zatem przedstawiałby się jasno i wyraźnie całokształt sytuacji naszej, w jakiej obecnie się znajdujemy, na podstawie, której niestety na najbliższą przyszłość nawet bez zbytniego pesymizmu smutne jedynie horoskopy wysnuwać należy. Łatwo też dojrzeć związek, jaki zachodzi między sytuacją tą a drogami, jakiemi kroczy dotychczas nasza polityka skarbowa i ekonomiczna.

III. Możliwość i konieczność podstawowej reformy.

Naturalnie, że z chwilą odrzucenia pendzla i ciemnych farb, któremi cały powyższy obraz był malowany, nasuwa nam wprost sam instynkt samozachowawczy pytania pierwszorzędnej wagi: czy niema już ratunku, czy niema wyjścia z błędnego koła, czy zdążymy wybrnąć z tej sytuacji, czy nie jest już za późno?

Na szczęście na wszystkie te pytania możemy z całym spokojem i głębokiem przekonaniem odpowiedzieć uspokajająco.

Ażeby jednak módz drogę wyjścia znaleźć, należycie wyświetlić i uzasadnić, trzeba wprzód stwierdzić, w czem tkwią błędy zasadnicze dotychas u nas stosowanych systemów polityki skarbowej i ekonomicznej. Musimy powrócić do przerwanego chwilowo toku rozważań teoretycznych.

Na podstawie wniosków, poprzednio już stwierdzonych, powiedzieć możemy, że zasadniczy błąd dotychczasowej naszej polityki ekonomicznej i skarbowej tkwi w tem, że traktowaliśmy markę polską zawsze na równi z walutą szlachetną, podczas gdy ona wielu jej

---

przezemnie fakta, Panie Ministrze, są tylko słabem odbiciem obrazu nędzy panującej między rodzinami oficerskiemi i dlatego proszę najuprzejmiej o łaskawe serdeczne zajęcie się tą sprawą, która przedstawia się katastrofalnie i wymaga natychmiastowej reformy.

Proszę przyjąć łaskawe wyrazy poważania

E. St.

Kraków, listopad 1921.

List ten pozostał niestety bez odpowiedzi.

cech nie posiada, a zatem narówni z nią traktowaną być nie może. Waluty szlachetne mają podkład złoty, a „niema towaru, względnie niema dobra mniej podlegającego zmianom wartości jak złoto". Na kurs złota wywiera wpływ tylko jedna gałąź życia gospodarczego, obejmująca jego eksploatację i handel złotem. Ze względu na zasadniczą cechę, można pieniądzem szlachetnym spełniać rozmaite zadania, nadaje się pieniądz taki do układania w nim budżetów państwowych, do wyznaczania podatków i danin, do ustalania pensji, do bilansowania rachunków rocznych, słowem do normowania całego życia gospodarczego narodu, który pieniądzem tym się posługuje.

Marka polska ma tylko naturalny podkład towarowy, którego cena jest zmienna i prawie że nieuchwytna. Na kurs pieniądza nie o złoto opartego, mającego jedynie i wyłącznie podkład naturalny, towarowy, wywiera wpływ całe życie gospodarcze we wszystkich swych splotach i przejawach. Otóż ze względu na tę podstawową różnicę nie można używać marki naszej do tych samych celów i zadań, które spełnia z powodzeniem pieniądz szlachetny.

Kurs dolara lub franka szwajcarskiego obliczyć można ostatecznie przy pomocy wagi aptecznej, a w życiu praktycznem kurs ten wyznaczony jest t. zw. punktami złotemi, poza które wychylać się nie może [1]).

Kurs marki polskiej w stosunku do waluty szlachetnej obliczyć można, pomijając wpływy uboczne, jedynie w sposób poprzednio wy-

---

[1]) „Jeżeli przed wojną 3280 koron austro-węgierskich równało się w stosunku do kilograma złota 2790 markom niemieckim, to wówczas 100 marek równało się 117·56 koronom. Przypuśćmy, że w Wiedniu za 100 marek chciano dawać tylko 105 koron. Właściele marek mogli natychmiast posłać marki swoje do Berlina, wymienić je na złoto, następnie to złoto przywieźć do Wiednia i wymienić je w banku państwa w stosunku 117·56 koron za każde 100 marek złota, czyli drożej. Jeżeli odwrotnie chciano za 100 marek np. 130 koron, to właściciele koron mogli je wymienić w Wiedniu na złoto, następnie złoto przewieźć do Berlina i tam wymienić je w stosunku 100 marek za 117·56 koron, czyli taniej. Wahania więc kursów zamiennych przy walucie złotej miały granice zakreślone kosztami przewozu, ubezpieczeń, opłat menniczych i t. d. — Powyżej lub poniżej takich kosztów kursy zamienne nie mogły ani podnosić się, ani spadać, bo natychmiast regulowały je automatycznie przepływy złota z kraju do kraju. Były to granice, zakreślone przez t. zw. punkty złote, górne i dolne, różne dla walut poszczególnych krajów, ze względu na różnice w kosztach transportowych. Była to największa zdobycz i zarazem największa korzyść systemu waluty złotej. Stałość kursów zamiennych ułatwiła niepomiernie międzynarodowe stosunki handlowe i ożywiła je z olbrzymim pożytkiem dla cywilizacji gospodarczej". *Dr. F. Młynarski*, Reforma ustroju pieniężnego, 1921.

jaśniony, a ponieważ siła kupna jej wewnątrz kraju zawisła jest bezpośrednio od naszego życia gospodarczego, więc nie można czynić rzeczy diametralnie przeciwnej i normować toku tegoż właśnie życia gospodarczego jej kursem chwilowym. Szydła używa rymarz i szewc bezprzecznie do robienia dziur w skórze, żaden z nich nie bierze jednak nigdy instrumentu tego ostrzem do ręki i nie stara się zrobić trzonkiem dziury w rzemieniu. Każdy wie dobrze, że szydło odpowiedziałoby i wtedy swemu zadaniu i zrobiłoby dziurę, ale nie w rzemieniu, tylko w ręce. Tak samo ma się sprawa z marką polską, życie gospodarcze może ją pchać w dół lub w górę, z chwilą jednak, gdy zechcemy jakimkolwiek kursem chwilowym marki pchnąć życie gospodarcze w kraju naprzód, musimy je bezwarunkowo skaleczyć.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że pieniądz jest najporęczniejszym ekwiwalentem dla wszelkich form kapitału wymiennego. Określenie to odnieść można zarówno do marki polskiej jak i do pieniędzy szlachetnych [1]).

Marką więc polską można płacić podatki, można płacić pensje i emerytury, można używać jej nawet do handlu towarowego tak w kraju, jak zagranicą, nie można jej jednak używać ani do układania budżetu, ani do wymierzania podatków, ani do oznaczania pensyj, ani do bilansowania przedsiębiorstw, gdyż do tych celów ze względu na swą strukturę, a raczej ze względu na brak stałej struktury wewnętrznej [2]) wcale się nie nadaje.

Rzeczywistość potwierdza te wywody teoretyczne w całej osnowie. Żaden nasz budżet dotychczas się nie utrzymał, [3]), podatki na-

---

[1]) „Pieniądz papierowy jest pieniądzem i niczem więcej". *A. Krzyżanowski*, Nauka o pieniądzu. Str. 120.

[2]) „Wydawałoby się, że jeżeli nikt nie nabywa pieniądza po to, by go posiadać, lecz po to, by uzyskać inny towar w zamian za niego, to w tym wypadku powinno być obojętnem, jaki to jest pieniądz. Ale z tą funkcją pieniądza, jako środka wymiany, łączy się ściśle jeszcze jedna funkcja, najściślej związana z jego poprzedniemi: pieniądz jest nietylko miarą wartości, *tertium comparationis* i nietylko środkiem wymiany, *tertium permutationis*, ale równocześnie, by mógł to ostatnie żądanie spełnić, środkiem lokaty pewnej sumy wartości gospodarczej, służy do jej przechowania; i idąc w ślad poprzednio przytoczonej terminologji łacińskiej, możemy powiedzieć, że pieniądz jest także *tertium conservationis*". *Prof. Rybarski*, Marka Polska i złoty polski 1922. Otóż marka polska tej trzeciej własności nie posiada.

[3]) Exposé na komisji budżetowej ministra skarbu Jastrzębskiego. Ilustr. Kurjer Codzienny 9 lipca 1922 r.

znaczone przed dwoma laty, a wpłacone ze względów technicznych dopiero teraz, są śmiesznie małe, pensje od dwóch lat zmieniły się dziesięciokrotnie, nasz przemysł i handel i rolnictwo sparaliżowane, stoimy niemal w przededniu ruiny gospodarczej. A dlaczego? Jedynie i wyłącznie dlatego, że dotychczasowe systemy polityki skarbowej identyfikowały markę z walutą szlachetną i popełniały przez to zasadniczy błąd, wyświetlony powyżej, używając *per fas et nefas* waluty naszej do spełniania celów, których ona spełnić nie jest w stanie.

Zostawmy teraz na chwilę na boku markę polską i zastanówmy się nad tem, czy możemy urządzić państwo, zaprojektować realny budżet bez pomocy tego surogatu pieniądza.

Wyobraźmy sobie gospodarstwo na 20.000 morgów, należące od szeregu wieków do tej samej rodziny. Gospodarstwo to posiada, prócz działu rolniczego, także dział przemysłowy i handlowy, posiada własne młyny, własne gorzelnie, browary, tartaki, kuźnie, stolarnie, fabrykę płótna i rozmaite inne zakłady przemysłowe. Taki majątek ziemski, przyznać to musimy po głębszem zastanowieniu się, jest przecież najwierniejszą miniaturą państwa. Majątek ten nie tylko nie posiada własnego pieniądza szlachetnego, ale nie ma nawet prawa wybijania własnej waluty papierowej, a mimo to prosperuje cudownie, posiada fachową, sprężystą, bardzo dobrze wynagradzaną administrację, wypłaca sumiennie pensje emerytom, sierotom i wdowom po urzędnikach, zakłada nowe rentowne przedsiębiorstwa i odrzuca właścicielom nadzwyczajne zyski.

Jeżeli gospodarka taka możliwa jest na małym, musi być możliwą i na dużym obszarze, musi być możliwą także i w państwie. Chodzi tylko o to, by pozostawić ten sam rozumny system, tę samą organizację, tę samą kalkulację dla dochodów i rozchodów, a wtedy z pewnością osiągnąć będzie można równie dobre rezultaty. Tajniki gospodarki na dużym majątku, są wszystkim aż nadto dobrze znane; służbę i administrację przyjmuje się na ordynarję, wydatki na zasiewy oblicza się w cetnarach metrycznych zboża, dochody również na cetnary metryczne zboża od morgi, gorzelnie kalkuluje się na hektolitry spirytusu, tartaki na metry kubiczne drzewa tartego, słowem operuje się wyłącznie realnemi wartościami, a pieniądzem tym lub innym posługuje się tylko wówczas, gdy to jest wygodne i tylko w tym wypadku, gdy pieniądz posiada wszelkie cechy konieczne do tego, by realnej kalkulacji nie utrącić.

Najprostszem więc wyjściem ze sytuacji byłoby urządzić całą gospodarkę państwową w sposób analogiczny.

Projekt ten, aczkolwiek pozornie wydaje się niewykonalnym, jest jednak w gruncie rzeczy możliwy do urzeczywistnienia w sposób nie nastręczający żadnych prawie trudności technicznych. Naturalnie mowy być nie może o tem, by budować rządowe magazyny i spichlerze na zboże, by pensje urzędnicze płacić workami żyta i pszenicy i dostarczać mleko do domów funkcjonarjuszom państwowym. Państwo ma prawo drukowania pieniądza papierowego i nadawania mu przymiotu waluty i to właśnie wystarczy najzupełniej do praktycznego zastosowania rozważanego systemu, jednak tylko przy pewnych specjalnych, poniżej wyszczególnionych założeniach.

Założenie I. Do obliczania dochodów i rozchodów, do układania budżetu państwowego musi się przyjąć teoretyczną jednostkę rachunkową, mającą ściśle określony naturalny podkład towarowy.

Założenie II. Państwo, puszczając w obieg pieniądz papierowy i nadając mu z pewnemi ograniczeniami przymiot waluty, musi pozostawić życiu gospodarczemu swobodę regulowania kursu pieniądza papierowego w stosunku do przyjętej przez siebie stałej jednostki teoretycznej.

Założenie III. Państwo prowadzić będzie ewidencję cen towarów, służących za podkład dla przyjętej rachunkowej teoretycznej jednostki i na tej podstawie ogłaszać będzie naturalny, jedynie przez życie gospodarcze wyznaczany kurs pieniądza obiegowego w stosunku do jednostki teoretycznej i to albo codziennie, albo też w miarę stabilizacji w pewnych dłuższych okresach czasu.

Założenie IV. Państwo przyzna niektórym walutom obcym pewne prawo obywatelstwa, a mianowicie możność składania w walutach tych opłat pocztowych i stemplowych na rzecz skarbu państwa.

Wszystkie powyższe założenia wymagają szczegółowych wyjaśnień, które obecnie kolejno podamy.

Jednostkę teoretyczną i wyłącznie rachunkową, którą nazwać możemy złotym polskim lub też inaczej, ustalić należy w sposób następujący.

Możemy powiedzieć, że złoty polski, 100 złotych polskich lub też $^1/_{10}$ złotego polskiego równa się wartości, jaką przedstawia suma następujących towarów: [1])

[1]) „W Wirginji w r. 1619 służył do wymiany tytoń, który przyjmowano, licząc za funt trzy szylingi. W r. 1715 w North Carolina ustanowiono 17 głównych towarów, jako podstawę do regulowania zobowiązań. Później zmieniono

1 kg. pszenicy (średniej jakości targowej)
1 „ żyta „ „ „
1 „ jęczmienia „ „ „
1 litr mleka niezbieranego
1 kg. mięsa wołowego
1 „ słoniny
1 „ cukru
1 „ soli
1 kopa jaj kurzych
1 litr spirytusu
1 litr nafty
1 kg. tytoniu średniej jakości
1 „ surowej wełny zagranicznej
1 stopa skóry na obuwie
1 kg. juchtu
1 „ bawełny
1 m^3 drewna użytkowego miękkiego
1 m^3 „ opałowego twardego
1 kg. żelaza kowalskiego
1 „ węgla o zawartości *ca.* 6.000 kalorji i *ca.* 6 do 7% popiołu.

Otóż w tak pojętym złotym polskim należy ułożyć pensje urzędnicze, wszelkie wewnętrzne wydatki państwowe, ale też i wszelkie podatki, słowem cały budżet państwowy. Naturalnie państwo zrzecby się musiało wszelkiego wpływu na regulowanie cen w pieniądzu obiegowym i wzrost i zniżkę tych cen pozostawićby musiało naturalnemu biegowi wypadków; w przeciwnym bowiem razie cała akcja byłaby zupełnie bezprzedmiotową.

Równocześnie jednak muszą być utworzone urzędy statystyczne, które rejestrując skrzętnie ceny dzienne wszystkich wymienionych towarów w pieniądzu obiegowym, obliczałyby na tej podstawie naturalny kurs pieniądza obiegowego w stosunku do jednostki teoretycznej. Kurs ten musiałby być podawany oficjalnie do wiadomości publicznej przez prasę urzędową.

---

tę taryfę, podnosząc wartość poszczególnych jednostek. Narzekanie na brak gotówki było powszechne. Powoli jednak monety angielskie, hiszpańskie, francuskie poczęły krążyć w coraz to większych ilościach". *Prof. Rybarski,* Marka polska a złoty polski 1921. Towary służyły jednak wówczas bezpośrednio jako środek płatniczy, podczas gdy dzisiaj pragniemy ich jedynie użyć jako podkładu rachunkowego dla jednostki teoretycznej.

Wprowadzenie w życie urzędów takich byłoby tem łatwiejsze, że instytucje analogiczne właściwie już istnieją i wystarczyłoby zmienić zakres ich działania w tym kierunku, by „zamiast mnożników dla pensji urzędniczych", wyrachowywały na podstawie pewnych dat statystycznych kurs marki naszej w stosunku do jednostki teoretycznej. Byłoby to coś w rodzaju t. zw. *index number,* z tą tylko różnicą, że zamiast obliczania kosztów utrzymania rodziny robotniczej z 4-ch osób, które w Polsce przeprowadził doskonale jeden z najwybitniejszych statystyków amerykańskich, Dr E. Dana Duranda, obliczałoby się w prostszy znacznie sposób koszt przyjętej monetarnej jedtkinos rachunkowej.

Przyznanie obywatelstwa walutom obcym w stosunku do regulowania opłat pocztowych i stemplowych jest wskazane ze względu na zabezpieczenie państwu dopływu walut obcych, a jest konieczne ze względu na ułatwienie manipulacji władzom skarbowym.

Można zaś to uczynić bez żadnych obaw, gdyż przyznanie własnemu papierowemu znakowi obiegowemu ograniczonego choćby przymiotu waluty, a mianowicie prawa regulowania w pieniądzu tym wszelkich innych należytości podatkowych, wystarczy najzupełniej do utrzymania tego pieniądza w obiegu.

Jeśli zechcemy zdać sobie sprawę z tego, jakby się ukształtowało nasze życie gospodarcze przy założeniach powyższych, to zobaczymy, że ułożyłoby się ono zupełnie analogicznie, jak we wspomnianym powyżej dla przykładu majątku ziemskim.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przy pomocy jednostki teoretycznej potrafimy zaprojektować budżet państwa nietylko realny, ale nawet dodatni, którego normalny tok życia z pewnością nie przewróci. Realny budżet państwowy jest zupełnie słusznie uważany za podstawę dobrej gospodarki państwowej; byłby to zatem pierwszy najbardziej zasadniczy krok naprzód, bez którego wogóle z miejsca ruszyć nie podobna.

Rzecz jasna, że gospodarując pieniądzem rachunkowym, unormujemy drogi, po których on kroczyć będzie w fikcyjnym obiegu wewnątrz kraju w sposób dla nas możliwie najkorzystniejszy. Rolnictwo, przemysł i handel będą się musiały w tym wypadku dźwigać i podnosić, bogactwo narodu musi wzrastać, a bilans nasz handlowy i płatniczy będzie się stopniowo ale stale poprawiał.

Za przykładem rządu pójdą miasta, banki i wszystkie przedsiębiorstwa w kraju, umożliwi się znowu korzystanie z długoterminowych

kredytów, stopa procentowa wróci do normy przedwojennej, rozpocznie się natychmiast ruch budowlany i dopiero wówczas powiedzieć będzie można, że wkraczamy ponownie na drogi normalnego pokojowego rozwoju.

Życie przekreśli wtedy samo wszystkie krzywdzące i złe ustawy. Ustawa o ochronie lokatorów zakończy w krótkim czasie swój nędzny żywot, ustawa o reformie rolnej, której konieczność uznajemy, zostanie odpowiednio tak zmodyfikowaną, by szybkie i ogólne wprowadzenie jej w życie nie tamowało normalnego rozwoju rolnictwa. Urzędnik czy robotnik, każdy, który dożyje tej zmiany na lepsze, pracować będzie z ochotą nawet nad siły i nie powstrzyma go od tego żadne rozporządzenie »zabraniające pracować«. Trzeba będzie wprawdzie zmienić książki rachunkowe i czeki i blankiety wekslowe i prowadzić jednocześnie wszelkie rachunki podwójnie, ale trudność ta nie warta nawet wzmianki, jest bowiem znikomo małą w porównaniu do korzyści, jakie odniesie kraj i całe społeczeństwo.

Walka ekonomiczna, jaką prowadzi z nami zagranica, będzie musiała ustać, do walki tej bowiem, do której rząd używa obecnie z małym skutkiem walut obcych, będzie można użyć własnego znaku obiegowego. Nie opłaci się wtedy zagranicy masowe wykupywanie marki polskiej i rzucanie jej na światowe giełdy pieniężne, gdyż w pierwszym rzędzie nie będzie to miało wpływu na całość naszego życia gospodarczego, a z drugiej strony rząd będzie mógł przeciwko temu bronić się puszczeniem w ruch maszyny drukarskiej i dalszem emitowaniem własnych znaków obiegowych. Tezauryzacja marki stanie się również bezprzedmiotowa, tezauryzacja zaś jednostki teoretycznej możliwą będzie przez osoby prywatne jedynie na rachunkach bankowych, co groźnem nie jest, gdyż spowoduje wielki dopływ gotówki do banków, zmusi je do większych obrotów i wpłynie dodatnio na rozwój gospodarczy.

Pierwszym, który w literaturze naszej pieniężnej wskazał na możliwość stworzenia w kraju waluty papierowo-wskaźnikowej, był Dr. Feliks Młynarski [1]). Proponuje on oprzeć walutę obiegową o złoto w pewnym określonym stosunku i to w stosunku, który ogłaszałby rząd co miesiąc, jako przymusowy. Rachunki zagraniczne miałyby być płacone złotem, wewnątrz zaś kraju byłyby regulowane tylko znakiem obiegowym. Prof. Rybarski, krytykując [2]) podaną przez Dra Młynarskiego

[1]) Reforma ustroju pieniężnego. Warszawa 1921.

[2]) Marka polska i złoty polski. Warszawa 1922, str. 206.

teorję waluty papierowo-wskaźnikowej opartej o złoto, twierdzi, że musimy iść »królewską utartą drogą«, że nie wolno nam szukać innych nowych dróg i że system ten dotychczas nigdzie nie wypróbowany, aczkolwiek przedstawia się ponętnie, nastręczałby jednak dużo trudności dla buchalterów, a zagranica do reformy w tym duchu nie odniosłaby się z zaufaniem«. Na poparcie swoich supozycyj ogólnikowo tylko rzuconych cytuje prof. Rybarski zalecenia międzynarodowej konferencji finansowej, która obradowała w Brukseli w lecie 1920 r. i której jednomyślne uchwały streścić można następująco: »Konferencja nie zaleca żadnej próby stabilizacji wartości złota. Wątpi poważnie czy próba tego rodzaju może się udać. Nie wierzy w użyteczność ani monety międzynarodowej, ani międzynarodowej jednostki rachunkowej, gdyż żaden z tych sposobów nie może usunąć tych trudności, na które rynek walutowy cierpi w obecnej dobie«.

Sądzimy, że krytyka powyższa nie jest słuszna. Historja pieniądza papierowego, którą prof. Rybarski znakomicie przedstawił, wykazuje niezbicie, że przejście do waluty kruszcowej odbywało się w rozmaitych czasach i u rozmaitych narodów bardzo różnemi sposobami, że właśnie zawsze szukano nowych dróg i że akomodowano tylko z większym lub mniejszym powodzeniem stare doświadczenia do wymagań chwili bieżącej. Historja — magistra vitae — poucza nas tylko o tem, że to wszystko już było, podaje nam wiadomości jak ludzie sobie w tych wypadkach radzili i stwierdza, że ostatecznie wszędzie powrócono do waluty kruszcowej. Mylne jednak wnioski wyciągałby z historji ten, ktoby bez zmiany chciał przeszczepiać żywcem systemy stosowane przed wiekami do doby sobie współczesnej. Wie o tem doskonale prof. Rybarski, gdyż w pierwszym rzędzie sam podaje nowe projekty, a następnie na innem miejscu w temże dziele wręcz przeciwne wyraża zapatrywanie, twierdząc, że »państwa Europy, a Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, to wielka różnica. Każde państwo musi szukać rozwiązania swych trudności walutowych na własnej drodze« [1]).

Co się zaś tyczy zaufania zagranicy i zaleceń brukselskiej konferencji finansowej, to pragnąłbym prof. Rybarskiemu odpowiedzieć jego własnemi słowami: »Dzisiaj nadal w świecie finansów rządzą te same pobudki, które rządziły przedtem — stara dyplomacja finansowa, nie idea braterstwa, a racja stanu — wysokie oprocentowanie i pew-

[1]) Marka polska i złoty polski. Warszawa 1922, str. 200, 199, 176.

ność kredytu«. Widzieliśmy, że zagranica, nie pytając o napis, jaki nosi marka polska, rozpoczęła z nami handel, że zaczęła notować kurs z chwilą, gdy przekonała się, że marka ma pewną siłę kupna i stwierdziliśmy, że nie uczyniła tego zagranica dla idei braterstwa, ale wyłącznie dla własnego realnego interesu. Możemy też śmiało powiedzieć, że bez względu na system reformy walutowej, przez nas przyjętej, będzie zagranica i nadal utrzymywać z nami stosunki, jeśli tylko znak obiegowy przez nas obrany posiadać będzie przymiot waluty, a co za tem idzie pewną siłę kupna wewnątrz kraju.

Naturalnie stosunki nasze z zagranicą będą tem lepsze — że użyjemy już utartego wyrażenia — »zaufanie jej będzie rosnąć«, jeśli przyjęty przez nas system reformy uporządkuje rzeczywiście nasze życie wewnętrzne, umożliwi spokojną pracę i uczyni przez to dla zagranicy wszelkie tranzakcje z nami łatwiejsze i pewniejsze. To też projekt Dra F. Młynarskiego zasługuje na głębsze studjum i łaskawszą ocenę, gdyż zasadniczych błędów ani teoretycznych, ani logicznych nie wykazuje wcale i budzi tylko wątpliwości w pewnych szczegółach, a mianowicie, czy kurs przymusowy da się utrzymać przez miesiąc i czy stać nas już na to dzisiaj, by ustalić relację znaku obiegowego do złotego polskiego przeznaczonego do handlu z zagranicą.

Przyjęta jednak przez nas powyżej jednostka towarowa, jako jednostka teoretyczna i rachunkowa nie może w tym kierunku nasuwać żadnych obaw. Uporządkowawszy przy jej pomocy życie wewnątrz kraju, będzie można spokojnie gromadzić złoto i waluty obce w skarbcu państwowym i z chwilą, gdy system ten wykazywać będzie pewne niedomagania, nic łatwiejszego jak przejść do projektu Dra Młynarskiego, a następnie, gdyby i to okazało się niewystarczającem, przerzucić się w odpowiednim momencie do waluty kruszcowej.

Nie sądzimy wszakże, by towarowy i wyłącznie teoretyczny złoty polski miał zbyt prędko okazać się miarą niedogodną. Zresztą, jako pieniądz wyłącznie rachunkowy, ma on w historji pieniądza swoich poprzedników, mniej lub więcej pojęciem ogólnem do siebie zbliżonych. Pieniądzem takim teoretycznym posługiwała się w swoim czasie Holandja, można go też porównać do chińskiego pieniądza »tael«. W żadnym wypadku nie był jednak nigdy pieniądz teoretyczny wspomagany urzędami statystycznemi w sposób, jaki proponujemy i dlatego jest uzasadniona nadzieja, że posiadać będzie dużą zdolność życiową i że nawet wówczas, gdy skarb nasz dzięki niemu stanie się bogaty i zasobny w kruszce, nie będzie gwałtownej potrzeby zmie-

niać systemu, który praktyka ulepszy i udoskonali. Życie gospodarcze protestować przeciwko niemu nie będzie nigdy w tym stopniu, w jakim to czyni dzisiaj przeciw systemom obecnym, o których nauka już dawno swój potępiający sąd wydała.

Prof. Rybarski słusznie twierdzi, że »z chwilą, gdy inflacja istnieje, polityka deflacji, zmierzająca do zwiększenia siły nabywczej pieniądza przez wycofywanie znaków pieniężnych i przez znoszenie kredytów jest najzupełniej błędną, zabija bowiem przemysł i powiększa bezrobocie«. Dodać możemy śmiało, że w tym wypadku jest rzeczą obojętną, czy chodzi o inflację pieniądza papierowego, czy też kruszcu.

»S. R. Wagel z Nowego Jorku, jeden z korespondentów »The Economist«, pisze: »mamy u siebie deflację, która ponosi odpowiedzialność za wielki zastój w handlu i powiększa bezrobocie w kraju... Nie twierdzę, że wielka emisja podnosi pomyślność handlu, — ale ścieśniać obieg pieniądza i kredytu, aby obniżać ceny, jest zbrodnią« (The Economist z 26 kwietnia 1921). A. Kitson, jeden z najgorętszych przeciwników deflacji, uważa tę politykę wprost za samobójczą: »Wydaje się czemś nie do zrozumienia — mówi Kitson — że mogą być ludzie tak upojeni swemi teorjami pieniądza, że chcą być nawet swiadkami ruiny swego kraju, zamiast porzucić swoje ukochane ideje«.

Dr. F. Młynarski [1]) przestrzega również przed tą polityką: »Nagłą delację przy pomocy radykalnej konwersji można przeprowadzić, ale co będzie jutro? Jeżeli nadal rząd będzie musiał wydawać miljardy, a ściągać będzie miljony, jeżeli nadal nasz wywóz będzie stanowić 5% naszego przywozu, to choroba natychmiast się odnowi, deficyty spowodują konieczność nowych emisyj, ujemny bilans będzie nadal wykolejał kurs waluty naszej, czyli reforma będzie chwilowa, prawie jednodniowa i spowoduje wielkie wstrząśnienia na rynku«.

Mimo tak poważnych głosów, żyliśmy przez szereg miesięcy — blizko rok —pod znakiem daniny i deflacji, a do jakiego stanu ona życie nasze przywiodła, to wykazaliśmy poprzednio. Dzisiaj zalewa nas fala nowych olbrzymich emisyj i projektuje się perjodyczne powiększanie podatków na wzór angielski; nie zanosi się jednak zupełnie na zmianę systemu rachunku budżetowego, opierającego się beznadziejnie o markę polską. To wszystko są błędne drogi, które do sanacji stosunków naszych finansowych doprowadzić nie mogą.

Jeśli jeszcze raz powracamy do sprawy tej w tem miejscu, to

[1]) Reforma ustroju pieniężnego. Str. 100, 93 i dalsze.

tylko w tym celu, by tem silniej wskazać i zaznaczyć, że w położeniu, w jakiem obecnie się znajdujemy, tylko teoretyczna jednostka pieniężna może nas uratować, gdyż tylko ona może bez poważniejszych wstrząśnień przywrócić równowagę nie marce wprawdzie, ale naszemu życiu gospodarczemu.

W stosunku do znaku obiegowego może być teoretyczny złoty polski wyrażany zależnie od wzrostu lub spadku cen swoich towarów składowych kwotą raz wyższą, raz niższą. Wahania te jednak mogą, ze względu na jego różnoraką strukturę wewnętrzną, wykazywać tylko bardzo małe różnice. Śmiało też można powiedzieć, że znak obiegowy — powiedzmy że pozostaje nim bez zmiany marka polska — powinien zdradzać stale w stosunku do teoretycznej jednostki tendencję zwyżkową. Przypuśćmy bowiem że ktoś zaciąga w banku pożyczkę w złotych polskich, którą mu wypłacają w markach, jest rzeczą zrozumiałą, że każde jego usiłowanie dążyć będzie do tego, by markę utrzymać na poziomie lub dźwignąć ją w kursie w stosunku do jednostki teoretycznej, gdyż tylko wtedy będzie spłata długu łatwiejsza.

Podobnie bank, gdy otrzyma wkładkę w złotych polskich, wpłaconą w markach, będzie równie starał się o utrzymanie kursu marki polskiej i nadanie mu raczej tendencji zwyżkowych niż zniżkowych, gdyż w przeciwnym razie może mu braknąć marek na spłatę zobowiązań w stosunku do swych klientów. Kupiec, mający pewne zobowiązania nie będzie śrubował cen swoich towarów, bo wówczas rosnąć będą jego długi; kupiec, nie posiadający zobowiązań bankowych (takich, nawiasem mówiąc, jest już dzisiaj bardzo mało), nie podniesie również ceny, będzie bowiem musiał przystosować się do warunków konkurencji, a zresztą liczyć się będzie z przymiotem waluty znaku obiegowego i z liczbowym wzrostem własnych wydatków. Wszystko to samo powiedzieć też można o przemysłowcu i rolniku.

»Problemat deflacji zajmował gorącą uwagę ostatniego kongresu międzynarodowej izby handlowej w Londynie. Między rezolucjami, przyjętemi dnia 1 lipca 1921 r., uchwalono wniosek większości, który dla poprawy waluty poleca, między innemi, by inflacja pieniądza papierowego była zatrzymana i stopniowo zmniejszana«.[1]) Otóż w wypadku rozważanym mielibyśmy do czynienia z taką właśnie powolną, stopniową, nie narażającą życia na śmiertelne wstrząsy deflacją. Niema bowiem najmniejszej obawy, ażeby powolna tendencja zwyżkowa znaku obie-

[1]) Prof. R. Rybarski, Marka polska a złoty polski. Str. 177.

gowego przekroczyła normalne granice, by ktoś, czekając na zwyżkę, chciał przetrzymywać marki w ukryciu, lub by zagranica, grając na zwyżkę, rozpoczęła skupywać marki polskie dla spekulacji. Okazałoby się bardzo prędko, że taka zabawa jest niebezpieczną i że mogłaby za drogo kosztować inicjatorów. Rząd, mając do dyspozycji maszynę drukarską, może, gdy zajdzie potrzeba, rzucić w każdej chwili na zagraniczne giełdy pieniężne większe ilości własnych znaków obiegowych, obniżyć w ten sposób ich kurs w stosunku do walut zagranicznych i wpłynąć na regulację kursu w kraju w stosunku do jednostki teoretycznej, przez siebie uznanej. Przekonają się wówczas wszyscy, że tezauryzacja znaku obiegowego jest przedsiębiorstwem bardzo niebezpiecznem i że jest możliwa tylko tezauryzacja jednostki teoretycznej na rachunkach w naszych bankach krajowych, co, jak już zaznaczyliśmy, dla rozwoju naszego życia gospodarczego szkodliwem być nie może. Spekulanci zagraniczni, gdy raz się popieką, drugi raz do tego ognia ręki nie włożą, a w każdym razie ta walka z nimi, ta tak zwana wojna finansowa stanie się wtedy dla nas łatwiejszą i mniej kosztowną. Nie potrzeba będzie do tego obcych walut, wystarczy na to własny znak obiegowy i nie potrzeba będzie do pierwszej linji bojowej wysyłać emerytów, wdów i sierót na pastwę śmierci głodowych. Takich systemów walk nie stosują nawet najdzikszе plemiona murzyńskie w głębi Afryki.

* * *

Oddając pracę niniejszą do druku, musimy z całym naciskiem zaznaczyć, że osobistej walki przeciwko nikomu nie prowadzimy i że jedynie troska o przyszłość narodu, którą widzimy poważnie zagrożoną, każe nam bezwzględnie krytykować dotychczasowe, rumieniec wstydu, gniewu i oburzenia wywołujące w takich warunkach postępowanie czynników kompetentnych.

Feliks Sobolewski.

Krzyże i trudy hetmańskie

(Dokończenie)

IV. Charakterystyka Koniecpolskiego.

Zapytajmy teraz, jakie rysy charakteru cechowały męża, który tak ciężkie krzyże nosił od początku zawodu aż do ostatniego tchu życia i zawsze czuwał na granicach nad bezpieczeństwem ojczyzny. W rysach jego portretowych uderzają zmarszczki na nieco wysokiem czole, przenikliwe, zda się świdrujące oko, postać szczerze marsowa, nieprzystępna. W życiu atoli nie był takim surowym synem Marsa hetman polski, z wyjątkiem chyba gdy był w obozie lub na polu bitwy, i to gdy postępowano wbrew jego rozkazowi. Kiedyindziej jest on umiarkowanym, zgodliwym, tak że godzi zwaśnionych nawet, dźwigając kajdany niewoli, jak owego Ferensbacha z księciem Samuelem Koreckim w Jedykule; jest on skromnym, jak na owem pobojowisku po zwycięstwie trzciańskiem, z którego zdając sprawę, o sobie jak zazwyczaj nic nie mówi królowi, ale za to o żołnierzu wyraża się, że bez wyjątku stawił się, jak się godziło dobremu wiernemu wojsku i że niema chorągwi, któraby po kilkakroć nie potykała się z wrogiem, a wszyscy kopje połamali. Zwolennik i przyjaciel rycerstwa, nie sprzeciwia się projektowi Władysława IV co do wprowadzenia orderu do Polski, chociaż jako obywatel wolnej Rzptej potępia takie odznaki ubliżające równości. Żołnierz, kocha czystość, podobnie jak mistrz jego Stanisław Żółkiewski i ma za złe swemu królowi jegoż słabostki, które go pozbawiły zdrowia. Jest ofiarny i nie szczędzi kosztów na wystawienie kościoła w Koniecpolu. Rzetelny w stosunkach z ludźmi, nie cierpi oszustw i mytnikowi lwowskiemu, Moszkowi Izraelewiczowi, wytoczyć każe proces, gdy mu tenże sobole przemieniał, od dobrych cło pobrawszy a złe zwracając

Uderza w Koniecpolskim rys wysokiej humanitarności, którą nawet wróg uznać musi. Turczynek we więzieniu tak się do hetmana przywiązał, że zapłakał w nocy, a gdy się go o powód zapytano, odpowiedział, iż śniło mu się, że hetmana wypuszczono z niewoli, przeto nie mógł łez powstrzymać z powodu odjazdu wodza. Kobiety tureckie nawiedzają jeńca i jałmużną go obdarzają, a strażnik więzienny na uczczenie odjeżdżającego do ojczyzny swej hetmana kazał zarżnąć kilka baranów i rozdać polskim więźniom, wychodzącemu zaś z turmy hetmanowi ofiarował laskę, by się nią w domu posługiwał. Nawet han tatarski przed śmiercią swą upraszał hetmana, by go przyjął za syna. Jako opiekun, bronił hetman swych pupilów, jak owego Jana Czerlinkowskiego z Obodnego, gdy temuż marnotrawny stryj zmarnował i posprzedawał dobra ale którego hetman za te krzywdy do surowej sądowej pociągnął odpowiedzialności. Wojewodzie mołdawskiemu, Mironowi Bernawskiemu, mającemu dobra w Polsce, kazał je król skonfiskować, gdy tenże całkowicie przeszedł na stronę Turka. Były to obszerne dobra uścieckie nad Dnieprem, nadane Koniecpolskiemu po zdrajcy, z oddaleniem także i rodziny Mirona od tychże dóbr. Mimo to hetman dał część tychże dóbr w pewnej sumie córce Mirona, Teodozji, zamężnej Janowej Podhoreckiej. Co bardziej, gdy Kostyn Jankułła, przedtem hetman mołdawski, podczas wojny pod Kamieńcem z Abazy baszą przeszedł do Polski, daje mu hetman opatrzenie w Nowosiółce nad Derażnią.

Podobnie jak Żółkiewski, lubiał hetman Koniecpolski naukę, tak że nawet w niewoli uczył się języków arabskiego i tureckiego od Turczyna, któremu pozwolono przychodzić do więzienia. Łacinę znał gruntownie, mówiąc nią z łatwością, a nawet wiersze w niej układając. Wiersz z powodu zgonu Zygmunta Koniecpolskiego, stryja podówczas hetmana polnego, przypisywano temuż hetmanowi. Umiał też po włosku i często używał tego języka, skoro w listach jego spotykamy włoskie scaramuzzie, contentezzy itd. Lubi też uczonych, a bratanków swych wysyła na wychowanie i naukę do Lowanjum, do słynnego profesora tamecznego uniwersytetu, Puteana (Henri de Puy). Otoczenie wodza jest dobrane; wszakże przebywają obok niego oficerowie i inżynierowie zagraniczni, a jako marszałek dworu, Stanisław Oświęcim, autor pamiętników, przedtem ochmistrz syna królewskiego Jana Kazimierza.

Śledzący za postępem w nauce, także i sztukę wojenną traktował z tegoż stanowiska; sprowadził inżynierów do sypania szańców,

do stawiania przeszkód i zamków, a z Beauplanem lat kilkanaście utrzymywał żywe przyjazne stosunki, używając go do kreślenia map kresowych, zakładania słobod itp., zaprosił go do budowania Kudaku. Jeszcze przed śmiercią wysłał Sebastjana Adersa do Krymu dla zdjęcia mapy półwyspu i miast i fortów tamecznych. W wojnie z Gustawem Adolfem, kiedyto sztuką sypania szańców i fortyfikacjami trzeba się było bronić i zasłaniać, nie mając dość swoich, pożycza hetman od Gdańszczan inżynierów.

Rysy ludzkości cechują Koniecpolskiego także jako wodza. Przy budowaniu mostu na Wiśle kazał zabrać statki prywatne ich właścicielom. Gdy ci z płaczem narzekali na krzywdę, natychmiast postarał się u króla, aby ubodzy ludzie, którym zarobek z rąk wytrącono, zapłatę za statki zajęte odebrali. Niepowodzenia ojczyzny żywo odczuwa i oburza się, gdy Gustaw Adolf nadspodziewanie szybko zajął Inflanty. »Toż sułtan Osman — mówi on — z największą, na jaką zdobyć się mógł potęgą, na piędź ziemi nam nie odjął, a tu my od tak podłego i sułtanowi nieporównanego nieprzyjaciela przez niezgodę naszą, tak zacną prowincję marnie utracili!« Miał tę także zaletę, że nie był skwapliwy na rozlew krwi nieprzyjaciela już skruszonego i poddającego się, zwłaszcza, gdy szło o rozlew krwi chrześcijańskiej. Szczędził krwi tak swoich żołnierzy, jak i ziomków, i jak sam mówi, mógł pod Ochmatowem głębiej w ziemię wpuścić kosz tatarski i tam go zgnieść w zupełności, ale wolał zachować przy zdrowiu swoich współobywateli. Jąkanie się była to, zdaje się, jedyna wada naturalna wodza. Mówiono o nim słusznie, że prędzej pobije aniżeli wypowie. W czasie buntu w obozie cecorskim, gdy konno uspakajał rozruch, któryś z żołnierzy zawołał: uchodzą hetmani i tej chwili padł przebity mieczem hetmana za karę fałszywego wołania. Cenił natomiast posłusznych wykonawców rozkazów swoich, jak Chmieleckiego, Odrzywolskiego, Bajbuzę, starostę trębowelskiego Bałabana, Jana Goślickiego strażnika koronnego, Ciasoczyńskiego starostę ulanowskiego, księcia Czetwertyńskiego, a nawet zawadjaków, jak lisowczyka Rogawskiego lub Samuela Łaszcza, któremu przypisywał wielkie doświadczenia w walkach z Kozakami i Tatarami, znajomość kresów, na których wrzała nieustanna walka.

Obwiniano go o surowe obchodzenie się z Kozakami, przez co umysły rozjątrzał i do zemsty zapalał. Mówiono nawet o ćwiertowaniu, o szubienicach, o obracaniu osad w perzynę, przypisując te objawy zapalczywości, gniewowi, dumie i srogości hetmana. Znamy rozkaz takiej srogości hetmana, lecz gdyby nawet wieloma dowodami poparto

te zarzuty i wówczas historyk musi brać pod wzgląd i surowość obyczajów ówczesnych i chęć odwetu, Kozacy bowiem mordowali bez litości, a wreszcie i ordynek wojskowy Kozaków, których wodzem najwyższym był hetman, a musiał ich uważać jako zbuntowanych żołnierzy i w myśl przepisów wojennych surowo karać. Sam im wyjaśnia powody surowości, jak wówczas, gdy w porozumieniu z Szahin girejem wystąpili przeciwko Rzptej w 1625. Gdy bowiem poczęli ustępować z nad Cybelnika (1625 r.), nakazał hetman Chmielnickiemu uderzyć na nich i zginęło ich parę tysięcy, »czego się Boże pożal«, mówi sam w swem sprawozdaniu. A do Kozaków pisze: »Żeście w żadnym punkcie nie chcieli woli króla być posłuszni, przywiedliście mię do surowego z wami postępowania. Ja bardzo tego żałuję, a szczerze, że się tyle krwi przelało. Skoro jednak do upamiętania przychodzicie, chcąc wierne poddaństwo królowi zachować, tedy i do króla o zachowanie przy dawnych waszych wolnościach przyczynić się jestem gotów«. Humanitarność, wspaniałomyślność przebija i w postępowaniu z Kozakami z mieczem w dłoni; toż odpowiadają Kozacy: że pod niebo będą go wysławiać. Karcił hetman Kozaków za samowolne ich wycieczki rabunkowe na morze. Ależ na hetmanie ciężył obowiązek przestrzegania, by paktów z sąsiadami poddani Rzptej nie łamali. Toż gdy 1644 r. w Rymanowie pogromiono spokojnie jadących z Siedmiogrodu do Mołdawji poddanych hospodara tamecznego, hetman natychmiast nakazał urzędom miejscowym wyrządzić satysfakcję pokrzywdzonym spokojnie przechodzącym przez ziemie króla. Karcił też i musiał z obowiązku karcić Kozaków za wycieczki rabunkowe, chociaż i tu nieraz postępował z łagodnością i wyrozumiałością.

Łaskawym jest i wówczas, gdy Kozacy, zaufani w siły własne, lekkomyślnie narażają się z wojskiem idącym komisarzom królewskim w dużej potędze. »Mógłbym zganić tę lekkomyślność, pisze do nich hetman, by mnie dawna chęć moja do wojska waszego nie trzymała, która wycisnęła to na mnie, że oto drugiego posłańca do was posyłam, abyście mi oznajmili, jeżeli chcecie i na którem miejscu woli króla słuchać. Nie idę — mówi otwarcie — abym wam miał co nieprzyjaznego myśleć, bo miłuję was, a miłuję i sławę waszą i wiem jako ludzi rycerskich szanować. Ale jeżeliby kto, czego o was nie rozumiem, królowi posłusznym być nie chciał, nad takim, choć z żalem, powinność moją wykonaćby przyszło«. Ludzkość hetmana wpływa i na komisarzy; toż po rozbiciu obozu kozackiego piszą komisarze do pobitych, że bunt ich nie tak uporowi i złości, jako głupocie albo ra-

czej szaleństwu przypisując, jeszcze zażywają łaskawości, »którą dnia wczorajszego poznać mogliście, kiedyśmy wojska króla hamowali i od was odpędzali«. Jeżeli dalej zważymy, że społeczeństwo ziemiańskie, zgorszone swawolą kozacką, w postulatach swych surowo polecało powściągać i karać bunty, że hetmani byli tylko wykonawcami sejmowych uchwał, musimy przyznać, że niemała przesada tkwi w owem obwinieniu hetmana, który chociaż porywczy i surowy, swem stanowczem ale i umiarkowanem postępowaniem reflektował nawet zaciętego w uporze Kozaka, który poznawał, »że za powodem hetmana ku lepszemu końcowi rzeczy iść poczęli, i że ratunek po Bogu i królu tylko u hetmana być może, że gdy poznają łaskę jego, póki żywi prosić będą Boga o szczęśliwe panowanie i odsługować będą. »Roztropnością tedy a nie samą surowością uśmierzał rozruchy Kozaków, podżeganych z kilku stron, przywykłych do rabunku, napaści i mordów; on ich w regestr wpisał, buntowników Sulimę, Pawluka królowi oddał, posadami wielkich miast Ukrainę ozdobił, a osadnictwem, rozumnie przeprowadzonem, Tatarom do napadu drogę utrudnił. »Sprawił to Bóg, mówi jeden z współczesnych, że Ukraina była spokojna, jako które miasto w pośrodku Korony; Kudak nad Dnieprem posadził, by Turków z nami Kozacy nie wadzili«.

Co prawda spokój, tak żywo tu opisany, był ciszą przed burzą. Tylko, dodać należy, że hetman burzę tę przewidywał i jej zapobiegał. »Upatrując bowiem śliską wiarę i wiarołomność Kozaków, mówi Oświęcim, i ich zawziętą ku Lachom złość a zwyczajną do buntu chciwość, miał zawsze pilne oko na ich sprawy, aby wcześnie wszystkiemu zapobiegać. A lubo oni, wiedząc o straży jego nad sobą, ostrożnie postępowali, nie mogli uchronić się od tego, aby mu wszystkie i najtajniejsze ich sprawy nie miały być wiadome przez szpiegi... Ci na kilka miesięcy przed śmiercią jego przynosili mu wiadomości, »że Kozacy utęsknieni nazbyt tak długo żyć w tej dyscyplinie i niewoli prawa, w którą byli od lat kilku po ostatniej klęsce wprawieni, że ani na Czarne morze, skąd częste odnosili łupy, ani wodzów i starszyzny z pośrodku siebie miewać nie mogli, ale pod rządem oficerów polskich zostawać musieli, chcąc się z tego jakoby jarzma wydobyć, a nie śmiejąc porwać się, zaczęli z Tatarami o ligę traktować, poddać się im obiecując, byle szczerze na Lachy pomogli... To wszystko odkrył hetman królowi, jadąc na wesele swoje i udzielając mu swego Dyskursu«. Jakże wobec tych świadectw nierzetelnym a przesadnym jest obraz hetmana, nakreślony przez późniejszych naszych historyków, jakże

fałszywie przedstawionym jego stosunek do Kozaczyzny. Pobudzano go do krwi rozlewu i do zemsty i wojewoda krakowski Zbaraski, pragnący skąpać się we krwi kozackiej za srogie znęcanie się Kozaków po włościach ukraińskich nad szlachtą i jej poddanymi, pisał w tym duchu do hetmana, dając upust goryczy serca i zbolałej duszy a także wyraz żalu za utraty majątkowe z winy Kozaków, ale hetman akkolwiek przyjmował listy wojewody niczem nie potwierdzał, jakoby godził się z usposobieniem i zapatrywaniami wojewody. On, surowy wykonawca woli sejmu, czujny stróż kresów, musiał pilnować porządku w tych ziemiach, nie mógł więc cierpieć swawoli i musiał ją karać i czuwać, aby nie wybuchła pożarem, co atoli nie przeszkadzało, że miłował tę dziką a mężną ludność kresową. Toż nie można przeczyć jego zapewnieniom, że miłował rycerskich Kozaków, ani też podaniu, że objeżdżając pole bitwy pod Perejasławiem, na widok poległych zalawszy się łzami, miał powiedzieć: »Otóż i unja, leżą Rusini razem z Polakami«. Uwaga bolesna odpowiada duchowi hetmana, który cierpką ironją określał rzeczy, ludzi i stosunki, jak wówczas, gdy podkomendny jego Chmielecki został wojewodą kijowskim, hetman nie bez aluzji do zwykłej pychy ludzkiej krotochwilnie zauważył: »teraz mnie już słuchać nie zechce, zostawszy wojewodą!« Ibrahim Sułtan posłał carowi krymskiemu szablę i kaftan po wzięciu Kanei. Wymowna ta zachęta do najazdów nie podoba się hetmanowi, który też pogroził Turkom, że Kozacy wyścielą łodziami morze aż do Carogrodu! Turek tłumaczy się, że szablę dano carowi za usługę zbrojną przeciwko Czerkiesom. »Szablę posyła się według zwyczaju przed wojną, a nie po wojnie«, odparł z cierpką przyganą wódz polski.

Hetman otaczał wojsko ojcowską opieką, dbał o nie, jako o własną rodzinę. Skarżą się Kozacy (1643 r.) przed nim na pułkownika swego Zakrzewskiego o krzywdy i gravaamina *cum praeiudicio* stanu rycerskiego. Zwołuje wódz sąd, a skoro skargę sprawdzono, złożył pułkownika z urzędu, »mitygując *poenas* względem dawnych i wielkich jego zasług«. Broni Kozaków stale wobec oskarzeń Porty, ustawicznie zarzucającej, że Kozacy porywają mienie Tatarom. A jeżeli nawet co biorą, odpowiada wódz, to szczyptem, podczas gdy Tatarzy wojska nasyłając garścią biorą i głowami. Słusznemi pochwałami obdarza żołnierzy, chwali przed królem, że męstwem się odznaczyli, ale gdy komendant oblęganej Brodnicy hr. Turn uciekł z twierdzy, pisze do króla, że chorągwie, które były z podjazdami pod tą twierdzą, nie ujdą karania. Były to oddziały Czarnieckiego, użyte przy napadzie nocnym a nieudałym

na Brodnicę, a które nie ujdą inkwizycji i surowego karania, jak zapewniał króla hetman. Przestrzegając surowo dyscypliny uniwersałami hetmańskiemi i odciągał od rabunków i od gwałtów, których tak powszechnie podówczas wojska się dopuszczały. Dodawał w nakazach, jak owemu rotmistrzowi Giżyckiemu, gdy uciskał Sanoczan: »pod groźbą najostrzejszych kar zaniechajcie gwałtów; wynoście się z sanockiej ziemi, wynagrodziwszy krzywdy wyrządzone, inaczej nie zapłacą wam żołdu ze skarbu!« Strofuje żołnierza, gdy tenże występuje do bitwy bez pancerza, a przed wodzem tłumaczy się, że gdy zginie, to jego nieszczęście. »Życie twoje, zganił go hetman, nie do ciebie lecz do ojczyny należy i do wodza i wolę, żebyś w pancerzu długo zwyciężał, aniżeli żebyś bez niego rychło zginął«. Nie kończyło się na gromieniu słowem tylko, jak sławnemu później Stefanowi Czarneckiemu, który otrzymał zgromienie, gdy nie dostał języka i nie dostarczył żywności do obozu pod Czczewem, a stracił czeladź przez nieudały napad na Szwedów i już zarządził był hetman inkwizycję — jak wyżej wspomniano — ale się potem zatarło, donosi współczesny. A pod Czczewem wytrąbiono trzydzieści i kilka towarzyszy, między innymi Idziego Kalinowskiego, Stężyńskiego, Jędrzeja Jasińskiego którzy byli przyczyną swawolnego przejścia na cesarską stronę. Ścigając zbiegów z wojska, wzywał władze, by żołnierza który słusznej sprawy nie da i listem rotmistrzowskim nie dowiedzie, takiego jako zbiega imać i do wojska odsyłać! Przestrzegał, by żołnierz z żołdu żył, a nie ciemiężył ubogich ludzi, a na zasługi chorągwi lub pułku chociażby krewnego swego Denhofa, kładł areszt, skoro żołnierze złupili włościan wyciąganiem niesłusznem chleba. A gdy żołnierz z namiotów obozowych uciekał pod strzechę włościańską, gromił surowo: »Żołnierz pod dachem, w pobliżu pogańskiej gotowości do wojny, to sromota!« Według wielkości przestępstwa stosował hetman i karę. I tak, Niezabitowskiego, który awanturował się rozbojem, nigdy obozu a zawsze stacji pilnując, skazał na pal. Swawolników bowiem, jak Karwackiego, Kąckiego, uczył się hetman ścigać i tępić jeszcze pod Żółkiewskiego rozkazami... Toż nieraz czytamy w rozkazach danych chorągwiom, że gdyby skargi na nich doszły, musiałby być surowym bez miłosierdzia. Surowość tę równoważył dowodami wielkiej życzliwości i dużej miłości wojska. Nie ma ono częstokroć płacy, więc burzy się, wszczyna w obozie związki, chce się rozejść, przechodzi do wojsk sprzymierzonego z królem cesarza. Hetman interweniuje, przedkłada powody zwłoki, zapewnia o zapłacie, uspokaja żołnierzy. Tak było pod Grudziądzem

1628 r. Świadek współczesny, sekretarz wówczas królewski, Jakób Maksymiljan Fredro, opowiada o zajściu, że gdy już wojskowi wypowiedzieli mu posłuszeństwo, on po tylu zaklęciach i prośbach, nie mogąc racjami, perswazjami ani fukiem ani przysięgami, płaczem skłania ich, że się po pułkach rozeszli, odstąpili wszystkich pretensyj i tak się odmienili, iż do sejmu obiecali zaczekać na zapłatę. Bo hetman, miłujący żołnierza, posiada zaufanie wojska, dowodnie przykładem mu okazuje, jak szczerze je kocha, jak z niem cierpi, jak nie szczędzi dlań zdrowia i majątku swego, a nawet we Lwowie w 1630 r. daje asekurację pułkownikowi Jaroszowi Uwilińskiemu, deputatom i urzędnikom, że żaden z nich z powodu wejścia w poprzysiężony związek celem dochodzenia zasług turbowany nie będzie, że ich hetman zastępować będzie pod zakładem stu tysięcy złp. Po takim dowodzie dbałości o wojsko rozeszło się ono natychmiast z burzliwego obozu.

A jakże wdzięcznem mu było wojsko, kiedy na dworze królewskim, jako i na sejmie, prosił o ćwierć darowną dla pełnego odwagi i prac wojska, jakżeż zachęcało się do trudów, kiedy rotę Budziszowskiego chwalił, że pod Pokrzywnem napotkawszy szwedzką zasadzkę, zniosła ją, lub kiedy oficerów, jak Przyłęckiego, Męcińskiego, Kruszyńskiego, przedstawiał do nagrody, lub gdy przedstawiał, jak chorągiew Łukomskiego sztuką skłoniła nieprzyjacielskie okręty w okolicach Pucka uwięzłe do poddania. A ten Puck zmusza hetman do poddania się w początkach kwietnia 1627, nie chcąc szturmami tracić żołnierza, którego niewiele mamy, pisze hetman do króla. Troska jego o żołnierzy tak wielka, że po Hammersztyńskiem zwycięstwie woła do króla: co czynią żołnierze ponad siły i możność dla sławy króla czynią — i wstawia się za rotmistrzami, oficerami, by im król zamki kresowe oddawał, bo jak wojsko samo mówi: »natenczas na Ukrainie mieszkałby starosta, piastowałby zamek sam, aniby Żyda czynił uczestnikiem dobrodziejstw króla i swych krwawych zasług«. Ba nawet o rodzinę poległych swych żołnierzy dbał hetman i chwaląc męstwo Suliszowskiego, który przy napadzie na Szwedów w Rypnie poległ, prosił o pozostawienie dzierżawy tego walecznego oficera dla pozostałych po nim sierot. Jeszcze przed śmiercią poleca on sejmowi Piotra Sieleckiego, który »na Cecorze w wojsku króla wzięty, lat dwadzieścia i kilka na galerach będąc, teraz niema się do czego mieć, a króla o opatrzenie prosi«.

Wobec takich dowodów miłości żołnierza nie zadziwia nas wcale, skoro się dowiadujemy od współczesnych, że nawet w chwilach buntu żołnierskiego, gdy niepłatne wojsko groziło rozejściem się na dobra

królewskie, nawet wówczas udaje się hetmanowi zmiękczyć marsowe animusze, że tem, co za rzecz »niepodobną« uważano, zadowolnić się chciało.

I ziomkom i żołnierzom podobał się surowy rząd hetmański, przestrzegał bowiem, by pod chorągwiami nie było luźnej czeladzi, zbytniego myślistwa, co się działo z utrapieniem ludzi ubogich; wojsku podobało się, że na Ukrainie po stanowiskach rozłożone było, a chleba z dóbr królewskich i duchownych zaciągało przez deputatów i to alternatą nie corocznie. Jeszcze bardziej podbijał serca ludności kresowej, że nie znosił nieporządków tutaj spotykanych, na skutek chciwości niektórych urzędników kresowych, dzielących się łupem z Kozakami. Co bardziej, gdy ludzie starościńscy rozdrażnili Tatarów Kantymira tak z Bracławszczyzny jak i z Kamieńca, pisze do króla, — po chocimskiej — by surowo rozkazał instygatorowi koronnemu, »żeby pozwano starostów stosownie do konstytucji na trybunał, aby *iret in exemplum,* bo zgoła miękko rozkazują, w czem znieważa W. Kr. Mci, narzekania... znowu turecka wojna«. A przecież, dodajmy, ci starostowie to krewni, powinowaci i przyjaciele hetmana, który nie zważa na takie nawet związki, gdy idzie o dobro kresów i ojczyzny.

A wszakże ten hetman kochał rodzinę i o honor domu był dbały. Znanym jest fakt infamji, pod którą popadł brat stryjeczny hetmana, Aleksander Koniecpolski. Umówił się on z Zofją Dębińską, którą, odjeżdżając zagranicę na dwór bawarski, odwiózł do klasztoru świętej Agnieszki w Krakowie, by nań tutaj czekała. Na terminie jednak naznaczonym na wesele, panna nie chciała wyjść z Zakonu. Wtedy Aleksander petardą wysadził bramę klasztorną, wziął siłą pannę, którą uwiózł do Koniecpola, gdzie się z nią ożenił. Przyczyniając sobie gniewu Bożego, po śmierci żony ożenił się z siostrą jej Dorotą, również uwiezioną z klasztoru. Na sejmie infamowano Aleksandra, a biskup krakowski, Piotr Tylicki, rzucił nań klątwę. Atoli na prośbę hetmana, który powróciwszy z niewoli zapukał o łaskę do sejmu, przez wzgląd na zasługi domu, przywrócono do czci Aleksandra po zadośćuczynieniu stronie pokrzywdzonej. Tkliwym był na urazy swej własnej osoby. Toż gdy 1620 r. z rotą swą przez Lwów spieszył na wojnę, burmistrz i rajcy dworscy kazali przyaresztować przy zamkniętych bramach dwóch towarzyszy jego roty: Stanisława Garwaskiego i Stanisława Widawskiego. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o zajściu, wysyła hetmana woźnego dla sprawdzenia gwałtu — i zakłada protest, że władze miejskie nie tylko przeciwko bezpieczeństwu i wolności szla-

eheckiej wykroczyły, ale nadto uwłóczyły powadze wodza — powinne były doń się udać po satysfakcję, ale nie same ją wymierzać. W obronie swej powagi, jako wodza, wchodził też niekiedy w starcia z władzami naczelnemi. Gdy podskarbi koronny, Hermolaus Ligęza, zażądał na sejmie, by jego pisarz skarbowy, z powodu nadzwyczajnych wydatków hetmańskich przy wojsku mieszkał, oburza się wódz i pociągnąwszy nieco pióra, pisze do króla: »Inna moja powinność, nie regestra pisać i liczbę zdawać, a od dziś nikt już moich regestrów nie obaczy na sejmie!« A skarży się na podskarbiego, że »mi obiecał cudzoziemskiemu żołnierzowi na konto dać kilkadziesiąt tysięcy i niedotrzymał, natomiast pieniądze, które Gdańszczanie płacą do skarbu, każe zwozić do Warszawy, zamiast wprost je przekazać wojsku«!

Do dyplomacji, jak z powyższego widoczna, nie miał hetman warunków, lubo pierwsze służby ojczyźnie oddawał sprawowaniem poselstwa do Francji, za zasługę mu poczytanem, za które w nagrodę został podstolim koronnym. Natomiast przymioty żołnierskie nabywał od wczesnej młodości ćwiczeniami ręcznemi, na skutek których taką wyrobił sobie siłę, że z łuka strzałą puszczoną przeszywał zbroję stalową, jakoteż wyprawami w stepy, któremi zaprawiał się do spraw rycerskich. Ale i praktyka dyplomatyczna przydała się żołnierzowi. Umiał poznawać swe wady, a zwłaszcza popędliwość. Toż Jakób Sobieski pisze o nim, że wolał, by mniej na sławie zyskać, aniżeli w ciasnych i chytrych sytuacjach przez popędliwość swoją na szwank jaki znaczny albo też na zgubę ojczyzny zarobić. Toż i inny współczesny mówi o hetmanie, że przykładem Żółkiewskiego nie był do bitwy skory, a w stoczonej ostrożny. A i tu przykładem żołnieżowi świecił i jak pod Hamerstynem dni parę ani wódz ani żołnierz nie wczasują, i by nieprzyjaciel nie uciekł na koniach, całe wojsko z hetmanem czuwa i tak przez trzy dni i nocy 12 do 14 kwietnia — a 15-tego poddały się wszystkie chorągwie szwedzkie. Zresztą i politycznie był jego umysł wykształcony zwłaszcza w stosunkach wschodnich. Taki dzielny jego podkomendny Chmielecki umiał zwyciężać zagony tatarskie. Jako polityk był słaby, dał się wodzić, używać do niebezpiecznych dla Rzptej porozumień Szahin gireja z Kozakami, przez co układy pokojowe z Turcją bywały naruszone. Koniecpolski odrazu wiedział, z kim ma do czynienia i Szahin gireja uważał trafnie za niespokojną głowę, za awanturnika, jakim był tenże istotnie.

Oświęcim, który tak dobrze znał hetmana, pisze o nim, że i przez kwadrans nie tracił czasu, że ostrożnie wszystko naprzód przygotowywał,

a kiedy pisał traktat o zniesieniu Tatarów, »wysłał inżyniera Hollendra, wspomnianego już wyżej Adersa do Krymu, by zbadał półwysep także i Oczaków i Białogród i Tehinię, sytuacje, przystępy, obrony i to wszystko przyniósł w abrysie«. Zresztą przenosił swoich oficerów i żołnierzy nad obcych, a Niemców z powodu ich ociężałości nawet nie lubiał. Lepszy jest jeden żołnierz — mawiał — aniżeli dziesięć ociężałych. Toż żołnierz jego nie chwali się, jakoby był najprzedniejszym stanem ojczyzny, ale ceni swe pochodzenie ziemiańskie i woła, że jest obroną i ozdobą Rzptej, w której próba i szkołą prawdziwej wiary i miłości ku królowi i ojczyźnie. Ale tego żołnierza towarzysza czy wybrańca, za przykładem Żółkiewskiego, umie hetman podnosić moralnie na duchu, dobrze wiedząc, że istotnem zwycięstwem jest zwycięstwo moralne.

Toż wiódł wojnę małą zawsze siłą, ciągle manewrując swemi chorągwiami w taki sposób, że nieprzyjaciel nigdy nie wiedział, w którem miejscu nań uderzy, a uderzał z taką siłą i rozpędem, że łamał nieprzyjaciela w punkcie dlań najważniejszym i w największem tegoż skupieniu. Albo też znowu, jak pod Grudziądzem, po obu stronach Wisły skupia żołnierzy i obozy formuje, aby tem nieprzyjaciela *in suspenso* trzymać i aby nie wiedział, po której stronie się obróci polskie wojsko. Zbaraski, wojewoda krakowski, pisząc o zwycięstwie hetmana nad Kantymirem pod Martynowem (1624), mówi trafnie: »rzadkie to w ojczyźnie naszej starcie, wszak *patent* historje, żeby który hetman *consertis manibus* z tym nieprzyjacielem miał walczyć i pychę jego *ad foedam fugam* przywieść poniewolnie... Ale hetman słusznie mawiał, że trzeba czasem *non armis sed arte et ingenio* burze rozpraszać«, dlatego czasem i małym wysiłkiem broni zwycięża, a mądrze postępując i zwyciężonego zniewala sobie jak pod Hamerstynem, gdzie kilka chorągwi poddawszy się przeszło na stronę polską. Mogłem »w Pucku zdobytym — pisze on o nieprzyjacielu do króla — do sromotnych przywieść kondycyj, lecz patrząc, że to z ludźmi rycerskimi sprawa, na przykład drugim wolałem im klemencją Waszej Królewskiej Mci ukazać«.

Zdrowia swego nie szanował podczas wojny, chociaż na nie często zapadał. Podczas kampanji nad Cybulnikiem 1625 r. zachorował, a przecież cała akcja tak trudna, tak bardzo niebezpieczna, wymagająca i fizycznego i moralnego natężenia, idzie tak głęboko według planu jego, że trudno uwierzyć, żeby ją chory i to w czasie okrutnych mrozów na zawieruchy grudniowe narażający się hetman mógł toczyć. Ale też z punktu-

alnością ścisłą każe spełniać komendę i kiedy pod Ochmatowem niecierpliwa awangarda sądząc, że nieprzyjaciel już przed nią, pomknęła się bez komendy, zgromił zaraz hetman dowódców, lecz, by im serca do bitwy nie zrażać, napomina ich, by tej ochoty ostrożniej zażywali i nic bez rozkazu hetmańskiego nie poczynali. Przestrzegacz surowy dyscypliny, umiał hetman znieść wymówki od króla, jak było wówczas, gdy z przekąsem odpowiedział, że powinnością jego jest pilnować, co się w obozie dzieje, a nie w miastach rząd czynić i patrzeć, czy są ministrowie (protestanccy) w mieście. Owszem — odpisał król z przyganą, w mieście, gdzie starosty niema, a wojsko blisko obozem leży, masz przestrzegać, aby się fałszywi kaznodzieje nie zabawiali i katolikom zgorszenia nie dawali! Hetman z pokorą przyjął naganę. Cóż począłby, otrzymawszy taką naganę, taki chociażby książę Zbaraski, naczelnik opozycji w Krakowskiem, z którym hetman zawsze przyjazne utrzymywał stosunki, a który zapewne ani się domyślał, jak gorzką hetman, kolega w senacie, połknąć umiał pigułkę.

Kresowe wojny wymagały przezwyciężania dużych trudności... Dla hetmana — mówi o nim Jerzy Zbaraski — »i ziemia sama była zaporą do zwycięstwa, zwłaszcza w czasie deszczów, rozcieczy... im dalej tem tłuściejsza.., przeprawy częstsze... idąc *tanta mole*, kiedyby się na dzień milę uszło, wielka by rzecz była, konie wozowe pozdychaćby musiały i jezdnych większa część pouciekać«. A przecież z tych tłustych kresów z wojskiem, cztery tysiące liczącym, pędzi z niezwykłą sprawnością w 1627 r. z tego południowego końca Rzptej i staje niebawem na północnym jej końcu, nad Bałtykiem.

Jeniec dawny z pod Cecory, każdej chwili przygotowany był na śmierć w wojnie. Atoli jako wódz, podobnie jak Żółkiewski, chciał umrzeć ze sławą dla ojczyzny. Kiedy w wojnie z Gustawem Adolfem podskarbi na czas wojsku nie przysyłał zapłaty, upomina go hetman, że jeżeli nie przyszle części przynajmniej, nie będzie z wojska pociechy i zamiast obozu... usłyszycie we wnętrzu ojczyzny trąby (oczywiście skonfederowanego żołnierza). I kończy hetman przestrogą: »Jeżeli ja sam zdrowiem swem i krwią będę mógł całość ojczyzny zatrzymywać? Boże daj, żebym tak szczęśliwy był«. A w liście do króla równocześnie wysłanym dodaje: »Miło mi umierać dla sławy W. Kr. Mci, ale jeżeli darmo i niesławnie? Proszę Boga, abym krwią sławę W. Kr. Mci i całość ojczyzny uczciwie a sławnie zastąpił«.

Miłośnik ojczyzny, odczuwał dokładnie jej potrzeby i znał drogi do utrzymania jej sławy i wielkości. W kołach sobie bliskich, w gronie

senatu otwarcie wypowiadał te myśli, jakkolwiek dobrze wiedział, że przez rozszerzanie ich zraża do siebie szlachtę, nie skorą do wojen zaczepnych zwłaszcza z potężną podówczas Portą. Ale ta Porta stała już u bram Polski i mędrsi z pośród ziemian podzielali myśli hetmana co do zadań Polski na wschodzie. Słusznie zauważono, że pod osobistym wpływem hetmana, jak i samego Władysława IV przejął się i Stanisław Oświęcim zapatrywaniami ich, stał się ich wyznawcą i zwolennikiem planów Koniecpolskiego i króla, dotyczących Kozaczyzny i Turcji, wbrew ogólnej odmiennej a krótkowidzącej opinji społeczeństwa szlacheckiego. Bystro hetman patrzył w przyszłość i nie zgadzał się z polityką ustępstw tak wobec Porty jak i wobec koczowników, jej tatarskich wasalów, którym sejmy wotowały upominki, będące właściwie haraczem. »Jakże mam radzić upominki dawać Tatarom — pisze do jednego z senatorów — skoro oni niewdzięczni najeżdżają nas. Nie lepiej doradzić, by te upominki obrócono na żołd dla żołnierza, który piersią zasłania od tych, którzy nas wojują?«

Zna hetman znaczenie floty i z podkanclerzym Żadzikiem cieszy się, że ją król na wiosnę 1628 r. pocznie budować. Nie radzi też w sprawie zawieszenia broni, o które układano się z Gustawem Adolfem, odzywać się o tej flocie, a gdyby sam Gustaw wykluczyć chciał budowanie, radzi nie zezwalać zarówno jak i na wyłączenie Gdańszczan z rozejmu.

Królewskie prawie dochody, jakie z dóbr swych pociągał, obracał Koniecpolski na dobro i chwałę ojczyzny. Toż utrzymywał kosztowną pod owe czasy korespondencję z zagranicą, wszędy mając swoich korespondentów, przez których wiedział o wszystkiem, co się działo na dworach sąsiednich, a przez szpiegów natychmiast miał wiadomość o chociażby najmniejszych ruchach tureckich czy tatarskich. Umiał też podarunkami owym wschodnim bakczyszem, kupować sobie i ojczyźnie spokój od przekupnych sług Porty i z naciskiem podnosił, że środek takowy jest nieodzowny, a zasypując podarunkami sędziaków i baszów, sam, jak w 1643 r., przyjmował od wezyra cudne perskie kobierce i wezgłowia bogato złotem tkane.

W stosunkach z dworami zachował dyrektywę polityka chrześcijańskiego i wielkiego katolika. Gdy Jerzy I Rakoczy z Siedmiogrodu zawarł układ z Francją i Szwecją i w porozumieniu z Turcją miał wkroczyć do Węgier i do Austrji przeciwko cesarzowi, hetman postanowił przestrzec księcia, a i odciągnąć od związku, na niekorzyść chrześcijan zawiązanego. Wysyła w poselstwie do księcia swego starego przyja-

ciela, cześnika czerskiego, Olbrachta Pęcławskiego. Korzystając ze zwycięstwa świeżo pod Ochmatowem odniesionego nad Tatarami, uwiadamia hetman księcia o klęsce zadanej poganinowi i przedstawia mu o posłuchach, a nawet o relacji rezydenta polskiego z Carogrodu, jakoby książę wszedł w ligę z Turczynem przeciwko cesarzowi. Hetman nie daje wiary temu, aby książę, chrześcijanin, znający śliską Turków wiarę i ich przeciwko chrześcijanom nienawiść, wszedł z nimi w taką ligę, która na księciu musi się zemścić. Hetman oczekuje potwierdzenia z ust samego księcia: »wszakże król mój musiałby krewnego swego, cesarza, poprzeć... a Bóg nie sprzyja wrogom cesarza, czego dowodem świeże zwycięstwo cesarza nad Francją i ks. wajmarskim... jeżeli książe ma urazy do cesarza, niech odda je królowi memu do przyjaznego ich usunięcia«.

Podobnież zręcznie postępował i z księciem brandenburskim, Jerzym Wilhelmem. Ten sprzyjał w duszy Gustawowi Adolfowi, ale będąc wasalem polskim, widząc i siły polskie i dzielność hetmana, lawirował pomiędzy Polską a Szwecją, ofiarowując rolę przyjacielskiego jednacza i odciągając Zygmunta od wojny. »Co kurfirszt pisze — mówi o tej roli Koniecpolski w liście do króla — to wszystko brednie. Może być pokój, kiedy porządną nagotujem wojnę... a tu pieniędzy brak...« Innym razem pisze o elektorze, że »czas już, aby sen, którym oczy jego są przymglone, spędził z powiek i wspólnego wroga razem z nami odpierał. Niebawem byśmy wyrzucili wroga, jeżelibyśmy go wspólnemi siłami wojowali... Wiem, że kurfirszt zabrania swoim dostarczać żywności i pomocy Gustawowi, niech tedy raczy wybaczyć, jeżeli i ja ukarzę winnych tych jego poddanych«. W tym duchu obsyła hetman i elektora listami; stara się uprzejmemi, a częstemi pismami przeciągnąć go na stronę poską, ale słusznie nie dowierza mu. »Dowodem Kwidzyń — pisze hetman do króla o swej słuszności w niedowierzaniu — który w sierpniu (1628) zajął Szwed, chociaż go (kurfirszta) kilka razy wzywałem, aby mi puścił do rąk moich, w czemem po wiele razy odeń ubezpieczenie odnosił«. Wśród przyjaznych pism hetmańskich spotykamy i wyrzuty wprost do księcia adresowane: »odwołuję się do Ciebie i do twych radców, ilekroć razy mnie ubezpieczaliście o bezpieczeństwie... nie dodał jeno, — czego się łatwo było dorozumieć, — a nigdy nie dotrzymaliście«.

Ostrzej wystąpił przeciwko Wallensteinowi, gdy tenże przez polskie Pomorze bez pozwolenia litewskiego z wojskiem przechodził, żądając odeń, aby zaniechał prowincyj, które do Polski należą, a króla

wzywał, by też napomniał wodza wojsk cesarskich, gdyż taki przykład państwom króla jest szkodliwy.

Gustawowi Adolfowi był wprost wrogiem, ale poznał w nim genjalnego wodza, a i ten wielki przeciwnik hetmana przyznawał, że ma sprawę z rycerzem i wielkim wodzem. Także i Koniecpolski czuł dobrze kim jest, chociaż napotkał na niezwykłej miary wodza. »Gdybym Gniewa nie wziął szturmem — mawiał — wierębym tak zawziętą reputację dobrego wojownika utracił«. Walcząc z nieprzyjacielem używającym wszystkich nowożytnych naówczas sposobów wojny, zasobnym w kilkakroć przeważającą szczupłą armję polską siły, co bardziej, walcząc z żywiołami, obozując w srogiej zimie w polu, jednakże nie daje ani chwili spokojnej nieprzyjacielowi, manewrując ustawicznie po obu Wisły stronach, odejmując wodę przekopami zatapiając jego pozycje, tak, że »siła szwedzkich żołnierzy uciekało z obozu«, trzyma go w szachu, zdobywa napowrót zajęte przez Szwedów zamki, jakkolwiek braknie mu wojska, gdyż zamiast kilkunastu tysięcy lub kilkudziesięciu zaledwie kilka wychodziło w pole. Z jakim to żalem pisze do króla, że nie może podjąć się bitwy z powodu małych sił w stosunku do Gustawowych. Wódz atoli zawsze musi być przygotowany do bitwy przeto i Koniecpolski przyrzeka wojsku nie zaniechać okazji do bitwy, »by nawet wszystkim zginąć przyszło, ochotnie zdrowie nasze położymy za sławę króla«. Nie dodaje »i ojczyzny«, prawdopodobnie z tej przyczyny że sejm nie zgodził się postąpić podatków celem zwiększenia armji polskiej. Toż już na toruńskim sejmie składał dowództwo uczeń Żółkiewskiego: »Bogdaj mój trup Rzptą zaległszy, sławę narodu naszego zatrzymał« — powtarzał słowa słynnego hetmana. Widząc jak ściśle łączą się różnowiercy i nieprzyjaciele Polski w jeden zwarty obóz, doradza »abyśmy i my wiązali się razem przeciwko nim« i pisze do senatorów, że »niewadziłoby nam z cesarzem związać się«, chociaż, dodaje ze zwykłym sobie krytycyzmem »te miasta nadmorskie, lubo cesarza słuchają, ale Gustawowi pozwalają zaciągać ludzi«.

Uczeń i kolega hetmana Żółkiewskiego, obawiał się zdrady Kozaków, nad którymi czuwał i podobnie jak pierwszy zdradzie Teofanesa, tak i Koniecpolski zabiegał podburzaniu ludu kresowego przez metropolitę Boreckiego i agitacjom kozackim w taki sposób, że nie godził się na przystąpienie do wojny z Portą, zanimby niebezpieczeństwo na kresach grożące nie było zażegnane. Toż podobnie jak Żółkiewski, był Koniecpolski za rozwiązaniem kwestji wschodniej za porozumieniem i przy pomocy Moskwy, chcąc tejże dopomóc do zajęcia Krymu, aby

potem uderzyć na Turków tak z nad Prutu jak i od Dunaju. Posunięcie armji polskiej z hetmanem polnym Potockim nad Dniepr, w czasie gdy Tatarzy rzucili się na Moskwę, było przeznaczone na pomoc Moskwie. Niestety *vis maior,* mrozy okrutne, udaremniły pomoc na krótko przed śmiercią Koniecpolskiego. Nie miał szczęścia wielki dźwigacz krzyża i pod krzyżem zawodów a w obronie jego przeszedł do wieczności. Trafnie pojmował i dowodził potrzeby zniesienia Tatarów z Krymu przy pomocy Moskwy i na jej korzyść, niestety los stanął na przeszkodzie planom hetmańskim.

Głęboki badacz planów wojny tureckiej Władysława IV zaznacza, że ustalenie granic Rzptej na północnym wschodzie, utrwalenie bezpieczeństwa krajów tegoż pogranicza, uregulowanie stosunków ekonomicznych i socjalnych na Ukrainie i Zaporożu, wreszcie zacieśnienie węzłów trzymających Kozaczyznę przy Polsce, było poprostu niemożliwem przed wyparciem Tatarów z przestrzeni między Dnieprem a Dniestrem i przed osłabieniem ich potęgi takiem, aby do systematycznego napastowania ziem polskich stracili ochotę i zdolność. Jakże wysoko nam przyjdzie cenić umysł hetmana Koniecpolskiego, skoro zważymy, że to on właśnie myśl tę powziął i uzasadnił. Teraz pojmujemy, że najcięższym jego krzyżem był kozacki, gdyż właśnie Kozacy wchodzili już, jak się z relacji swych donosicieli dowiadywał, w sojusz z Ordami, których zniesienie, w myśl hetmana, było na teraz głównem zadaniem Polski. Moskwa już w lecie 1646 miała wystąpić zaczepnie przeciwko Ordzie, kiedy zabrakło Koniecpolskiego i nie mógł stanąć do boju chrześcijański przeciw Ordzie sprzymierzeniec.

Oceniając go z punktu walki z pogaństwem, mówi o Koniecpolskim poseł francuski hr. d'Avaux, że jest postrachem barbarzyńców, nadzieją chrześcijan. *Fulmen belli* zwie go autor epitafium, a Pastorius nazywa go wielkim i szczęśliwym. »Ojczyzna — mówi ten ostatni — jakoby nie mogła objąć wielkości i szczęścia jego i jak skoro on żyć, ona szczęśliwą być przestaje«. Nuncjusz papieski, Honorato Visconti, umysł krytyczny, nie szczędzący nikomu przygany, jeżeli na nią zasłużył, a znający dobrze nawę ojczyzny naszej, fluktującej na falach rozhukanej wolności, oddaje hetmanowi pochwały, jako biegłemu w sprawach wojny wodzowi i ceni go dla jego mądrych rad w pokoju, dla których to przymiotów zajął pierwsze godności w Rzptej. Ale też chwali Visconti pobożność wodza, jego gorliwy a czynny katolicyzm, albowiem widział go w ważnych wypadkach broniącego otwarcie zasad katolickich przeciwko knowaniom przeciwników. »Siła ich, dodaje nuncjusz, upad-

łaby niezawodnie, gdyby się znalazło więcej takich mężów pomiędzy katolikami«.

Pobożność tę i żywo odczuwany a czynny katolicyzm wyniósł hetman z domu rodzicielskiego. Testamentem ojciec jego, wojewoda sieradzki Aleksander, upominał dzieci do wierności Kościołowi przy wierze świętej rzymskiej katolickiej, »w której umieram, abyście mocno przy niej stojąc heretyctwa i nowych nauk się strzegli«. Wojewoda umierający uzasadnia swą ostatnią naukę i przestrogę daną dzieciom, żyje bowiem w czasach, kiedyto prawie połowa szlachty należała do wyznań wrogich Kościołowi — i mówi: »Jeżeli się cieszysz, żeś jest członkiem tak zacnej Rzptej i potomkiem tych przodków, którzy za zasługami swemi sławę w domu zostawują, tem więcej się masz cieszyć, żeś synem tej matki Kościoła, który nie tylko wiele królów, książąt, ale co daleko zacniejsza, wszystkich Świętych matką wspólną jest i na której łonie umrzesz, co szczęśliwsza jest rzecz, aniżeli się od początku rodzić, gdyż nigdy nie urodzić się lepsza jest, aniżeli w tym Kościele nie umrzeć«. Od młodości też był hetman dobrym synem Kościoła, w imię Boga rozpoczynał każdą akcję, po bitwie każdej z rycerstwem składał dzięki publicznem *Te Deum* za zwycięstwo, a wydostawszy się z niewoli tureckiej, wzniósł w rodzimem Koniecpolu nad Pilicą okazały kościół i na kościół w Brodach fundusz zostawił, zakładając zarazem kollegjum misjonarzy i akademicką szkołę i sprowadzając tym celem nauczycieli z Krakowa. Toż na sejmie toruńskim (1626) Jakób Sobieski, zwracając się do hetmana z pochwałami, trafnie podnosi: »że i na tym publicznym placu hetman miłością chrześcijańską triumfuje, gdy Bogu i niebu wszystko przypisując, nie tak chciwie jako więcej *verecunde* o swoich przymiotach słucha«. Podobnie jak Zamojski, jak Żółkiewski, jest i Koniecpolski tolerantem, i gdy królowi doniesiono o znieważeniu duchownego jakiegoś czy też ministra w obozie, hetman kazał sprawdzić oskarżenie i okazało się, że takich wcale w obozie nie było. Żaden duchowny nie odniósł nieuszanowania, donosi hetman królowi, bo umiałbym się w tem poczuć, com Bogu, królowi i obowiązkowi memu winien i surowo to zganić. O sławę Kościoła dbał i bronił jej nawet w Carogrodzie. Toż gdy tamże postanowiono odebrać Kościół Grobu Chrystusowego w Jerozolimie i oddać go derwiszom, OO. Bernardyni, którzy kościołem zawiadywali, udali się do króla Władysława IV z supliką imieniem całego chrześcijaństwa, by temu zaradził. Hetman przez króla uwiadomiony o niebezpieczeństwie, napisał do Rzymu, że użyje wszelkich sposobów, aby zapobiec groźbie. Utrzymując z ówczesnym

wezyrem Murtezą basza, miłośnikiem pokoju, przyjazne stosunki, oznajmił mu w najściślejszej tajemnicy, że cały świat chrześcijański, cesarz, królowie hiszpański, francuski, angielski wszyscy książęta Rzeszy oburzają się z powodu Porty zamiaru, który też sprowadzić może na Turcję wielką wojnę. »A przecież sułtan ma tyle meczetów, cóż mu zależeć może na jednej lepiance... Dlatego też przestrzegam Was«! Sposób okazał się skutecznym, odstąpiono od zamiaru kryjącego w sobie obelgę świata chrześcijańskiego.

Zwano Koniecpolskiego pospolicie królikiem, tak w Polsce jak i poza jej granicami, a to z powodu stosunków z sąsiedniemi państwami, ich książętami i królami, z szachem perskim jak i z sułtanem, z domem austrjackim, z książętami włoskimi, jak i bałkańskimi. Może i dla wspaniałego dworu, który był olbrzymim, utrzymywania poczty z zagranicą, trzymania ajentów na wschodzie, dawano hetmanowi ów znamienny przydomek to pewna, że nie z powodu pychy, dumy lub innych tym podobnych przywar. Towarzyszący mu w jego częstych podróżach sekretarz czy marszałek dworu Stanisław Oświęcim, kilkakrotnie nadmienia, że hetman unikał pompy. I tak, gdy Warszawa w marcu 16[illegible]8 r. zgotować mu chciała uroczyste przyjęcie, uchodząc ceremonij zbytecznych i tej pompy przy wjeździe do stolicy, puścił pogłoskę w Oborach, niespełna trzy mile od Warszawy, że tu przez dzień zabawi, aby nazajutrz wjeżdżać do miasta. Gdy tak wszystkich upewnił, nie przestrzegłszy nawet sług, sam ku wieczorowi przy lampach i świecach wjechał do Warszawy. Sam skromny i nie lubiący pompy, huczne sprawuje wesela swoim, nawet starszemu pokojowemu Stanisławowi Ściborowi z panną Branicką, krewną pani domu, w Brodach na swoim dworze.

Brody nabył hetman 1629 r. od Łukasza Żółkiewskiego. Było prócz miasta wsi czternaście w czarnoziemi osadzonych na trakcie tatarskim. Toż natychmiast po zawarciu kupna wziął się hetman do fortyfikowania miasta, by na tem miejscu przeciąć wrogowi drogę w głąb ojczyzny, a szybko budując warownię, już 1633 pozyskał uchwałą sejmową pochwałę za swe dzieło. Wystawił też tutaj śliczny zamek, zatwierdził przywileje miasta i rozszerzył je. Brody te zniosły kilkakrotne oblężenie kozackie, a porównywano je z holenderskiemi warowniami, a co do ozdób, przewyższały wszystkie fortece. W r. 1651 uległy już zupełnemu zniszczeniu. Wystawił też zamek w Podhorcach, kosztowny pałac, obwiedziony murem fortecznym. Obok pałacu były fontanny, groty, kaskady na całą Polskę sławne, »miejsce uciech hetmana, pisze współczesny, po wojskowych trudach dla odpo-

czynku przeznaczone«. Słynęła miejscowość winem, jakto widać z wiersza Andrzeja Morsztyna do Stanisława Oświęcima, w którym mówi, że pił te wina, kędy zawieszał hetman proporce. Założył też potężną fortecę kresową w Koniecpolu, w bracławskiem, które osadził na świeżym korzeniu w pustyni w stepie. Wilhelm Beauplan zbudował tę twierdzę 1634 r., na którą tak niemiłem okiem spoglądali Turcy, nasyłający Tatarów na jej zniszczenie. Na pustyniach tych i okolicznych rozsadził hetman 170 miast i 740 wsi, stanowiących potężniejszą tamę dla napadów tatarskich, aniżeli fortece i zamki. Ludność bowiem była z Polski sprowadzoną postępową, którą użył hetman do podniesienia kultury kresów, zakładając potaszarnie, saletrownie, prochownie itp., zaprowadzając straże zbrojne i posuwając kulturę chrześcijańską w głąb stepu. Pod koniec życia liczono go jako posiadacza tysięcy wsi i setek miasteczek, z których dochody szły na coraz dalsze posuwanie kultury w stepy, lubo częstokroć nowe te kolonje rabowali Tatarzy. Tak np. klucz Iwankowski i włość mhlijowską 1617 r. tak spustoszyli mu Tatarzy, że jakich 47 wsi zniszczyli, lud pobrawszy w niewolę i gdyby nie dzielny zagończyk, Krzysztof Niendrych, który odbił jeńców, byłyby spalone osady świeciły pustką i to przez szereg lat. Cóż hetmanowi przyszły za pożytki z osad pomiędzy Chorolem a Sułą, skoro, jak doń 1643 r. kresowiec Zaćwilichowski donosi, »Orda w cztery tysiące pod Umerli agą, wszystko spustoszyła... co prawda mało który z najeźdców wrócił do Krymu«.

Majątki swoje tak w Polsce jako i na kresach sam hetman objeżdżał, rewidował nowe osady, słobody, przytem i ludzi, którzy dla ochrony kresów od Tatarów tutaj przemieszkiwali; przyjmował skargi Kozaków, relacje od szpiegów, posłów od Ordy, od baszów sąsiednich, sędziaków. Ani śniegi, ani roztopy i wiatry mroźne lub mrozy styczniowe nie powstrzymały go od tych prac, mających na celu nie tylko dobro własne ale i publiczne, albowiem zakładał nowe drogi, długie mosty na Taśminie i błotach, stawy długie na dwie mile w Taśminie, słowem pracą kulturną wypierał koczownika ze stepów, uważanych przez Ordę za jej własność, a gdzie Buczaccy jeszcze w XV w. zasadzali polskie kolonje. Osadnikiem bowiem na wielką miarę był Koniecpolski i na wzór Buczackich posuwał się kolonjami ku morzu. Był majętnym, w ziemie zasobnym i gdy sprawiał pogrzeb drugiej swej żonie, Krystynie Lubomirskiej, z wielkim sumptem a niesłychanym zjazdem, jak się wyraża świadek, mogło się rachować na dworze w Brodach kilka tysięcy gości, a trwało to cały tydzień według zwy-

czajów ówczesnych. Bogactwa miał i dla siebie i dla ojczyzny, dla przyjaciół i dla nieprzyjaciół, gdyż słusznie mawiał, że złotem na wschodzie wszystko się zdobywa, a więc i wiadomości o zamiarach Turczyna, o uchwałach dywanu i o knowaniach Kozaków.

Rządnego gospodarza, gościnnego kresowca lubiała szlachta i dla rzadkich jego przymiotów wodza i męża stanu wysoko ceniła. Imponował jej pogodnym umysłem, przyjazną układnością i lakonicznością w orędziach i rozkazach, boć zapraszając do obozu, zawsze dodawać kazał, że będzie rad rycerstwu, a nawet gdy egzempty dawał rycerstwu obozowemu, do władz sądowych pisał pogodnie, że rycerz w jego obozie nie ma czasu pilnować terminów sądowych. Zdobywał tem serca ziemian tak bardzo, że gdy wrócił z niewoli i wydawszy sporo pieniędzy na okup był wyniszczony, ziemianie lwowscy polecili w Wiśni posłom na sejm wysłanym starać się, aby *„tantum civem republicae* w tych jego znacznych stratach poratować i tym ratunkiem *calcar addere virtuti* do dalszych usług". Sejm też uczynił zadość woli obywateli tak przychylnych hetmanowi i w rok później 1624 r. ofiarował mu sumę 30 tysięcy zł. p. z bardzo charakterystycznem umotywowaniem. Ofiarował mu bowiem »za znaczne posługi w różnych ekspedycjach, osobliwie moskiewskich i wołoskich nie bez wielkich majątku i zdrowia uszczerbków świadczone, także i za świeżo przez dzielność jego otrzymane zwycięstwo nad Tatarami«. Nie dodano tylko, że i za uwolnienie innych ziomków z niewoli tureckiej, gdyż i na ten cel poświęcił niemałe sumy z własnej szkatuły.

„Zawistnych sąsiadów postrachem i odniesionemi nad nimi zwycięstwami, innych przyjaźnią i układnością, wszystkich zaś dużą powagą, jakiej zażywał za granicą, zwyciężał" — mówi o Koniecpolskim trafnie współcześnik.

Uczeń Żółkiewskiego, miał wszystkie zalety swego mistrza. Czujnie, jak żuraw, stał na kresach, przestrzegał dyscypliny wojskowej równie jak i warunków układów z Portą, podobnie jak to czynił Żółkiewski i taksamo, jak on, był i Koniecpolski ostrożnym względem Kozaków, których postępki śledził i zapobiegał knowaniom niebezpiecznym. Przewyższał nadto Koniecpolski swego mistrza obmyślaniem walki, przygotowaniem środków do kampanji, do otoczenia wroga, zaskoczenia go, zniesienia sił jego. Przewidział też bystrzej, aniżeli Żółkiewski zamiary przeciwnika, natomiast nie dorównał mu bystrością poczęcia planu i szybkością w wykonaniu, nie było mu też sądzonem położyć życie na ołtarzu ojczyzny, lubo krzyże i trudy znosili obaj, z rezygnacją chrześcijańską. *Dr. A. Prochaska.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z nowych powieści.

Na czoło produkcji literackiej ostatniej doby wysuwa się, jako najważniejsze zdarzenie: »Wiatr od morza« Stefana Żeromskiego.

Przecudny, zarazem wystudjowany i przyrodzoną strugą kryształową lejący się styl Żeromskiego, styl pełen słowiańskiego smętka, jak gra ligawki w przedwiośnie, styl pełen bólu, jakby litera każda była w żywem ciele wycięta i krwią nabiegła — ten styl nabrał szerokich tchnień harfianych barda narodu.

Żeromski w każdym momencie życia narodu potrafił odworzyć najtajniejszą jego mękę i nadzieje. Ponad wszelkiemi pociskami w sercach polskich zostały: »Mogiła«, »Rozdziobią nas kruki, wrony«.., legionowe karty »Popiołów«, »Duma o Hetmanie«. »Wiatr od morza« jest poematem dla całego narodu. Jest podaniem narodowi tej struny, tego pchnięcia nieskończoności, którego mu brakowało.

Jeżeli przejrzymy wzmianki o morzu u poetów polskich, od Kochanowskiego począwszy, nie spotkamy tam prawdziwej, rwącej w dal morskiej tęsknoty, która odtwarza zdobywczą rasę żeglarzy. Nie czuje morza ani Samuel ze Skrzypny Twardowski, ani Andrzej Zbylitowski. Raczej strach wobec głębin i burz, niż stopienie się z morzem huczącem i pogodnem jest u tych pisarzy. A później? Od Mickiewicza, poprzez Słowackiego, Konopnicką, Tetmajera jest morze tłem do tęsknot, jest tłem malarskiem do ukołysań lirycznych. Nawet Marjan Zaruski, który jeden z pierwszych w niewoli jeszcze marzył o flocie polskiej, wzdryga się czasem przed morzem i tęskni, tęskni.... ku wybrzeżom.

Jest w naturze polskiej kurze zasiedzenie się na grzędzie, jest przez nasz wyjątkowy patrjotyzm rozmiłowanie się we własnym kraju, które wszystkie inne kraje przesłania. Jeszcze Rey chlubił się, że »nigdzie nie jeżdżając, tu pasł się na dziedzinie, jako w lesie zając«.

W »Panu Balcerze w Brazylji« morze przedstawiane jest przez pryzmat oczu chłopa polskiego, a więc przez odczucie najbardziej plemienne, jako zła, groźna, potworna siła. Emigranci Konopnickiej napewno nie wywieźli ze swej podróży chęci i tęsknoty do dalekich podróży ku nieznanym lądom....

Daleka tęsknota ku nieznanym lądom.... Jeżeli tkwi ona w duszy narodu, to odkrywają te lądy, tajemnicze wyspy, nieznane obszary twórczości ci nawet, którzy nigdy na morzu nie byli. Daleka tęsknota ku nieznanym lądom otacza skroń narodu nimbem nieskończoności. Ona duszę rozdala i ubiera w żeglowne płótna, jak w skrzydła.

I mamy oto morze.... Śpiewa nam więc Żeromski pieśń polskiego morza, jego odepchnięć i przylgnięć do duszy narodu. Symbol złej siły, wichrzącej nad morzem — Smętek nie zdoła nas oderwać od morza. Wrośnie w duszę idących pokoleń nieprzeparte pragnienie Jana z Kolna, by płynąć ku nieodkrytym lądom, by zwycięską stopą Kolumba nadeptywać ich pierś, oblaną pianami oceanów. Żeromski uczy nas duszy Jana z Kolna:

»Nienasycona ciekawość, nieugaszona żądza, — ogień palący podeszwy na ziemiach zaludnionych i zamieszkałych przez plemię człowiecze, — paliła go narzucając pytanie, co jest dalej, co jest tam jeszcze, co się tam kryje po za wielkim lądem, który już zobaczył«.

Objawem budzącej się w nas duszy morskiej jest książka nie mająca pretensji literackich, ale zajmująca i droga dla nas, jako wspomnienie i zapowiedź. »Morzami ku Polsce« — pamiętnik komandora Florjana Hłaski, który dwadzieścia lat wędrował w obcej służbie morskiej po oceanach i teraz uczy młode pokolenie marynarzy polskich. Ten jest marynarzem prawdziwym, więcej od Marjana Zaruskiego. On czuje morze, jest z niem zrośnięty i nauczy czuć młodych.

Komandor floty polskiej, Hłasko, pisze:

»Ze wszystkich krańców ziemi wieje ku morzu duch tęsknoty«...

»Od brzegów morskich wiodą żeglarza szlaki morskie na nieskończone przestrzenie globu«...

»Dla tych, co posiedli morze, jest ono nieustającą drogą życia«..

»Bierze tę drogę życia w posiadanie każdy wytrwały i odważny«..

Tak kształtuje się w Polsce morska jej dusza.

* * *

Ostatnio ukazało się nowe wydawnictwo »Książki ciekawe«. Wydawca pochodzi z kulturalnej i literackiej rodziny Gadomskich, redaktorem jest wytworny poeta i krytyk, Stanisław Miłaszewski, b. współpracownik »Dziennika Powszechnego«. To też wydawnictwo ma szatę zewnętrzną gustowną i widoczne jest staranie, by nie dawać tandety literackiej. Oczywiście w tem dążeniu nie zawsze może wydawca osiągnąć powodzenie. Mały jest wybór dobrych rzeczy. Mnóstwo literatów teraz złamało pióra. Praca literacka jest tak źle płatna, że z niej się utrzymać nie można. A że Polska Niepodległa jeszcze dotąd niepowstrzymanie konsumuje inteligencję, więc się siedzi na urzędzie i nie puszcza się na niepewne kombinacje z nienasyconymi a wciąż wyrzekającymi księgarzami.

Zwróćmy tylko uwagę, że jeszcze ani jeden księgarz w Polsce od czasów Florjana Unglera nie zbankrutował, a pisarzy zmarnowało się bez końca. Literat nie będzie tworzył dobrze, nie będzie wygładzał,

da roboty pośpieszne i nieprzemyślane, o ile nie będzie miał myśli swobodnej, bez troski o byt. Literat nie będzie mógł kształcić się, poznawać literaturę europejską, żyć sztuką, pracować nad sobą, o ile będzie musiał wykonywać zawód dodatkowy obok literatury.

Tak też u nas jest w Polsce; dlatego taka zaściankowa, samorodna, bez studjów i wiedzy jest często nasza literatura. I będzie tak póty, aż nie zrówna się sprawiedliwiej zarobek wydawcy i pisarza. Literatura głodomorów zaiste nie zabłyśnie na forum europejskiem.

Wydawnictwo »Książki Ciekawe« wybrało z pośród istniejącej podaży, co można było najlepszego. Myślą przewodnią było widocznie dostarczenie znękanemu powojniem i polityką czytelnikowi orzeźwiającej rozrywki. Oby tylko uganianie się za rozrywkowością nie zakryło ze wszechmiar pożytecznemu a taniemu wydawnictwu oczu na poszukiwanie głębszych wartości duchowych.

Nasamprzód widzimy znaną, ale trochę oczyszczoną nowelę Żeromskiego »W sidłach niedoli«, zawierającą właściwie dwa tematy: osamotnienia bezrobotnego inteligenta w mieście i krach duchowy niezepsutego mężczyzny, dowiadującego się o niemoralności swej wymarzonej. Wszystko składa się na beznadziejny obraz człowieka na tle współczesnej niedoli narodowej, społecznej i ekonomicznej. Niedołęga Kubuś, pracujący w dodatku w urzędzie moskiewskim i opuszczający go nie z powodu wybuchu patrjotycznego, lecz z powodu wykonania głupiej i dzikiej zachcianki, mało w nas wzbudza współczucia. Szarzyzna życiowa martwo i chmurnie kładzie się na duszę. Z ukrytą nienawiścią a pozornym humorem odtworzył ją Żeromski. Już w tej dość dawnej noweli ujawniły się dwie najpiękniejsze strony talentu Żeromskiego: opisy przyrody i liryka.

»Nowele« Adolfa Dygasińskiego przypomniały nam tego pisarza. Umieszczone drobiazgi, jak zawsze u Dygasińskiego, zawierają doskonałą obserwację chłopa polskiego i doskonałą obserwację przyrody. Na swój sposób jest Dygasiński polskim Kiplingiem. I należy do rzadkich pisarzy, mających prawdziwy humor, nie tak kwaśny, jak u melancholika Żeromskiego.

»Nad Urwiskiem« Gustawa Daniłowskiego przypomniało nam ciężkie, szare, codzienne życie przed wojną. Owe istnienia bez celu, bez wyjścia, nie opromienione ideą, samolubne, bez łączności z nieskończonością.... Istniała przez pewien czas w życiu i literaturze hypnoza walki o byt, wzniecona przez Darwina, podtrzymywana przez Zolę. Odgłosem tej szkodliwej, trującej hypnozy, tego pojmowania życia, jako starcia się ze sobą instynktów, wydzierających sobie kęs strawy, jest utwór tytułowy »Nad urwiskiem«. Echa przebrzmiałego okresu... Teraz nie jednostki walczą ze sobą, ale całe narody — ostatecznie o ten sam problemat głodu. Ale rozszerzona walka, owiana sztandarami i hasłami, wypchnęła nas na jakieś niezmiernie szerokie widownie. I ze wstrętem wracamy do gmerania w szarzyźnie błotnistych dni.

Jana Lemańskiego »Prawo mężczyzny« jest, jak zwykle

u tego autora, walką à outrance z filisterją wszelkiego rodzaju. Paradoksalnie formułuje pojęcia i uczucia. Scholastycznemi zawiłościami i grą słów bawi się filozof ten, który przypadkiem, zamiast traktatu z psychologji i nauk moralnych zaczął pisać bajki, satyry i arabeskowate rozprawki. Dowcip jego przyciężki, choć trafny, ujmowanie rzeczy często zbyt brutalne i drastyczne. Ale wojna wydana przez niego małżom, płazom i różnym czworonogom, których nazwy nie wchodzą do słownictwa salonowego, daje mu odrębne i bardzo sympatyczne miejsce w literaturze. Język jego bogaty i kulturalny, czerpiący z bogactw ludowych, ze staropolszczyzny, stwarzający organiczne i przekonywujące neologizmy, daje mu pierwszorzędne miejsce wśród stylistów polskich.

Po literacku zrobiona, dziwnie nienowa, trzeciorzędna książeczka drugorzędnego pisarza Macieja Wierzbińskiego p. t. »Siostra Felicja« traktuje niewyczerpany nigdy temat miłości. Tym razem Amor skrzydlaty schronił się pod.... kornetem zakonnicy.

Niewiarogodną psychologicznie jest postać prostej zakonnicy, której się mówi o miłości, co prawda dobrej i duchowej, ale nie tylko anielskiej i która przeto, bez burz wewnętrznych, jakby z moralnem uprawnieniem słucha o niej. Zawsze ten sam refren bałwochwalców życia: miłość ponad wszystko. Przypomina się nowelka Zapolskiej, przedstawiająca dwie siostry: jedną — zamężną, drugą — zakonnicę. Zamężna znosi sztraszliwe ciosy życia, zakonnica żyje spokojnie poza wirem walki o byt. I jednak zamężna jest szczęśliwsza.

Zapominają bałwochwalcy życia, że nie dla szczęścia się żyje. Gdyby to zrozumieli, właśnie wtedy niewołane przyszłoby to szczęście, jako owoc pracy duchowej.

»Amulet Ozirisa« W. Filochowskiego i »Komandor Sidi Numan zu Stollberg« E. Ligockiego rozpoczynają serję książek, bijących na sensacyjność. Sensacyjność ta jest tak rażąca i przejaskrawiona, że aż zagłusza walory artystyczne. Nie mogę powiedzieć, czy książki są dobre, czy złe. Są hałaśliwe. Katastrofy samochodowe, amulety egipskie, tajemne wpływy hypnotyczne, i afery złodziejskie, i wykopywanie trupów — wszystko to jest raczej kino, niż literatura.

Prawda, że w ostatnich czasach Jouandeau i inni pisarze nawet metodę pisarską upodabniają do filmowego przesuwania się obrazów. Ale to tylko metoda. Dąży się do podniesienia poziomu kina. Czyżby nieśmiertelne niższe pierwiastki w człowieku, te, które żądne są sensacji, ruchu, akrobactwa, krwawych dramatów, — te, które dążą do wstrząsów czuciowych przy absolutnem ugorowaniu myśli, uczucia i ideowości, chroniły się teraz do literatury?

Przyznać trzeba, że wojna przyzwyczaiła nas do silnych wrażeń. Jak widzi się z czytania od czasu do czasu powracających na półki księgarskie starszych pisarzy, realistyczne szarostki i błahostki, drobne nastroiki, mikroskopowe podpatrzenia, gmeranina w psychologjach przeciętnych doszczętnie się przejadła. To jakieś przaśne, mdłe, nieznośne już dla nas potrawy.

Więc owszem: czemuż twórcza dusza ludzka ma ulegać otaczającemu ją życiu, utworzonemu przez jej grzechy i niedoskonałości? Czemu nie ma zmieniać form otaczającego ją życia i tych form wymarzonych w literaturze rzutować? Czemu nie ma stawiać przed oczy świata promienistego i tęczowego nieskończonych mocy, nieprawdopodobnie pięknych form, żeby nareszcie od zgrzebności życia odpocząć?

Ale sensacje zbyt gruboskórne — to znowu niziny, niziny....

Kiedy przestaniemy patrzeć w skrwawiony bruk, a przypomnimy sobie otwarte nad głową niebiosa?

Do tej samej sensacyjnej kategorji niesamowitości należy książka tłómaczona: Wells, Bulwer Lytton, Kipling »Niesamowite opowieści«. Zwłaszcza Bulwer Lytton stanowczo przeholował w swojem spirytyźmie. Straszyć ludzi zaświatem nigdy nie należy. Istnieje gra jakichś sił bliżej niewyjaśnionych. Ponieważ życie nam jest dane dla czynu i podniesienia się na wyższy stopień duchowy, oddawanie naszych sił duchowych na przedwczesne wdzieranie się w tajniki, widocznie z zamiarem oczom naszym zakryte, jest marnotrawieniem i rozpraszaniem tej żywej siły, za które kiedyś odpowiemy, jak za talent zakopany w ziemi. Zresztą są metody rozwoju duchowego, na skutek którego wiele rzeczy staje się prostemi, jasnemi i zrozumiałemi, a wiele usiłowań ludzkich wydaje się krzątaniną Marty.

Znalazł się wśród »Książek Ciekawych« i »Święty Satyr« Anatola France'a. Nie zatrzymujemy się dłużej nad tą książką z powodu umieszczenia jej świeżo na indeksie przez Stolicę Apostolską. Zaznaczamy, że wyszła ona przed wciągnięciem A. France'a na indeks i dobór utworów znamionuje, że nie było w nim tendencji antychrześcijańskiej. Są niektóre opowiadania, jak »Kuglarz Najświętszej Panny« albo »Zastaw«, które powinny wzruszać swoją franciszkańską prostotą i naiwnością; a jednak zimnym pozostawiają czytelnika. Bo sam autor pisał to na zimno, obrabiając interesujący temat, ale bez wzruszenia wewnętrznego. I w końcu sceptycyzm autora wywołuje przykre uczucie. Nie można pisać elegji skocznym chorejem sześciogłoskowym, ani rozwiewnej liryki ująć w ciężkie aleksandryny. Każdy temat wymaga odpowiedniej atmosfery i nastroju, by w niej się uwydatniły jego walory. Opowiadanie rozczulające o nierozwiniętym kuglarzu, który czci Matkę Boską tem, co umie najlepiej — swemi sztukami — traci u Anatola France'a swój urok przez chłód opowiadania.

France pisze o malarzu religijnym z czasów Renesansu:

»Buffalmacco wywiązał się z obstalunku zręcznie. Znawcy podziwiali na tych freskach szczególnie Jezusa na krzyżu, trzy płaczące Marje, Judasza powieszonego na drzewie figowem oraz człowieka wycierającego nos«.

Człowiek, który to wszystko z ironiczną nonszalancją wypowiada jednym tchem, zrównał w sobie najwyższe i najniższe. Zabił wartościotwórczość. Uczynił zabawę z całego życia. Mniej beznadziejnym jest bluźnierca nawet, który wyrzuca klątwy i protesty w Niebo; bo dusza jego płonie i taka dusza może ukorzyć się, skąpać w zbawczych

łzach i nawrócić. Szaweł zawsze może zostać Pawłem. Ale zimny, płazi sceptycyzm, ale ciekawość umysłu, przesłaniająca wszystko inne w człowieku, wytwarza swym wpływem obojętne pokolenie smakoszów życia.

Ale życie wszak nie jest gastronomją.

Przypominam sobie rozmowę kulturalnego wytwornisia z poważnym duchownym. Pierwszy oburzał się w imię kultury za umieszczenie tylu dzieł ludzkiego ducha na indeksie. Duchowny zapytał:

— Proszę mi wymienić jakiekolwiek dzieło umieszczone na indeksie, które pozbawia ludzkość wielkiej, zbawczej prawdy, pożytecznego wynalazku, głębokiej i jasnej pociechy?

Polemista zaczął szukać i nie znalazł. Na umysł jego karmiony bałwochwalstwem postępu Buckle'ów, Draper'ów i Spencerów wywarło to niesłychane wrażenie.

Istotnie tracą ci czytelnicy, którzy chcą zastosować się w stosunku do France'a do rozporządzeń Stolicy św., tylko lekką truciznę estetyzującego sceptycyzmu. Tylko umysły powierzchowne i natury zmaterjalizowane mogą rozkoszować się wytwornem rupieciarstwem France'a i jego raczej szyderczo-nienawistną, niż szukającą uzdrowienia krytyką społeczną.

France'owski nastrój panuje w tłómaczonej powieści Pierre Mille'a »Święta Kurtyzana« (wyd. Vita Nuova). Objektywnie maluje Mille męczeństwo chrześcijan. Kreśli typy. Stara się je zrozumieć. Spokojnie odtwarza ironję zdarzeń, które z niespokojnej, jedynie osobistem szczęściem żyjącej Kurtyzany uczyniły świętą. Historyczne malowidło, dobrze wystudjowane, które nic właściwie nie daje, prócz zaspokojonej chwili ciekawości.

*

* *

Z książek tłómaczonych warto wspomnieć doskonały przekład Piotra Choynowskiego »Cierpień młodego Wertera« Goethe'go. Książka ta ze swym Weltschmerzem i sentymentalizmem trąci odległą epoką. Ale pomimo to, głębokie współczucie dla świata i zdolność kochania wogóle tamtych czasów zdaje się przewyższać naszą współczesną zdolność uczuciową. Wogóle epoka nasza gardzi patosem i uczucia, o ile są, konspiruje wstydliwie. Zaledwie napomknieniem, objektywnie wypada dać ujście uczuciom. Niepohamowanie wypada w myśl konwenansów współczesnych wyrażać tylko miłość płci dla siebie. Bo wogóle uczucia przyjaźni i miłości rodzinnej okropnie się skurczyły. Są w stanie zaniku.

Utwory, wyrażające uczucie może staromodnie i czułostkowo, lecz za to intensywnie, godne są wskrzeszenia. My powinniśmy się uczyć na nowo uczuć indywidualnych. Rozrost politycznych i społecznych przytępił je straszliwie. Zmieniliśmy się o tyle, że w każdym razie żaden Weltschmerz lub miłość zawiedziona nie pobudzi nas do samobójstwa. Ostatnia fala samobójstw w społeczeństwie wynikła na tle krachu ideałów społecznych po 1905 r. Społeczeństwo nasze zdro-

wieje i ogólna atmosfera wiary w przyszłość i w siły narodu nie sprzyja szerzeniu się prądów desperackich.

Tak samo obcem wydaje się nam w Werterze filozofowanie i dociekanie istoty bytu. Budujemy tak wiele, że nie mamy na to czasu. I obecny brak kompletny refleksji i racjonalistycznych wątpień i szukania odpowiedzi na zagadkę bytu bierze źródło, zdaje się, i w tem, że obcowanie miljonów ludzi ze śmiercią stworzyło w nieskończonych ich zastępach pewność intuicyjną nie kończącego się życia. Nie zawsze znalazło to wyraz w utworach literatury. Znajdzie jeszcze. Ale kto przechodził obok wielu dusz, wracających z gehenny wojennej do życia, ten po pewnym czasie konstatuje w sobie tę pewność.

Piotr Chojnowski, najzdolniejszy u nas w Polsce nowelista, w nowych wydaniach dał znowu publiczności »Pokusę« i »Historję naiwną«. Pisarz ten umie, jak nikt, odtwarzać szarą, pokrytą tłustym brudem, obmierzłą powszedniość nędznych, stłamczonych, zadeptanych istnień. Ale jego obrazy nie budzą beznadziejnej, szarpiącej, boleśnie ssącej tęsknoty, jak podobne obrazy Czechowa. Bo każdy taki typ, na dnie studziennem obrastający wilgotną pleśnią, otwiera nam na chwilę swe serce i błyska w tem sanctuarium złoty, maleńki, utajony promyczek dobroci lub poświęcenia.

To nas godzi z doskonale zaobserwowaną galerją typów ze sfer przyziemnych. Ale to wszystko w literaturze już było. Szare, ułomne życie, soczystość słabostek i ułomności, wiekuiste kalectwo duchowe i niedociągnięcie...

Chcemy inaczej, silnie, potężnie, jaskrawo, snopami olbrzymiemi barw. Jak w tym utworze z okresu legjonowego: »Z czwartego plutonu«.

Świetne podpatrzenia i obserwacyjność stawia Chojnowskiego obok Piotra Altenberga, Zapolskiej, Gyp'a. W ostatnich czasach utalentowany autor zwrócił się ku tematom historycznym (»Kuźnia«). Interesującym jest jego dalszy rozwój.

* * *

Powieść historyczna po ostatnim zajmującym eksperymencie Reymonta (»Ostatni Sejm Rzeczypospolitej«) nie wydała nic epokowego. Ostatnio wyszedł znowu »Sen o Dwernickim« Edwarda Ligockiego. Nie jest to powieść. Podobnie, jak »Wiatr od morza« Żeromskiego, jest to szereg luźnych scen i obrazków, powiązanych jednością myśli przewodniej, lecz nie akcji. Dość słabe wykonanie Ligockiego okupuje bogactwo i piękno tematu, tak żywo poruszającego każdego Polaka.

»Baletnik« i »Jasny Hubert« Cezarego Jellenty, pisane z poezją i dużą kulturą, na gwałt nie uznają miłości małżeńskiej. Robi się romans tak spokojnie i prosto, jakby to schodzenie się i rozchodzenie ludzi było zupełnie normalnym objawem życia. Nikomu nie drgnie nawet powieka: kochać — bez obowiązków, z obowiązkami — nie. I kiedy w »Jasnym Hubercie« już — już ma się skojarzyć uczciwe mał-

żeństwo znudzonego, ale nie beznadziejnego artysty i porządnej, świeżej dziewczyny — wtedy wchodzi w grę tajemnicze, konspiracyjne towarzystwo mścicieli krzywd narodowych i społecznych. Międzynarodowe to a działające na korzyść Polski, grono spiskowców (mocno przypominające masonerję) zabrania swym członkom się żenić, aby ich nie krępowały obowiązki rodzinne. I dzięki temu *deus-ex-machina* uczciwa panna z dobrego domu jednak znajduje się w garsonierze.

Sprzykrzyła się nam jednak renesansowość i piękne akty oraz linje bioder już nie leżą na linji naszych zainteresowań. Czytając pisarzy przedwojennego okresu, dopiero czujemy, jak przesunęły się wszystkie wartości, jak bardzo potrzebujemy odnowy.

Odnowę przynoszą nowe książki, zawierające zupełnie nieznane karty życia, przyniesione przez historję. N. p. wydana przez »Ignis«, tłómaczona z francuskiego książka Jerzego Duhamela »Żywoty męczenników«. Jest to epopeja cierpiących ciał. Duhamel opisuje męczarnie rannych na wojnie, w szpitalu, gdzie opiekuje się nimi jako lekarz.

Zamiar Duhamela jest inny, niż baronowej Suttner lub Leonidasa Andrejewa. Nie maluje on okropności wojny w celu pacyfistycznym. Nie maluje z uczuciem tego, który sam boi się, jak w »Czerwonym Śmiechu« Andrejewa. Ta epopeja zmiażdżonych rąk i nóg, poszarpanych brzuchów i pogruchotanych bioder uczy Francuzów wzniosłej miłości dla tych, którzy to wszystko przecierpieii, aby Francja była wielka i zwycięska!

Jest to apoteoza patrjotycznej ofiary, jest to bezgraniczna litość i wdzięczność dla tych, którzy oddali życie, zdrowie, możność szczęścia dla tego, co większe od nich.

Cudnym odruchem narodu francuskiego jest kult poległych i tych, co walczyli za ojczyznę. Nie mogą już uczestniczyć w szczęściu i chwale ojczyzny. Ale naród pamięta o nich, łączy się z nimi, składa im kwiaty.

Właściwię całością narodu dla tych, co wierzą w nieśmiertelność, są ci, co żyją i ci, co odeszli. I kult poległych u Anglików i Francuzów, który przybrał tak ładne formy, jest podświadomem wyrażeniem tej prawdy.

U nas nie uczczono żołnierza nieznanego. U nas za mało pamiętają o poległych. Nie stawiane są żadne pomniki. Tylko w dzień zaduszny przypomniano sobie o nich. A oni przecież, ci, co umarli za Polskę, zawsze są z nami...

Cichem odpocznieniem po czytaniu bieżącej literatury są »Poezje« Michała Anioła Buonarotti'ego w przekładzie Leopolda Staffa. Sonety i inne wiersze artysty na cześć przyjaciela, Tomassa Cavalieri i Vittarii Colonna zaiste znowu nas zawstydzają. Jeżeli większe uduchowienie ma oznaczać większą kulturę, to wstydzić się powinniśmy naszej niższości wobec tych wierszy tak bogatych w treść. Uczą one nas miłości czystej, Erosa z lilją w ręku, miłości opartej na

porozumieniu dusz i przeniknięciu się ich aż do dna. Nieznany nam motyw podejmują: oto dwoje, połączeni miłością, idą razem ku zbawieniu, dopomagając sobie wzajemnie w pracy wewnętrznej. Stary Mistrz, który w kaplicy Sykstyńskiej i w Mojżeszu dał wyraz sile, tutaj uczy nas nieskończonej czułości, zwiewnej, eterycznej, pięknej. Uczy nas rozmowy dusz, ich głosu odbarwionego z nizinności, prześwietlonego promieniami.

Uczy nas — miłości niebiańskiej.

Hanna Zahorska.

Z niwy poetyckiej.

Marja Morstinówna: Błyski latarni. Kraków, nakładem krak. Spółki wydawniczej, 1922, str. 107.

Poezję naszą najnowszej doby cechuje mocne znużenie czy nawet znudzenie »przeżytą« jak się zdaje formą i namiętne szukanie nowych dróg twórczości. W całej powodzi nowych poematów, jakiemi jaśnieją wystawy księgarskie, u mniej lub więcej uzdolnionych autorów przebija przekonanie, że poezja polega głównie na wiernem oddaniu wrażeń czerpanych bezpośrednio z przeżyć i rzeczywistości. Zapominają, że to nie jej istota lecz jeden z warunków powodzenia. Nie odchyliła się od prądu tego autorka »Błysków latarni«. Tkwiących w przeszłości nazywa »tkaczami minionych snów« sądzi że,

piękną może być każda strofa
byle w niej serce biło
i byle tętniła w niej krew.

Z takiego pojmowania sztuki i poezji w szczególności wynika, że pierwsze lepsze odczucie, uderzenie serca przelewa się na papier w słowach wielu, w których nieraz niewiele jest poezji a dużo patosu i pustej retoryki. To jest głównym i zasadniczym brakiem »Błysków latarni«. Ale obok tego zaniedbania formy i grzęźnięcia w prozie nieraz przez długie okresy, posiada dziełko młodej autorki miłe i pociągające zalety. Należy do nich przedewszystkiem szczerość i szlachetność poglądów i haseł, jakie rozwija w swych wierszach. Mile przebija w utworach autorki trafność spostrzeżeń i sądów, tak np., że »tęsknota dali zrodziła smoka z żelaza (pociąg) na podobieństwo swoje«.

»Podróż« opisana barwnie i zajmująco, choć niepotrzebnie budzi strach czytelnika zapewnieniem autorki, że wyskoczy z pociągu, ażeby »pogrążyć się w chłodnej topieli« jakiegoś jeziorka ujrzanego przez okno wagonu. Nie rozumiem też jaką głębię i jakie »szczyty« widział szanowny recenzent z »Czasu« we wyrażeniu

Ja nie muszę
Ja chcę żyć (Przebudzenie).

Wszakże popęd do życia jest zwykłym przymiotem każdej normalnej istoty żywej, a tembardziej rozumnego człowieka.

We wierszu »Wydarte szczęście« wyrywają się autorce niewłaściwe wyrazy o Bogu, choć zresztą utwory cechuje pobożność i tęsknota za szczęściem wiekuistem. Wiersz »Pochód triumfalny« zawiera piękne myśli i stąd może do najlepszych należy. Z »Piosenek« siłą uczucia odznacza się ostatnia: »Już zapomniałam o Tobie«. Na ogół mówiąc, nie jako wykwit wysokiego natchnienia, ale jako wiązanka poetycznych rojeń, autorki, obdarzonej talentem spostrzegawczym i zamiłowaniem piękna, przedstawia się książeczka mile i pociągająco, a jako taka z pewnością będzie przyjemną lekturą i wdzięcznym wyrazem nigdy niezagasłych wzlotów w zaklętą krainę ideału.

Ks. T. Karyłowski.

Ks. Franciszek Błotnicki: Kwiaty przydrożne. We Lwowie. Nakładem tow. „Bibljoteka religijna" 1922.

Książeczka o sympatycznym zewnętrznym wyglądzie należy do szeregu tych wydawnictw, jakie nieustanna tęsknota za pięknem i ideałem obficie rzuca co roku na półki księgarskie. Nie przetrwają one wieków, nie zdobędą palmy nieśmiertelności, ale są jak te wiosenne kwiaty, co swój czas mają rozkwitu i woni, nęcące już tem samem, że świeże i młode, że się do słońca wyrywają. Są, jak te blaski słońca na zmiennej fali, czujemy, że czar ich prędko zniknie poddany surowszej analizie, a przecież chętnie poświęcamy im chwile zastanowienia, cieszy nas ich krótki przebłysk, jako objaw żywotności twórczej narodowego ducha ciągle nowych dróg szukającego, ciągle wyrywającego się do czynu, nienawidzącego martwoty. Nikt więc, przeczytawszy »Kwiaty przydrożne«, nie będzie żałował poświęconej im chwili, a niejedno przyjemne wzruszenie duszy zachowa w pamięci. Na pierwszy plan wysuwa się w dziełku szlachetna jego tendencja. Nie ma tu walk gigantycznych z kosem ani wstrząsających boleści ani ekstazy niezwykłego natchnienia; jest miła i spokojna gra uczuć duszy zrównoważonej na drodze życia i silnie opartej na wierze świętej. Wprawdzie poeta zaręcza, że wiersz jego »ma w sobie coś z rzeki, coś z wichrów i coś z burzy«, czytelnik jednak żadnego z tych żywiołów nie odczuwa przy spokojnej lekturze. Natomiast mile stwierdza prawdę następujących słów autora, że wiara jego

harmonijnie, miarowo się układa,
Jak wód szumiących w górach muzyczną jest kaskada (str. 8).

Autor opisuje nam same rojenia i tęsknoty, jak »skrzydła swe wytęża do szalonych jazd«, pokazuje nam kwiaty w swym ogródku, przepych łąk i zórz słonecznych, zapewnia, że niedola nic mu nie zrobi, bo ma wielką słoneczność w duszy, uderza w silniejszy ton zrywając się na jakiś bój zaziemski i cieszy ze zmartwychwstania ojczyzny wierszykiem, co jest jakby echem piosenek Słońskiego:

Sto lat czekalim na cię
W czas rannych śnili zórz,
Że przyjdziesz w jasnej szacie,
W djademie z białych róż.

Od początku do końca wiersz poprawny co do formy i pełen poczciwej myśli, dowodzi znacznego oczytania się w nowoczesnych autorach i dużej kultury literackiej.

Ks. T. Karyłowski.

Józef Aleksander Gałuszka: Uśmiechy Boga. Kraków. Gebethner i Wolff, 1922, 8º, str. 62.

Kiedy czytałem, patrzyłem na te »uśmiechy Boga«, mimowoli przyszło mi na pamięć owo znane przykazanie dekalogu: Nie będziesz brał imienia P. Boga twego nadaremno. Czemu? Sam to poeta odczuwał, kiedy powiada,

że to Jego powadze nie bardzo przystało
z dobrotliwym uśmiechem baraszkować z dziećmi — — (25 str.).

Tak. — Są pewne symbole, i rzeczy, które, jak powiada Wyspiański, trza żeby święte były. I dlatego wiersz »Twoje Ciało«, czy nawet »Przyjdź Królestwo Twoje« uważamy za profanację, choć autor z pewnością nie chciał obrażać niczyich uczuć. Może sobie poeta gruchać, zachwycać się »po bratersku« swoją bohdanką, ale prosić P. Boga do tego na starostę — stanowczo nie uchodzi. Żal mi, że nie należę do tych dusz, o których mowa w ostatnim wierszu, że »wszystko, wszystko widzą — i wszystko przebaczą« — bo naprawdę omawiany zbiorek nie zasługuje ze względu na mistrzowską technikę na to kopnięcie nogą, jakiem go raczył zaszczycić recenzent »Przeglądu Warszawskiego«. Że mam rację, warto przeczytać choćby wiersz pt. »O świcie«:

W pszenicznych kłosów sennym rozkołysie,
w rozchwiei wiech owsianych i jęczmion chybocie
przepych poranku brylantami skrzy się
na pól daliźnie bezbrzegiej — — —
Opyl różowa w słońca bladem złocie
zawisła w mgłach,
co się daleko hen, po widnokręgi
rozsnuły we wstęgi białe jak śniegi i t. d.

J. K.

Felikс Przysiecki: Śpiew w ciemnościach. Warszawa. Tow. Wyd. „Ignis" 8º str. 51.

Może nie tyle ze stanowiska estetyki, ile raczej psychopatji może być ciekawym przedmiotem analizy najnowszy zbiorek poezyj Przysieckiego.

Estetyk powie krótko, że poeta jeszcze drapuje się płaszczem bajronicznej tajemniczości, że o formę wiersza po poetycku nie dba, ale mimo to umie wraz z futurystami odczuć piękno i tętno nowoczesnych miast i dać ich choćby taki obrazek:

Już w dali lśnią wieczorne światła w oknach miasta,
To sieć sygnałów życia błyszczy w sinej mgle,
Niby jaskier, co zewsząd pospiesznie wyrasta
Mrowiem kropek złocistych na błękitnem tle.

Ale psychopatę zastanowiłaby przedewszystkiem głęboka, duchowa

rozterka, jakieś rozszczepienie jaźni samego poety, szukającego jakiejś innej, prawdziwej formy na wyrażenie siebie zagubionego.

. . . jak ciągły szmer myszy, jak tik-tak zegara,
Wciąż straszy mię pytanie: „kto jestem? kto jestem?"
To jest ktoś, kto gdzieś kiedyś przybłąkał się do mnie
I omotał mię w głuchy lęk osamotnienia,
Tak, że w strachu warjackim szukam wpółprzytomnie
Zapomnianej historji własnego istnienia".

Poeta walczy z wizją swego drugiego ja (»Poeta bez twarzy«), nawet z własnym cieniem (»Cień«). Czy przypadkiem przyczyną takiego rozstroju nie jest treść życiowa jego wspomnień? Ale co nam do tego; lepiej nie mówmy o tem. Takie to, grzecznie się wyrażając, — nieciekawe, ludzkie, zanadto ludzkie. Dobrze, że poeta, śpiewa sobie o tem »w ciemnościach«. Oby tylko sobie!

J. K.

Ks. Tad. Karyłowski: Celniejsze hymny kościelne w nowym przekładzie. Wilno 1922. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego, 8°, str. 64.

Pięknie i trafnie przyrównał prof. Windakiewicz — we wstępie do omawianego zbiorku — hymny kościelne do rzadkich jakichś mistycznych kwiatów wyrosłych na wysokich szczytach, w pustelni uczuć religijnych. Są one istotnie takiemi. Warto je przeto było przesadzić na polską glebę, przetłumaczyć na polską mowę, aby ich wonią mógł się rozkoszować nietylko lud wierzący, ale i wybredni estetycy, kultywatorzy różnych egzotyków chińskich, czy indyjskich. Aromat bowiem ich daleko zdrowszy, symbol i treść z pewnością głębsza, niż we wszystkich księgach dalekiego Wschodu.

Że przekładu dokonał ktoś, co zżył się z pieśniami mszału i brewjarza, świadczy o tem choćby samo nazwisko tłumacza, księdza. Że będzie poetyczny, można się było spodziewać z oryginalnych drobnych utworów autora, rozrzuconych po różnych czasopismach. Chodzi jeszcze o jedno: czy jest wierny w oddaniu myśli, rytmiki i nastroju. Porównałem wiersz za wierszem, słowo za słowem i mogę śmiało powiedzieć, że obecny przekład jest najwierniejszym ze wszystkich, jakie się dotychczas w naszem piśmiennictwie ukazały. Czy najpiękniejszy? Wierność ma to do siebie, że zawsze wymaga jakiejś ofiary. I tutaj wierność dla oryginału na całej linji zażądała od języka polskiego pod względem miar rytmicznych naginań, do których on nie przywykł. Mam na myśli owe końcowe daktyle będące kombinacją dwu- i jednozgłoskowca. Wyznam szczerze, że tego rodzaju polskie, a więc pseudodaktyle wcale mi nie przypadają do smaku, zwłaszcza, gdy się je podaje aż do przesytu.

Że można i bez tej okrasy osiągnąć znaczny stopień plastyki i siły, a przedewszystkiem śpiewności, to najlepiej świadczy przekład *Dies irae*. A już chyba stanowczo nie mógłby odtworzyć tłumacz tych łzą ociekłych i bólem nabrzmiałych, tak dziwnie ujmujących swoją prostotą strof *Stabat mater*, gdyby zastosował w całości rym męski.

A więc może w następnych tłumaczeniach nie zawadzi zastanowić się nad dalszem posługiwaniem się pseudodaktylem, a technicznie mówiąc, kretykiem (¯ v ¯).

Niektóre hymny pojawiają się w niniejszym zbiorku poraz drugi, w »poprawionej« formie. Czy zawsze na lepsze? *Tantum ergo*, *Dies irae* — tak, ale *Ave maris stella*, niestety na gorsze.

Jakiekolwiek jeszcze porobilibyśmy zastrzeżenia, zawsze jednak prawdą pozostanie, że niniejszy przekład jest najlepszy, a *Stabat mater*, *Veni Creator* i może *Dies irae* znajdzie zapewne kiedyś równie świetnego tłumacza, wierniejszego — nigdy.

J. K.

Homer Iljada, opracował Tadeusz Sinko. „Bibljoteka narodowa". Kraków nakładem Krakowskiej Spółki wydawniczej, str. CVII+388.

Niedościgłe piękno Iljady Homera zawsze nęcić będzie umysły i serca urokiem prawdy i życia. O tej żywotności świadczą wciąż to nowe wydania arcydzieł helleńskiego mistrza. W ostatnim czasie po przekładzie prof. Czubka, wydanym przez Gebethnera, ukazał się przekład stary Fr. Dmochowskiego w opracowaniu prof. Sinki. Słusznie zaznacza szanowny komentator, że jędrny i pełen literackiego smaku przekład Dmochowskiego Iljady dotychczas jest jedynym najlepszym. Pracy prof. Czubka mimo wysokiej erudycji i wielu zalet nie ogrzewa ciepło poezji, której, gdy się z rąk Stwórcy nie wzięło, pracą nabyć nie można. Dobry komentarz do dzieł Homera, którego postać osnuwa mgła tajemnicy, którego istnieniu nawet zaprzeczało tylu uczonych, jest istotnie rzeczą trudną. Prof. Sinko prawdziwie po mistrzowsku wywiązał się ze swego zadania. W obszernym, wyczerpującym wstępie, opartym na najnowszych zdobyczach wiedzy, roztacza przed nami tło kulturalne i historyczne, na którem powstała największa epopeja ludzkości, wykazuje dowodnie historyczność Homera i charakter dworski jego poezji, przedstawia obszernie budowę eposu, wykazuje jego zalety i wady. Wstęp pełen głębokiej erudycji i jasności w wykładzie kończy się rozprawą o przekładach Iljady i wpływie Dmochowskiego na poetów polskich. Szczególnie ciekawem jest wykazanie tego wpływu na Panu Tadeuszu, dowodzące jak często w rękach naszego Wieszcza znajdować się musiał zaniedbany dziś przez ogół czytelników przekład starego klasyka. Szkoda, że czcigodny komentator ograniczył się na cytowaniu całych par wierszy wcielanych w Pana Tadeusza z Dmochowskiego, nie uwzględniając niniejszych reminiscencyj, których z pewnością jest więcej. Wystarcza na dowód przytoczyć zakończenie Bitwy w Panu Tadeuszu i zakończenie Iljady:

Dmochowski: Ten był obchód pogrzebny po wielkim Hektorze.
Mickiewicz: Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Miłoby zapewne było polskiemu czytelnikowi zobaczyć duchowe pokrewieństwo łączące naszych Bartków i Maciejów z Ajasem-Kropicielem i innymi bohaterami starożytnej Hellady. Sądzimy też, że dobrze by było choć w krótkości zaznaczyć wpływ homerycznych kreacyj na

naszych wielkich powieściopisarzy jak np. Kaczkowskiego i Sienkiewicza. Wszakże pan Podbipięta, rozbijający głazem »hulajgrody« to wyraźnie nowy Hektor burzący mur greckich napastników. Poza tem razi nieco zbyt wielka ilość opuszczonych wierszy (blizko 5.000).

Te uwagi w niczem nie ujmują wysokiej wartości wydawnictwa. Pierwszy to raz wychodzi Iljada z takim aparatem naukowym, nie ustępującym w niczem zagranicznym wydaniom. Treściwe objaśnienia tekstu na każdej stronie czyni lekturę zrozumiałą nawet tym co poza szkołą jej oddać się zapragną. To też nawet wśród serji tak starannie wydawanej, jaką jest Bibljoteka narodowa, Iljada w opracowaniu Sinki zwracać będzie na siebie w szczególniejszy sposób uwagę czytelników.

Ks. T. Karyłowski.

Kazimierz Kolbuszewski: Postyllografja XVI i XVII. w. Kraków 1921, str. 284. Nakł. Akąd. Um.

Jeśli teologowie tę dziedzinę zaniedbali a przynajmniej mało ją uprawiali, nie dziwić się, że w badaniach literackich do niedawna po maczoszemu traktowano kazania, one olbrzymie a wierne, niekiedy wprost wspaniałe zwierciadła życia dawniejszego, minionej obyczajności i obyczajowości. Wiszniewski, Maciejowski a osobliwie Mecherzyński, z nielicznych księży Hołowiński, Szelewski, Krukowski (X. J. Kkki Homiletyka, Włocławek 1898 r.), Pelczar, niestrudzony Jougan, Krynicki, pomijając pomniejszych jak Sasa, Słonińskiego i in., świadczyli o tem, że gdzieś jeno na okrajach literatury potrącano i o kaznodziejstwo. Zato w naszych czasach, odkąd zwłaszcza arcyszczęśliwy szperacz berliński Aleksander Brückner (»Literatura religijna w Polsce średniowiecznej, Kazania i pieśni, Warszawa 1902) zwrócił uwagę na te klejnoty pogrążone w śmieciach zapomnienia, nawet między świeckimi profesorami coraz więcej znachodzi się lubowników tej gałęzi literackiej. Tak wprost za przełomowy w dziejach badań nad kaznodziejstwem można uważać rok 1918, kiedy to prof. Wilhelm Bruchnalski, najpoważniejszy historyk literatury z współczesnych, zamieścił w »Dziejach literatury pięknej w Polsce« znakomitą rozprawę »Rozwój wymowy w Polsce«, bo tem samem znowu przypomniał, że kaznodziejstwo należy do całokształtu naszej literatury pięknej i że w tej literaturze zajmowało poczesne miejsce, więc i w badaniach nad nią zajmować powinno.

Odtąd niemal każdy rok rozpowiada nam, że przybywa literaturze homiletycznej w sukurs poważny badacz. A jednym z najpoważniejszych objawia się od razu Kazimierz Kolbuszewski, świeżo habilitowany profesor na wszechnicy lwowskiej. Porwał się na zgryzienie najtwardszego orzecha w historji kaznodziejstwa, na te przerażająco-grube kolubryny kaznodziejskie, na postylle.

Postyl tych było w literaturze europejskiej, poczynając od najstarszej, za jaką uchodzi homilarium Pawła Diakona z IX w. — pierw-

szy używa tego wyrazu »postylla« Mikołaj Trivetus, pisząc o arc. Szczepanie z Canterbury — wprost zastraszająca obfitość, i że Jan Adam Osiander w XVII w. pisze: »Postyl jest dziś taka moc jak lalek do zabaw dziecięcych«. Rozpowszechniło się nawet przysłowie: »Wer wohl sehe, bedürfte keiner Brillen und wer gelehrt sei, bedörf keiner Postillen« (Kto jaśnie i jawnie widzi, okularami się brzydzi, a kto w księgach uczony, nie trza mu od postyl obrony).

To też dziś historycy innych narodów nie gardzą badaniami nad postyllą. Znawców postyllografji mają Niemcy, mają Czesi, zależni przecież w swych postyllach i od Polaków, jak Wujka. Już 1901 r. wydał w Pradze Hynek Hruby »Ceske postily«.

U nas znowu jako jeden z pierwszych — w XVIII w. już Hoff pisał o postylli — w naszych czasach zwrócił uwagę na znaczenie postylli Brückner (»Mikołaj Rej, Kraków 1915, 92—148), poświęcając w swojem krytycznem studjum o Reju jego postylli znaczny rozdział. Uważa tu, że jest to najlepsze dzieło pisarza z Nagłowic i »jedna z najpiękniejszych książek całego XVI wieku« (str. 102) (czy to nie przesadzone!), »kopalnia rysów obyczajowych«. (126) Obniża rozumie się na korzyść Reja późniejszego Wujka, w czem mu walnie sekunduje Tadeusz Grabowski, pisząc jeszcze przesadniej o Reju i nazywając jego postyllę »dziełem niezwykle (?) oryginalnem« (»Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce«, Kraków 1906, str. 137). I Wujkowi i Białobrzeskiemu i Żarnowczykowi i innym poświęca Grabowski w swych licznych dziełach uwagę. Także Bruchnalski w swym »Rozwoju wymowy w Polsce«, (»Encykl. polska« (1918) Kraków t. XXII, 315 p.) gruntowne ustępy pisze o postyllografji polskiej. I biskup Władysław Krynicki w swej »Wymowie świętej« (Poznań r. 1920) samodzielnie rozbiera postylle, a bardzo obszernie omawia je ks. Alojzy Jougan w swych »Homiljach polskich« (Lwów 1902), nie uwzględnia jednak innowierczych.

Nikt jednak dotąd — ks. Teofila Długosza dzieło o postyllach jeszcze się nie ukazało — nie poświęcił tyle pracy specjalnie postyllografji polskiej, co właśnie Kolbuszewski.

To też plon arcyobfity! Nie daremnie przeorał częściowo dziewiczy ugór olbrzymiej literatury, nie darmo porównał ją z zagraniczną zwłaszcza niemiecką, nie daremnie starał się ustalić zależność od niej; wyniki są bardzo ciekawe i bardzo ważkie.

Dobrze, że uwzględnia i najstarsze zabytki postyllograficzne, jak wydane przez dr. Erzepkiego »Kazania niedzielne i świąteczne nieznanego autora, spisane około r. 1555« (Poznań 1889), a opracowane przez nas w »Przeglądzie teologicznym« (1920, z. 3, 4 str. 242) jako »Cząstka postylli z XVI w. i Bartłomieja z Przemyśla kazania »Postilla polonico idiomate...«, bo wskazuje tem samem, choć o tem nie mówi, że katoliccy duchowni zrozumieli rychło znaczenie postylli w rodzimym pisanej języku, że pierwsi ją nawet wprowadzili do Polski. A jeżeli później zwłaszcza w w. XVII. nie tyle postyll co innowiercy wydawali, to tłumaczy się tem, że w miejsce postyll i homilij wydawali

znane i obszerne tomy kazań niedzielnych i świątecznych. Kto wie, czy i tych nie trzeba było uwzględnić w takim studjum o postyllografji, boć one zbliżone do postyll. W każdym razie autor ograniczył się tylko do ściśle tak nazwanych postyll.

Pierwszem ogniwem w olbymim łańcuchu postyll, chcącym skrępować Polskę i przykuć do rydwanu triumfarorów witemberskich i szwajcarskich, to Jana Seklucjana »Postilla polska domowa...« z1556 r., opracowana z współudziałem kilku pisarzy, niesamodzielna, bo oparta o Melanchtona i Spangenberga z Nordhausen. Już przy wydaniu jej współzawodniczyła z nią Ostafieja, jak słuszniej pisze Bruchnalski, Trepki Postylla wzięta z Arsacjusza pińczowskiego, dalej druga na epistoły z Corvina, obie z r. 1557. Postylle, tak Seklucjanowa jak Trepkowe, wyszły w Królewcu jak wogóle Prusy Książęce i Królewskie znaczną rolę odgrywają w dziejach postyllograjji polskiej.

Gdy chodzi o Postyllę Rejową z r. 1557, autor, idąc za swymi poprzednikami, podkreśla jej wartość literacką, jej wpływ na Wujka i Żarnowca, jak pisze, ale przyznaje, że postyllarz zależny jako teolog od Bullingera »Sermonum decades« nie jest oryginalny. Chętniebyśmy jednak widzieli, by autor dokładniej uzasadnił i przykładami poparł brak oryginalności u Reja. Dopiero Rejowa postylla ma prawdziwe powodzenie, jakie — dobrze wiadomo.

Wypiera ją Wujkowa, lecz tę poprzedza »Postilla polska«, o której jednak radzibyśmy więcej posłyszeć. Choć i Wujek zależny, ale od wielu autorów (najwięcej od Ferusa), opracowuje materjał swobodnie i wyciska na nim swoją indywidualność. Jednak i według autora, idącego za Brücknerem, Rejowa postylla stoi wyżej od Wujkowej.

Przekładem jeno z Lutra jest Hieronima Maleckiego ze Łku na Mazowszu pruskiem »Postilla domowa« z 1574 r.

Z prawdziwą pieczołowitośeią opracował autor ks. Marcina Białobrzeskiego, a było tego potrzeba. Wprawdzie pisali o nim już inni, jak Grabowski Tadeusz, lecz ubocznie tylko. Jeśli Grabowski pisze, że uczoność jego średnia (»Piotr Skarga na tle katolickiej literatury religijnej w Polsce wieku XVI« Kraków 1913 str. 197), to raczej wierzymy naszemu specjaliście, który podkreśla właśnie uczoność Białobrzeskiego i dodaje, że on najuczeńszym z naszych postyllarzy. I on nie zupełnie oryginalny, najwięcej czerpał z Jerzego Majora.

Kalwińkim Skargą nazywano Grzegorza z Żarnowca, autora postylli z lat ok. 1580. Językowo zależny od Reja, myślowo od Wujka, rubasznie, na wzór Lutra, zwalcza przeciwników. Jego dzieło, jedno z najwybitniejszych dzieł religijnych XVI w., wywiera wpływ na współczesne kaznodziejstwo nawet katolickie.

Po postyllach Pawła Gilowskiego, Jana Kalksteina, przeróbki z niemieckiego, Jana Bretkuna, litewskiego postyllarza — jakże ten tu się dostał! — dużo rozgłosu zabiera polemiczna Krzysztofa Kraińskiego »Postylla Kościoła powszechnego Apostolskiego...« (Łaszczów 1611), zaciekłego adwersarza Skargi. Postylla jego popularna nie posiada jednak większej wartości.

Podobnie już do działu postyll popularnych należą postylle Samuela Dambrowskiego z Wilna i Adama Gdacjusza, farara z Kluczborka. Wiele poświęca im autor miejsca, ze względu na obrazki obyczajowe w ich dziełach zawarte. Obaj należąc już do XVII wieku, objawiają w swych kazaniach niektóre znamiona baroku.

Pobieżniej już rozbiera autor postylle Andrzeja Schönflissiusa i Marcina Statiusa z XVII w. i wspomina tylko o późniejszych Gregoroviusa i Langhausa.

W »Zakończeniu« podkreśla jeszcze niektóre wnioski ogólne, wysnuwające się z dzieła. Więc stwierdza, że postyllarze należą przeważnie do ludzi o umyśle średnim, dalej, że postyllę polską stwarza właściwie reformacja i to też z jej upadkiem postylla zanika, że postylla nasza mało jest samodzielna.

Oto krótki przegląd niektórych zdobyczy naukowych zawartych w szacownym dziele młodego autora; zaznaczone one tylko, bo trudno wskazywać na litanje obcych autorów, z którymi nasz uczony polskie powiązał postylle. Za tę olbrzymią pracowitość, za to rozkopywanie postyll niemieckich i łacińskich — a kto zajmował się temi kolubrynami umie najlepiej trud ocenić — należy się naszemu uczonemu cześć i uznanie.

Rozumie się wśród takiego obrazu o tak olbrzymiej rozpiętości nie brak i skaz, one być mogą, a nawet u tak młodego autora być muszą.

Nasamprzód od historyka literatury trudno się domagać gruntownej wiadomości historji, badań źródłowych i stąd uderza w dziele, że słabszą jest część biograficzna. Łatwo to wytłumaczyć, jeśli się rozważy, że badania nad reformacją polską jeszcze niedostatecznie postąpiły. Ale co do niektórych faktów i historyk literatury nie powinien już mieć wątpliwości. Tak np. pisząc o Seklucjanie, powtarza autor dawniejsze baśnie o jego młodości, że pochodził z Bydgoszczy (15), że był katolickim duchownym (30). Opowiada o tem i znakomity historyk N. Lubowicz (»Istoria reformacii w Polsze«, str. 51), ale było to w r. 1883. Dziś mamy przecież już od 1906 r. monumentalne dzieło ks. Ignacego Warmińskiego »Andrzej Samuel i Jan Seklucjan« które i autor miał w ręku i to gruntownie rozwiewa te baśni o Seklucjana pochodzeniu i księżostwie. A przecież i Brückner w »Pamiętniku literackim« (1903, 585) powstaje na tych, którzy te nieścisłości głoszą. Wartoby więc w przyszłych wydaniach i stronie biograficznej więcej poświęcić uwagi.

Dalej co do nazw i nazwisk, winniśmy dążyć do pewnej jednolitości. Autor pisze błędnie według ks. dr. Miaskowskiego, który obszernie tem się rozwodzi na łamach poznańskiego »Przeglądu Kościelnego« (1906 r. 7. IX, 395), krytykując dzieło Stan. Kossowskiego z 1905 r., »Hegendorffin« (45) ma być Hegendorfer; podobnie według współczesnych jak Hieronima Powodowskiego (por. jego »Wędzidło na na sprosne błędy...« Poznań 1582) i według Brücknera ma być Czechowic, a nie Czechowicz (171); według Stanisława Kota (»Andrzej Fryc Modrzewski«, Kraków 1919) ma być Hozjus, a nie Hozjusz (289).

Autor pisze »do Ełku« (133), tymczasem lud miejscowy mówi »do Łku, we Łku«, tak pisze i Brückner (Pozn. lit. 1903, 410).

Autor słusznie wspomina, że Białobrzeski jeszcze dziś jest cennem źródłem kazaniowem. Można było tu dodać, że wydał Białobrzeskiego »Postylla orthodoxa« jeszcze w XIX wieku (1838 r.) ks. Innocenty Krzyszkowski, niestety, nieudolnie, bo poobcinał i pozmieniał.

Także co do techniki wydania mielibyśmy pewne wątpliwości. Pocóż cytować bez potrzeby całe ustępy w obcych językach, łacińskim, niemieckim? Przecież należy dbać o estetykę, jednolitość, mieć wzgląd i na ludzi nie znających dostatecznie tych języków! Podobnie cytacje w staropolskiej ortografji — pomijamy tytuły — są pewnie w dziele, przeznaczonem nie dla celów filologicznych, mniej na miejscu. Już na Zjeździe im. Kochanowskiego orzekł się Roman Pilat za pewnem modernizowaniem pisowni. A wreszcie czemuż autor dzieło drukuje jeszcze według dawnej pisowni?

Drobne to są tylko zarzuty, jakie podnieść można przeciwko gruntownie napisanej monografji. Ma ona tę wielką zasługę, że nauce polskiej poraz pierwszy wyrębuje szeroką bramę wiodącą w dziewiczy niemal las naszej postyllografji zwłaszcza innowierczej, a co ważniejsza, że rzuca jasne smugi światła, skąd brała się nasienna moc tego lasu. Mozolna to, od długotrwałych studjów zależna, nieraz na przypadku wsparta ta praca porównawczej literatury, ale wykazując filjacje i ich zakres, wyznacza autorom właściwe miejsce w historji literatury, a zarazem przypomina, jakiemi drogami nosiła się kultura duchowa, religijna ze Zachodu do kraju naszego. Dochodzi się już dziś do tego pewnego wniosku, że jak w tworzeniu systemów religijnych tak i w twórczości kaznodziejskiej bardzo mało okazali innowiercy polscy samodzielności.

Obok zalet ściśle naukowych, ma dzieło i zalety literackie, bo napisane jasno, przejrzyście, wolne od chaotyczności, znamionującej niektórych historyków religji w Polsce, daje znakomity pogląd na całokształt tej gałęzi literackiej w ciągu dwóch wieków bujnie się rozwijającej.

Więc możemy bez przesady podkreślić, ciesząc się z takiego dzieła, żeśmy w badaniach nad kaznodziejstwem rodzinnem o poważny krok posunęli się naprzód.

X. Nikodem Cieszyński.

Dr. Józef Gołąbek: Komedje konwiktowe ks. Franciszka Bohomolca w zależności od Moljera. Kraków. Nakładem Polsk. Akademji Umiej. 1922 str. 64.

Wiedziało się, że ks. Bohomolec zapożyczał się od Moljera tak w komedjach konwiktowych (wydane w pięciu tomikach od 1755—60), grywanych w Collegium nobilium w Warszawie, jak i w późniejszych, przeznaczonych do teatru, króla Stanisława Augusta. Żaden atoli z krytyków czy to dawniejszych (Estreicher, Łagowski), czy nieco świeższej daty (Bełcikowski, Strusiński, Kielski) nie określili dostatecznie wyso-

kości tej pożyczki. Dr. Gołąbek zajął się narazie tylko konwiktowemi komedjami i ściśle analityczną metodą ustalił, że na dwadzieścia pięć omawianych utworów mamy pięć wolnych tłumaczeń, trzy przeróbki, a w dwunastu można odnaleźć, może nawet nieświadome, reminiscencje z francuskiego twórcy. — Skala więc oryginalności ks. Bohomolca spada prawie do zera. Mimo to pozostanie jego niezaprzeczoną zasługą, że w rywalizacji ze szkołami ks. ks. Pijarów szukał wzoru i natchnienia w prawdziwych arcydziełach humoru i sztuki francuskiej literatury.

Wolno nam chyba wyrazić nadzieję, że autor omawianego studjum rozszerzy swoje badania także na dalsze lata twórczości światłego i zasłużonego Jezuity.

J. K.

Wiktor Przecławski: Felicjan Medard Faleński. Żywot i dzieła. Poznań-Warszawa. Nakład księgarni św. Wojciecha (1922) 8° str. 227+2.

Kiedy już będę daleko,
Na innym, nie na tym świecie,
Nad niepamięci mej rzeką
Kwiat myśli mojej znajdziecie . . .

wieścił o sobie Faleński. Podobnie pisał Cyprjan Norwid i nie pomylił się. Przyszedł Przesmycki i odkrył w nim, mimo wszelkich sprzeciwów krytyki, niepospolity talent, sięgający niemal najwyższych szczytów nowej poezji. Czy laury Miriama zdobędzie także p. Przecławski? Wątpimy. Mimo to, że mógł korzystać z bogatej rękopiśmiennej spuścizny literackiej twórcy »Altei«, mimo że czerpie hojną garścią z nieogłoszonego drukiem pamiętnika Faleńskiego, mimo wreszcie, że go ożywia szczery entuzjazm dla zapomnianego poety — nie zdołał wszakże stworzyć naprawdę naukowej monografji dla braku metodycznego przygotowania.

Ale, chociażby autor wywiązał się ze swego zadania bez zarzutu, chociażby w niczem nie przyczynił się do tego pośmiertnego dramatu, niepowodzenia artysty, na co przez całe życie uskarżał się Faleński, czy mimo to zmieniłby się sąd ogółu o tym »nieszczęśliwym Mazurze« — jak siebie nazwał poeta? Zdaje się, że nie. Jak widać z przytoczonych urywków, Faleński pozostał wiernym sobie przez całe życie. Wyszukana dbałość o formę, o oryginalność obrazów studziła uczucie w lirykach, a w dramatach teza filozoficzna zabijała żywotność akcji, indywidualność poetyckich kreacyj. Słowem Faleński był prawie zawsze parnasistą, niezdolnym czy niechcącym przejąć się do głębi tragicznym losem współczesnej Polski.

Wspomniano także mimochodem o niewyraźnem stanowisku Deotymy do rządu rosyjskiego. Sprawa nabrała już rozgłosu skandalu literackiego. Udowodniono, że Deotyma miała legalny tytuł do otrzymywanej pensji. Teraz kolej na p. Przecławskiego do definitywnego wyjaśnienia uczynionego przezeń zarzutu.

J. K.

Dr. Wiktor Hahn: Przyszłość moja! — I moje za grobem zwycięstwo! ... Szkice literackie o Juljuszu Słowackim. Poznań-Warszawa. Nakładem księg. św. Wojciecha, 8° 291.

We wszystkich dotychczasowych pracach prof. Hahn wykazał w metodzie nadzwyczajną sumienność, wprost skrupulatność, a przytem, jeśli chodzi o Słowackiego, niezwykłą erudycję. Dobrze się więc stało, że zebrał w jedną całość swoje rozprawy i mowy, rozrzucone po różnych lwowskich codziennych i perjodycznych czasopismach na przestrzeni kilkunastu lat.

Czy atoli wszystkie z rozmieszczonych dwudziestu trzech »szkiców« zasługiwały na ponowny przedruk? — wolno wątpić. To pewne, że »szkicami« nie są ani notatki o »Silli«, »Germku«, »Wallasie« i Balzaku, ani nawet owe dwa jubileuszowe przemówienia. — Szkoda więc, że ich miejsca nie zajęły inne, naprawdę wartościowe studja, np. o »Marji Stuart«, »Lilli Wenedzie«, czy »Samuelu Zborowskim«.

J. K.

Marja Świderska: Z przed lat sześćdziesięciu, dziennik małej patrjotki. Nakładem J. Piszta w Tarnowie, str. 193.

Zaczyna się on r. 1860, kończy się w 1865. Lata te to jedna z epok powtarzających się w naszej historji: wysiłku bohaterskiego, nadziei przeciw nadziei, wreszcie zawodu gorzkiego i mąk krwawych. Niejednokrotnie przerzucaliśmy też jej karty z bolesnem natężeniem, ale były to pamiętniki samychże uczestników, aktorów czynnych dramatu. Tu patrzymy na nie oczyma dziecka dziesięcioletniego, coprawda przedwcześnie rozwiniętego. Zapowiada autorka we wstępie, że będzie to »obraz życia, uczuć i nastrojów ludzi ówczesnych pod zaborem rosyjskim«, gdzie w »atmosferze domu rodzinnego przechował się duch niespożytej miłości ojczyzny i nie dał się stłumić wiekowym uciskiem«. Niepodobna w paru słowach lepiej streścić książki tej. A dom ten, zrazu w Krzemieńcu potem w Kijowie, to jedno z wielu małych ognisk kultury i patrjotyzmu — przewijają się postacie zacne i gorąco kochające kraj, nieraz znane i szanowane jeszcze i dziś przez szerszy ogół; w rozmowach ich, tudzież gości z szerszego świata odbijają się prądy, nastroje, wypadki kolejno po sobie idące — dziecko ociera się o nie, współczuje, przeżywa. Wielopolski i Mierosławski, praca organiczna i wrzenie czerwonych, wypadki warszawskie i demonstracje coraz bardziej rozpłomieniającego się patrjotyzmu, wreszcie powstanie i załamanie się jego. Dziecko wraz z rodziną wciągnięte w bieg wypadków staje się aktorem, pomocnikiem, prawie konspiratorem. Zaaresztowanie brata ciotecznego ściąga rodzinę do Kijowa na ratunek jemu. Wizyty w więzieniu i pomysłowa pomoc niesiona więźniom, rozdzierające rodzinne sceny, odwaga, wierność i poświęcenie niewiast — jednem słowem zespół obrazów i przeżyć, na których widok niejedno serce ściśnie się bolesnem echem, »znane to, nadto dobrze znane«. To wszystko było w 31, 63 i wczoraj. Wszystko się powtarza — aż do tych samych

nazw kazamatów. — Ta sama mowa, przekleństwa, okrucieństwa oprawców, te same detonacje egzekucji.. i ta sama dusza polska. Niedziwnem jest, że serce autorki, przeżywając w tym samym Kijowie na nowo niejedno, wróciło do wspomnień przeżytych ongi, by je opowiedzieć, przekazać młodemu pokoleniu. Zapewne temu w wielkiej mierze zawdzięczamy powstanie tej bardzo dobrej książki i świeżą jej aktualność.

Nie mogąc rozpisywać się o niej dłużej, pragnę podkreślić cech kilka, atmosferę w której wzrasta, którą się karmi to dziecko. Uderza przedewszystkiem rzetelna jej zacność i prosta, szczera, naturalna jakoby pobożność; powtóre gorąca miłość nie tylko Ojczyzny całej, ale i rodaków. Ogarnia nią całą Polskę: Warszawę, Kresy, »kochaną Litwę« i wszystkich co Ojczyznę kochają, niema śladu partyjności tak rozgryzającej dziś nasze społeczeństwo — nam patrzącym się perspektywicznie ta życzliwość wydaćby się mogła chwilami raczej aż za pobłażliwą.

Książka, ładna, zdrowa i zajmująca, pisana jest łatwo i z wielką prostotą — doczekała się już wielu pochlebnych recenzyj. Mamy w niej sposobność przypatrzyć się życiu obyczajowemu codziennemu w tym wycinku życia narodowego. Podane w końcu szerokie przypiski rozszerzają jej ramy wiadomościami historycznemi, biograficznemi i osobistemi. *K. Z.*

John Joseph Rolbiecki, A. M. The political philosophy of Dante Alighieri. Salve Regina Press, Washington D. C. 1921, 8°. 156.

Dziś może bardziej niż kiedykolwiek w ciągu wieków uświadamia sobie ludzkość, że szowinizm narodowości nie przyniesie jej pożądanego pokoju, a tem samem nie ułatwi pracy przy budowie jeśli nie raju na ziemi, to przynajmniej wygodnego i zacisznego mieszkania. Niezaprzeczalnym wyrazem tego przekonania a razem znakiem widomym owej tęsknoty za pokojem jest między innemi także powstanie Ligi Narodów, która ma spełniać rolę regulatora wspólnych interesów całej ludzkości. »Nie ulega wątpliwości — powiada w zakończeniu czcig. autor — że gdyby żył teraz Dante, należałby do najgorętszych rzeczników takiej czy owakiej ligi narodów — lub innej podobnej instytucji« (149). Czemu? Bo wielki Florentczyk wierzył głęboko, że wszyscy ludzie mają tęż samą naturę i ten sam cel, i że celem tym — szczęście i dobrobyt. Celu tego nie można osiągnąć bez ogólnego pokoju, a pokoju bez zaprowadzenia jednego zwierzchniczego rządu. Oto zarazem i przewodnia myśl omawianego dzieła.

Temat to w literaturze dantejskiej wprawdzie nie nowy, dość wspomnieć z zagranicznych prace Haigh'a, Reade'a, Polett'a, a z polskich Krzyżanowskiego St. Ale zdaje się, że nikt dotąd z taką ścisłością a zarazem przejrzystością nie przedstawił politycznych poglądów Dantego, jak właśnie Rolbiecki. Na to trzeba było być równocześnie Polakiem i Amerykaninem. Naturalny wdzięk, nawet polot wysłowienia zawdzięcza zapewne autor swojej »dawnej Ojczyźnie«; precyzji i prostoty nauczyli go Anglosasi. A tematu czy nie podsunęły szlachetne marzenia Wilsona? *X.*

Liebmann Hersch: Le Juif errant d'aujourd'hui. Paris, M. Giard et E. Brière.

Widząc tak znaczną ilość Żydów w miastach i miasteczkach naszej ojczyzny, żyjących nieraz w wielkiej nędzy, wyzyskujących ludność paskarstwem i wszelkiemi innemi środkami, mimowoli skłania się każdy do zdania tych antysemitów, którzyby pragnęli, by tacy »obywatele« w możliwie wielkiej ilości poszukali sobie innej ojczyzny. I rzeczywiście, rozważywszy, że z 13 miljonów Żydów na całym świecie sześć miljonów przebywało przed wojną w zaborze rosyjskim i w Galicji wraz z Bukowiną, trzeba przyznać, że na nasze warunki liczba ta jest stanowczo za wielka.

Otóż dla każdego, zdającego sobie sprawę z tego stanu rzeczy, będzie wyżej wspomniana książka bardzo miłą niespodzianką, przynosząc tę nowinę, na podstawie statystyk emigracyjnych Stanów Zjednoczonych pod tytułem »Annual Reports of the Commissioner-General of Immigration«, że wciągu całego XIX wieku żaden naród, prócz Irlandczyków i Włochów (ci ostatni jednak wracali w wielkiej ilości), nie emigrował na stałe tak licznie, jak Żydzi z terytorjum dzisiejszej Polski. Od lipca 1898 do 1910 roku, przybyło do Stanów Zjednoczonych prawie 1,100.000 Żydów przeważnie z ziem polskich. Ta imigracja żydowska wynosiła rocznie przeciętnie 90.000 osób. Mimowoli każdy z radością wyciągnie odrazu z tego wniosek, iż ilość Żydów na terytorjum Polski musiała się jednak znacznie zmiejszyć. Otóż to jest znów inna kwestja, gdyż mimo tego faktu emigracji, ludność żydowska w zaborze rosyjskim wzrosła o 150.000 głów. Naturalnie tak wielka emigracja nie zostaje bez wpływu, gdyż wogóle ludność żydowska procentowo maleje w stosunku do całej ludności, wśród której żyje, o ile nie zapełnia tej różnicy większą stosunkowo liczbą urodzin.

Wprawdzie i Polaków prawie miljon emigrowało, ale z jednej strony Żydów znacznie jest mniej, z drugiej zaś Polaków wracało do kraju trzy razy więcej. Jeśli zaś chodzi o porównanie emigracji Polaków z Królestwa i z Galicji, to trzeba skonstatować, iż jednak dwa razy więcej emigrowało z Galicji. Autor przypisuje to stosunkom ekonomicznym i społecznym przedawnionym i antydemokratycznym. Nie uwzględnia jednak agitacji towarzystw emigracyjnych, które przed wojną tak wielką rozwijały działalność.

Wpada może autor w pewną sprzeczność, gdy na str. 51 w uwadze twierdzi, iż przekonanie się o tak wysokiej liczbie emigrantów przerazi narodowców polskich, na str. zaś 62 wykazuje, że ta emigracja w rzeczywistości nie jest tak wielką, ze względu na to, iż wielu powracało do ojczyzny.

Na str. 50 (u dołu) twierdzi, iż rozmiary emigracji nie są znane. Otóż trzeba zwrócić uwagę, iż Dr. Caro w swem dziele »Auswanderung und Auswanderungspolitik in Österreich« korzystał już w 1909 r. z tychsamych statystyk i że wobec tego nie można ich nazywać nieznanemi.

Emigracja miała i dobre strony. Zapoznanie się z kulturą ame-

rykańską bardzo korzystnie oddziaływało na nasz lud pod względem intelektualnym. Przytem emigranci wracali nieraz ze znacznym zarobkiem, co zwłaszcza po wojnie, przy wysokim kursie dolarów dużo znaczyło. Silnie ujemną stroną było nieraz obniżenie poziomu moralnego i łączące się z tem szkody dla życia rodzinnego. Wedle obliczeń autora połowa prawie rodzin emigrantów na zawsze zostaje rozbita. Zachodzi tutaj pewna różnica między tymi, co mają jakąś własność ziemską, a tymi, co żyją wyłącznie z rzemiosła. Ci ostatni o wiele bardziej są skłonni do zabrania rodziny ze sobą i do emigrowania na stałe. Jeżli zaś nie są w stanie wyjechać z rodziną, to zawsze o niej pamiętają, świadomi tego, iż rodzina zupełnie zależna jest od ich zarobku. Ci zaś, co mają pewną, choćby tylko skromną posiadłość ziemską, o wiele więcej czują się przywiązani do roli i kraju. Jeżli jednak mimo tego zmuszeni są do emigracji, to w takim wypadku łatwiej oswajają się z myślą, iż rodzina mając w ojczyźnie ów kawałek gruntu, nie potrzebuje tak bardzo ich pomocy pieniężnej i wskutek tego też naturalnie stosunki rodzinne o wiele więcej na tem cierpią. Żydzi, wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych, w znacznie większej ilości wypadków zabierają rodzinę ze sobą. Polacy za to skłonniejsi są do powrotu, ale rodzinne stosunki w razie rozłąki o wiele więcej na tem cierpią. Zwłaszcza w tym wypadku, jeżli emigrant spotka się za oceanem z lepszemi warunkami życia i zacznie rozważać, iż właściwie nie warto wracać do skromnego życia małorolnego gospodarza. Z tym faktem emigracji rodzin żydowskich łączy się drugi, iż ćwierć ich emigrantów są to dzieci poniżej lat czternastu. 6% tylko wynosi ilość rodzin rozłączonych, zaś przeszło 80% emigrujących w całości. Czasowe emigracje jednego z członków rodziny dochodzą do 14%.

Poziom kulturalny emigrantów żydowskich jest tego rodzaju, iż przeciętna liczba analfabetów u nich dochodzi do liczby średniej między ilością analfabetów Europy wschodniej i zachodniej. Ciekawy jest jednak fakt, iż najmniej analfabetów (0,4%) wykazują emigranci skandynawscy, najwięcej zaś jest ich między Portugalczykami (68,2%), Polacy stoją w pośrodku z liczbą dochodzącą do 35,4%.

Ciekawe zjawisko można zauważyć, badając strukturę zawodową emigrantów żydowskich. Naturalnie u nich wielu przedstawicieli ma handel, są to owi znani nam dobrze małomiasteczkowi kupcy detajliczni. O ile jest z jednej strony między emigrantami żydowskimi pięć razy mniej rolników, niż u innych narodowości, o tyle jest z drugiej strony sześć razy więcej kupców, mianowicie od roku 1899 do 1910 emigrowało ich 125.000 do Stanów Zjednoczonych. — Obok tych kupców jednak o wiele znaczniejszą liczbę przedstawiają rękodzielnicy. Żaden naród tyle ich nie dostarczył Stanom Zjednoczonym. Dosięgają oni 400.000. Wprawdzie od roku 1906, mimo pogromów w Rosji, zmiejszała się ich liczba wśród emigrantów, co świadczyłoby o polepszeniu się ich sytuacji ekonomicznej, ale tymczasem wzmaga się znów wśród nich stale ilość krawców i to tak dalece, iż emigracja żydowska

około 1910 roku staje się przeważnie emigracją krawców żydowskich, których w tym roku jest 61% wśród rękodzielników.

Powód tego rodzaju emigracji jest prosty; mianowicie tylu jest Żydów tego zawodu, iż nie mogą się utrzymać i zmuszeni są szukać gdzieindziej zarobku. W Rosji prawie połowa Żydów zajmowała się krawiectwem i pomiędzy Żydami jest dwa razy więcej krawców, niż wśród reszty mieszkańców. Żydzi galicyjscy za to przedstawiają większy procent zajmujących się rolnictwem. W Rosji zajmowało się handlem 20 razy więcej Żydów, niż innych (nie-Żydów). A znów połowa prawie z tych Żydów, zajmowała się handlem produktów rolnych. Tak, iż w tej gałęzi było znów 25 razy więcej, niż nie-Żydów. Największa dysproporcja panowała na Litwie, gdzie Żydzi tworzą 14% mieszkańców, a jednak na stu krawców nie-Żydów wypada tam 234 Żydów tego samego zawodu, a co do handlu produktami rolnemi, to spotykamy się z niesłychaną cyfrą 1,218 Żydów na 100 nie-Żydów. Powodem tego faktu był zakaz przebywania poza granicami strefy wyznaczonej Żydom. W Rosji tymczasem brakło takich, coby handlowali produktami rolnemi.

Zbyt wielka ilość Żydów, skoncentrowanych w jednej okolicy, uniemożliwia zarobek wobec tego przepełnienia przez nich pewnych zawodów. Z chwilą kiedy podróż do Ameryki a z nią i emigracja stała się łatwiejsza, a z drugiej strony utrzymanie w kraju wskutek obniżenia wartości pieniędzy z coraz to większemi spotykało się trudnościami, z tą chwilą zaczęła i ta masowa emigracja przybierać większe rozmiary. Ponieważ tak wielka ilość Żydów zajmowała się handlem produktów rolnych, więc też każdy nieurodzaj odbijał się silnie wzrostem tejże emigracji. Im gorsze urodzaje, tem silniejsza emigracja i naodwrót — lepsze urodzaje osłabiają ruch emigracyjny. A ponieważ okres lat od 1899 do 1910 był przeważnie okresem nieurodzaju, był więc również okresem silniejszej emigracji. Do tego dołączają się jeszcze pogromy Żydów, wojna japońska, a wreszcie około roku 1909 do 1910 polepszenie sytuacji ekonomicznej w Ameryce i nowe pogromy w Rosji. Jednym ze skutków niekorzystnego położenia Żydów jest dążenie do zysku wszelkiemi sposobami, a reakcją tego — hasło niekupowania u Żydów i tem większa ich nędza, gdyż sami sobie wystarczyć nie mogą. Z tego położenia mieli tylko jedno wyjście, mianowicie staranie się o rynki zbytu odległe od miejsca produkcji, gdzie wskutek tego kupujący nic niewie i nie troszczy się o to, kto jest właściwym producentem. Nie wszystkie jednak wyroby nadawały się do tego rodzaju produkcji. Skorzystali z niej w pierwszym rzędzie szewcy, którzy wskutek tego o wiele mniej odczuwali potrzebę emigracji. Krawiectwo zaś wymaga przeważnie obecności tego, dla którego się robi odzienie. Bardziej jeszcze od krawca małomiasteczkowy kupiec odczuwa to usuwanie się klienteli lokalnej; a pozbawiony tejże nie ma wyjścia ze sytuacji, jak tylko przez emigrację. A jednak łatwiej emigrować krawcowi, biegłemu w rzemiośle, niż kupcowi, u którego o wiele więcej znaczy znajomość stosunków lokalnych. Ci ostatni też raczej są skłonni do przenoszenia

się z miejsca na miejsce w obrębie kraju, w którym mieszkają. Tem się tłumaczy, iż znacznie większą jest ilość emigrujących do Stanów Zjednoczonych krawców, niż kupców.

Od 1899 do 1910 wyemigrowało 1,074,442 Zydów, z których 700 tysięcy osiedliło się w Stanie Nowojorskim. Racja, dla której ten właśnie stan wybierali, jest łatwą do zrozumienia: gęsta ludność tych okolic była dla nich owym pożądanym rynkiem zbytu. Wszystkie te czynniki razem wzięte są powodem, dla którego emigracja Żydów jest stałą, gdyż nie mają, tak jak rolnik niczego, coby ich wiązało z krajem, który opuścili. Tak więc cały charakter emigracji żydowskiej znajduje swe uzasadnienie i wyjaśnienie w warunkach społeczno-politycznych, w których żyją. Konkurencja Żydów w Stanach Zjednoczonych nie jest niebezpieczną, gdyż sami emigranci pochłaniają dużo z produktów ich pracy, z drugiej strony nieraz następuje u Żydów skutkiem przeniesienia się w obce stosunki też i zmiana zawodu. Tak np. połowa tylko, mianowicie 6700 z Żydów emigrantów od 1899 do 1910, zajmujących się rolnictwem, zachowała w Stanach Zjednoczonych ten sam zawód. Wogóle jednak zawody, którym Żydzi się poświęcają, tego są rodzaju, iż wymagają centrów gęsto zamieszkałych, by mieć zarobek i zbyt. Tem się tłumaczy ich napływ do Nowego Yorku, które to miasto, mając obecnie blisko milion Żydów jest największem, miastem żydowskiem na świecie.

Wogóle, biorąc pod uwagę wszystkie ruchy ludności żydowskiej, tak zewnątrz kraju, jak i transoceaniczne, można skonstatować, iż polegają one na koncentrowaniu się w jak największych miastach. Powodem emigracji jest dziwnie jednostronna struktura zawodowa ludności żydowskiej. Jest to jednak cechą charakterystyczną ich konserwatyzmu, iż wolą emigrować niż zmienić zawód, choć w Ameryce zmuszeni są go zmienić.

Autor starannie pojedyncze te punkta wykazuje na podstawie wspomnianych danych statystycznych imigracji do Stanów Zjednoczonych, których wszechstronne wyzyskanie jest wzorowe. Dane statystyczne dokładnie są podane; możnaby tylko najwyżej na drobne usterki zwrócić uwagę. Tak np. jeśli chodzi o zaludnienie Galicji, o którem wspomina na stronie 302 i 305 w uwadze, to o ile liczba mieszkańców z 1900 roku ściśle się zgadza z wynikiem spisu ludności ogłoszonym w 59 Nrze »Gazety lwowskiej« 14. marca 1911 r., to na rok 1910 podaje autor liczbę trochę większą, mianowicie 8,029,387 zamiast, jak było ogłoszonem, 7,965,404.

Na stronie 204 w uwadze 1-szej czytamy zdanie: »La Galicie est une des provinces les plus pauvres et les plus arrièrées de l'Autriche«. Jest to zgodne ze statystykami austrjackiemi. Co do liczby analfabetów, to wedle tych statystyk Galicja byłaby trzecią od końca, gdyż tylko Dalmacja i Bukowina mają wyższy procent analfabetów. Na podstawie jednak atlasu prof. Romera można stwierdzić, iż to błędne, gdyż zaznacza on różnicę bardzo wielką, jaka zachodzi co do ilości analfabetów między Galicją zachodnią a wschodnią, podczas gdy sta-

tystyki austrjackie tylko w najbardziej na zachód wysuniętych skrawkach Galicji wykazują pewną różnicę.

Te szczegóły jednak mogą być opuszczone bez wpływu na treść. Wogóle materjał statystyczny jest bardzo starannie i wszechstronnie wyzyskany. Przeprowadzenie dowodów ścisłe i konsekwentne. A orjentację ułatwia rozmaitość druku, którym odróżnione są wyniki od tekstu. Jeżeli jednak chodzi o całość obrazu emigracji i uwzględnienie wszystkich źródeł do nich się odnoszących, to np. dzieło Dra Leopolda Caro »Emigracja i polityka emigracyjna« o wiele dalej idzie i gruntowniej rzecz ujmuje.

Ks. M. Skibniewski.

Marienblumen. Liebfrauen-Erzählungen neuerer katholischen Schriftsteller. Gesammelt von G. Harrasser S. I. 12º str. 190.
Marianisches Leben. Bilder aus dem Walten u. Wirken der Marianischen Kongregationen. Gesam. von G. Harrasser S. I. 12º str. 130.
Maria Müller: In der Kongregationsschule. Vorbereitungsunterricht zur Aufnahme in die Marianische Kongregation. 12º str. 188.

Te trzy dziełka, wydane u Herdera, stanowią początek »Marianische Kongregations-Bücherei«. Celem tego cyklu jest zaznajomić szersze koła z ideą sodalicyjną, przedewszystkiem zaś samym sodalicjom być pomocą, zachętą i pouczeniem. — W pierwszym tomiku zgromadził O. Harrasser kilkanaście pięknych opowiadań na tle maryjnem. W sposób lekki i miły znajdujemy w nich i obronę kultu Marji, i przedziwną jej opiekę nad tymi, co się miłością ku niej odznaczali, widzimy przemiany duszy pod łagodnym, ale silnym wpływem, jaki Matka Najśw. wywiera na tych, co się do niej zbliżają... Drugi tomik to znowu szereg barwnych obrazków z samej sodalicji, z jej życia wewnętrznego, z jej zwyczajów, z jej wpływów na zewnątrz. Poruszone tu wszystkie dodatnie i ujemne strony sodalicji. Z tych krótkich, tchnących prawdą i życiem obrazków można sobie nie gorsze pojęcie urobić o sodalicji, jej różnych odmianach, sekcjach a nadewszystko jej duchu, niż z dobrego nawet »Przewodnika Sodalicyjnego«... Trzecie dziełko napisała Marja Müller, długoletnia instruktorka kandydatek. W 7 pogadankach rozwija przed niemi ideał sodalicyjny, czego po sodalicji spodziewać się mogą, czego sodalicja w zamian od nich żąda. Rzecz napisana zajmująco z dużą znajomością duszy dziewczęcej, służy oczywiście naprzód młodym kandydatkom za dobry podręcznik, z pewnemi zaś zmianami może oddać duże usługi instruktorom innych sodalicyj.

J. Andrasz.

Karl Eugen Neumann: Der Wahrheitpfad. Dhammapadam. 2 Aufl. München 1921. R. Piper str. XI+156.

Rosnące wciąż w Niemczech zainteresowanie się buddyzmem jest jednocześnie wynikiem posiadania przez Niemców znacznej dziś literatury tego przedmiotu i bodźcem do dalszych na temże polu badań. Karl Eugen Neumann właśnie jest jednym z tych, co do buddyzmu

podeszli z całą powagą uczonego badacza, który nie poprzestaje na korzystaniu ze skrótów doktryny buddystycznej, dokonanych przez dyletantów, lub barwnych opisów podróży po Indjach, lecz przedewszystkiem chce mieć najdokładniejszy przekład tekstu autentycznych ksiąg świętych wielkiej religji Wschodu. Tłumacz księgi Dhammapadam jest znany już ze swych prac poprzednich, które dają możność w wiernym przekładzie poznać tak mowy Buddy, jak też pieśni mnichów i mniszek buddyzmu. Omawiana tu książka odsłania naukę światła Azji z wewnętrznej jej strony. Jest to bowiem zbiór przysłów, w którym znajomość intymna serca ludzkiego idzie w zawody z niezwykłą prostotą form i środków wysłowienia. Indyjski oryginał podaje te etyczne nakazy w rymowanych kilku wierszach, które udało się tak przetłumaczyć co do treści i formy, by czar ich oryginału możliwie był zachowany. Całość dziełka składa się z przedmowy wydawcy i tłumacza i dwudziestu sześciu rozdziałów, które rozpadają się na pewną ilość numerowanych kilkuwierszy, przyczem — co jest właściwością tych przypowieści buddystycznych — kolejne, nieparzyste i parzyste sentencje stanowią prawie zawsze wzajemne uzupełnienie.

Niniejsza książka tem się różni od innych tegoż rodzaju, że nie wysuwa nirwany na czoło życia etycznego, usiłując mu służyć przewszystkiem przez wskazania pozytywne.

Wielką wartość stanowi komentarz do *Dhammapadam*, podany przy końcu niemieckiego jego tłumaczenia, wskazujący punkty styczne co do formy i treści między Buddą i koryfeuszami literatury wszechświatowej. Acz napewno ewangelik, komentator z niemałem uznaniem mówi o pracujących w Azji misjonarzach katolickich, przeciwstawiając ich pracę i wyniki małoowocnej a tak kosztownej działalności misjonarzy protestanckich, jadących in partes infidelium z ...żoną, dzieckiem i niańką.

Zewnętrzny wygląd, druk i papier tej książki są wcale dobre.

X. Wł. Tołłoczko.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Winc. Lutosławski: *Praca Narodowa.* Program polityki narodowej. Wilno 1922, Księgarnia Stow. Nauczycielstwa Polskiego. 8°, str. 264.

Hanna Zahorska: *Żołnierze Rycerze*, Warszawa 1922. Kurja biskupia wojsk polskich, 16°, str. 48.

Ks. Wład. Chotkowski: *Redukcje monasterów bazyjańskich w Galicji.* Kraków 1922, Nakład Polskiej Akademji Umiejętności. 8°, str. 80.

Stefan Kader: *Teorja Kaloryczna*, Wilno 1922, Księgarnia Stowarzysz. Nauczycielstwa Polskiego, 8°, str. 80.

Zdzisław Morawski: *Z odrodzenia włoskiego*, Kraków 1922, Nakład krakowskiej Spółki Wydawniczej. 8°, str. 148.

Ks. Nikod. Cieszyński: *Miecz Ducha.* Zbiór kazań kwadransowych na niedziele całego roku.

Sprawozdanie Pocztowej Kasy Oszczędności w latach 1919—1921. Warszawa 1922, fol. str. 40.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zlot „Orłów" w Bernie. — Kongres katolików niemieckich w Monachjum. — Zabiegi stronnictw politycznych o katolickie głosy.

Miesiące letnie są miesiącami rozmaitych zjazdów, kongresów, kursów tygodniowych, naukowych wycieczek. Było w tym roku w ich liczbie niemało takich zjazdów, które pełnem prawem kwalifikują się do omówienia w »Sprawach Kościoła«. Zareferujemy na tem miejscu tylko o dwóch, na jakich był obecny niżej podpisany.

Zacznijmy od Zlotu Orłów w Bernie morawskiem. To, co się powie o tym zlocie gimnastycznym, usprawiedliwi umieszczenie go w rubryce spraw »kościelnych«.

Czechy są krajem, gdzie najbujniej rozwinęły się organizacje gimnastyczne i skąd brano wzory do tworzenia podobnych organizacyj w innych krajach. »Sokół« czeski był prototypem Sokoła w Polsce, Chorwacji, a pośrednio związków innych. Wiadomo, że nigdzie organizacje te nie ograniczały się do kultury zwinności fizycznej, lecz wszędzie postawiły sobie cele szersze, pielęgnując te czy inne kulturalne ideały, zwłaszcza patrjotyczne, narodowe. Nie potrzebujemy uprzytomniać sobie, czem się stał nasz »Sokół« polski. Ale w Czechach, na nieszczęście, z tego gimnastycznego i kulturalno-patrjotycznego stowarzyszenia uczyniono narzędzie zwalczania religji. Nie będziemy wchodzili w przyczyny tego zjawiska, dość zanotować fakt, że w szerokich kołach zwłaszcza wyrabiającej się inteligencji czeskiej uważano liberalizm religijny za konieczną przynależność patrjotyzmu i »Sokół« wcześnie stał się rozsadnikiem niewiary i działań wrogich Kościołowi. Doszło do tego, że ta organizacja, która jako stowarzyszenie gimna-

styczne, mogłaby nie interesować się wcale religijnem życiem swych członków, żąda od nich manifestowania wrogiego stanowiska wobec religji, zwłaszcza katolickiej i wyklucza ze swych szeregów, kogo schwyta na gorącym uczynku modlenia się w kościele lub złożenia ofiary na jakąś katolicką instytucję.

W tych warunkach — rzecz zrozumiała — Sokół musiał być omijany przez katolików wierzących i dlatego obok niego musiała powstać organizacja inna dla tych, którzy z kulturą fizyczną i pielęgnowaniem ideałów narodowych chcieli pogodzić swe obowiązki względem Boga i Kościoła. Rzeczywiście grupie uświadomionych katolików na Morawach, w kraju bardziej katolickim niż samo »królestwo czeskie«, grupie której przywodził młody profesor socjologji, ks. Szramek, udało się już przed dwudziestu laty dać początek takiej organizacji, którą nazwano »Orłem«. Z kolebki swojej, Berna, rozszerzyła się ona po kraju, przeszła do Czech i na Słowaczyznę i dziś, pomimo chwilowego zastoju w swym rozroście podczas wojny światowej, liczy przeszło 120,000 członków obojga płci, zgrupowanych przeszło w 1000 gniazdach. Od początku istnienia »Orzeł« postawił sobie za zasadę stać na gruncie katolickim i tej zasadzie pozostał wierny. W tym roku, święcąc 20-lecie swego istnienia, postanowił dokonać przeglądu swoich sił tak pod względem liczbowym, jak i ideowym; i w ten sposób zlot towarzystwa gimnastycznego przybrał charakter zarazem religijnego kongresu.

Twórca i dotychczasowy »starosta« Orła, ks. Szramek, dziś już poważny prałat, a jako współzałożyciel katolickiego stronnictwa ludowego, z jego desygnacji minister kolei w gabinecie koalicyjnym i jeden z najbardziej wpływowych członków rządu czesko-słowackiej republiki, postanowił nadać zlotowi światowe znaczenie, prezentując niejako przed katolikami innych krajów siłę katolicyzmu czeskiego. W tym celu wszedł w porozumienie z »Międzynarodowym Związkiem katolickich stowarzyszeń wychowania fizycznego«, mającym swą siedzibę w Paryżu, i z całym szeregiem zagranicznych stowarzyszeń gimnastycznych; które też wysłały na zlot do Berna swoje delegacje. Jedna z nich — od założonego na wzór czeski »Orła« w Jugosławji — liczyła 1200 uczestników, z którymi przybyło nawet kilku biskupów i cały szereg księży. Francja przysłała ponad setkę swojej młodzieży, inne kraje — dość pokaźne grupki. Przybył osobiście prezes wymienionego wyżej »Związku międzynarodowego« Van de Kerckove. Tylko z Polski nie przybyła żadna delegacja, pomimo że na liście honorowego prezydjum zlotu figurowały takie nazwiska polskie, jak generała Hallera, kardy-

nała-prymasa Dalbora i arcybiskupa Bilczewskiego. Reprezentowała więc Polskę szczupła garstka woluntarjuszów.

Nie chodzi nam o opisywanie uroczystości zlotowych, z ich popisami gimnastycznemi, wspaniałemi pochodami, zabawami ludowemi, które wypełniły 5 dni — od 11 do 15 sierpnia włącznie. Wspominamy o nich bowiem tylko dla ich religijnego katolickiego znaczenia. W rzeczywistości udowodniły one zarówno obcym, jak i samym obywatelom republiki Kramarzów i Masaryków, że przedwczesną jest rzeczą śpiewać *Requiem* nad katolicyzmem czeskim. Kto był w tych dniach w Bernie, kto widział tysiące młodzieży, kroczącej pod katolickim sztandarem, a setki tysięcy rozentuzjazmowanego tłumu widzów, kto słyszał słowa przysięgi, jaką za Mgr. Szramkiem powtarzały niezliczone rzesze wobec poświęconego przez papieskiego nuncjusza sztandaru na wierność ideałom katolickim i słowa obietnicy, że bronić Kościoła będą, kto odwiedził choć parę sesyj obradujących w różnych punktach miasta stowarzyszeń katolickich — rolników, robotników, nauczycielstwa, inteligencji urzędniczej, młodzieży wiejskiej i akademickiej — ten musiał dojść do przekonania, że obóz katolicki w Czechach, po oczyszczeniu się z mętów, jakie znalazły ujście w husytyzmie, skupił się sam w sobie, zmężniał, uświadomił sobie potrzebę karności i organizacji i może dziś już stanąć oko w oko wobec liczbą jeszcze silnych, ale ideowo rozbitych swych wrogów. Siłą jego jest to, że opiera się on na szerokich warstwach ludowych. Te warstwy udało się skupić także w jedno silne stronnictwo polityczne, które nie ograniczyło się do postulatów klasowego interesu, ale wywiesiło również na sztandarze swoim hasło walki o wolność Kościoła, o świętość małżeństwa i religijne wychowanie młodzieży. I może się już poszczycić obóz katolicki realnemi triumfami swej polityki zwłaszcza w zakresie szkolnictwa, gdzie dzięki takim przewódcom katolickiego ludu, jakimi są senatorowie arcybiskup Stojan i opat Zavoral, lub minister Szramek, zapędy liberalno-narodowego i socjalistycznego obozu w kierunku zupełnego zeświecczenia szkoły zostały powstrzymane i przeprowadzona ustawa, jakiej jeszcze przed dwoma laty nie ośmielano się spodziewać.

Polak, świadek uroczystości berneńskich, musiał jedną odczuwać przykrość, tę, że w jego ojczyźnie, cieszącej się z komplementu »semper fidelis«, patrzeć mu przychodzi na brak takiej jedności i takiej organizacji sił katolickich, jaką osiągnął kraj, uważany powszechnie za stracony dla katolickiej sprawy. Uratowanie swoje zawdzięcza katolicyzm czeski w znacznej mierze swym »orłom« i »orlicom«; czy u nas

już narodziła się organizacja, któraby mogła pokusić się o spełnienie podobnej roli?

Kongresy katolików niemieckich cieszą się zasłużoną sławą. Od czasu, kiedy w r. 1848, wśród rewolucyjnego chaosu tworzył się w Niemczech nowy układ sił i stosunków i kiedy grupa katolickich działaczy pod wodzą Lenninga zebrała się w Moguncji, by sobie uświadomić ciążące na katolicyzmie zadania, od tego czasu prawie corocznie zwoływane były »Katholikentag'i«, które w najtrudniejszych czasach, lawirując między Scyllą radykalizmu a Charybdą bismarkowskiego etatyzmu, w ogniu kulturkampfu stały się dzielną ostoją Kościoła katolickiego, szkołą wyrobienia opinji katolickiej i politycznej akcji katolicyzmu. W przeciągu tych kilkudziesięciu lat przybierały kongresy katolików na rozmachu i na wyrobieniu i udoskonaleniu swojej techniki.

Tegoroczny kongres, odbyty w Monachjum od 25 do 30 sierpnia, był 62 z rzędu kongresem katolików niemieckich. Podobnie do ostatnich powojennych zjazdów, zbierał się i on w poczuciu trudnych warunków, w jakich katolicyzm niemiecki znalazł się po wojnie światowej i podwójnie trudnych wskutek tego obowiązków, jakie nań wkłada obecna chwila. Traktat wersalski odłączył od byłego cesarstwa niemieckiego prowincje o przeważającej ludności katolickiej, prowincje z języka nie niemieckie, ale w statystyce wyznaniowej grające doniosłą rolę. Przed wojną stosunek ludności katolickiej do ludności protestanckiej w całej Rzeszy wyrażał się cyframi 37 : 63. Po odłączeniu Poznańskiego i Prus zachodnich z jednej strony, a Alzacji i Lotaryngji z drugiej, po świeżem przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski stosunek ten uległ zmianie, tak że się wyraża cyframi 32 : 68. Tym sposobem katolicy w dzisiejszem państwie niemieckiem nie stanowią nawet całej 1/3 części ogółu ludności, do czego dodać trzeba jeszcze, że spora połać kraju wybitnie katolickiego, Nadrenji, znajduje się pod wojskową okupacją zwycięzców. Oprócz tej troski, jaka płynie dla katolików niemieckich z nowego niekorzystnego ustosunkowania się sił, nie mniejszą troskę stanowi wzrastająca fala anarchji społecznej.

Te warunki znalazły swe odbicie w obradach kongresu. Obcokrajowca musiało nieco razić, gdy na kongresie katolickim, więc z natury swojej o charakterze religijnym, musiał wysłuchiwać gorzkich narzekań na niesprawiedliwość, jaką rzekomo wyrządził Niemcom traktat wersalski. »W europejskiej historji — wołał prezes kongresu, nadbur-

mistrz Kolonji, Dr. Adenauer — w europejskiej historji średniowiecza i czasów nowych niema żadnego dokumentu, któryby tak się natrząsał ze wszelkich ludzkich i chrześcijańskich zasad, jak dyktat wersalski«. Obcokrajowca musiały dziwić poniekąd skargi tegoż dra Adenauera, jak również mowców z zagłębia Saary i z wolnego miasta Gdańska, na ucisk i prześladowanie, jakiego niemczyzna doznaje w tych okupowanych lub odłączonych od Rzeszy prowincjach. Myśl wybiegała wstecz do tych niedawnych lat, kiedy całe katolickie kraje, jak Belgja, Francja północna i Polska, były niszczone systematycznie ręką niemieckiego okupanta, a katolicy niemieccy nie mieli dość odwagi, by napiętnować i uniemożliwić stosowanie tych metod »konieczności wojennej«. Dlatego też mniej wzruszały obcokrajowca i te uroczyste zaklęcia, z jakiemi prezes kongresu i inni mowcy zwracali się do narodów katolickich, aby pamiętały o zasadach chrześcijańskich w polityce, aby ratowały ginące Niemcy i nie pozwoliły na śmierć głodową 60-miljonowego narodu.

Pominąwszy te rozpaczliwe jeremjady, które zresztą łatwo zrozumieć i wytłumaczyć, jeśli się zestawi obecne położenie Niemiec z temi horoskopami »pokoju niemieckiego«, jakie pielęgnowano nie dawniej jak przed pięciu laty, przyznać trzeba, że tegoroczny kongres w Monachjum dał dowód wielkiej żywotności i siły niemieckiego katolicyzmu. Podziwiać można było tę zewnętrzną technikę, z jaką przewidziano i urządzono wszystko, z jaką uruchomiono olbrzymie masy ludu z różnych zakątków obszernej ziemi niemieckiej, z jaką wreszcie wykonano wszystko ściśle według nakreślonego programu bez żadnej chyby i zamieszania. Po drugie, budującym był udział elementu świeckiego w obradach kongresu i doskonałe katolickie wyszkolenie we wszystkich kwestjach, w jakich głos ktoś zabierał. Począwszy od prezydenta bawarskiego gabinetu, hr. Lerchenfelda i cytowanego już wyżej nadburmistrza Kolonji, widziało się cały szereg najwybitniejszych mężów stanu, polityków, uczonych, działaczy społecznych, wygłaszających swe referaty z trybuny jużto zebrań ogólnych, jużto różnych poszczególnych sekcyj i odrębnych stowarzyszeń, z gruntowną znajomością nauki katolickiej i mocnym akcentem osobistego przekonania. Widocznem było, że w Niemczech katolicyzm nie jest rozbity na dwa wzajemnie nierozumiejące się obozy, hierarchję i świeckich, że mniej jest tam wśród katolików tego pseudoreligijnego marzycielstwa, szukającego sobie w religji nowych dróg, ale że jest to obóz jednolity, jak

blok granitu, oparty o granitową również skałę nauki objawionej, skrystalizowanej w prostym katolickim katechizmie.

Obradami swojemi objął kongres wszystkie dziedziny i strony życia publicznego. Począwszy od kazania kardynała Faulhabera na Königsplatzu wobec 100-tysięcznego tłumu, kazania, w którem najznakomitszy dziś w Niemczech mowca kościelny w najprostszej formie nakreślił zadanie kongresu, wszyscy mowcy zmierzali do jednego celu — nie wyszukiwania nowych nauk i nowych dogmatów, ale do przystosowania nauki odwiecznej do nowych zagadnień życia. Zajmowano się więc współczesną tęsknotą duszy ludzkiej do ożywienia życia religijnego i wykazano (Ks. Lippert i kapucyn O. Djonizy), że zaspokojenia tej tęsknoty nie da nowożytne sekciarstwo, ani żadna z form pseudomistycyzmu, lecz zbliżenie dusz do żywego Chrystusa w Kościele katolickim. Mówiono o uzdrowieniu obyczajów nadszarpanych przez zgorszenia płynące z nowoczesnej książki, teatru i kina, stwierdzono potrzebę stania na straży chrześcijańskiego nierozerwalnego małżeństwa. Świetny referat radcy szkolnego Langenberga wykazał obowiązek walki katolików o utrzymanie szkoły wyznaniowej tam, gdzie ona istnieje, a zdobycie jej tam, gdzie jej dotąd niema. Mówiono w kilku znakomitych referatach o zagadnieniach społecznych i ekonomicznych i o stosunku katolików do socjalizmu. Dr. Müller z Lucerny wyjaśniał zasadniczo stosunek socjologji katolickiej do prawa własności, prawa, które komunizm chciałby zupełnie usunąć, a przesadny konserwatyzm — uważać za absolutne i niepodlegające żadnej interwencji państwa: mowca stawiał ideał bardziej równomiernego podziału bogactw i tworzenia jak najliczniejszej klasy średniej. Pierwszy burmistrz Ratisbony, dr. Hipp, wykazywał, że pomiędzy katolicyzmem a socjalizmem istnieje zasadnicza różnica, jako między doktrynami wychodzącemi z dwóch wręcz przeciwnych światopoglądów. Prezydent ministrów z Berlina, Stegerwald, mówiąc o gospodarczej odbudowie Niemiec, wskazywał jako na najważniejszy warunek tejże odbudowy, na odbudowę moralnych zasad w sumieniach obywateli.

Z obrad poszczególnych katolickich organizacyj wysunęły się na pierwsze miejsce obrady niemieckiej katolickiej organizacji szkolnej, w których brał udział również bawarski minister kultu, dr. Matt. Zareferowano, że za katolicką wyznaniową szkołą zebrano 5 miljonów podpisów. Po wygłoszeniu kilku referatów i przemówień ministra Matta i kardynała Faulhabera powzięto kilka ważnych rezolucyj. Najważniejszą z nich jest podkreślenie praw rodzicielskich w szkolnem wychowaniu

dzieci i postanowienie dążenia do szkoły wyznaniowej na sposób holenderski, t. j. prywatnej, ale utrzymywanej z funduszów skarbowych. Imponującem było również zebranie bawarskiego Związku prasy, na którem złożono sprawozdanie z rozwoju tej organizacji, utrzymującej cały szereg wielkich i mniejszych pism ludowych, kiosków i bibljotek. Masowe zebrania organizacyj dobroczynnych, sztuki kościelnej i inne dopełniły przeglądu rezultatów, osiągniętych przez katolicyzm w Niemczech.

Obradując nad wzmocnieniem katolickich pozycyj w samym kraju, nie zapomniał kongres monachijski o zewnętrznej ekspansji katolicyzmu. Więc były obrady nad środkami pozyskania dla Kościoła protestantów, więc zdawano sprawę z tego, co Niemcy uczyniły dla misyj zagranicznych, — obrady nad tem przedmiotem uzupełniała specjalna wystawa misyjna, — więc wreszcie żywo zajmowano się niemczyzną w rozproszeniu w innych krajach, obmyślając sposoby stałego z nią kontaktu, pielęgnowania języka i ochrony interesów religijnych wśród niemieckich skupień w różnych częściach świata.

Obrady tegorocznego kongresu w Monachjum dowiodły wielkiej żywotności katolicyzmu niemieckiego pomimo zarysowanych mocno różnic w działalności politycznej dawnego centrum. Jakkolwiek ukształtują się stosunki w łonie parlamentarnej reprezentacji katolików niemieckich, jedno zdaje się być widocznem, że katolicyzm, chociaż liczebnie uszczuplony, oparty wszakże na szerokich masach ludowych, nie ograniczy się do defensywy, ale wystąpi do zdobywania coraz nowych pozycyj w zdemokratyzowanej Rzeszy Niemieckiej.

W okresie przedwyborczym każdemu stronnictwu chodzi o zdobycie jaknajwiększej ilości głosów. Ponieważ ogromną większość narodu stanowią katolicy, przeto stronnictwa czynią starania, by zyskać zwolenników dla swoich list wśród mas katolickiego ludu. W krajach, gdzie wykształcenie religijne i polityczne ogółu jest większe, partje, reflektujące na głosy katolików, szczegółowo rozwijają swój program katolicki, albo przynajmniej zaznaczają swój życzliwy stosunek dla postulatów katolickich. U nas wielu stronnictwom wydaje się, że katolików naszych można zwerbować paru mętnemi frazesami. Czynią to nasze polskie stronnictwa każde na swój sposób. Począwszy od skrajnej lewicy, a kończąc na prawicy, użyły już nasze partje środków, jakie wydawały im się pożyteczne, by katolików skaptować dla siebie, a przynajmniej ich wrogi do siebie stosunek osłabić.

Rozpocznijmy od lewicy. P. P. S., która przecież z zasady odnosi się wrogo do religji i Kościoła, jako organizacji, od dłuższego czasu sieje pewien zamęt w pojęciach, przynajmniéj na łamach *Naprzodu*, biorąc w obronę Papieża przed rzekomo wrogim dla Niego episkopatem polskim. W ostatnich czasach w retorcie lewicowej spreparowano memorjał do Papieża »Przeciw wichrzycielstwu księży« (pierwszy *Naprzód* ogłosił to pismo). Elaborat ten, który zapewne przez Papieża nigdy czytany nie będzie, przeznaczony jest na to, aby zdezorjentować tę część katolickiego ludu, która już uległa wrogiej Kościołowi agitacji, zachowuje wszakże na dnie duszy jakieś resztki uczuć religijnych. Więc treścią memorjału do Papieża wmawia się w ten lud, że prowodyrom naszej lewicy o nic tak bardzo nie chodzi, jak o dobro wiary i moralności, którą rzekomo podkopują księża, mieszając się do polityki. Taki zdezorjentowany »obywatel« gotów jest uwierzyć, że nawet tego rodzaju akcja polityczna, jak głosowanie za wprowadzeniem w Polsce senatu, albo szkoły wyznaniowej, jest czemś ze stanowiska religji tak karygodnem, że można na księży, którzy podobnie głosowali, skarżyć się nawet do Papieża. Wniosek stąd: można być dobrym katolikiem, bardzo nawet troskliwym o przyszłość religji, a jednak wotować za partją, zwalczającą naprzykład szkołę wyznaniową.

Posuńmy się trochę dalej na prawo. W P. S. L., które w swoim naczelnym organie *Piaście* przy każdej sposobności przypominało, że księża do polityki »wcale mięszać się nie powinni«, które kilkakrotnie w sejmie zaznaczyło swój wrogi do prawa kościelnego stosunek (np. w sprawie patronatów kościelnych, w sprawie porozumienia ze Stolicą św. o parcelację majątków kościelnych, w sprawie listu biskupiego o małżeństwie), zrozumiało teraz, że udział księży w pracy politycznej jest bardzo pożądany, tylko pod dwoma warunkami: po pierwsze, aby szli w zgodzie z Piastowcami i powtóre, aby nie sięgali po żadne przodujące miejsca, lecz poddali się pod komendę świeckich prowodyrów partji. Widoczną jest tu tendencja wmówienia, nietyle w księży, jak w wyborców ludowych, że P. S. L. chociaż przyjęło z powrotem p. Stapińskiego, apostoła nowego kościoła — jest bardzo troskliwe nietylko o interesa stronnictwa ale nawet o interes religji i Kościoła katolickiego i tylko księża psują całą sprawę przez to, że nie chcą iść ręką w rękę ze stronnictwem. Niedawno w *Piaście* ukazał się artykuł, w którym oznajmiono o zawiązaniu Związku księży piastowców z triumfującem zapewnieniem, że takich księży już jest s i e d m i u, którzy tylko na razie nie mogą ogłosić swoich nazwisk.

Znajdujemy się na prawicy skrajnej. Istnieje w Polsce stronnictwo o ideologji, którą uważano za wyraźnie skrystalizowaną, a którą, w pewnych przynajmniej jej punktach, musiało się kwestjonować ze stanowiska nauki katolickiej. Zasadę »narodowego egoizmu«, pojętą jako najwyższy regulator wszelkiej akcji politycznej, poddawał krytyce niejednokrotnie nasz *Przegląd*. Dlatego stronnictwo to, jakkolwiek liczące wiele zasług, położonych dla narodu, owszem — chętnie przyznajemy — dla Kościoła katolickiego, spotykało się z pewną rezerwą wśród wielu ludzi o wyrobionych zasadach katolickich. Tę rezerwę podsycały jeszcze organy stronnictwa albo grup zbliżonych do niego, zdradzając dość często albo nieznajomość nauki katolickiej (atakowanie lub ośmieszanie biblji Starego Testamentu i pierwotnego chrystjanizmu), albo niechęć do Stolicy Apostolskiej za jej rzekomo ujemną dla interesów Polski politykę. W ostatnich dniach wszakże ukazał się w *Gazecie Warszawskiej* znamienny choć krótki artykuł, oznajmiający, że polityka narodowa Polski »nie może być inna, jak katolicka, t. j. rzetelnie oparta na zasadach moralności chrześcijańskiej«, że »demokracja narodowa w ciągu jednego pokolenia dojrzała całkowicie nietylko do zrozumienia tej prawdy, ale do życia nią w całej pełni«, że »prąd myśli oparty szczerze o zasady katolickie i szukający w katolickiej mądrości rozwiązania najtrudniejszych zagadnień życia społecznego i politycznego« jest dzisiaj najpotężniejszym prądem politycznym w Polsce. Szczerość tego oświadczenia zdaje się potwierdzać jeden z najwybitniejszych członków stronnictwa, o którem mowa, ks. dr. Lutosławski, dezawuując w *Gazecie Kościelnej* treść deklaracji swoich »młodych przyjaciół«, Młodzieży Wszechpolskiej, która jeszcze przed paru miesiącami powtarzała niemal jako dogmat niektóre z »Myśli nowoczesnego Polaka«, obecnie przez ks. Dr-a uznane za »błędne« i »fałszywe«. Jeżeli te oświadczenia są szczere — nie chcemy przez to powiedzieć, że o szczerości ich wątpimy — to w poglądach Narodowej Demokracji rzeczywiście dokonała się radykalna zmiana i życzyćby tylko należało, aby nowe dogmaty stronnictwa, tym razem już iście chrześcijańskie, były konsekwentnie stosowane w życiu politycznem.

Notując te zabiegi kilku stronnictw — nie wymienialiśmy wszystkich — o głosy katolickie przed wyborami, nie chcemy przez to przyłączać się do agitacji przedwyborczej na korzyść lub niekorzyść tej lub owej partji. Podsumowaliśmy tylko pewne oświadczenia dla

lepszego ich zachowania w pamięci. Wartość ich wypróbuje czas. Te z pomienionych oświadczeń, które wyrażają troskę o dobro religji lub solidarność z zasadami Kościoła katolickiego, traktujemy jako *verbum nobile*, które *debet esse stabile*.

Ks. Jan Urban.

„Tydzień pisarzy katolickich" w Paryżu.

Pod hasłem »usiłowania zjednoczenia sił katolickich na terenie intelektualnym« odbył się w Paryżu, w dniach 12—18 czerwca b. r., drugi z rzędu »Tydzień pisarzy katolickich« Francji. Pewna doza niepewności wisiała wprawdzie w przededniu otwarcia, niejedni lękali się niepowodzenia, lecz obawy okazały się płonne. Rozległa sala »Instytutu katolickiego« z trudnością zdołała pomieścić zgromadzonych gości, pomiędzy którymi znaleźli się przedstawiciele wszystkich działów pracy literackiej, duchowieństwo i świeccy, profesorowie, redaktorzy, powieściopisarze i poeci. Także zagranica była reprezentowana, zwłaszcza Belgja przysłała licznych przedstawicieli.

W przeciwstawieniu do roku ubiegłego, w którym poruszano tematy luźne, obracał się cały obecny Tydzień koło jednego problemu laicyzmu, tematu wprawdzie zbyt obszernego i giętkiego, ale zato pozwalającego rozpatrywać go pod różnemi kątami widzenia, dostępnemi dla wszelkiej kategorji prelegentów. Wstępne referaty były głębsze i starały się wyświetlić naturę laicyzmu. Ks. Émonet skreślił jego doktrynę, jaka zapanowała w publicznem życiu Francji od r. 1875, jako bezwzględną autonomja społeczeństwa ludzkiego, połączona z teoretycznem i praktycznem wykluczeniem powagi boskiej. Prof. Józ. Wilbois wykazywał niemożliwość głębszego zrozumienia Kościoła i wogóle chrześcijaństwa przez wszystkich, którzy pragnęliby przeniknąć jego ducha, stojąc poza niem na gruncie laicyzmu. Druga grupa tematów obracała się w sferze więcej przystępnej dla ogółu słuchaczy. »Świecką« i chrześcijańską koncepcję teatru przedłożył H. Ghéon, stanowiskiem pisarza-katolika w poezji zajmował się Robert Vallery-Rodot, a w romansie Martin-Chauffier. Poruszono również tak aktualną dziś we Francji kwestję szkolną; ks. Bessières, który już przeszłego roku przedstawił, że obecny stan jej zapoznaje prawa nauczyciela, rodziców i sumienia katolickiego, skreślił dzisiejsze stadjum sprawy i wezwał wszystkich do poparcia słusznych żądań katolików.

Podobnie jak na pierwszym kongresie, poświęcono i teraz sporo miejsca zagadnieniom politycznym, narodowym i międzynarodowym. René Johannet, redaktor *Revue Universelle*, streścił sytuację katolików Francji pod prześladowczemi rządami, w latach 1880—1914, poczem przeszedł do zmienionych stosunków od czasu wielkiej wojny i wskazał na konieczność rewizji »nietykalnych praw«, któraby umożliwiła

zgodne pożycie obywateli jednego państwa; uwagi jego poparł silnie ks. Ritz przedłożeniem dzisiejszego położenia w Alzacji i Lotaryngji. Ravier de Magny, profesor uniwersytetu katolickiego w Lyonie, wyłożył zasady chrześcijańskiego prawa międzynarodowego, ich historyczny rozwój w ciągu wieków, oraz ujemne wpływy laicyzmu aż do dni ostatnich. W dyskusji o Lidze narodów, na którą niejednokrotnie wskazywano, jako na podatne narzędzie laicyzmu, zwrócił ks. de la Brière uwagę obecnych na niebezpieczeństwo nadużycia, jakie grozi ze strony komisji naukowej, utworzonej przy boku Ligi; w skład jej weszli: Bergson jako przedstawiciel Francji, Einstein Niemiec, Destrée Belgji, Gilbert Murray Anglji i jedyny katolik, Gonzague de Reynold, jako reprezentant Szwajcarji. Ponieważ komisja ta już raz objawiła ochotę odgrywania roli najwyższego ministerjum oświaty, przeto należy pilnie czuwać, by udaremnić stanowczo dalsze jej próby mieszania się do studjów uniwersyteckich poszczególnych krajów.

Oto w streszczeniu całość materjału, nad którym toczyła się ożywiona dyskusja, nie pozbawiona różnych, podniosłych i mniej miłych momentów. Tych ostatnich nie podobna było prawie uniknąć wobec doboru tematów, liczby i kompetencji gości, oraz pewnych niedomagań w kierowaniu dyskusją. Zebranych łączyła wprawdzie jedność wiary i celów, ale właśnie dlatego, że byli to ludzie wykształceni i samodzielni, nie obeszło się bez pewnych przeciwieństw poglądów, które przybrały niekiedy ostrzejszą formę z powodu zachodzącego niemal wszędzie rozłamu na katolików „prawicy“ i „lewicy“. Z drugiej strony dyskusji uniknąć było niepodobna, wszak zjazd z założenia swego miał być środkiem do swobodnej wymiany myśli.

Praktyka dwuletnia była też dla organizatorów znakomitą w tym względzie szkołą. Przedewszystkiem uznano, że trzeba na przyszłość urządzić dwie różne kategorje posiedzeń, jedne ranne, traktujące o zasadniczych problemach i przeznaczone tylko dla fachowców, drugie popołudniowe, dostępne dla ogółu słuchaczy; uchwalono również rozdawać uprzednio wszystkim uczestnikom drukowane prospekty referatów, żeby mogli przygotować się do dyskusji. Nie uwzględnienie obu powyższych postulatów przyczyniało się bowiem do nadmiernego jej przedłużania i sprowadzało takie zamieszanie, że pod koniec kongresu H. Bremond wystąpił z wnioskiem, żeby nikogo nie dopuścić do głosu, kto nie poda swej trudności w formie sylogizmu. Jako drugi najważniejszy punkt uznano konieczność umiejętnego kierownictwa dyskusją, które jedynie może ją utrzymać w granicach ściśle rzeczowych, zapobiec zbytniemu podnieceniu atmosfery i nie dopuścić do zbyt widocznych jego objawów, jak np. ostentacyjnego wychodzenia ze sali na znak protestu przeciw wygłaszanym poglądom.

Wszystkie te zajścia i braki nie zniechęciły jednak nikogo, owszem wyrażono życzenie, by zjazdy podobne odbywały się odtąd rok rocznie, a najpoważniejsze czasopisma zajęły się problemem rozwiązania napotkanych trudności. Ponieważ rozbieżność poglądów, dotyczących niekiedy nawet bardziej zasadniczych punktów, jest tu widoczna, przeto należy

przypuszczać, że okres próbny potrwa jeszcze czas dłuższy. Nie zmniejsza to oczywiście w niczem znaczenia przedsięwzięcia; to, co zrobiono, jest dziełem prawdziwie wielkiem i pięknem — godnem naśladowania.

Ks. St. P.

„Tydzień etnologji religijnej" w Tilburgu (Hollandja).

W dniach od 6—14 b. m. odbył się w mieście Tilburgu w Hollandji t. zw. »Tydzień etnologji religijnej«. Kongresy naukowe pod tą nazwą znane szeroko w świecie uczonych katolickich, zostały zainicjowane przez słynnego etnologa ks. W. Schmidta zgrom. Słowa Bożego i ks. Fr. Bouvier T. J., już w r. 1912. Dwie pierwsze sesje »Tygodnia etnologicznego« odbyły się w Lowanium w r. 1912 i 1913, poczem długi okres wojny światowej spowodował przerwę chlubnie rozpoczętej pracy.

Celem tych zjazdów jest przedewszystkiem wprowadzenie uczestników w naukowo-techniczną stronę badań nad religjami ludów niechrześcijańskich, pobudzenie inicjatywy i udzielenie wskazówek co do tego rodzaju pracy a wreszcie łączenie się i porozumiewanie między sobą uczonych katolickich. Ze względu na ten cel uczestnikami zjazdu mogą być nie tylko uczeni badacze etnologji i historji religji, ale także misjonarze katoliccy, którzy są w tej dziedzinie pionierami nauki, dostarczając tejże obfitych materjałów do dalszych badań. Z drugiej znowu strony kongresy te wprowadzają misjonarza katolickiego na drogę badań ściśle naukowych, a przez to, jak się wyraził na pierwszej sesji »Tygodnia etnologicznego« bp. Le Roy, czynią go podwójnie misjonarzem, bo pracującym równocześnie w szeregu apostołów Królestwa Chrystusowego i w szeregu naukowo pracujących obrońców wiary. Kongresy te mają więc być węzłem łączącym misjonarzy i uczonych katolickich na polu wspólnej pracy.

Na tegoroczny »Tydzień« przybyło 181 uczestników ze wszystkich stron świata, »ex omni tribu et lingua«. Nawet Chiny miały swego przedstawiciela w osobie ks. Franc. Tchao T. J. Pierwszorzędni uczeni duchowni i świeccy, etnologowie i znawcy porównawczej nauki religji jak również misjonarze z różnych zgromadzeń zakonnych wzięli udział w zjeździe i występowali z prelekcjami.

W pierwszej części »Tygodnia« omawiano kwestje ogólne z zakresu metodyki etnologji, pre-historji, psychologji religji, socjologji i lingwistyki. Nadzwyczaj interesującą była druga część, w której poświęcono 12 wykładów szczegółowemu omówieniu zagadnienia ofiary w religjach różnych ludów niechrześcijańskich, a następne 14 wykładów kwestji misterjów, obrzędów inicjalnych i związków tajnych w religjach tychże ludów. Wśród prelegentów byli tacy uczeni jak: ks. W. Schmidt, naczelny redaktor czasopisma »Anhropos«, ks. prof.

Pinard T. J., O. Gemelli O. Fr. M., rektor uniwersytetu katolickiego w Medjolanie, prof. Carney i prof. Jonghe z uniwersytetu katolickiego w Lowanium, prof. Menghin z Wiednia, ks. Grandmaison T. J. i inni. Uczeni ci po tylu latach przerwy zebrali się, aby wspólnie skontrolować w ostatnim czasie nagromadzone materjały i przedstawić słuchaczom rezultaty swych badań, wobec których już nie wytrzymują krytyki różne pseudo-naukowe teorje o religji. Prócz wykładów budziły wielkie zainteresowanie pogadanki naukowe, w których omawiano plany pracy i badań naukowych do przedsięwzięcia na przyszłość.

Wynik kongresu był wspaniały i przewyższył pod każdym względem oczekiwania uczestników. Doprawy należy się wdzięczność inicjatorom tej trzeciej sesji »Tygodnia etnologji religijnej«, ale może jeszcze więcej należy się wdzięczność obywatelom katolickiego miasta Tilburga, których gościnność prawdziwie chrześcijańska nie tylko umożliwiła nam wzięcie udziału w zjeździe, ale umiała również uprzyjemnić i upamiętnić te dni.

Cieszyć się trzeba, że tym razem po raz pierwszy grono słowian było dość liczne; przybyli Polacy, Czesi, Słoweńcy, Chorwaci. Prof. Sanda z Pragi miał odczyt o ofierze u Żydów, a prof. Ehrlich z Lublany o obrzędach inicjacji i związkach tajnych w Australji. Polskę przedstawiali: ks. prof. dr. Wasilkowski z Włocławka, ks. prof. S. Kowalski z Poznania i piszący te słowa.

Następny »Tydzień« ma się odbyć za dwa lata, gdzie? jeszcze nie wiadomo. Jedno możnaby tylko wyrazić życzenie, aby polscy katoliccy uczeni i przedstawiciele uniwersytetów wzięli także czynny udział w przyszłym zjeździe.

Ks. Dr. Ign. Antonowicz
Salezjanin.

Rozmaitości.

„Piastowi" w upominku. — W majowym zeszycie »Przeglądu Powszechnego« ogłosiłem tezę o względności prawa własności. Tezy tej starałem się dowieść faktami zaczerpniętemi z historji rozwoju ekonomicznego, z rozwoju ustawodawstwa rzymskiego, a nadto zaczerpnąłem argumentów z teologji i filozofji katolickiej, by w ten sposób uzasadnić konieczność uznania tej tezy nie tylko ze stanowiska ekonomicznego, ale i ze stanowiska moralności. Tezy tej nie myślę cofać i gotów jestem szukać jej wszechstronniejszego uznania, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Jednakowoż ogłaszając powyższą tezę i jej uzasadnienia, bynajmniej nie chciałem opowiadać się konkretnie za tą lub ową reformą, dotyczącą prawa własności, a już najmniej za naszą reformą rolną, taką, jaką ona jest w swem ujęciu prawnem, a tem bardziej w jej praktycznem przeprowadzeniu.

Zastrzeżenie to czynię dobitnie w końcowym ustępie następującemi słowami: »Reformy... mają zupełne uzasadnienie w prawie natury, w źródłach objawienia i w faktycznym rozwoju społeczno-ekonomicznym. Dobra materjalne są dla wszystkich, a własność prywatna ma tylko uprzystępnić korzystanie z nich. Z chwilą, kiedy własność prywatna zamiast tego uprzystępnienia staje się przeszkodą, trzeba koniecznie poddać ją rewizji i zaprowadzić w niej odpowiednie zmiany. Mówimy wyraźnie: odpowiednie zmiany, a więc takie, któreby ze stanowiska ekonomicznego nie tamowały produkcji, ale przeciwnie ułatwiały ją, a w każdym razie przy temsamem tempie wytwórczości zapewniały racjonalniejszy podział dóbr, przynajmniej na najbliższą przyszłość. Zastrzeżenie to czynimy dlatego, że chociaż ogólnie wypowiadamy się za możliwością reformy rolnej i reform w sferze interesów robotników fabrycznych, nie chcemy na tem miejscu rozstrzygać kwestji czy nasza ustawa o reformie rolnej, a tembardziej jej przeprowadzenie odpowiada tym wymaganiom, stawianym przez moralność i ekonomję».

Zastrzeżenie to konieczne było z tego względu, że nasza ustawa o reformie rolnej nie jest bez zarzutu ze stanowiska ekonomicznego, co już nieraz wykazywali najwybitniejsi nasi ekonomiści i znawcy polityki agrarnej, a prawdopodobnie temsamem i ze stanowiska etyki naturalnej, ale kategoryczne rozstrzygnięcie tych kwestyj wymagałoby osobnej pracy i bardziej drobiazgowej, o tyle, że drażliwej, niż temat zasadniczy omawiany przezemnie.

Każdy czytelnik, przeczytawszy mój artykuł, mógł się tego wszystkiego dorozumieć, ale nie dorozumiał się »Piast«. W numerze z dnia 4 czerwca b. r. we wstępnym artykule stosunkowo szeroko omawia naukowe podstawy mej pracy i twierdzi, że wywody w niej przytoczone »zasługują ze wszech miar na zapoznanie się z niemi«. Zgoda na to, ale przedewszystkiem ze »wszech miar« powinien z moją pracą zapoznać się autor artykułu w »Piaście«, bo wówczas wyczytałby stanowczo, że co innego jest reforma wogóle i jej zasadnicza konieczność oraz godziwość, a co innego reforma taka, jaką u nas forsuje P. S. L. i jak ją przeprowadzał p. Kiernik. O tej nie mówiłem w mojej pracy ani jednem słowem i dlatego branie mego nazwiska i mego artykułu za tarczę przed zarzutami, jakie spadają na P. S. L. z powodu reformy rolnej, jest najpospolitszem nadużyciem.

Tem mniej może »Piast« używać mego nazwiska i mej pracy do obrony przed duchowieństwem, do dowodzenia swego »katolickiego« stanowiska przeciw polskiemu duchowieństwu. Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że choć ustawowo reforma rolna oddaje porozumieniu Stolicy św. z rządem wywłaszczenie dóbr martwej ręki, jednak p. Kiernik całą siłą parł ku temu, żeby bez tego porozumienia wywłaszczać dobra kościelne. Powoływanie się więc z jednej strony na tę ustawę a z drugiej gwałcenie jej jest co najmniej faryzaizmem.

Ks. R. Moskała.

Epokowe odkrycie „Epoki". — W maju b. r. począł we Warszawie, pod redakcją p. Wł. Włocha wychodzić pewien „tygodnik poświęcony polityce, sprawom społecznym, literaturze i sztuce". W przeczuciu wielkich swych zadań, jakie ma spełnić, nadała mu redakcja wcale obiecujące miano „E p o k i". *Nomen omen*, mawiali starzy. Czy i jakie „epokowe" zasługi ma to czasopismo w dziedzinie polityki i ekonomiki społecznej, nie chcemy roztrząsać. Zaciekawił nas natomiast dział literacki, rzecz jasna nie przez swoje konwencjonalne wierszyki, ani nawet nie przez dość bałamutne artykuły o Krasińskim czy Mickiewiczu. „Epokowem" odkryciem był dla nas dopiero artykuł p. Wł. Włocha p. t. Dwie Marje, w którym autor z okazji 60-cioletniej rocznicy urodzin Maeterlincka zestawia jego kreację Marji Magdaleny z tą, jaką dał powieści polskiej Daniłowski.

Mniejsza o belgijskiego dramaturga; ciekawsze to, co powiada autor o naszym powieściopisarzu. Oto twierdzi, w końcowych uwagach, że Daniłowski — *risum teneatis amici* — najwięcej zbliżył się do prawdy biblijnej, że choćby nic innego nie zrobił, jak to, że odtworzył może bezwiednie, według recepty seksualisty Dr. Freuda, „wielkie studjum psychanalityczne" (i anatomiczne), powieść jego miałaby niesłychaną doniosłość. Na poparcie swej tezy p. Włoch nie oszczędzi dokumentów ani z zakresu ogólnych rozwiązań nad dotychczasowem naiwnem i wstydliwem komentowaniem Biblji przez „kler rzymski" ani nie zakrywa „soczystych" obrazów, krwią i szałem chorobliwej rozkoszy spienionych wyjątków z powieści Daniłowskiego. Trudno iść po wszystkich drogach, jakiemi nas prowadzi autor w swych krytycznych uwagach. Wytworzyła się z nich — passez le mot — taka cuchnąca kloaka, od której nawet odwróciłby się wnet sam Daniłowski. Tak, artykuł p. Włocha jest „epokowem" odkryciem w dziedzinie krytyki polskiej, — ale jeszcze raz powtarzamy — jest odkryciem kloaki. *J. K.*

REDAKTOR ODP. I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 30 września 1922.

Na otwarcie Senatu i Sejmu[1]).

Dostojne Zebranie!

Nie bez głębokiego wzruszenia przychodzi mi objąć myślą podniosłość dzisiejszej uroczystości. Płynie ta wzniosłość z potęgi, jaka tkwi w doborowej zbiorowości ludzkiej, przykładającej rękę do wielkiego dzieła. Każdy z was, Przezacni Panowie, przestaje być w tej chwili tą czy inną jednostką ludzką, wszyscy razem stajecie przed okiem świata i przed okiem bożem jako naród polski i polskie państwo w najwyższej swojej postaci, Sejm i Senat, czoło i mózg Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jakiekolwiek małości człowiecze kaziłyby jednostkę, jakiekolwiek osobiste troski zaciemniałyby serca wasze, Przezacni Panowie, nie wolno wam od tej chwili zapominać, że na ramionach waszych czerwienieje purpura narodu a na czołach waszych jaśnieje diadem i majestat państwa.

A pamięć na tę dostojność chwili to nie jest sprawa przelotnego osobistego zadowolenia, które do niczego nie obowiązuje. Psychologja wielkich, uroczystych momentów ma swoje prawa i swoje obowiązki. Chwila, moment, jest czemś przelotnem, szybko mijającem, ale wielka chwila i wielki moment odgrywa niejednokrotnie doniosłą rolę w życiu tak jednostek, jak narodów. Chwila jedna tylko była, gdy pieśń Tyrteusza wkładała oręż w ręce Spartan — jeden moment tylko rozbrzmiewało hasło Bernarda z Clairvaux: »Bóg tak chce« — jak błyskawica zalśniła Marsyljanka, gdy jednym tchem rzuciła ochotników rewolucji na wzgórza Jemappes — a jednak jak doniosłe następstwa tych chwil były nietylko dla jednego narodu, ale i dla całego świata!

Otóż ta uroczysta chwila, w której odrodzona Polska w osobach waszych, Szanowni Panowie, Dostojni Senatorzy i Posłowie

1. Mowa wygłoszona w katedrze warszawskiej 28 listopada br. podczas nabożeństwa otwierającego zebranie Sejmu i Senatu.

do Sejmu, staje, pod stropami tej katedry, przed twarzą nieśmiertelnego Boga, a staje tak na początku nowego okresu prac swoich, jak i na rozdrożu swoich dróg, chwila ta nie jest ceremonją dla ceremonji. Jest to chwila wzniesienia serc waszych i umysłów waszych, wzniesienia z szarej, padolnej, uliczki małych interesów i małych celów na ten najwyższy szczyt ludzkiej duszy, na którym dusza rozmawia twarzą w twarz z Bogiem i w wiecznem świetle oblicza bożego patrzy na sprawy ludzkie z najdonioślejszego punktu widzenia. Oto znaczenie uroczystej chwili obecnej, która choć mija prędko, winna zostawić trwalsze skutki!

A chwila ta pozostanie taką, choćby znalazł się ktoś, ktoby nie posiadał szczęścia wiary, bo nie występujecie tu, Szanowni Panowie, jako jednostki, ale jako zbiorowość, a zbiorowością nie rządzi duch jednostki, ale duch narodu.

Duch narodu! Czyż nie przedstawiacie tu, Szanowni Panowie, Polski geograficznej, która cała, od Bałtyku po Tatry i od Odry po Dźwinę modli się codziennie do Boga w świątyniach i ogniskach rodzinnych? Czyż nie przedstawiacie Polski historycznej, która we wszystkich epokach swoich była katolicką, i wziąwszy rękoma Chrobrego koronę z Rzymu złożyła ją u stóp Królowej Korony polskiej? Wszystkiemi węzłami krwi, tradycji, kultury, historji i geografji czyż nie jesteśmy dalszym ciągiem tego narodu, który jako główne posłannictwo swojej historji, ze szlachetną duszą wyznawał to, że był przedmurzem i posłannikiem chrześcijaństwa? Czyż wreszcie kto inny, jak nie jeden z proroczych duchów Polski porozbiorowej wskazał na tę dziwną budowę duszy polskiej, w której przy wielkich brakach przymiotów społecznych, wybija się na pierwszy plan przymiot religijności? I to tak silnej religijności, że w okresach żywotnych religijność ta, wprowadzając równowagę wewnętrzną i dając zdolność do ofiarnego czynu, zastępowała brakujące cnoty publiczne!

Więc nie kto inny, jeno ożywiający Was duch narodu, wprowadził Was, Przezacni Panowie, do tej świątyni. A chrześcijański ten duch narodu jest dobrym przewodnikiem. On, pociągając serca i umysły Wasze na wyżyny boże, może Wam i w obecnem arcytrudnem położeniu Polski ukazać takie drogi, których z innego punktu widzenia nie ujrzelibyście.

Spróbujmy, rozglądając się w obecnem położeniu Polski, podążyć za nim.

Byłoby grzechem przeciw zdrowemu rozsądkowi nie chcieć uznać, że budowa młodego państwa naszego postąpiła już daleko. Wrogowie zewnętrzni odepchnięci, granice rozległego państwa ustalone, konstytucja uchwalona, wszystkie posterunki życia publicznego zapełnione, praca w niejednym zakresie daleko posunięta. Z tem wszystkiem jednak rozwój i życie młodego państwa to życie i rozwój dziecka. Nie wiele trzeba, aby położenie z pomyślnego przeszło odrazu w krytyczne.

Wszyscy wiemy, że położenie Polski w chwili obecnej jest bardzo trudne i smutne.

Niejednokrotnie spotkać się można z tym rodzajem pociechy, że to co u nas przedstawia się ujemnie, przedstawia się taksamo i gdzieindziej. Mała radość! Właśnie to krytyczne położenie świata całego czyni położenie nasze groźniejszem, bo czyni je w wielu wypadkach nieuchwytnem.

Pamiętamy, jak różowe wróżono nadzieje ludzkości na okres powojenny. Miała po wojnie światowej przyjść na ziemię najwyższa forma szczęśliwości, królestwo wiecznego pokoju. Widzimy jednak, jak mało z tych zapowiedzi spełniło się. Częściowe urzeczywistnienie prawa samostanowienia narodów, powstanie niektórych państw narodowych i stworzenie Ligi narodów, trybunału rozjemczego o bardzo problematycznej wartości — oto wszystko. Powstały i inne rzeczy nowe, ale wszystkie ujemne, w pierwszym rzędzie to, co dzieje się za naszą granicą wschodnią, a co tylko niepokój budzić może, i najwyższą czujność nakazywać. Na tem kończy się bilans. Zamiast zabrać się do rachunku sumienia i rzetelnej pracy nad uzdrowieniem stosunków, zatęskniono odrazu do bylejakiegoś pokoju i dziś czyni się rozpaczliwe wysiłki, by wtłoczyć życie w dawne formułki. Mało kto zdaje sobie sprawę, że jest to nawrót do położenia, które katastrofę spowodowało.

Wynik położenia takiego jest ten, że nierównowaga powszechna wzrasta z każdą chwilą. Gdy do tego doda się wyczerpanie gospodarcze i rozwydrzenie obyczajowe całej Europy, to staje się jasnem, że świat dzisiejszy stoi dalej na wulkanie. Płomień wojny byłby już w ostatnich latach kilka razy wybuchnął, gdyby groza wojny nie była zbyt bliską pamięci i gdyby nie dolegały zbytnio okropne jej skutki. Więc płomień przerzuca się w najbliższą sferę gospodarczą. Europa staje się najpodatniejszym terenem do działania złowrogich a nieuchwytnych sił, w rodzaju anonimowego

mocarstwa, terenem drożyzny i dewaluacji, paskarstwa, grynderstw i oszustw wszelkiego rodzaju, i to w wyolbrzymionych potwornych rozmiarach.

Czyż wobec tego dziwnem być może, że Polska, która podczas wojny może najwięcej ucierpiała i do nowej roli wcale nie była przygotowaną, znalazła się nagle w położeniu groźnem. I to tak groźnem, że chwila, w której armja bolszewicka stała pod Warszawą, w porównaniu wydaje się słoneczną sielanką.

Daj nam Boże wielkiego człowieka, któryby z tego bezdroża wskazał drogę wyjścia! Ale prócz tego wybrańca niezbędnem jest w tej chwili w Polsce zestrzelenie wszystkich wysiłków, wszystkich umysłów i serc w jedno ognisko. Gdy groźny wróg przed progiem, ustać winny wszystkie pretensje klasowe, wszelkie walki stronnicze — królowanie nad tem państwem winny wziąć w tej chwili w rękę jedna myśl narodu i jedno serce.

Tymczasem w Polsce o nic nie bywało trudniej, jak o tę jednomyślność. Widnokrąg nasz nie byłby, mimo wszystko, tak ponury, gdyby nie to, że interesy partyjne i waśnie stronnicze zamąciły życie narodu aż do dna.

Zdawało się w początkach naszego odradzającego się państwa, że z podziemia niewoli i rozbiorów wychodzimy lepsi. I wyśliśmy niewątpliwie lepsi. Sam czas, same zewnętrzne warunki sprzątnęły z widowni polskiej niejeden brak społeczny. Prorocy nasi zapowiadali nam karę niewoli za brak miłości ojczyzny! A oto na powitanie zmartwychwstającej ojczyzny idzie z mroku rozbiorowych i porozbiorowych lat miljonowy orszak tych, co złożyli siebie w całopaleniu na ołtarzu tej miłości. Na czele idą Konfederaci barscy z ryngrafem Matki Boskiej na piersi; w ślady postępuje szereg inicjatorów Konstytucji 3 Maja; jawi się i tonący w Elsterze książę Józef i umierający na obczyźnie Kościuszko. Wraz z nimi ciśnie się tłum tych, co i w świetnych barwach legjonów i pod orłami napoleońskiemi walczyli o Polskę, i tych, co w grotgerowskiem świetle 31 roku i 63 i 1914 oddawali za Polskę życie. A oto postępuje drugi szereg, zastęp duchowych przodków, co twardą pracą społeczną, religją, nauką, sztuką, krzesali ognie tej miłości w sercach, i ci prowadzą już za sobą naród cały. Ten naród, który ongi lekkomyślnie roztrwonił ojczyznę, dziś stał się jednym z najgorętszych miłośników ojczyzny między narodami świata. Pokolenia całe w każde rano patrzyły, czy to nie świt wolności się

zbliża i w każdy wieczór szukały na niebie za gwiazdą betleemską, prowadzącą ku wybawieniu. A iluż w tej chwili, pod sklepieniem tego kościoła, wpośród Was, Szanowni Panowie, takich, którzy wszystko w całopaleniu ojczyźnie oddali!

Więc płonie w dzisiejszem sercu polskiem ofiarna miłość ojczyzny! A jednak, gdy przyjdzie do rzeczywistego życia, odezwie się zaraz odwieczna arytmja polskiego serca, chorobliwy jego przerost. Przychodzi wtedy do głosu owo przez Skargę wyklinane ciasne, złodziejskie serce, które ojczyznę utożsamia ze swymi interesami klasowemi czy partyjnemi, które, gdy okręt ojczyzny tonie, myśli tylko o zabezpieczeniu swych tłomoczków, niepomne, że razem z zatonięciem okrętu i tłomoczki zatoną. Sroży się również dziś, jak za najgorszych czasów Polski, rozterka, waśń, niezgoda taka, że najsilniejsze węzły rozsypać się muszą.

Mój Boże! Lat temu trzysta, z tego samego miejsca, do podobnego zebrania mówił to wszystko, w płomiennem natchnieniu, wielki nasz Skarga! Wyklinały tę wadę serca polskiego po Skardze i lament Starowolskiego i satyra Opalińskiego i głos Staszyca; wyklinały ją wszystkie przewodnie duchy Polski aż po dziś dzień. Wyklinamy ją my wszyscy, a ona jak zły duch towarzyszy każdemu naszemu poczynaniu.

We wszystkich krajach są stronnictwa, są i walki stronnictw i żeby było, gdyby nie było stronnictw i walk partyjnych, bo przyszłyby jednostronność, zastój potem i śmierć. Ale, gdy gdzieindziej odbywa się wszystko z tą miarą, która tylko na pożytek dobra ogólnego wychodzi, u nas dla braku miary, obraca się wszystko na zło. Gdy gdzieindziej stronnictwa są odmiennemi stanowiskami rozumu politycznego, u nas są przeważnie przeciwnemi biegunami serc. Gdy gdzieindziej zachodzi wymiana myśli, u nas głównie jest wymiana uczuć, zwłaszcza nienawiści. Gdy gdzieindziej zarzuca się przeciwnikowi poljtycznemu, że jest krótkowidzem, u nas zarzuca się mu, że jest zdrajcą, odsądza się go od czci i wiary i ściga się go bezgraniczną mściwością. Czyż dziwne w tych warunkach, że państwo nasze rozdarte jest dzisiaj na dwa obozy, zwalczające się na śmierć i życie? Pomijając rzecz w życiu politycznem anormalną, że niema między dwoma skrzydłami stronnictw pośrednich, czyż nie jest oczywistem, że tak pojęte prawica i lewica mogłyby i winnyby współdziałać dla ogólnego dobra — prawica jako obrońca tradycji — lewica, jako rzecznik rozwoju. Bóg dał człowiekowi

do normalnego istnienia prawicę i lewicę. Polska zatem, wbrew wszystkim nakazom rozumu i Boga, woli być jednoręką!

I dlatego tak ważnem jest, Szanowni Panowie, że w tej chwili doniosłej stoicie w przybytku tej religji, której naczelnym nakazem jest miłość. Miłość Boga, miłość ojczyzny, miłość bliźniego — ta wielka miłość Chrystusowa, która jest cierpliwą, przebaczającą, wyrozumiałą, która każe z samolubstwa, stanowości, partyjności, złożyć ofiarę na ołtarzu miłości, Boga i ojczyzny.

Trzeba wyklinać zło w sercu polskiem, ale nie godzi się przeklinać serca polskiego. To serce jest tak szlachetne, tak dobre, że równych jemu w świecie nie wiele. Ileż gdzieindziej, w porównaniu z nami, ciepła rodzinnego, ile poświęcenia bohaterskiego w chwilach krytycznych! Ale to serce potrzebuje jeszcze pracy kulturalnej nad sobą. Trzeba jeszcze długo temu sercu perswadować, że w duszy ludzkiej istnieją poza niem i rozum i wola, że jasnowidzeniem uczuciowem i intuicją nie zastąpi się rozumu i chwilowym porywem szlachetnym nie zastąpi się woli; że samorzutnem wpadaniem w tok spraw serca bez rozumu i woli nie stwarza się rządu, lecz przeciwnie, stwarza się chaos, anarchję i nierząd! Z przerostu serca, które rozrasta się tak, że na rozum i wolę nie zostawia miejsca, trzeba koniecznie serce polskie wyleczyć.

Gdzież znaleźć tę kulturę serca? Szanowni Panowie, mistrzem tej kultury jest jedynie religja Chrystusowa, Chrystusowa miłość. Wielu z was, Szanowni Panowie, pamięta z młodości, jak to w imię rozumu odrzucano chrześcijaństwo. Ale ponieważ liczono się z chrześcijaństwem, jako z siłą działającą na serce, więc wspaniałomyślnie pozwolono, by pozostało ono religją istot uczuciowych, kobiet, dzieci i ludu. Mężczyzna, inteligentny mężczyzna, poczytywał sobie za honor nie liczyć się z religją. Szanowni Panowie, był to największy błąd i sofizmat, jaki popełniła ludzkość!, sofizmat po tysiące razy później wyklinany przez najpostępowszych ludzi, ostatnio potępiony z najwyższej katedry myśli nowoczesnej i filozofji. Życie ludzkie to jest przeważnie serce! Życie ludzkie, a więc i publiczne życie, nie potrafi się normalnie rozwijać bez równowagi serca. I w tem genjusz naszego narodowego ducha, że zespolił losy swoje z losami Kościoła katolickiego, z miłością Chrystusową! Gdy jednego dnia serce polskie będzie przez miłość Chrystusową wyleczone z przerostu, natura polska będzie jednem z arcydzieł bożych!

Czemuż nie wyleczyło się to serce dotąd? Bo wyleczenie takie nie może dokonać się w jednej chwili, ani w jednym wieku, bo wyleczenie ze słabości plemiennej i rasowej jest jedną z najtrudniejszych spraw, bo w każdem stuleciu i w każdem życiu ludzkiem odgrywają wielką rolę wrogowie Chrystusa i jego Kościoła, którzy wpływom jego stawiają przeszkody, przeszkody z winy ludzkiej bardzo często skuteczne.

Ale jednego dnia zwycięstwo miłości Chrystusa i Kościoła nad sercem polskiem musi nastąpić! Wszystko w tym Kościele tem hasłem miłości rozbrzmiewa: i ołtarze ofiary i konfesjonał przebaczenia i ambona miłości. Zwłaszcza ta ambona, z której mówię, z której prorok narodu to serce polskie rozpoczął leczyć.

Co nie dokonało się wczoraj, dokona się jutro... Kościół katolicki jest nieśmiertelny! I dlatego, że wierzę w nieśmiertelność Kościoła katolickiego, wierzę w odrodzenie katolickiego serca, a temsamem i w nieśmiertelną Polskę.

Ks. Jan Pawelski.

Prorocy Izraela a socjalizm.

Wskutek dziwnego pomięszania pojęć wielu autorów, w ślad za Żydem socjalistą Karolem Marxem, dopatrzyło się w prorokach Starego Testamentu poprzedników współczesnego socjalizmu.

Prorocy Izraela są obrońcami prawa i sprawiedliwości, chronią słabego przed zdzierstwami możnych i nienasyconą chciwością bogatych. Znana jest ogólnie historja winnicy Nabota i te straszne groźby, jakie z tej okazji rzucił prorok Eljasz w twarz królowi Achabowi (3 Król. 21). Co się tyczy proroków z późniejszych stuleci, to prawie na każdej stronie ich pism spotykamy potępienie niesprawiedliwości w różnych jej odmianach. Amos zwraca mocne upomnienie w stronę tych, których nazywa »tyranami sprawiedliwego, pobieraczami okupów, ciemiężycielami ubogiego« (5, 12),

> którzy sprzedali sprawiedliwego za cenę srebra,
> a ubogiego za parę sandałów (2, 6).

Domaga się, »aby prawo płynęło (dla wszystkich) jak źródło, a sprawiedliwość jak rzeka nie wysychająca« (5, 24).

Ozeasz głosi mieszkańcom Efraim kary, na jakie zasłużyli przez swoją bezbożność i nieprawość.

Izajasz zapowiada zburzenie Jerozolimy:

> Książęta twoi to buntownicy i towarzysze złodziejscy.
> Wszyscy chcą podarków i ubiegają się o prezenty.
> Sierocie sprawiedliwości nie czynią,
> a sprawa wdowy nie ma do nich przystępu (1, 23).

Grozi wielmożom, którzy się bogacą kosztem ubogich i którzy rozszerzają w nieskończoność swoje posiadłości; nazwanoby ich dzisiaj spekulującymi kapitalistami:

> Biada wam, którzy przyłączacie dom do domu,
> a rolę do roli przyczyniacie tak długo,
> aż miejsca więcej nie będzie,
> byście wśród kraju sami zostali właścicielami! (5, 8).

Śmiało atakuje i ten podły rodzaj niesprawiedliwości, kióry się stroi w formy legalne:

Biada tym, co kują prawa bezbożne,
i pismakom, skorym do pisania, by ciemiężyć;
By usunąć trybunały dla słabych
i pozbawić prawa ubogich mojego ludu;
By uczynić wdowy łupem swoim,
a sieroty żeby obdzierać! (10, 1. 2).

Tego samego rodzaju oskarżenia czytać można w proroctwach współczesnego Izajaszowi Micheasza, a w wiek później w pismach Jeremjasza:

Bo się znaleźli wśród ludu mego zbrodniarze; co tropią jak myśliwi za ptactwem i zastawiają swe sidła, by ludzi łowić.
Jako klatka pełna ptaków, tak dom ich pełen dobra źle nabytego: toteż urośli i wzbogacili się (5, 26. 27).

Albo ten straszny akt oskarżenia przeciw królowi Joachimowi:

Biada temu, który buduje dom swój z niesprawiedliwością,
a komnaty swoje z niezbożnością;
Który każe pracować innym bez zapłaty
i nie daje im wynagrodzenia za ich trud! (22, 13).

Być może, że o tych tekstach myśląc (jeśli je czytał, co jest mało prawdopodobne), napisał Gustaw Le Bon w swej grubej książce: *Psychologie du Socialisme* (1898) na str. 12: »Żydzi znali również rewindykacje socjalistyczne; przekleństwa ich proroków, tych prawdziwie naówczas anarchistów, są przedewszystkiem złorzeczeniami przeciwko bogactwu.«

Na wielu stronach świeżej książki: *Le Probleme juif* (1921) mówi nam p. Georges Batault o »ekskluzywiźmie« proroków hebrajskich, o ich »fanatyźmie«, o ich »duchu rewolucyjnym«, o ich postawie »rewolucyjnej«, o ich mesjaniźmie socjalistycznym. Batault ma pretensję do bezstronności, gdyż cytuje mnóstwo żydowskich lub niewierzących autorów, jak Graetz'a, Darmesteter'a, Loeb'a, Bernarda Lazare'a, Th. Reinach'a, Loisy'ego i innych. Byłby lepiej zrobił, gdyby się zabrał do uważnego czytania biblji, a cytował samych proroków. Ponieważ nie określa tak ważnych pojęć, jak »fanatyzmu«, »nietolerancji«, »mesjanizmu«, »socjalizmu«, pozostaje w ogólnikach, albo wpada w grube pomyłki.

Gdyby wystarczyło protestować przeciwko nadużyciom, zwalczać bezprawia i zdzierstwa wielmożów i bogaczy, do tego, aby być socjalistą lub anarchistą, to trzebaby cofnąć się bardzo wstecz poza czasy

proroków Izraela i uznać za poprzednika socjalizmu, za rewolucjonistę króla Lagaszu, Urakaginę (około 3000 przed J. Chr.); bo ten król zniósł nadzwyczajne przywileje, jakie sobie przywłaszczyli ówcześni kapłani; zmniejszył różne czynsze z gruntów, zniżył wiele opłat, usunął znaczną liczbę nadużyć. Trzebaby pod etykietę socjalistów podciągnąć również Ojców Kościoła, zwłaszcza św. Jana Chryzostoma i kaznodziejów chrześcijańskich aż do dni naszych, którzy powstają przeciwko nadmiernym bogactwom i wskazują na ich niebezpieczeństwo.

Wystarczy jednak trochę się zastanowić, a łatwo się dostrzeże, że dzisiejszy właściwy socjalizm nie polega tylko na piętnowaniu rzeczywistych nadużyć w społeczeństwie, jak wyzyskiwanie klasy ubogiej przez bogatą, jak niewystarczająca zapłata za pracę i t. d., lecz na tem, że szuka środka przeciwko temu złemu (które socjaliści mocno przejaskrawiają) w przebudowie społeczeństwa na nowych podstawach ekonomicznych. Socjalizm, z istoty swojej rewolucyjny, chce wywrócić istniejący porządek społeczny, by w jego miejsce wprowadzić porządek nowy, oparty na odmiennem pojęciu własności. Menerzy socjalizmu, choć się bardzo różnią między sobą, kiedy idzie o ustalenie zasad i określenie metod, według których należałoby zrekonstruować ustrój społeczny, są jednak bardzo zgodni i bodaj jedynie w tem zgodni, że koniecznie trzeba zburzyć porządek obecny. W tym celu dążą do zdobycia władzy państwowej: państwo, jak oni je sobie wyobrażają, weźmie na siebie obowiązek wydania praw dla narzucenia sprawiedliwości przez zniwelowanie klas społecznych i przez usunięcie wszelkiej nierówności społecznej czy politycznej.

Otóż — jest to rzecz bardzo znamienna u proroków Starego Testamentu — że mimo swego głębokiego oburzenia na niesprawiedliwości, w których widzieli równocześnie wstrętne wyzyskiwanie ubogich i obrazę prawa Bożego, mimo powagi, którą byli odziani z tytułu swojego posłannictwa, nigdy nie wyrzekli ani jednego słowa, by podburzać uciśnionych do zemsty przeciwko ciemiężycielom, nigdy nie rzekli ani słowa, by podjudzać lud przeciwko ustanowionemu porządkowi.

Żaden z tych istotnych środków, tak zachwalanych przez socjalistów, nie wchodzi w światopogląd ani w program proroków, kiedy piętnują nadużycia i żądają reform. Prorocy są przedewszystkiem tłumaczami woli Boga, cała ich działalność płynie z pobudek religijnych. Żeby przywieść innych do upamiętania, grożą im karami Bożemi, najazdem nieprzyjaciół, głodem, zarazą, wygnaniem (Amos, II, 6-16; III, 9-15; V, 10-17; Izajasz V, 9-10, 13-14, 18-23; Jeremjasz VII,

1-15; IX, 3-10; XXII, 13-19 itd.) Na anarchję, będącą dla socjalistów ideałem (jest ona bowiem logicznym wynikiem ich utopijnych marzeń o równości), patrzy Izajasz jako na karę, która spadnie na Jerozolimę, by odpokutowała za łupiestwa, których się dopuścili jej książęta (Izaj. III 1-15). Przepowiadanie proroków bardzo jest dalekie od tego, by podniecać namiętności ludu, owszem zachęca ono do praktykowania sprawiedliwości, do zachowania dekalogu (Amos, V, 24; Izajasz I, 15-17; Jeremjasz VI, 6-8; VII, 8 n, XXII, 3; Ezechjel XXXIII, 12-20); dąży ono do ulepszenia społeczeństwa przez moralne ulepszenie jednostek. Socjalizm idzie drogą wprost odwrotną: by polepszyć los jednostek, całą nadzieję swoją pokłada w dobroczynnej akcji państwa, a religję traktuje zwyczajnie wrogo, zamiast korzystać z jej usług.

A. Schäffle, autor bardzo obeznany z doktrynami kolektywistycznemi, powiada, że »alfą i omegą socjalizmu jest zniesienie kapitału prywatnego i zastąpienie go przez jeden kapitał zbiorowy.« Otóż prorocy Izraela, potępiając niesprawiedliwość i drapiestwo kapitalistów i lichwiarzy, nigdy nie wpadli na ten pomysł, żeby środek zaradczy przeciwko temu złu miał polegać na zniesieniu własności prywatnej. Kiedy opisują królestwo sprawiedliwości w czasach mesjańskich, ani nawet nie marzą o równym podziale wszystkich dóbr między wszystkich obywateli. Przytoczmy choćby kilka ustępów. Micheasz mówiąc o epoce, w której nowe Jeruzalem pociągnie ludzi ku sobie, tak powiada:

A każdy spoczywać będzie pod swoją winnicą
i pod swojem drzewem figowem, niczego się nie lękając (4, 4).

A u Izajasza (65, 21-23) czytamy:

I pobudują domy i będą w nich mieszkać;
i nasadzą winnice i będą pożywać ich owoców.
Nie będą budować, by kto inny w nich mieszkał,
i nie będą sadzić, by kto inny owoce zbierał.
Bo jako drzewa, tak lud mój trwać będzie;
wybrani moi używać będą pracy rąk swoich;
Nie będą się trudzić napróżno,
ani będą rodzić dla nagłej śmierci.

A oto według Jeremjasza wspaniałe obietnice Jahwy dla swego ludu na epokę, która przyjdzie po wyzwoleniu z niewoli:

Zawrę z nimi przymierze wieczne i nie przestanę dla niego czynić im dobrze; i dam bojaźń moją do serca ich, aby nie odstępowali odemnie. A radością moją będzie czynić im dobrze, posadzę ich na tej ziemi wiernie, z całego serca mego i z całej duszy mojej. Bo tak mówi Jahwe: Jakom przywiódł na ten lud wszystko zło wielkie, tak przywiodę na nie wszystko

dobre, którem mu przyobiecał. I będą kupować rolę w tym kraju, o którym powiadacie: „pusty jest, bez ludzi, ni zwierząt, wydany jest w ręce Chaldejczyków." Kupować będą role za cenę srebra, spisywać umowy i pieczęcie do nich przykładać i świadków przywodzić będą w ziemi Benjamin, w okolicach Jeruzalem, w miastach Judei i po miastach górskich i po miastach na nizinach i w miastach Południa; bo zmienię ich los — mówi Jahwe. (32, 40-44).

A zatem obietnice mesjaniczne nie przypominają w niczem obietnic socjalistów; przyszłe królestwo, zwiastowane przez proroków Starego Testamentu, nie ma nic wspólnego z rajem, obiecywanym przez Karola Marxa i jego uczniów lub jego rywali. Franciszek Walter, dawszy komentarz do tych tekstów i do innych tego rodzaju, słusznie wyciąga taki wniosek: »Sposób, w jaki prorocy przedstawiają ideał przyszłości, w który wkładają wszystkie swoje tęsknoty, daje zupełnie jasno poznać, że prorocy wcale nie byli zgorzkniałymi i zażartymi reformatorami socjalnymi, ani zaciekłymi prowodyrami klasowymi, którzy zaprzysięgli walkę prywatnej własności i bogactwom, jak pod wpływem jednostronnej filozofji historji chciano ich przedstawić. To, co zawsze zwalczają, to bezprawie, zło moralne, które także społecznie jest szkodliwe, a nie bogactwo ani zyskowny handel jako takie.« (Das Prophetentum des Alten Bundes in seinem sozialen Berufe, w »Zeitschrift für Katholische Theologie«, 1899, p. 598).

Ale wróćmy do książki p. Batault'a, w której dużo słusznych spostrzeżeń i sugestywnych wywodów, ale nie mniej sądów mętnych lub fałszywych. Autor zwraca w przedmowie naszą uwagę, że »nie praktykuje żadnej religji«; spodziewa się, że mu to zjedna zaufanie czytelnika, zdaje mu się bowiem, że jego niereligijność czyni go bardziej niezależnym, a konsekwentnie bardziej bezstronnym. A tymczasem jest wprost przeciwnie. Sposób, w jaki ocenił historję Starego Testamentu, a zwłaszcza proroków, grzeszy wielkim brakiem słuszności i sprawiedliwości, bo nie zrozumiał zasad religijnych, które są u podstaw całej tej historji, a bez których rola ludu hebrajskiego, praca jego proroków, nadzieje mesjaniczne zostają zagadkami nie do rozwiązania.

Trzeba sobie było na pierwszem miejscu wytworzyć jasny pogląd o monoteiźmie hebrajskim. Niestety, p. Batault ma o tem pojęcie bardzo zagmatwane, nawet sprzeczne. Zaślepiony swemi sympatjami, które go ciągną, jak sam oświadcza w przedmowie, »do antypodów judaizmu, do helenizmu«, pisze na str. 70: „To, co wybija się na pierwszy plan w ideologji proroków, to nie jest bynajmniej monoteizm,

jak zbyt często utrzymywano, ale ekskluzywizm. Monoteizm prawdziwy, absolutny, powszechny pochodzi przedewszystkiem ze spekulacji filozofów greckich od Ksenofanesa do Stoików poprzez Anaksagorasa, Sokratesa, Platona, Ksenofona i Arystotelesa.« Ten swój sposób widzenia popiera Batault odsyłaczami do przestarzałej i zapomnianej książki Ernesta Havet'a: *Le Christianisme et ses origines,* książki nietylko że bardzo stronniczej, ale sekciarskiej i wprost nienawidzącej chrześcijaństwa. Byłoby rzeczą bardziej wskazaną, gdyby się był powołał na sąd specjalistów, n.p. L. R. Farnell'a, który omawiając synkretystyczny duch religji greckiej w ostatnich czasach, tak powiada: »Pojęcia religijne stają się coraz mniej wyraźne, lecz nie wychodzi z nich idea jedynego bóstwa. Ten synkretyzm zniszczył rzeźbę religijną; nic nie uczynił dla monoteizmu, za to dużo dla sceptycyzmu i dla bardzo r ubych zabobonów.« (The Cults of the Greek States. Oxford, 1896, 1907, t. I, str. 83). Ks. Józef Huby, który przytacza to świadectwo, mówi od siebie: »Kiedy się przyglądamy historji religij innych ludów-nawet pogańskich, jesteśmy zdziwieni, gdy nam przychodzi stwierdzić jak bardzo jedyność Boga ukryła się, że tak powiemy, przed wzrokiem tego narodu tak inteligentnego, że pod tym względem Pigmejczycy czy Negryci afrykańscy mogliby być nauczycielami Greków.« (La Religion des Grecs, 1916, str. 483). Czyż wobec tego nie jest rzeczą dziwną, że p. Batault przenosi rzekomy, wynaleziony przez Havet'a monoteizm Greków ponad monoteizm proroków hebrajskich?

Zarzuca jeszcze prorokom »monoteizm ekskluzywny«. I ten zarzut jest również bardzo dziwny. Autor często do niego powraca i zdaje się nadawać mu wielką wagę, bo upatruje w nim źródło wszelkiego zła, które odkrył w judaiźmie, a zwłaszcza w profetyźmie: ekskluzywizm rodzi fanatyzm, pojęcia rewolucyjne, agitacyjne, socjalistyczne. »Wynika z tego wszystkiego — mówi Batault — że ekskluzywizm jest u podstawy całej działalności proroków, że wszystko złe z niego pochodzi i do niego się odnosi: duch rewolucyjny, demagogja; nawoływanie do sprawiedliwości jest to tylko broń, którą prorocy władają z nieubłaganym fanatyzmem, chcąc zburzyć istniejący ustrój polityczny i społeczny, do którego ich ekskluzywizm nie mógł się przystosować« (str. 111).

Dotychczas uważano monoteizm za ekskluzywny ze swej istoty i definicji, ponieważ jest wiarą w jednego jedynego Boga, a jedyność wyklucza mnogość. Rozumowanie proroka Eljasza wydawało się logicznem, kiedy karcił lud niewierny: »Pókiż będziecie chromać na dwie strony? Jeśli Jahwe jest Bogiem, idźcież za nim; a jeśli Baal, idźcie za nim!« Lud

czuł to również bardzo dobrze, że jest absurdem przyjmować dwóch prawdziwych Bogów, Jahwę i Baala, albo uznając jednego tylko za prawdziwego, mimo to służyć drugiemu, którego się uznaje za fałszywego i żadnego. »A lud mu nic nie odpowiedział« (3 Król. 18, 21). Ale p. Batault byłby odpowiedział: »Nie bądźcie ekskluzywnymi, nieprzejednanymi fanatykami! Jahwe jest prawdziwym Bogiem, Bogiem jedynym; i rzecz jasna, że my jesteśmy monoteistami. Ale to wcale nie przeszkadza, byśmy przyjęli obok Jahwy innych bogów, Baala, Molocha i setki bóstw pogańskich i byśmy im równocześnie oddawali kult razem z kultem Jahwy.«

W swoim podziwie dla szerokości umysłu starożytnych Greków, w swojem przerażeniu dla nietolerancji, p. Batault nie miał czasu zastanowić się, że może jednak istnieje ekskluzywizm rozumny i słuszny, który nawet on sam praktykuje. Bo jeśli zamyka swoje pieniądze w kasie ogniotrwałej, to czy nie dlatego, żeby ich wyłącznie, ekskluzywnie dla siebie używać? Jego ekskluzywizm jest wypisany na okładce jego książki, a dwa razy nawet na pierwszej stronicy, gdzie czytamy: *„Tous droits réservés"*. Jeśli posiadacz dobra materjalnego ma prawo być nietolerancyjnym względem napastników tego dobra, to czy posiadacz prawdy pewnej ma tolerować błędy, które atakują tę prawdę? Filozof de Bonald, wykazawszy z nieodpartą logiką, że nietolerancja jest przyjęta w prawach ludzkich, w obyczajach, w modzie, w zwyczajach cywilnych, w nauce, w krytyce, która »nie toleruje zasad na chybił trafił, ani wniosków źle wyprowadzonych, ani błędnego dowodzenia, niedokładnego przytoczenia, fałszywej daty, faktu zmyślonego«, że nawet sztuki piękne są nietolerancyjne, zauważa: »A jednak ci sami ludzie, tak nietolerancyjni w każdej innej sprawie, domagają się tolerancji bezwzględnej, kiedy idzie o sądy czy wierzenia religijne. Przypuszczając więc, że w religji wziętej ogólnie, jak i we wszystkich jej odmianach niema ani prawdy ani fałszu, albo jeśli jest prawda i fałsz w religji, jak w każdej innej rzeczy, to człowiek nie ma żadnego sposobu, by je odróżnić; albo że wreszcie religja prawdziwa czy fałszywa jest zarówno obojętna dla człowieka." (Réflexions philosophiques sur la Tolérance des Opinions. Oeuvres de M. de Bonald, t. X, 1819, str. 266).

Jest rzeczą całkiem jasną, że niczego się nie zrozumie z posłannictwa proroków izraelskich, jeśli się naprzód, w pierwszym rzędzie nie przyjmie istnienia Boga, prawdziwego Boga, który ma moc wkraczać w ten świat, objawiać mu swą wolę i wybierać w tym celu ludzi,

do których mówić będzie, a których zobowiąże, by głosili innym Jego słowa. Jeśli się zacznie od odrzucenia tej prawdy zasadniczej, to oczywiście przepowiadanie i działalność proroków wydawać się będzie dziwactwem, bo się im odcięło rację ich bytu, jedyną przyczynę, która może usprawiedliwić ich działalność. Umysły, które czy to przez ignorancję, czy przez sceptycyzm, są obojętne dla jakiejś prawdy, mają skłonność dopatrywać się nietolerancji u innych, którzy są głęboko przekonani o prawdziwości swych przekonań i starają się je rozszerzać i bronić. Chłop potępiać będzie nietolerancję uczonych, którzy przez swe odkrycia psują mu jego przyzwyczajenia. Chory skarży się na nietolerancję lekarza, który mu nie pozwala jeść i pić tego, co mu fantazja podsunie. P. Batault, obojętny dla religji, jak to sam oświadcza, nie mógł oczywiście nie oskarżać o nietolerancję judaizmu i chrystjanizmu.

Lecz oto coś bardzo ciekawego, niemal sensacyjnego. Batault woła: »Nietolerancja pochodząc wprost z religijnego ekskluzywizmu Izraelitów, jest wynalazkiem żydowskim i czysto żydowskim; odziedziczyło ją chrześcijaństwo i przekazało światu nowożytnemu. Jeśli bowiem idzie o Greków i Rzymian, to oni nie znali zupełnie tego uczucia, a prawdę mówiąc, nawet go nigdy nie rozumieli przed narodzeniem się chrystjanizmu« (str. 85). Podkreśliłem ostatnie słowa, w których autor, zaślepiony przez swą miłość dla Grecji starożytnej, zapomina o faktach i o najjaśniejszych tekstach. »W r. 415 przed J. Chr. wyrokiem naznaczono cenę na głowę Diagorasa z powodu jego ateizmu; w r. 411 Protagoras został wypędzony z Aten, a jego książki spalono na rynku; w r. 399 Sokrates został skazany na wypicie cykuty.« (Józef Huby, Christus, 471-472). Arystarch ze Samos, około r. 280 przed Chr. został oskarżony o bezbożność, za to że przypuszczał, iż ziemia obraca się koło słońca. W *Dictionnaire des Antiquités grecques et romaines,* wydawanem przez Daremberga i Saglio'a, w artykule *Asebeia,* p. E. Caillemer, wyliczywszy wcale pokaźną sumę czynności, które mogły być podciągnięte pod ogólną nazwę bezbożności »asebia«, dodaje: »wielu filozofów i wolnomyślnych obywateli wydawano z racji czynów tego rodzaju przed trybunały i prześladowano jako winnych bezbożności«, i przytacza na to różne przykłady (t. I. str. 465). Nietolerancja więc nie jest »wynalazkiem żydowskim«, zupełnie obcym Grekom przed erą chrześcijańską.

Zaznaczmy wreszcie dwuznaczność, której pełno w długim roz-

dziale, p. t. »Judaizm, a duch rewolucyjny.« Autor zauważa, że Żydzi, rozproszeni od początku ery chrześcijańskiej wśród narodów, nie mogą się przystosować do praw, do obyczajów przeciwnych ich tradycjom, i w ten sposób tłumaczy sobie ich »ducha rewolucyjnego«, który tak często stwierdza. Lecz początki tego ducha rewolucyjnego chce odnieść do czasów proroków; i tu gmatwa się i wpada w sprzeczności, bo położenie ludu żydowskiego w okresie proroków było zupełnie odmienne od dzisiejszego. W ustępie ze str. 111, wyżej przytoczonym, twierdzi autor, że prorocy pracują nad »zniszczeniem istniejącego stanu politycznego i społecznego, do którego się ich ekskluzywizm nie mógł przystosować.« A przeciwnie, według tego, co sam powiedział na str. 65 i 96, ekskluzywizm religijny przystosowuje się tak doskonale do stanu politycznego i społecznego narodu żydowskiego, że się oba ściśle łączą ze sobą i stanowią właściwie jedno i to samo: »Patrjotyzm i ekskluzywizm zlewają się: pod temi dwoma nazwami różnemi jest jedna i ta sama rzecz.« Na tejże stronie przyznaje, że prorocy byli prawdziwymi obrońcami swojej Ojczyzny: »Za każdym razem ilekroć naród żydowski okazywał się skłonnym do ulegania większym wpływom zewnętrznym, ilekroć pozwolił się uwodzić i asymilować, powstawali ludzie, którzy go przymuszali wrócić do posłuszeństwa Prawu...« (str. 96). A tymi ludźmi są prorocy, których p. Batault nazywa »rewolucjonistami«, bo jak powiada, walczą z bezbożnymi królami, Achabem, Achazem i innymi, a nie zwraca na to uwagi, że w takiej teokracji, jaką była teokracja Izraela, gardzić prawem Boga to znaczy buntować się, a przeciwnie przeciwstawiać się bezbożności, znaczy to zwalczać bunt.

Wskutek zbytniego upodobania w uproszczeniach, które fałszują historję, autor »Problemu żydowskiego« podciąga pod jedną linję wszystkie epoki judaizmu przed erą chrześcijańską i po niej; a wskutek osobliwszej jeszcze aberacji umysłowej za jedyne czynniki cywilizacyjne uważa tylko »wartości greckie« i »wartości żydowskie«, które im przeciwstawia, oświadczając górnie swoją predylekcję dla pierwszych. Działalność i wpływ chrystjanizmu na rozwój ludzkości są dla Batault'a albo niczem, albo czemś, co się zlewa z działalnością i wpływami judaizmu. Jeden i drugi punkt widzenia jest wprost potworny.

Ks. Albert Condamin.

Św. Franciszek Salezy.

W 300-tną rocznicę śmierci.

Św. Franciszek Salezy jest jednym z tych, ktorych zowią w Kościele »wielkimi świętymi«. Określenie to nie oznacza bynajmniej wyższego stopnia świętości w porównaniu z innymi; »wielki święty« to człowiek, który prócz świętości posiadał jeszcze inne przymioty, jakiemi się wybił ponad ogół.

I święci bowiem byli ludźmi — prawda to banalna, a niemniej często niedość doceniana przez hagjografów. Trzeba w nich studjować element nadprzyrodzony, bez którego niepodobna ich w zupełności zrozumieć, ale można i trzeba studjować u nich także element ludzki, bez zrozumienia którego hagjograf stworzy obraz fantastyczny, nierealny, zawieszony w powietrzu. Otóż i u świętych możemy obserwować, obok wielu innych cech ogólno ludzkich, tę rozmaitość w napięciu energji twórczej, jaką widzimy dokoła siebie. Są między nimi tacy, którym najzupełniej samo dążenie do doskonałości moralnej wystarcza, a myśl o c z y n i e, choćby na usługach idei, dla której żyją i którą tak gorąco umiłowali, wydaje się pokusą przeciw pokorze, którą to pokusę zwalczają skutecznie. Wystarczy wymienić, wśród wielu innych przykładów, św. Alojzego Gonzagę, który czując w sobie powołanie do życia zakonnego, ma zrazu myśl wstąpienia do jednego z zakonów z rozluźnioną regułą, aby go zreformować, odtrąca jednak tę myśl i wstępuje do zakonu, będącego właśnie w rozkwicie. Hagjografowie lubią w tem widzieć szczególnie wysoki stopień pokory, gdy naprawdę jest to poprostu akt natury raczej biernej, nie zaś czynnej, impulsywnej. Możemy śmiało stwierdzić, że wcale nie mniejszą pokorę mieli tacy święci, jak Franciszek z Assyżu (ten przedewszystkiem!), Dominik, Ignacy Loyola, a jednak nie wstępowali do już istniejących zakonów, ale odważali się na kreacje własne, albo też zrobili to, czego się lękał Alojzy: reformowali zakony (Bernard, Teresa). Nie pomnę już który to święty, nasz rodak, (którego piękną sylwetkę skreślił Ks. Karol

Antoniewicz w swych »Grobach Świętych polskich«), mając akademickie wykształcenie wstąpił jako zwykły »braciszek« do jednego z klasztorów, nie chcąc przyjąć święceń kapłańskich i temsamem nadal studjami, choćby teologicznemi się zajmować. Mamy tu znowu do czynienia z naturą raczej bierną, jakiej nie miał ani św. Augustyn, ani Tomasz z Akwinu, którzy przy całej pokorze, której im żaden hagjograf nie odmawia, imali się pióra i tworzyli wiekopomne dzieła. Słowem i święci są ludźmi; znajdujemy wśród nich natury bujne, impulsywne, bogate w przymioty, któremi przerastają otoczenie, czasem wieki całe; bywają indywidualności uboższe, które prócz świętości nic więcej nie posiadają, czemby się wyróżnić, które, gdyby nie były świętymi, przeszłyby niepostrzeżone.

Otóż św. Franciszek Salezy[1]) był z tych, co posiadają energję czynu, impulsywność, prawie że rozmach człowieka ogromnie wszechstronnego. Prawda, że żył w czasach obfitujących w takie silne indywidualności (1567—1622); rozbudził je potężny ferment Odrodzenia, które, we Włoszech zrodzone, bardzo szybko przeszło Alpy i zaczęło swój zwycięski, w skutki brzemienny pochód po Europie Zachodniej, od Francji poczynając. Nasz święty był samem pochodzeniem przygotowany do przyjęcia kultury renesansowej, albowiem płynęła w nim krew włoska po stronie matki, a francuska z ojca. Był to ród stary arystokratyczny, co też nieobojętne. Jeżeli Beaumarchais, kładąc w usta swego Figara sławne odtąd słowa: »Panie Hrabio, cożeś zrobił, żeby być hrabią? — raczyłeś się urodzić«, chciał powiedzieć, że to urodzenie jest całkiem bez znaczenia dla człowieka, to się bardzo mylił. Temu urodzeniu »lepszemu«, które to określenie nie jest bynajmniej tak paradoksalnem, jak nam się wydaje, zawdzięcza św. Franciszek

[1]) Bardzo dobry jest żywot i portret psychologiczny świętego w edycji „Les Saints" (St. François de Sales, par Amédée de Margerie, Paris, 10. wyd. 1913); związek z literaturą uwidoczniony i pogłębiony jest w studjum niezmiernie ciekawem naszego prawie rodaka Fortunata Strowskiego p. t. St. François de Sales, introduction à l'histoire du sentiment religieux en France au XVII-e siècle, Paris, Plon, 1898. Cennem jest też to wszystko, co o świętym Fr. Sal. mówi największy krytyk francuski Sainte-Beuve w swem arcydziele „Port-Royal". Wreszcie całkiem nowe światło na wpływ świętego Fr. na życie religijne Francji rzuca Henri Bremond w swem epokowem wprost dziele p. t. Histoire littéraire du Sentiment Religieux en France depuis la fin des guerres de religion jusqu'à nos jours. Paris, Bloud, 1916; tom II tego nieukończonego jeszcze dzieła, noszący tytuł: l'Invasion mystique (1590—1620), zawiera obszerny rozdział (VII) p. t. François de Sales et Jeanne de Chantal.

pewną sumę przymiotów, których na darmo szukalibyśmy u mieszczan takich jak Bossuet i Bourdaloue, ale które za to odnajdziemy u arystokraty Fenelona. Należy tu pewna subtelność wrażliwości, łatwość w rozkazywaniu, które się wcale rozkazywaniem nie wydaje, tak osłonięte jest sympatycznym gestem uprzejmości, wreszcie pewna rycerskość u tego właśnie świętego szczególnie widoczna. Bardzo charakterystyczną scenę, nie do pomyślenia u wielu innych świętych, opowiadają nam biografowie: oto gdy na studjach w Padwie koledzy, których korciło świątobliwe życie Franciszka, dokuczali mu i raz go nawet napadli, obrzucając wyzwiskami, nasz Święty, wyuczony fechtunku, dobył szpady i rzucił się na śmiałków, którzy przerażeni rycerskim animuszem, jakiego nie domyślali się u pobożnego kolegi, ulegli i prosili o przebaczenie; odeszła ich też raz na zawsze ochota dokuczania świętemu.

Do końca życia zachował on to coś rycerskiego, stanowczego, co kto wie czyby nie należało nazwać arystokratycznem, a co dziwnie kontrastuje z przysłowiową wprost i pełną subtelności dobrocią tego Świętego, o której jeszcze wiele będzie do powiedzenia. Oto gdy w ostatnich latach jego życia rzucono oszczerstwa na niego samego i nawet rodzinie jego nie dano spokoju, bo dwóch braci uwięziono na rozkaz księcia Sabaudzkiego, Święty napisał list do swego świeckiego zwierzchnika, który swym tonem zdradza wspomnianą stanowczość i poniekąd rycerskość: »Książę otrzymałeś oskarżenie przeciw mym braciom; całkiem słusznie, jeśli je Książe Pan przyjął tylko do uszu, ale jeśli je przyjął do serca, to książę wybaczy, iż będąc nie tylko jego najpokorniejszym i wiernym sługą, ale jego bardzo przywiązanym, choć niegodnym pasterzem, powiem mu, że obraża Boga i powinien za to żałować, choćby nawet oskarżenia były prawdziwe; bo nie powinno się wierzyć żadnym mowom na niekorzyść bliźniego bez poprzedniego przesłuchania stron. Ktokolwiek mówi ci inaczej, Mości Książę, zdradza twoją duszę«.

Czy nie do tego samego źródła sprowadzić należy ową subtelną ironję, lekki dowcip, który charakteryzuje tego świętego, jak podobnego doń z wielu względów, także arystokraty z urodzenia, Fenelona? Oto co opowiada sąsiad i przyjaciel świętego, Camus, który wpadł na nader szczęśliwy pomysł spisywania swych rozmów z św. Franciszkiem Salezym (w tomie p. t. »Esprit de St. François de Sales«, I. 7). Kiedy razu pewnego tenże Camus skarżył się przed biskupem genewskim, że niektórzy z drobnej szlachty wiejskiej, jakkolwiek biedni jak Job, niemniej wielkich panów udawali i wciąż tylko rozprawiali o swem

szlachectwie i wielkich czynach swych przodków, Święty odpowiedział: »Co chcesz właściwie przez to powiedzieć? Czy ci biedni ludzie mają być podwójnie biednymi? Im bogatszymi w zaszczyty być się mniemają, tem mniej będą pamiętali o swej niezamożności. Przypominają mi oni owego młodego Ateńczyka, który w swem obłąkaniu miał się za najbogatszego w swym kraju, a gdy z tej choroby umysłowej uzdrowili go przyjaciele, on ich pozwał przed sąd za pozbawienie go szczęśliwych złudzeń«.

Ale były jeszcze cenniejsze stokroć zalety tej niepospolitej indywidualności, któremi wielki święty pociągał do siebie wszystkich, od najuboższych z pośród diecezjan aż do księcia Sabaudji i samego króla francuskiego, Henryka IV, który to ostatni jako rację swej sympatji dla świętego podał, iż nie umie on schlebiać.

Przymiotem niemałej wagi dla ludzi Renesansu była szeroka kultura umysłowa świętego; był to człowiek ogromnie wykształcony, i to wszechstronnie; zakres jego wiedzy był znaczny: filozofja, prawo, teologja, znajomość języka włoskiego i hiszpańskiego, a to wszystko w połączeniu z wykwintnością form towarzyskich czyniło świętego zarazem najsympatyczniejszym z ludzi dla wieku, w którym kultura w najszerszem tego słowa znaczeniu imponowała i pociągała ponad wszystko. Zdawał on sobie dobrze sprawę z doniosłości tego fenomenu dziejowego i nietylko sam okazywał zainteresowanie dla wiedzy, ale, jako biskup, energicznie się jej domagał od swego duchowieństwa, twierdząc, że »nieuctwo jest ósmym grzechem głównym kapłana«. Nieobojętnym też tytułem do sławy świętego jest, iż 30 lat przed założeniem Akademji francuskiej przez Richelieu'go postanowił on wraz z przyjacielem swym Favre'm założyć akademję na wzór włoskich. Siedzibą jej miała być rezydencja biskupa genewskiego Annecy; statuty były zatwierdzone i odbywały się nawet już posiedzenia tej »Académie Florimontane;« niestety ustąpienie Favre'a z Annecy i śmierć św. Franciszka stanęły na przeszkodzie rozwinięciu tego pięknego dzieła, pierwszej zatem w północnej Europie akademji.

Ponad temi wszystkiemi zaletami jednak górowała w św. Franciszku wielka dobroć serca: »Łagodność — mówił sam — słodycz serca i równowaga usposobienia to cnoty rzadsze od czystości... nic tak nie buduje, jak pełna dobroci miłość«. Tę cnotę posiadał on sam w wysokim stopniu, nią to przedewszystkiem pociągał tak bardzo wszystkich, nawet przeciwników wyznaniowych, co w owym czasie roznamiętnienia na tem polu w szczególności uderza; wszakże w przy-

jaźni żył z głową kalwińskiej Genewy, Teodorem de Bèze. Prawda, że ciągnął tu »swój do swego«; kiedy bowiem tenże po śmierci surowego Kalwina objął rządy, mawiano powszechnie, że »lepiej być z Teodorem de Bèze w piekle, niż z Kalwinem w raju«.—

Ma się rozumieć, tem bardziej lgnęły do świętego Franciszka dusze, z któremi łączyło go umiłowanie tych samych prawd i ideałów moralnych. Dla nich to przedewszystkiem biło to szerokie serce, udzielając się im zbliska i zdaleka. I tu spotykamy się z fenomenem, odtąd we Francji bardzo powszednim, jakim jest kierownictwo duchowne w listach, na które złożyła się z jednej strony kultura towarzyska narodu, a z drugiej głębokie i subtelne wnikanie w duszę ludzką; pierwsza wydała przebogatą literaturę listową we Francji[1] (najbogatszą w świecie), drugie, t. j. owo *con amore* uprawiane studjum duszy ludzkiej z jej bogatem wnętrzem, wycisnęło piętno zasadnicze na całej literaturze francuskiej, którą zwiemy klasyczną, a którą zaczynają dwaj pisarze do siebie napozór niepodobni, mianowicie Montaigne i św. Franciszek Salezy. Oba te czynniki więc razem wzięte, t. j. kultura towarzyska i studjum duszy, stały się źródłem najpiękniejszej i najbardziej wartościowej cząstki twórczości autora »Filotei« — bo to arcydzieło, którego tytuł brzmi: *Droga do życia pobożnego*, nie jest niczem innem jak zbiorem listów duchownych.

Geneza ich prosta i budująca zarazem. Święty przybywa do jakiegoś miasta, będzie to raz Paryż, to znowu Dijon, lub mniejsza mieścina prowincjonalna; tutaj tak na kazalnicy, jak w konfesjonale pociąga ku sobie dusze szczególnie do służby bożej się rwące. Oczywiście tu przedewszystkiem »swój do swego« ciągnie. Takie dusze i na gruncie towarzyskim próbują się do niego zbliżyć; jak literat z literatem, artysta z artystą, tak one mają sobie wiele do powiedzenia. Czasu na to mało, bo misjonarz, kaznodzieja tylko krótko bawi na miejscu; ustną rozmowę zastępuje więc korespodencja[2]. Ona w narodzie

---

[1]). W „Bibljotece Narodowej" ukazał się właśnie tomik p. t. Wybór listów francuskich XVII i XVIII wieku. We wstępie jest przedstawiony rozwój tego dla literatury ogromnie ciekawego rodzaju.

[2]). W ten sposób też zbliżyła się do świętego św. Joanna Chantal, z którą następnie nawiązał stosunek niezmiernie serdeczny, na miłości Bożej oparty, jakiemu zawdzięczamy najpiękniejsze z listów tego niesłychanie uczuciowego świętego. Wystarczy przytoczyć drobny urywek z tej rozległej korespondencji, dobrze charakteryzujący ten stosunek: „I kiedyż to będę miał nareszcie to zadowolenie, by cię zobaczyć, moja ukochana siostro?. Widzę ja, że my bodaj kiedy będziemy ra-

tak towarzyskim, jak francuski, miała szczególnie podatny grunt do rozwoju i rzeczywiście rozwinęła się nadzwyczajnie, ale dopiero w wieku XVII. Św. Franciszek Salezy więc ze swemi olbrzymiemi tomami listów jest w literaturze francuskiej pierwszym właśnie wielkiej miary autorem listów, listów w tem pełnem, doskonałem tego słowa znaczeniu. Nie mówimy tu bowiem o listach, jakie pisywano sobie zawsze, gdy człowiek do człowieka miał »interes«, ale o liście będącym wymianą myśli i uczuć, który zastępuje rozmowę towarzyską. Tylko podczas gdy między ludźmi świeckimi ta rozmowa będzie obejmowała literaturę, politykę, aż do plotkarstwa, to w stosunkach, jakie nawiązują z św. Franciszkiem dusze pokrewne, przedmiotem tej wymiany myśli i uczuć oczywiście będzie to, co ich najbardziej zajmuje, t. j. Bóg i służba boża. Z tego już wynikną prostą konsekwencją różnice między takiemi listami duchownemi a innemi dziełami ascetycznemi, a więc n. p. między »Filoteą« a książką »O Naśladowaniu Chrystusa«. Mianowicie »Filotea«, jako zbiór listów, zawiera ogromnie wiele elementu osobistego, subjektywnego, który, jeśli jest także w »Naśladowaniu« (a być musi, jak w każdem dziele większej miary), to jednak znacznie bardziej ukryty, tak, że jedno dzieło drugiemu możemy poniekąd przeciwstawić, jako romantyczne klasycznemu.

Ten romantyzm swego rodzaju u św. Franciszka sięga dalej, niż się to może wydawać. Widzimy to między innemi w jego »Traktacie o Miłości Bożej«, dziele objektywnej natury, że się tak wyrażę, a które niemniej ma tyle subjektywnego elementu, że może w całym tomie swoim stanąć obok listów; zresztą nic łatwiejszego, jak całe ustępy tego traktatu zestawiać z pokrewnemi wyjątkami z listów.

Ten romantyzm stanowi też nowość samej doktryny onego Traktatu, która da się mniej więcej w tem streścić, że wiara nie jest z nieba dana jako coś obcego, poza obrębem duszy będącego, co dusza z zewnątrz przyjmuje, jako coś jej całkiem nowego, ale że jest ona potrzebą wewnętrzną duszy, że jest zrównoważeniem tej nierównowagi wewnętrznej, którą ludzkość od wieków w sobie czuła, że Bóg, będący przedmiotem tej wiary, jest nie tylko Panem, Ojcem, ale jest

---

zem, chyba w duchu; ale też nikt nie przeszkodzi, by ten duch boży, który jest twórcą tej świętej przyjaźni, jaką żywisz dla mnie, nie działał zbawiennie w naszych sercach poprzez odległość miejsca... Moja siostro ukochana, nie przestawaj mię kochać serdecznie, albowiem jestem bez końca i bez zastrzeżeń twój". (6. lutego 1612). Więcej o tym stosunku pisałem w artykule p. t. św. Franciszek Salezy w literaturze francuskiej. (Przegląd Kościelny. Poznań 1906).

zarazem jedynym godnym przedmiotem miłości, jedynie mogącym zaspokoić to pragnienie miłości, tkwiące w każdym z nas. To znaczy, że człowiek, służąc Bogu, nie czyni tego jako jakiś z zewnątrz mu nałożony obowiązek, ale spełnia poprostu to, co jest postulatem jego natury. Bóg wiarę ułatwia, a raczej jedynie umożliwia człowiekowi spełnić jego naturalne przeznaczenie. Otóż w tem szukaniu racji wiary w człowieku samym, w jego duszy, tkwi oryginalność koncepcji »Traktatu o Miłości Bożej« i jego romantyzmu poniekąd. Nie znaczy to, by ta koncepcja była całkiem nowa, ona leży na dnie chrześcijaństwa i była już przedmiotem rozważań teologów; ale nacisk tak silny na to subjektywne źródło wiary kładzie pierwszy św. Franciszek, tak, jak tę koncepcję podejmie jego rodak, jeden z twórców romantyzmu, Chateaubriand, w swojem »Génie du Christianisme« i spopularyzuje ją w całej Europie, doprowadzając ją zresztą do krańcowości subjektywizmu, niezgodnych z nauką Kościoła.

Św. Franciszek Salezy doszedł do swej koncepcji i metody drogą auto-obserwacji, a także inną jeszcze drogą. Oto żył on w czasach sporów teologicznych, które roznamiętniały szermierzy obu obozów: katolickiego i protestanckiego; sam w tych sporach zrazu brał udział jako autor paru dzieł kontrowersyjnych[1]). Niebawem jednak spostrzegł, że te kontrowersje bardzo skromne wydają owoce, zwłaszcza rozteologowany Paryż, w którym często bywał, pokazał mu, jak to zwycięstwo dogmatyczne Kościoła, które zgniotło istotnie protestantyzm, niemniej było tylko zwycięstwem pyrrhusowem, które osłabiło zarówno zwycięzcę jak zwyciężonego. Ostały się dogmaty, za niemi formy praktyki, ale pod tą zieloną formą było próchno, nie było »życia pobożnego«. Zwycięstwu Prawdy objektywnej, że się tak wyrażę, nie odpowiada to zwycięstwo Prawdy subjektywnej, t. j. zwycięstwo ducha Chrystusowego w duszy wierzącej jednostki. Stał się też święty biskup genewski bardzo niechętnym wszelkim sporom dogmatycznym; kiedy zwrócono się do niego z zapytaniem o zdanie w kwestji łaski (z powodu jansenizmu),

---

[1]). Dzieła kontrowersyjne św. Fr. Salezego nie posiadają wielkiej wartości; przepisuje on w nich bezkrytycznie cytaty w lekturze napotkane, niekiedy nawet z omyłkami druku. Sam wyznaje, że przy pisaniu jednej z tych rozpraw nie miał pod ręką nic prócz Biblji i Bellarmina; zresztą sam prędko się spostrzegł na małej wartości tych pism, bo gdy wydano ponownie jego „Défense de l'étendard de la Sainte-Croix" bez jego wiedzy, święty był z tego bardzo niezadowolony i dał temu niezadowoleniu wyraz w Przedmowie o Traktatu o Miłości Bożej (Por. Strowski. o. c. str. 103.)

dał odpowiedź niezmiernie charakterystyczną, że sprawa tak mu się wydaje zawikłaną, iż nie śmie o niej wydawać opinji, uważa zresztą, iż zamiast się spierać o łaskę, lepiej jest starać się w duszy tę łaskę pielęgnować, o nią się modlić i z nią współpracować.

To ostatnie zadanie postawił też sobie za główny cel: uczyć »życia pobożnego«, co uczyniło go temsamem moralistą i zbliżyło do pisarza tak z wielu względów różnego, jakim był Montaigne. Wspólne obu jest głębokie i subtelne wniknięcie w głębie duszy ludzkiej, a nadto patrzenie na nie przez pryzmat własnego »ja«; w obu podziwiamy ogromnie bystrą auto-obserwację; obaj też mają płynące z tegoż źródła wielkie rozumienie dla błędów, czy słabości ludzkich — prawda, że u Montaigne'a jest to wszystko przyprószone sceptycyzmem, a u autora »Filotei« ogrzane ciepłem miłości, którego tamtemu jako chłodnemu intelektualiście brak.

I oto nowy tytuł do miana romantyka w literaturze ascetycznej, jakie przystoi św. Franciszkowi: bo przecie jeśli co cechuje romantyzm obok subjektywizmu, to uczucie. I znowu wystarczy przeczytać kilka kartek wspomnianych dwóch dzieł: Naśladowania i Filotei, by uznać, że o ile w pierwszem (przynajmniej w trzech pierwszych księgach; czwarta kto wie, czy nie jest dziełem innego autora) jest silna przewaga rozumu, często twardego — bynajmniej nie zawsze zresztą, — o tyle z »Filotei« bije poprostu ciepło niemal miękkiego uczucia, którem przesiąknięte jest prawie każde zdanie.

A skoro o romantyźmie u tego świętego mowa, to trudno nie wymienić jeszcze jednej cechy, natury bardzo literackiej, ale naprawdę romantycznej; tą cechą to odczucie natury. Był to poeta całą duszą, który kochał tę naturę, jak ją kochał jego patron z Assyżu. Obserwacja natury bywa u niego niezmiernie subtelną, a jest zawsze, stosownie do usposobienia poety, subjektywna — znowu jak u romantyków. Święty widzi w naturze to, co widzieć chce. Oczywiście, jako asceta, obserwuje na to tylko, by z tej obserwacji wynieść wrażenie budujące, wznoszące go ku Bogu, co jednak nie przeszkadza bynajmniej, by obrazek przezeń skreślony tchnął życiem i niezrównaną prostotą. Wystarczy wymienić rozdział 13 części II »Filotei« oraz całe szeroko namalowane niejako obrazki przyrody w listach do św. Joanny Chantal. Najczęściej występuje jednak ta cecha w porównaniach barwnych, a niezmiernie rozmaitych. Że to wychodziło z duszy i serca świętego, dowodzą opowiadania Camusa (Esprit de St. François de Sales, IV, 24), jak to święty lubił przejażdżki łódką po jeziorze i spacery wśród

pięknych okolic, przyczem myśl podnosił zawsze ku Bogu, czerpiąc z przyrody cudowne porównania. Gdy mu pokazywano piękne sady, pełne roślin dobrze uprawianych, »jesteśmy — mówił — uprawą i rolą Bożą...«; widząc kwiaty: »Kiedyż nasze kwiaty wydadzą owoce?...«; gdy go wprowadzono do ogrodu: »kiedyż ogród naszej duszy będzie zasiany kwiatami i owocami, oporządzony, oczyszczony, ogładzony? kiedyż będzie zamknięty, odgrodzony od wszystkiego, co się nie podoba niebieskiemu Ogrodnikowi, temu który się pod tą postacią ukazał Magdalenie?« Widząc piękną dolinę: »Piękne to miejsca i urodzajne, a wzrok po nich płynie: tak to strumienie łaski niebieskiej spływają do dusz pokornych, a pozostawiają suchemi szczyty gór, to znaczy dusze wyniosłe...«

Jedno tylko w tem uczuciu nie jest romantycznem, to jest pogoda, atmosfera radości, wesela, jaka bije z »Filotei«, jak z listów, jak z całej sympatycznej postaci świętego. Tłumaczy on Filotei, że »życie pobożne jest życiem słodkiem, szczęśliwem i miłem«, i dalej: »Wierzaj mi Filoteo, że pobożność jest słodkością słodkości«. Jest on optymistą z zasady; widzi wiele złego w świecie, lecz to go nie przeraża: radzi na wzór pszczółek siadać tam, gdzie słodycz, a nie gdzie mierzwa. On czuje marność rzeczy ziemskich w stosunku do wiecznych, mówi o niej nieraz, ale jakże mniej surowo, mniej smutno niż autor »Naśladowania«, dla którego »jeść, pić, czuwać, spać, odpoczywać, pracować i innym potrzebom ciała podlegać, wielką jest nędzą i zasmuceniem« (ks. I. r. 22.).

Jest to, rzecz jasna, także wpływ epoki i tutaj znowu autor »Filotei« zbliża się do autora »Szkiców« Montaigne'a, jest jak on pogodny; obaj bowiem są dziećmi Odrodzenia, które bądź co bądź sumę pogody w duszy podniosło. Tylko że święty przerasta tu, i to znacznie, filozofa, bo jego pogoda przechodzi więcej niż często w słoneczne wesele ducha, którego źródłem uczucie najzupełniej obce Montaigne'owi, bo miłość boża.

Ten duch Odrodzenia miał także wpływ na doktrynę pobożności, głoszoną przez świętego. Jako genjalny psycholog zrozumiał on swój wiek, jego ducha i pojął, że od epoki humanizmu, której on był dzieckiem, psychologja Europy zachodniej uległa wielkim i doniosłym zmianom, że zatem i język, jakim przemawiał Kościół do ludzi średniowiecza, może nie być już tak dobrze zrozumianym przez nową generację epoki Odrodzenia. Cechą tej nowej generacji to między innemi pewne wydelikacenie fizyczne i duchowne, wysubtelnienie wra-

żliwości, dla którego surowość średniowiecza w niejednym kierunku była odpychającą. Ta surowość odnosiła się do form, nie do treści, nie do podstaw wiary; dlą większości jednak te formy zresztą miały treść: było niebezpieczeństwo zdyskredytowania samej pobożności.

To niebezpieczeństwo widział św. Franciszek i zażegnał je tą wielką, naprawdę postępową ideą »prawdziwej pobożności«, która jest najpiękniejszym owocem jego niepospolitego umysłu. Nie potępia on średniowiecza, owszem ma dlań szczery podziw; widział w niem przecież rozkwit tej miłości bożej, która była alfą i omegą jego filozofji; więc treść pobożności — że się tak wyrażę — przejął w zupełności z tamtej epoki; ale za to formę średniowiecza, jeśli jej nie odrzucał, to przynajmniej niedwuznacznie określił jako nam już nieodpowiednią.

Bardzo ciekawy pod tym względem jest rozdział II części III Filotei, gdzie przestrzega duszę przed nadzwyczajnościami w postaci »zachwycenia, podniesienia« i t. p. i zauważa, żeśmy o takie łaski Boga prosić nie powinni, »bo nie są one bynajmniej potrzebne do dobrego służenia Bogu i kochania Go, a to ma być jedynem naszem pożądaniem... Postanowiliśmy sobie zostać dobrymi i pobożnymi ludźmi... Wznioślejsze cnoty wznioślejszym zostawmy duszom. Myśmy niegodni dostojnego w służbie Bożej miejsca..., bo ten Król chwały nie płaci sług swoich wedle dostojności służby, którą im powierza, lecz według miłości i pokory, z jaką ją spełniają«. W rozdziale V tejże części, mówiąc o »niektórych z wielkich sług bożych«, którzy umyślnie dla pokory czynili się wzgardą pospólstwa, dodaje: »trzeba ich podziwiać lecz nie naśladować, bo oni mieli ku temu powody tak osobliwe i nadzwyczajne, iż nikt tego do siebie stosować nie powinien.« Pewna pobożna panna chce przez całą zimę chodzić boso w celu przygotowania się do życia klasztornego; święty na to odpowiada, iż pragnie, by córki jego kongregacji miały nogi dobrze obute, ale zato serce wyzute i dobrze ogołocone z przywiązań ziemskich[1]). Co do czystości zewnętrznej, stanowczo ją zaleca, bo »czystość zewnętrzna jest do pewnego stopnia obrazem czystości wewnętrznej« (Filotea III, 25).

Wogóle uderza u św. Franciszka zalecanie na każdym kroku rozsądku, roztropności w całem »życiu pobożnem«. Wielka uczuciowość w duszach mu się niepodoba bo »niepokoi serce, zamąca je«, natomiast kocha dusze niezależne (od własnej uczuciowości), silne«.

»Jak to być może — dziwi się sam w liście do św. J. Chantal —

---

[1]) List do św. Joanny Chantal. Listopad 1609.

bym czuł te rzeczy ja, co jestem najtkliwszym z ludzi?«. Istotnie jeśli u kogo, to u św. Franciszka trzeba podziwiać to panowanie rozumu nad uczuciem. Z jednej strony na miłości Bożej, a więc na uczuciu buduje swoją filozofję; w apologetykę wprowadza element subjektywny, który podkreśla z naciskiem; pobożności nadaje tyle wdzięku właśnie ciepłem uczucia, jakie wieje z każdej kartki »Filotei« i listów — a z drugiej strony formy realizowania tej filozofji, t. j. życia pobożnego normuje rozumem: »Postępujmy w służbie Jego (Jezusa) ufnie i z prostotą, ale i z rozsądkiem i roztropnością«. (Filotea III, 7).

Nie potrzeba dodawać, że tutaj św. Franciszek Salezy jest antytezą romantyzmu, którego tyle innych cech naprawdę posiada, ale zato jest on tu *par excellence* dzieckiem Odrodzenia, t. j. epoki budzącego się krytycyzmu, a także zmysłu rzeczywistości i praktyczności, co już jest prostą konsekwencją krytycyzmu. Oto wśród wielu innych bardzo charakterystyczny ustęp Filotei (III, 23): »Post i praca wiążą i poskramiają ciało. Jeżeli praca, którą masz czynić, jest potrzebną tobie, albo ku chwale Bożej więcej pożyteczną, wolę byś cierpiała trud pracy aniżeli utrudzenie postu... Taki trud wart więcej aniżeli pierwszy, bo również poskramia ciało a pożądańsze przynosi korzyści«. To pojęcie użyteczności jest bardzo renesansowe.

Tu może się nasunąć coprawda pewna refleksja; oto podnoszono, i słusznie, że św. Franciszek pobożność raczej oddalił od użyteczności w najdosłowniejszem ludzkiem tego słowa znaczeniu, skoncentrował ją mianowicie w duszy jednostki, tamując jej ekspansję na zewnątrz. Św. Franciszek schodzi się tu znowu z Montaigne'm: jak ten, przerażony i zniechęcony namiętnościami politycznemi epoki, zamknął się w swojej bibljotece, a następnie w swojem »ja«, »ja» Montaigne'a, a w konsekwencji »ja« człowieka w ogólności, i to »ja» zaczął coraz lepiej poznawać i pogłębiać i ubogacać wartościami intelektualnej i moralnej natury (oczywiście po Montaigne'owsku rozumianemi) — tak samo św. Franciszek Salezy, przerażony i zniechęcony roznamiętnieniem teologicznem epoki, odwrócił się od tej wojennej swego rodzaju wrzawy i skupił się w sobie, skupił swoim wpływem całą katolicką Francję w tej pracy wewnętrznej, której stał się mistrzem na parę wieków.

W danej chwili dziejowej było to więcej niż wskazanem, było to koniecznem lekarstwem na chorobę wieku. Tak w dziedzinie myśli świeckiej, jak religijnej, impuls Montaigne'a, jak św. Franciszka, był

tylko zbawienny; dowodem rozkwit literatury francuskiej w wieku XVII której wielkość leży właśnie we wspaniałem pogłębieniu tej wielkiej umiejętności, jaką jest poznanie człowieka w sobie.

Gdy przyszedł wiek XVIII i obudziło się zainteresowanie dla stosunku tego człowieka do społeczeństwa, z którego to zainteresowania wyszła literatura o nowym typie, którego wyrazem Montesquieu, Voltaire, Rousseau i tylu innych, wtedy niestety myśl religijna Francji za myślą świecką nie podążyła, przynajmniej nie w tem tempie; stanęła na miejscu, zasklepiona ciągle jeszcze we wyłącznie wewnętrznych problemach, do których ją zwrócił autor »Filotei«. Trzeba było energicznych nawoływań autora »Rerum novarum« do duchowieństwa francuskiego, aby »wyszło z zakrystji;« trzeba było strasznych kataklizmów wewnętrznych, aby wreszcie ta myśl religijna Francji się uspołeczniła.

Czy wina w tem św. Franciszka Salezego? Bynajmniej. Wielki święty padł tu ofiarą krzywdy, którą często wyrządza się wielkim ludziom, gdy mianowicie kult ich posuwa się do zbyt wyłącznego i absolutnego uwielbienia i przyjmowania tego, co głosili, bez zastanowienia, że oni sami dostosowywali się do warunków, w jakich żyli i że ich wielkość najczęściej na tem właśnie polegała, iż śmiało hasło zmiany czy nowości głosili, gdy uznali ją za wskazaną. Można powiedzieć, że mniej więcej każdy wielki człowiek był człowiekiem postępu w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu, a jego mali następcy i wielbiciele zaiste wyrządzają mu krzywdę, zasłaniając swoje zacofanie jego powagą i mistrza postępu czyniąc koryfeuszem zacofania. Tak bywało w historji i sztuce i literaturze, a nawet religji — i autor »Filotei« jest jednym z tych pokrzywdzonych przez potomność.

Powiedzmy niemniej, że jeżeli dziś ekskluzywizm »ducha św. Franciszka Salezego« byłby zacofaniem i trzeba tę »pobożność« jego uzupełnić i poprawić niejako wymaganiami czasu, to jednak wykreślić z niej ani jednego słówka nie potrzeba; i owszem, jakiekolwiek będą losy myśli religijnej w Kościele katolickim i jeśli akcja katolicka zatoczy jak najszersze kręgi, to jednak nie może ona liczyć na prawdziwe zwycięstwo swej wielkiej idei, jeśli nie będzie miała za podstawę ducha św. Franciszka Salezego, to znaczy, jeśli się nie oprze na doskonaleniu wewnętrznem jednostek.

Akcja miewa zazwyczaj w sobie coś z agitacji, a to łatwo roznamiętnia, narusza równowagę wewnętrzną i podnosząc wiarę, nieraz osłabia miłość, a zwycięstwo uzyskane tą drogą jest zawsze narażone na los podobnego triumfu, jak w w. XVI, t. j. triumfu teorji tylko;

by zaś to był triumf idei, musi ta akcja zewnętrzna być ożywiona drugą akcją wewnętrzną, »życiem pobożnem«, do którego »drogę« wskazał autor »Filotei«.

Św. Franciszek Salezy zajmuje poważne miejsce w literaturze francuskiej, nie naczelne wprawdzie, jak nasz Skarga w swojej epoce, niemniej jednak postać to, której nie można ominąć, bo, jak już widzieliśmy, jest to etap ważny w rozwoju myśli religijnej we Francji, w kraju, gdzie ta myśl religijna tak olbrzymi ma wpływ na myśl narodu wogóle. Widzieliśmy już odczucie natury, subjektywność wrażeń, uczuciowość aż do miękkości posuniętą — cechy bardzo romantyczne. Dodajmy, że odpowiada im, co całkiem naturalne, język będący poprostu wyrazem tych cech. Nie jest to język mocny Skargi (z kazań sejmowych), ale język towarzyskiej, miłej, a i serdecznej zarazem pogawędki. Oczywiście w listach jemu najlepiej do twarzy, stąd mistrzostwo w tym właśnie rodzaju. Szkoda tylko, że galerja osób, z któremi koresponduje święty, nie jest tak bogata, tak rozmaita, jak n. p. u Fenelona, a tem bardziej Woltera; autor »Filotei« pisuje niemal wyłącznie do osób pobożnych, przeważnie kobiet bez znaczenia, najczęściej poza problemem religijnym nie interesujących się niczem, co powoduje pewne ubóstwo rzeczowe, iż się tak wyrażę, tych listów, które w ten sposób nie stanowią takiego dokumentu historycznego czy obyczajowego jakimby być mogły. Prawda, że co tracą na rozległości treści, to zyskują na pogłębieniu, acz tylko w jedynym kierunku, mianowicie życia religijnego, poprostu, — życia duszy.

»Filotea«, powstała z listów, ma też ich charakter, czem różni się wśród całej niemal literatury ascetycznej. Ten ton konwersacyjny o silnie subjektywnem zacięciu nadaje dziełu tyle lekkości, nieraz wdzięku, czyni je jednakże równocześnie mniej poważnem, zwłaszcza, że uczuciowość autora przechodzi chwilami w ckliwość pewną, co trąci bądź co bądź barokiem. Nie da się więc zaprzeczyć, że pod względem artystycznym wyżej stoi swą prostotą i posągową powagą cudne dziełko »O Naśladowaniu Chrystusa«.

Równie ciekawy jest wypływ tego indywidualnego sposobu przedstawienia rzeczy na kazania świętego. Są one także raczej pogadankami towarzyskiemi ze słuchaczami — tak dalece, że znajdujemy tam całe ustępy będące poprostu fikcyjnym dialogiem między kaznodzieją a którym ze słuchaczy. Cecha ta nadaje oczywiście znowu bardzo swoisty charakter tym kazaniom, ale mało oddalając się od listów i Filotei, nie są one właściwie kazaniami i stąd w tej przebogatej

literaturze kaznodziejskiej Francji miejsca bardzo wybitnego nie zajmują, przynajmniej co do formy. Bo co do treści, to owszem, znaczenie ich jest wielkie. Są one mianowicie antytezą tego, co było dotąd, t. j. przeładowania uczonością i dyskusjami teologicznemi. Kazania autora »Filotei« są nawskroś i jedynie moralizujące i jako takie stanowią zwrot w kaznodziejstwie francuskiem, którego ewolucja od Bossuet'a do Massillona dokonywa się pod wpływem św. Franciszka Salezego.

Najsłabiej pod względem układu i formy przedstawia się Traktat o Miłości Bożej. Jest on, jak »Essais« Montaigne'a, bardzo niesystematyczny; często odbieganie od przedmiotu utrudnia śledzenie wątku myśli przewodniej; a także brak tu zupełnie aparatu naukowo-filozoficznego (w dziele poprawdzie filozoficznem). Autor raz po raz potrąci o św. Augustyna, Tomasza z Akwinu, ale czyni to mimochodem, biorąc od nich jakąś definicję, czy potwierdzając oderwanym cytatem swoje zdanie; całość jednak sprawia wrażenie podobne, jak »Essais« Montaigne'a, t. j., że autor bierze cały swój system ze siebie, na co zresztą wskazują liczne podobieństwa między »Traktatem o Miłości Bożej«, a bądź to listami, bądź relacją o nim św. Joanny Chantal, bądź też odpowiedniemi ustępami z innych dzieł świętego.

Wszystko to wskazuje dowodnie, że święty nie jest pisarzem wielkiej miary, co to jak Bossuet rozporządza całą skalą tonów od wspaniałego patosu do miękkiej liryki; autor »Filotei« jest mistrzem tylko w jednym tonie: potocznej, towarzyskiej pogawędki; gdzie ton ten mniej się nadaje, tam autor, nie śmiejąc się z nim rozstać, stwarza dzieła mniej doskonałe. Zato tem doskonajszym jest tam, gdzie ten ton jest na miejscu, a więc przedewszystkiem w listach, w którym to rodzaju też góruje on nad swoją epoką.

Powiedziałem na wstępie, że »wielki święty» to nie jednostka większa swą świętością od innych świętych, ale to poprostu święty jak inni, a tylko jako talent przerastający otoczenie. Otóż rozważając życie i dzieła św. Franciszka Salezego, doznaję pewnych wątpliwości co do powyższego twierdzenia i stawiam sobie pytanie: czy przecie nie mamy tu do czynienia naprawdę z »wielkim świętym» w dosłownem tego słowa znaczeniu, t. j. ze świętym, który i świętością swoją innych przerasta? Jest to, jak widzieliśmy, i święty i wielki człowiek w jednej osobie.

Ale zastanówmy się tylko, jak ogromnych wysiłków owocem jest wielkość w rozumieniu świata, i jak również olbrzymich wysiłków owo

cem jest świętość! Prawda, że do pierwszej trzeba talentu wrodzonego, a więc poza zasługą będącego, tak samo jak łaski do drugiego; ale i to wiemy, że jak nikt się świętym nie stał samą łaską, tak samą zdolnością, choćby genjalną nikt nie był wielkim. Jak święci byli ludźmi o olbrzymiej pracy nad swoją moralną treścią i wartością, tak ludzie wielcy podobnie wielką dozę pracy, wysiłków woli musieli wkładać, by ten talent rozwinąć i nim dokonać dzieła wartościowego. Wysiłek ten, zmierzający do jednego lub drugiego z tych dwóch celów: świętości i wielkości, był tak wielki, że zazwyczaj absorbował niejako całą energję jednostki. Stąd święty usuwa się najczęściej z areny, gdzie popisują się czy współzawodniczą wielkości, ucieka od twórczości w rozmaitych kierunkach — a z drugiej strony tamci, ludzie wielcy, pochłonięci swoją ambicją choćby w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, jakże często zaniedbują uprawę swojej treści, wartości moralnej! i dlatego to, jako ludzie, tracą oni tak strasznie wiele na bliższem poznaniu.

Co za tytan woli, energji zatem, który pracę nad swoją wartością moralną doprowadza do mistrzostwa, ją uważa za najważniejszą! »Cóżby mi pomogło, choćbym świat cały zyskał, gdy na duszy swojej szwank poniosę?» mówi on sobie, a równocześnie na arenie świata rozwija energję niepospolitą, którą wybija się nad innych, energję zupełnie odmiennej natury, która tamtą energję woli, na zewnątrz skierowaną, tak często paraliżuje, lub bodaj osłabia! Inni święci ułatwiali sobie zadanie, rezygnując z wielkości świata; inni, »wielcy ludzie« znowu, ułatwiali sobie rzecz, zaniedbując pracę nad sobą; ci zaś wzięli na swoje barki jeden i drugi trud. Czy to naprawdę nie ludzie już nie tylko wielcy, ale z tych, których największymi zwać się godzi? a w galerji świętych czy takim nie należy się miano wielkich świętych w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu?

Tak jest! Św. Franciszk Salezy to naprawdę wielki święty.

M. Paciorkiewicz.

W obronie kredytu.

Rok minął w jesieni b. r., kiedy marka polska zdawała się ustalać, a jednocześnie wybuchło przesilenie w przemyśle, właściciele fabryk grozili ich zamykaniem i rozpuszczaniem robotników. Wtedy Sejm polski uchwalił wydanie 30 miljardów nowych marek dla usunięcia tego przesilenia.

O tej uchwale pisał ekonomista polski Dr. A. Krzyżanowski, że jest bardzo oryginalną, bo nie wpadli na ten pomysł ani w Anglji ani w Stanach zjednoczonych Półn. Ameryki, gdzie przesilenie ,sroży się daleko większe i dodał: »Świat byłby rajem, gdyby problem dostarczania zarobku można było rozwiązać drukowaniem pieniędzy papierowych bezkarnem.«

Dla ekonomistów sejmu świat wydał się takim rajem, skoro na wiosnę b. r., jakby w odpowiedzi na owe słowa, wpłynął do sejmu wniosek o wydanie nowych 40 miljardów marek papierowych na zaradzenie brakowi kredytu. Kredyt bowiem zupełnie ustał, a bez kredytu przemysł i handel bardzo chroma. Bez kredytu trudno sobie wyobrazić normalne życie ekonomiczne, bo trudno sobie bez niego wyobrazić normalną produkcję, tę matkę żywicielkę wszystkich.

Co jest przyczyną tego upadku kredytu, nad tem pytaniem należy się zastanowić, bo bez usunięcia przyczyny, choroba nie da się uleczyć.

Na produkcję składają się dwa czynniki: kapitał i praca. Z tego małżeństwa dopiero powstaje produkcja, a kapitał jest tu pierwszym co do czasu. Cóż jest kapitał? Jest to dobro zaoszczędzone i odłożone od konsumcji, aby mogło służyć do dalszej produkcji. Nie wszyscy ludzie mogą jednako odkładać i oszczędzać i nie wszyscy ci, co oszczędzają, mogą tego, co oszczędzili, użyć do produkcji. Jedni oszczędzają, a inni tego, co tamci oszczędzili, używają do produkcji. Pośredniczy między nimi kredyt.

Jak wszelką zamianę, tak i kredyt, musi poprzedzić czynność ocenienia rzeczy zamienianych wedle jednej stałej miary, przeliczenie

ich wedle tej miary. Taką miarę daje ludziom tylko złoto. Według niego tylko mogą ludzie oznaczyć stosunek wartości różnych rzeczy i mogą wiedzieć, co jeden drugiemu jest dłużny.

W społeczeństwach dobrze zorganizowanych bank wydaje ludziom znaki kredytowe opiewające na złoto, a te znaki przyjmują ludzie przy zamianie tak jak złoto, o ile za niemi stoją jakieś dobra zamieniane, oszacowane na złoto. Te dobra dają im pokrycie czyli wartość taką samą jak złoto. Oczywiście wartość ich zależy od tego, żeby takie dobra rzeczywiście istniały. Bank więc wydaje je tylko tym, którzy takie dobra mają.

Wtedy wszystkie umowy, a więc i kredyt także, zawierają ludzie pod formą takich znaków kredytowych. Kapitalista dobra przez siebie oszczędzone zamienia najpierw na takie znaki i pod tą formą oddaje swój kapitał do produkcji producentowi. Kredyt jest przez to niezmiernie ułatwiony, bo wierzyciel najlepiej wie, co daje, a dłużnik, co bierze. Nie może być między nimi nieporozumienia.

Kredyt jest także zamianą, która się tem różni od zwykłej zamiany czyli kupna-sprzedaży, że świadczenie drugiej strony przychodzi do skutku dopiero po upływie pewnego czasu. Zależy więc bardzo obu stronom na tem, aby wartość rzeczy w ciągu tego czasu się nie zmieniła, aby ten co wziął, nie potrzebował oddawać więcej, a ten, co dał, nie potrzebował przyjmować mniej. To jest warunkiem ich wzajemnego zaufania. A to jest możliwe tylko wtenczas, kiedy wartość znaków zamiennych nie ulega zmianie, kiedy mają zawsze wartość złota.

To zawsze ma miejsce, kiedy bank wydaje te znaki na rzeczywiste dobra przygotowane do użytku ludzi, tak, aby dłużnik jak te dobra sprzeda, mógł zaraz wzięte znaki zwrócić bankowi do umorzenia długu. Taki kredyt ułatwia bardzo produkcję, bo producent nie potrzebuje czekać na sprzedaż, lecz może dalej produkować, a jest zarazem regulatorem produkcji danego towaru, aby nie wyprzedzała produkcji innych towarów, bo wszystkie są od siebie zależne.

Warunkiem normalnego kredytu jest, aby były takie znaki kredytowe o stałej wartości wyrażonej w złocie.

Chociaż ludzie przy kredycie, tak samo jak i przy innych umowach, obliczają swoje zobowiązania na jednostki złota, a te zastępują znaki kredytowe czyli banknoty, to jednak rzeczywistym przedmiotem ich zobowiązań są zawsze jakieś dobra realne, służące ludziom do zaspokojenia ich potrzeb, bo tylko takich rzeczy zawsze potrzebują.

Nie potrzebują zaś ani złota ani tem mniej papierków. Zawsze zadowolnią się rzeczami ich potrzeby.

Kredyt pozwala na zwiększenie produkcji takich rzeczy, więc jest wielkiem dobrodziejstwem. Ale jak wszystkiego na świecie, tak i kredytu potrafią ludzie nadużyć. Czasem zdarza się, że ktoś mając dobra realne, bierze na nie znaki kredytowe z banku i zdaje mu się, że majątek swój podwoił. Wiemy, jak się to kończy takie złudzenie.

Między producentami, którzy korzystają z kredytu banku, jest i skarb Państwa, bo Państwo jest także producentem. Jego produkt to usługi, które oddaje społeczeństwu, a za które społeczeństwo płaci podatki. Jest tu także wzajemna wymiana, przy której obie strony mogą posługiwać się znakami kredytowemi. Tylko należytość jednej i drugiej strony musi być obliczona wedle tej samej miary stałej, na takie same jednostki pieniężne złote. Jeżeli skarb państwa przy swych wypłatach posługuje się znakami kredytowemi, to te wszystkie znaki muszą z powrotem wpłynąć do skarbu w podatkach w ciągu okresu wymiany, aby tych znaków nie mogło być więcej i aby ich nie przybywało.

Tu powstało niebezpieczeństwo nadużycia kredytu. Znaleźli się ludzie, którym się zdawało, że wartość znaków kredytowych skarbu Państwa nie zależy od podatków, że wartość daje im autorytet Państwa, a innym zdawało się nawet, że wartość mogą im nadać bogactwa kraju, leżące w ziemi, których nie tknęła jeszcze ręka ludzka. Pod wpływem takich złudzeń maszyna drukarska wystąpiła do współzawodnictwa z Opatrznością i pracą ludzką i zaczęła tworzyć dobra pod postacią banknotów. A tworzenie to szło w szalonym pędzie.

Złudzenie prędko pierzchło i pokazała się rzeczywistość. Jeżeli na 100 bochenków chleba, każdy wartości 1 gram złota, bank wydał 100 znaków kredytowych, każdy opiewający na 1 gr. złota, to każdy z nich miał taką wartość; ale kiedy na te same 100 bochenków, bank wydał 10 razy więcej znaków, każdy miał 10 razy mniejszą wartość, a kiedy wydał tysiąc razy więcej, każdy znak miał tysiąc razy mniejszą wartość. Tak zginęły znaki kredytowe o stałej wartości.

Sprowadziło to niesłychane zamieszanie we wszystkich stosunkach ekonomicznych, a kredyt musiał całkiem ustać, bo od tej chwili ani dłużnik nie wiedział, co bierze i co ma oddać, ani wierzyciel nie wiedział, co daje i co ma odebrać.

Kto na tej manipulacji tworzenia banknotów mógł zyskać? Zyskali tylko dłużnicy, którzy mieli płacić dawne zobowiązania. Kurs przymu-

sowy banknotów pozwalał im płacić mniej, aniżeli wzięli. Ale czy w takich warunkach mogli ludzie tworzyć kapitały i oddawać je kredytowi? Tu ustał kredyt.

Ginęły dawne kapitały i upadali dawni kapitaliści, a między nimi także czcigodne instytucje humanitarne, które miały swój majątek ulokowany w kapitałach pożyczonych. Kapitały w kraju przestały się tworzyć, a obce uciekały.

Widzieliśmy na początku jakim czynnikiem produkcji są kapitały, które niektórzy ludzie tworzą przez oszczędność, a innym dają do produkcji. Teraz to całkiem ustało, więc produkcja musiała bardzo na tem ucierpieć. Ale ucierpiała także i przez to, że ludzie nie mogąc oszczędzać (bo na co się im to przyda), mniej pracują. Oba czynniki produkcji, kapitał i praca, bardzo na tem ucierpiały. Więc wszystkiego tego, czego ludzie potrzebują, jest mniej. Wszystkiego ludzie mają mniej, ale też i mniej pracują. Jedni mniej pracują, bo nie mają kapitału do produkcji, drudzy dlatego, że nie chcą kapitału odkładać i oddać do produkcji, boby go stracili. Otrzymaliby wprawdzie z powrotem takie same papierki, ale o mniejszej wartości. Więc każdy woli to, co ma, zużyć zaraz, albo mniej pracować, aniżeli żeby pracował i oszczędzał, niewiadomo dla kogo.

Wydawanie znaków kredytowych nieprawidłowe, bez pokrycia w istniejących dobrach, obniżało ich wartość, a temsamem pozbawiało kraj środków zamiany o stałej wartości. Wprowadzało przytem w stosunki gospodarcze między ludźmi niejasność i nieprawdę, bo nikt naprawdę nie wie, co jest dłużny, a co mu się należy. Wzajemnie się przytem podejrzywają o nieuczciwość, na czem moralność z pewnością nie zyskuje. Naturalnie, że choroba może mieć swoje stopnie. Kiedy we Francji lub Anglji franki lub funty spadły do połowy wartości, to chorobę można było leczyć podniesieniem podatków. Każdy kraj może znieść podwojenie podatków, ludność jak zapłaci dwa razy więcej podatków, to jeszcze nie zginie. Ale tam, gdzie banknoty spadły do 1/1000 wartości, tam to lekarstwo jest niemożliwe. Podniesienie takie podatków zabrałoby ludziom wszystko i jeszczeby tego nie wystarczyło.

A jednak trzeba z tego zaczarowanego koła wyjść. Jest to koniecznością życia, aby weszło na normalne tory, takie, aby ludzie mogli oszczędzać i tworzyć kapitały, bo od tego zależy normalna praca, normalna produkcja.

Obiecują nam powrót do normalnych warunków, ale powoli

i stopniowo; co do sposobów jednak tego powrotu i co do drogi, ci, co obiecują, wyrażają się bardzo niejasno: pełno tu niedomówień i obsłonek. A jednak jedno przynajmniej powinno być dla wszystkich pewnem. Trzeba pozwolić ludziom umawiać się i zawierać wszystkie interesa na walutę stałą, t.j. na wartość złota. Trzeba im wrócić wolność, którą im się zabrało. To jest koniecznem, jeżeli produkcja ma wejść na normalne tory, a od niej przecież wszystko zależy. Już obiecują zrobić wyłom na korzyść obcych kapitałów, chcą im pozwolić umawiać się na walutę stałą, zabezpieczyć im w takiej walucie procenty, aby mogły wejść do kraju. Ale czy kapitały krajowe nie zasługują na taką samą opiekę, aby się mogły tworzyć, aby ludzie mogli więcej pracować i oszczędzać?

Wprowadzenie waluty stałej, w formie pozwolenia, aby ludzie na taką walutę zawierali umowy, pozwoli zamknąć rachunek przeszłości. Tego zamknięcia, zdaje się, niektórzy bardzo się obawiają, chcąc dalej żyć w złudzeniach. Powinni jednak wziąść pod uwagę, że struś nie uratował życia przez to, że zamknął oczy i głowę schował w piasek. Taki rachunek przeszłości jest nawet koniecznością, jeżeli życie ma wejść na normalne tory. Taki rachunek robi każdy dobry gospodarz po roku klęski. Jeżeli pacjent po przyjściu do zdrowia, ma odrobić coś ze strat przeszłości, to musi jaknajprędzej przyjść do zdrowia i musi mieć dokładny rachunek strat przeszłości.

Dwieście czy trzysta miljardów banknotów bez pokrycia, pozbawiło ludzi znaków zamiennych o stałej wartości i zabiło kredyt, a oto znajdują się jeszcze ludzie, którzy powiadają, że trzeba wydać takich samych banknotów jeszcze 40 miljardów dla ratowania kredytu. Powiadają, że te będą miały pokrycie, bo będą wydawane producentom na ich dobra. Ale jakież to będzie pokrycie? Aby wiedzieć, że jedna rzecz pokryje drugą, trzeba obie zmierzyć tą samą miarą. Czy banknoty o zmiennej i spadającej wartości mogą służyć za taką miarę?

Banki mogą wydawać swoje znaki kredytowe o stałej wartości, jeżeli te znaki będą opiewać na walutę złotą i będą miały pokrycie w majątku tych, którzy je dostaną, oszacowanym na złoto. A i majątek banku musi być oszacowany na złoto. Takie znaki kredytowe mogą spełniać funkcje banknotów i mogą służyć do obiegu, ale z tamtemi banknotami nie mogą mieć nic wspólnego. To będzie dopiero waluta prawdziwa, która otworzy drogę prawdziwemu kredytowi.

Kapitałem jest wszystko co służy do produkcji, a więc także majątek producenta, ale w związku z kredytem są tylko te kapitały, które jedni ludzie zbierają, aby dać innym do produkcji. Kiedy się mówi o kredycie, to takie tylko kapitały ma się na myśli, o takich więc tylko kapitałach będzie tu mowa. Są one ruchome i bardzo nawet ruchome, bo są w ciągłej pogoni za produkcją. Ona im daje przyrost czyli procent. W pogoni za produkcją kapitaliści oglądają się także za bezpieczeństwem. Pośredniczą w tem banki, które oddają niezmierne usługi i kapitalistom i produkcji. Najpierw dlatego, że w nich skupiają się większe kapitały, które pozwalają na większą produkcję, a potem, one mogą dać większe bezpieczeństwo, bo jak jest jaka strata, to one tę stratę rozdzielają między wszystkich, a przez to każdy kapitalista mniej ją odczuwa.

Drobny kapitalista niesie swój oszczędzony kapitał do najbliższej Kasy oszczędności; ta jeżeli lokuje pożyczone jej kapitały w listach zastawnych lub obligacjach, to oddaje tem samem te kapitały do dyspozycji większym instytucjom finansowym, które te listy i obligacje wydały. Te zaś muszą mieć oparcie o jeszcze większe instytucje i od nich są zależne. W ten sposób kapitały oszczędzone całego prawie świata w poszukiwaniu za produkcją i bezpieczeństwem łączą się ze sobą i tworzą jakgdyby jedno ruchome morze. Tem morzem rządzą największe banki w Londynie i New Yorku, a właściwie kilku ludzi, którzy niemi rządzą. Są oni depozytarjuszami kapitałów całego niemal świata, oni więc regulują kredyt, a pośrednio jego produkcję. Mając w swoim ręku kapitały całego świata, są oni potentatami niewątpliwie daleko większymi, niż byli wszyscy znani w historji mocarze.

Ten ustrój kapitalistyczny, nie podoba się — jak wiadomo — socjalistom. Zżymają się nad nim, a w ich pismach można nawet spotkać łzy krokodyle nad losami ludzkości. Jakto być może — wołają — w rękach kilku ludzi złożone są losy miljonów! A ci ludzie nie są przed nikim odpowiedzialni, niema nad nimi żadnej kontroli. Mówią, że powstrzymują wojnę, ale czy to samo nie świadczy, że gdyby chcieli, mogliby wojnę rozpalić, że największe dobra ludzkości zależne są od ich kaprysu?

Tak mówią socjaliści, a tym razem mówią prawdę. To wszystko jest prawdą, ale i to jest prawdą, że ci ludzie nie gonili za owemi kapitałami, nie urządzali za nimi wypraw tatarskich, ani też nie rabowali żadnych świątyń. Te kapitały same ich szukały, same im się powierzały, w nadziei, że użyte będą do produkcji. Można mieć pewność,

że ci ludzie nie zdradzą i nie zawiodą tego zaufania, i użyją tych kapitałów tylko do produkcji. A jeżeli użyją ich tylko do produkcji, to nietylko nie zawiodą zaufania, ale spełnią swój obowiązek i oddadzą usługę całej ludzkości. Wszelki bowiem dobrobyt ludzkości zależy od produkcji, a wzrost tego dobrobytu zależy od zwiększenia produkcji.

Miejmy nadzieję, że tym ludziom uda się także obronić powierzone im kapitały od zakusów tych, co mają na nie chrapkę i chcieliby je dostać, aby ich użyć na inne cele. Gdyby to się kiedy stało, byłby to prawdziwy *dies irae* dla całego świata.

Kapitały amerykańskie szukają dla siebie lokaty czyli produkcji po całym niemal świecie. Jest ich tam bowiem więcej niż w innych częściach świata z wiadomej przyczyny. Produkcja Stan. Zjedn. Półn. Ameryki przewyższa konsumcję, wywóz przewyższa tam dowóz. Kraje wymieniają między sobą swoje produkty, ale jeżeli między importem a eksportem jest różnica, to tę różnicę musi zastąpić złoto. W Ameryce Północnej wywóz stale przewyższa dowóz, więc stale przybywa złota. Ten kapitał szuka dla siebie produkcji po całym świecie. Niedawno reprezentant tych kapitałów amerykańskich objeżdżał całą Europę powojenną, szukając dla nich lokaty czyli produkcji. Był i u nas, a wrażenia swoje opisał w książce, którą wydał. Trudno mu było u nas znaleźć ludzi, z którymi mógłby się porozumieć, albowiem spotykał tylko ludzi, którzy myśleli o konsumcji, a nikogo nie spotkał, ktoby myślał o produkcji. Widział urzędy obliczone na splendor zewnętrzny, a nikt nie pytał: kto i z czego będzie je utrzymywał. Widział inne gorsze, bo niszczące producentów i ich warsztaty. Na pytanie, jakie dochody pokryją te wydatki, otrzymywał bardzo niejasne i mgliste odpowiedzi; każdy po odpowiedź odsyłał do innego, albo odpowiadał na dawny sposób: »jakoś to będzie«. Ostatecznie wszyscy chcieli pożyczać, ale tylko na konsumcję, a tego właśnie kapitały amerykańskie nie szukają, bo konsumcję mogą mieć i u siebie.

Ale *sanabiles Deus fecit nationes*. Z tej drogi zawrócą ludzie wcześniej czy później, jak się przekonają, że na niej nie dojdą do celu. Przyjdą inni, którzy zwrócą się do produkcji. Budowa to przecież produkcja, ale budowa wymaga planu. Niedosyć wywołać setki różnych potrzeb, trzeba szukać dla nich pokrycia, trzeba plan budowy obmyśleć wedle materjału. Nie może też być żadnego gospodarstwa bez planu. Plan musi obejmować całość budowy i całość gospodarstwa, musi godzić ze sobą różne potrzeby.

Dopiero w takim płanie objawi się inteligencja narodu. Jeżeli taka inteligencja się zjawi, to z nią ciemności się rozstąpią we wszystkich stosunkach społecznych i każdy będzie wiedział, co jest drugiemu winien i co się mu od niego należy, czego może się spodziewać. Wtenczas wróci ogólne zaufanie czyli kredyt. Taka inteligencja dopiero może otworzyć lepszą przyszłość.

Dr. Ludomir Lewandowski.

H. Ford a Żydzi amerykańscy.

Ucichły już działa po bratobójczej wojnie narodów, kiedy na spokojnym terenie wierzyciela europejskich mocarstw zawrzała nagle innego rodzaju, lecz niemniej gwałtowna walka.

W wychodzącym w Dearborn, przedmieściu Detroit, stolicu stanu Michigan, tygodniku *The Dearborn Independent,* ukazał się 22 maja 1920 r. artykuł: »Żyd jako człowiek i jako kupiec«, a w ślad za nim szły coraz to nowe, uzbrojone całym aparatem słów i dowodów. To właściciel pisma, miljarder i największy fabrykant automobilów, Henryk Ford, wystąpił do walki z żywiołem, którego dotychczas nikt nie odważył się tknąć nawet na forum publicznem, bo zakrzyczanoby go zaraz, oskarżono o brak tolerancji, rozniesiono po całym świecie wieści o prześladowaniu religijnem, a przytem nie wzgardzono innemi środkami, by zgnębić przeciwnika. Żydzi, reprezentowani nie tyle liczebnie swemi trzema miljonami[1]), ile potęgą finansową, zbyt wielki zdobyli wpływ w Ameryce na wszystkich polach, by można było bezkarnie ich zaczepić.

Toteż występ niepozornego dotychczas organu, który wydawca jego postanowił nagle uczynić »narodowym« i rozrzucił masowo po całym kraju i poza nim, wywołał niesłychaną wrzawę i zrozumiałą reakcję. Już po krótkim czasie po wszystkich ulicach New Yorku słyszano chłopców, wołających: »Czytajcie o zdrajcy H. Fordzie!... Czytajcie o kłamcy H. Fordzie!« Lecz Ford nie uląkł się i w miarę ataków strony przeciwnej rósł jego animusz, a spokojny początkowo ton pisma stawał się coraz gorętszym. Pisano w niem o »froncie, okopach, linjach obronnych«, rzucano się na wroga, to znowu słychać było okrzyki zwycięstwa. Żydzi pokazali jednak swą potęgę. Po kilku mie-

[1]) Właściwie nikt nie wie i nie może się dowiedzieć, ilu ich tam jest, ponieważ podszywają się pod inne narodowości. Według doniesień, immigracja ich do Ameryki wzrosła niezmiernie w okresie powojennym.

siącach zakazano za ich sprawą w niektórych miastach kolportażu *Dearborn Independent,* nadto rozwinęli oni silną agitację wśród kompanij kolejowych i dyrekcyj poczt, ażeby przeszkodzić przewozowi pisma; owszem w stanie Michigan czyniono podobno starania o uchwalenie osobnego prawa, któreby zakazało dalszego wydawania tygodnika, albo też oddało właściciela w ręce sprawiedliwości. Przedewszystkiem jednak postanowiono zniszczyć w zarodku źródło samo przez zorganizowanie generalnego bojkotu fabryk Forda.

Zamiar ten jednak spełzł na niczem. Marka Forda miała już zbyt ustaloną renomę. Olbrzymie jego fabryki produkowały przecież, według relacyj miejscowych, dziennie 4.000 automobilów, które z powodu swej lekkości, sprawności i łatwości naprawy zdobyły sobie taką popularność na obu półkulach, a zwłaszcza w swej ojczyźnie, że mowy być nie mogło, by jakakolwiek agitacja zdołała wyrugować je z użycia.

Jedna tylko chwila była groźna. Kryzys przemysłowy, który zawisł nad całą Ameryką w ostatnich miesiącach 1920 r., zaciążył także nad Fordem. Fabryki jego pracowały jeszcze, ale ze stratą, automobilów nie kupował nikt, a tymczasem 18 kwietnia 1921 r. przypadał termin spłaty 75 miljonów dolarów, na które nie było pieniędzy. W krytycznym okresie zjawia się u Forda jakiś ajent z New Yorku i ofiaruje mu w imieniu kilku banków potrzebną sumę, a wzamian za nią żąda tylko w administracji posady kasjera, wolnej właśnie w tym czasie. Lecz Ford odprawił go z niczem, zrobił kasjerem swego syna i postanowił się ratować własnym wysiłkiem.

Zniżył więc ceny automobilów, sprzedał ogromny zapas starych materjałów, nagromadzonych na czas wojny, zaprzestał czynić nowe zakupy i zamknął pod pretekstem sporządzania inwentarza, zasadniczo na dwa a w rzeczywistości na sześć tygodni, olbrzymie warsztaty w Highland. Zrobił we wszystkich swych zakładach dokładny spis materjałów, a przy tej sposobności także rewizję personalu biurowego, z którego usunął sporo osób, przyjętych w okresie wzmożonej produkcji wojennej, a zbytecznych obecnie — i w rezultacie posiadał w dniu wypłaty 87 miljonów dolarów gotówki.

Zwyciężył więc znowu — wzrosła tylko jego nienawiść do finanserji żydowskiej i artykuły *Dearborn Independent* sypały się coraz bardziej ogniste.

***

Co mogło jednak być przyczyną zaciętej tej kampanji antysemickiej, tak niesłychanie śmiałej ze strony jednostki? Na jakiem tle ona się rozgrywała? — Aby to zrozumieć, trzeba wniknąć bliżej w poglądy i psychikę Forda.

Widzieliśmy już, że jest on genjalnym przedsiębiorcą przemysłowym. Ta żyłka tkwiła w nim od dziecka. Już w domu, jako sześcioletni chłopiec, doprowadzał do rozpaczy swą matkę zabieraniem jej rondelków i naczyń, by z nich sporządzać »maszyny«. Zawodowi temu oddał się potem zupełnie, zgodnie jednak ze swą zasadą, że metodyczne przygotowanie do pracy należy uważać zawsze za zysk, poświęcił studjom piętnaście lat, zanim puścił w ruch własne warsztaty. Dziś poza nielicznym zresztą personalem biurowym, zatrudniają jego zakłady 80.000 robotników, pomimo tego, że zadanie ich polega raczej na doglądaniu, gdyż, poczynając od fabrykacji poszczególnych części, nawet przynoszenie i montowanie ich odbywa się mechanicznie. Główne warsztaty, obsługiwane przez 40.000 ludzi, mieszczą się w Dearborn, same ulice ich wynoszą kilka kilometrów, montowanie zaś odbywa się oprócz tego w szeregu innych fabryk, rozrzuconych nie tylko po Ameryce północnej i południowej, ale nawet w Europie, w Kopenhadze, Bordeaux i Kadyksie. Rzecz charakterystyczna przytem, że Ford, który sam kieruje wszystkiem, nie chce mieć osobnego biura dla siebie, ale pracuje tam, gdzie jest.

Gigantycznych rozmiarów ten aparat nie pochłonął jednak całkowicie jego ducha. Ford interesuje się problemami szerszej natury, wytworzył sobie swoisty pogląd na stosunki ekonomiczne i społeczne, i szerzył z zapałem swe ideje. Genjalny spryt w dziedzinie business'u kojarzy się w głowie oryginalnego tego człowieka z niepoprawnem marzycielstwem i chęcią odegrania roli reformatora stosunków obecnych.

Nic stałego niema na tym świecie — powiada Ford — wszystko podlega bezustannym zmianom. Nie trzeba więc nigdy spoglądać wstecz, tylko iść naprzód ku »nowej erze« ludzkości. Era ta nie polega jednak na spoczynku i ci, którzy tak sądzą, są w grubym błędzie; przeciwnie, praca jest nie tylko prawem człowieka, ale też istotnym warunkiem jego szczęścia i udoskonalenia. Pracę trzeba więc kochać dla pracy.

Nie powinno jej jednak być za wiele; poza nieznaczną ilością godzin pracy fizycznej powinna odrodzona ludzkość poświęcić resztę czasu stosunkom towarzyskim, podróżom i nieco także lekturze, chociaż ta jest czemś bardzo podrzędnem. Pod tym względem Ford

stara się być konsekwentnym i dba o swych robotników. Każe im pracować sześć, niekiedy tylko pięć razy w tygodniu, owszem marzy o zredukowaniu pracy do czterech dni roboczych. Najniższy zarobek dzienny wynosi u niego sześć dolarów, poza tem każdy robotnik dostaje bony, płatne dwa razy w tygodniu i przedstawiające jego udział w zysku. Stąd wszyscy czuli się zadowolonymi i mimo największych wysiłków żydowskich i socjalistycznych w fabrykach Forda nie doszło nigdy do strajku.

Ponieważ rolnictwo wymaga wielogodzinnej wytężonej pracy, jest Ford zdecydowanym jego przeciwnikiem i spodziewa się wyrugować powoli z użycia wszystkie konie i woły, używane dziś do pługa przez swe traktory, których produkcja wynosi już w jego fabrykach około miljona sztuk rocznie. Dzięki nim praca zostanie zredukowana do minimum, a człowiek, oswobodzony z poniżającej go obecnie służby mniemanym »domowym« zwierzętom, będzie mógł więcej czasu poświęcić kulturze umysłu i serca. Owszem z czasem obejdzie się nawet bez krów i baranów, zabijanych dziś w barbarzyński sposób w rzeźniach, gdyż ludzie będą się żywili tabletkami, sporządzanemi chemicznie i zawierającemi wszystkie pierwiastki potrzebne. Dzienniki amerykańskie donosiły nawet, że Ford spodziewał się odkryć specjalną mączkę, której używanie przysporzyłoby człowiekowi parę set lat życia.

Roztaczając te i inne wizje przyszłej szczęśliwej ludzkości, pragnął Ford już teraz zrealizować je do pewnego stopnia. Nie mógł wprawdzie obdarzyć każdego robotnika osobnym automobilem, jak podobno marzył, ale za to wybuchła świeżo wojna europejska dała mu znakomitą sposobność do innej akcji humanitarnej. Ford stał się nagle apostołem pacyfizmu i postanowił przynieść pokój światu.

Na czele specjalnej »misji pokojowej« wybrał się więc w r. 1916 do Europy. Przed Bożem Narodzeniem — zapowiadał uroczyście przy odjeździe z kraju — wyprowadzi żołnierzy z rowów.

Niestety nie zrozumiano się na jego wzniosłych zamiarach, okręt, na którym jechał, przybył do Skandynawji, lecz żadne z państw walczących nie chciało puścić Forda do siebie — odjechał więc z niczem. Idei jednak swej nie porzucił. Bezpośrednio po podpisaniu zawieszenia broni ogłosił publicznie, że zakupi sam wszystkie floty wojenne wielkich mocarstw, by je zniszczyć i przerobić na traktory i narzędzia rolnicze. Oczywiście żadne z państw nie odpowiedziało na tę wspaniałomyślną propozycję, tylko jeden rząd francuski złożył podobno ofertę na sprzedaż wszystkich starych, wybrakowanych okrętów; lecz

Ford oburzył się na to — jemu nie chodziło o interes i zakupno materjałów, tylko chciał wydrzeć morderczą broń z rąk walczących!

Gdyby Ford, liczący dziś koło sześćdziesięciu lat, żył dłużej, doznałby prawdopodobnie niejednego jeszcze gorzkiego zawodu. Narazie ma on jednak to szczęśliwe usposobienie, że żadne niepowodzenie nie łamie go, doznawszy rozczarowania na jednem polu przerzuca się z łatwością na inne i czeka stosownej pory.

Teorje ekonomiczno-społeczne interesują go najżywiej, bo jednak jest to przedewszystkiem businessman. Na ich też tle wyrósł najprawdopodobniej cały jego zatarg z Izraelem.

Ford jest wrogiem pieniądza, jako takiego, i broni się przetwierdzeniem, jakoby był wielkim kapitalistą. Człowiek nowej ery — powiada — nie będzie gonił za pieniądzem, ponieważ składanie tegoż nigdy nie było pomocniejszym środkiem do zrobienia interesu i wartość jego polega tylko na bezpośredniem użyciu, przez włożenie go w nowe, rentowne przedsiębiorstwo. Złoto »jest niemal najbardziej nieużytecznym metalem«, moneta zaś jest zdradzieckim wynalazkiem Żydów, którzy przez nią pragną ujarzmić świat. Dzisiejszy system bankowy jest tylko ciągłym hamulcem dla postępu w przemyśle, ponieważ akcjonarjusze nie szukają nigdy tego, coby mogło przyczynić się do dobra ludzkości, tylko dochodów dla własnej kieszeni.

I tu leży główny zarzut jaki Ford stawia Żydom. W szeregu artykułów, które im poświęcił, zastrzega się stanowczo przed traktowaniem kwestji żydowskiej jako religijnej, ale występuje przeciw nim, ponieważ uważa ich za wrogów dobrobytu i postępu ludzkości. Nie starają się bowiem nic produkować, tylko ciągną zyski z tego, co drudzy zrobili. Cały system monetarny i bankowy jest ich wynalazkiem, który im pozwala rozciągać kontrolę nad przemysłem światowym i który zmusza do oceniania pracy ludzkiej nie według miary jej owoców i włożonego wysiłku, tylko przez zestawienie jej z oznaczoną ilością złota. Jak długo nie uwolnimy się od Żydów, źle będzie na świecie.

Artykuły przeciw nim sypały się też jak z rogu obfitości, coraz zaciętsze w miarę oporu z ich strony. Nie zadawalając się olbrzymim nakładem pisma, przedrukowano je nadto osobno i wydano w trzech tomach, noszących tytuły: »Żyd międzynarodowy. Działalność Żydów w Stanach Zjednoczonych. Wpływy żydowskie w życiu amerykańskiem«.

Podać dokładne ich streszczenie byłoby rzeczą niełatwą. Z pośród luźno nieraz wiążących się z sobą artykułów jedne podają fakta

jasne, poparte ścisłemi dowodami, inne bawią się w domysły lub teorje społeczne, ekonomiczne i moralne, rozrzucone w nieładzie i dość nieraz banalne lub niewybredne w sposobie wyrażenia. Po zaznaczeniu, jak trudno jest w Ameryce odezwać się nawet słowem przeciw Żydom, którzy krzyczą zaraz na wszystkie strony, że się ich prześladuje i morduje, twierdzi autor, że przeciwnie — świat cały i ubożsi Izraelici jęczą w niewoli żydowskich bankierów, tak iż poruszenie tej kwestji jest właśnie obroną Żydów przeciw nim samym. Ta rasa »międzynarodowa« terroryzuje mimo swej znikomej liczby resztę ludności, żyje nie z pracy, tylko ze spekulacji, nie da się nigdzie zasymilować, a będąc solidarną chce rządzić całym światem; skarży się zawsze na prześladowanie religijne, chociaż wysoka finanserja żydowska jest bezwyznaniowa i ona to raczej wywołuje prześladowanie innych. Po tem ogólnem scharakteryzowaniu Żydów przechodzi Ford do przedstawienia szczegółowej ich działalności na terenie Stanów Zjednoczonych. Pokazuje, że dzięki ich żądaniom ilekroć nowy prezydent rzeczypospolitej składa przysięgę na biblję przy objęciu swego urzędu, kładzie rękę na kartach Starego a nie Nowego Zakonu; wyraz »chrześcijanin« i różne objawy kultury chrzecijańskiej usuwa się gdzieniegdzie zupełnie dla tej samej przyczyny, pomimo, że ogół ludności jest chrześcijański. Dokonywując zaś tego dzieła odchrześcijanienia kraju, Żydzi równocześnie podkopują poziom moralny ludności przez teatr, kino, pornografję i prasę, będące w przeważnej części w ich ręku. Tu następują dowody, szczegółowe zwłaszcza co do kin.

* * *

Ciekawa rzecz — pomimo nęcących pozorów rozważniejsza prasa katolicka przyjmowała całą tę akcję Forda z wielką rezerwą. Amerykański tygodnik katolicki, *America*, pisał już 7-go maja 1921 r.: »H. Ford roztacza przed znękanym światem, w Ameryce i zagranicą, swe poglądy na Żydów, o które go nikt nie prosił. Są one, podobnie jak sądy wszystkich ludzi, którym brak wykształcenia i kultury, nieco przesadne i wyrażone w słowach raczej groźnych niż przekonywujących.« Paryskie *Etudes* (1922 nr. 12) uznając, że każdy artykuł Forda przynosi coś interesującego, dodają jednak, że czytelnicy poważni doznali nieraz rozczarowania, nie tylko z powodu formy żurnalistycznej i bezładu rzeczowego, jaki tu nieraz widnieje, ale przedewszystkiem z powodu częstego braku logiki i ścisłości dowodów; tych

ostatnich dostarcza Ford wiele w sprawie kina, ale gdzieindziej zadawala się gołosłownemi twierdzeniami, nie popartemi niczem, owszem niekiedy podejrzanej wartości. Niemniej grubym brakiem jest wreszcie częste odwoływanie się do głośnych »Protokołów mędrców Sionu«, które — najprawdopodobniej — nie pochodzą od Żydów, tylko są, zdaje się, plagjatem ostrej krytyki polityki Napoleona III, wydanej po raz pierwszy w r. 1864 p. t. »Dialog w piekle pomiędzy Machiavelem a Montesquieu'em, czyli polityka Machiavela w XIX wieku«. Artykuły *Dearborn Independent* opierają się więc na fałszywym gruncie i, o ile z niego chcą czerpać swą siłę, są chybione,

Nic więc dziwnego, że *Etudes*, a za niemi *Documentation Catholique* (1. VII. 1922 str. 58), miasto pochwał, piszą o powyższych wydawnictwach: »Po przeczytaniu raz i drugi wymienionych faktów budzi się w nas poważna wątpliwość: jakie znaczenie przypisać tym świadectwom i na jakich dokumentach opierają się te surowe oskarżenia?«

Czas pokazał też najlepiej, jak uzasadnionem było to niedowierzanie w całe wystąpienie Forda.

Polemika jego trwała bez przerwy — tymczasem w pierwszych miesiącach b. r. artykuły przeciw Żydom urwały się nagle. *Etudes* nie znały jeszcze przyczyny i notują tylko ze zdumieniem sam fakt, ale *Documentation Cathol.* podaje ciekawe objaśnienia (str. 61), zaczerpnięte z *Vieille France,* powołujące się na osobiste zeznania Forda i świadectwa, zamieszczone w różnych pismach amerykańskich.

»Dwa miesiące temu, pisze tam Urbain Gohier, czytałem w dzienniku *Yiddish,* że Ford złożył broń 14 stycznia. Ugoda została podpisana. Rzeczywiście w numerze pisma *Dearborn Independent* z 14 stycznia... Ford oświadcza, że jest zadowolony, iż udało mu się wprowadzić wyraz: Żyd do prasy amerykańskiej — teraz więc przechodzi do innych zajęć. Dotychczas wiązała go z Żydami nienawiść do Francji, a obecnie łączyć go będzie spekulacja finansowa«. Fordowi chodziło bowiem o otrzymanie większych zamówień dla Rosji sowieckiej, a do tego potrzebował koniecznie pomocy Żydów.

Nie szczędzono mu oczywiście zjadliwych uwag. *Washington Times* (5. I. 22) pisał: »Ford przestaje atakować Żydów. Żąda ich pomocy!« Tłumaczy się, że występował przeciw nim, ponieważ »Żydzi są sprawcami wielkiej wojny i chwalili się przed nim z tego. Lecz wojna się skończyła. Teraz business. Główną sprawą jest teraz kwestja finansowa; Żydzi są zręcznymi finansistami i uzna się ich za

dzieci boże, jeżeli pomogą do zrealizowania planów przemysłowych zakładów Forda«. *Jewish Guardian* (27. I. 22), p. t. »Pokutujący antysemita«, pisze zaś ironicznie, że miljardowy przemysłowiec postanowił obalić system monetarny, oparty na złocie, a ponieważ uznał, że jedynie Żydzi potrafią wprowadzić nowy system, przeto czuje się zobowiązanym, by ich nie zwalczać lecz prosić o pomoc.

Od chwili skończenia kampanji żydowskiej dalsze losy Forda nie obchodzą nas już bliżej, zarówno projekt postawienia jego kandydatury na prezydenta Stanów Zjednoczonych, zwalczany przez przeciwników wskazaniem na »nadzwyczajne ograniczenie umysłowe« miljardera (*Nation,* 15. II. 22), jak i czasowe zamknięcie jego fabryk z powodu trudności z węglem. Możemy skonstatować tylko, że poza zakresem finansowym szczęście nie sprzyjało mu zbytnio. Nie zniósł pracy ręcznej, nie usunął kapitalizmu, nie złamał potęgi żydowskiej, nie podniósł też moralnego stanu ludzkości, nie tylko dlatego, że jego siły były za słabe, a środki często niewłaściwe, ale przedewszystkiem dlatego, że podobnie jak Marx, chciał postęp duchowy uczynić zawisłym głównie od stanu materjalnego.

Niemniej dokonał wiele. Wyciągnął na stół kwestję, której dotychczas w państwie wolności nikt nie śmiał poruszyć w prasie, a nadawszy jej światowego rozgłosu, zwrócił uwagę ogólną »na problem, którego ważności nikt nie może zapoznać i który z każdym dniem staje się coraz bardziej aktualnym«.

Ks. Stanisław Podoleński.

Wtargnięcie Renesansu do Moskwy w XV stuleciu. *)

Konsekwencją było coraz nieprzyjaźniejsze obchodzenie się z krewniakami, a jeżeli nie dało się dzielnicy wprost zagarnąć, starał się książąt jak najbardziej upokorzyć, poniżyć, zepchnąć z rodowego stanowiska. Cóż dopiero książąt nie posiadających księstw. Tych nie chciał znać książętami, traktując ich jakby bojar i dworzanów. Panowanie Iwana Srogiego zaznaczyło się, pogłębieniem stanu książęcego. Iwan uważał siebie nie za pierwszego wśród Rurykowiczów, lecz za wyniesionego ponad nich; z Rurykowiczami nic go nie łączyło moralnie i pragnął mieć z nimi stosunków jak najmniej, trzymając ich zdala od siebie.

Dlatego też owdowiawszy w r. 1467 po Marji twerskiej,[1]) dziwnie długo, bo aż 6 lat pozostawał w stanie wdowim. Uważał bowiem, że małżeństwa z księżniczkami sąsiadów, równych sobie w zasadzie, psują niepotrzebnie politykę, przedłużając poczucie równości. Powinowactwo zaleskie stawało się niepotrzebnym balastem. Jakżeż przypałaby się Iwanowi na żonę cudzoziemka, nie związana niczem z Rurykowiczami,[2]) a nawet — owszem — patrząca na nich z góry! Wyłączność wyznaniowa ograniczała jednak sfery hymenu. Niegdyś Rurykowicze powinowacili się z całą Europą; teraz pozostawały im poza Rusią tylko księżniczki wołoskie... A jednak szczęście sprzyjało Iwanowi i od r. 1468 miał on pewne widoki, jakkolwiek jeszcze bardzo dalekie, lecz tak wiele rokujące co do gruntownego zerwania z Rurykowiczami, iż warto było czekać lat kilka na spełnienie marzenia.

Stwierdzenie, że Iwan pozostał przez sześć lat w stanie wdowim,

---

*) Jest to rozdział z gotowego do druku II tomu „Historji Rosji".

1) Ponieważ ciało opuchnęło, rzucono podejrzenie otrucia; posypały się więzienia i tortury. Sołowiew, Historja Rosji, t.V, str. 77.

2) Pierwszy zwrócił na to uwagę Pierling, La Russie et le St.-Siège, t. I., str. 136.

jest wprawdzie prawdą, lecz cała prawda wygląda nieco odmiennie: Iwan bowiem zaraz następnego roku po śmierci Marji twerskiej wyprawiał dziewosłębów. Cztery lata trwały starania o rękę księżniczki, która miała w r. 1472 stać się Wielką Księżną moskiewską. Tą drugą żoną Iwana Srogiego była Zoe-Zofja, siostrzenica ostatniego cesarza bizantyńskiego; przybywała zaś nie z Carogrodu wcale, lecz z najnienawistniejszego Moskwie miasta: prosto z Rzymu. Tak-to rzeczywistość fantastyczniejszą bywa od zmyśleń; zmyślać bowiem na ten temat któżby się odważył i ktoby komu uwierzył, że Iwan Srogi posyła swatów do .... papieża?!

Poległy w obronie Carogrodu cesarz Konstantyn Dragadzes był bezdzietnym; miał tylko dwóch braci, książąt dzielnicowych na Peloponezie. Starszy z nich, Tomasz, »despota« w Patras, gdy tymczasem młodszy Manuel panował w Mistra niedaleko ruin Sparty. Tomasz przebywał przez ośm lat na wyspie Korfu, poczem od roku 1461 korzystał z zaproszenia i gościnności papieskiej. W Rzymie zajmowano się energicznie wyprawą krzyżową na Turka, a odzyskanie Bizancjum uchodziło tam za sprawę niedaleką. Tomasza uważano za przyszłego władcę Bizancjum i zrazu nie było to czczą tylko grzecznostką dworską, lecz jeszcze czemś realnem. Walor ten tracił jednak na wartości z roku na rok. Powiedziano sobie niebawem, że byłoby dobrze, gdyby się udało uzyskać na początek choćby Peloponez. Ograniczone w ten sposób zamiary okazały dopiero swą nierealność: Tomasz i tak nie powróciłby do ojczyzny, gdyż odzyskaną Moreę wolałaby zagarnąć dla siebie Wenecja.

Tomasz sam tylko przebywał w Rzymie; dzieci troje zostawił na Korfu. Dzieci miał czworo, lecz najstarsza córka Helena, była już od dawien, od r. 1446 zamężną za Łazarzem II serbskim. Druga córka, Zoe, przebywała z dwoma braćmi, Andrzejem i Manuelem, aż do roku 1465 na Korfu. Kardynał Izydor swatał ją bezskutecznie w r. 1460 z Fryderykiem Gonzagą, synem Ludwika. Tomasz zmarł w Rzymie tegoż roku 1465, ledwie zdoławszy dzieci do Rzymu sprowadzić, poruczając opiekę nad niemi rodakowi swemu i przyjacielowi osobistemu, słynnemu kardynałowi Bessarionowi. Kardynał Izydor, od śmierci Mammasa (1458) patrjarcha konstantynopolski unicki (ostatni), sam odszedł z tego świata w r. 1463 i Bessarion został głową sprawy unickiej. Opiekować się — znaczyło wystarać się o przyzwoite utrzymanie dla dwóch synów Tomasza, a córkę Zoę, wydać za mąż, księżniczkę bez posagu. W r. 1466 odbyły się za pośrednictwem samego Pawła II zaręczyny Zoy ze słynnym z bogactw księciem Caracciolo; wreszcie

w r. 1467 zaręczyła się z Jakubem Lusignanem. Był to syn naturalny króla Cypru, Jana II, a zdobył Cypr na siostrze przyrodniej z pomocą mameluków egipskich. Zerwawszy z Zoą, ożenił się w r. 1468 z Wenecjanką Katarzyną Cornaro (Cypr został następnie opanowany przez Wenecję).

Nie miał Bessarion pociechy ze swych pupilów. Doszło do tego, że pozostając w Rzymie na koszcie papieskim i na jego łasce, urządzali mu demonstracje przeciw unji. Raz posunęli się do tego, że wyszli publicznie z kościoła podczas modlitwy za papieża. Zaznaczyli, że unja jest dla nich bez wartości, skoro nie pomaga do zrobienia karjery. Znak znamienny dla wartości tej unji wogóle, mieszczącej w sobie wszelkie pierwiastki prócz religijnego: pomimo to opiekowali się papieże z całą ofiarnością dziećmi Tomasza; trzykrotne próby wydania Zoy, spełzłe na niczem, stanowić miały jakby zaciągnięcie długu, którego spłata nie powiodła się, a więc tem usilniej należy starać się, by się to poprawiło.

Nagle w połowie roku 1468 stanęli przed papieżem Pawłem II dwaj Włosi z oświadczeniem, że najpotężniejszy obecnie pan we wschodnim Kościele, Iwan Srogi, pragnie przyłączyć się do ligi tureckiej i naprawiając błąd swego ojca, uznaje unję florencką i nie byłby od tego, żeby... pojąć Zoę za żonę. Paweł II był dla wysłańców pełen uznania, jako dla działających w interesie Kościoła i kazał im zwrócić koszta podróży; przyjeżdżali bowiem prosto z Moskwy.[1])

W całym Rzymie nie było nikogo, ktoby mógł skontrolować, co powiadają i zamierzają ci wysłańcy. Ostatni z przodowników sprawy unickiej, Bessarion, nie znał całkiem słowiańskiego dalekiego Wschodu. Uradowany był, jako opiekun Zoy, nadzieją, że zamęście jej dojdzie do skutku za tym czwartym razem.

Wysłańcy półoficjalnie tylko przyjeżdżali od Iwana, na zwiady niejako i dla zasięgnięcia języka. Byli to wspólnicy i wędrowni agenci kupca i spekulanta w wielkim stylu, pochodzącego z weneckiej Vicenzy Gian Battisty della Volpe. Robiąc interesy w Kaffie, odkrył dla handlu weneckiego Moskwę, sam się tam przeniósł i przyjął prawosławie. Został menniczym i dorobił się na łasce książęcej stanowiska i bogactw. On-to był swatem.

Skąd i od kogo wyszła inicjatywa do starań Iwana III o rękę Zoy? Pierling zwraca uwagę na dążność latpisów do zatajenia faktu,

[1]) Pierling: op. cit, t. I. p. 109, 115-117, 119 i 121-129.

że inicjatywa wyszła z Moskwy.[1]) Jego zdaniem inicjatywę przypisać należy samemu della Volpe. Nie można tego wykluczać, gdyż Volpe utrzymywał ciągle stosunki z Włochami i byłoby zaiste dziwnem, gdyby nie wiedział o losach rodziny ostatniego cesarza bizantyńskiego.

Dążność do wykazania, jako inicjatywa wyszła z Włoch, podejrzaną jest przez to samo, iż pielęgnowana aż do XIX wieku, wydała całą... opowieść. Do punktu kulminacyjnego doszła w pracy nie ogłoszonej drukiem A. I. Faworskiego: »Snoszenija s Rimom w XV-XVI w.«[2]) Inicjatywa wychodzi tu od kardynała Bessariona, który wyprawia z tem do Moskwy Trachaniotesa z dwoma wenecjanami, poczem Iwan posyła do Rzymu po portret Zoy; potem poselstwo z trzech osób jedzie przez Polskę, lecz dwóch z nich odstawiają Polacy z powrotem do granicy, a trzeci z posłów, zatrzymany w Polsce, tam śmierć znajduje i t. d., aż wreszcie w końcu Zofja jednak przyjeżdża do Moskwy w towarzystwie legata papieskiego.., Antoniego Possewina!

Nie można atoli mieć pewności, czy pomysł tego małżeństwa przypisać należy Volpemu, jak mniema Pierling. Trzebaby zbadać bliżej pewne okoliczności dotyczące krymsko-bizantyńskiego rodu despotów Mangupy. Miasto to oddalone jest od Bachczyseraju o 28 wiorst, od Sebastopola 25 wiorst; od XIII w. osiedlali się tam Genueńczycy; podległe było książętom (»despotom«) z rodu Kommenów pod zwierzchnictwem cesarzy bizantyńskich. Kommenowie znali drogę do Moskwy już od XIV wieku. Młodsi członkowie tego rodu szukali utrzymania w Moskwie. Simon Kommenos przybył do Moskwy około roku 1360 i stał się założycielem simeonowskiego monasteru. Stefan Wasilewicz z Kommenów, przybyły w roku 1392, jest przodkiem Gołowinych, Chowrinych, Tretiakowych, jak twierdzi Rodosłownaja kniga z r. 1772. W wieku XV jeden z Kommenów mangupskich, Konstantyn, przebywał na dworze despoty peloponeskiego (Morei), Tomasza Paleologa i towarzyszył mu następnie na Korfu i do Rzymu, czy też przybył tam za nim — a następnie znajdujemy go w Moskiewszczyźnie. Wstąpił potem do zakonu w monastyrze Ferapontowskim w Biełozerskiem, przyjmując imię zakonne Kassjana; stamtąd przeniósł się nad ujście Uczmy do Wołgi, gdzie założył monastyr własny (22 wiorst od Uglicza, 8 od Myszkina).[3])

[1]) Pierling, op. cit. t. I. str. 134.

[2]) Cytowana z rękopisu w dziele N. N Bantysza-Kamenskiego Obzor wnieszniich snoszenij Rossii, czast II. Moskwa 1896, str. 267.

[3]) Zob. Dymitrij Strukow: Błagowiernyj Konstantin, kniaź mangupskij, w inoczestwie Kassian. Odbitka ze „Strannika", duchownego żurnała, 1874, str. 1-4.

Czas, kiedy Konstantyn-Kassjan przybył do Moskwy, wątpliwy. Jeżeli bawił w Moskwie wcześniej, niż Zoe-Zofja, pomysł tego związku mógł wyjść od niego i być przez niego przedstawiony bezpośrednio Iwanowi, a Volpe służył następnie za wykonawcę. Strukow twierdzi, że przybył z Zoą, należąc do jej orszaku; to jego przypuszczenie, nie poparte źródłami. Miejmy na uwadze, jako ród jego związany był z Moskwą już od dawien. Z równem przeto prawdopodobieństwem przypuścić można, jako zniechęcony unijackiem tłem pobytu w Rzymie, spragniony »czystej« wiary wschodniej, podążył tam, dokąd wskazywała mu tradycja rodowa przytułek, niejako *otium cum dignitate*. Dowiedziawszy się, jako owdowiały Iwan III poszukuje cudzoziemki za żonę, był łatwo wpaść na myśl, by sprowadzić do Moskwy Zoę, wyrywając ze szponów łacińskiego i zapewniając zarazem los bizantyńskiej księżniczki. I to jednak hipoteza, choć tak prawdopodobna! W takim razie należałoby przyjąć przybycie Konstantyna z Kommenów mangupskich do Moskwy na koniec roku 1467 lub sam początek 1468.

Ktokolwiek dał inicjatywę, pomysł nie mógł nie podobać się władcy Moskwy. Nie trudno było poszukującemu cudzoziemki Wielkiemu Księciu dać Paleolożance pierwszeństwo przed wojewodziankami mołdawskiemi, choćby z powodu posagu; zapewne wdzięcznym był za udzielenie tej wskazówki. Rurykowiczom nie nowina zresztą powinowacić się z Bizancjum; wszak za niedawnego czasu wuj Zoy, cesarz Jan VIII był zięciem Wasyla Dymitrowicza moskiewskiego.[1]) Papież nie odgrywał jakoś przy tem roli odstraszającej. Widocznie informacje, jakie posiadał Iwan, od Konstantyna Kommena, czy od Volpego, stwierdzały prawowierność księżniczki, oczekującej na sposobność zrzucenia maski łacińskiej, a zatem najgorszej herezji! Volpe wiedział doskonale, jak należy w Moskwie wyrażać się o katolicyźmie! On uważał (w Moskwie) nawet chrzest katolicki za nieważny i przemieniwszy się tam z Giana w Iwana, przyjął chrzest prawosławny,[2]) jakby przedtem zgoła niechrzczony! Spekulował Volpe wszystkiem! Widzimy, jak przedsiębiorczość Volpego nie znajdowała tamy w szkrupułach sumienia ni charakteru.

Śmiałość jego doznawała zachęty w sferach oficjalnych weneckich, bo Wenecja, zainteresowana w sprawach wschodnich, dążąc do nawiązania stosunku z Tatarami, chciała wyzyskać znawstwo dróg i ludzi,

---

[1]) Pierling op. cit. t. I. str. 135; Sołowiew op. cit. t. V. str. 78.
[2]) Pierling op. cit. str. 130, 131.

jakiem rozporządzał Volpe, obywatel wenecki. Na wyniesieniu Volpego, na powodzeniu jego planów, mogła Wenecja zyskać niejedno; tem bardziej, gdyby mieć w Moskwie Wielką Księżnę po swojej stronie, księżnę »własnego chowu« niejako.

Uprawiał Volpe zuchwale mistyfikację na obie strony. Wysłańcy jego, przedstawiwszy Iwana w Rzymie, jako unitę i zelanta religji tureckiej, powróciwszy do Moskwy zapewniali Iwana, że Zoe odmówiła ręki książęciu medjolańskiemu i francuskiemu nawet królowi, żeby tylko nie być narażoną na utratę prawosławia. W r. 1470 przybył do Rzymu Volpe osobiście i już w oficjalnym charakterze poselskim. Zapowiadał już przyjazd wielkiego poselstwa, mającego przybyć po pannę młodą i wystarał się o pismo Pawła II do Kazimierza Jagielończyka o wolny przejazd dla tych posłów.[1]) Tymczasem siostrzeniec i wspólnik jego, Antonio Gislardi, proponował Wenecji sojusz ze Złotą ordą przeciwko Turcji i doża wyprawił rzeczywiście posła w kwietniu 1471 r. Był nim Trevisano, który dojechał do Moskwy d. 10 września 1471,[2]) skąd z pomocą Volpego miał jechać dalej. Volpe wrócił do Moskwy nieco wcześniej.

Cóż prostszego nad to, że Trevisano zajechał do Volpego i z nim się rozmówił wpierw, zanim zdążył przedstawić się Wielkiemu Księciu? A jednak wzięto mu za złe, bardzo za złe! Wielcy Kniaziowie bywali zawsze niezmiernie zazdrośni o stosunki z ordą. Starczyło lekkie podejrzenie, że Wenecja pragnie nawiązać stosunki z ordą Złotą poza plecyma Iwana, żeby obydwaj »Frjazini«[3]) popadli w niełaskę.[4])

---

[1]) Augustinus Theiner z Vetera monument Poloniae et Lithuaniae gentiumque finitimarum historiam illustrantia, tomus VI, Romae 1861, Nr. 205, p. 167. dd. 14 października 1470. W „argumentach" na czele książki podano notę mylnie: 1471; Paweł II zmarł 25 lipca 1471 — a siódmy rok jego pontyfikatu (powołany w datowaniu) zaczyna się dnia 31 sierpnia 1470.

[2]) Data w latopisach simeonowskim i nikonowskim, Połnoje sobr., t. XVIII str. 235 i XII str. 142.

[3]) Tak nazywano ludzi Zachodu, Europejczyków, i tej nazwy używają latopisy.

[4]) Nikonowski latopis, Poł. sobr. t. XII str. 142, opisawszy szczegółowo przyjazd „Antoniego Frjazina" do „Iwana Frjazina", ma do zarzucenia, że ten „nasz Frjazin" podjął się przeprowadzić tamtego do „cara" bez wiedzy i upoważnienia Iwanowego. — Na nieporozumieniu polega twierdzenie Pierlinga, jakoby Trevisano nie zastał był Volpego, który wyjechał tymczasem do Rzymu, a tamten czekał na jego powrót w Moskwie bezradny, nie znający języka. Przekaz latopisu świadczy, że (jeżeli prawdziwem jest twierdzenie Pierlinga, że Volpe w sprawie Zoy dwukrotnie jeździł do Rzymu) Volpe z pierwszej

Dnia 16 stycznia 1472 wyjeżdżał Volpe ponownie do Rzymu, już jako przedstawiający osobę pana młodego, z pełnomocnictwem do zawarcia ślubu »per procuram«. Wjeżdżał do wiecznego miasta d. 23 maja 1472.[1]) Cały Rzym mówił o tem, że Iwan prosi o przysłanie legata papieskiego, któryby uporządkował stosunki Cerkwi, a Volpe miewał audiencje w sprawie ligi tureckiej. Znamiennem jest, że posag wyznaczony pannie młodej przez papieża 6.000 dukatów — za mało dla włoskich bogaczy, lecz suma znaczna na stosunki moskiewskie — płatny był z funduszów tureckiej krucjaty. Błogosławiono więc w Watykanie dzień 1 czerwca 1472, jako datę historyczną i rozszerzenia Kościoła i spodziewanego odzyskania Carogrodu na Turkach. Mającego towarzyszyć pannie młodej do Moskwy, biskupa korsykańskiego Bonumbra, nie napróżno mianowano nuncjuszem i legatem; wszakże on miał organizować Cerkiew na nowych zasadach!

Sprawa wenecko-tatarska miała stanowić poważną rubrykę w interesach firmy Volpego. Na posłuchaniu d. 2 czerwca 1472 zaręczał, że chan ruszy zaraz na sułtana, jeżeli mu się zawiezie darów za 6.000 dukatów (w sam raz posag Zoy!!), które zakupić i zawieźć ofiarował się Volpe osobiście. Nie powiodła się ta spekulacja. Kiedy potem Iwan dowiedział się, że ktoś śmiał mieć jakieś plany co do ordy, nie zasięgnąwszy uprzednio jego przyzwolenia, zawrzał gniewem. Senat wenecki odwoływał wprawdzie już pismem z 27 kwietnia 1472 r. Trevisana, lecz on nie mógł był otrzymać pisma (wiózł je zapewne Bonumbro) przed listopadem 1472. Iwan Srogi decydował się tymczasem skazać Trevisana na śmierć.

Podtenczas Zoe z legatem, z orszakiem swym i z Volpem, który ją poślubił *per procuram*, wyjechała z Rzymu dnia 24 czerwca 1472 r.[2]) Jechała na Norymbergę, Lubekę i morzem na Rewal, skąd na Psków do Moskwy.[3]) Jak przed 32 laty Izydorowi, podobnież teraz

---

podróży do Rzymu już powrócił, w drugą zaś wybrał się dopiero 16 stycznia 1472, którą to datę podają latopisy (n. p. Nikonowski, Poł. Sobr. t. XII str. 143). Być może, że uwięzienie Trevisana, postanowione już przedtem, nastąpiło dopiero po wyjeździe Volpego, pod jego nieobecność.

[1]) Drugi „Otrywok" przy wydaniu Chronografa w Połnom Sobraniu, t. XXII, str. 489.

[2]) Data 24 lipca w drugim „Otrywku" wydanym przy Chronografie Poł. Sobr. t. XXII, str. 489, jest pomyłką: „iulja" zamiast „iunja".

[3]) Dokładne itinerarium w latopisach: 1 września 1472 Lubeka; 2 września, Koływań (Rewal), 6 października Jurjew (Dorpat), 11 października Psków, 30 października Nowogród W., 12 listodada Moskwa. Simeonowski latopis, Poł. Sobr.

zakazano. Bonumbrowi używania krzyża łacińskiego, Zoe zaś stanęła odrazu przeciw legatowi i sama go karciła, że nie umiał bić pokłonów należycie przed ikonami. Skoro tylko stanęła na ziemi »czystej wiary«, przemieniła się Zoe w Zofję i była już do końca życia zapalczywą nieprzyjaciółką katolicyzmu.

Przyjazd jej do Moskwy, mający być triumfem Kościoła, harmonizuje doskonale z dwoma innemi wydarzeniami tegoż roku 1472. Właśnie synod zwołany przez patrjarchę Symeona w Konstantynopolu odrzucił i formalnie już dekrety florenckie — a w Moskwie ogłoszono świętym cudotwórcą metropolitę Jonasza, największego unji przeciwnika. Był to na razie kult lokalny, znany w Cerkwi, jako wstęp do całkowitej kanonizacji, t. j. do uznania świętości w całej metropolji. Kult Jonasza wprowadzał metropolita Filip w ostatnim roku swego życia; jakby przekaz dla następców bezwarunkowego odwrócenia od wszelkich zamysłów unijackich.[1])

Dnia 12 listopada 1473 odbył się wjazd uroczysty Zofji do Moskwy. Pierwsze miesiące jej pobytu w nowej ojczyźnie odrazu były przykre. Trevisano został rzeczywiście skazany na śmierć i ledwie go wyprosiła Volpe, któremu wszystko zawdzięczała, ten sam, który co dopiero reprezentował przy obrzędzie ślubnym osobę oblubieńca, który ją z Rzymu odwiózł do Moskwy, wygnany do Kołomny, dom

---

t. XVIII str. 243, 244; nikonowski, XII, 150, 151 i inne. Niema atoli dat przyjazdu i odjazdu w Koływaniu, przyjazdu do Jurjewa, Pskowa i Nowogrodu. W „Otrywoku russkoj letopisi s 1451 po 1551 god", ogłoszonym jako dodatek drugi w Połnom Sobranii russ. let., t. XXII (str. 466 sq.), po t. zw. „Chronografie redakcii 1512 goda".

Przy sposobności dodam uwagę o tym „Urywku". Czy pozostaje on w jakim związku z „Chronografem", poza tem jedynie, że znalazł się w tym samym kodeksie — nie przesądzam; uderza natomiast pewien związek z latopisem nikonowskim (Poł. Sobr. t. XII) W tej mianowicie grupie lat, w której obecnie tu się obracamy, brak „Urywkowi" w zestawieniu z nikonowskim wiadomości o zawojowaniu Permu (26 czerwca), brak wymienionych wyżej dat z itinerarium Zoy, następnie wiadomości o wyjeździe legata (26 stycznia 1473), — ale cała reszta jest dosłownie zgodna z nikonowskim. Czy wobec tego nie należałoby prowadzić dociekań dalszych w tym kierunku, czy „Otrywok" nie jest źródłem nikonowskiego latopisu?

[1]) Pierling, op. cit., str. 130, 132, 133, 136-138, 141, 143, 150, 154, 155, 158, 163-170; Gołubińskij: Istoria russkoj Cerkwi, t. II. str. 514, 515. Kanonizacja na całą metropolję nastąpiła w r. 1547. Cerkiew zna trojaką kanonizację: kult lokalny, kanonizację na prowincję cerkiewną (metropolję) i całą Cerkiew, którą obwieszcza sam patrjarcha.

jego zburzony, żona i dzieci oddane pod straż. Pospiesznie posłano do Wenecji sprawdzić, co to wszystko znaczy, a tymczasem Trevisano jęczał w więzieniu.[1]) Znamiennem jest, że instancje Zofji miały tylko wartość zwłoki, lecz nie odwołania wyroku: Iwan sprawdzał wpierw, czy świeżo poślubiona małżonka nie oszukuje go w tej sprawie, czy naprawdę porozumiewanie się z ordą nie miało być zwrócone przeciw niemu. Wszakże co dopiero był najazd ordy Złotej! Przykre więc były »miodowe« misiące Zoy-Zofji, która o przydomku swego męża i jego słuszności przekonała się na samym wstępie. Dotknąłem tych szczegółów, aby okazać, jak mało znaczyła Zofja wobec męża, jak nic nie znaczące jej rzekome »wpływy«.[2])

Zoe przebywała w towarzystwie greckich i włoskich uczonych dworzan, duchownych i świeckich. Był to orszak humanistów, ludzi światłych, przywykłych od pokoleń całych do tego, że bez nauki, choćby jakiej takiej i powierzchownej, powiedzmy, bez wykształcenia naukowego, niema stanowiska w świecie; że uczyć się muszą nawet królewicze. Przybywali w toń nieuctwa taką, że byłby tu wielkim uczonym, aż nazbyt uczonym ten, kogoby oni z pośród siebie uważali za nieuka! Ludzie obcy i ze wspaniałościami dwóch najpierwszych miast świata, Bizancjum i Rzymu, wjeżdżali do miasta, złożonego z drewnianych ulic,[3]) które chełpiło się, jakby cudem świata, dwiema murowanemi cerkwiami, nieduźemi a niezgrabnemi i które spoglądało z dumą na swój Kreml, słynny na kilkaset mil wokoło; a ten Kreml musiał na gościach z Zachodu sprawiać wrażenie: pod względem architektonicznym nędzy połączonej z niezdarnością, a pod względem militarnym (palisada drewniana!) kurnika, budzącego niewątpliwie podziw, ale tem, jak coś podobnego może uchodzić za twierdzę i wystarczać sztuce wojennej tych krajów; pomnijmy, że każdy wykształcony Włoch owych czasów znał się na dwóch rzeczach: na rysunkach i wojskowo-

[1]) Pierling niepotrzebnie rzuca podejrzenie na Bonumbra, że wydał cel podróży Trevisana, ażeby przeszkodzić sprawie, jako Genueńczyk, bo Genua rywalizowała z Wenecją. Wystarczy przypuścić, że Zoe, wtajemniczona w sprawy swego włoskiego otoczenia, wygadała się przed mężem, nie tusząc nic złego. Zapewne nikt z całego otoczenia nie przypuszczał, że tu może zachodzić potrzeba tajemnicy przed Iwanem.

[2]) Pierling, op. cit., str. 139, 141, 154, 176-178.

[3]) Jako całe miasto i Kreml są drewniane, stwierdza w r. 1476 Ambrosio Contarini, poseł wenecki do Persji, a który w drodze powrotnej zwiedził Moskwę. „Il viaggio del ... Contarini", w wydawnictwie: Bibljoteka... cytowanem w następnym przypisku, str. 178.

ści fortecznej — boć we Włoszech rzemiosło wojenne polegało głównie na sztuce oblężniczej, jako w kraju »setki miast«. Pierwszą myślą Zoy, wjeżdżającej do Moskwy, było zapewne, że tu... niema gdzie mieszkać; a pierwszą myślą mężczyzn obawa, że trzeba będzie stąd uciekać, gdyż wystarczy jedna rota średniego żołnierza pod najmniej zdolnym dowódcą, żeby to wszystko rozmieść i rozmieść w ciągu godziny. Na szczęście taki żołnierz, jakiego oni mieli na myśli, nie wchodził tu wcale w rachubę, bo... nie istniał. Tatarska strategja stanowiła tu jeszcze wciąż szczyt sztuki wojennej, ze swą taktyką otaczania nieprzyjaciela; fortyfikacje miały drugorzędne znaczenie. [1])

Wiedziano na dworze moskiewskim, że w krajach zachodnich inaczej się żyje, inaczej mieszka, inaczej wojuje. Nie trzeba było do tego opowiadań Volpego, boć kupcy z Zalesia i z samej już Moskwy zajeżdżali do miast inflanckich, a również rycerze krzyżaccy byli już kilka razy w Moskwie. Wiedziano też z opowieści o Krakowie i o krakowskich płatnerzach, słynnych na cały Wschód, bo Kraków był najbliższem miejscem, skąd można było sprowadzić porządny pancerz. Aż na Krym sięgnął ich rozgłos.

Litwa nie stała pod tym względem wyżej od Moskwy. Murowane lub podmurowane (i to się liczyło za coś!) głody obronne posiadało zaledwie pięć miast w całem państwie Litewskiem: Wilno, Troki, Kowno, Łuck, Krzemieniec. Broń palna, w niewielkiej ilości, znajdowała się nadto w Żytomierzu, Winnicy, Cudnowie. Smoleńsk był bez dział, do Witebska i Kijowa dostawiono działa dopiero około roku 1507. Litwa zyskiwała przewagę militarną natenczas tylko, gdy otrzymywała posiłki z Polski.

Małżeństwo z Paleołożanką miało zaważyć wielce na szali tych stosunków. Nagle nawiązała Moskwa konneksje z najbardziej postępowym krajem Europy, z krajem, wobec którego zacofanemi były i Kraków i Ryga. Wprost z Włoch można było mieć, czegoby się tylko zapragnęło. Iwan Srogi i jego otoczenie chcieli rzeczy wojskowych. To zrozumiałe. Dla historyka decydującą jest atoli w tem ta okoliczność, że oni prócz rzeczy wojskowych i wojsku przydatnych nie chcieli wogóle niczego innego. Nastąpił długi szereg poselstw do Włoch, czasem

[1]) Podobnież Rjazań i Kołomna były wyłącznie drewniane, warownie tylko częstokołami. Stwierdza to „Il viaggio della Tana" di messer Josafa Barbaro, w wydawnictwie: Biblioteka inostrannych pisatelej o Rossii, otdielenie pierwoje, tom I, iździwieniem M. Kalistratowa, trudami W. Semenowa, Petersburg 1836, str. 95.

pod jakimś zmyślonym pozorem politycznym (ligi tureckiej lub czegoś podobnego, o czem Iwanowi w rzeczywistości ani się śniło), w rzeczy zaś samej po »majstrów« wszelkich, których importowano, ile tylko się dało, a najchętniej ludwisarzów i inżynierów.

Z wielkim rozpędem przyswajano sobie sposoby wojenne włoskie, o ile tylko było to możliwe przy niskim ogólnym poziomie inteligencji; nie szczędzono grosza, żeby mieć na swym żołdzie włoskich »majstrów«. Zanim się skończyło panowanie Iwana Srogiego, już Moskwa pod koniec XV wieku górowała w rzemiośle wojennem nietylko nad Tatarami (których »służiłym carzykom« zawdzięczała przewagę nad Zalesiem), lecz i nad Litwą, która dała się pod tym względem Moskwie wyprzedzić i miała też niebawem odczuć następstwa tego opóźnienia.

Przewaga militarna Moskwy na Wschodzie — oto posag Zofji. Obok tego były jeszcze inne, trzy, jakby dodatki do posagu.

Wpływu politycznego na małżonka nie wywierała Zofja nigdy. Okazuje się to zaraz w dalszym ciągu sprawy Trevisana. Volpe ciągle na wygnaniu w Kołomnie, a poseł wenecki w »żelazach« oczekuje spełnienia na sobie wyroku śmierci. Aleć musiałaby Zoe być już pozbawioną wszelkiego znaczenia na dworze, żeby nie doprowadzić do tego, by posiadała porządne mieszkanie, godne księżniczki z Bizancjum i Rzymu.

W r. 1474 pozwolił jej mąż wyprawić do Włoch Antoniego Gislardi po budowniczych. Dla dozoru towarzyszył mu Semen Tołbuzin z diakiem; od czasów Izasławowych[1]) pierwsi świeccy z Rusi na ziemi włoskiej goście. Przywieźli z sobą wracając do Moskwy Rudolfa Fioravanti degli Alberti z Bolonji, z synem Andrzejem i uczniem Piotrem. Chcieli oni potem uciekać z Moskwy, lecz ich dopilnowano i nie wypuszczono.

Gislardi miał zarazem poskarżyć się w Wenecji na Trevisana, a Tołbuzin sprawdzić, jak sprawa miała się naprawdę. Ten znalazł najprostszy sposób wyjścia. Wziął od senatu weneckiego 700 rubli (pod pozorem zwrotu kosztów utrzymania Trevisana w więzieniu),[2]) za co po powrocie tak rzecz przedstawił w Moskwie, iż Iwan zezwolił wenecjaninowi jechać do ordy i dał mu 70 rubli (tym razem miało

---

[1]) Zob w t. I, str. 135.

[2]) Latopis Lwowa, Poł. Sobr. t. XX, str. 301: Iwan „izwiet kładuczi takow, czto posła jego Trivisana otpustił s mnogoju priprawoju, a srebra poszło sedmsot rublew".

to być zapewne odszkodowanie za siedzenie »w żelazach«[1]) na drogę. Oczywiście, nie pozwolił Wielki Książę jechać Trevisanowi samemu, lecz pod dozorem; towarzyszył mu do ordy Złotej diak Łazarew, który przebywał tam aż do jesieni 1475 roku.

Tu — wyprzedzając chronologię współczesnych wydarzeń politycznych — rzućmy okiem na późniejszą działalność »majstrów italjańskich« w Moskwie — żeby już potem nie wracać do tego przedmiotu.

Kiedy 20 maja 1474 zawaliła się nowa »soborna cerkiew« w Moskwie, którą zaczął stawiać metropolita Filip, zmarły w roku poprzednim, a cerkiew dochodziła już pod dach[2]) wzniesienie nowej cerkwi stanowiło pierwsze zadanie sprowadzonego »Frjazina«. Robił przytem takie dziwne Moskwiczanom rzeczy, iż pozapisywali to latopiścy.

»Wapno wyrobił gęsto, jak ciasto i mazał żelaznemi łopatkami i kazał kłaść pośrodku kamień gładki; cztery słupy obłożył tem krągłe; te — rzecze — stoją mocno — a w ołtarzu dwa słupy ceglane, te zaś czworogranne, a wszystko równo, według miary«.[3]) A inny latopisiec zapisał pod datą 17 kwietnia 1475 r.: Majster wenecki Aristotel zaczął burzyć z nowych ścian cerkwi Przeczystej, które nie zawaliły się i rozbił dnia tego dwa słupy i drzwi od przodu i z przedniej ściany dużo rozbił«.[4]) Niektórzy dodają jeszcze o tych dziwach; »rowy głębokie na dwa sążnie, a w niektórem miejscu jeszcze głębiej».[5]) Rozpisują się latopisy o cudach nowej cerkwi Bogarodzicy, ukończonej po pięciu latach robót w r. 1478.[6]) Widocznie Fioravanti wielce sobie podbił tem dziełem serca Moskwicinów, skoro mu wówczas uszło płazem wyciosanie w ołtarzu wielkim nad tronem metropolity krzyża łacińskiego i tylko metropolita kazał to ściosać.[7]) Ale najwięcej zdumienia wywołało sporządzone w r. 1477 »koło«, które »czjudno widieti«, bo unosi w górę ciężkie kamienie; widziano więc po raz pierwszy murarską windę blokową[8]).

---

[1]) Por. u Karamzina w t. VI, ed. 1817, str. 68.

[2]) Starą drewnianą zachowano, zostawiając ją wewnątrz nowej kamiennej. „Otrywok" w XXII t. Połnago Sobrania, str. 493.

[3]) Latopis Lwowa. Poł. Sobr. t. XX. str. 302.

[4]) Nikonowski lat., tamże t. XII str. 157.

[5]) Tamże i simeonowski lat., t. XVIII str. 250.

[6]) Sofijski wtóry latopis. „Poł. Sobr. t. VI str. 221 i n.

[7]) Latopis Lwowa, Połn. Sobr. t. XX A. str. 335.

[8]) Latopis sofijski wtóry i latopis Lwowa, Połn. Sobr. t. VI, str. 206, 207 i t. XX A str. 320.

Zapiski tego rodzaju świadczą aż nazbyt wymownie, na jakim stopniu stała wówczas sztuka »mularska« w Moskwie.

Mistrz Fioravanti, zwany Aristotelesem, perła sprowadzonych »majstrów«, wsławiony już na dworze medjolańskich Sforzów i na papieskim, jako architekt i inżynier — należał do tej cudnej gromady Odrodzenia, która *nil humani alienum a se putans*, jednako umiała stawiać pałace, kościoły i twierdze. Fortyfikowali więc Moskwę, Niżny Nowogród, ale też wystawili na Kremlu moskiewskim szereg gmachów, pałace i cerkwie, stanowiące dotychczas największą Moskwy ozdobę.

Sprowadzano ich coraz więcej. Kilka razy wyprawiano się po nich umyślnie do Włoch. W r. 1488 jechali od Iwana do Włoch Grecy Rhalewowie, dworzanie Zofji od początku, wraz z nią przybyli do Moskwy. Byli oni i w Watykanie, a papieski mistrz ceremonji, Burchard, zapisał wyraźnie, w listopadzie 1488 r., jako stawili się przed papieżem... z obediencją od Iwana III. Takiemi mistyfikacjami zjednywali sobie władców włoskich. Przebywali we Włoszech aż do r. 1490, ale też sprowadzili z Włoch całą kompanję artystów i rzemieślników; wśród nich architekt Antonio Solari, który zmarł w Moskwie r. 1498, godny następca Fioravantiego. Ledwie Rhalewowie wrócili w lutym 1493, zaraz w maju tegoż roku jadą do Medjolanu nowi posłowie od Iwana, Manuel Doksa, Grek w towarzystwie Daniela Mamyrewa; wyjeżdżając z Medjolanu, zabrali z sobą wbrew księciu »bombardjera« t. j. działomistrza Zoanno. W następnym roku powtórzyli połów w Wenecji. W r. 1499 objeżdża w tymże celu jeden z braci Rhalewów w towarzystwie Mitrofana Federowicza Karacziarewa; wyławiają »majstrów« w Wenecji, w Rzymie i aż w Neapolu. Podróżowali zaś pod pozorem ligi tureckiej i byli obecni w Watykanie na uroczystem ogłoszeniu krucjaty przeciw Turkom, dnia 11 marca 1500 r. Wracając wieźli z sobą całą karawanę Włochów, z żonami i dziećmi. Jednego majstra zatrzymał sobie Mengli-Girej, han krymski (na Krym bowiem obrali sobie drogę); nie robiło się tedy ceremonij i nie pytano tych ludzi o wolę, raz ich pozyskawszy. Starał się Iwan również o górników, hutników, ludwisarzy. Armaty wyrabiano w Moskwie jeszcze przed upływem XV wieku. Słynne było działo Pawła Debossis, instrument przewagi, na który nie było rady. Moskwa zarzuciła palisady Dymitra Dońskiego, a stała się twierdzą taką, iż i we Włoszech byłaby pierwszorzędną. Kierowali temi robotami Fioravanti i następnie (od r. 1490) Pietro Antonio Solari. Trzecim z kolei był słynny Alviso.[1])

[1]) Pierling op. cit. str. 200, 201, 203, 204, 205, 209, 217, 219.

Wszyscy odznaczają się przedewszystkiem przy wznoszeniu nowych cerkwi, wspanialszych nad wszystko, co dotychczas znał Wschód słowiańsko-tatarski. Fioravanti stawia cerkiew Wniebowzięcia, Alviso obok cerkiew Archanioła Michała; a dalej cerkiew Zwiastowania, dzieło wspólne Alvisa i Solaria. Nowy pałac wzniesiono na podobieństwo zamku medjolańskiego;[1]) zaczął go budować Alviso na wiosnę 1499 r.[2])

Wcześniej zajechał renesans do Moskwy, niż do Krakowa. Wiemy już, jako piśmienność Rusi jest bez porównania starsza od polskiej, a nawet zawiązki piśmiennictwa; — teraz przyjmijmyż do wiadomości również pierwszeństwo... renesansu. Ale literatura starszą jest w Polsce, i sztuka również starszą; nawet na Litwie, nietylko w Polsce. Arcydzieła włoskie były i pozostały egzotycznemi dla »wszystkiej ziemi rostowskiej«. Włoscy mistrze, którym kazano liczyć się z pierwowzorami cerkwi, wywiązali się z zadania prawdziwie po mistrzowsku. Włosi ci zdobyli się na pyszną, wspaniałą odmianę renesansu. Fioravanti, mając stawiać cerkiew Wniebowzięcia, robił studja nad cerkwiami Włodzimierza n/Kl.[3]) Była to więc odmiana renesansu na tle motywów architektury suzdalskiej, sięgającej aż XII wieku. Włosi zdobyli się w Moskwie na śliczność, mogącą wzbogacić skarby sztuki powszechnej, która powinna była stać się fundamentem sztuki tam na wschodzie. Lecz nie stało się tak. Wojenne Włochów nauki — jak zobaczymy — wyzyskano tylko do pewnego stopnia i do czasu nie zbyt długiego, jednorazowo niejako, w percepcji bezpośredniej, lecz nie umiejąc samym snuć dalej wątku rzeczy; a cóż dopiero w dziedzinie artystycznej. Nie powstał styl nowy, tylko wytworzyło się artystyczne »dwoje wierje«, w którem ułożono najobojętniej obok siebie linje i kształty wzajemnie się znoszące. Ta pierwsza próba wytworzenia w Moskwie syntezy kulturalnej Zachodu i Wschodu marne wydała rezultaty, nakryta baniastą »cebulą« (»łukowica«) na świadectwo, że na pewnym stopniu kultury można z kilku rzeczy pięknych zrobić jednę brzydką.[4])

---

[1]) ib. str. 218.

[2]) Poł. Sobr. t. VI, str. 43 pod r. 7007.

[3]) Pierling, op. cit. str. 218.

[4]) Równocześnie z „Uspienskim soborem" wznosili inną cerkiew na Kremlu, Błagowieszczeńską, majstrowie swojscy ze Pskowa — pracujący zdaniem Miljukowa samodzielnie. Wtedy — wywodzi Miljukow, wprowadzono po raz pierwszy do budownictwa rosyjskiego kamiennego pewne pierwiastki, pochodzące z krajowego budownictwa drewnianego; w połowie zaś XVI w. majstrowie

Na tem koniec kulturalnych wpływów włoskich. Znać, że źródło ich w osobistych pragnieniach i potrzebach Zofji, źródło wyłącznie osobiste. Jako przygodne, działając przemijająco, chwilowo, nie sprowadziło następstw trwałych. Oczywiście, że Włosi opowiadali o swym kraju, a więc i o szkołach i o drukarniach itp. Moskiewscy posłowie, jeżdżący odtąd coraz częściej za granicę, widzieli tam na własne oczy i szkoły i druki — ale to się ich nie czepiało; nikt o tem ani nie pomyślał. Ledwie słaby powiew zewnętrzny musnął powierzchnię życia, i to na krótko. Ci sami Bizantyńcy, którzy we Włoszech wykładali Platona i Homera, na Rusi nie nauczyli nikogo gramatyki. Pod względem umysłowym »czasy te nie wydały niemal nic oryginalnego, nie wywołały żadnych sił twórczych« w narodzie.[1])

Mówi się dużo o wprowadzanym rzekomo przez Zofję w stosunki dworskie ceremonjale »bizantyńskim«. Zapewne, dwór moskiewski stawał się za Zoy mniej przystępnym, niż był za Marji twerskiej; ale tak działo się z woli samego Iwana, który umyślnie wykluczył małżeństwo z księżniczką ruską, żeby się pozbyć poufałej stopy pożycia z Rurykowiczami, wśród których znaczna większość nie miała już żadnego księstwa, lecz »służyła«. Nie Zofja uczyniła męża nieprzystępnym, lecz mąż sprowadził ją umyślnie po to, żeby sobie nieprzystępność ułatwić. Bojarowie odnosili przyczynę do Zofji, a opinja ta przeszła do historji.

Narzekania, że książę zrywa z dawniejszem otoczeniem i już go się nie radzi, nie dziwią nas; o to właśnie chodziło, żeby rozmaici Rurykowicze bez ziemi przestali mieć pretensję do równości — ale to było postanowione, zanim Zofja przybyła do Moskwy, a postanowione przez Iwana. Na zaprowadzenie ceremonjału bizantyńskiego

---

krajowi naśladowali już formy drewniane w kamieniu z tą swobodą, jaką znać na soborze Wasyla Błażennago, „tym znakomitym pomniku nowego stylu narodowego". Uważam sobie za obowiązek przytoczyć opinję poważną bądźcobądź rosyjską, z którą atoli nie mogę się zgodzić.

„Łukowica" występuje na rysunkach rękopisów już od wieku XII, jak podaje tenże Miljukow, op. cit., str. 201., a początki jej również w ruskiem budownictwie drewnianem. Zdaje mi się, że sprawa o to wymaga ponownego przejrzenia i to na tle powszechnych dziejów budownictwa drewnianego w Europie. Słusznie zwraca uwagę Miljukow, że „cebula" jest w architekturze islamu — a czy nie rozpowszechniła się do reszty dopiero po zajęciu hanatu kazańskiego? Natomiast zdaje się Miljukow mieć słuszność co do historji form dachu w architekturze rosyjskiej; tamże str. 204.

[1]) Pierling op. cit. str. 215.

nietylko niema w źródłach najmniejszych wskazówek, lecz napotyka się wskazówki inne, a mianowicie, że ceremonjał jak najbardziej skomplikowany panował u »carów« tatarskich i stamtąd przedostawał się do Moskwy, a wcale nie z Bizancjum. Będziemy mieli sposobność stwierdzić dokładniej obyczaj dworu moskiewskiego pod koniec wieku XV; wtedy też okaże się całkowity w tym obyczaju... brak bizantynizmu. Na razie zwrócę tylko uwagę na jeden rys czysto azjatycki, i to mongolski, przejęty od Tatarów: żądanie pierwszego miejsca dla siebie bez względu na okoliczności, wszędzie i zawsze.

Ażeby nie wracać już do tego szczegółu obyczaju dworskiego w Moskwie, przytoczę tu kilka znanych faktów z zakresu stosunków z dworami zachodnio-europejskiemi. W r. 1493, posłowie Iwanowi odmówili udziału na weselu Bianki Sforzy z Maksymiljanem I., żeby nie siedzieć niżej od kogokolwiek. Następnego roku wyszli z kościoła podczas uroczystego nabożeństwa u św. Marka w Wenecji, widząc, że inni dyplomaci sadowią się r ó w n o z nimi. W r. 1500 odmówili również w Wenecji udziału w pochodzie, bo miejsce honorowe wyznaczone było dla Francuzów[1]). Podobnych wydarzeń z tych i późniejszych lat możnaby przytoczyć większą ilość, a nie wytłumaczy się ich bizantyńskim ceremonjałem, tylko mongolskim, skarykaturowanym w tatarszczyźnie. Nawet posłom na Krym, do Mengli-Gireja, przykazywał Iwan Srogi, żeby nie siadali niżej kogokolwiek, choćby nawet sułtańskiego posła. Tu jednakże Iwan po krótkim czasie.... zorjentował się. W stosunkach z Tatarami zachodziły wielce skomplikowane kwestje ceremonjału przy sporządzaniu aktu, lub przy samej choćby zapowiedzi poselstwa[2]); o ile chodzi o zawiłość i pyszałkowatość ceremonjału, wzory tatarskie tłumaczą go wystarczająco.

Pochodzenie Zofji wywołało wiele złudzeń w historjografji; gdy tymczasem Bizancjum, jeżeli kiedy, to w tych właśnie czasach, za Zofji, żadnego wpływu na Moskwę nie wywierało. Towarzyszyli Zofji Grecy bizantyńscy, a część ich pozostała na służbie moskiewskiej na stałe, ale — rzecz znamienna — nie mieli po sobie następców. Bizantyńcy Zofji są jednak zwłoszeni. Są to greccy humaniści, których okoliczności życia zapędziły na mroźną północ, dokąd nie wieźli z sobą nic bizantyńskiego, prócz języka — którego tam nikt a nikt uczyć się od nich nie chciał. Grecy ci służyli następnie Iwanowi do utrzymy-

[1]) Pierling op. cit., str. 207, 208.
[2]) Zob. u Sołowiewa op. cit., t. v. str. 117, 118, 125, 127.

wania stosunków nie z bałkańskim półwyspem, nie z patrjarchatem carogrodzkim, lecz z półwyspem apenińskim, jako przewodnicy całego szeregu poselstw, wyprawianych po »majstrów«. Np. w r. 1486 jedzie od Iwana do Medjolanu Grek Perkantotes, w r. 1488 — bracia Rhalewowie; do Niemiec — Trachaniotes itp. Takiemu przewodnikowi poselstwa i posłowi faktycznemu towarzyszy bojar, dostojnik, dworzanin niepiśmienny, mający przy sobie piśmiennego djaka. Zdaje się, że pierwszym djakiem, który przyswoił sobie któryś z zachodnich języków (może łacinę) był Kuricyn; on bowiem jedyny jeździł potem sam, bez przewodnika.

Ani też nie przywoziła z sobą Zofja do Moskwy żadnego »spadku bizantyńskiego«. Orzeł dwugłowy był jej herbem osobistym, familijnym. Umieścił go architekt Solari na »spasskich wrotach« na Kremlu, jako herb fundatorki i swej pani, do której dworzan należał, a nie jako herb państwa. Ani za Iwana Groźnego nie był nim jeszcze orzeł dwugłowy[1]). Nie różnił się też Iwan Srogi od swych poprzedników w tem, że ani on nie chciał nic wiedzieć o żadnych cesarzach bizantyńskich; jego ideałem było zostać następcą cara-hana, ale nie Bizancjum. On marzył tylko o tem, by nawiązać jak najlepsze stosunki z sułtanem-kalifem, i ani mu postało na chwilę w myśli, żeby podejmować jakie roszczenia do Carogrodu przeciwko Turkowi.

Zresztą Zofja nie była bynajmniej »dziedziczką bizantyńskiego djademu«, boć miała od tego »dziedzictwa« dwóch braci, stryja i trzech synowców; było więc aż sześciu dziedziców męskich. Właściwym dziedzicem był starszy z braci, Andrzej, a po nim syn jego, Konstantyn, kapitan gwardji papieskiej, żyjący do r. 1507; aż do tej więc daty nie brak dziedziców w linji głównej. Linja młodsza zrzekła się praw już w r. 1476, gdyż Manuel powrócił w tym roku do Carogrodu, uznając panowanie sułtana w zamian za przyzwoite, chociaż mierne utrzymanie. Miał dwóch synów; starszy, Jan, zmarł w chrześcijaństwie, bezpotomny; Andrzej przyjął później islam za sułtana Selima i wstąpił

---

[1]) Na rycinach około r. 1600 jest jeszcze tylko św. Jerzy herbem państwa moskiewskiego; o pieczęci z roku 1497 będzie mowa niżej. Por. Rerum moscoviticarum auctores varii unum in corpus nunc primum congesti, Frankoforti apud haeredes Andreae Wecheli, 1600, str. 155: Arma magni Ducis Moschoviae (rycina z Gwagnina) — tudzież herb na portrecie Iwana Srogiego (z rycin Herbersteina), na spodzie w prawo, tamże w arkuszach przed tekstem, tylna ćwiartka półarkusza znaczonego dwiema gwiazdkami bez numeru.

do armji tureckiej[1]). Jeżeli i kądziel miała mieć prawa do tronu, w takim razie dziedzictwo należałoby się nie Zofji, lecz starszej jej siostrze, poczynając od r. 1507, a zatem spadkobiercom Łazarza II serbskiego.

W kwestji »spadku bizantyńskiego« zaszło wmawianie w Moskwę misji, o której jej samej zgoła się nie śniło. Pierwszy do tego podszept wyszedł od Wenecji i to bardzo wcześnie. Już jesienią 1473 mniemał doża, że zachęci Iwana do ligi tureckiej, jeżeli przytwierdzi bardziej uwagę jego do cesarstwa wschodniego, »które w braku dziedziców męskich należałoby się księciu Moskwy w następstwie jego dostojnego małżeństwa«. Tak czytamy w piśmie senatu weneckiego z 20 listopada 1473, z powodu Trevisana. Wenecja przedkłada, że celem zamierzonego poselstwa Trevisana do ordy Złotej było właśnie odciągnięcie Tatarów od Moskwy, a zwrócenie ich przeciw Turkom, najeźdźcom owego ewentualnego dziedzictwa Iwanowego. W ten sposób chciano zainteresować Iwana bliżej planami ligi i wykazać, jako Trevisano echał w misji korzystnej dla Moskwy[2]). Pochlebczy frazes nie zmienił w niczem polityki Iwanowej względem Tatarów ni Turków.

»Ewentualne« dziedzictwo bizantyńskie, w razie braku dziedziców męskich, było nadto zabagnione faktem, że byli tacy, którzy nabyli prawa do Bizancji najformalniej przez kupno od dziedziców niewątpliwych, spadku bliższych. Oto Andrzej Paleolog zrobił sobie ze swych »praw do tronu« intratny przedmiot handlu. Sprzedał swe dziedzictwo, i to nie jeden raz. Najlepiej zapłacił mu w r. 1494 Karol VIII francuski; a swoją drogą dokonywał Andrzej transakcji z innymi, a nadto w testamencie z roku 1502 zapisał swe dziedzictwo Ferdynandowi i Izabelli hiszpańskim. Prócz tych grubych transakcyj o sprzedaż swych »praw« do następstwa tronu, urządził sobie Andrzej poboczne, lecz stałe źródło dochodu z nadawania szlachectwa, tytułów, herbów (nawet z orłem dwugłowym); przenosił nawet swe prawo udzielania nominacji na innych, nadając innym (za pieniądze) prawo mianowania hrabiów, rycerzy, sędziów, notarjuszy, prawo legitymowania bastardów itp. Andrzej odbierał nawet przysięgi wierności od kreowanych przez siebie wasalów. W Moskwie był dwa razy, w r. 1480 i 1490; latopiścy krótko tylko zapisują, że odwiedziny te kosztowały Zofję drogo. Na pochwałę Iwana zapisać należy, że »praw« do Bizancjum od Andrzeja nie kupował[3]).

[1]) Pierling op. cit. str. 229-235.

[2]) ibi str. 180.

[3]) Pierling op. cit. str. 231-235. Autor bez potrzeby zgoła wywodzi, jako

Na razie proklamowali tedy prawa Moskwy do Bizancjum tylko kierownicy... handlu lewantyńskiego[1]). Kiedyś, w przyszłości, frazes, ukuty w Wenecji, miał inną drogą wejść w umysłowość kultury tworzącej się na wschód od litewskiej granicy; na razie Iwan nie zwracał nawet na to uwagi.

Niema też w źródłach śladu, jakoby Iwan miał stawać się śmielszym wobec Tatar, pod wpływem Zofji! Na najbliższe lata wypada w sam raz »wychód« podwójny.

Iwan nie był wogóle typem księcia, któryby pozwalał żonie mieszać się do polityki. Ani też Zofja nie miała powodu wdawać się w tok spraw, póki nie miała syna, co miało nastąpić dopiero w r. 1479. Tymczasem dosyć miała zajęcia ze swemi budowlami; ona, która pierwsza zaczęła Moskwę szarodrewnianą zamieniać na »białokamienną«.

Bez najmniejszego udziału z jej strony rozwijały się dalej sprawy już przed nią wszczęte. Zaświadczy o tem dobitnie przegląd faktów.

---

dokonywane przez Andrzeja sprzedaże były nieważne, bo Zofja nie zrzekła się nigdy swych praw; ależ Zofja (względnie jej potomstwo) nie mogła mieć żadnych praw przed rokiem 1507 — jeżeli wogóle mamy te „prawa" traktować poważnie.

[1]) Spostrzeżenie samego Pierlinga op. cit., str. 180.

Feliks Koneczny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Henr. Jos. Vogels: Novum Testamentum Graece, editio 2, Düsseldorf 1922, str. XVI + 661.

Henr. Jos. Vogels: Novum Testamentum Graece et Latine: Düsseldorf 1922. Pars I. Evangelium et Actus XVI +401+401; Pars II. Epistolae et Apocalipsis 259+259.

Po raz pierwszy zyskują szkoły katolickie znakomite ze wszech miar wydanie N. Testamentu, oparte na podstawach najnowszych zasad krytyki tekstu. Wszak wydania Brandscheida, Hetzenauera i Bodina, mimo niewątpliwie wielkich ich wartości, nie mogły się mierzyć z opracowaniami, jakie posiadali protestanci, takimi mianowicie edycjami, jak Westcott-Horta, Tischendorfa w jego niezliczonych prawie opracowaniach, Weissa, tem więcej że towarzystwo wirtemberskie, aby ułatwić studjum ksiąg świętych teologom i biblistom wydało t. zw. Nowy Testament Nestlego, który stał się do pewnego stopnia tekstem przyjętym, textus receptus, wśród krytyki tekstu nowszej doby. Nestle bowiem tem się zaleca, że dawał uczonemu przegląd opracowań tekstycznych Tischendorfa, Westcott-Horta i Bernarda Weissa. Wydanie swoje Nestle uzupełnił lekcjami kodeksu D i jego familji. Jednak Nestle właśnie dlatego, że nie był tekstem, opracowanym na zasadach krytyki tekstu, ale tylko pewnego rodzaju tekstem kompromisowym, nie wystarczał. To też już dawno odczuwano potrzebę nowego wydania. W r. 1913 ukazało się kolosalne rozmiarami dzieło v. Sodena Nowy Testament. V. Soden zadał sobie kolosalny trud przeglądnięcia na nowo całego olbrzymiego materjału tekstycznego, jaki można było zebrać. Istotnie jest to praca gigantyczna, przytem technicznie świetnie przeprowadzona, ma jednak wielki błąd zasadniczy, że jest oparta na schematycznym podziale kodeksów, dziwacznej nomenklaturze; skutkiem czego stało się, że v. Soden nietyle dał nam objektywny obraz tekstu, ile raczej tekst wynikły w wielu względach z osobistych, nieraz bardzo subjektywnych, a nawet błędnych zapatrywań na historję tekstu N. Testamentu. Naturalnie dzieło v. Sodena mimo tych braków przez każdorazowego badacza uwzględnianem być musi.

Dr. Vogels doskonale zdaje sobie sprawę z wartości prac swoich wielkich poprzedników. Wziął je starannie pod uwagę, ale jednak

w swojem opracowaniu tekstu poszedł drogą oryginalną, drogą utorowaną już przez siebie wielu pracami na polu krytyki tekstu; wszak chyba znane są każdemu bibliście prace wiekopomne Vogelsa nad »Diatessaronem« Tacjana, czem sobie przygotował drogę do dzieła. Wydanie greckie N. Testamentu Vogelsa przyjętem zostało z niezmiernem uznaniem przez całą krytykę katolicką. Lecz nietylko krytyka katolicka, ale wogóle krytyka N. Testamentu wszelkich odcieni i denominacyj musi kornie uchylić czoła przed tem dziełem. Jestto już niewątpliwie olbrzymią zasługą ks. Vogelsa, że jego N. Testament zastąpi zupełnie wydania Nestlego, przyczem je przewyższa pod wielu bardzo względami. N. Testament Nestlego stał się ulubionym liber textus we wszystkich zakładach naukowych, tak iż nawet Kongregacja Studjów właśnie to wydanie zaleciła do używania po seminarjach. Ale Nestle stanowczo nie wystarcza do gruntownego zapoznania się z historją tekstu i do pewnego stopnia także z historją Egzegezy N. Zakonu. Bo nie uwzględnia tradycji tekstycznej, w słabej tylko mierze zaznacza na marginesie historję tekstu świętego i to tylko na podstawie manuskryptów uncialnych greckich, pomijając zupełnie olbrzymią ilośc manuskryptów minuskularnych, a już całkiem stawia poza nawiasem tłumaczenia N. Testamentu. Są to naturalnie braki dotkliwe, które dopiero studjowanie innych edycyj N. Testamentu do pewnego stopnia usunąć może. Tu przychodzi z pomocą v. Soden, ale, niestety, jego wydanie ucierpiało z powodu schematycznego ujęcia historji tekstu N. Testamentu, pomijając już to, że także bardzo mało stosunkowo uwzględnia znaczenie najstarożytniejszych tłumaczeń N. Testamentu, jak tłumaczeń Starosyryjskich, Siarołacińskich, Ojców Kościoła. Wszystkie te braki zostały usunięte w wydaniu Vogelsa. Na podstawie jego wydania i starannie zebranego aparatu krytycznego, tym razem kompletnego prawie, dopiero widzimy jasno jak powstał nasz obecny tekst naukowy N. Testamentu, jaki posiadamy dzięki wielkim pracom, podejmowanym już od Bengela. Przed okiem teologa uważnego i biblisty przesuwa się ta wielka, jedyna w swoim rodzaju historja tekstu. Szczególniej starannie zebrano w tem wydaniu owe liczne a tak niezwykłe odmiany tekstu, jakich dostarcza familja kodeksu D z jego daleko rozgałęzionemi wpływami na tłumaczenia łacińskie, syryjskie i na Ojców Kościoła. Uwidoczniono naturalnie szczególniej dosadnie znaczenie i wpływ Tacjana, jego stosunek do obecnego tekstu; nie pominięto najstarszych wersyj jak Syro Curetana, Syro Synaitica, Lectionarium paleosyriacum, itd.

Godną uwagi także jest okoliczność, że w krytyce tekstu trzyma się Vogels zasad ściśle naukowych, że nie daje się powodować żadnemi rajonalistycznemi przypuszczeniami, jak to czyni np. v. Soden u Mt. I. 16, Nestle u Mc I, I, Jan 5, 3-4; Mc 16, 9-20. Natomiast zwraca starannie uwagę na wszystkie teksty wątpliwe, jak np. na tekst Jan 7, 53-8, II, że nie wiadomo gdzie pierwotnie tekst ten był, czy na tem miejscu czy też Lc 21, 38. Także pomija zupełnie tekst I Joan 5, 6, zaznaczając na marginesie jego historję.

Praca Vogelsa, już nie wiem po raz który, wykazała nadto, jak cenny tekst posiadamy w naszej Wulgacie. Dlatego też słusznie się stało, że ks. Vogels zgodził się na wydanie grecko-łacińskie; wszak w szkołach katolickich bez łacińskiego tekstu Wulgaty nie podobna prowadzić lekcji egzegezy czy historji tekstu świętego. Przytem przy wydaniu łacińskiem dodał na marginesie cały doskonały zbiór miejsc paralelnych Pisma św., który takiej ceny i wartości dodaje tekstowi Nestla. Wulgaty jednak nie zaopatrzył zbiorem warjantów, jak to ma Nestle, odesłał tylko czytelnika do Wordsworth-Withe. Miejmy jednak nadzieję, że przy następnych edycjach i Wulgata otrzyma swój materjał krytyczny; wszak dzisiaj już nic nie staje temu na przeszkodzie, skoro wyjaśniono już autorytatywnie ze strony Kościoła, że odnośnego dekretu Soboru Trydenckiego nie należy tak rozumieć, iżby nie można było lekcji odmiennych Wulgaty zbierać i umieszczać na marginesie wydań, przeznaczonych do pracy naukowej.

Jeżeli zwrócimy uwagę na stronę techniczną wydań Volgesa, na praktyczność formatu, ogromną przejrzystość druku i pedantyczną dokładność w znaczkach i skrótach, to słusznie możemy się chlubić, że tym razem żadne z wydań N. Testamentu nie może stanąć na równi z tem wydaniem katolickiem. Dlatego też należy sobie życzyć, iżby stanowczo usuwano z naszych fakultetów teologicznych i seminarjów wszystkie inne wydania. Profesor egzegezy N. Testamentu powinien wszelkich dołożyć usiłności, aby uczniów dokładnie zapoznać z stroną techniczną tego wydania, aby ich nauczył odczytywać aparat krytyczny, położony na marginesie, i tak umożliwić im orjentowanie się w jedynej swego rodzaju historji tekstu Pism N. Testamentu. Niestety, nie wszędzie ortografja jest jednolitą u Vogelsa.

Naturalnie nie chcę twierdzić, iż wydanie Vogelsa zamknęło okres badań nad tekstem świętym; ono tylko raczej ułatwia znacznie to badanie, bo mimo olbrzymiej ilości manuskryptów, jeszcześmy jednak nie dotarli do samych źródeł chrystjanizmu; wszak wszystkie te manuskrypty sięgają zaledwie 4 wieku naszej ery, stare tłumaczenia syryjskie i łacińskie, Ojcowie, jak Ireneusz, Klemens Aleksandryjski, Justyn, pisarze tacy, jak Marcion do pewnego stopnia pozwalają nam odchylić rąbek czasu wstecz bo pozwalają domyślać się, jaki był tekst święty w drugim wieku ery chrześcijańskiej. Otóż konstatujemy, że już w drugim wieku ery chrześcijańskiej w tekście ksiąg świętych N. Testamentu istniały te ciekawe odmiany, jakich dostarcza kodeks D z jego rozgałęzieniami na Wschodzie i Zachodzie. Vogels słusznie lekcje teksu D, już usunięte przez św. Hieronima z Wulgaty łacińskiej, także stawia na marginesie zgodnie zresztą z jednomyślną nieomal opinją krytyków tekstu, i to nie tylko w pismach Łukasza, ale także w innych ewangeljach i listach św. Pawła.

Oby to wydanie tak cenne rozbudziło jeszcze więcej zamiłowania do studjowania ksiąg św. Wszak one są zdrojem nieustannie płynącej prawdy i życia, one nas tak blisko prowadzą do Chrystusa. Dzięki niestrudzonej pracowitości ks. Vogelsa, nie mamy potrzeby sięgać po

inne wydania, które obok pracy tej przeszły już po części do historji. Ludzkość spragniona zdrowego pokarmu będzie mogła znowu dzięki tej benedyktyńskiej pracy na nowo czerpać obficie z tej krynicy Bożej prawdy, którą są dla nas księgi święte, osobliwie pisma N. Testamentu.

Ks. Wilhelm Michalski.

Ks. dr. Franciszek Madeja: Zmartwychwstanie Chrystusa. Studjum apologetyczno-biblijne. Kraków, 1922, nakł. autora. Str. XII+323.

Na wielkie uznanie zasługuje, że mając wybrać temat do większej pracy, zwrócił się ks. dr. Madeja do zmartwychwstania Chrystusa. Od czasów św. Piotra i Pawła aż po nasze dni zawsze cała wiara nasza spoczywała, niby na fundamencie z granitu, na nadprzyrodzonym fakcie prawdziwego zmartwychwstania Jezusowego. Fakt ten dlatego stanowi samą istotę apologetyki; wszystko inne w niej to tylko drugorzędne partje. Nasza literatura apologetyczna nie posiadała dotąd dzieła, któreby traktowało o tym przedmiocie wszechstronnie i ks. Madeja przysłużył się polskiemu piśmiennictwu teologicznemu rzetelnie zapełniając tę lukę.

Studjum omawianego nie można uważać za pracę w tem znaczeniu samodzielną, jakoby autor poczynił jakieś nowe archeologiczne odkrycia, albo zdobył się na jakiś nowy punkt widzenia w omawianiu podstawowej prawdy chrystjanizmu. Wszystko, co daje w swej książce, było wypowiedziane przez innych obcych autorów. Zresztą trudno tu o oryginalność, skoro Zmartwychwstanie Chrystusa, atakowane ustawicznie przez obóz niewierzący, posiada tak bogatą literaturę również ze strony katolickiej zagranicą, jak może żadna inna prawda chrystjanizmu. I zdaje się, jak pomysłowość niewiary, tak i katolicka obrona wyczerpała już i zamknęła cykl swoich dowodzeń.

Autor także wykorzystał całą tę olbrzymią literaturę i zagadnienie Zmartwychwstania Chrystusa ujął tak szeroko, jak tylko można było. Nie pominął żadnej teorji, którejby nie roztrząsnął, począwszy od brutalnej »teorji oszustwa«, a kończąc na najbardziej fantastycznych pomysłach najnowszych »panbabilonistów« i innych mitologów.

Mielibyśmy do zarzucenia nie pominięcie czego ważnego, jak raczej, przeciwnie, zbytnie rozszerzenie ram pracy. Mianowicie, z całego założenia wynika, że autorowi chodziło o stworzenie pracy apologetycznej, lecz do tego celu niepotrzeba wdawać się w godzenie niektórych szczegółów, jakiemi się różnią opowiadania jednych ewangelistów od opowiadań drugich. Apologeta, który metodycznie abstrahuje (a musi abstrahować) od kwestji natchnienia ksiąg Nowego Testamentu i traktuje je narówni z innemi źródłami historycznemi, winien eliminować ze swojej pracy to wszystko, co mu do dowodu nie jest potrzebne i co może sprawiać pewien kłopot tylko teologowi czy egzegecie. Ks. Dr. Madeja wszakże zbyt wiele miejsca poświęcił owym różnym »Marjom« przy grobie Zbawicielowym, określaniu momentu, kiedy maści kupować mogły itd., słowem szczegółom, które dla histo-

tyka czy apologety są prawie bez znaczenia. Wystarczyłoby ostatecznie lekko zaznaczyć, że są w egzegezie takie a takie próby i sposoby pogodzenia pozornych sprzeczności, samemu nie wdając się w pozytywne harmonizowanie drobiazgów.

Inny zarzut to pewna jeszcze chaotyczność w rozkładzie materjału, chaotyczność — przepraszam za paradoks — pochodząca ze zbytniej chęci systematyzowania. Czytając książkę, ma się wrażenie, że autor z a m a ł o miał czasu, by ją napisać k r ó c e j. Rozumiem potrzebę kolejnego przeglądu różnorodnych teoryj obozu przeciwnego (część pierwsza), zanim się przejdzie do obrony historyczności zmartwychwstania, ale trudniej mi zrozumieć układ części drugiej. Za niepotrzebny uważam z tej części rozdział pierwszy, będący prawie powtórzeniem tego co mówi każda introdukcja do N. Testamentu. Jest to pozostałość po metodzie, która »udowadniała« sumarycznie autentyczność ksiąg N. Testamentu, by potem bić już przeciwników nieulegającemi wątpliwości tekstami; dzisiaj, zwłaszcza kiedy idzie o zmartwychwstanie Chrystusa, dowód wiarogodności odnośnych ustępów utożsamia się i musi utożsamiać z rozbiorem trudności, jakie przeciwko nim nagromadzono i hypotez, jakie potworzono dla wytłumaczenia powstania wiary w Zmartwychwstanie bez faktu zmartwychwstania. Drugi rozdział częściowo mieści te drobiazgi, którebym wolał widzieć odesłanemi do egzegezy. Reszta dowodzenia na pusty grób, straż przy grobie, winnaby być rozłożoną między rozdziały następne. Odparcie teoryj należałoby, mojem zdaniem, rozpocząć od końca — od tych autorów, co wogóle zaprzeczają istnieniu Chrystusa, od »mitologów«, a potem po przez »teorję oszustwa« i »śmierci pozornej« przejść do »teoryj wizyj«. Systematyczność na tem zyskałaby, pomimo że na pierwszy rzut oka taki układ wygląda na przewrócenie porządku.

Język pracy, naogół poprawny, zdradza jeden grubszy niedostatek: nie zawsze w niem widocznem jest, co autor mówi od siebie, a co jako referent obcych teoryj. Mianowicie, streszczając teorje obozu przeciwnego, autor powtarza jego twierdzenia niekiedy całemi stronicami w trybie kategorycznym, bez jakiegokolwiek przypomnienia, że to są twierdzenia obozu przeciwnego. W rezultacie czytelnikowi często się zdaje, że autor wygłasza niemożliwe herezje. Łatwo było uniknąć używając, zamiast form: »apostołowie wykradli ciało«, »Chrystus nie umarł«, itp., formy »apostołowie, według tej teorji, m i e l i wykraść«, »Chrystus m i a ł tylko zemdleć«, etc., tak że czytelnik wciąż miałby świadomość, że autor przytacza teorje, na które sam się nie godzi i które w swojem miejscu odeprze.

Wyliczone braki odnoszą się, jak widzimy, do strony metodycznej i formalnej; pomimo nich książka ks. Dr. Madeji jest cennym nabytkiem dla naszej literatury teologicznej i wprowadza autora do szeregu poważnych pracowników na dość zaniedbanej u nas niwie.

Ks. J. Urban.

Th. Flournoy: Filozofja Williama Jamesa. Z francuskiego przetł. Dr. de Beaurain. Nakł. Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa, 1923, str. 144.
H. Pinard S. J.: La Théorie de l'Experience religieuse. Son évolution de Luther à W. James. Extrait de la *Revue d'Histoire ecclésiatique*, t. XVII. Louvain, 1921, str. 94.

Nazwisko Jamesa jest dosyć znane w Polsce. Popularność swoją u nas amerykański myśliciel mniej zawdzięcza swoim pracom z zakresu teorji poznania. Wprawdzie już w r. 1911 wyszedł w polskim przekładzie jego »Pragmatyzm«, jest to wszakże książka, która może interesować tylko szczupłe koło filozofów z zawodu; natomiast szerszem rozpowszechnieniem cieszą się jego »Doświadczenia religijne«, które w polskim przekładzie J. Hempla zostały wydane w roku 1918 w Warszawie przy pomocy Kasy im. Mianowskiego. U nas bowiem, jak zresztą, i to może w większej mierze wszędzie — budzi się interes do zagadnień religijnych i książka, która już samym tytułem zapowiada sprowadzenie religji w dziedzinę »doświadczenia«, musiała zaciekawić szerszy ogół. Inna rzecz, że wielu poszukiwaczy nowości w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień religijnych mogło się rozczarować po przeczytaniu dzieła Jamesa: szukali może w niem rzeczywistego sprawdzenia przez »doświadczenie«prawdziwości religijnych doktryn, znaleźli zaś po największej części opisy przeżyć osobników anormalnych, wychowanych na protestanckiej pietystycznej mistyce. Na pytanie zaś, czy religja jest prawdą, co nam James odpowie? Posłuchajmy paru formuł. »Bóg nie jest poznawany ani rozumiany, jeno poprostu używany«.Czy Bóg rzeczywiście istnieje? jak istnieje? czem jest? — wszystko to pytania pozbawione znaczenia, ostatecznie bowiem w religji nie o Boga chodzi, ale o życie, o życie bogatsze, szersze, bardziej zadowalające«. W przeżyciach religijnych »człowiek uświadamia sobie, że jego cząstka wyższa stanowi jedność z czemś bez miary wiekszem tego samego rodzaju; to coś, będące potężnym czynnikiem w świecie zewnętrznym, pozwala ze sobą wchodzić w stosunek czynnego współdziałania i zdolne jest wyratować człowieka nawet wówczas, gdy burza życiowa rozbije całą jego istotę niższą«. To »coś bez miary większe« może nie istnieje wcale i doświadczenie religijne, polegające na uświadamianiu sobie jedności z owem »większem« może jest złudzeniem psychologicznem? Na to pytanie próżno szukalibyśmy odpowiedzi w książce Jamesa: stwierdza ona tylko »pożyteczność« przeżyć religijnych dla tych, co je przeżyli; to stanowi »pragmatyczną« prawdziwość religji. Nie zauważył, zdaje się, sam James, że do doświadczenia religijnego, odczucia pomocy w »burzach życiowych«, a przynajmniej do nadziei na taką pomoc, w normalnych warunkach zdolną będzie tylko dusza, skądinąd przeświadczona o istnieniu owego »czegoś wyższego«, t. j. Boga i to Boga osobowego. Tego przeświadczenia nie daje pragmatyzm.

Książka »Doświadczenia religijne«, w myśl pewnych ludzi, ma ratować religijność od ostatecznej zagłady. Trzeba powiedzieć, że ma spełnić zadanie jakiejś dźwigni, za pomocą której człowiek wydostał-

by się sam z trzęsawiska, w którem tonie. Niestety! i dźwignia nic nie pomoże, gdy stałego punktu oparcia dla niej niema.

Nie ratuje wartości religijnego systemu Jamesa również broszura protestanckiego profesora z Genewy, Th. Flournoy'a, usiłująca usystematyzować filozofję amerykańskiego pragmatysty. I w tej broszurze punkt ciężkości położony jest na religijnych zagadnieniach w systemie Jamesa. Rozdziały końcowe, a zwłaszcza »Teizm« i »Wola do wierzenia« — to cel, ku któremu zmierza cały »pragmatyzm« i »empiryzm radykalny Jamesa. Flournoy przedstawia nam Jamesa jako myśliciela, odrzucającego wszelkiego rodzaju monizm i jako człowieka wierzącego w Boga, raczej w wielość jakichś sił pozaświatowych, — nazywa jego wiarę nawet wprost »politeizmem«. Źródła zaś ostatecznego wiary każe szukać nie w rozumie, ani nawet w uczuciu, ale w woli wierzącego. »Należy chcieć rzeczy, których prawdziwość nie jest i nie może być naukowo dowiedzioną ani odrzuconą«; »ma się wolę, mimo, że się nie jest pewnym czy niema omyłki, a jednak trwa się w postanowieniu wierzenia mimo wszystko«. Taki zaś »akt dowolnej wiary, przez powtarzanie, dąży do wytworzenia stanu wiary, będącego początkiem objawienia (?)«. Widzimy z tego przedstawienia, że istotą wiary religijnej byłaby prosta a u t o s u g e s t j a.

Ten końcowy wynik religijnej filozofji Jamesa kompromituje do szczętu apologję wiary, którąby jedynie w pragmatyźmie chciała szukać oparcia. I ci, co sądzą, że popularyzowaniem idei amerykańskiego pragmatysty przysługują się sprawie religji, grubo się mylą. Oni, przeciwnie, podkopują zaufanie do niej rozumnych ludzi, którzy pragną oprzeć swą religję na bezwzględnej prawdzie, a nie na wmawianiu w siebie wiary. Jedną tylko dobrą usługę oddaje popularyzacja Jamesa sprawie religji — to tę, że wykazuje niemoc teoryj, które stoczyły się z granitowej podstawy rozumu i nauki Kościoła, do obronienia religji wobec niewiary.

Źródło tej niemocy i jej rozwój przedstawia nam broszura francuskiego Jezuity, H. Pinarda. Znakomity ten teolog i historyk, którego pióru zawdzięcza »Dictionnaire de théologie catholique« najlepsze swe artykuły, przedstawia w cytowanej broszurze właściwą genezę tego pseudo-mistycznego fideizmu, którego ostatnim wyrazicielem jest James. Luterski dogmat o utracie przez grzech pierworodny zdolności rozumu do poznania Boga, przy równoczesnem odrzuceniu przez ojca reformacji powagi Kościoła, — musiał prowadzić przez kalwińską pretensję asystencji Ducha Św. przy każdym czytelniku Biblji, do metodystycznych wysiłków woli do wierzenia, do autosugestji; wreszcie do pragmatyzmu Jamesa, oceniającego religję jedynie z punktu widzenia korzyści, ale bezsilnego w obronie jej prawdziwości. Jest to w rezultacie »religja« zeświecczona, bo przedmiotem jej nie jest Bóg, godzien wszelkiej chwały, lecz człowiek i jego doczesny pożytek.

Ks. J. Urban.

August Deneffe S. J.: Kant und die katholische Wahrheit. Herder, Freiburg i. Br., 1922, 8°, str. XII + 200.

W r. 1924 przypadnie 200-letnia rocznica urodzin Kanta. Do powodzi dzieł, broszur i artykułów, jakie wyszły dotychczas z pod pióra jego zwolenników i przeciwników, przybędzie zapewne nowa spora fala. Wypadało, żeby i katolicy nie pozostali w tyle. Wielki filozof z Königsbergu oddziałał potężnie na umysły jednych jako twórca nowej epoki, u drugich jako »obrońca« wiary przed zakusami rozumu, a niesłychanie ciemny styl i płynąca stąd niejasność, nadawały poglądom jego pewien urok tajemniczy, zakrywając równocześnie istotne i głębokie niedomagania całego systemu. Podziwiano w nim głębię myśli, nie dostrzeżono tak łatwo braków, a gdy i te wyszły na jaw, wydały się oczom wielbicieli czemś znikająco drobnem, nie chcieli wierzyć, że z niemi zachwiał się cały gmach nowej flozofji.

Braki te wykryto już dawno i autor niniejszej pracy nie miał bynajmniej zamiaru powtarzać oklepane rzeczy. Celem jego było dać w ręce katolików książkę, która w formie popularnej podałaby zarys systemu Kanta i równocześnie przeciwstawiła mu światopogląd katolicki, poparty dowodami w tych zwłaszcza punktach, które szczególnie zostały zaatakowane przez filozofję transcendentalną. Rozpoczyna więc od osoby Kanta, jego życia i rozwoju przekonań, podnosząc silniej te momenty, które dla powyższego celu mają większe znaczenie. Następnie przedstawia zwięźle, lecz dokładnie jego doktrynę filozoficzną, zwłaszcza fenomenalizm i agnostycyzm, szczegółowiej zaś rozbiera »Krytykę czystego rozumu«. Punkt za punktem przechodzi odrazu pod ostrze krytyki, zwłaszcza racje przeciw dowodom na istnienie Boga, przyczem ze względu na tych, którzy w Kancie widzą obrońcę wiary, zaznacza autor, że o ile chodzi o osobiste przekonanie tegoż o istnieniu Boga, nie wiemy nic pewnego, czy je posiadał, czy nie, co się zaś tyczy jego wiary religijnej — chrześcijańskiej, wszystko przemawia za tem, że modlitwą gardził i nazywał ją zabobonem.

Całe to zestawienie, rzeczowe i przystępne, powiodło się autorowi szczęśliwie, tak że książka jego będzie rzeczywiście cenną pomocą dla ogółu inteligentnych katolików. *St. Podoleński.*

Viktor Cathrein S. J.: Katholik und katholische Kirche. Herder, Freiburg i. Br., 1922, In 8° (str. XIII i 364).

Nieznajomość nauki i urządzeń Kościoła, oraz płynące stąd braki w spełnianiu obowiązków względem niego, skłoniły autora do napisania tej książki, będącej jakby dalszym ciągiem innej niedawnej jego pracy pt. »Katolicki światopogląd«. Jednakże podczas gdy ta ostatnia ma zakrój apologetyczny, chce pociągnąć do Boga i Kościoła, to niniejsza książka zwraca się głównie do czytelników katolickich i pragnie dać im głębsze zrozumienie królestwa Bożego. W sposób naukowy, ale przystępny, dostosowany do poziomu inteligentnych ludzi świeckich, przechodzi autor w dwóch częściach: co Kościół daje katolikom i co kato-

licy winni Kościołowi. Kolejno więc rozwija naukę o naturze Kościoła, jego celu, właściwościach i znaczeniu dla jednostki, rodziny, państwa i ludzkości; poszczególne kwestje poparte są dowodami i uwzględniają daleko nawet idące szczegóły. Druga część wylicza i tłómaczy obowiązki, jakie ciążą na katoliku zarówno w życiu prywatnem, osobistem i rodzinnem, jak i w społecznem, politycznem i obywatelskiem. Zwłaszcza ten ostatni dział uwzględniany jest wcale obszernie, autor objaśnia stosunek Kościoła do państwa i stanowisko, jakie wobec tego powinien zająć katolik w dziedzinie prawno-państwowej. Zagadnienie tolerancji religijnej kończy tę zajmującą i pożyteczną książkę, która, podobnie jak inne prace tego autora, doczeka się zapewne niejednego wydania.

Ks. St. Podoleński.

Zdzisław Dębicki: Podstawy kultury narodowej. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 234.

Zdzisław Dębicki jest jednym z tych ludzi, co gorąco kochając swój naród, pragną utrwalenia w nim tego wszystkiego, co jest dodatnie, a usunięcia, co jest ujemne. Duża kultura umysłowa i moralna pozwala mu wczuć się w zbiorową psychikę narodu, zrozumieć jego właściwości, odróżnić ziarno od plewy.

Książka obecnie wydana, podobnie jak i poprzednia »Kryzys inteligencji polskiej«, daje tego dowody. W szeregu rozdziałów, szkicowo rzuconych, daje przegląd tych czynników, które na kulturę narodową się składają, jak to: ziemi, języka, religji, pracy, gniazda rodzinnego, poczucia prawa itd. Może autor tu i ówdzie zbyt wzmocnił kolory, tak czarne jak i różowe; np. wahamy się, czy »siły kultury polskiej« nieco nie przecenił, czy na stan szkolnictwa naszego nie patrzy zbyt pesymistycznie. Rzeczywistość i prawda jest zwykle zbyt szara i płaska — łatwo artyście tej miary, co Dębicki, ulec pokusie uwypuklenia i podmalowania niektórych jej rysów.

Naogół życzyć należy, aby nad przestrogami Dębickiego zastanawiał się ogół polski, aby w jego wskazaniach wyczytał sumę obowiązków swej patrjotycznej pracy. Zwłaszcza na czas obecny najaktualniejszemi są myśli Dębickiego o wartości pracy, o potrzebie wychowania sumienia obywatelskiego w poszanowaniu prawa, o roli Kościoła katolickiego w budowie Ojczyzny i płynącym stąd obowiązku narodu wytrwania przy tym Kościele, który jest właśnie naszym »narodowym« Kościołem.

Ks. J. Urban T. J.

Johann. J. Laux: Der h. Bonifatius, Apostel der Deutschen Herder, Freiburg. Str. XII i 308, z 8 obrazami.

O życiu i działalności św. Bonifacego mamy dużo dzieł naukowych i popularnych, większych i mniejszych, więcej jeszcze monografij roztrząsających pewne pytania dotyczące wielkiego Apostoła Niemiec. Książkę obecną możnaby śmiało nazwać popularnem streszczeniem

wyników dotychczasowych badań historycznych nad jego osobą i czynami. Autor podaje na końcu spory wykaz źródeł pierwszorzędnych, z jakich korzystał, a w ciągu opowiadania wskazuje dokładnie, skąd zaczerpnął daną wiadomość, ułatwiając tym sposobem jej krytyczne sprawdzenie. Z pośród tych źródeł na szczególną uwagę zasługują listy św. Bonifacego, wydane niedawno w Berlinie przez prof. Tangla. Pozwalają one bliżej wglądnąć w całą psychikę świętego, odczuć ją i jakby bezpośrednio zetknąć się z nią. Oparty na podstawie ścisłych badań historycznych, żywot ten napisany jest nie tylko przystępnie ale i z pewnem ciepłem właściwem autorowi, który zna i kocha pierwszy okres średniowiecza, czego dowodem są i inne jego dzieła. Tło dziejowe, charakterystyka czasu, odmalowane barwnie, czynią postać bohatera wyrazistą i zrozumiałą. Dramatyczne ugrupowanie osób drugorzędnych ożywia rozwój wypadków. Przejrzysty podział daje możność szybkiego, łatwego przeglądu całości, a piękne ryciny uwieńczają dzieło. Dobrze byłoby, gdyby autor w następnem wydaniu dodał kartę historyczną ziem, jakie były głównym terenem pracy Świętego.

X. X.

Korbel—Sawicki: Atlas geograficzny. Kraków, 1922. Nakładowa księgarnia geograficzna »Orbis«

Z trzech dotychczas istniejących atlasów geograficznych polskich, przeznaczonych dla szkół średnich: Kozenn'a, prof. Gustawicza i prof. Romera, tylko ostatni jest wykonany do pewnego stopnia oryginalnie. Obecny nowy atlas, którego pierwszy zeszyt wyszedł, jest bardzo znacznym krokiem naprzód pod tym właśnie względem w polskiej kartografji. Odznacza się on nadzwyczajną starannością i dokładnością oraz oryginalnością w wykonaniu map. W porównaniu do atlasu prof. Romera ma przedewszystkiem tę zaletę, iż kreskowanie, uwydatniające tak dobitnie góry i całą rzeźbę terenu, wykonane jest bardzo sumiennie i szczegółowo. Wystarczy np. przypatrzyć się rysunkowi Tatr na tablicy II, by zdać sobie sprawę ile pracy i trudu musiał sobie autor zadać, by tak wyraźnie i starannie każdą kreseczkę wykonać. Kto miał do czynienia z rysowaniem map ten potrafi ocenić trud, jaki kosztuje tego rodzaju rysunek. Jestto nadzwyczaj cenną zaletą pod względem pedagogicznym, gdyż uczeń mający przeważnie po raz pierwszy do czynienia z mapami, na pierwszy rzut oka odrazu może sobie uprzytomnić kształt gór z lotu ptaka, uwypuklonych tak starannie rysunkiem. Inną zaletą nowego atlasu jest koloryt, nader powabny i miły, który z jednej strony uwydatniając różnice hypsometryczne nie zaciera, ani zaciemnia kresek, jak się to czasem na niektórych mapach zdarza. Różnice kolorytu są może na niektórych mapkach nie dosyć silne i nie wystarczająco może jeszcze zaznaczają różnice poziomu. Da się to jednak łatwo poprawić w dalszych zeszytach. Bardzo pedagogicznie jest również pomyślana i wykonana mapka 3. na tablicy V. uwydatniająca w zr[illegible] sposób różnicę między [illegible]

nośnemi wiatrami. Tego rodzaju przedstawienia nie znalazłem zupełnie w literaturze kartograficznej. Niemiłą zato pewnie dla autora pomyłką ze strony wykonawców jest, iż na tej samej tablicy na mapce 1, zapomniano podać roku trzęsień ziemi zaznaczonych napisem. Cały szereg szczegółów wskazuje, jak starannie i oryginalnie pomyślane jest konkretne ujęcie niektórych zjawisk geograficznych lub odnoszących się do biogeografji pod względem pedagogicznym. Tak np. różnica wielbłądów jedno i dwugarbnych (Tabl. VIII. 2.), uwydatnienie ziemniaków lub palm daktylowych (Tabl. VIII. 1.), uprawy okopowej (Tabl. VII. 4.) ras ludzkich, gęstości zaludnienia, roślinności itd.

Nakoniec trzeba przedewszystkiem z satysfakcją zaznaczyć fakt, iż autor potrafił połączyć te zalety w wykonaniu z zadziwiająco niską ceną. Jeśli się rozważy jak wysokie są ceny tamtych trzech atlasów polskich, to rzeczywiście niktby się nie dziwił, gdyby ten atlas znacznie więcej kosztował. *Ks. M. Skibniewski.*

Dr. Adam Wojnicz: Łuck na Wołyniu. Opis historyczno-fizjograficzny. Łuck, 1922.

Wielką jest obecnie zasługą przyczyniać się tego rodzaju pracami opisowemi do rozszerzania znajomości różnych okolic i pamiętnych miejsc naszej ojczyzny. Powyższa książka zasługuje jeszcze na uwagę z powodu starannego wydania. Papier dano stosunkowo dobry, a obfitość pięknie wykonanych rycin, podnosi wartość treści. Widać jednak z tej ostatniej, iż autor, jako doktór medycyny, bardziej się zajął przedstawieniem stron odnoszących się do swego fachu. Pewnie taki opis zajmie bardzo lekarzy. Trzeba jednak zauważyć, iż opis geograficzno-historyczny, więcej by może odpowiadał zainteresowaniu ogółu.

Co do historji, zwłaszcza szkolnictwa, należałoby jednak zauważyć, iż opuszczone jest jedno bardzo ciekawe, cenne i rzadkie źródło, które żadną miarą nie powinno było być pominięte. Mianowicie w *Kurjerze litewskim* z roku 1833, n. 16, znajdujemy nadzwyczaj charakterystyczny opis otwierania szkół z początkiem roku szkolnego. Tak uderzająco na każdym kroku tego obrazu przebija się całe systematyczne dążenie rusyfikacyjnego systemu minionych czasów. To zupełne pominięcie języka polskiego i wpajanie idei rosyjskiej niezwykle silnie się odbija. Jest to wielki brak w tem pięknem dziełku i nie do przebaczenia usterka. Przynajmniej w przyszłem, na końcu książki zapowiedzianem wydaniu, powinno się to w całości znaleźć.

Nadto daty zniesienia niektórych klasztorów nie są zbyt dokładne (np. OO. Dominikanów), coby z łatwością dało się usunąć. Zbyt mało znaleźliśmy szczegółów o obecnym stanie Łucka w odrodzonej Polsce, coby dziełko czyniło na przyszłość jeszcze bardziej cennem.

M. S.

Ks. Jan Gnatowski: Z Polski do Rzymu. Papież Pius XI. Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 120.

Do napisania książeczki o Piusie XI przystąpił autor, który mógł stykać się często z Mgr. Rattim w Warszawie i zdobył niemało faktycznych danych do skreślenia szkicowej biografji papieża. Literacka intuicja i żywy styl, trochę retoryki miały dopełnić reszty. Niestety, zakradły się poważne niedokładności i błędy. Tak np. autor uśmiercił poprzednika Mgra Ratti'ego, O. Ehrle, który wszakże żyje dotąd; nazwiska poprzekręcane, np. zamiast Carling — Carlen, zamiast Genocchi — Genouhi (kilkakrotnie), Bouffał na Bonffał; nazwa czasopisma *Roma e l'Oriente* przekręcona na »Eccodel Oriente« (?); biskup ruski Bocian stał się, mimo swej woli, bazyljaninem, niektóre domysły wzięte z powietrza, jak np. że ks. bp. O'Rourke, »przyswoił sobie dostatecznie język łotewski«. Zapomniał autor, że w chwili wyjazdu Mgr. Ratti z Polski, nasi dwaj purpuraci już dawno nosili purpurę, podczas gdy autor nazywa ich »kardynałowie nominaci«. Gdzie brakło faktów, albo gdzie o ważnych faktach nie wiedziało się, tam wystarczają autorowi ogólniki, Tak nic określonego nie umiał powiedzieć o działalności kard. Ratti na stanowisku arcybiskupa Medjolanu, o stosunku nuncjusza do naszej diecezji podlaskiej.

Książeczki nie można uważać za udaną. *J. K.*

Prof. Dr. Felix Haase: Russische Kirche und Sozialismus. Wyd. »Osteuropa-Institut« we Wrocławiu, B. G. Teubner, Leipzig—Berlin, 1922, 8°, str. 44.

Prof. Dr. F. K. Neubecker: Russisches und Orientalisches Eherecht. Wydanie, jak wyżej, 1921, 8°, str. 18.

Osteuropäische Bibliographie für das Jahr 1920. Wydanie, jak wyżej, 1921, 8°, str. VII + 51.

1. Opracowując większe studja nad dziejami umysłowości rosyjskiej, prof. F. Haase w międzyczasie wydał zeszyt, zawierający pewien ich fragment, mianowicie rzecz pt. »Russische Kirche und Sozialismus«. W krótkim wstępie za punkt wyjścia dla siebie bierze zgoła odmienne ustosunkowanie się socjalizmu do społeczeństwa w Niemczech a w Rosji, gdzie tylko niedawno odpowiednia akcja przeciwsocjalistyczna zainaugurowaną została. Prof. H. rozporządza obfitym materjałem dla kwestji omawianej, naturalnie pochodzącym z doby przedwojennej, bo, wraz z nastaniem rewolucji bolszewickiej, słowo pisane Cerkwi zmuszone było zupełnie zamilknąć.

Późno wkroczył w Rosji na arenę ścierania się wpływów na bieg spraw państwowych rosyjskich robotnik fabryczny, jednak rychło, dzięki brakowi wszelkiego programu pozytywnego u władz rządzących, doszedł on do niebywałego wpływu. Milowe kroki tych przemian, jakie uczyniła od r. 1900 Rosja, usprawiedliwiają poniekąd nieprzygotowanie ociężałego kleru rosyjskiego do roli, która im w tym czasie przypadła. Z dużą dokładnością i poczuciem miary, umiał autor, zamiast ścigać tak lubiącą manowce społeczną myśl rosyjską, skoncentrować

swą uwagę na najważniejszych jej kierunkach, które kształtowały życie ostatniego dwudziestolecia. Prof. H., acz nie fachowy socjolog, doskonale zna socjalizm i często w swem dziełku wykazuje dwulicowość socjalizmu względem religji. Właściwie mówiąc, ta dwulicowość stanowi, naszem zdaniem, największą i najpoważniejszą dziś przyczynę, dla której Cerkiew i Kościół, uznając niektóre pierwiastki dobra i prawdy w doktrynie socjalistycznej (przeważnie gdzieindziej zapożyczone), mimo to negatywnie ustosunkowują się do socjalizmu praktycznego. Pod tym względem stan rzeczy w Rosji nastręcza niejedną analogję ze stosunkami na Zachodzie. Bardzo słusznie prof. H. za warunek konieczny zwycięstwa idei chrześcijańskiej uważa nie organizację walki, lecz przedewszystkiem obecność w akcji ducha chrześcijańskiego, jedynie mogącego dokonać dziś przeobrażenia opłakanych stosunków społecznych. Duże rozdźwięki i różnice w ujęciu chrześcijańskiej akcji społecznej wśród samej Cerkwi dają sposobność autorowi wypowiadać się raz po raz zasadniczo na temat najaktualniejszych zagadnień chrześcijańskiej socjologji. Wszędzie prof. H. występuje jako rzecznik solidarności, symbjozy i spółpracy, które jedynie mogą wyprowadzić ludzkość dzisiejszą z odmętu walk.

Kilka zastrzeżeń nasunęło się nam przy czytaniu tej broszury. Tak np. idealizacją jest ogólnikowe nazywanie *die treuen Diener des Zaren* (str. 20), podpór tronu Mikołaja II; niesłuszną nam się wydaje ujemna opinja autora w potępianiu przez Tołstoja wojny (str. 23), jak też niektóre jej motywy; nie godzimy się również na to, że cierpienie zwiększa się przez świadomość swej odległej a dającej się usunąć przyczyny, a zmniejsza się wobec nieubłaganej jego konieczności. Dwa wyraźne błędy prostujemy na miejscu: w Kijowie przed wojną wychodziły »Trudy Kijowskiej Duchownej Akademji«, a nie »der Kiewer Akademie der Wissenschaften« (str. 2), patrjarchą w Rosji jest nie Silvester (str. 43), lecz Tichon.

2. Zestawienie prawa małżeńskiego, dokonane przez prof. Neubeckera w Heidelbergu, przeznaczone było do zamierzonego kwartalnika *Osteuropäisches Archiv*. Gdy jednak to wydawnictwo zostało odłożone na czas nieokreślony, powyższy szkic porównawczy ukazał się osobno, jako jeden z zeszytów w serji »Recht und Wissenschaft« tego instytutu we Wrocławiu. Odrębność prawodawstwa na Wschodzie Europy oddawna były przedmiotem studjów prof. N., dlatego w pracy niniejszej pewną ręką zestawia on podobieństwa i różnice, oraz wnika w motywy prawa małżeńskiego w Rosji i na Wschodzie Europy. Nie jest to suchy wykład przedmiotu z masą cytat i obfitością wywodów, lecz zwięzłe, na tle zainteresowań współczesnych, wprowadzenie laika w świat prawnych stosunków między małżonkami tak w Rosji, jak też w państwach Bałkanu. Prof. N. ma niemało do powiedzenia na obrany temat, bo ostatniemi laty na Wschodzie Europy rozbudowywano prawodawstwo małżeńskie i nie rychło się chyba zakończy ta praca prawodawcza.

Objawem bardzo pocieszającym jest, że taki znawca prawa mał-

żeńskiego, jak prof. N., uważa za idealne i najlepsze, w równej mierze dla społeczeństwa i jednostek, ujęcie małżeństwa przez prawodawstwo Kościoła.

3. Przez wydanie »Osteuropäische Bibliographie für das Jahr 1920« w znacznej mierze ułatwionem zostało zadanie tych wszystkich, którzy się interesują Europą wschodnią. Wiadomości bibljograficzne ugrupowane są według poszczególnych gałęzi życia społecznego, przyczem każda z tych podzielona jest jeszcze według państw i narodów. Najpracowitszą rzeczą było zestawić materjał, rozsiany po przeróżnych czasopismach w Niemczech i gdzieindziej. Zupełnie jest widoczną racjonalna tendencja wydawnictwa uwzględnić jak najdokładniej literaturę w językach poszczególnych krajów. *Ks. Wł. Tołoczko.*

Prof. Dr. K. Holl: T o l s t o i n a c h s e i n e n T a g e b ü c h e r n. (Osteuropainstitut in Breslau). B. G. Teubner, Leipzig—Berlin, 1922, 8°, str. 23.

Bez wstępu, odrazu *in medias res,* prof. Holl przystępuje do skreślenia duchowego portretu mędrca z Jasnej Polany, przypominając, że już dziesięć lat upłynęło od jego śmierci. Oczywiście będzie to portret nie olejny, mający pretensję od utrwalenia na płótnie całej różnobarwności życia, lecz tylko ołówkowy. Nie zmniejsza to jednak wartości pracy prof. H., boć największą zaletą każdego portretu, bez względu na sposób jego wykonania, jest przecie pochwycone podobieństwo portretowanego. Są to nowe przyczynki, odnoszące się do lat 1847—1852, gdy Tołstoj był »im Werden«, i do 1895—1899, gdy już był starcem, skreślone na podstawie dzienników, ogłoszonych w r. 1917.

Ołówkowy ten portret oczywiście nie ma pretensyj do przedstawienia nam wszystkich linij duchowego oblicza Tołstoja, poprzestaje on na wykazaniu tych, które w nich są zasadniczemi, i co przybyło do ich wyrazistości z opublikowania dwóch powyższych przyczynków wyjętych z jego dziennika. W ten sposób poznajemy najintymniejsze poglądy, wrażenia, odczucia i przeżycia Tołstoja. Na całej linji dużo u niego przesady, rygoryzmu, prymitywizmu, chociaż równolegle widać silne, iście tołstojowskie, dążenie do jak największej jasności. Prof. H. dobrze przetrawił treść pamiętników rosyjskiego myśliciela-pisarza i dlatego subtelnie kreśli niełatwe do rozgraniczenia, wewnętrzne przemiany w duszy Tołstoja. Przemian i przeobrażeń było w niej wiele i to do ostatniej chwili życia, z czego wnosić można, że jeśliby mędrzec jasnopolański jeszcze pożył, mógłby rychło zgotować duże niespodzianki. Na podstawie cytat z jego dziennika, wypada też skorygować rozpowszechniony, oparty na jednej enuncjacji pisarza, a mimo to błędny pogląd, że od 16 roku przestał on się modlić: właśnie o modlitwie Tołstoja nieraz mówią późniejsze kartki jego dziennika. Naogół tak liczne zalety, jak i wielorakie braki umysłowości Tołstoja (błędne pojęcie chrystjanizmu) umiejętnie podsumowane przez prof. H., dają mu możność jędrnie a trafnie odpowiedzieć na rzucone pytanie: ***Was ist also Tołstoj?*** *Ks. Wł. Tołoczko.*

Kazimierz Morawski: Zarys literatury rzymskiej. Gebethner i Wolff. 1922, str. IV i 412 in 8°.

Jeżeli w książkach należących do typu podręczników przyzwyczailiśmy się szukać skrótów czy wyciągów suchych, bezbarwnych, nieosobistych, a stąd o kilka pięter niższych od dzieł owianych duchem prawdziwej wiedzy, to »Zarysu literatury rzymskiej« Prof. Kazimierza Morawskiego do prac powyższej kategorji zaliczyć żadną miarą nie można. Czcigodny autor jest indywidualnością zbyt żywą i bogatą, żeby mógł poprzestać na jakiemś martwem streszczeniu wyników badań czy to cudzych, czy nawet własnych. »Zarys« jego jest nie tyle wyciągiem czy skorowidzem poglądów czy zdobyczy naukowych w danej dziedzinie, ile raczej ekstraktem tej ogromnej osobistej wiedzy, jaką sobie zdobył nietylko niezmordowaną pracą długiego życia, ale tem serdecznem ukochaniem przedmiotu, które go zawsze cechowało. Na każdej kartce książki jego znać to, co sam mówi o sobie w przedmowie do pierwszego tomu Historji literatury rzymskiej, że »z ludźmi, o których pisze, bardziej lub mniej zażyle obcował przez życie całe«, a obcował nie jak z martwemi zabytkami przeszłości, ale jak z dobrymi przyjaciółmi, których nawskróś poznał i odczuł, którzy wyspowiadali się przed nim ze wszystkich tajemnic nietylko swej twórczości literackiej, ale swej duszy. Każdy autor jest mu osobistością żywą i jak żywy staje przed czytelnikiem; o każdym ma sąd nie banalny i na konwencji naukowej oparty, ale własny, a bardzo dojrzały, bo latami formowany i uzupełniany, sąd, który znajduje sobie wyraz w setkach spostrzeżeń, oddających najtrafniej jednem słowem lub zdaniem cały charakter pisarza czy wartość dzieła, czy nastrój umysłowy jego czasów. A przy ocenie dawnych pomników nie brak poglądów na rolę, jaką one odegrały w całokształcie dziejów ludzkiej kultury, nie brak też zaznaczenia związków, które istnieją lub istnieć powinny między myślą starych Rzymian, a potrzebami duchowemi nowych czasów. Z wielką przyjemnością stwierdzamy, że rozdziały traktujące o literaturze chrześcijańskiej (autor przeciąga swój zarys aż do roku 600 po Chrystusie) wypadły szczególnie ciepło i z głębokiem zrozumieniem tego, co chrystjanizm wniósł w starożytny świat myśli. Jak książka prof. Morawskiego — znać to dość wyraźnie — pisana była *currenti calamo*, bo z pełni wiedzy już zdobytej, tak czyta się ją jednym tchem, bez znużenia, a z ogromnym pożytkiem. Jeżeli coś tylko można wytknąć, to chyba to jedno, że sądy są zbyt subtelne i zbyt wyrobione, aby mogły być w pełni ocenione przez czytelnika, który szuka tylko »ogólnego wykształcenia«. Ale jeśli nie wszyscy wszystko zrozumieją, to szczere umiłowanie klasycznej literatury, bijące z całej książki, może niejednego zachęci do zapoznania się z oryginałami, lub do dalszych studjów, do których autor źródła wskazuje. W obszerniejszą recenzję wdawać się tu nie możemy, ale pragniemy gorąco, żeby wyborne dzieło Prof. Morawskiego dostało się do rąk jaknajliczniejszych polskich czytelników i dopomogło do ustalenia tej opinji, że w literaturze starożytnej są

skarby myśli i słowa, których bez wielkiej szkody dla prawdziwej kultury nie można usuwać z programu nauk młodego pokolenia. *J. R.*

Homer. Odyssej a w przekładzie Lucjana Siemieńskiego, opracował Tadeusz Sinko. Str. XLVIII i 353.
Aischylos. Prometeusz skowany w przekładzie Jana Kasprowicza, ze wstępem prof. Stan. Witkowskiego. Str. 155.
Eurypides. Medea opracował Bogusław Butrymowicz. Str. 94.
Arystofanes. Rycerze opracował B. Butrymowicz. Str. XLV i 96.
Arystofanes. Ptaki przełożył B. Butrymowicz, ze wstępem K. Morawskiego. Str. 146.
Molier. Mizantrop opracował Tadeusz Żeleński (Boy). Str. 143.
Molier. Skąpiec opracował T. Żeleński (Boy). Str. 125.
Wiljam Szekspir. Antoniusz i Kleopatra opracował Władysław Tarnawski. Str. 212.
Wiljam Szekspir. Burza opracował Andrzej Tretjak. Str. 175.
Leonard Sowiński. Wybór poezyj opracował Władysław Bryda. Str. 148.
Wincenty Pol. Mohort wstępem i objaśnieniami zaopatrzył prof. Dr. A. Łucki. Str. XXXIV i 144.
Ignacy Krasicki. Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki opracował B. Butrymowicz Str. 192.
Antoni Malczewski. Marja opracował Józef Ujejski. Str. LIII i 99.
Seweryn Goszczyński. Król zamczyska opracował J. Tretjak. Str. 136.
Władysław Syrokomla. Wybór poezyj opracował F. Bielak. Str. 317.

Ruchliwa zawsze krakowska spółka wydawnicza w serji »Biblioteki narodowej« wydała ostatnimi czasy szereg książek, z któremi zaznajomić pragniemy czytelników. Na czoło wysuwa się Odysseja.

Znakomity filolog i krytyk prof. Sinko jeszcze przed wydaniem »Uczty Trymalchjona« sprawił nam niedawno prawdziwą ucztę, wydając i broniąc od zapomnienia przekład Iljady Dmochowskiego, teraz znów opracowując ze zwykłem sobie zamiłowaniem i mistrzowstwem Odysseję, zyskuje sobie nowy tytuł wdzięczności przez trafne wykazanie zalet tłumaczenia L. Siemieńskiego. Zdaniem tego uczonego Odysseja Siemieńskiego »pozostanie na wieki polską Odysseją, jak polską Iljadą jest przekład Dmochowskiego« (str. XLIV). Opinję tę podzieli pewnie każdy kto uważnie wczyta się w przekład wykwintnego poety, tak jeszcze świeży, a już zdobywający sobie czcigodną patynę nieśmiertelności. Dziwna rzecz! Jak wczytywanie się Mickiewicza w Iljadę Dmochowskiego przyczyniło się do powstania Pana Tadeusza, tak znów Siemieński z lektury Pana Tadeusza zaczerpnął wdzięk i siłę, którą odznacza się przekład Odysseji. Ten rys odnajdzie z łatwością czytelnik, porównujący oba utwory. Słusznie w tem zbliżeniu do arcydzieła naszej rodzimej literatury upatruje prof. Sinko największą pochwałę Odysseji Siemieńskiego. Ale prof. Sinko nie ogranicza się na objaśnieniu samego przekładu. Jak we wstępie do Iljady bronił od »rozproszkowania« Homera, tak tutaj przekonywującemi dowodami stwierdza, że oba eposy jednego musiały mieć autora, że Odysseja jest uzupełnieniem Iljady, od tego samego Homera pochodzącem. Ciekawy ustęp stanowi też omówienie terenu »Odysseji«, na podstawie najświeższych badań i wykopalisk.

Nieśmiertelny utwór Ajschylosa: Prometeusz skowany, doczekał się dopiero w najnowszych czasach godnego siebie przekładu. Kasprowicz, natura pokrewna attyckiemu mistrzowi, przeniósł żywo w skarbiec literatury naszej perłę helleńskiego tragika. Wstęp prof. Witkowskiego mimo pewnych braków w rozkładzie tematu, odznacza się gruntowną erudycją i wyczerpującem opracowaniem treści. Szczególną jego zasługą jest wyjawienie na podstawie najnowszych badań ideji przewodniej »Prometeusza«, którego tak długo mylnie brano za apoteozę buntu przeciw Bogu.

Zdolny literat prof. R. Butrymowicz daje nam swe nowe tłumaczenia »Medei« Eurypidesa oraz dwóch komedyj Arystofanesa »Rycerze« i »Ptaki«. Wstrząsająca tragedja »Medeja« dosyć słabo wychodzi w przekładzie. Polot poetycki naogół w nim niewielki, co jednak częściowo nagradza jędrność stylu i wysłowienia. Przekład psują sztuczne nowotwory językowe i złożenia słów pretensjonalne (tak np. »msta« zamiast zemsta, »zrząd« zamiast zrządzenie, »sercem kamienne« itp.). Znacznie lepsze stylowo są przekłady »Rycerzy« i »Ptaków« Arystofanesa. Do dziś dnia nie straciły te komedje na aktualności dla bujnego humoru i żywości akcji. Historja się powtarza: I dziś jeszcze mogłyby »Ptaki« przestrzec spółczesną Grecję przed zbyt wybujałemi planami zdobywczemi, które jak przed dwoma przeszło tysiącami lat, tak i w naszej dobie sprowadziły na ten naród ciężką katastrofę. Powiększa zainteresowanie ta okoliczność, że są one zarazem czarowną baśnią wyrażającą wieczną tęsknotę myśli ludzkiej za niedostępną w tem śmiertelnem życiu, krainą ideału. W tłumaczeniu »Ptaków« osiąga prof. Butrymowicz największy wdzięk i gładkość wysłowienia. Rażą tylko gdzieniegdzie ślady dawniejszej maniery, sztuczne archaizowanie wyrażeń, nie zawsze szczęśliwe. Do przesytu powtarzane słowo »ninie« psuje wrażenie. Niektóre brudne i drastyczne miejsca oryginałów należało opuścić. (Także nota do »Ptaków« str. 97 wielce niestosowna.) Zato wstęp napisany przez prof. Kazimierza Morawskiego, niestrudzonego pracownika na polu literatur klasycznych, wstęp łączący lekkość formy z głęboką i wyczerpującą treścią, zasługuje na pełne uznanie.

Rok jubileuszowy Moliera († 1622) wywołał większe zajęcie się znakomitym komedjopisarzem francuskim. Niestrudzony Boy daje nam dwa przekłady arcydzieł Moljera »Mizantropa« i »Skąpca«, zaopatrując je we własne wstępy i objaśnienia krytyczne. Oba przekłady stoją nie tylko na wyżynie nowoczesnej poprawności, ale są wprost świetne, wiersz w tłumaczeniu Mizantropa lekki i potoczysty, pełen wdzięku, prostoty i literackiej finezji; w swoim rodzaju nie ustępuje mu jędrna i gładka proza przekładu »Skąpca«. Komedje Moljera odkrywając oku widza głębokie tajniki ludzkiego serca, gdzie komizm często splata się z tragicznością, zasłużyły istotnie na staranne opracowanie. Wstępy Boya nacechowane gruntowną ścisłością badań i erudycją odsłaniają nam upływy osobistych przeżyć Moljera w Mizantropie, wykazują zalety artystyczne obu komedyj i stanowią wyborny komentarz do zrozumienia ich genezy zalet oraz środowiska, wśród którego po-

wstały, wyborna zwłaszcza jest analiza skąpstwa jako wady, nie tak prostolijnej, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Do dziś dnia ani »Skąpiec« ani »Mizantrop« nie stracili nic ze swej aktualności, a czasy wojenne i powojenne nawet stwierdziły tę prawdę, że nawet błędy ludzkości mają swoją »nieśmiertelność«...

Więcej jeszcze zajmującemi są świeże wydania »Antonjusza i Kleopatry« oraz »Burzy« Szekspira.

Potężny ten genjusz, ze względu na ogólno ludzki charakter swych utworów jest poniekąd własnością wszystkich i dlatego słusznem jest staranie, ażeby przez dobre przekłady i objaśnienia uprzystępnić go i naszej społeczności. To też mile powitać musimy nowe tłumaczenie »Antonjusza i Kleopatry« Władysława Tarnawskiego, odznaczające się gładkością wysłowienia i poprawnością literacką. Sam autor przekładu zaopatruje go we wstęp i objaśnienia, odtwarzając przed nami środowisko, wśród jakiego tragedja powstała i zaznajamiając z jej układem. Po wszystkie czasy żywa postać zniewieściałego władcy wschodu i Kleopatry jest jakby smutnem echem historji starej Adama, któremu zbytnia miłość ku małżonce odbiera hart woli i wytrąca go z raju. Wstęp do »Burzy« prof. Tretjaka bardziej jeszcze wyczerpująco odsłania przed nami czasy renesansu literatury w Anglji i dotąd tylu mrokami spowitą postać Szekspira. Wysoce uczona analiza »Burzy« daje nam lepiej odczuć jej piękno i prawdę życiową, ukazuje jej autobiograficzne znaczenie oraz motywy wewnętrzne arcydzieła, które uwieńczyć miało długoletnią pracę artystyczną olbrzyma północy. Przekład Tarnawskiego słusznie wybrany został jako najlepszy do tak poprawnej edycji.

Bliższemi sercu Polaka są następujące dzieła rodzimych naszych autorów. Mamy tu wybór poezyj L. Sowińskiego.

W czasie, kiedy wspaniały obraz Kossaka przedstawiający obronę Woli odsłonić nam ma czcigodną postać jenerała inwalidy, wydaje Bibljoteka narodowa wiązankę poezyj jego krewniaka. Dotychczas były one mało znane ogółowi czytelników, a przecież niemal wszystkie odznaczają się szlachetną tendencją i namiętnem wyrywaniem się do ideału, od którego życie tak często bywa dalekiem. Wstęp mimo pewnego braku przejrzystości w układzie, podaje wyczerpująco wiadomości o życiu i ocenę twórczości Sowińskiego. Wyobraźnia tego poety nie odznacza się mocą, w treści znać mocno wpływ wielkich romantyków zwłaszcza Krasińskiego, przecież styl jędrny, nie pozbawiony jest uroku oryginalności. Dlatego zbiorek ten czyta się z prawdziwem zajęciem. We wierszach religijnych obok głębokiej pobożności, uderzy czasem fałszywy ton, już to jako pewien odcień pessymizmu (Nirwanista), lub brak zrozumienia nadnaturalnego świata łaski. Poeta wyraża się do Boga: »Ojcem nazywać śmiem Ciebie, Bom z tchnienia Twego stworzony« (str. 139). Wiemy przecież, że mamy większy tytuł do nazywania Boga Ojcem, a tym jest nie stworzenie, lecz odrodzenie z Ducha św. przez łaskę, mocą której nie tylko nazywamy się synami Bożemi, jak mówi św. Jan, ale też niemi jesteśmy.

Nie mniej interesującem jest nowe wydanie Mohorta.

Stepy Ukrainy i brzegi Dniestru na zawsze drogiemi pozostaną sercu i pamięci każdego Polaka. Bije z nich nie tylko czar poezji ale i echa wielkich świetlanych czasów potęgi Rzeczypospolitej, a jakby ostatnia łuna rozpromienia je rycerska postać księcia Józefa, walczącego o honor Polaków. Na tle tak bliskiem nam, postać Mohorta, co jak czujny żuraw stoi na straży kresów, postać ostatniego z »rycerzy«, nabiera znaczenia symbolu, promienieje wdziękiem siły i tężyzny narodowej. Pol samym wyborem tematu, pietyzmem dla swego bohatera, a wreszcie prostotą swej gawędy zdobył dla niej nieśmiertelność. To też wdzięczność należy się »Bibljotece narodowej«, że w starannem wydaniu podaje nam Mohorta w czasie, kiedy świeże boje na polach Ukrainy pamięć przeszłości ożywiły. Pełen erudycji wstęp odsłania dobrze środowisko w jakiem powstał utwór, jego zalety i usterki, a przez to stanowi wdzięczne ramy do ukraińskiej gawędy.

W historji literatury naszej wielkie znaczenie mają »Przypadki Doświadczyńskiego«, jako pierwsza powieść polska w szerszem znaczeniu tego wyrazu. Ciekawa ona i z tego względu, że była pisana niedługo po pierwszym rozbiorze i bystry umysł spostrzegawczy Krasickiego odsłania nam żywo niejeden smutny rys ówczesnego życia społecznego, które w znacznej części przyczyniło się do katastrofy dziejowej. W umiejętnie napisanym wstępie prof. Butrymowicz pominąwszy znane szczegóły życia samego autora zajmuje się genezą dzieła i tłem, na którem powstało. Z uznaniem przyjąć należy podobiznę pierwszego wydania z r. 1776. Dziś jeszcze mimo ogromnego rozwoju powieści ze zajęciem czyta się przygody naszego »polskiego Robinzona« i »Guliwera« i podziwia niezmącony humor autora, piszącego swą narodową powieść — w Berlinie.

Owiany czarodziejską tęsknotą pól Ukrainy, poemat Malczewskiego doczekał się pięknego wydania w opracowaniu profesora, który obdarzony głębokiem odczuciem poezji, napisał wstęp zlewający się z treścią Marji jakby w jakąś organiczną całość. Komentator odtwarza nam naprzód burzliwe życie poety »ukraińskiego« i kolegi jego twórczości, oświetla genezę psychologiczną, historyczną i literacką jego arcydzieła, wyjaśnia kompozycję poematu na podstawie sumiennych badań, wykrywa wysokie zalety »Marji« oraz usterki w jej osnowie. Cennem szczególnie jest wykazanie bezpodstawności dotychczasowej krytyki, która niemal że odmawiała znakomitemu poecie znajomości praw języka polskiego i czyniła zeń na poły obcokrajowca z trudem tylko władającego polską mową. Sumienność wydawców uwzględniła nawet właściwą poecie odmienną interpunkcję, niepotrzebnie jednak, zdaniem naszem, wprowadziła na nowo zabłąkanych »księży« na weneckie zapusty. Przy niejasności pewnej Malczewskiego w niektórych zwrotach, trudnych do zrozumienia, cenne są też trafne wyjaśnienia komentatora, umieszczone u spodu stronicy. Trafne również są zestawiania wpływów, jakie działały na Marję, np. Byrona, albo Mickiewicza. Dobrzeby było tylko, gdyby prof. Ujejski zajął się wpływem, jaki

Marja wywarła na obce literatury; przecież np. w poezji Puszkina wpływ ten bardzo wyraźnie się zaznacza.

Są utwory, z których tryska tak pełnym płomieniem żar patrjotyzmu, że zdają się być słońcami które wszystkie pokolenia ogrzewać będą dobroczynnym swym wpływem. Do takich należy »Król zamczyska« poety-rycerza, Goszczyńskiego, co jeden z pierwszych zażegł łunę listopadowego powstania, a kiedy inni stracili wiarę po jego upadku i opuszczali kraj, on został by gotować nową walkę przeciw drugiemu ciemięzcy. Obok tendencji szlachetnej posiada »Król zamczyska« i styl przedziwny wzbijający się prostotą nad napuszone okresy Krasińskiego. To też mile powitać należy nowe wydanie tego dzieła w opracowaniu tak znamienitego literata, jakim jest prof. Tretiak. Ciekawą nowość znajdujemy w tem wydaniu: dwie ryciny starannie wykonane, objaśniające tekst. Jest to prawdziwa ozdoba książeczki i życzyćby należało wydawnictwu, aby i w innych tomikach, gdzie trzeba, podobnemi niespodziankami raczyło czytelnika.

W serji wydawnictw »Bibljoteki narodowej« nie mogło zbraknąć Syrokomli. Zbyt silnie zapisała się w pamięci polskiego czytelnika postać »poety serca« litewskiego gawędziarza, co mimo swej prostoty, a może przez nią właśnie, na zawsze zyskał sobie sympatję naszego społeczeństwa. Trafnie dokonany wybór poezyj Syrokomli, umiejętnie napisany wstęp czynią książkę tę ze wszech miar godną zalecenia. Na jedno tylko zgodzić się trudno: Prof. Bielak przypisuje Syrokomli niesłusznie »doskonałą« znajomość łaciny (str. 33) i zbyt wynosi zalety przekładów poety. Tymczasem według oceny nowszej krytyki, tłumaczeń Janickiego i Sarbiewskiego, dokonanych przez Syrokomlę na serjo brać nie można. Kondratowicz zanadto »syrokomlizuje« obu autorów, zacierając ton im właściwy i obniżając poziom ich polotu poetyckiego. Nie przez tłumaczenia, ale przez polskie, rodzime gawędy zdobył sobie pieśniarz litewski prawo do nieśmiertelności.

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Stefanja Marciszewska-Posadzowa: P i e r w s z e r o z m o w y r e l i g i j n e z m a ł e m i d z i e ć m i. Poznań, księg. św. Wojciecha, 1922. Str. 136 i 11 ilustracyj.

Wiadomo, że nauczanie młodzieży klas niższych przedstawia daleko znaczniejszą trudność niż wyższych; z tem większem przeto zaciekawieniem wziąłem do ręki książkę, podającą metodę katechizacji w okresie przedszkolnym, tem bardziej, że nazwisko autorki pracy »O nauczaniu religji« kazało i niniejszą przyjąć z pełnem zaufaniem. I rzeczywiście zastałem tu głębokie zrozumienie duszy i umysłu dziecięcego, z jednej strony tak jeszcze nierozwiniętych, z drugiej jednak podatnych do wszystkiego, co wzniosłe, a zwłaszcza do rzeczy bożych. Słusznie też autorka odzywa się do tych, którzy boją się mówić dziecku o Bogu, jako o istocie nadzmysłowej, że »tajemnice wiary bliższe są dzieciom, niż ludziom dojrzałym«, trzeba tylko umieć je podać nale-

życie, a nie wdawać się w rozprawy głębsze i pojęcia oderwane. Odpaść więc musi wszelki szablonowy system szkolny, pouczać trzeba okolicznościowo, w sposób zajmujący i namacalny, zapomocą obrazów i przystępnych, interesujących opowiadań, działających nie tyle na rozum, ile na wyobraźnię i serce. Miłość Boga i cnoty, to mają być dwa cele rozmów religijnych, które powinny budzić w dziecku poczucie świętości przedmiotu, wznosić serce jego ku niebu i oswajać je z praktykami religijnemi. Po udzieleniu szeregu wskazówek dydaktycznych o unikaniu uczoności, drobiazgowości, przeładowania materjałem, podawania i żądania definicji, przechodzi autorka do właściwych »rozmów«, które obejmują przeważną część książki i kolejno rozbierają najważniejsze prawdy, w sposób dostosowany do umysłu dziecka. W formie przykładów, czerpanych częściowo z życia młodzieży, głównie zaś z biblji, podaje nauki o Bogu, aniołach, człowieku, grzechu pierworodnym i odkupieniu, ukrytem i publicznem życiu Chrystusa Pana, oraz o Najśw. Sakramencie. Kilka osobnych nauk, przeznaczonych dla dzieci więcej rozwiniętych, mówi o przykazaniach, podając jednak tylko przykłady cnót a nie grzechów. Rozmowy te, przeplatane odpowiedniemi pieśniami i wierszykami, oraz wskazówki praktyczne, są rzeczywiście pożądanym nabytkiem dla naszej literatury katechetycznej i będą prawdziwą pomocą dla matek i wychowawczyń w ochronach, dla których głównie zostały przeznaczone. *St. Podoleński.*

Otto Karrer S. J.: Des Hl. Ignatius von Loyola geistliche Briefe und Unterweisungen.
Georg. Timpe P. S. M. Der selige Weg. Gedanken zu Jesusworten für jeden Tag des Jahres.
Henriette Brey: Wenn es in der Seele dunkelt. Ein Buch für die Mühseligen und Beladenen.
Erich Przywara S. J.: Vom Himmelreich der Seele: I. Band: Geist, 2 Band: Ernst, 3 Band: Barmherzigkeit. Freiburg i. Br. 1921—1922. Herder.

Mamy przed sobą cykl dziełek niemieckich, związanych ze sobą ogólnym tytułem »Bücher für Seelenkultur«. Rozmaitość ich wielka. Jedne z bogatego skarbca literatury kościelnej wydobywają jej arcydzieła i w doskonałych tłumaczeniach uprzystępniają je szerokim warstwom czytelników. W zdrową ascezę św. Ignacego, łączącą życie czynne z najgłębszą mistyką, wprowadza nas tomik, zawierający bogaty wybór wyjątków z »Ćwiczeń duchownych« dalej 65 listów ascetycznych Świętego, wreszcie wiązankę zapisków o wewnętrznych przejściach i myśli, porozrzucane po jego pismach. Zupełnie co innego przynosi nam książka O. Timpe »Der selige Weg«. Długi szereg refleksyj osnutych na tle słów Chrystusa Pana, a rozłożonych na wszystkie dni roku. Wspaniała, królewska droga życia Chrystusowego w trzech jej etapach: drogi ukrytej, drogi czynu apostolskiego i drogi powrotu do Ojca, przesuwa się przed naszemi oczyma w krótkich, bo mniej więcej tylko 20-to wierszowych, ale ciepłych, pięknych, nieraz nawet bar-

dzo pięknych i głębszych, tchnących bezpośredniością odczucia rozważaniach. Nie wahamy się dlatego polecić tej książki, zwłaszcza osobom świeckim, jako podręcznik do rozmyślania; zastąpi im bowiem inne tego rodzaju podręczniki, odstraszające nieraz, i to słusznie, schematycznością, brakiem ciepła i bezpośredniości. Również i trzecia z tego cyklu książka: »Wenn es in der Seele dunkelt« zasługuje na polecenie. Daje nam w niej autorka 13 obrazków w stylu nowelistycznym, osnutych na tle życia Chrystusowego, ale ma tę specjalność, że wybiera tylko takie momenty, które zdolne są przynieść pociechę, siłę i ukojenie cierpiącym, smutnym i opuszczonym. Z właściwą kobiecemu sercu pełnią gorącości uczucia i współczucia dla każdej nędzy, w pięknych, czasem naprawdę wzruszających obrazach, maluje nam słodycz i dobroć Chrystusa — Boskiego Samarytanina, Pocieszyciela dusz. Jeszcze dwie zalety musimy w książce H. Brey podnieść, mianowicie brak częstego w podobnych obrazkach, zwłaszcza o ile pochodzą z pod kobiecego pióra, przeczulenia i sentymentalności i wierne trzymanie się opowiadania Ewangelji, a nie sadzenie się na sztuczne, czasem nieprawdopodobne pomysły czy inscenizacje, mające biblijne zdarzenia uzupełniać.

Drugi bardziej już jednolity cykl pięciu książeczek O. Przywary o »Królestwie niebieskiem duszy«, obiera znowu za temat wszystkie prawie przypowieści Chrystusowe i zastosowuje je do życia duszy i jej tajemnic. Tomik pierwszy: *Geist,* ukazuje nam działanie Boga na roli duszy ludzkiej jako działanie tego, który wzrost daje. Nie wystarcza jednak praca Boża, musi i człowiek z łaską współpracować przez zaparcie się, i na tem właśnie polega cała powaga ludzkiego życia (t. 2, *Ernst).* By jednak troska o własną duszę nie wyrodziła się w jakiś egoizm duchowy, by nie ograniczyła widnokręgu duszy do spraw osobistych, w miłosierdziu najszerzej pojętem (t. 3. *Barmherzigkeit)* »Królestwo Boże duszy« otrzymuje nowe pole rozwoju. Dwu ostatnich tomików (*Heimat, Christus)* O. Przywara jeszcze nie wydał. Nowoczesny, bogaty, aforystyczny styl autora, liczne, doskonale dobrane teksty Pisma św. piękne wyjątki z Ojców Kościoła, a zwłaszcza św. Augustyna, oryginalność myśli, czynią z tych niewielkich tomików miłą i pożyteczną lekturę. Czasem razi zbytnie sadzenie się na oryginalność, dlatego niektóre rozdziały wydają się naciągane i tem samem niejasne, do czego przyczynia się również i aforystyczny styl. Braki te jednak nie psują całości. *A. B.*

Ks. K. Żukiewicz, Dominikanin: W Hołdzie Marji. Kraków. Nakł. OO. Dominikanów. Drukiem »Głosu Narodu«, str. 376, r. 1922.

Staraniem jednego z naszych wytwornych mowców religijnych wyszedł spory zbiór kazań ku czci Najśw. Bogarodzicy, z okazji Koronacji Cudownego Obrazu M. B. Różańcowej, w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, wygłoszonych przez wybitniejszych kaznodziei krakowskich — w przeważnej części zaś przez samego czcig. Autora, który jak powiada we wstępie, pragnął przedstawić słuchaczom: *miłości pełne królowanie Marji w ludzkości i w duszach.*

Prócz więc barwnego opisu całego przebiegu uroczystości koronacyjnych, umieszczone są kazania: przedewszystkiem główne przy samym akcie Koronacji na temat: Regina coeli lactare — Alleluja! Pełnemi polotu słowy i z wielką oratorską swadą wypowiada generalny kaznodzieja Zakonu, hołd Polski i Świętych swych Braci dla Umiłowanej swojej Królowej Różańca św., nad której cudownym Ołtarzem mają sobie zwierzoną straż — i miłość za Jej opiekę nad narodem w chwilach groźnych, czy klęsk, czy wiekowej niewoli i szarej doli codziennego życia. Ona bo ta Umiłowana Różańcowa, była jakby arką przymierza między przeszłemi a mającemi nadejść laty — nadzieją zmartwychwstania ojczyzny. To też »Jej... nucił naród cichy, czy rozgłośny hymn nadziei zwycięstwa na przyszłość«. Naród nie zawiódł się, Królowa Różańcowa dała Koronę wolności i niepodległości Polsce. Za to z wdzięczności należy się i Jej korona — Jej pierwszej w nowej, wolnej Polsce. A potem w porywających słowach: akty przebłagania za winy błądzących, akty próśb o dalszą opiekę nad narodem, przysięga wierności i ofiarnych czynów prawdziwego katolickiego życia — a przedewszystkiem tradycyjnej miłości i czci i posłuchu prawom Boga i Kościoła. »A jak Cię koronujemy na ziemi, tak nas kiedyś ukoronujesz w niebie«.

Następne kazania tak samego Czcig. Autora mowcy, jak naczelnych Przełożonych innych Zakonów i XX. świeckich znanych wybitniejszych mowców religijnych na temat tajemnic i świąt, związanych z życiem Najśw. Matki Boga odnośnie do naszych czasów i stosunków społecznych i rozgrywających się w narodzie spraw, pełne głębszych myśli, refleksyj i wskazań są naprawdę znacznym i cennym przyczynkiem do naszej rodzimej Marjologji. *Ks. Wł. Wojtoń.*

Missale Romanum... SSmi Dni N. Benedicti XV auctoritate vulgatum. Editio secunda iuxta typicam Vaticanam. Taurinorum Augustae 1922, Petrus Marietti editor. 12º str. 268.

Jest to najnowsze wydanie mszału rzymskiego w formacie brewjarza, na papierze indyjskim, w dwu kolorach. Kapłanowi, czy seminarzyście, który pragnie mieć mszalik w pokoju, by się z niego modlić, lub mszę przygotować, odda wydanie Marietti'ego miłą przysługę.

X.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Z księgarni św. Wojciecha, Poznań 1922:

Fel. Koneczny: *Dzieje Polski*, popularnie opowiedziane. Wyd. 2, 12º, str. 330.
Kaz. Gliński: *Wielki Szlem, Przeklęty, Ród, Ave, Pan Radca, Kowalowa Góra, Marłaj.*
Jerzy Orwicz: *Gołębice, Cyrograf.*
Zuz. Morawska: *Skarbiec Faraona.*
L. Delarue-Mardrus: *Cień starego dworu*, powieść, przekład Z. Rabskiej, 12º, str. 156.

Z. A. Borowska: *Książka Marty.* Myśli o małżeństwie, 12⁰, str. 232.
J. Łada: *Zły czar,* powieść, 12⁰, str. 362.
H. Rzewuski: *Listopad,* z przedmową Z. Szweykowskiego, 12⁰, str. 383+418.
— Pięćdziesiąte *Sprawozdanie Związku spółdzielni zarobkowych,* duże 4⁰, str. 186.
Tad. Chrostowski: *Parana,* wspomnienia z podróży w r. 1914 z 16 ilustracjami i mapą Parany, 12⁰, str. 237.

Z Nakładu Gebethnera i Wolffa:

Antoni Scheur: *Pamiętnik pilota polskiego* z przedmową Józefa Jankowskiego, 12⁰, str. 104
Zdzisław Dębicki: *Za Atlantykiem.* Wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych, 12⁰, str. 244.
Włodz. Perzyński: *Lekkomyślna Siostra, Aszantka, Szczęście Frania,* komedje. 12⁰, str. 242.
Eug. Małaczewski: *Koń na wzgórzu.* 12⁰, str. 257.
Bronisław Chlebowski: *Rozwój kultury polskiej* w treściwym zarysie, wyd. 2, 12⁰, str. 216.
Henr. Mościcki: *Pozgonna cześć dla księcia Józefa,* (pogrzeb, pomniki, pieśń i legenda) z 37 ilustracjami, 12⁰, str. 242.
Jan Lewiński: *Podstawy mineralogji i geologji* dla klas wyższych szkół średnich, 8⁰, str. 203.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Dr. O. Hellinghaus: *Mozart.* Seine Persönlichkeit in den Aufzeichnungen und Briefen seiner Zeitgenossen. 12⁰, str. 254.
Fr. Lutz: *Zwischen Adwentsnacht und Gerichtstag,* 12⁰, str. 180.
B. Baur O. S. B.: *Beseligende Beicht:* Belehrungen, Betrachtungen und Gebete. 12⁰, str. 300.
Schlatterer Aug.: *Jahrbuch der angewandten Naturwissenschaften* 1920—1921 32 Jahrgang, mit 127 Bildern auf 20 Tafeln und im Text. Lex. 8⁰, str. 16 i 394.
Rüther Th. Dr.: *Die Lehre von der Erbsünde* bei Clemens von Alexandrien. 8⁰, str. 144.
Golla Ed. *Zwischenreise und Zwischenbrief* (XX B. IV Heft der Biblischen Studien) 8⁰, str. 16 i 110.
J. Kard. Newman: I *Seele,* II *Gemeinschaft.* 8⁰, str. 112 i 70.

Od innych firm:

Ks. Bp. J. Seb. Pelczar: *Rewolucja Francuska* wobec religji katolickiej i jej duchowieństwa, Przemyśl 1922, 8⁰, str. 44.
Kazim. Strzecha; *Jak prowadzić zebrania* i jak się na nich zachować, wyd. 2. Warszawa 1923, M. Arct. 12⁰, str. 16.
Hanna Zahorska: *Uchodźcy,* powieść, Warszawa, księg. Rzepeckiego 1922, 12⁰, str. 121.
St. Gerlach: *Z Taszkentu do Krakowa.* Pamiętnik ucieczki oficera polaka z niewoli rosyjskiej. 2 części. Wyd. Koziańskich, Warszawa 1922, 12⁰, str. 335 i 270.
Michel d'Herbigny S. J. *L'anglicanisme et l'orthodoxie gréco-slave.* Paris, Bloud & Gay, 1922, 8⁰, str. 158.
P. Federico Vogt S. V. D.: *La Colonización Polaca en Misiones,* 1897—1922. Buenos Aires,
Zofja Kossak-Szczucka: *Pożoga,* wspomnienia z Wołynia 1917-1919, z przedmową prof. St. Estreichera. Krakowska Spółka Wydawnicza, 12⁰, str. 434.
— *Bogurodzica,* pierwszy polski hymn narodowy, wydał i objaśnił Jan Łoś. Księg. Arcta i Ski, Lublin 8⁰, str. 34.
St. Windakiewicz: *Mikołaj Rej z Nagłowic,* wyd. 3, nakł. jak wyżej 8⁰, str. 114.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nienormalne położenie Kościoła w Polsce. — Konkordat Łotwy ze Stolicą Świętą.

Konstytucja polska zabezpiecza w artykule 114 zupełną wolność Kościoła katolickiego. Mówi wyraźnie, że Kościół katolicki w Polsce »rządzi się własnemi prawami«, a w artykule 113 uznając prawa wszelkich związków religijnych do wolnego nabywania, posiadania i administrowania dóbr tak ruchomych jak i nieruchomych, zakładania i utrzymywania wszelkich instytucyj religijnych, humanitarnych i oświatowych, nie czyni oczywiście żadnego dla Kościoła ograniczenia. Mimo, że przez odmówienie katolicyzmowi godności religji panującej i przez zupełne równouprawnienie innych wyznań zepchnięto Kościół katolicki z tego stanowiska w społeczeństwie, jakie przysługuje mu z prawa Bożego i z liczebnej większości jego wyznawców w kraju, możnaby być zadowolonym z tej wewnętrznej wolności Kościoła, jaką mu gwarantuje konstytucja marcowa.

Niestety, konstytucja, o ile chodzi o stosunki kościelne, pozostaje dotąd martwą literą. Nie uzgodniono dotąd z nią poszczególnych ustaw, jakie pozostały po trzech państwach zaborczych, a jakie w całym szeregu punktów są wprost przeciwne »własnym prawom Kościoła«, uroczyście zagwarantowanym przez naszą konstytucję. Oczywiście nie można dziwić się, że pozostałe po państwach zaborczych ustawy nie zostały przystosowane do konstytucji w jednym dniu; rozbieżność między konstytucją a poszczególnemi ustawami dotyczy nie samych tylko stosunków kościel-

nych; choć z drugiej strony trzeba uświadomić sobie, że wiele paragrafów dawnych ustaw, dotyczących Kościoła, są to przepisy natury negatywnej, krępujące ten lub inny objaw życia kościelnego i że takie przepisy mogły być już dawno odwołane przez ogłoszenie prostego ich wykazu. Wykaz tego rodzaju już zdaje się przed dwoma laty został podany władzom rządowym przez episkopat polski i dziwna rzecz, że przedstawienia biskupów dotąd nie osiągnęły pożądanego skutku. Jeszcze dziwniejsza rzecz, że nie widać po stronie czynników rządowych — i to bez względu na to, kto u steru rządu stoi — dosyć dobrej woli, aby usunięcie krępujących Kościół ustaw rychło uskutecznić. Odnosi się wrażenie, że sfery rządowe, mocą jakiejś rutyny czy inercji, nie umieją sobie wyobrazić innego traktowania spraw kościelnych, jak według praktyk »apostolskiej« Austrji, bismarkowskich Prus, a zwłaszcza prawosławnego caratu. I zapewne wyobrażają sobie te sfery, że obroną pozycyj, jakie opuścić nakazuje konstytucja, bronią interesów i autorytetu Rzeczypospolitej.

Wobec tego, conajmniej lekceważącego, stanowiska rządu względem Kościoła katolickiego, stanowiska przewlekającego się w nieskończoność, J. E. Kardynał Prymas Dalbor wystosował pod datą 8 września r. b. Nr. 4415 do prezesa ministrów nowy memorjał dotyczący nienormalnego położenia Kościoła w Polsce. Zapowiada w tym memorjale Kardynał Prymas już po raz wtóry, że w razie dalszego zwlekania z uregulowaniem stosunków kościelnych w Polsce, zwróci się episkopat z wezwaniem do narodu, czego dotąd nie czynił, by nie podkopywać w jego oczach autorytetu rządu. Widać że cierpliwość księży biskupów już się wyczerpuje, skoro memorjał ostatni kard. Dalbora dostał się na łamy prasy (*Gazeta Kościelna,* 1 grudnia 1922).

Nienormalne położenie katolicyzmu w Polsce — i to we wszystkich byłych trzech zaborach — powinno zainteresować i poruszyć opinję katolicką w całem społeczeństwie. Słusznie podkreśla Ksiądz Prymas, że sam fakt istnienia i obowiązywania praw krępujących wolność Kościoła, choćby one w praktyce nie były stosowane, jest już krzywdą i ubliżeniem dla Kościoła, »a jest ono zarazem — pisze kardynał Dalbor — pewnego rodzaju ubliżeniem i dla samego państwa, boć przecież społeczeństwo całe przeciwko tym właśnie prawom protestowało i uważało je za symbol ucisku i prześladowania zarazem Kościoła jak i narodu. Gdyby więc nawet

nie działał tu słuszny i sprawiedliwy wzgląd na Kościół, to sam honor narodu nie powinien ani dnia jednego cierpieć i dopuścić do podobnie opłakanego stanu rzeczy.«

Drugie zażalenie episkopatu polskiego odnosi się do stanu materjalnego Kościoła. Już w pierwszym swoim wspólnym liście pasterskim do narodu, jak niemniej w oświadczeniach składanych w Sejmie konstytucyjnym, oznajmiali biskupi polscy, że gotowi są ustąpić dóbr duchownych na cele reformy rolnej za odpowiednią kompensatę ze strony państwa na rzecz utrzymania duchowieństwa. Ustawa sejmowa »o zasadach reformy rolnej« przewiduje też parcelację dóbr duchownych po uprzedniem wszakże porozumieniu się rządu ze Stolicą Św. Przedmiotem porozumienia mają być nietylko dobra, pozostające dotąd w posiadaniu Kościoła, ale i majątki i fundusze skonfiskowane różnemi czasy przez państwa zaborcze lub wzięte przez nie w rządową administrację. Z racji tych konfiskat lub poddania rządowej administracji dóbr kościelnych przez państwa zaborcze były wyznaczone w swoim czasie duchowieństwu i instytucjom kościelnym pewne pensje ze skarbu, nie stojące wszakże w żadnym rozumnym stosunku do wartości zagarniętych majątków i kapitałów. Obowiązek naprawienia Kościołowi tej krzywdy, z powstaniem niezależnej Rzeczypospolitej, przeszedł na skarb polski, który albo jest faktycznym posiadaczem zagrabionych majątków, albo też w likwidacyjnym rozrachunku z państwami zaborczemi zgłosił tytuły polskiego Kościoła do należnych odszkodowań od nich. Wartość naturalna całego majątku, jaki Kościołowi katolickiemu na ziemiach polskich należy się tym sposobem od rządu, jest tak wielka, że wystarczyłaby sama na przyzwoite uposażenie duchowieństwa i instytucyj kościelnych. Kiedy więc jest mowa o uposażeniu duchowieństwa przez skarb, to nie należy spuszczać ani na chwilę z oka, że nie będzie to jakiemś nowem obarczeniem skarbu, tylko słuszną restytucją nieprawnie zagrabionej własności kościelnej. Jeżeliby państwo polskie wzdragało się stanąć na tym punkcie widzenia i aprobowało dokonane przez rządy zaborcze grabieże, ściągnęłoby na siebie w dziedzictwie po zaborcach to potępienie, jakiem piętnował w swoim czasie ogół polskiego społeczeństwa rządy obcych najeźdźców. Dodajmy tutaj, że w Rosji konfiskata i przymusowa administracja majątków duchownych była aktem zemsty carskiego rządu na ogóle katolickiego kleru za jego patrjotyczne stanowisko podczas

powstań polskich. Czyż nie byłoby to wprost hańbą dla niezawisłego państwa polskiego zatwierdzać tę karę, spadłą na Kościół za jego zasługi względem narodu polskiego?

Z tego, cośmy powiedzieli, jasno się okazuje, że rokowania czynników kościelnych z rządem w sprawie uposażenia duchowieństwa nie są prośbą o żadną łaskę ze strony skarbu, ale wołaniem o wymierzenie należnej Kościołowi sprawiedliwości. Tego, zdaje się, nie rozumieją czynniki rządowe i w tem, zdaje się, nie dość jest zorjentowana opinja publiczna, bałamucona zwłaszcza przez prasę lewicowych stronnictw. Lewicowe stronnictwa, aż do »Piasta« włącznie, omawiając stosunki materjalne Kościoła, zwykły tak sprawę stawiać, jakoby zabór dóbr kościelnych był jakiemś ścisłem prawem państwa, obiecywane zaś uposażenie duchowieństwa jakąś łaską ze strony skarbu, nakazywane wreszcie przez ustawę o reformie rolnej porozumienie się rządu ze Stolicą Apostolską w sprawie parcelacji — jakąś niewiele znaczącą formalnością grzecznościową.

W takiej atmosferze i przy takich zapatrywaniach się na sprawę nic dziwnego, że się właściwie nic dla jej rozwiązania nie robi. Już przeszło dwa lata, jak zostały powołane do życia tak rządowa jak i kościelna komisja, które miały dojść do porozumienia w sprawie dóbr duchownych, a przynajmniej przygotować materjał do rokowań ze Stolicą Apostolską w tej sprawie. Komisje te podobno spotkały się ze sobą zaledwie dwa czy trzy razy i dotąd nie osiągnęły między sobą porozumienia. Komisja kościelna sprawę oddania dóbr duchownych na parcelację słusznie uzależnia od należnego uposażenia duchowieństwa, co czynniki rządowe chciałyby odsunąć w jakąś nieokreśloną przyszłość.

Jakkolwiek zapatrywania rządu pod tym względem osłaniane są dość ścisłą tajemnicą i jeżeli zdradzają się przed opinją publiczną, to chyba w nic nie mówiących ogólnikach, wszakże w ostatnich czasach przedostały się pewne szczegóły, dotyczące kwestji uposażenia duchowieństwa w Polsce. Chodzą pogłoski, że rząd wypracował projekt uposażenia kleru według pewnych kategoryj, odpowiadających kategorjom rang urzędniczych. Uposażenie w naturze byłoby ograniczone do posiadania przez proboszczów kilku hektarów ziemi, jak to jest obecnie w byłej Kongresówce. W związku z tem projektowane są normy, dotyczące dochodów kościel-

nych, t. zw. *jura stolae*. Na etat płac skarbowych mają być wzięte również zakony, tylko według bardzo niskiej urzędniczej skali.

Jeżeli te pogłoski odpowiadają prawdzie i miałyby się zrealizować w niedalekiej przyszłości, to obawiać się trzeba, że niekoniecznie wyjdą one na dobro Kościoła. Słusznem jest oczywiście uposażenie duchowieństwa i usprawiedliwioną byłaby pewna w tem uposażeniu gradacja, odpowiadająca skali urzędników państwowych. Niebezpiecznem wszakże będzie dla wolności Kościoła, jeżeli przez takie uposażenie kleru wytworzy się pojęcie, że Kościół jest jedną z dykasteryj państwowych, a biskupi i księża funkcjonarjuszami państwa, zwłaszcza, jeżeli układanie etatów i wypłacanie uposażenia oddanoby w ręce czynników rządowych. Można się w takim razie słusznie obawiać — na mocy historycznych doświadczeń — że czynniki rządowe i biurokratyczne wyzyskają swoją pozycję, by z Kościoła uczynić powolne narzędzie swojej polityki. W takich warunkach trudno mówić o wewnętrznej wolności Kościoła, przysługującej mu z ustanowienia Chrystusowego i poręczonej przez konstytucję polską. Trudno się będzie spodziewać także rozwoju instytucyj kościelnych, pracy misyjnej Kościoła, jeżeli powiększenie liczby pracowników kościelnych, a nawet wyznaczanie ich na odpowiednie placówki będzie częściowo zależało od czynników obcych, regulujących etaty kleru, od których trudno wymagać, aby zawsze powodowały się względami na dobro wiary i szły na rękę Kościołowi. Zwłaszcza rozwój życia zakonnego byłby postawiony w tym systemie pod wielki znak zapytania: jeżeli ktoś nie widzi konsekwencji tego systemu, albo nawet chce w nim widzieć dowód życzliwości dla Kościoła, ten chyba wcale nie zna historji józefinizmu w Austrji, albo też jest ślepym zwolennikiem rutyny, utrwalonej w Rosji przez carskie prawodawstwo. Wreszcie gdzie są gwarancje, że takie uposażenie duchowieństwa będzie stałe? Czy nie należy się obawiać, że w najbliższej przyszłości partje wrogie Kościołowi rozwiną agitację, mogącą liczyć na popularność i powodzenie, za zupełnem pozbawieniem kleru utrzymania ze strony państwa, co się będzie nazywało, za przykładem Francji, »skreśleniem budżetu kultu«?

Sprawa uregulowania uposażenia duchowieństwa jest sprawą naglącą. Memorjał ks. Kardynała Dalbora przypomina, że skarb wypłaca dotąd księżom przyznane przez dawne rządy pensje w nominalnej wysokości. To znaczy, że mają oni prawo pobierać mniej

więcej taką ilość marek polskich, że wystarczy ona dzisiaj ledwie na sporządzenie kwitu odbioru tej pensji. Oczywiście przeważna ilość księży wcale nie podnosi tych mniej niż żebraczych kwot i utrzymuje się wyłącznie z dochodów bieżących lub z posiadanej jeszcze ziemi. Jedno i drugie ma atoli swoje ujemne strony: posiadanie beneficjów już tylko w mniejszej części Polski (z biskupów uposażeni są w ziemię tylko biskupi lwowscy i przemyscy) kłuje w oczy chciwych na księżą ziemię ludowców, którzy głoszą o posiadanych przez Kościół bogactwach nawet w tych dzielnicach, gdzie biskupi ani kapłani prawie nic nie posiadają; pobieranie zaś opłat z okazji ślubów i pogrzebów, nie miłe dla samych kapłanów, naraża ich na zarzut chciwości i zdzierstw. A co mówić o tych wielu placówkach, zwłaszcza we wschodniej Małopolsce, gdzie kapłani polscy nie posiadają ani ziemi ani bieżących dochodów? Wielu z nich skazanych jest na egzystencję żebraczą, graniczącą z głodem, ze szkodą dla ich działalności duchownej, a zatem i dla interesów narodu na najbardziej eksponowanych i zagrożonych pozycjach. Wołania naszego episkopatu o słuszne uregulowanie tej sprawy dotąd nie odniosły skutku, a jednocześnie państwo obarcza kler parafjalny funkcjami urzędowemi prowadzenia aktów stanu cywilnego, wystawiania różnych wyciągów, sporządzania ewidencji i statystyk, i ks. Kardynał Dalbor zauważa, że te wszystkie usługi kleru świadczone państwu, nietylko nie są wynagradzane, ale że księża nie posiadają nawet od państwa takich płac, któreby wystarczały na kupienie atramentu i papieru.

Sprawa wymierzenia duchowieństwu katolickiemu sprawiedliwości jest — powtarzamy — sprawą naglącą. Ale sądzimy, że należy ją uregulować w sposób, któryby nie groził w niczem skrępowaniem wolności Kościoła. Naszem zdaniem, beneficja kościelne jeszcze istniejące należałoby Kościołowi zostawić z wyjątkiem tych wypadków, gdzie zabranie ziemi okaże się konieczne dla reformy rolnej. Tam, gdzie parafje czy też instytucje kościelne, np. seminarja lub inne szkoły, nie posiadają żadnego nieruchomego majątku, należałoby dopomóc im do nabycia takowego drogą kupna, czy wydzielenia przy parcelacji obszarów pewnego quantum ziemi. Konstytucja polska nie zna zastrzeżeń co do posiadania dóbr przez »martwą rękę«, owszem wyraźnie przyznaje Kościołowi prawo nabywania, posiadania i wolnego administrowania dóbr nieruchomych wszelkiego rodzaju; byłoby więc pogwałceniem ducha

i litery konstytucji pozbawiać Kościół tego prawa przez ryczałtową konfiskatę czy wykupno tych dóbr, jakie Kościół posiada, lub stawiać temu posiadaniu inne granice, niż innym prywatnym właścicielom. Z drugiej strony uposażenie w naturze jest najlepszą rękojmią wolności osób i instytucyj kościelnych i, jako niezależne od przewrotów walutowych, ma znamiona pewności i trwałości. Tam gdzie uposażenie w ziemi czy innych nieruchomościach jest niewystarczające, państwo powinno dostarczyć uposażenia duchowieństwu w pieniądzach, co będzie tylko restytucją zagrabionych własności kościelnych. Najlepiejby było wszakże, aby państwo po słusznym rozrachunku z Kościołem wypłaciło mu wszystko, co mu się należy, lub też uznało swój dług wobec Kościoła w stałej niepodlegającej spadkowi walucie. Odsetki od takiego długu wypłacaneby być powinny samemu Kościołowi, tj. biskupom, a ci będą już wiedzieli, jak temi pieniędzmi dysponować. Wypłata więc uposażenia duchowieństwu powinna być pozostawiona władzom kościelnym, co będzie najlepszą gwarancją wewnętrznej wolności Kościoła, a czynnikom rządowym zaoszczędzi niepotrzebnych kłopotów biurokratycznych. W tych dzielnicach Polski, gdzie proboszczowie są zarazem urzędnikami stanu cywilnego, rząd winien im przyznać ze skarbu dodatkowe wynagrodzenie za urzędowe czynności. Dodajmy tutaj, że w razie takiego uregulowania kwestji uposażenia duchowieństwa katolickiego winny być skreślone z budżetu państwa wszelkie pozycje, wypłacane przedstawicielom wyznań innych, wyznań, które nigdy nie były przez żaden z zaborczych rządów wydziedziczane ze swojego mienia. Niechaj każde wyznanie stara się samo o utrzymanie swojego kleru i swoich instytucyj. Kościół katolicki będzie w stanie podołać temu ciężarowi bez obarczania skarbu, jeżeli mu zwróconem zostanie wszystko, co mu zabrano.

Takie jest nasze zdanie, które oczywiście nie przesądza w niczem innego rozwiązania sprawy, za porozumieniem się rządu ze Stolicą Apostolską. Rychłe wszakże tej sprawy załatwienie powinno być uważane za jeden z najpilniejszych obowiązków rządu wobec Kościoła i wobec honoru Polski.

Gdy w katolickiej Polsce przez lat kilka czynią się dalekie zaledwie przygotowania do zawarcia konkordatu ze Stolicą Apostolską, wyprzedzają ją pod tym względem nowopowstałe państwa

protestanckie. W roku bieżącym został zawarty konkordat między Stolicą Św. a rządem republiki łotewskiej, podpisany 30 maja, a ratyfikowany 3 listopada. Umowa ta, składająca się z 22 artykułów, zapwnia religji katolickiej wolne i publiczne wykonywanie kultu i Kościołowi katolickiemu przyznaje charakter osobowości prawnej. Istniejące biskupstwo ryskie podniesionem zostało do godności arcybiskupstwa, zależnego wprost od Stolicy Apostolskiej; arcybiskupowi ma być dodany jeden albo dwóch biskupów sufraganów. Arcybiskup i biskupi będą mianowani przez Papieża z pośród prałatów narodowości łotewskiej, przed czem nazwiska kandydatów będą komunikowane rządowi, dla upewnienia się, że rząd nie podnosi przeciwko kandydatowi zarzutów ze stanowiska polityki. Rząd łotewski dopomoże Stolicy Św. do wskrzeszenia kapituły i przeznaczy odpowiednią świątynię na kościół katedralny i mieszkania dla arcybiskupa i członków kapituły, jak również gmachy na seminarjum i konsystorz. Nominacje kleru odbywają się zgodnie z prawem kanonicznem; duchowieństwo jest wolne od służby wojskowej i od innych świadczeń obywatelskich, niezgodnych z ich powołaniem kapłańskiem. Uregulowane zostały egzempcje kościołów, kaplic, cmentarzy katolickich; Kościołowi przyznano prawo zakładania i utrzymania szkół wyznaniowych; określono sposób sądzenia członków kleru w trybunałach świeckich. Konkordat został zawarty na trzy lata, z tem, że przez milczącą zgodę będzie przedłużany; wypowiedzenie zaś ma nastąpić na sześć miesięcy naprzód; w razie wypowiedzenia konkordatu majątek i prawa Kościoła pozostają nienaruszone.

Jak widzimy ze streszczenia konkordatu, rząd republiki, uchodzącej za jedną z najbardziej radykalnych, rozwiązał pomyślnie kwestję stosunku do Kościoła katolickiego; przyczem Stolica Św. ze swojej strony poszła na rękę rządowi w tych jego żądaniach, dotyczących narodowości prałatów i języka w szkołach, które zmierzały do konsolidacji młodej republiki. Konkordat zawarty z Łotwą nie jest bez znaczenia i dla nas, nietylko jako przykład, ale również jako akt regulujący stosunki kościelne w kraju, w którym znaczny odłam katolików należy do narodowości polskiej.

Ks. Jan Urban.

Druga wystawa „Sztuki rodzimej“ w Krakowie.

Serję wystaw po wywczasach letnich rozpoczął krakowski Związek artystów (plac św. Ducha) drugą z kolei wystawą »Sztuki rodzimej«. Pozwalam sobie przypuszczać, że inicjatorzy tej wystawy, oceniwszy jej całość, przyszli zapewne do przekonania o niewłaściwości danego jej określenia — »sztuki rodzimej«. Jest to bowiem wystawa taka, jak każda inna widywana w Krakowie, wyłączając, ma się rozumieć, pokazy publiczne „dzieł“ futurystycznych we wszelkich odmianach. Tym, co dali impuls do pierwszej wystawy „sztuki rodzimej“ chodziło, prawdopodobnie, o to, by zaznaczyć, że nie mają nic wspólnego z futuryzmem, zrodzonym w zupełnie dla nas obcem środowisku intelektualnem i artystycznem, ale zapomocą owego epitetu — „rodzima“ — nie scharakteryzowali dokładnie tego, o co im chodziło, boć do sztuki polskiej można wprowadzać elementy obce, które nie będą miały nic wspólnego z futuryzmem. Przypuszczalnie więc w przyszłości epitet „rodzima“ będzie opuszczany przy wystawach Związku, przez co uniknie się wprowadzania w błąd publiczności, Związkowi zaś samemu uczyni się przysługę, bo jego wystawy na ogół są o wiele słabsze, niż druga wystawa „sztuki rodzimej“. Gdyby więc została zaliczoną na konto wystaw zwykłych — to ich poziom podniósłby się znacznie.

Pomijając niefortunny tytuł, stoi obecnie wystawa „sztuki rodzimej“ — powtarzam — wyżej od tych wystaw, jakie danem było nam oglądać podczas ubiegłego roku w Związku. Mniejwartościowość wystaw pochodziła przedewszystkiem stąd, że lokal, jakim, niestety, dotąd rozporządza, odstraszał niektórych artystów od posyłania tam swych dzieł, innych zaś powodował do wystawiania rzeczy większych efektowniejszych w salach Tow. Sztuk Pięknych, podczas gdy rzeczy, do których przywiązywali mniejszą wagę, posyłali do lokalu przy pl. św. Ducha, gdzie w dzień pochmurny nie widzi się nic, a w pogodny niewiele.

Tym razem jednak złożyło się tak szczęśliwie dla wystawy, z której zdaję sprawę, że kilku wybitnych malarzy krakowskich poniosło prawdziwą ofiarę biorąc w niej udział i nie bacząc na to, że ich dzieła w innym lokalu wystawowym prezentowałyby się o wiele korzystniej.

Jednym z takich naprawdę ofiarnych malarzy na rzecz Związku, będącego pożytecznem i potrzebnem zrzeszeniem artystów, jest Jaxa-Małachowski, niezrównany twórca nocnych widoków Krakowa, w których wprowadza bajeczne efekty sztucznego oświetlenia, dalej jeden z najlepszych naszych marynistów, odczuwający z wielką subtelnością piękno „polskiego“ morza i wreszcie pejzażysta, którego pendzel utrwala na płótnie piękno morskiego krajobrazu.

Okazem pierwszego z wymienionych rodzajów twórczości Jaxy-Małachowskiego jest »Kościół Marjacki w Krakowie« podczas mglistego wieczoru, oświetlony w swej dolnej części jaskrawem światłem lamp elektrycznych, którego siła jednak ogranicza się do pewnej tylko przestrzeni murów — reszta ich bowiem ginie stopniowo w tajemniczym

mroku. Poetyczny nastrój, wywołany tem niezwykłem ujęciem tematu tyle razy już obrabianego przez polskich malarzy, opisać niepodobna. Jest to — powiedziałbym — nastrój o charakterze muzycznego nokturnu, który chwyta za serce i wyobraźnię, ale wobec którego słowo jest bezsilne... Nad trudnościami technicznemi, jakie przedstawia malowanie tego rodzaju widoków, gdzie chodzi o możliwie do natury zbliżone oddanie efektu i siły sztucznego oświetlenia — niema potrzeby się rozwodzić. Każdy, rozumiejący się choćby cokolwiek na kunszcie malarskim, przyzna, że są olbrzymie i że malarz, który zdołał je tak szczęśliwie pokonać, jak Jaxa-Małachowski w »Widoku Kościoła Marjackiego«, jest absolutnym panem swej palety, jest czarodziejem, co posiadł wszystkie tego kunsztu tajemnice.

Do drugiego rodzaju twórczości artysty należy kilka widoków morskich, między któremi szczególniej potężnie działające na wyobraźnię wrażenie czyni „Cisza przed burzą". Po pewnym czasie wpatrywania się w ten widok ogarnia nas odczucie grozy, jaka paraliżująco działa na nerwy, gdy ma się pełną świadomość, że po tej martwej napozór ciszy i spokoju nastąpi gwałtowne rozpętanie się żywiołów i straszny ryk bałwanów morskich w dole, podczas gdy geniusz burzy raz po raz „drzwi niebios zatrzaśnie piorunem"... Jak zwykle u Jaxy-Małachowskiego, w widoku tym, środki, któremi posługuje się do wywołania zamierzonego efektu, odznaczają się przedziwną prostotą. Artysta i tym razem nie zbacza od swej zasady: być zawsze wiernym prawdzie. Ponieważ widział taką chwilę nad morzem — przeto odtworzył ją bez żadnych dodatków i „upiększeń". Zrzekł się np. efektu słońca, „co krwawo zachodzi — z niem resztka nadziei", a które dawałoby taki silny kontrast do chmur ponurych, zalegających firmament. Mimo tego zdołał tylko zapomocą brzemiennego burzą, ciemnego nieba i fal morskich, nagle wygładzonych w jedną powierzchnię o złowieszczej barwie stalowej, uchwycić ów moment, o którym mówi Mickiewicz:

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura,
kiedy nad głową ludzi przeleciawszy chmura
stanie i, grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
milczy . . . . . .

Przykładem wreszcie, jak artysta maluje rzeczy swojskie, jest „Podwórko" podkrakowskiej chaty. Bezpretensjonalny ten widoczek pełen jest słońca, powietrza i tej zdrowej sielskiej poezji, jakiej setki przykładów spotykamy w „Chłopach" Reymonta, będącego nietylko nadzwyczajnym malarzem rodzajowym w słowie, ale także nie mającym sobie równego pejzażystą. Widoczek ten, a właściwie podkończona staranniej notatka, nie daje jednak pełnego pojęcia o tem mistrzostwie, z jakiem Jaxa-Małachowski chwyta piękno krajobrazu z okolic Krakowa, o czem na innych poprzednich wystawach jego prac można było się przekonać.

Gdy oglądałem prace Hofmanna, znajdujące się na niniejszej wystawie, przyszło mi na myśl bardzo trafne określenie „oryginalności"

w sztuce, z którą spotkałem się w jednem ze studjów prof. Chrzanowskiego. Pisze on, mając na myśli poetów, ale to samo da się dosłownie odnieść do malarzy:

»Oryginalność polega nietyle (a przynajmniej nietylko) na oryginalności inwencji, ile na oryginalności opracowania artystycznego, na wyrazie artystycznym indywidualności twórczej«.

Nie często spotyka się zaiste wśród malarzy takiego indywidualistę, jakim jest Hofmann. W twórczości jego daje się wprawdzie odczuwać wpływ znaczny Malczewskiego. Wpływ to jednak pośredni. Jest on niby ziarno rzucone na specyficzną glebę, w której wyrosło na roślinę o innych kształtach, barwie i woni, niż kwiat, który ją zrodził. Ogromna skala pomysłów Malczewskiego o charakterze poniekąd epickim a zawsze polskim, przemieniła się u Hofmanna na marzycielski liryzm z podkładem ogólnoludzkim. Dlatego też Niemcy podziwiają Malczewskiego na zimno, bo go nie rozumieją, podczas gdy szczerze zachwycają się Hofmannem, ponieważ jest dla nich zrozumiały.

Sporych rozmiarów tryptyk Hofmanna pt. »Dwie drogi« — to typowy przykład jego »oryginalności opracowania artystycznego« o której mówi prof. Chrzanowski — zarówno co do pomysłu, jak i wykonania. Kompozycję tego tryptyku cechuje prostota: na obrazie środkowym mamy przed sobą zadumanego chłopczynę-pastuszka, zapatrzonego gdzieś w dal bezkresną, a na obu skrzydłach bocznych dwie postacie niewieście, symbolizujące poezję i prozę, materjalistyczne i idealistyczne drogi życia. Swoisty Hofmannowi sentyment poetycki przebija się z całości tryptyku i z jego szczegółów, np. krajobrazu i jedna mu gorących wielbicieli, co wskazuje, że, mimo powszechnych narzekań na apoetyckie usposobienie ludzi naszej epoki, dzieło naprawdę poetyckie budzi żywy interes i sympatję.

Inna kompozycja Hofmanna — »Ostatnie spojrzenie« — posiada te same zalety, co i poprzednia, a góruje nad nią siłą lirycznego nastroju. Pomysł jej — Anioł zabiera ze sobą w niebiosa ostatnie spojrzenie jakiegoś biedaka, — jest naprawdę poetyczny. Artysta rozumiał tu jednak pod o s t a t n i e m spojrzeniem nie to, jakie rzucałby ów biedak umierając, lecz to spojrzenie, które Posłaniec Boży zabiera ze sobą jako ostatnie przed swem wzniesieniem się w niebiańskie dziedziny. Technicznie jest to rzecz lepiej nawet wykonana niż tryptyk, w którym, np. obie postacie niewieście traktowane są trochę konwencjonalnie.

Trzecie płótno tegoż artysty, noszące tytuł: »Po wodę«, a przedstawiające starca, który niesie, prawdopodobnie, próżną konewkę n a p l e c a c h, a któremu towarzyszy jakaś postać niewieścia — jego dobry czy zły genjusz opiekuńczy? — należy do kompleksu owych zagadkowych pomysłów, w jakich lubuje się Malczewski — a za nim Hofmann, blisko spokrewniony duchowo z tym mistrzem, jak to wyżej zaznaczyłem. Już nie jednokrotnie miałem sposobność na tem miejscu wyrazić swe zapatrywanie na »rebusową« zagadkowość w kompozycjach malarskich. Dlatego też zaznaczam jedynie, że starzec

na obrazku pochwycony jest, jako typ sympatycznego nędzarza, wybornie. Specjalnością bowiem Hofmanna są typy żebraków, nędzarzy, włóczęgów i wszelkiego rodzaju i wieku rozbitków życiowych, niebardzo sympatycznych w rzeczywistości, których jednak umie czynić takimi Hofmann, patrząc na nich pod artystycznym kątem widzenia, ale bez popadania w zupełne zatracenie prawdy.

Ostatniemi czasy zaczyna się na gruncie malarskim wybijać kilka talentów z pośród szarego tłumu młodych malarzy. Jednym z takich młodych, stosunkowo, adeptów sztuki, jest Jakubowski, będący nauczycielem rysunku w szkole średniej. Podkreślam tę okoliczność, ponieważ artysta malarz, zmuszony stosunkami do bakałarzowania wszkole średniej, jeżeli nie zawiesił na kołku palety, to musi być artystą nietylko utalentowanym, ale także pracowitym, skoro przy tak nudnem i tyle czasu zajmującem zajęciu nauczyciela rysunku, znajduje w sobie dość siły woli, aby pracować dla sztuki.

Artysta ten, od niedawna dopiero wystawiający swe prace na widok publiczny, nietylko tworzy nieustannie, ale także czyni postępy, które zasługiwałyby na uwagę nawet u malarza nieobarczonego takiem jak on, żmudnem zajęciem zawodowem.

Jakubowski wystawił obecnie kilka rzeczy, między któremi, wyróżniają się: scena, zaczerpnięta z rycin zamierzchłej słowiańszczyzny pt. »Uroczystość Dadżboga«, fantastycznie pomyślany »Ptak Czarodziejski« i z rozmachem rzucony na płótno »Perun«. Postępy, jakie poczynił artysta, ujawniają się w znacznem już opanowaniu swego temperamentu malarskiego, w staranniejszym trochę rysunku, w mniejszem szafowaniu barwami, których używał dawniej Jakubowski w sposób chaotyczny, a także w usiłowaniu, aby kompozycja przedstawiała jakąś, mniej więcej, organiczną całość. Stary świat słowiański pozostawia inwencji artystycznej pole obszerne, nie ulegające prawie żadnej kontroli. Malarstwo, biorące z tego świata tematy, nie jest właściwem malarstwem historycznem, które podlegać może krytyce historyka, znawcy stylów, badacza dziejów kultury itp., lecz jest prawie w zupełności malarstwem operującem w dziedzinie fantazji artystycznej. I dlatego malarz, który mu się poświęca, ulega łatwo przewadze. Unosi go do niej nieokiełznana wyobraźnia, czego mamy przykład n. p. na Lubańskiej-Stryjeńskiej. Kompozycje jej, oparte przeważnie na tematach starosłowiańskich, byłyby czemś doskonałem, gdyby nie obniżała ich wartości ta przesada, prowadząca znów prosto ku manierze, a maniera w malarstwie—to grób największych nawet zdolności. Przy tych jednak postępach, jakie czyni Jakubowski, można mieć nadzieję, że takiego grobu nie wykopie dla swego talentu,

Tuż obok poprzedniego artysty należy postawić ze względu, że jest także nauczycielem rysunku w jednej ze szkół średnich krakowskich i że również nie opuszcza skrzydeł — Machalskiego. Wystawia on nie wiele, ale zato rzeczy jego są skończone z perfekcją, mogącą przynieść honor starszemu o wiele malarzowi. Jego »Stare lipy« to prawdziwy »Cabinetsstück« — jak Niemcy nazywają ten rodzaj

obrazów, które finezją faktury we wszystkich szczegółach zasługują na osobne umieszczenie, aby mogły być już nie oglądane, lecz »studjowane«.

Tegoż artysty »Ulica Długa w Krakowie« posiada podobne zalety, co i obrazek poprzedni. Wyróżnia się ona wykończeniem naprawdę artystycznem bez »dłubaniny«. Jeden z najwybitniejszych malarzy krakowskich, a przytem doskonały znawca sztuki — co rzadko chodzi w parze, bo »jalousie de métier« mąci zazwyczaj malarzom, zdrowy sąd o pracach ich kolegów — trafnie ocenił »Ulicę Długą«, mówiąc, że »malował ją Canaletti XX-go wieku«. Co do wykonania miałbym tylko to do zarzucenia temu widokowi, że cienie rzucone na nim są zaczarne i zamało przejrzyste.

Jaskrawe przeciwieństwo, zachodzące między sposobem malowania Machalskiego a Jakubowskiego, z których pierwszy jest uosobieniem umiarkowania, spokoju i objektywnej obserwacji natury, a drugi — wybujałej fantazji, nerwowego niepokoju i naciągania natury do założeń z góry powziętych — daje poniekąd miarę tej olbrzymiej skali środków, jakiemi wogóle rozporządza malarstwo, a z których każdy, wzięty z osobna, ma swoją rację bytu.

Duże też zasadnicze różnice w sposobie odtwarzania wrażeń malarskich zachodzą między Machalskim a T u r k i e m, który wystawił dwa akwarelą malowane widoki: »Z Bielan« i »W parku«. Turek w ciągu ostatnich lat trzech wybił się na czoło pomiędzy najlepszych pejzażystów krakowskich. Widoki jego, przeważnie malowane wodnemi farbami, a więc techniką zaocznie trudniejszą, niż malarstwo olejne, posiadają dwie kardynalne zalety: doskonały ogół i wiernie chwytany nastrój danej chwili w przyrodzie, stosownie do pory roku, stanu pogody i oświetlenia. Przy jego sposobie malowania niema oczywiście miejsca na takie kończenie szczegółów, jakiem imponuje Machalski, ale zato jest wiernie oddany efekt całości. Wynika to z szukania w krajobrazie dekoracyjności działającej na widza scenami, dla których poświęca się szczegóły. Ale chodzi o to, aby malarz, w pogoni za dekoracyjnością, nie zatracał prawdy. Turek jest właśnie pejzażystą umiejącym prawie zawsze zachować »złoty środek« między szukaniem efektu a suchem odtwarzaniem przyrody.

Jak wiadomo, Turek uprawia także malarstwo architektoniczne i zalicza się do najlepszych odtwórców monumentalnych zabytków »starego« Krakowa, których wykonał już setki, olejno, akwarelą, ołówkiem, lub w oryginalnej własnej technice, polegającej na kombinacji rysunku kredkowego z lekką »iluminacją« wodnemi farbami. Szkoda doprawdy, że mianowicie na wystawie »Sztuki rodzimej« nie dał żadnego ze swych widoków krakowskich, któremi tak zachwycają się liczni wielbiciele jego prac w tym rodzaju. Miłośnicy zaś zabytków architektonicznych podwawelskiego grodu, których piękno odczuł przeszło pół wieku temu Gryglewski, — mający takich kontynuatorów, jak Tondos, a obecnie Wyczółkowski, — stawiają w jednym rzędzie z ich dziełami prace Turka i chętnie nabywają je do swych zbiorów.

Dobrze namalować portret ludzki — to rzecz niełatwa, lecz o wiele więcej jeszcze trudności przedstawia wykonanie dobrej podobizny kobiecej. To też artysta, któremu udało się szczęśliwie te trudności pokonać, może być słusznie zadowolonym z siebie. W tem przyjemnem położeniu znajduje się K o w a l s k i po wykonaniu »Portretu żony artysty«, jednego z najlepszych swych portretów, a bezwzględnie biorąc — dobrego dzieła malarskiego.

Portrety, malowane w »plein air'ze« — a takim jest portret, o którym mowa — technicznie są daleko więcej skomplikowane niż portrety, malowane w przestrzeni zamkniętej i przy oświetleniu skoncentrowanem. W tych ostatnich malarz ma ułatwione zadanie przy szukaniu podobieństwa i wydobyciu efektu plastyki, z powodu uzupełniających się nawzajem mas świateł i cieni, podczas gdy w pierwszych musi starać się, poza utrzymaniem podobieństwa, o wydobycie bryłowatości zapomocą mnóstwa półświateł, półcieni i refleksów, przyczem łatwo może popaść w szarzyznę pod względem kolorystycznym, a zamiast zdecydowanego rysunku dać jego surogat. Tego uniknął Kowalski, zdecydowawszy się ze swego portretu uczynić równocześnie staranną podobiznę i sumienne studjum głowy, malowanej na otwartem powietrzu, co wzięte razem dało sumę poważnego wysiłku artystycznego.

Ponieważ niniejsze sprawozdanie dochodzi rąk czytelnika, już po zamknięciu II wystawy »Sztuki rodzimej« — przeto nie miałoby celu nadawanie mu cech katalogu przez wyliczanie wszystkich jej eksponatów. Zaznaczając między niemi najgodniejsze uwagi, wspomnieć jeszcze muszę o »Komornicach« G e d l i c z k i. Na obrazku swym dał artysta dwie głowy kobiece, posiadające dużo wyrazu przygnębienia i beznadziejnego smutku. Kto taki wyraz stanu psychicznego potrafi nadać twarzy ludzkiej — ten daleko dochodzi w malarstwie, którego ostatecznym celem przy malowaniu człowieka powinno być odtworzenie p s y c h e uwięzionej w ciele ludzkiem.

O tem tak chętnie zapominają dziś malarze, boć łatwiej im przychodzi płodzić bezkształtne i bezduszne karykatury, niż odtwarzać postać ludzką, która w rzeczywistości posiada cudną harmonję proporcyj i kształtów, a przez której oczy patrzy na świat dusza nieśmiertelna.

Józef Trepka.

Żydzi a braterstwo ludów.

W cyklu »O odbudowie świata«, otwartym w amerykańskim miesięczniku *The North American Review,* ukazał się w sierpniu b. r. artykuł p. t. »Judaizm a odbudowa świata« przez rabina dra. Joseph Silvermann.

Konstatując, że przy najważniejszem zadaniu, jakiem jest po ostatniej wojnie przywrócenie normalnych stosunków w świecie, współpracują wszystkie czynniki polityczne, ekonomiczne, społeczne, wycho-

wawcze, narodowe i międzynarodowe, zapytuje autor: czy religja będzie mogła również odegrać w tem czynną rolę? Zachodzą tu bowiem niemałe wątpliwości. Religje panujące, zwłaszcza różne wyznania chrześcijańskie, nie zdołały jego zdaniem zachować ludzkości przed nieszczęściem wojen, owszem — kierując się egoizmem — same przyczyniały się nieraz do ich powstania, wszczynały prześladowania i rzezie. Przez to straciły jednak wpływ i stały się niezdolne do odnowienia świata. Jeden judaizm wolnym jest od powyższego zarzutu, nie tylko dlatego, że jako religja mniejszości nie mógł oddziaływać na masy, ale przedewszystkiem dla racyj wewnętrznych; sam bowiem cierpiąc z powodu nietolerancji i prześladowań »kościołów wojujących«, nie wszedł jednak w ich ślady, trzymał się zdala od »intryg i wojowniczej propagandy« i nie usiłował też narzucać drugim swych wierzeń. To też staje on dziś przed nami jako »czynnik wychowawczy i moralny«, który może śmiało wziąść udział z innemi w odbudowywaniu świata, owszem potrafi je nawet przyspieszyć, jeżeli mu się uda wciągnąć inne religje na podobnie wysoki poziom.

W jaki sposób dokona tego? — Oto przez głoszenie tej samej lekcji, jakiej niegdyś udzielił na górze Synaj przez: dekalog; ten bowiem wystarczy sam jeden do reformy stosunków. Do głoszenia go jest zaś judaizm tem bardziej powołany, że »stoi bezwzględnie« na jego stanowisku, zwiastuje wolność, ponieważ uczy: »jesteście dziećmi bożemi i nie możecie być niewolnikami żadnego człowieka«, on dał »pierwszą formę rządu demokratycznego« w instytucji sędziów, ustanowionych przez Mojżesza, on wreszcie uczył: »będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie«. W ten sposób »prawo i miłość« czynią judaizm »jedyną religją etyczną«, streszczającą się w trzech ideałach: »sprawiedliwości, miłosierdzia i pokory«, któremi gdyby się kierowano, nie byłoby wojny światowej i które wprowadzone w życie sprawią, że wszyscy zrozumieją, iż są dziećmi jednego Ojca niebieskiego. I wtedy dopiero nastanie prawdziwe braterstwo ludów, owa wspaniała wizja proroków Izraela.

Do konkretnego przeprowadzenia tego planu — kończy autor — nie wystarczy jednak sam judaizm i dlatego proponuje założenie »Ligi religij«, która pozostawiając na boku różnice wierzeń, złączyłaby na szerokiej platformie ideałów etycznych wszystkie religje, tworząc potęgę, która mogłaby wystąpić czynnie w akcji dla szczęścia ogółu.

Rzeczywiście oryginalny pomysł. Lecz jeśli w państwie osobliwości znaleźli się tacy, którzy przyjęli go na serjo, to u ogółu pozostałego i całej Europy projekt ten został z pewnością uznany za jedno więcej amerykańskie — c u r i o s u m. *P.*

Konkurs Towarzystwa Filozoficznego w Krakowie.

Sto lat minęło od czasu, gdy Józef Gołuchowski wydał swe dziełko pt. *Filozofja w stosunku do życia całych narodów i poszczególnych ludzi* (Erlangen 1822). Towarzystwo filozoficzne w Krakowie, chcąc upamiętnić tę ważną w dziejach myśli polskiej datę, ogłasza niniejszem konkurs na napisanie w języku polskim oryginalnej rozprawy na ten sam temat, jaki swego czasu opracował Gołuchowski. Prace, opatrzone godłem, z nazwiskami autorów, umieszczonemi w zamkniętych kopertach należy nadsyłać pod adresem Towarzystwa (Kraków, ul. św. Anny 12, parter) najpóźniej do dnia 31 grudnia 1923 r. Autor rozprawy, uznanej za najlepszą, otrzyma nagrodę w kwocie 100.000 mp. (sto tysięcy m. p.) a nazwisko jego zostanie ogłoszone w czasopismach filozoficznych.

Sąd konkursowy stanowią: Prof. Ignacy Chrzanowski z Krakowa. Dr. Stanisław Garfein Garski ze Lwowa. Prof. Dr. Tadeusz Kotarbiński z Warszawy. Ks. Prof. Dr. Konstanty Michalski i Prof. Dr. Witold Rubczyński z Krakowa. Prof. Dr. Mścisław Wartenberg ze Lwowa. Prof. Dr. Adam Żółtowski z Poznania.

Dr. Stefan Harassek, sekretarz. *Dr. W. Rubczyński, Przewodniczący.*

Kraków, w październiku 1922.

SPROSTOWANIE

W trzech arkuszach tego zeszytu zaszła pomyłka w numerowaniu stronic. Mianowicie na 2 stronie artykułu F. Konecznego „Wtargnięcie Renesansu do Moskwy" poprawić trzeba cyfrę 327 na 337 i dalej poprawiać, dodając po 10 aż do str. 374, którą się poprawi na 384. Ostatnie są już dobre.

REDAKTOR ODP. I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 16 grudnia 1922.

Spis rzeczy tomu 155—156.

Artykuły.

str.

Ks. Jan Rostworowski: Z kongresu eucharystycznego w Rzymie wrażenia i myśli 5
M. Paciorkiewicz: U źródła twórczości Moljera 17
Dr. F. Koneczny: Letuwa a Litwa 38
Prof. Dr. Leopold Caro: Idea współdzielczości 46
Dr. A. Prochaska: Krzyże i trudy hetmańskie. . . 63 ,149, 227
Ks. Jan Urban: Rewolucja, Żydzi i księgi święte 97
Feliks Sobolewski: Błędne drogi polityki skarbowej i ekonomicznej 109, 208
Ks. Stanisław Podoleński: Organizacje młodzieży katolickiej 127
Michał Sobański: gazy trujące a trucie sumień własnych . 144
Ks. Dr. A. Około-Kułak: Bolszewizm a religja 193
Liryki Sarbiewskiego w nowym przekładzie 203
Ks. Jan Pawelski: Na otwarcie Senatu i Sejmu 289
Ks. Albert Condamin: Prorocy Izraela a socjalizm . . . 296
M. Paciorkiewicz: Św. Franciszek Salezy 305
Dr. Ludomir Lewandowski: W obronie kredytu . . . 320
Ks. Stanisław Podoleński: H. Ford a Żydzi amerykańscy . 328
Dr. Feliks Koneczny: Wtargnięcie Renesansu do Moskwy w XV stuleciu 336

Przegląd piśmiennictwa.

Dr. Joseph Keulers: Die Eschatologische Lehre des Vierten Esrabuches. (Ks. Jan Urban) 75
Einführung in Das Studium der katolischen Teologie. (Ks. J. Archutowski) 76
Zdzisław Morawski: Św. Karol Boromeusz na tle odrodzenia religijnego XVI wieku (J. B.) 77
Rosja sowiecka pod względem gospodarczym. T. I. (R. M.) 77
Wł. Studnicki: Zarys statystyczno-ekonomiczny ziem północno-wschodnich (R. M.) 78

Str.

Ludwik Czarkowski: Pseudonimy i kryptonimy polskie. (Ks. Wł. Tołłoczko) 78
Ks. Władysław Chotkowski: Kazania eucharystyczne o Najśw. Sercu Jezusowem. (Z.) 80
Józef Ciembroniewicz: O zawodowe przygotowanie polskich nauczycieli. (Ks. St. Podoleński) 80
Tadeusz Mitana: Religijność Skargi. (J. K.) 164
Ks. Dr. Wincenty Kwiatkowski: De scientia beata an anima Christi. (Ks. M. Morawski) 167
Michał Brensztejn: Bibljoteka uniwersytecka w Wilnie do roku 1832-go (Ks. Wł. Tołłoczko) 168
Hanna Zahorska (Sawitri): Dniom Zmartwychwstania. (J. K.) 169
Dr. Antoni Ski: Stanowisko religji w szkole. (J. Andrasz) 170
Nikolaus Fassbinder: Das Glück des Kindes. (St. Podoleński) 170
A. Laskowski: Biskup Krasiński na wygnaniu. (Ks. Wł. Tołłoczko) . 171
M. Gabrjel Karski: Tęcza. — Zofja Ułaszynówna: Z tamtego brzegu. — Józef Relidzyński: Gałąź cyprysu. — Adam Stodor: Ścieżyną prostoty (J. K.) 172
„Przyjaciel szkoły". (P.) 173
Czasopisma prawnicze i ekonomiczne. „Ruch prawniczy i ekonomiczny" zeszyt III. — „Ekonomista" T. II. 173
Z nowych powieści:
Stefan Żeromski: Wiatr od morza. — Książki Ciekawe: Adolf Dygasiński: Nowele. — Gustaw Daniłowski: Nad urwiskiem. — Jan Lemański: Prawo mężczyzny. — Maciej Wierzbiński: Siostra Felicja. — W. Filochowski: Amulet Ozirisa. — E. Ligocki: Komandor Sidi Numan zu Stollberg. — Anatol France: Święty Satyr. — Piotr Choynowski: przekład Cierpień młodego Wertera, Goethego. — Edward Ligocki: Sen o Dwernickim. — Cezary Jelenta: Baletnik; Jasny Hubert. — Jerzy Duhamel: Żywoty męczenników. — Leopold Staff: przekład Poezji Michała Anioła Buonarotti'ego. (Hanna Zahorska) 247
Marja Morstinówna: Błysk latarni. (Ks. T. Karyłowski) 255
Ks. Franciszek Błotnicki: Kwiaty przydrożne. (Ks. T. Karyłowski) . 256
Józef Aleksander Gałuszka: Uśmiechy Boga. (J. K.) 257
Feliks Przysiecki: Śpiew w ciemnościach. (J. K.) 257
Ks. Tad Karyłowski: Celniejsze hymny kościelne w nowym przekładzie. (J. K.) 258
Homer: Iljada, opracował Tadeusz Sinko. (Ks. T. Karyłowski) . . . 259
Kazimierz Kolbuszewski: Postyllografja XVI i XVII w. (Ks. Nikodem Cieszyński) 260
Dr. Józef Gołąbek: Komedje konwiktowe ks. Franciszka Bohomolca w zależności od Moljera. (J. K.) 264
Wiktor Przecławski: Felicjan Medard Faleński. (J. K.) 265
Dr. Wiktor Hahn: Przyszłość moja! — I moje za grobem zwycięstwo!. Szkice literackie o Słowackim. (J. K.) 266

Str.

Marja Świderska. Z przed lat sześćdziesięciu, dziennik małej patrjotki (K. Z) 266

John Joseph Rolbiecki, A. M.: The political philosophy of Dante Alighieri. (X.) 267

Liebmann Hersch: Le Juif errant d'aujourd'hui. (Ks. M. Skibniewski) . 268

Marienblumen. — Marianisches Leben. — Maria Müller: In der Kongregationsschule. (J. Andrasz) 272

Karl Eugen Neumann: Der Wahrheitpfad. (Ks. Wł. Tołłoczko) 272

Henr. Jos. Vogels: Novum Testamentum Graece. — Tenże: Novum Testamentum Graece et Latine. (Ks. Wilhelm Michalski) . . . 355

Ks. Dr. Franciszek Madeja: Zmartwychwstanie Chrystusa. (Ks. Jan Urban) 358

Th. Flourney: Filozofja Williama Jamesa. — H. Pinard S. J.: La Théorie de l'Experience religieuse. Son évolution de Luther a W. James. (Ks. Jan Urban) 360

August Deneffe S. J.: Kant und die katholische Wahrheit. (St. Podoleński) 362

Victor Cathrein S. J: Katholik und katholische Kirche. (Ks. St. Podoleński) 362

Zdzisław Dębicki: Podstawy kultury narodowej. (Ks. Jan Urban T. J.) 363

Johann J. Laux: Der hl. Bonifatius, Apostel der Deutschen. (X. X.) . . . 363

Korbel-Sawicki: Atlas geograficzny. (Ks. M. Skibniewski) 364

Dr. Adam Wojnicz: Łuck na Wołyniu. (M. S.) 365

Ks. Jan Gnatowski: Z Polski do Rzymu. (J. K.) 366

Prof. Dr. Felix Haase: Russische Kirche und Socialismus. — Prof. Dr. F. K. Neubecker: Russisches und Orientalisches Eherecht. — Osteuropäische Bibliographie für das Jahr 1920. (Ks. Wł. Tołłoczko) . . 366

Prof. Dr. K. Holl: Tolstoi nach seinen Tagebüchern. (Ks. Wł. Tołłoczko) 368

Kazimierz Morawski: Zarys literatury rzymskiej. (J. R.) 369

Homer: Odysseja w przekładzie Lucjana Siemieńskiego, opracował Tadeusz Sinko. — Aischylos: Promoteusz skowany w przekładzie Jana Kasprowicza, ze wstępem prof. Stan. Witkowskiego. — Eurypides: Medea opracował Bogusław Butrymowicz. — Arystofanes: Rycerze opracował B. Butrymowicz. — Arystofanes: Ptaki przełożył B. Butrymowicz. — Molier: Mizantrop opracował Tadeusz Żeleński. — Molier: Skąpiec opracował T. Żeleński.— Wiljam Szekspir: Antoniusz i Kleopatra opracował Wł. Tarnawski. — Wiljam Szekspir: Burza opracował Andrzej Tretjak. — Leonard Sowiński: Wybór poezyj opracował Wł. Bryda. — Wincenty Pol: Mohort wstępem i objaśnieniami zaopatrzył prof. Dr. A. Łucki. — Ignacy Krasicki: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki opracował B. Butrymowicz. — Antoni Malczewski: Marja opracował Józef Ujejski. — Seweryn Goszczyński: Król zamczyska opracował J. Tretjak. — Władysław

Str.

Syrokomla: Wybór poezyj opracował F. Bielak. (Ks. Tadeusz Karyłowski) 370
Stefanja Marciszewska-Posadzowa: Pierwsze rozmowy religijne z małemi dziećmi. (St. Podoleński) 374
Otto Karrer S J.: Des hl. Ignatius von Loyola geistliche Briefe und Unterweisungen. — Georg Timpe P. S. M.: Der selige Weg. — Henriette Brey: Wenn es in der Seele dunkelt. — Erich Przywara S. J.: Von Himmelreich der Seele. (A. B.) 375
Ks. Żukiewicz, Dominikanin: W Hołdzie Marji. (Ks. Wł. Wojtoń) . . 376
Missale Romanum (X) 377
Nadesłane do Redakcji 81, 174, 273, 377

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła. (Ks. Jan Urban T. J.):
Lipiec: Skromny zjazd, niewielka książka, ważne problemy 83
Sierpień — wrzesień: Watykańska misja pomocy w Rosji i niepotrzebne podejrzenia. — Cierpienia i nadzieje Kościoła katolickiego w Jugosławji 175
Październik: Zlot „Orłów“ w Bernie. — Kongres katolików niemieckich w Monachjum. — Zabiegi stronnictw politycznych o katolickie głosy 274
Listopad grudzień: Nienormalne położenie Kościoła w Polsce. — Konkordat Łotwy ze Stolicą Św. 379
Jubileuszowa wystawa „Sztuki“. (Józef Trepka) 88
Opieka nad żołnierzem. (S.) 92
Paryski kongres w sprawie wychowania rodzinnego. (St. P.) 96
Najnowsza technika a braterstwo ludów. (Ks. Feliks Hortyński) . . 180
Unja katolicka Związków kobiecych i jej ostatni zjazd w Rzymie. (Zofja Popiełówna) 184
„Tydzień pisarzy katolickich“ w Paryżu. (Ks. St. P.) 283
„Tydzień etnologji religijnej“ w Tilburgu (Holandja). (Ks. Dr. Ign. Antonowicz, Salezjanin) 285
Druga wystawa „Sztuki rodzimej“ w Krakowie (Józef Trepka) . . . 387
Żydzi a braterstwo ludów (P.) 392
Rozmaitości 286
Konkurs Towarzystwa filozoficznego 394